KRAKÓW · 10 · CZERWCA · 1918 ZESZYT · 17

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA

20.VI.1918



ST. WYSPIAŃSKI WITRAŻE WAWELSKIE: PIAST.

(Ze zbioru Włodzimierza Żuławskiego.)



E. KAHLER.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

KRZYWDA.

W Rosyi, głębokiej, och takiej głębokiej,
Jak jest bezdenna głębina tęsknoty, —
W ranek pogodny, słońcem wiosny złoty
Przed gankiem ciche usłyszałam kroki.

W opadłym z topól wonnym, srebrnym puchu
Zastukał sucho starczy kij podróżny,
A głos, co dziwne echa zbudził w duchu,
Obcem mię słowem poprosił jałmużny.

Przedemną w chusty wieśniacze odziana
Stała żebraczka: niby skiba roli,
Pługiem lat męki tak długo orana,
Że dzisiaj mówić zda się: już nie boli.

A gdy szukałam w sakiewce wygnańca,
Nagle, jak struna, co w serce uderza,
Zaszeleściły paciorki różańca
I święte słowa polskiego pacierza.

„Wy polka, — matko! Wy dawno z Ojczy-
[zny?"
Lecz ona, zda się nie słysząc mej mowy,
Szepce, od ziarn swych nie podnosząc gło-
[wy:
„Ja prawosławna! ja ruska — z Chełm-
[szczyzny".

Jak gdyby czarny zagon polskiej ziemi
Jęknął przedemną w przeraźliwej skardze,
Taka głąb bólu zorzami krwawemi
Błysła mi w kłamstwie—prawdą na jej war-
[dze.

I w złotem słońcu radosnego kwietnia,
Z obcego słowa ułudą daremną,
Śmiertelna męka i krzywda stuletnia
Nagle, jak upiór, stanęła przedemną.

Topole pachną kadzidłem cerkiewnem
I w sercu cicho krwawi rana dawna,
Gdy ona szepce swoim głosem śpiewnym:
„Ja ruska, pani — och — ja prawosławna".

O, co przeważy gwiezdną szalę Boga:
Czy to Piotrowe zaparcie się w słowie,
Czy ta modlitwa bezwiedna a droga,
Zrośnięta z życiem, jak sen i jak zdrowie?

Piersi rozrywa ptak ślepej tęsknoty,
I sam ruch ramion na zachód je pręży...
Ojczyzny mojej archaniele złoty,
Ty wiesz jedyny, — ty wiesz, — co zwy-
[cięży.

D W U R O N D Y.

S Z U B I E N I C A.

Aleją kwietnych kasztanów,
Wznoszących Panu świeczniki,
Płynie wśród kurzu tumanów
Lament żołnierski dziki.

Na rynku — szubienica —
W wiosennem słońcu tonie.
Miasteczko w bzów koronie...
Powietrze woń przesyca...

Płyną tupoty i krzyki
Świsty i jęk tarabanów
Aleją kwietnych kasztanów,
Wznoszących Panu świeczniki.

Żołnierstwem gra ulica:
Armaty, ludzie, konie...
Na rynku — szubienica —
W wiosennem słońcu tonie.

W zieloność ozimych łanów,
Z wichrem złowieszczej muzyki,
Idą mołojce — zbójniki
Hen, do dalekich kurhanów.

Już przeszli. Okiennica
Uchyla się w balkonie...
Ktoś wzniósł ku oczom dłonie
I blade słoni lica.

Wśród kwietnych śni kasztanów

Na rynku — szubienica. —

S Z T A N D A R.

Szeroki wiatr stepowy
Przelata ulicami.
Niewymownemi słowy
Chcę się podzielić z wami!

Sztandaru skrzydło krwawe
Do lotu w słońcu bije.
Żar, co się na dnie kryje,
Wybuchnął w hymnu lawę!

Pieśń bije mi do głowy
I serce w piersiach gra mi,
Szeroki wiatr stepowy
Przelata ulicami.

Dział mrocznych długie szyje
Pod słońce lśnią złotawe.
Sztandaru skrzydło krwawe
Do lotu w słońcu bije.

Poczułam nad barkami
Husarski chrzęst orłowy:
Już oczu łza nie plami!
Już z ducha rwę okowy!

Spragnione serce pije
Potęgę, moc i sławę!
Za Sprawę — hej! za Sprawę!
Duch żyje! żyje! żyje!

Rozwinął wiatr stepowy

Sztandaru skrzydło krwawe.





O. KOKOSCHKA — PORTRET.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

8)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

— Miło mnie będzie — rzekł Przesiewicz — powitać was u siebie, panie architekto, o którego projekcie sam nasz hrabia z największemi pochwałami do plenipotenta Rzesińskiego pisał z Warszawy. Domek mój skromny, nie pałac, ot, mosińdzieju, dworek rolnika. Moja żona i moja druga córka szczęśliwe będą. Słyszeliśmy i o wielkich podróżach, które pan architekta miał odbywać. Proszę, choćby dziś. Niedaleko, dwie mile, konie dobre, duchem przelecą. A tymczasem nie przeszkadzam i za interesami pojedziemy — zwrócił się do córki.

— Jabym tu została — ozwała się dziewczyna, z półoka patrząc na Piotra.

— A cóżbyś ty tu robiła?

— Kościół, tatko; każdemu pracować się godzi.

Przesiewicz pojrzał na nią i uśmiechnął się prostodusznie.

— Za przykładem pana architekty, co? Fundamenta kopać, czy gruz wywozić z fornalami? Będzie z ciebie, gdy Najświętszej Pannie sukienkę ze złotej lamy wyszyjesz, o której pozwolenie i przyjęcie hrabiego poproszę. — Skinął ku lekkiej bryczce, w parę dobrych szpaków zaprzężonej, wsiadł z dziewczyną i zapewniwszy się, że Piotr skromnym domkiem nie pogardzi, ruszył gościńcem nieopodal.

Piotr nie pozostał bez wrażenia. Przez czas swych dalekich podróży odwykł od kobiet, zbliżywszy się z powrotem do ludzi niemiał czasu

o nich głębiej pomyśleć. Kobieta zeszła mu z oczu i nie weszła znowu przed oczy. Kobietę lubił, nigdy go nie pochłonęła. Przedstawiała ona dla niego interes społeczny, jako druga połowa ludzkości, oceniał ją jako jeden z warunków szczęścia, widział jednak poza nią taką ogromną masę ponęt, przedmiotów i konieczności życia, że wypełnianie go sobie kobietą, kładzenie go w nią w całości, niewidzenie świata poza nią, wydawało mu się pewnem upośledzeniem zdolności mężczyzny. Niewidział nawet absolutnej wagi w działaniu i egzystencyi wespół z kobietą, nierozłącznie. Owszem, uważał, że podobnie jak w naturze różne płcie w pewnych porach zbliżają się wzajemnie, tak i mężczyzna z kobietą mogą się schodzić i rozchodzić. Połączenie się dożywotnie, nierozerwalne, przedstawiało mu się jako instytucya ryzykiem ogromnego napięcia. Raczej można było pomyśleć ideę popularnego wychowania dzieci nawet na koszt państwa przez fachowe siły. Życie kobiety wymagało jakichś reform, jeżeli nie jest jedną z tych kwestyj cywilizowanego świata, które do nierozwiązalnych na zawsze zaliczyć trzeba, podobnie jak kwestyę równości międzyludzkiej, utopię absolutnie nie do przeprowadzenia. Nie wszystko da się ustawić na miejscu, nawet z tego, co jest tylko wytworem życia. Dążenia okazują się zawodne, twierdzenia złudne. Nieustanna fala zjawiska bytu płynie, materyał wiecznie ten sam, kształt nieustannie zmienny. Tą drogą przewija się w zjawiskach bytu zjawisko stosunku płci, któremu prawa świat nie potrafił znaleść.

Od pojęcia nierozerwalnego stosunku z kobietą odtrącał Piotra widok przymusu. Jakiekolwiek były to pęta: były to pęta. On chciał znać tylko dobrą wolę.

Przez głowę Piotra, gdy kopał ziemię kamieniami przerastałą, aby pod kościół grunt fundamentalny przygotować, przebiegało mnóstwo myśli. Nagle i niespodziewanie, spadłszy do kraju z niezmiernej i cudzej odległości, znalazł się powołanym do budowania przybytku, gdzie najwyższe i najgłębsze jestestwo duszy narodu iścić się miało. Jaką wróżbą miała być ta robota, która mu nigdy w mózgu, ani w sercu nie postała, kóra pchnęła go na teren obcy jego myśli tworzącej, a która jego, owiewającego się w marzeniach mgławicą trudów i czynów w jego własnym duchu ważonych, czysto człowieczej a cudownej nowej misyi: uczyniła nagle rzecznikiem wyrazu idei widnoskłonów innych, sklepień innych, otaczając uszanowaniem nieszukanem, niewprawiezasłużonem, a jednak uprawnionem? Ci ludzie prości i drobni, prowincyonalni, z pratradycyi wzeszli, widzieli tu prawdę — — przez swój mały krąg mózgowy widzieli tę prawdę w nim, budowniczym widoku tej prawdy. Ich spojrzenia, rzucane na niego ukradkiem, z czcią i pietyzmem, nieśmiałe, czuł na sobie. Dlaczego to robił? Nie dla rozgłosu — w murach go nie szukał. Nie dla zarobku — nie przyjął umyślnie więcej nic, niż to, co zatrzymał jako pensyę urzędniczą w cukrowni. Nie dla próby sił swoich — był ich pewien. Nie dla zdobycia popularności, gdyż nie taka była jego celem. Dlaczegóż więc? Rzut jakiś ogarnął go — runął w pracę twórczą, dźwignął rękę, uderza — pod jego dłonią jak piorun prędką, jak cedr ciężką, jak młot silną, a jak prąd, co muł ponosi, porywczą: rośnie życie, w powietrze wzbija się kształt, jeden ze zjawów życia. Jego wzrok widział tę mgłę kamienną, ten dom — — i mocne ręce Piotra wywalały gruz ziemny, jego stalowy oskard za ciosem prześwietlał mu mózg złotoświetlną śmigłą, krótką błyskawicą, a dziób upadał z takim zamachem, że grzązł w gruzie i gruncie, aby znów wstężyć się w górę. Piotr widział, jak za jego przykładem ludzie pracują, jak porywa ich za sobą. Pot ciekł im z czół, ciała się grzały, ręce ich ściskały kilofy, łopaty i motyki, taczki hurczały pospiesznemi nawrotami, woźnice nawoływali konie i klaskali batami w powietrzu, jedni wywożąc wybranisko, drudzy zwożąc równocześnie ciosy granitowe od stacyi. Piotr widział, jak wolą swą poruszył świat wokoło, ten mały świat, którego stał się tętnem. Rzucał energię swą ludziom, pędy szalone, jakoby magnesowe race blasku.

Wiódł.

Miał wznieść się dom.

Budował i głuszył ten ponury głos, który odpowiedział pierwszemu ciosowi jego oskarda, płaszczył go w ziemię, w otchłań.

Gdy znużony popołudniu leżał na otomanie u siebie, czytając gazetę, służący zameldował

mu pana Przesiewicza. Wszedł dobrotliwy obywatel z ukłonem, uprzejmością i słowami: Mosiuńciu, mosińdzieju, jedźcie z nami teraz, jedno wcześniej się załatwiłem, drugie córka moja umiera z chęci jechania razem i to na naszej bryczulce z tak głośnym dzisiaj na okolicę człowiekiem. Bez niczego, w marynarce, jak na wsi do małego człowieka, tak sobie!

Piotr przystał chętnie. Pracę rozpoczął, miał pomocnika, młodego budowniczego. Natarł się cały zimnym ręcznikiem i począł się ubierać.

...Przesiewicz posadził go obok panny, która szczebiotała, chichotała się, strzelała z pod kapelusza oczkiem, bardzo urokliwa i rozmowna: on sam wskazywał mu grunta hrabiowskie, opowiadał o meljoracyach, zyskach, czynszach i sposobie gospodarowania w majątkach, które się streszczały w nomenklaturze „hrabia". W ogromnej przestrzeni potentat ten wypełniał sobą ziemię i ludzi. Przesiewicz opowiadał z przejęciem o dwu rodach z dawna sobie niechętnych, jednakowo najbliżej spokrewnionych z hrabią, starym bezdzietnym wdowcem, który na wszelkie ostrożnie podnoszone kwestye testamentu i dziedzictwa, odpowiadał: Pan Bóg niewie i ja niewiem.

Droga ze śródrolnej szerokiej stała się nieco węższą, ocienioną drzewami, minięto niewielką osadę kilkunastu chat włościańskich i ukazały się wielkie zielone korony dębów i lip ogrodu Przesiewiczowskiego folwarku.

Z chrustu pleciony płot, niewysoki, przetykany staremi kołkami, okalał domostwo. Wypadł ogar z dwoma rasowemi chartami i dwoma wyżłami w dobrej komitywie, a gdy bryczka zatoczyła się przed ganek, zaszczekało jeszcze radośnie kilka sporych jamników, pośród których Piotr spostrzegł wydrę.

— U mnie jak u nieboszczyka Chryzostoma Paska, tylko obawy niema, aby król wziął — śmiał się Przesiewicz.

Powitała Piotra w ganku pani Przesiewiczowa, z sieni, osoba smagła i dosyć szczupła, z pewną żeną i trochę nieśmiało, zwłaszcza, że się niespodziewała, i wprowadzono go prosto przez sień do jadalnego pokoju, gdzie ujrzał stół ogromny, zastawiony tortami i butelkami wina i wódki, oraz przybrany bukietami zieleni i wczesnych wiosennych kwiatów.

— Imieniny to moje i mojej magnifiki z drugiego imienia, mosińdzieju gościu szanowny, a jak cała okolica niewątpi, wszystkim nam niezawodnie wprędce kochany, skromne przyjątko, jak ubogich ludzi stać... Proszę, proszę... Przekąseczkę! Marusiu! Dajno tej, wiesz, „od dobrych gości"...

Piotr przełknął coś mocnego, wyśmienitego, delicyjnego zapachu, z owocem.

— Własna — rzekł Przesiewicz, nalewając po drugim kieliszku.

— Chłodzi, panie, nie grzeje, a ciepło robi.

Pierwszy raz w życiu był Piotr w takim dworku. Wszystko tu było proste i dawne, urocze tą dawnością. Jakieś portrety w nieco ciemnawej jadalni, jacyś dziadkowie i babki, ojcowie i matki, bardzo uczciwi wszyscy, skromni i spracowani, a dobrze żyjący. Kanapa, szafy, kredens — jakiegoś zamierzchłego bezstylu.

— Dwieście lat, panie, z kupą ten dom modrzewiowy stoi — mówił Przesiewicz jedząc — dwieście lat tu siedzimy. Zawsze ubodzy, zawsze skromniusieńko. Onufry Przesiewicz, ekonom, ożeniony z panną dworską go postawił, od tego czasu z dwu dziesięcin dorobiliśmy się dwudziestu pięciu. Na dwieście lat, mosińdzieju, nie zadużo. Hahaha! Jedzcież, jegomościu, jak Boga kocham, Marusia, podaj! I gdyby nie nieszczęście z moją starszą córką, no darmo, źle trafiła, odradzałem, byłoby jako tako. Niestety, panie, z chłopami coraz gorzej — — tu sęk...

Zmarszczył się i schmurzył.

— Taki mały człowiek, jak ja, drobny rolnik, prędzej się domaca. Wielcy agronomowie u nas niewierzą, albo rękami kiwają z lekceważeniem, ale co czasy przyniosą... Mówię wam, — głos przyciszył, — niechciałbym dożyć. Więcej nic. A tymczasem — uśmiechnął się dobrodusznie — jeszcze dziś, mój jegomość gościu, z przyjaciółmi naszymi wieczorem parę buteleczek mosińdzieju trza wypić. Hehehe! Zostaniecie na wieczór!

Panna zaczęła grać i śpiewać bardzo ładnie i bardzo muzykalnie, w Kijowie kształcona, i Piotr, z małym jamnikiem na kolanach, siedział w staroświeckim fotelu, dosyć twardym o struganych poręczach ze sztywnem oparciem, gdy otwarły się drzwi zboku i weszła osoba

może lat trzydziestu, więcej niż średniego wzrostu, podobna do pani Przesiewiczowej, smagła, jak ona, niełdna, o podłużnych ciemnych oczach. Jej usta były wązkie i ścięte, a ręce kościste, jak zauważył Piotr w pierwszem wejrzeniu, i mimo długich palców brzydkie. Włosy miała grubego cięcia, ciemne.

— Moja starsza córka, Franciszka — szepnął Przesiewicz, niechcąc młodszej przerywać — rozwódka od pięciu lat. Gosińska. Gałgana miała męża, Panie mu tam może już i poświeć... Wróciła do nas z Warszawy...

Uścisk ręki tej osoby, podany przy prezentacyi, był mocny, a skóra dłoni sucha i jakby rozżarzona. Zaczęła rozmawiać poprawnie i nie po wiejsku, a tak bystro, jakby badała, który listek zakrywa otwór klucza wertheimowskiego duszy człowieka. Rzuciła jedno i drugie zdanie i czekała na odpowiedź, patrząc w oczy, jak sędzia śledczy.

Kukułka na zegarze wykukała piątą. Dzień był poprostu gorący. Pani Przesiewiczowa kazała podać herbatę do ogrodu i wszyscy wyszli przed dworek od strony dziedzińca.

C. d. n.



W. WEISS — W SADZIE.



H. ROUSSEAU.

EMILE VERHAEREN.

M Ó R.

Śmierć zasiadła z czaszą krwi
W karczmie „pod trzema trumnami".

Rzuciła na stół ofiarny
Swój dukat czarny:
Na kir i na gromnice.

Jął przeciągać procesyami
Tłum milczący, grozą zgięty
Po ostatnie sakramenty.

Widziano, jak przez ulice
Przechodził ksiądz
I dzieci w komżach, drżąc,
W dom klęski, gdzie tragiczne zwarto okien-
[nice.

W karczmie „pod trzema trumnami"
Śmierć spija czasze krwi.

„Śmierci matko! łaski! łaski!
Przez pół tylko wychyl czarę!
My błagamy, — matki stare!
To my stare w szarych chustach,
Przez gościńców skwarne piaski
Aż do twego idziem dworu
Z różańcami skarg na ustach,
Z ofiarami serc ex voto!
Matko zgonu i wieczoru, —
Oto my w łachmanach szat,
Przygarbione pod zgryzotą,
Pod ciężarem lat i strat...
Nasze ciała w grób swój złóż!
W nasze piersi wbij twój nóż!"

Śmierć, — wiecie, dobre stare, — hula.
Wściekła się dziś od krwie!
Głowa jej wre i tacza się,
Jak kula.

Śmierć upiła się krwią,

Jakby to było dobroczynne wino:
Po jej szkielecie słodkie strugi płyną
I na kirysie lśnią.

Śmierć rzuciła na stół ofiarny
Swój dukat czarny.
Nieprędko się za grosz swój znudzi
Pić krew w karczmisku dobrych ludzi.

„Hetmanko Śmierci, to my!
Bitewne stare lwy!
Straszliwe wióry, złomy, pnie,
Które z walk puszczy groza rwie,
Hetmanko czarnych sztandarów,
I klęsk, i pobojowych pól!
Hetmanko mieczów, i kul,
I pożarów!
Ty nasza moc, i cel, i chwała, —
Coś wiodła wiernie mężny huf
W widnokrąg grzmiący wielkich snów.
Hetmanko śmierci, coś wstawała
Posłuszna na bębnów zew,
Piękna odwagą i nadzieją,
Potężna,
Mężna,
Niebosiężna, —
Patronko nasza, — ukróć gniew!
Wejrzyj na synów naszych i usłysz nas koleją, —
Bowiem oni się jeszcze bronić nie umieją!"

Śmierć, wiecie dobrzy ludzie,
Wściekła się dziś od krwi.
Jak flasza,
Co się toczy
Po stromej górskiej zboczy.
Jej nie trza, byście szli
Po zgon na krańce świata
W trudzie, —
Ona tu woli, w naszej wsi,
Nasycać krwią bezdenny lej
Czerwonej beczki swej.
Ona się z nami tutaj brata,
Tutaj pragnienie swe ugasza, —
Jej dziś tu dobrze z nami
W karczmie „pod trzema trumnami"! —
Gdzie jej się wlec na krańce ziemi
Pod sztandarami zawodnemi?...

„Śmierci! To Ja, Najświętsza Panna,
We złotą suknię gwiazd odziana,
Padam przed tobą na kolana,
Byś miała litość nad mym ludem!
Śmierci! To Ja, Najświętsza Panna,
Z kapliczki brzeżnej idę do cię, —
To Ja siedemkroć w serce ranna
Przed lat tysiącem na Golgocie.
Śmierci! To Ja, Najświętsza Panna,
Któram przyrzekła mojej wiosce
Dać pewną pomoc w wszelkiej trosce
I od klęsk wszelkich zbawić cudem.
Śmierci, to Ja, Najświętsza Panna"...

Śmierć, wiecie, Panno Święta, —
Dziś nic już nie pamięta!
W jej piersiach ogień gorze
I bije skroś do głowy,
Jej krwi wciąż trzeba nowej:
Dziś-by wypiła — morze!

Śmierć, Panno Święta, — hula.
Jedna w niej tylko chuć
Pożary może snuć.
Dziś nic jej nie rozczula!
Ona nie z tych, które uśmierzy
Trochę śpiewania i pacierzy:
Jej zbrzydły ludzkie łzy
I ręce,
Zgięte w męce.

Panienko Ty z ołtarzy,
Śmierć wściekła się od krwie:
Jej szał obroże rwie
I poprzez łan cmentarzy
Hula,
I wre, i toczy się,
Jak kula.

„Śmierci! To ja, sam Jezus król,
Którym cię wzniósł przez ból,
Jak siebie sam.
By się dopełnił wyrok ziemi
Nad żywotami człowieczemi.
Śmierci! Jam złotej manny cud,
Co z góry Tabor skróś polata
Aż po najdalsze krańce świata.
Jam dobry pasterz kornych trzód,
Który rękami promiennemi
Uświęcił wszelką boleść ziemi...
Śmierci! — ja jestem — Pokój świata..."

Śmierć, wiecie, Panie Boże

Siadła se przy kominie,
Gdzie dobre wino płynie,
I słyszeć Was nie może.

Ona swą kosę ma — a Bóg niech ma swój
[grom.

Tymczasem zaś — zaprasza,
Ktobądź wejść zechce w dom,
Gdzie stoi pełna czasza.

I jęła czaszę krwi, przy ogniu grzejąc nogi.
Nie wstała oddać czci, gdy Bóg przechodził
[progi,
A kto tak wówczas ujrzał Śmierć przed Pa-
[nem niewzruszoną,
Zadrżał, że w łonie duszę ma — na wieki po-
[tępioną.

— — — — — — — — —

Przez wiele, wiele dni, i jeszcze dni,
Śmierć piła czasze krwi
W karczmie „pod trzema trumnami," —
Aż wreszcie rankiem, podkuwszy szkielet
[konia
I sakwy przerzuciwszy przez grzbiet,
Ruszyła w drogę — het —
Przez miasta, wsie i błonia.

Z każdego kąta, z każdej wsi,
Ludzie w gromadkach ku niej szli
Z winem, by nie zaznała pragnienia i głodu
I nie wstrzymała konia u rozstajnych dróg:

Starce jej nieśli chleby i mięsiwa,
Kobiety jasne owoce ogrodu,
Koszyki z łozy i lniane przędziwa;
A dziatwa wybiegała ciekawie za próg
I wynosiła wonne plastry miodu.

Tak Śmierć jechała wiele staj
Przez biednych ludzi biedny kraj,
Bez żadnych chceń ni żądz,
Nie myśląc nic, ni chcąc, —
Jak kula, co się toczy
Po stromej górskiej zboczy.

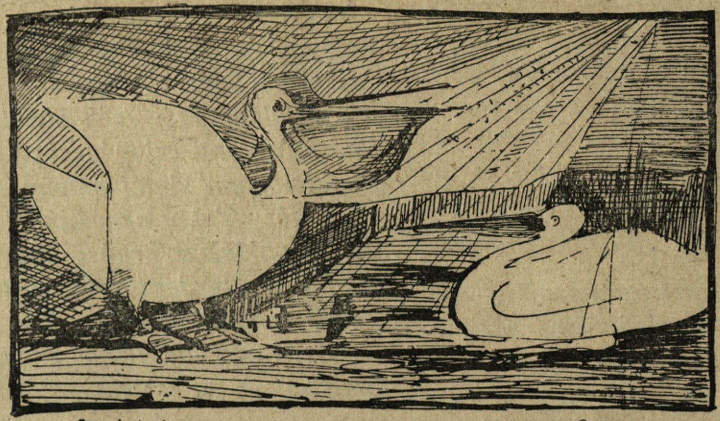
W rudego płaszcza szmat odziana,
Zdobny guzami żołnierskiemi,
W hełm z kitą, gnącą się ku ziemi,
I w długie buty po kolana.

Jej białokostny koń szkieleci
Truchcikiem szkapy artretycznej
Leci
Po grudzie polnych dróg,
Trzęsąc pijany szkielet, gnający w uciesze
Aże ku dalekościom przestrachów
I trwóg.

A w tyle, jako orszak Kostuchy bachicznej
Ciągną się rzesze,
Nie czujące ohydy mogilnych zapachów,
Ani widzące pod płaszcza otoczą
Roju groboczych czerwi, co jej serce toczą.

Wieszczej pamięci autora
przekład swój poświęcam

Bronisława Ostrowska.





L. PUSZET IRACUNDA

Z WYSTAWY „SZTUKI"



P. CEZANNE PEJZAŻ

WŁADYSŁAW ORKAN.

LISTY ZE WSI.

VI.

CZARY.

Pewnego razu, w jesieni, dość późnym już wieczorem, gdy dom się do snu sposobił, a ja w izdebce swojej siedziałem przy biurku, wsuwa się do pokoju znajoma kobieta, żona knapa z blizkiego osiedla i, schylając mi się do kolan, cała zadyszana, mówi:

— Ratujcie, panie! Chłopa mojego chcą zabić.

Poprosiłem ją, by usiadła, by się uspokoiła, i pytam o wyjaśnienia.

Z bezładnych jej słów, rwanych wzruszeniem, dowiedziałem się, co mi już w części było znane, że sąsiad ich, leśny, który oślepł przed niedawnym czasem, szukając rady na to nieszczęście wszędzie, „ino nie u Boga ani u ludzi dobrych“, posłał też swoją żonę do bacy-znachora, daleko na okolicę sławnego, i on pono miał orzec, że leśny „przeszedł czary“; a ten, co go zczarował, mieszka niedaleko, okna chałupy jego wychodzą na wychód słonka. Że zaś leśny do knapa miał oddawna złość — i akurat nieszczęście chciało, że ich okna (niby knapów, jak ich nazywają) wychodzą na wschód — więc teraz nic, ino twierdzi, że knap go zczarował.

— A przecie sumiennie, panie, mówię wam, jak na spowiedzi: mój chłop n i c n i e w i e. Kieby wiedział, toby sie nam inaczej działo, nie cierpielibymy biedy.

Widzę, że kobiecina w i e r z y. Trudno ją nawracać — nie czuję zresztą apostolskiego ku temu zapału.

— Cóż ten prorok jej radził? — pytam.

— Radził jej, by nazbierała ziół z dziewięciu miedz, i to wczas rano przed wychodem słonka; coby uczerpała wody z dziewięciu źródeł; coby go temi ziołami, sypanemi na węgle jarzące, okadziła, tej wody dała mu się napić; a potem, coby to wszystko zgarnęła do garnka, o północy zaniesła na granicę wsi i tam na miedzy granicznej zakopała.

— Zrobiła to?

— Jakże. Ino, skoro jej padło na tę granicę odnosić, bała się sama iść. Obróciła się do kumotra Michała, coby jej towarzyszył. Skoro tam zaszli, i ledwie ten trzop pod darnię wstusiła: uczynił się szum, coś jak ptaszysko wielgie porwało się z miedzy. Tedy ich, powiada, taki strach obujął, że kopaczkę ostawiła: uciekali przez miedze-zagony, ledwie nóg nie połamali. Opowiadał potem Michał, jak to było. Co jeszcze na dopłatek... Michałowa baba, kie on z leśną poszedł, (a wiedziała, w jakim interesie,) została ze strachem w izbie. Usnąć nijak nie mogła, czuła, że coś sie niedobrego święci. Kie tak leży z godzinę, czy dwie, i miarkuje, że już północ

bedzie, że musieli do granicy dojść — słyszy raptem łomotanie w izbie, potem huk, jakby kto cebrzykiem o dyle prasnął. Całkiem ze strachu omglała. Kie Michał wrócił, to ją małożywą zastał. — Wyjawiło sie rano, że to cielę, które w izbie mieli, plątało sie i cebrzyk z ławy zruciło — ale Michałowa z tego strachu dostała serca bicie, leży, i niewiada co z nią dalej bedzie.

— A leśnemu polepszyło się po tem odczynianiu?

— Coby! Złe złemu nie pomoże. Leśny był zawdy — bo go znacie — niedobrym człowiekiem. Nawet ta ślepota, to nieszczęście go nie naprawiło. A od czasu, jak baba jego wróciła od tego proroka, a bardziej jeszcze od tej nocy, kiedy odczyniała, to jakby dyabeł weń wszedł. Kiedyś (donoszą nam sąsiedzi, bo tam nie chodzimy) wyostrzył nóż i powiada: „Pójdę do tych czarowników (to niby do nas) i, kogo napotkam w izbie, dziecko nie dziecko, zakłuję.“ A teraz podjudził syna (dyć już parobek niemały), coby sie na mojego przystrzegł i uśmiercił.

Zalała się łzami.

— Też, panie, z tem do was przychodzę. Mój chłop poszedł dziś ku kościołu — wiedzą, że ma późno wrócić. Ten wziął se kół, jak na zbój, i przystrzega sie na niego w lasku. No oczywistnie chce uśmiercić. Ostrzegli mnie sąsiedzi. Co mam począć?

Wybuchła znowu szlochem.

— Hm, — myślę — co tu robić? Władze daleko, zbrodnia tu-ż. Jutro może być zapóźno.

— Idźcie — powiadam — naprzeciw chłopa, niech dziś nie wraca, niech pod kościołem zanocuje. A jutro ja się w tę sprawę wdam.

— O mój panie! — łkała prośby, podzięki, i poszła.

Nazajutrz było swięto. Przesłałem do najsędziwszego z kolegów moich w Radzie gminnej, starego przysiężnego, który powagą swoją rozsądzał sprawy polowe, aby się do mnie zechciał pofatygować w sprawie ważnej.

Przyszedł po sumie. Orenduję mu, jak i co; jak baca-znachor orzekł, jak niewinnego knapa posądzono, jaka się zbrodnia ma spełnić...

— Tak baca orzekł? — zasępił się.

Widziałem, że on też w i e r z y.

— Musimy — powiadam — z urzędu wstąpić w tę rzecz, by zbrodni przeszkodzić. A sprawę bacy oddamy sądowi.

Pojrzał na mnie niepewnie. „Bacy sie nic nie stanie, bo on w i e“ — pomyślał se. Lecz wyrażenie „z urzędu“ przekonało go.

— Musimy wstąpić — przywtórzył.

Zebrałem się — poszliśmy.

Gdyśmy weszli do osiedla, gdzie leśny i knap mieszkali, poprosiłem przysiężnego, by wywołał z chałup ich sąsiadów.

Wstąpił do pierwszej izby skraja, potem do drugiej, trzeciej, czwartej — wnet powychodzili chłopi na osiedle w trwożnem zaciekawieniu. Każdy miał coś tam na sumieniu — a tu „urząd“.

— Pójdziemy do leśnego — rzekłem.

Ruszyli za nami w różnych myślach, przeczuwając już, o co chodzi.

Wchodzimy do izby leśnego.

— Pochwalony!

— Na wieki. Witajcie — odpowiada kobieta od nalepy, strwożonemi oczami patrząc na tylu nas.

Leśny, siedzący na nizkim stołku, poznał nas po głosie, podnosi się. Syn dźwignął się też z ławy. Proszą nas siadać.

— Przychodzimy z urzędu — mówię ostro, zatrzymując się przy drzwiach i nie przyjmując witań. — Ja oto i przysiężny. A sąsiedzi świadkowie — wskazuję stłoczonych we drzwiach za nami.

— Co wy se to myślicie? — poczynam grzmieć. — Co was sie to za mąt chwyta: spokojnych ludzi napastować?! Myślicie, że można tak letko człeka zabić?

Porwali się z protestem.

— Cicho! Wiem wszystko. Wiem, że przez wasze głupstwo Michałowa może ze świata zejść. Wiem, jak sie wasz syn przystrzegał wczora na knapa. Stary grzeszniku! — zwracam się do leśnego. — To tak syna terminujesz? Dość, że cię Bóg tem nieszczęściem dotknął, tą ślepotą, to drugie gorsze nieszczęście chcesz na dom twój sprowadzić? To zamiast rady szukać u doktorów, u ludzi dobrych, u Boga, dyabła sie o radę pytasz? Papieżów se nowych, oszustów jakichś wynajdujesz?

W tym sensie grzmiałem kazanie, aż i sąsiedzi potrwożyli się w sercach.

— Wiecie wy, co was czeka, jeśli tych praktyk dyabelskich nie poniechacie, jeśli was ten obłąd straszny, co wam rozum pomącił, nie opuści?... Oto mówię wam z urzędu: — podniesłem dłoń — Syn pójdzie do kryminału, chałupę opieczętują, a was, stary, oddadzą pod kuratelę!! A i waszego proroka kara niechybna, dosięgnie.

Strach padł na izbę. Słowo „pod kuratelę!“ padło jak grom.

Żona wybuchła płaczem. Leśny począł się trząść — uniósł ręce błagalnie, bełkocąc jakieś słowa skruchy. Żal mi się go zrobiło.

— Ostańcie z Bogiem. I niech wam Bóg myśl odmieni...

Wyszliśmy na osiedle. Pożegnałem się z przysiężnym i z osiedlowymi.

Wiedziałem, że już mogę spokojnie odejść. —

Wracając, myślę sobie: gdybym teraz np. z miedzy źle stąpił, nogę zwichnął — rzecz wzięłaby fatalny obrót. Utwierdziłaby wiarę w moc „proroka“. Znaczyłoby się: jego dłoń mię dosięgła.

Tak się na szczęście nie stało.

HUMANISTA-ANONYM.

NOWY KANDYD.

(Teodycea filologiczno-aprowizacyjna).

Przechodząc niedawno Błońmi koło działków, oddanych przez Magistrat mieszkańcom miasta pod uprawę, zauważyłem z daleka wśród skopanego pola jakąś postać czarną, którą byłbym wziął za straszaka na ptaki, gdyby nie rozwaga, że przecież dziś nikt choćby w najgorsze łachmany nie ubiera manekina, a gdyby nawet ubrał, to długoby ich na nim nie zostawiono. Miejsce antropomorficznych straszaków zajęły wśród pol wojenne ich „namiestki" we formie blaszanych lub tekturowych wron, zwisających na cienkich drutach z gałęzi, wetkniętych w grzędy. A ten na Błoniach ubrany był we frak, z którego połami igrał wiatr niby z jakąś żałobną flagą. W miarę zbliżania się upewniłem się, że to żywy człowiek, w słomianym kapeluszu na głowie, we wspomnianym fraku na zgiętym grzbiecie, w czarnych pantalonach na długich, cienkich nogach i w drewnianych trepkach. „Niedługo i mnie przyjdzie zastąpić ostatnią zużytą marynarkę frakiem, od lat bezużytecznie wiszącym w szafie" — pomyślałem i teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego w tym roku pojawia się na ulicach coraz więcej panów w czarnych anglezach i smokingach. Do fraków jeszcze nie sięgli, ale za ową pierwszą jaskółką przyjdą i inne. Pokój zastanie nas — w gali, jeśli się nie spóźni. Bo gdyby się spóźnił, toby zobaczył chyba — raj na ziemi, przynajmniej w dziedzinie mody.

Człowiek we fraku sięgał co chwilę prawą ręką do tylnej kieszeni, coś z niej wydobywał, przekładał do ręki lewej, a potem zrobiwszy palcami prawej mały dołek w ziemi, wsypywał coś do niego i ziemię nad tem zagarniał. Przypatrzyłem się z blizka. — Ależ tak, to nasz poczciwy Grek! Tylko dziwaczna jego pozytura i osobliwe ruchy sprawiły, żem z daleka nie popoznał go z figury. Od dziesięciu lat, przez które go nie widziałem, zupełnie się nie zmieniła ta wygolona, fałdzista twarz pastorska, a raczej zmieniła się tylko o tyle, że się pozbyła ogromnych, w rogowe koła oprawionych okularów. Przy czytaniu podnosił je zawsze na czoło; po zamknięciu czy odłożeniu książki znowu je spuszczał na nos, przybierając wygląd jakiejś lokomotywy, błyszczącej zdala świetlistemi latarniami. Teraz dopiero zauważyłem, że okulary były tylko reflektorami, a światło sypały te blade, szafirowe oczy, które rozjaśniając ogorzałą od słońca i wiatru twarz, czyniły ją podobną do jakiejś starej chatki w pustkowiu, głoszącej życie i gościnność oświetlonemi okienkami.

— Kalin imeran, Kyr Plakide. — wyrwało mi się prawie bezwiednie szkolne pozdrowienie, do którego nas był niegdyś przyzwyczaił. A gdzież okulary?

Zapytany wyprostował z nad zagonu swą długą postać, dotknął się zabłoconą prawicą czoła, poczem, jakby ocknąwszy się, odpowiedział: „Okulary ma żona w nocnym stoliku. Czytuję tylko przed spaniem, więc mi przez dzień niepotrzebne." I byłby dalej sadził swą fasolę (bo teraz poznałem, co trzyma w lewej dłoni), gdybym mu się nie był przypomniał jako dawny uczeń. Poznał mię odrazu, może dlatego, że podczas czteroletniej nauki u niego pobieranej najwięcej mu nadokuczałem ze wszystkich kolegów i walnie przyczyniłem się do tego, że Kyr Plakidos spensyonował się przedwcześnie. Przy odejściu ze szkoły, dziękował mi nawet na osobności, że mu uświadomiłem możliwość opuszczenia szkoły: z posady chętnie ustępuje innemu, który więcej może potrzebuje. Jemu dwieście koron emerytury aż nadto wystarczy do życia, a będzie mógł bez przeszkód i przerw pracować nad swem dziełem, mianowicie nad przekładem babilońskiej epopei o Gilgamosie na greckie heksametry. On wprawdzie, umiejąc jako były teolog po hebrajsku, łatwo się nauczył assyryjszczyzny, ale wie, że ten język u nas nie bardzo jeszcze znany. A że przekłady na języki nowoczesne ledwie z grubsza oddają treść prastarego poematu, on postanowił ubrać go w formę najpiękniejszą, w wiersze Homera...

To wspomnienie ostatniej mej rozmowy z Plakidosem sformułowało się w pytaniu o losy Izdubara. — Przekład już gotowy, zapewniał mię Grek. Ale jak niedźwiedzica swoim małym dopiero przez lizanie nadaje kształt pięknych zwierząt, tak on jeszcze przez siedm lat musi swój przekład poprawiać, toczyć, piłować, gładzić, by spełnić Horacyuszowskie *nonum prematur in annum*. Zresztę obecnie zaledwie po parę godzin przedsennych może poświęcić swej pracy. Rano zajęty jest jako bezpłatny praktykant w biliotece, po południu uprawia swoje pole lub opiekuje się w rodzaju ochronki dziećmi biedaków z sąsiedztwa...

— Więc i Panu już pensya emerytalna nie wystarcza i musi się Pan starać o poboczne dochody?

— I owszem. Nie mogę nawet pojąć, skąd państwo co parę miesięcy bierze takie sumy na ciągłe dodatki do pensyi, jednorazowe zapomogi...

Miałem przy sobie przypadkiem wycięte z

dziennika artykuły „ o bilansie wojny w życiu urzędniczem", więc wydobywszy je z kieszeni, odczytałem mu tabelę cen targowych artykułów codziennego użytku z ostatnich czterech lat, poczem konkludowałem: Z porównania cyfr przytoczonych wynika, że ceny artykułów codziennego użytku podniosły się w r. 1918 o 1365 proc. t. j. przeszło czternaście razy. Wykazałem mu cyframi, że normalne wynagrodzenie urzędnika łącznie z dodatkami drożyźnianymi wystarcza najwyżej na 12 dni w miesiącu. Jak przeżyć pozostałych dni 18?

— Szkoda, że w szkole nie czytuje się Telesa, ucznia Bionowego — odparł Plakidos, bynajmniej nie zmiażdżony wymową moich cyfr. Stamtąd byś się dowiedział, jak to Cynik Diogenes oświecił kogoś, co się żalił, że Ateny są drogiem miastem: Zabrał go mianowicie z sobą, zaprowadził do handlu wonności i zapytał, po czemu łut szypru? „Po minie" odpowiedział olejkarz. Na to Diogenes zawołał: „Co za drogie miasto!" Zaprowadził go znów do jadłodajni i spytał się, po czemu nóżki cielęce? „Po trzy drachmy" brzmiała odpowiedź. Zawołał: „Co za drogie miasto!". Zaprowadził go znów tam, gdzie miękka wełna i zapytał, po czemu bala? „Po minie". „Co za drogie miasto!" — A teraz chodź, mówi, i zaprowadził go znów tam, gdzie sprzedawano obwarzany groch. „Po czemu kwarta?" „Po groszu". Zawołał Diogenes: Co za tanie miasto! — Dalej do suszonych fig. „Po czemu?" „Po dwa grosze garść". Dalej do jagód. „Po czemu?" „Po dwa grosze". „Co za tanie miasto!" — Bo nie miasto jest tanie czy drogie, lecz jak ktoś tak żyje, to drogie, a jak tak, to tanie...

— Ależ ograniczanie się w zaspokajaniu potrzeb codziennych jest dziś zupełnie niemożliwe, bo wobec braku wszelkich artykułów żywności jedynie możność nabycia czegokolwiek jest kwestyą decydującą, wysokość zaś ceny nabycia schodzi na plan drugi...

— Teles mówi dalej: Czy Krates i Diogenes nie byli biedni? A mimo to łatwo spędzili życie, pozbywszy się pychy, stawszy się żebrakami i umiejąc żyć tanio i skromnie. Groził im niedostatek, groziły długi? „Soczewicę i groch zmobilizuj!", mówi Krates „i co się z nimi zgadza". Jeśli to uczynisz, łatwo odniesiesz zwycięstwo nad biedą...

— Wszyscy nie mogą zostać lazzaronami, zauważyłem.

— Czy ja wyglądam na lazzarona? — odparł, dumnie wskazując na swój frak. — Czy w takim przepychu nie można zamknąć oczu na pewne inne niedostatki? Czy moje trepki drewniane za 14 koron nie są wygodniejsze, zdrowsze, a przedewszystkiem bardziej greckie niż zwykłe trzewiki za 500 koron? Czy moja bielizna, przezemnie samego czyszczona co tydzień nowo-wynalezionym proszkiem chemicznym, jest mniej biała, niż prana w pralni za wysoką cenę? Czy moje ręce będą mniej czyste, gdy je umyję piaskiem wiślanym, niż gdybym użył prawdziwego mydła? Czy moje guziki, przytwierdzone drucikami, mniej silnie się trzymają, niż gdybym je był przyszył nićmi? — Odczytałeś mi ceny środków spożywczych, wymieniłeś kawę, herbatę, spirytus, kiełbasę, masło... Nie przeczę, że te artykuły, o ile są, przewyższają siłę kupna urzędnika. Ale czy nie zmiarkowałeś, że nie kupując ich, oszczędzasz? że ten, co ci uniemożliwia ich kupienie, zmusza cię właśnie do oszczędności?

— Ale przecież trzeba coś jeść, by na tych oszczędnościach nie skonać?

— Ziemniaki zmobilizuj! powiem ci, moderdernizując zdanie Kratesa, a przytem pośpiewuj piosenkę tkaczów śląskich: „Kartoffeln in der Früh', — zu Mittag in der Brüh', — Kartoffeln jede Zeit — Kartoffeln Unendlichkeit". Śpiew pomaga trawieniu, jak to już wiedzieli Pitagorejczycy.. A gdy ci się sprzykrzą ziemniaczki prywatne, zwróć się do publicznych. Przecież państwo, poczuwając się do pewnego współudziału w stworzeniu przyczyn dzisiejszej konjunktury, przekazuje miastom fundusze na utrzymywanie publicznych kuchni obywatelskich. Ja, wydając w nich swą emeryturę, mam wrażenie, że jak Ateńczycy zasłużonych mężów, tak mnie państwo żywi kosztem publicznym i dlatego nigdy bez wzruszenia nie wstępuję w progi publicznej jadłodajni, gdzie mnie spotyka zaszczyt, nie przyznany nawet Sokratesowi.

— Ale gdy kto ma żonę, dzieci...?

— Ja także mam żonę. Przyszedłem do niej wśród następujących okoliczności: Gdy w jesieni roku 1914 uczyniono warunkiem pozostania w mieście zaopatrzenie się w żywność na sześć miesięcy, wydobyłem z kasy 2500 koron i po naradzie ze znajomym Dyrektorem Zakładu dla badania środków spożywczych zakupiłem za nie prócz zboża i maku mnóstwo artykułów o wielkiej wartości odżywczej a małej objętości. Zapasy te złożyłem w dotychczasowym pokoju sypialnym. Drzwi sypialni zastawiłem szafą z książkami, poczem zadowolony ze spełnienia przykazu władzy, wróciłem do zwykłej roboty. Ponieważ Pani, u której się dawniej stołowałem, dalej prowadziła swą kuchnię, nie zmieniłem zwykłego trybu życia i nie mając potrzeby korzystania z oblężniczych zapasów, nie zaglądałem do nich i powoli o nich zapomniałem. Dopiero w zeszłym roku w jesieni słysząc, jak gospodyni narzeka, że nie może nigdzie dostać spirytusu do palenia, przypomniałem sobie, że ja mam wśród zapasów butlę pięciolitrową. Poprosiłem ją więc, by mi pomogła odsunąć szafę, odszuka-

łem klucz od sypialni i weszliśmy do środka. Gospodyni coraz to nerwowiej oglądała zapasy, dotykała ich i wzdychała: „Co za skarby! Co za skarby! Ktoby się był spodziewał, że Pan taki mądry!“

Wieczorem przyszła do mnie z córką w żałobie po narzeczonym, który miał szczęście zginąć na polu chwały, i po dłuższej, niezbyt zrozumiałej dla mnie rozmowie, oświadczyła mi wyraźnie, że tylko ja jeden mogę Helenę pocieszyć po jej strasznej stracie, żeniąc się z nią. Mam tylko dać mamie swoją metrykę chrztu i papiery wojskowe. Ona już wszystkie formalności załatwi.

Wyznałem, że to zaufanie do mnie bardzo mi pochlebia, ale jako człowiek uczciwy muszę zwrócić uwagę na to, że cała moja emerytura, wynosząca około 250 koron, wystarcza tylko na pokrycie moich własnych potrzeb, ale na utrzymanie żony nie wystarczy. Uspokoiła moje skrupuły matka, zapewniając, że dochód z domu, który ona kupi za moje zapasy oblężnicze, wystarczy żonie. Muszę go tylko odrazu na nią kazać zapisać. Zresztą Helena ma dobrą posadę w centrali, a stołować się będzie dalej u matki.

Zapewniała mnie, że po ślubie nie będę potrzebował się żoną zupełnie zajmować i będę mógł prowadzić takie samo życie, jak dotychczas.

Dla cienia pięknej Heleny, pomyślałem, prowadzili Achajowie dziesięcioletnią wojnę, a ja dla prawdziwej miałbym się wahać zrobić ofiarę z wolności? I przyjąłem warunki mamy. Mogę cię zapewnić, że jestem szczęśliwy. By zaś od swego szczęścia odwrócić zawiść bogów, a zarazem odpłacić się czemś społeczeństwu, które mię żywi publicznie, jak w prytanejon, uprawiam ten magistracki kawał pola, by w jesieni jego plony, ziemniaki i fasolę, oddać bezpłatnie do kuchni obywatelskiej. Ponieważ zaś mój związek z Heleną dotychczas nie wydał potomstwa, bawię popołudniu cudze dzieci w ochronce i w ten sposób spełniam także obowiązki ojca... Ale trzeba uprawiać nasz ogródek! — dodał, żegnając się ze mną.

Ten emerytowany urzędnik galicyjski, płód kilkuwiekowej kultury humanistycznej w Polsce, umocnił mnie w przeświadczeniu o niezrównanem znaczeniu wychowawczem filologii klasycznej. Zrozumiałem, że kształcąc pokolenia w kulcie orężnych czynów Miltyadesa i Cezara nietylko dzieli ona z dyplomatami i lichwiarzami honor współtwórczyni wojny europejskiej, ale pozwala też przeciągać ją choćby w nieskończoność: umacnia bowiem ufność w zbawczą mądrość państwa (które jest według Platona tworem boskim, bo ideą sprawiedliwości, ucieleśnioną na ziemi), stwarza więc pełną pogody odporność psychologiczną wobec nakazanych z góry ograniczeń i niedostatków i uczy na nie patrzeć ze stanowiska „przezwyciężonych“ wybryków przedwojennego indywidualizmu, zakochanego w rui, porubstwie i hedonizmie. Nie mając innej pociechy pod ręką, postanowiłem podzielić się tem odkryciem ze wszystkimi, którzy tracą siłę wytrwania, radosną pogardę śmierci i ofiarność dla swojej i cudzej ojczyzny. I snując dalej wątek teodycei Lebnitza, (tego samego, który pod imieniem mistrza Panglossa uczył ongiś Kandyda sztuki życia na tym najlepszym ze światów, — co wszystko można dziś już czytać po polsku w boy'owym przekładzie „Powiastek filozoficznych“ Woltera), pojąłem, że „harmonia praestabilita“ panuje nietylko między monadami we wszechświecie, ale i między ministeryami w państwach wojujących; ona to sprawia, że plany naukowe ministeryów oświaty, chowając na lekturze Corneliusa Neposa pokolenia w niemowlęctwie duchowem i kulcie ideałów z okresu jaskiniowego, wspierają wiernie zamysły ministeryów wojny i obrony krajowej i gotują światu coraz świetniejszy rozkwit militaryzmu. Jakoż prawdziwie szczęśliwy będę, jeżeli wysokie władze, dopatrzywszy się z właściwą sobie bystrością źródeł optymizmu mego bohatera w Telesie, zaprowadzą jego lekturę w gimnazyach — zamiast wymaganego przez żywioły przewrotowe siedmiokrotnego podwyższenia pensyi.





† F. HODLER CISZA.

P R Z E G L Ą D

PROJEKT AKADEMII LITERACKIEJ W POLSCE.

(Dokończenie).

Wśród zadań kulturalnych przyszłej instytucyi wymienia Żeromski na pierwszem miejscu troskę o czystość i piękność języka polskiego. Dodajmy jeszcze — o bogactwo. Niema nic oczywistszego, i już sama ta jedna sprawa dowodziłaby potrzeby założenia takiej lub innej instytucyi z ramienia ludzi, którzy obcując serdecznie z językiem poznali go w tym przekroju, gdzie on żyje, odżywia się i pracuje, a nie tylko w tym, gdzie jest już logicznem skostnieniem. Ale w ostatnich dniach czytamy, że Akademia Umiejętności bierze — nareszcie — tę sprawę pod swoją opiekę; chce wydać nietylko słownik staropolski, lecz także słownik żywego języka polskiego, który przygotuje osobna komisya, mająca objąć także po dyr. Zawilińskim wydawnictwo „Język polski" i „wogóle stać na straży czystości i poprawności mowy polskiej". Nie wiem, czy i o ile takie postanowienie Akademii jest ubocznym skutkiem projektu Żeromskiego i alarmów, jakie podczas wojny zrywały się w sprawie czystości naszego języka. Ale ponieważ Akademia Umiejętności dotychczas nie poczuwała się do tego obowiązku, wątpić przychodzi, czy Akademia Literacka mogłaby zostawić jej opiekę — bez opieki. Czy byłoby to współzawodnictwo, współdziałanie czy kontrola, nie pora teraz omawiać. Niezadawalające prawie nikogo, jednostronne rozstrzygnięcie przez Ak. Um. kwestyi pisowni nie budzi zaufania. Przyszło ono późno, mimo to nie w porę, gdyż wobec powszechnego nowego paroksyzmu purystycznego, który podczas wojny szukał tak często głosu w prasie, kwestye pisowni wydawały się raczej drobiazgiem.

Problemat czystości języka u nas jeszcze zawsze mylnie się stawia, gdy się sądzi, że zbieractwo słownicze i negatywne zabiegi czyścicielskie wy-

starczą, by nasz język odświeżyć i nadać mu nowy rozmach. Mnie się zdaje, że język nasz przechodzi przesilenie cięższe, niż się przypuszcza: modernizuje się, wrasta w nowe warunki życia, nowe pojęcia nietylko rzeczowe lecz towarzyskie, prawne, społeczne itd. W tym procesie nie pomagają mu ani poeci ani filologowie. Pierwsi obracają się w świecie, dowolnie przez siebie stworzonym, i ich trudności językowe mają naturę odrębną: gdy „głos myślom kłamie", to zwykle dlatego, że myśl sama jeszcze nie wie dobrze, czego chce, i biadania poetów na niedostateczność mowy jako narzędzia są właściwie tylko pychą, poza którą ukrywa się poczucie niedociągnięć wyobraźni, — niewdzięczni, bo ileż to razy słowo ratuje ich w pustce duchowej! Filologowie natomiast zajmują się trupami mowy a nie mową żywą, i podobnie jak profesorzy literatury i historyi, gdy sięgają czasów najnowszych, spadają do poziomu oryentacyi zwykłego śmiertelnika. Dziennikarz, prawnik, uczony, inżynier, tłómacz zdani są na własną wynalazczość tam, gdzie życie nasunie im konkretną trudność językową, ponad którą nie można przelecieć skrzydłem poetyckiem. To też zachwaszczenie naszego języka jest wprawdzie wynikiem niedbalstwa, nieuctwa wtedy, gdy popełnia się błędy znane, łatwe do uniknięcia, ale tkwi także i głębiej: w doraźnem poraniu się z coraz nowemi zadaniami, i powinno się je uważać za wskazówkę, gdzie szukać tych zadań. T. zw. puryzm przystępuje do nich powierzchownie, mechanicznie; jest w nim za dużo polityki i szarlatańśtwa „duchem" języka. Pisałem o tem dość szeroko rok temu w „Myśli Polskiej", i „Gazecie Wieczornej", dając dla purystów *vademecum* spostrzeżeń, które jak myślałem powinny być znane zawodowcom, a jednak, jak się się przekonałem, znane im nie były. To też powyżej z uboczną myślą, postawiłem obok c z y s t o ś c i postulat b o g a c t w a języka. Zdaje mi się, że jest niezbędnem przystosować nasz j ę z y k do bogactwa m o w y, (jako międzynarodowego zbiornika pojęć i uchwytów duchowych) a więc nietylko wypełnić gotowe pojęcia naszemi słowami, lecz także przyswoić sobie nowe wynalazki mowy, szukając ich w różnych językach. Zerwać z dotychczasową polityką konserwatywną w zakresie języka, szanującą „organiczny" rozwój języka, lecz aprobującą potem z ubolewaniem wszelkie błędy, gdy się już „utarły"; zbadać, pomnożyć i rozruszać zardzewiały aparat etymologiczny... to znaczy pchnąć język na tory niebezpieczne, „sztuczne", zrobić zeń sztukę. Czyż może lepiej iść za językiem jak za ślepcem, potykać się razem z nim, brać guzy i wpadać pod koła i błogosławić to wszystko jako cudowny i nieomylny „instynkt"? Może nie zrozumieją mnie i wyśmieją filolodzy, ale chyba nie poeci, którzy tak często dotychczas łgali, że słowo ludzkie jest narzędziem za słabem...

We wzmiankowanej już powyżej rozprawie starałem się dowieść, że toby była działalność, której tendencye ukazują się już w dotychczasowym rozwoju. Zbieraniem słówek mogą się zająć filolodzy, których, jak jest rzeczą naturalną, i wśród poetów nie brak, ale tylko rzeczą taktu i poczucia poetyckiego mogłoby być wyzwolenie utajonej twórczości języka, choćby w niewielkim zakresie. Inaczej poeci jako poeci nie mają tu właściwie nic do roboty. Dopiero wtedy możnaby z czystem sumieniem tępić i karcić niechlujstwo językowe, zakochane w swoich wszach. Czyścić w pojedynkę stajnię Augiasza, jaką jest dziennikarstwo pod względem językowym, to znaczy narażać się na kopnięcie istot tam żyjących; zbiorowe ciało może to potrafi, ale dopiero wtedy, gdy czyścicielstwo będzie nie sekaturą i kramarzeniem sekretami, lecz wzbogaceniem języka.

Nawiasem:

Żeromski wytyka prof. Brücknerowi, że używa galicyjskiego tromtadrativu: „Nie myślimy wojnę jej wypowiadać" i na pośmiewisko przytacza z dzieła znakomitego pisarza zdanie: „uśmiech zjawił się na jego ustach, wstał i wyszedł na ulice" Są to pomyłki druku; co do pierwszej należało przynajmniej stwierdzić, czy prof. B. także gdzieindziej tak samo grzeszy, co do drugiej, to oczywiste jest, że po „ustach" ma być kropka. Zdemoralizowany tym przykładem złośliwości pozwoliłem sobie w swoim egzemplarzu broszurki Ż. podkreślić następujące miejsca jako równie podejrzane (autor sam pozwolił):

„przyszedłem do przekonania" (zamiast: przekonałem się) „operujące" (zam.: posługujące się) „terminów" (zam.: słów, wyrazów), „terminy, wskazujące na kolejność i pochodzenie cywilizowanego rozwoju" (zam.: dowodzące z genet. lub świadczące o...) „szereg nazw poszczególnych przedmiotów" (przenośnia niemiecka, lepiej poprostu: wiele), „oczekujący na ujęcie go" (oczekiwać czego a czekać na... i czego), „niemniej" (zam.: mimoto, germanizm), „wyrządzić usługę" (zam. wyświadczyć). Nie dość zrozumiałe jest zdanie: „bibliotekę przekładów, w której zespół znawców będzie wysuwał danemi literaturami autorów w całości ich dzieła". (Określenie przyimkowe z „w" jest niemieckie). Używa też Ż. przysłówka „obecnie" zamiast „teraz, dziś" i przym. „liczni" zamiast „wielu". Metonymicznie można użyć „licznych" zamiast „wielu" ale to jest zacieranie dystynkcyj w języku, i gdy się codziennie czyta w gazetach o „licznych jeńcach" a potem raz o „o licznych wojskach", nie wie się czy to jest dziesięć wojsk niemieckich, które ruszają na Amiens, czy tylko dwa lecz bardzo wielkie. Zasadniczo nie można mieć nic przeciw nadawaniu słowu „obecny"

jeszcze drugiego znaczenia, ale proszę zważyć, jak to słowo wyparło „teraźniejszych“ i „dzisiejszych“, tak, że możnaby ogłosić konkurs na znalezienie w naszych dziennikach choćby raz na kilkanaście dni tych dwóch wymarłych przymiotników. Znikło też zupełnie słowo „potem“ (wciąż używają „następnie“) i słowo „robić“ (rozpanoszyło się „czynić“ i mówi się już nawet: „uczyniła się piąta godzina“). Nie wiem, czy dostojna Akademia Umiejętności wogóle obserwuje te fluktuacye w języku, czy ma jakąś stacyę obserwacyjną dla tych zjawisk? A jest ich sporo, i to pouczających. Oto n. p. przyjmuje się za wzorem niemieckim rozłamywanie czasowników na kilka słów: znajduje wyraz zam. wyraża się, państwa prowadzące wojnę zam. wojujące i t. p. Nie można zawyrokować bez ogródek, że to są błędy. Rozłamywanie słów może dawać pewne korzyści, mamy tu do czynienia raczej z pewną tendencyą mowy nie języka, i zadaniem Akademii byłoby wniknąć w nią merytorycznie. A najprzód zastanowić się, rozstrzygnąć kwestyę czy naśladowanie obcego języka musi być a priori błędem (patrz polski nom. c. inf. po „zdawać się“), czy też tępić należy tylko naśladownictwo błędów obcego języka, u nas właśnie dość częste, a nie — o ile możności — jego zalet.

Jako drugie zadanie Akademii Literackiej wymienia Żeromski rozkrzewianie kultury literackiej przez zorganizowanie biblioteki przekładów starych i nowych. Jaka anarchia panowała dotychczas w tej dziedzinie, wiem z własnego następującego doświadczenia: Ongiś czytałem „Nędzników“ Wiktora Hugo w doskonałym przekładzie poety Kl. Podwysockiego, i „Pracowników morza“ również w świetnym przekładzie, zdaje mi się Faleńskiego. Gdy później po latach chciałem wrócić do tych książek, w wypożyczalniach traktowano mnie już przekładami, których czytać nie mogłem, mając w pamięci wyryte rytmy przekładów tamtych. Dowiedziałem się, że tamte znikły już dawno z obiegu, i jakaś ruchliwa księgarnia w Gródku postarała się o tanie, kobiece, jak zwykle bezimienne tłómaczenie, bo nie znalazła się żadna księgarnia wyższego pokroju, któraby się złakomiła na tę próżnię na rynku zbytu. Odczułem to jako ciężką krzywdę i zaniedbanie i przeklinałem w duchu tę oficyalną krytykę dziennikarską, która nie potępi takiego przemysłu i nie zohydzi czytelnikowi lektury takich wydawnictw. Lecz cóż! lepsze czasem i takie przekłady niż żadne. Niedawno czytałem „Lorda Jima“ Korzeniowskiego w przekładzie kobiecym, który zaledwie wytrzymać można. Podobny był przekład drukowanego niedawno w „Czasie“ „Pana Brittlinga“ Wellsa. Ani od księgarń ani od redakcyi nie można się spodziewać kiedykolwiek sumienności pod tym względem. Zdarzają się jednak niestety także takie nadużycia, że na lichych przekładach kobiecych podpisują się jako ich autorzy firmowi poeci.

Czy Akademia już samem swojem wydawnictwem zatamuje konkurencyę marnych sił na polu przekładów, czy będzie musiała użyć jeszcze jakiegoś wpływu moralnego, — te kwestye należą do zakresu owej polityki pedagogicznej, którą Akademia będzie prowadziła. Ale czy samo wydawnictwo przyczyni się wogóle tak bardzo do rozszerzenia kultury literackiej, jak się tego Ż. spodziewa? Wszak mieliśmy sporo takich wydawnictw i to nawet względnie tanich, jednak wsiąknęły one jakby w piasek. Zdaje mi się, że bez pośrednictwa krytyki, sali wykładowej, szkoły, kultura literacka się nie rozbudzi. Zajmę się tu pierwszym z tych czynników, który — rzecz charakterystyczna — Żeromski omawia dopiero w trzeciej grupie zadań, którą stanowi według niego: sprawa instancyi (?) i obrony twórczości wolnej. Wobec krytyki staje Ż. wrogo, nawołuje do ukrócenia jej roszczeń i w obszernym, zajmującym wywodzie wystawia St. Brzozowskiego jako odstraszający przykład natręctwa krytyki, szkodliwego dla rozwoju twórczości. Przypomina kampanię Brzozowskiego przeciw Miriamowi, rozpoczętą artykułem satyrycznym w „Głosie“, przeciw któremu kilku pisarzy polskich wraz z Ż. założyło publiczny protest.

Przykład ten nie wydaje mi się szczęśliwie wybranym; jest nim chyba o tyle, że można tu rzeczywiście zademonstrować zasadniczy antagonizm zachodzący między krytyką a twórczością. Inkryminowana satyra Brzozowskiego przedrukowana jest teraz w zbiorku jego szkiców p. t. „Widma moich współczesnych“, dalsze jego artykuły przeciw Miriamowi były już dawniej przedrukowane w książce „Kultura i życie“, i dziś każdy może sobie sam wyrobić sąd co do tego, czy i o ile ówczesny protest kilku bogów i bożków naszego Parnasu był uzasadniony. Mojem zdaniem, satyra owa nie była zwykłą napaścią, gdyż implicite zawierała dowód, który potem Brzozowski w dalszych artykułach obszernie rozwinął. Dowód ten można uważać za chybiony w adresie, jak się to nieraz Brzozowskiemu zdarzało, ale powstała stąd rzecz owocna, likwidacya pewnych przesądów i skostniałości, które się potem już nie pojawiły. Gdyby przyszła Akademia Literacka miała być instytucyą od podobnych manifestów, protestów i gromów, miotanych z wyżyn Parnasu w krytykującą hałastrę, byłoby to rzeczą dość wesołą, kto wie nawet czy nie pożądaną dla spiorunowanych, mogłaby powstać secesya, Kontrakademia itd. Ale czyż w takim razie nie lepiej, żeby grupki pisarzy protestowały sobie same, jak to się potem kilka razy u nas stało „za przykładem bogów“, czyż autor zaczepiony — jeżeli nie uważa się za „wyższego ponad psie gło-

sy“ — nie może sobie znaleźć krytyka, któryby go obronił, albo sam dać niecnemu napastnikowi ciętą odprawę? W krytyce „wolny obrót“ powinienby opiłowywać niesprawiedliwości i wybryki. Przypominam, że raz gdzieś istniało pismo „Antikrytyka“, niechby raczej takie pismo wychodziło pod egidą Akademii zamiast protestów, które są bronią niegodną, przerastającą wszelką możliwą słuszność.

Jeżeli krytykę można nazwać twórczością, to i ona potrzebuje swobody dla swego rozwoju. Czy autor projektu myśli, że względy polityczne, zależność od wydawców, redaktorów, opinii publicznej itd. nie krępują krytyki tak samo jak twórczości poetyckiej? Krępują i to w stopniu o wiele wyższym, a przyłączają się do tego jeszcze względy towarzyskie, które u poety prawie żadnej roli nie grają. Krytyka przeholowuje co prawda często. Ale już w samej istocie krytyki tkwi jednostronność: nie jest ona matematycznym wymiarem sprawiedliwości, lecz twórczością myśli na dany temat, i nie może się obładowywać balastem zastrzeżeń i ustępstw. Krytyka bywa napastliwą, to prawda. Ale i to jest ujemnym skutkiem ubocznym owego poniekąd tragicznego stosunku, w jakim pozostają względem siebie poeta i krytyk. Zarysowują się w tym stosunku rudymenta najwyższego obcowania duchowego, gdzie zarówno wilczość jak anielskość natury ludzkiej znajdują scenę niewidzialną. To odczuwa każdy autor, gdy puszcza swoje rzeczy w świat, ale też i autorzy mają wobec mózgów ludzkich niesłychane możliwości agresywne, których nadużycie w tej niewinnej napozór dziedzinie zwielokrotnia się jak w pałacu zwierciadeł i budzi zupełnie swoisty wstręt przeciw intruzowi czy oszustowi. Formy tego obcowania są takie, na jakie stać kulturę danego społeczeństwa, a oprócz napastliwości istnieje jeszcze obleśny zachwyt, obłuda i obojętność — co lepsze?

To są sprawy nie błahe, skoro się już mówi o kulturze literackiej. Mamy w Polsce dużo arcydzieł, ale mamy bardzo mało literatury. Tak, literatury — bo nie imponuje mi już pogardliwe powiedzenie Verlaine‘a: A reszta to literatura! Otamowanie krytyki byłoby otamowaniem obiegu krwi w literaturze. Zarzuca Żeromski Brzozowskiemu, że działał według dewizy, ujętej przez siebie w słowach: „Zmieniłbym charakter polskiej literatury na całe pokolenia“. A wszakże ten grzech był jego największą cnotą i człowiek taki był wyjątkowym. Bo jeżeli zdarza się, że jacyś socyaliści czy konserwatyści, czy rajcy miejscy, pragną czasem zmieniać charakter swojskiej literatury, to są to tylko starcze ględzenia, gderania ogólnikowe ludzi, którym literatura jest w gruncie rzeczy czemś niesłychanie obojętnem i nudnem; a tego stanowczo nie można utożsamiać z szczerą gorącą pasyą Brzozowskiego, jak to czyni Żeromski. Przeciw Brzozowskiemu prędzej czy później byłaby przyszła opozycya, może nawet przez niego samego wszczęta, gdyby się był zwrócił przeciw swym naśladowcom. — Trudno mi się też zgodzić ze zdaniem Żeromskiego, jakoby krytyka na twórczość wcale wpływu nie wywierała, a tamowała jej swobodę. Prawda, że bezpośredniego wpływu krytyka zwykle nie wywiera, budzi protest i przykrość, gdy gani, często niesmak, gdy chwali. Ale P. T. Twórcy mylą się sądząc, że krytyka jest po to, aby była ich wiernym cieniem; krytyka jest funkcyą społeczną, samodzielną, i jako taka może wywierać na twórczość wpływ pośredni, półświadomy. Wszelki rozwój duchowy kroczy często drogą nieświadomego plagiatu; człowiek dziś przejmuje się tem, przeciw czemu jeszcze wczoraj oponował zawzięcie i sama ta walka bywa właściwie utrwalaniem sugestyi. W świecie ducha niema pokwitowań ani wdzięczności; dlatego i posiew musi się odbywać wśród niespodzianek i drapieżności, jak u pająków. Wpływ zaś Brzozowskiego na podniesienie kultury literackiej w Polsce jest chyba niewątpliwy; ja sam dopiero dzięki jemu nauczyłem się czytać dzieła Żeromskiego.

Zamiast wyrywać żądła osom literackim, niech Akademia lepiej skaże je na mordowanie się wzajemne i sama przyczyni się do urządzenia tego balu. Bezpośrednio tępić powinno się tylko krytykę indyferentną, gnuśną, bezmyślnie powtarzająca cudze opinie lub szablonowe kryterya, tę krytykę, która nawet nie czyta, lecz „maca po łebkach“, z przedmowy to i owo połapie i już jest gotowa. A to jest przeciętna recenzya gazeciarska, to jest skandal codzienny, przeciw któremu żaden septemvirat literatów dotychczas głosu nie zabierał. Z dzienników galicyjskich chyba tylko jeden „Czas“ ma staranny przegląd literacki oparty na mniej więcej sumiennej lekturze, reszta to same wzmiankarstwa albo plagiaty. Wprawdzie w tytułach gazet widnieje, że poświęcone są sprawom politycznym, społecznym i literackim, ale już oddawna wiadomo, że literatura jest w dziennikach kopciuszkiem, zależnym od łaski p. metrampaża lub p. redaktora technicznego, że wszelka sieczka polityczna, jałowe mowy wygłaszane przez różnych Sztirków, a komunikowane w telegramach polszczyzną wiedeńsko-nadpełtwiańską, są zdaniem redaktorów dla publiczności ważniejsze, niż część literacka. Chamy bez pietyzmu dla literatury, ludzie, którzy po kilkadziesiąt lat wcale książek nie czytają, pogrążeni w plotkarstwie politycznem i parlamentarnem i wychowujący publiczność w naiwnej wierze, że to, co się na łamach dzienników omawia, jest istotną materya dziejów i kultury. Akademia powinna dziennikarstwu narzucić zorganizowanie działów

literackich u siebie, by publiczność była przynajmniej jako tako informowana o tem, jakie książki wychodzą i co zawierają. Już same sprawozdania, bez oceny, bez „analizy“ i „syntezy“, oddałyby publiczność większą usługę niż codzienne biuletyny z bijatyki w karczmie „Europa“. U nas prędzej zbrodniarz, stojący przed kratkami, doczeka się w dzienniku omówienia, niż pisarz, który w swoje dzieło włożył „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“.

Oprócz gnuśności szablon: z „premiery“ recenzya być musi! Jakiekolwiek głupstwo wystawiono czy wznowiono na scenie, recenzya zawsze będzie, a przy tej sposobności wymieni się także nazwiska wszystkich aktorów, omówi się ich grę, jakby to były Bóg wie jak ważne zdarzenia artystyczne. Tymczasem może wyjść powieść, tom wierszy, dzieło naukowe — nikt o tem wspomnieć nie raczy, bo redaktorzy nie mają niestety czasu „wśród nawału zajęć publicystycznych“. Kult teatru jest u nas wogóle przesadnym. Dzienniki omawiają szeroko programy dyrektorów teatru, irytują się złym repertuarem, doborem aktorów, prowadzą „politykę teatralną“ — jakgdyby w tych zajściach naprawdę koncentrowało się życie artystyczne narodu. Można to wszystko robić, ale pod warunkiem, że będzie się równomiernie traktowało także inne objawy życia artystycznego i umysłowego, inaczej powstaje dysproporcya i szablon.

Co do krytyki więc Akademia miałaby za zadanie: wpływać nie tyle na jej jakość, co na ilość i wszechstronność.

Nakoniec, skoro już mowa o kulturze literackiej, warto jeszcze wspomnieć o fantastycznym, nienowym zresztą projekcie: szkoły poetyckiej. Ani malarzem ani muzykiem nie można zostać, nie posiadszy pewnych wiadomości i zręczności; można je potem lekceważyć lub za mylne uważać, jak w dawnych szkołach kapłańskich w Egipcie na wyższym stopniu nauki rozkazywano uczniom zapomnieć to wszystko, czego się na niższym uczyli, lecz taka podstawa jest nieodzowną. Dziś każdy poeta jest samoukiem i to zwykle jednostronnym. Prawdopodobnie dałoby się skupić wiele gałęzi wiedzy w tych przekrojach, któreby się nadawały dla sztuki poetyckiej. Kompozycya; studyowanie zdarzeń, charakterów, dyalogu; ćwiczenia w opisach; ćwiczenia w wierszoróbstwie (według Słownika rymów, którego wydanie przyniosłoby Akademii ogromny dochód); filozofia, psychologia, kolorystyka, czarna magia, wykłady o miłości, o zbrodni (z demonstracyami), seminaryum dla opisywania zachodów słońca, burzy, księżyca; kurs fantastyki; kursy różnych „izmów“, itp. Frekwencya płci żeńskiej byłaby zapewniona, czesne proponuję tak olbrzymie, że byt Akademii odrazu stanie na pewnym fundamencie. Upatruję już niektórych prelegentów, a jeżeli sam sobie nie zastrzegam jednej z katedr, to tylko dlatego, że pragnę do tej szkoły uczęszczać od klasy najniższej...

* * *

Odbiegłem już bardzo daleko od gruntu praktycznego, lecz zdawało mi się, że projektu Akademii Literackiej omawiać nie można bez tła możliwości najdalszych i potrzeb dotąd jeszcze w kulturze nieskrystalizowanych. Wracając do odpowiedzi na propozycyę co do celów najbliższych, sądzę, że:

1) Projekt Żeromskiego (Akademia Literatury) dałby się urzeczywistnić bez większych zachodów, lecz jest wątpliwem, czy taki areopag zostałby później uznany przez pospólstwo literatów niegłosujących.

2) Projekt Lama (Centrala Literacka) byłby bardziej pożądany jako podstawa, lecz dziś jest przedwczesny, ponieważ niema tylu literatów zarobkujących w Polsce, ani tylu źródeł zarobku.

Sprawa najważniejsza: Kogo należy uważać za literata? Czy każdego, kto kiedykolwiek jakiś wiersz napisał i wydrukował? Czy ma rozstrzygać o tem skala zarobków, skala talentu czy liczba lat? Czy literatura wogóle da się podciągnąć pod pojęcie zawodu, a nie jest tylko funkcyą, przyrodzoną każdemu człowiekowi, jak miłość, jedzenie, granie w szachy itd.? Ponieważ zrzeszają się i konsumenci i szachiści i piłkarze, mogliby się zrzeszyć i literaci, chyba że się ich odosobnienie i rozprószenie będzie uważało za specyalną korzyść dla literatury, za czem także niejedno przemawia. Wyznam, że dla mnie formułka, według której miałoby się powołać literatów do głosowania, stanowi główną trudność tych projektów. Może kto poda szczęśliwe jej rozwiązanie. Oczywiście dziś, gdy brać literacka jest rozprószona przymusowo i nie może się swobodnie porozumieć z sobą, ten plan, jak wiele inych, jest marzeniem człowieka uwięzionego, rysującego cegłą na ścianie swej kaźni ogrody i ornamenta Pałacu Wolności.

KAROL IRZYKOWSKI.



KRAKÓW · 20 · CZERWCA · 1918 ZESZYT 18

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



EL GRECO. ŚW. JAN.

LEOPOLD STAFF.

DESZCZ KRWI I OGNIA.

Deszcz krwi i ognia, Mocy sprawiedliwej kara,
Porażeniem niszczącem zalał całą ziemię!
Przebrała się bezbrzeżnej cierpliwości miara
I przerosło gór szczyty dzikiej zbrodni brzemię.

Podanaś jest w zagładę za swą złość zelżywą
I w perzynę obraca cię sądu godzina,
Europo zatwardziała, ty nowa Niniwo!
I wołają piorunów huki: Twoja wina!

Chadzałaś w nieprawości i kłamstwa ozdobie,
Tarzałaś się wśród zbytku i występku łoża,
Urągając niebiosom, zadufana w sobie:
»Mamy Siłę i Złoto! Cóż nam bojaźń boża?«

I msty ulewa spadła z niebios baldachimu
I wzrosły z niej na zgliszczach twej buty wszetecznej
Krwawe kwiaty płomienia, czarne drzewa dymu
I puścił się w morderczy tan miecz obosieczny.

W pustynię zamienione są twe pola płodne,
Miasta z głazu, jak lniane spłonęły namioty,
I pobite poległy twoje pierworodne
I obalony leży w gruzach Cielec złoty.

Świat złamany w swej pysze, jak pęd latorostki,
Je czarny chleb rozpaczy, pije wino zgonu
I w dymiącej, zapiekłej krwi brocząc po kostki,
Czuje konieczną w życiu potrzebę Zakonu!

Ludzkość opamiętana, co zda się upiorem
Własnej mocy wczorajszej i widmem okropnem,
Rozdarłszy szaty swoje, grzbiet oblókłszy worem,
Biodra swe przepasuje powrósłem konopnem.

I jako wdowa czarna, źrenice przeciera
I pokutnemi łzami rosząc chude lice,
Skruszona, grzebie w szarym popiele i zbiera
Strzaskane Dziesięciorga Przykazań Tablice.

DZIECI OŁOWIU.

Kruszec ciemny, podatny, jak mózg dzieci, ołów,
Jest ich kruszcem: żołnierzyka-pionka
Daje polom bitewnym domowych ich stołów;
Zeń jest matka abecadła, czcionka:
Raz niby hak, raz jaje, to znów rogi wołów,
Ciągle zmienna, jak nogi pająka.

By pustotę ochoty dziecięcej zbyt szczerej
I swawolne uśmierzyć wybryki,
Gdy znużyły nas z trudem czytane litery,
Ołowiane do gry żołnierzyki
Stawiano nam na stole i milkły kart szmery
I wojenne sprawialiśmy szyki.

Zielone, płoche lata! Myśl: księżyc na nowiu!
Dotąd czule te chwile pamiętasz.
Czas dzieliło się między żołnierzy z ołowiu
I uszaty w rogach elementarz
I radość była wielka: tych drobnych wojsk mrowiu
Rzeź gotować bezkrwawą i cmentarz!

Lecz cóż to? Czy z niewinnej i pustej zabawy
Gra się wszczęła poważnego kroju?
Zaiste, obłęd walki rozpętał się krwawy
I naprawdę kipi zamęt boju!
Chyba na świat, zajęty rozumnemi sprawy,
Z dziecinnego się wymknął pokoju!

Jednak przebóg! W tej dzikiej wojennej zamieci
Nie są dziećmi wojsk owych szeregi!
O, ostatnie, najstarsze, najmędrsze z stuleci!
Zdziecinnienia osiągło-żeś brzegi?
To, coś samo wygnało do izby dla dzieci,
Dziś twe wszystkie pochłania zabiegi!

Cóż to za pszczoły brzęczą na skrwawionem polu?
Jakie miody w jakie niosą ule?

To roznoszą zatruty miód śmierci i bolu
 Obłąkane, puszczone w lot kule!
Ulami ich są piersi człowiecze w okolu,
 A wysłali je ojce kul, króle!

Hej, pomazańcy tronów, bo krwią pomazani,
 Skąpi zmarłym święconych olejów!
Snadź obmierzła wam czcionka, która zbrodnie gani,
 Czcionka waszych ksiąg i kaznodziejów!
Ugnietliście z niej kulę, która ludzi rani
 I uśmierca, bliźniaczka szalejów!

Hej, niedość dbali ludzie, niedość czcionek lali
 I zostało za dużo ołowiu...
Przeto leżą dziś krwawi i leżą tak biali
 Na zbóż sianych przez siebie wezgłowiu,
Bo króle ołów w lufy nabili ze stali,
 Bić—zabijać zawsze w pogotowiu.

Hejże kulo, ty czcionko spaczona, zbłąkana,
 Pisz czerwoną krwią, co ci bój każe!
Kartą ziemia jest cała, posoką zalana,
 Literami te trupy—nędzarze...
Zadrżyjcie, kiedy księga będzie zapisana,
 Hej, królowie, szaleni drukarze!

Nuże, dzieci ołowiu, wymowne krwią kule!
 Uczcie ludy mądrości w tym boju!
Niech zostanie odbity w pamięci bibule
 Ten rękopis starego ustroju...
Aż świat skrywszy żołnierzy w drewnianej szkatule,
 Zamknie króle w dziecinnym pokoju!



J. MIERZEJEWSKI — RYBACY.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

9)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Piotr doznawał dziwnie miłego uczucia w polskim domu, na wsi, mieszkając od przybycia w osadzie fabryczno-przemysłowej, prawie w małem miasteczku. To był ten polski dworek, o którym czasem ojciec opowiadał słyszane od dziada rzeczy, a w którym, jak dziad mawiał, streszczała się polskość. Zabudowania gospodarcze otaczały go, stodoły, spichrz, stajnie, porządnie utrzymywane, ale znać, że dawne. Piotr szukał tu obrazu „Pana Tadeusza", książki, na której go czytać po polsku uczono. Radowały go gęsi tłuste i piękne kaczki koło stawku w dziedzińcu, biały paw na dachu chlewików i dwa barwiste na żerdzi od wewnętrznego płotu, tudzież mnóstwo spacerującego drobiu. Dalej, poza dziedzińcem, po lewej stronie pól, widać było spore stado, kilkanaście czy więcej krów z cielętami, ze setką owiec i oryginalne ciemne kozy o wysokich rogach, których pilnowali pasterze i pasterki.

Panowała tu idylla. Miały ją w sobie stare komnatki z małemi oknami i nizkiemi bielonemi powałami, stare szafy dębowe i stare meble, miały również ją zabudowania folwarczne, drzewa, ogród od frontu, dziedziniec, na który patrzał. Coś z arki Noego miało w sobie to obejście, gdzie małe koty dokazywały z małemi jamnikami, a kotka z jamniczką zdawały się naradzać nad ich losem, siedząc naprzeciwko i patrząc na siebie spokojnie, jak dwa posążki o przyjaznych oczach; gdzie wszystko wydawało się skończone, zamknięte dla siebie,

ogrodzone płotem — maleńki światek dobrej chęci, zaufania i opieki. Te same drzewa niektóre pachniały temu lat dwieście, te same pachnąć będą i za lat sto... Jest tu niezawodnie część tego życia, które Piotr marzył w górach i w stepach, jeżeli instynktu tego życia z takiego dworku, z pradziadowskiej gdzieś leśniczówki nie wyniósł. Najłagodniejsze, najsenniejsze, najdziecinniejsze, najmiększe strony duszy wsiąkały w to domostwo. Niewiadomo dlaczego przyszły mu na pamięć idylle pierwszych rozdziałów Biblii.

Byłby był daleko wolał nierozmawiać — ale cała rodzina starała się, aby się nie nudził. Dowiedział się, że Przesiewicz dzierżawi około ośmiuset morgów hrabiowskiego majątku, lecz czynsz jest tak wyśrubowany, że jest to raczej honorowa dzierżawa. Daje przecie trochę — tu się stary Przesiewicz uśmiechnął — a przedewszystkiem pozycyę i stosunki. Na małym folwarczku, on, nieszlachcic nawet — tu się nieco zawstydził i spojrzał na Piotra — niemiałby z kim żyć. Kto się tak wysoko wybił, jak Piotr, tyle świata zwiedził, jest architektą etc. — ale on, prosty rolnik...

Rzeczywista pokora dzwoniła w słowach obywatela.

Piotrowi było to wszystko jedno. Przyzwyczaił się już do powabów Marusi, do pływającego po konchach uszu głosu pana Przesiewicza i wstępował coraz bardziej w mgliste sfery zapamięci, w której wyrastały jakieś kształty ogólne, kontury, linie... Wśród trzepotu słów, odpowiadając machinalnie, Piotr mimowoli odtwarzał urok miejsca, którego niewidział nigdy, życia, którem nigdy nie żył... Uczucie podobne do tęsknoty, nieokreślonej, bo za rzeczami nieznanemi, przejęło go. Życie takie z ziemią rodzinną było jednem z najserdeczniejszych uczuć... Kiwając głową i bąkając odpowiedzi, zaczął potem myśleć nie bez przyjemności, że przyjedzie więcej osób, pozna więcej ludzi, wyjdzie poza dotychczasową wyłącznie przemysłowo-fabryczną sferę, zajmie jakieś stanowisko towarzyskie, da się trochę poznać, człowiek, który wie o sobie, że nie jest byle kim i od wielu wyższy. Jego idee zdrzemały w nim pod wpływem zetknięcia się z życiem, ale żyły i trwały, równie wysokie i nieśmiertelne. Szerzyć ideę pokoju serca i wyniosłej, jasnej swobody umysłu trzeba było wśród ludzi po ludzku. Trzeba było ludzi zgarnąć, zwołać, skupić koło siebie — duchem ich okryć; ale żyć trzeba było z nimi, jak oni między sobą żyli. I ztąd wyjść, z małego klanu, aby pójść dalej i szerzej. Naprzód jednak trzeba było przełamać trudności językowe, którym Piotr nawet pomimo parumiesięcznego przebywania w towarzystwie chorego wojażera nie owładł poprawnie — na tem zeszedł początkowy czas pobytu w osadzie. Trzeba było także poznać duszę ludzi, wśród których się nie urodził i wśród których nie wyrósł, poznać ich powszechnie. Tu, na folwarku, miał zobaczyć inną stronę mikrokosmu okolicy.

Nagle, właśnie gdy Przesiewicz opowiadał jeden z dwustu wiadomych mu szczegółów, dotyczących pałacu, panna Marusia plasnęła w ręce i zawołała: Jak mamę kocham! Panowie Puchanowscy jadą! Tegom się nie spodziewała, bo dziś wieczorek u Sinowódzkich w Klonowie!

Gościńcem, widnym wśród pól, terkotał ładny wolant w trzy konie w poręcz, a jechał tak szybko, że zda się, wiatr go niósł.

— Kawalerska jazda! — rzekł Przesiewicz, wstając z plecionego fotela i zwracając się ku drzwiom sieni z jakąś dyspozycyą.

Niebawem panowie Puchanowscy zajechali. Chłopy rosłe, barczyste, blondasy, z wiechowatemi wąsami i ogromnemi łapami, zuchwałe i zalotne.

— My przed Klonowem do państwa — jak w sad! — ozwał się jeden basem, starszy, chyląc się i cmokając Przesiewiczową w rękę.

— Rajskie jabłka, rajskie jabłka nas zwiodły! — rzekł drugi, czyniąc to samo z kolei, a kierując oko ku Marusi.

Potem jeden po drugim podniósł nizkiego Przesiewicza do góry, witając się nawzajem z dubeltówki.

Przesiewicz pospieszył, ugrzeczniony i uniżony, zaznajomić ich z Piotrem — spojrzeli na niego niechętnie, obejrzeli go od stóp do głów, nadstawili uszy na nazwisko i dosyć lekko podali mu rękę.

— Słyszałem — jeden rzekł — pan muruje kościół.

— Pan z cukrowni? — zapytał bez odpowiedzi drugi.

Przesiewicz widocznie spodziewał się czego innego. Piotra wzięła ochota dać jednemu i drugiemu w kark, ale tymczasem siedli obaj obok Marusi.

— Hehehe! Jak w sad! Jak w sad! — mówił ten, którego nazywano Romanem, starszy.

— Ja zawsze mówię: jakto u nas niema rajskich jabłek?! Jedź na Przesiewiczowski folwark! Jak Boga kocham!—rzekł drugi, Jakób.

Marusia zaczęła chichotać, Przesiewiczowie oboje się śmiali, rozwódka uśmiechała się na ostrze noża.

Te dwa bawoły zagarnęły sobą cały folwark. Gadali komplimenta pannie, przychlebiali się rozwódce, bawili Przesiewiczów, głaskali koty, klepali psy, i, o ile się dało, ignorowali Piotra. Jednak nie trwało to długo. gdyż wkrótce zajeżdżać zaczęły powozy i rozmaite tarantasy, wolanty, wózki węgierskie etc., wszystko dziarsko, buńczucznie, z gracyą i zamaszyście.

Mały dworek wchłonął gości. Napełnili sobą pokój bawialny, jadalny, kancelaryę Przesiewicza i pokój gościnny, a damy poprawiały garderobę w sypialniach. Mężczyźni mieli dużo wspólnego typu, prędcy, ruchliwi, gwarliwi, bawiący się i ogromnie pewni siebie. Do Przesiewiczostwa odnoszono się z swobodnie życzliwą poufałością. Trochę się rumor przyciszył na chwilę, gdy przyjechało dwoje młodych, brat z siostrą, on bardzo przystojny młody człowiek o kuli, ona może lat dziewiętnastu, postawna, płowych, bujnych, puszystych włosów, ładnej cery i jasnych błękitnych oczu. Było to rodzeństwo, z którem się tu widocznie liczono. Przesiewicz czuł się zaszczycony, Marusia uszczęśliwiona, witano się z nimi na ogół cokolwiek z etykietą. Piotra zapoznano z nimi zaledwie, było już bowiem za dużo ruchu. Cofnął się zresztą, całe towarzystwo bowiem ułatwiło mu to nadzwyczaj prędko i sprawnie.

Niewątpliwie o niego pytała się rozwódki jakaś starsza dama dosyć bez względu, czy on dosłyszy, czy nie dosłyszy; no dobrze, ale któż to jest? któż go wie, co za jeden?

Przesiewiczostwo, gościnni niesłychanie, poczęli zapraszać, częstować. Wesoły gwar napełnił dom. Piotrem nikt się już nie zajmował; znalazł się na szarym końcu stołu, między młodym wikarym, a znajomym sobie urzędnikiem z cukrowni, Bawrowiczem, zmiędłym kawalerem lat czterdziestu trzech. Poczęto krótko toastować, młody ognistoangielski brunet łysnął jakiś dowcipny kalambur. Piotr milczał, albo odpowiadał sąsiadom półsłowami, nierad już mocno, że się dał zaprosić. Jedyne sympatyczne na nim wrażenie robiło siedzące obok siebie rodzeństwo, któremu się Piotr bystszej przypatrzył. Młoda osoba miała bardzo dużo wdzięku i delikatne rysy przy dosyć pełnym biuście i okazałych ramionach.

Ruszono od stołu i w bawialnym pokoju zaczęto tańczyć. Piotr tańczył dobrze walca, ale tańczono z nim, jak z przystojnym manekinem. Po trzech zmianach cofnął się znowu i siadł obok konsoli ze zwierciadłem. Walc zresztą nie trwał długo — młodszy Puchanowski wyszedł na środek i krzyknął: Piętnastego Przesiewiczowski bal, a dziś wieczorek Klonowski! Trzeba się spieszyć! Bo my tu tylko jak w sadzie! Dziś, dziś, dziś, mazura!!

— Brawo! — odpowiedziała młodzież. Potworzyły się w momencie pary, młodszy Puchanowski wytupał się naprzód, odsadzając się z brawurą ze starszą Przesiewiczówną, jego brat z panną o płowych włosach, dalej ów bardzo pokaźny, wysmukły ognistoangielski brunet z Marusią — za nim pary, ze dwadzieścia. Obok Piotra znaleźli się, jak poprzednio. wikary i Bawrowicz.

Przesiewicz, nieco już inny, mniej uśmiechnięcie uprzejmy, spytał się go przechodząc mimo: pan nie tańczy? — i zostawił go swemu losowi i podziwianiu mazura, którego tańczyć nie umiał, gdy nagle przy figurze wybieranej wyciągnęła się ku niemu biała rękawiczka na podłużnej dłoni i pochyliła się ku niemu płowowłosa głowa. Piotr zerwał się, zmieszał trochę i wytłómaczył, że nie tańczy, poczem panna z mdłem „tak?“ przesunęła się gdzieindziej. Trwało to sekundę, a jednak zostało zauważone przez wszystkich. Przybiegła potem jeszcze ku niemu zdyszana i zaczerwieniona Marusia i krzyknąwszy

mu na powtórne tłómaczenie się „a to brzydko!“, odbiegła. Wtem wrzasnął wodzirej młodszy Puchanowski aż się powała zastrzęsła:

Wszystkie panie w salonie i wszyscy panowie rond!

Śmiejąc się, powstawały z siedzeń nawet siwe panie, tylko młody człowiek kulawy sprezentował Puchanowskiemu zdaleka z uśmiechem kulę; wikary i Bawrowicz umknęli, Piotr musiał pójść w koło. Gdy chciał wstąpić między dwie panny przeplatanego, młodszy Puchanowski, który oblatywał koło z jakiejś tanecznej potrzeby, porwał go za plecy i krzyknąwszy mu: nie tu panie! nie tu! — pchnął go bez żadnej ceremonii na inne miejsce. Gdyby Piotr był słabszy, byłby w środek koła wleciał. Tu padło na niego zblizka przymrużone i urągliwie-lekceważące spojrzenie wysmukłego ognistoangielskiego bruneta, który stał między panną o płowych włosach, a rozwódką Przesiewiczówną.

Piotr był wściekły. Kaukazkie jego zęby, białe jak kość słoniowa, ścięły się pod wargami, a błyskawice posypały się z oczu na młodszego Puchanowskiego. Wtem dżentelmen brunet przeprosił rozwódkę stojącą obok Piotra, i wyciągnąwszy do niego poza nią rękę, rzekł: Niemiałem pana przyjemności poznać, Dzierzyński.

— Węglin — odpowiedział Piotr i w tej chwili koło na komendę młodszego Puchanowskiego poczęło się toczyć mazurowem tempem. Piotrowi zdawało się, że wpadł w nie łatwo. Wtem koło rozwarło się, panie wbiegły w środek, a nagle, ni ztąd ni zowąd, młodszy Puchanowski krzyknąwszy do Piotra wesoło: Panie! Pan nieumie! Ja panu pomogę! — porwał go za prawą dłoń, gdy lewą ujął ów nowopoznany Dzierzyński — — uściski tych panów, zwłaszcza Puchanowskiego, były potężne, Puchanowskiego kowalski — a spojrzenia zamienione szybko były aż nadto wyraźne. Puchanowski pociągnął, jak bawół, naprzód, Dzierzyński pchnął przed siebie. Piotr widocznie miał wybryznąć, a zarazem zgiąć się, czy krzyknąć od tych kawalerskich uścisków. Jednak wytrzymał to bez odpłaty — wtem Puchanowski zakomenderował „marymoncką figurę“, o której Piotr niemiał wyobrażenia. Wyciągnięty nad podłogą niemal na wznak, nogami jak do kociołka, ciągnięty i potrząsany przez Puchanowskiego i Dzierzyńskiego z całą swawolą, objechał na piętach kilka razy koło, wśród nietajonej wesołości towarzystwa, aż z kręgów mazura dotarł do swego stanowiska obok konsoli, gdzie stali już Bawrowicz z wikarym.

— Aleś się pan popisał — powitał go Bawrowicz.

— Kto to jest ten brunet, Dzierzyński, czy ktoś? — zapytał opryskliwie, aby przerwać.

Bawrowicz popatrzał na niego przymrużonemi oczami.

— Dzierzyński? Szydło okolicy! Szlachcic zamożny, którego się nawet Puchanowscy boją, a czepiają się, bo ma wyższe stosunki i pewne koligacye. Awanturnik i pojedynkowicz. Strzeż się pan! Kto wie, czy oni na pana parolu nie zagięli? Bo kto się im przybyły nie podoba, to się tu nie ostoi.

— Jakto? Nie rozumiem.

— Ano albo go skompromitują, albo skaleczą. Dzierzyński tu już ze dwóch przybyszów uczęstował, w lot jaskółce łebek przestrzeli, czy coś tam takiego. Puchanowscy za nim. A przedewszystkiem, panie, niech Bóg broni cholewek! Ja sam się ożenić tu nie mogę... Tu trzeba być szlachcicem. My inni, Bawrowicze, Węgliny — machnął ręką — Kpią z nas!

W Węglinie zaczerwieniło się wszystko. „Popisał się“, „my inni“, jakieś figury pierwszy raz widziane, którym się niczem ani chciałby narazić, ani naraził, które go usiłowały ni ztąd ni zowąd uczynić przedmiotem drwin — równowaga go opuściła, a gniew zaćmił mu mózg. Postąpił krok naprzód — — ale po co? ku komu? i z czem? Zaczepić Puchanowskich, czy Dzierzyńskiego odrazu, pierwszy raz w domu Przesiewiczów, ledwo się pokazał, i w jaki sposób?

Gdy pierwsze uniesienie minęło, poczęła działać refleksya. Czy warto było narażać życie dlatego, żeby ściągnąć tak zwaną satysfakcyę z jakichś towarzyskich chuliganów? Czy warto było poświęcać i ryzykować wszystko, całą przyszłość swego życia i całą przyszłość swego ducha, całą wysoką pracę ducha, jaką

zamierzył, do jakiej się czuł powołanym i zdolnym? Czy warte jest to ważenia głowy człowieka? Czy to, co się stało, powinno go rozgniewać, albo czy nawet ośmieszenie tego rodzaju godne jest zwrócenia uwagi? Czy godni zwrócenia uwagi, liczenia się z nimi, są ludzie, którzy jedni w taki sposób atakują, drudzy się takim atakiem bawią? Że ci panowie zachowali się atakująco, niema żadnej kwestyi, ale czy atakujący w ten sposób ludzie nie są jedynie godni obrócenia się do nich plecami, z kompletnym spokojem? Czy nie lepiej przejść nad tem, dążąc tam, gdzie szło o budowanię domu duszy z jasnych ociosów światła, z promiennego granitu?

Wtem, gdy chciał wejść do sąsiedniego pokoju, ujrzał naprzeciwko z ukosa idącego Dzierzyńskiego, który go niewidział. Pokój ten był pusty. W jednej chwili zapomniał o wszystkiem, zapomniał nawet o tem, że właściwie to Puchanowski mu ubliżył, zaćmiły mu się oczy, wrzący strumień krwi przeszył mu żyły, postąpił szybko i tknął przechodząc ramieniem o ramię Dzierzyńskiego. Ten zwrócił się jak błyskawica z zapalonym wzrokiem.

Piotr popatrzył mu w oczy, opanował się i rzekł spokojnie:

— Czym pana mocno uderzył?

Dzierzyński widocznie zdetonował się, gdy nagle wpadł starszy Puchanowski wołają: Władziu! Jedziemy! Cóż to?

— To nic, ten pan mnie lekko trącił przypadkiem — zaczął Dzierzyński, ale Puchanowski machnął lekceważąco ręką: Eh! Chodź, bo czas! Kuba już się pożegnał!

— Z panem będę się zapewne jeszcze miał honor spotkać? — rzekł Dzierzyński z lekkim ukłonem w stronę Piotra.

— Każdej chwili — odpowiedział Piotr.

— A to śmiała sztuka! Niespodziewałem się, jak Boga kocham, uściskałbym go! — usłyszał Piotr umyślnie głośno przez Puchanowskiego rzucone w kancelaryi Przesiewicza, gdzie był pokój do palenia. — Niewie ktoś ty! Jazda! Bo późno.

C. d. n.

J. FEDKOWICZ



KOMPOZYCYA.

(Z WYSTAWY „SZTUKI").

GABRYEL TADEUSZ HENNER.

ORGANOM MILCZĄCYM.

Organy strzaskane
kulami,
od których Boża wiała w serca trwoga
i zstępowali Anieli
po wstęgach gwiazd...
Organy potrzaskane
żelazem szrapneli,
co zamknęły wasze święte usta
chwalące Boga:
Pan z wami...

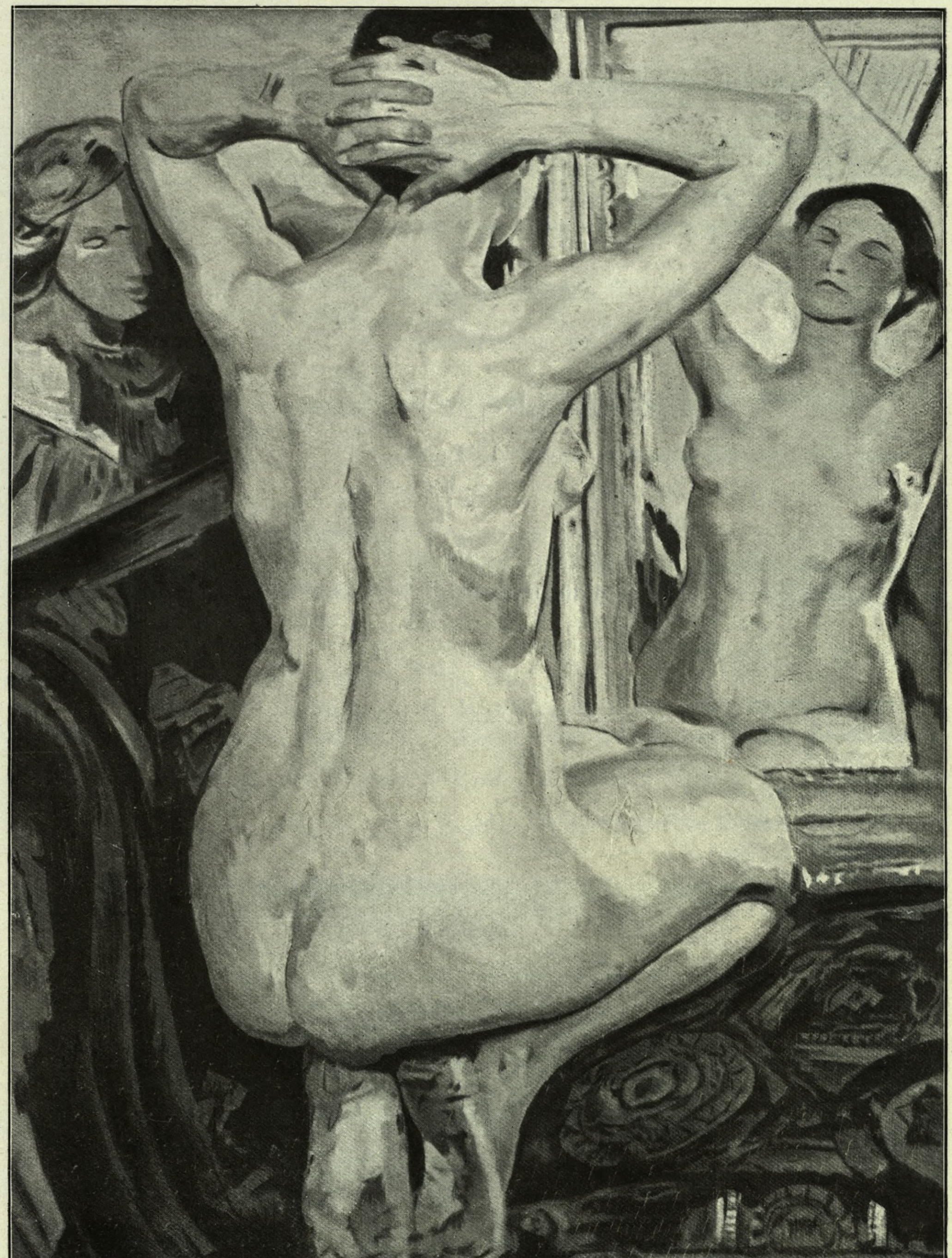
Organy — towarzysze
ślepych, kalek, żebraków,
wiem
Tajemnicę radosną
Wieczystych Regli
(zaprawdę to nie snem):
Z najbliższą wiosną
przez senne nocy cisze,
rozdzieliwszy spojrzeniem błyszczące bagnety
i lasy znaków,
przyjdzie Chrystus,
towarzysz
ślepych, kalek, żebraków,
i wasze pogięte flety,
co chwaliły Boga
tysiącem ust,
uweseli,
upieści w bieli
chust
i zstąpią znów Anieli
po wstęgach z gwiazd...

Organy strzaskane
kulami,
oto wam niosę tajń radosną
Wieczystych Regli:
wyłomy waszych ran
od żelaz morderczych szrapneli
wypełni Pan
sercami
rycerzy, co w bojach polegli,
i tak w męczeńskiej purpurze
ozwiecie się organy,
bo Chrystus położy ręce
na waszej klawiaturze
a zewsząd zebrane razem
wiewy ostatnich oddechów
przypłyną huraganem
w pierś miechów...



WIT STWOSZ FRAGMENT

I zbyt małą będzie wasza cieśń,
kiedy z pod rąk
popłynie pieśń
krwawym łanem
o Męce-Mąk.....
Organy strzaskane kulami,
Pan z wami....



W. WEISS PRZED LUSTREM.

MARYLA WOLSKA.

NA DNIE ZWIERCIADEŁ.

I.

Jak wnętrz znajomych przewrotne wykroje,
W zwierciadeł mętnych odbite kwadratach,
Tak mi się jawi — opacznie — po latach,
Dziwne, przedziwne, własne życie moje...

Pamięci złota rama je obrzeża,
W taflach zaśnionych dwojąc półprzytomnie
Świat, gdzie słych zginął po tobie i po mnie.
Z ogrodu płynie woń pokosów świeża...

Czerwcowy, późny, słodki zmierzch... Jak [ongi!
Te same ciepłe, pachnące przeciągi,
Pokoje tylko mroczniejsze i pustsze...

Na dnie zwierciadeł, w mierzchnącym za- [rysie,
Ugasa wszystko... Życia majak śni się:
Prawda odbita na wspak w krzywem lu- [strze...

II.

Cicho w domu... Noc późna... Sama jedna [chodzę
Po znajomych pokojów trzeszczącej podło- [dze;
Przez okna od traw śpiących płynie chłodu [fala;
Żaby grają... Derkacza słychać z łąk, z da- [leka...
Na komodzie ostatek świecy się dopala
I ruchomy, po modrej ścianie, cień rozwle- [ka...
Jest coś zemną, coś we mnie, coś, co słów [już niema,
Jeno trzepie się jeszcze, jak ta ćma o ścia- [nę...
Przez sen pachną bławaty... W płomykach [kilima
Drżą zapachem muśnięte barwy rozespane...

III.

W ścian tych samotni, pustką zatchniętej,
Straszy tu pono i w biały dzień,
Dawne poznając kąty i sprzęty,
Jakowyś cień...
Pyta, choć prawdy dociec nie rości,
W zwierciadeł mętne wpatrzony szkła:
— „Nie widział kto z was mojej młodości,
Co tędy szła?"



J. MIERZEJEWSKI — PEJZAŻ.

EDMUND ZECHENTER.

TWARDA MIŁOŚĆ.

(Z SERYI II. „Z CHŁOPSKIEJ NIWY").

— A ty niedojdo, gizdoku! Jużeś haw? Jużeś wrócił połedniować, a kajta jeszcze słoneczko? Skaranie boskie z tym chłopem! Adyć cała wieś w polu! Jeden zagon ostawił se na odwieczerz! Widzicie go! gospodarz — darła się w niebogłosy na swego chłopa Jewka Bażelina, aże się rozlegało po obejściu.

— Ty wiesz swoje — mruknął na to Maciej Bażela, rozsiadając się na ławie pod oknem — a ja zaś swoje... Ledwo com się dowlókł do Wąsika do Pietrka, coby mu szkapy oddać, taka mnie w boku kolka sparła i ból w piersiskach ułapił — a ty w te razy z pazurami... Juże on popołedniu wyjedzie z pługiem i dokończy... Odrobi się mu po niedzieli...

— Kiej ino robota woła gwałtu, to zawdy cie cosi w sobie zaboli — baba na to, ale już spokojniej. — Oj, dolož moja, dolo! Ciegiem ino na odrobki chodź, harui jak ten czarny wół bez całuška wiesnę i lato — i bez co? Że chłop niemrawy, przez nijakiej mocy w kościach, grosza nie zarobi, inoby do gotowej warzy siadał, a wylegiwał się pod pierzyną...

— Jušci, prawda. Nijakiej niema ze mnie w chałupie wyręki. Niechby mnie już raz ta święta ziemia przykryła...

— Cichaj, stulíłbyś gębę, nie obrażał Pana Boga — ofuknie go wystraszona Jewka. — Cobyś ino w zła godzine nie rzeknął — rety! Tyś nie mocny — ale mnie Pan Jezus siłe daje. Obstoję za dwoje... No, zelżało ci aby ociupinę?

— E, kaj ta zelżało...

— To legnij se, legnij, w te razy ci pościele... Dy ja ino tak gadam... Wiem, co ciężkiej robocie nie wydolisz...

Gdy pobiadowali, jakosi Bażela skrzepnał. Gebe otarł rekawem, wsparł się na łokciu i rzeknie do baby z wyrka:

— Jewka!

— Abo co?

— Toli, zdzieliłbym cie tera bez łeb, ino co dosięgnać nie moge...

— Ejże! Do bitki byś sie brał?! Ale zaczem się ruszysz, jak chycę za warzeche...

— A ja w te razy za lage... Bo grzamie patrzy ci sie sprawiedliwie, coś tak mnie obsiadła pyskiem...

— Pyskiem? To sie tak bedziesz do mnie obzywał?! A ciamajdo, graidosie zatracony!

I w te razy jak sie Jewka nie rzuci na chłopa, jak nie weźmie go tłamsić a kudlić za konopiasty łeb — widziałoby sie do imentu zatłucze. Ten leżac, macha rekami, niby to ja szturcha, broni sie, a wyzywa babę co ino wlezie — ale po prawdzie to ani ona jemu ani on jej nic złego nie zrobił. Niby to strasznie go sprała, a w rzeczy to la śpasu, kóli ozgrzewki, jako i zawdy.

Bo Jewka Bażelina okrutnie swego słabowitego chłopa nawidziała. Serce miała la niego nie ino jako ślubna baba, ale kiejby rodzona matka. Żyli z sobą już z dwaścia roków, dzieci nie mieli, baba o choć co piekło mu robiła dzień na dzień — ale złości w tem nijakiej nie było. Cholera ją tak ino ponosiła. Zapalczywa była i ozór juże miała taki niecierpliwy. Kiejniebądź ozeźliła sie i na dobre, wyzywali się ile wlazło, doskakiwali do siebie niby te koguty, obraza boska w chałupie była — niema co rzec — bo dobrego słowa jedno drugiemu nikiej nie dało — ale do kwardego iankoru, zawziętości, kajindziej nigdy nie przychodziło.

Okrutnie wsioscy ludzie dziwowali się temu stadłu. Siedzieli na lichych trzech morgach, chłop skróś chrzypoty niewiele w gospodarstwie dospomógł, na zarobek nie szedł, baba ino sama wszystkiemu zdzierżyć musiała, — a jak, bywało, Maciej pod zimę zasłabnie, to i na japtekę grosz się w Jewczynym wezełku znaszedł.

Przed kumoszkami nie krzywdowała se nigdy, choć zawdy upracowana była setnie od świtu do nocy, a już jakby która chciała co rzec na jej chłopa, oczy by wydrapała. Raz w karczmie wójt mu nawydziwiał, nastapił sielnie na honór. Skoro Bażela do dom wrócił i opowiedział to babie, rety, co sie podziało. Rozsierdzona wpadła jak burza do wójtowej chałupy, zwymyślała wójta, wójtową, a wrzeszczała przez opamietania, letko se ważac, co przecie nie ze zwykłem chłopem ino z urzednikiem sprawa. Oniemieli zrazu wszyscy w wójtowej chałupie. Ozeźlił sie wójt dopiero, jak Bażelina wyleciała. Jušci przesiedziała potem dwa dni w hareście — ale nikto już chłopa jej nie zaczepiał, bo bał się z Bażelina zwady, jak ognia.

* * *

I żyli tak, żyli, swarzac sie ciegiem i wadzac w obdalnej chałupie pod lasem, sporo jeszcze roków. Chłopu obróciło sie na siódmy krzyżyk, babie na szósty. Maciej chorzał, jako i przódzi, ale sie trzymał. Jewka jeła siwieć, ale moc do roboty i obrotność w jezyku zawdy jeszcze miała.

Raz, na przedwiośniu, skoro baba ranne pacierze odmówiła, Bażela ozwie sie z pościeli:

— Jewka, jakosi ze mna źle...

Przybiegła w ten moment do niego.

— A cóże ci, móješty? Boli cie w piersiach?

— Nikaj nie boli. Ino słabość okrutna ciegiem ozchodzi się po mnie. Głowa kiejby leciała w dół.

a na ślepia jakasi czarność raz wraz się wali... O, toli cię tera nie widzę... Zamrę dzisia pewnikiem... Ano żył człek, żył — koniec raz przyjść musi, a jušci... Wola boska... Chałupa i gront twój, zapisu nie potrza, bo dziecek nie mamy... Leć duchem po jegomościa, coby mnie wysłuchał, pokiel ostatniej pary nie puszczę...

Na odwieczerz Jewka była już gdową. Maciej leżał wyciągnięty na długiej słomie, w złożonych rękach trzymał obrazek, dwie świece paliły się w głowach.

Poschodziły się sąsiady i kumy. Zmówiła każda „wieczne odpoczywanie“, podparły dłoniami brody i gwarzą a dziwują się, co to za dopust boski, że Bażela pomar tak nagle choć jeszcze do ostatka dość krzepki się widział.

A Jewka nic. Nie płacze, nie wyrzeka, jakby mowę straciła. Klęczy u nóg nieboszczyka i ciągiem się modli i modli. Nijak kumy ruszyć ją z klęczek nie mogą. Przegadywały to i owo, pocieszały, ciągnęły coby wstała — nadarmo.

W końcu jedna po drugiej jęły wysuwać się za drzwi. Wieczór się zrobił, trza było warzę sposobić, krowy doić, obrządzać, co potrza, w gospodarstwie.

Cisza się uczyniła w Bażelowej chałupie.

Jewka przeżegnała się i wstała z klęczek, jakby nagle zbudzona.

Pojrzała na chłopa, na bladziuśkie lica, po których migotały żółte blaski świec. Już nie odezwie się do niej, nie zeswarzy, nie zwoła, nie porwie za lagę, nie zamierzy się pięścią, coby zdzielić w łeb. Leży se cicho, dobrze mu, wszystko mu jedno, co się z nią stanie...

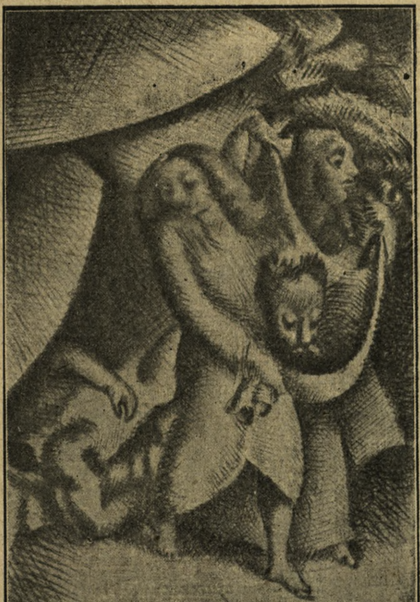
Jak ją w te razy nie porwie jakisi jankór niesamowity, jak się nie rozeźli, jak nie zacznie odkazywać się nieboszczykowi, a wytrząsać pięściami, a wydziwiać... Ino przytem raz wraz cosi ją za grzdykę chyta i łzy ciurkiem leją się po licach...

— Miałeś ty sumienie, miałeś ty Boga w sercu tak mnie na stare lata sierctą ostawić?! Na tom się bez tyla roków przy tobie naharowała, cobym dzisia dostała taką nadgrodę? Takeś to dochował tego, coś mi przed ontarzem zaprzysiągł: „Nie opuszczę cię aż do śmierci“? Kaj ta śmierć moja jeszcze a tyś se poszedł odemnie na wieczne czasy! Wiesna się zrobi, będziesz se pod świętą ziemią słodziuśko spał, ptactwo ci zaćwierka, trawka się zazieleni — a co ci ta o mnie, co ja nieboga pocznę haw samiusieńka w tej pustej chałupie!... Alboś to kiej dbał o mnie, miał jaki starunek?.. Złyś był, zły, zły przez nijakiego serca — a tera rzuciłeś nikiej tego psa pod płot, niech się ta poniewiera, niech go źli ludzie dobiją, niech zdechnie!!... Ale poczkaj!!... za moją niedolę... za opuszczenie...

Naraz moc jakaś straszliwa pchnęła ją wstecz i prasnęła o ziem. Przed oczyma zatańczyły koła ogniste. Pod czaszką niby młot kowalski grzmotnął z hukiem raz... grzmotnął drugi raz... trzeci...

* * *

Z ubogiej chałupy pod lasem wynieśli na mogiłki dwie trumny.



J. MIERZEJEWSKI

JULIAN TUWIM.

SYNA POETOWEGO NARODZINY.

Prą! Dębowe wrota wywalili,
Wysadzili z zawiasów zawory,
Rozśpiewali się, roztańczyli,
Ni to larwy, ni zapustne zmory,
Umaili kwiatami kędziory,
Aj, pili snać! dużo pili!

Dmą w piszczałki, tną w grube basetle,
Sowizdrzały, łokietki, poczwary,
Chochlik, Świstak i Boruta stary,
Pan Twardowski i wiedźma na mietle,
Żydy, pany, mieszczany i chłopy,
Kuse fraki i szerokie popy!

A na przedzie kompanji ochoczej
Marchołt gruby a sprośny się toczy,
Podryguje, opasły, a sapie,
Z tłustej brody małmazja mu kapie,
Kwiczy, bestja, tańcząc, wywijając,
Dylu-dylu na badylu grając!

A witajcie-że mi, goście mili!
A bywajcie mi, śmieszki wesołki!
Hej, pachołki, w rząd ustawiać stołki,
Warzyć jadło, smażyć mięsa połcie,
Będziem jedli, będziem miody pili,
A witajcie-że mi, goście mili!
Racz do izby, kochany Marchołcie!

Chrzciny u mnie! Chłopak—niech go katy!
Tłuścioch pulchny, czerwony, pyzaty,
Patrzcie—leży: ślipska wybałuszył,
A nadąsał się czegoś, napuszył,
Mam ja tęgi frasunek z mołojcem!
Hej, Marchołcie, bądź mu chrzestnym
ojcem!

Śmiał się głośno, kiedy się narodził,
A na czole miał wieniec różany;
Mleka nie chce — wina piłby dzbany!
Ksiądz-dobrodziej oglądać go chodził,
Mówił, że się Antychryst narodził:
Na świat przyszedł – pomyślcie – pijany!

Ksiądz nie ochrzcił—wy mi go ochrzcijcie!
Toć sto pociech będziem mieli z synem!
A za zdrowie jego mocno pijcie,
A pokropcie go święconem winem,
A wykąpcie go w miodnej kąpieli!
Herasz djabłu i świętoszkom w Rzymie!
Hulaj dusza! Niech się świat weseli!
Dyonizy będzie mu na imię!

PAN.

Pan, sprośny satyr leśny, twór grecko-
słowiański,
Szalonej wiosny bożek z polskim senty-
mentem,
Król-narwaniec, radośnik, apostoł po-
gański,
Parskam, pękam ze śmiechu w upojeniu
świętem!

I jak się nie śmiać?! Świtem w lesie sobie leżę,
Kopytem bijąc w sosny pień...
Nademną — ptaki
I słońce... Więc się śmieję, rozkoszny
bóg-zwierzę,
Aż drżą ostępy dzikie i rozłosłe krzaki.

Leżę, genjalny kozioł... A wstanę —
polecę,
Huknę, stuknę, zadudnię, przestraszę
wiewiórkę
I zawlokę w jałowce kąpiącą się w rzece
Miedzianowłosą Krystę, młynarzową córkę!

WŁADYSŁAW ORKAN.

POROZUMIENIE.

Przedziwne porozumienie — :
Było to — pomnisz — w jedną wiosnę...
Kochaliśmy się nieskończenie — —
Mówiliśmy sobie zachwyty miłosne,
Pijąc ócz naszych jaśnienie.
Byliśmy jako dwa promienie.
Szczepione na wieczność razem.
Jednym byliśmy — można rzec — wyrazem,
Nie było w nas rozdzielnych cieni,
Nie różniły nas żadne dusz zatargi.
Gdyśmy trwali w całunku spleceni,
»Verweile doch!« — szeptały stkliwione
Pod słońcem dwoje nas — [wargi.
Swiat istnie zdawał się nam rajem.
Czuliśmy, iż jedno serce w nas tętni.
Przeminął czas —
I dziś jesteśmy sobie wzajem
Tak doskonale obojętni — — —

P. L. GARNIER.

Z „AFORYZMÓW O MIŁOŚCI".

Miłość jest dzisiaj jedynym buntem dozwolonym poważnemu człowiekowi.

Nie wystarcza być cnotliwym. Trzeba jeszcze przestać żałować, że się nim jest.

Ileż tajemnic pozostaje jeszcze między dwojgiem kochających się ludzi, którym się zdaje, że mówią sobie wszystko.

Najgodniejsi kochania są zwykle nieszczęśliwi w miłości.

Nawet najbanalniejsze wyrazy najpospolitszych kochanków mieszczą w sobie tęsknotę do nieskończoności.

Zranione serca daremnie chronią się w samotność; czują ustawicznie opętanie przepaścistego szczęścia odwzajemnionej miłości.

Przestaje się być młodym, kiedy w miejsce pożądania odczuwa się lęk przed tem, co będzie potem.

Ubóstwo byłoby rzeczą miłą, gdyby nie było kobiet.

Serce rodzi się awanturnikiem, a kończy jak dorobkiewicz.



J. MIERZEJEWSKI — KOMPOZYCYA



L. DOŁŻYCKI PORTRET.

P R Z E G L Ą D

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

Strach na wróble, sztuka w 3 aktach Włodzimierza Perzyńskiego.

(Książka wyszła u Gebethnera i Wolffa).

Nie posiadam niestety dostatecznej kompetencyi, by stwierdzić, czy hołota plutokratyczna i arystokratyczna, nagromadzona w „Strachu na wróble“, odmalowana jest prawdziwie. Ponieważ gdzieniegdzie przebłyskują jakby satyryczne zamiary autora, można przypuścić, że traktował on ten światek nie jako groteskę, która ma prawo do nieprawdy, lecz jako wycinek z życia, skarykaturowany, ale z życia. Nie będąc ani dżokiejem, ani szulerem, ani sutenerem ani lichwiarzem wojennym, nie obcuję z towarzystwem, które „chłosta“ swoją satyrą Perzyński, ale nachodzi mnie obawa, że jest to banda o wiele niebezpieczniejsza, która może się teraz cieszy, że autor wziął ją tylko za zgraję kretynów.

Jeżeli się już używa błota do celów artystycznych, to chyba tylko pod jednym warunkiem: żeby je układać w nadzwyczaj pomysłowe figury i desenie. Znać też ze strony autora wysiłek, aby tragiczne kłopoty „wróbli“ tak zestawić, żeby z tego wyniknęły sytuacye komiczne i paradoksalne. Gdy w trzecim akcie towarzystwo zebrane u kokoty zaczyna się wzajemnie wyrzucać, to jest to rzeczywiście koncept, który pozwala na chwilę zapomnieć o — materyale. Gdy hr. Olo znalazłszy nową kochankę, woła: Teraz nareszcie mogę się ożenić (oczywiście z inną)! — to i to jest koziołek majsterski; nie jako dowcip, lecz jako doskonałe streszczenie sytuacyi. Tak samo gdy kokota mówi do swojego dawnego pana: „Ja u siebie tylko zrywam. Godzić się zawsze trzeba w mieszkaniu tego, z kim się zerwało“. Lub gdy matka córki na wydaniu kwalifikuje stateczność swego przyszłego zięcia według jego stałości dla kochanek. Pomysłową jest scena oświadczyn hr. Ola w IV akcie. Ale całości brak jest pomysłu, uratowanie sytuacyi na końcu jest nieprzygotowane i nie dość frapujące, poenty nie dość przesadne i jaskrawe, balast satyryczny jest za duży i autor podobny jest do chłopaka, który trzaskając biczykiem w błoto, sam się wala. Cała sztuka ma w sobie niejako fałszywy patos w kierunku komicznym, tak jak bywa fałszywy patos tragiczny.

K. Irzykowski.

Z LITERATURY WOJENNEJ NIEMIEC.

Od początku wojny intelektualiści dużo dawali powodów do mówienia o sobie i to z rozmaitych przyczyn, tak, że możnaby sądzić, że ta wojna, to ich wojna, bo tak namiętnie nią się zajęli. Zdaje mi się jednak, że nie dosyć zwrócono uwagi na to, że, z małymi wyjątkami, słyszy się przeważnie głosy generacyi dawniejszej, więc głosy profesorów Akademii i szkół wyższych, uznanych poetów, wysłużonych bojowników prasy i nauki, starej gwardyi literatury, sztuk i wiedzy. Jeżeli chodzi o Francyę, wytłomaczenie tego zjawiska jest łatwe. Wszyscy zdolni do noszenia broni nie mówią, ale działają. Inaczej jest w Niemczech, gdzie jak zobaczymy z przyczyn, od których podania powstrzymam się, wielka część młodzieży piszącej została w domu i nie przestała w dalszym ciągu ogłaszać swych dzieł. Nawet ci, co są na froncie, znajdują czas na wysyłanie do redakcyi artykułów i poezyi, bo grafomania w Niemczech jest silna. Wydaje mi się rzeczą pożyteczną poznać kierunki i prądy, panujące w tej młodej literaturze intellektualnej Niemiec. Ocenę artystycznej wartości tych dzieł pozostawiam na drugim planie, szukając głównie danych o współczesnej myśli niemieckiej.

Jest to fakt, stwierdzony we wszystkich krajach, że najbardziej płomienne, najwięcej egzaltowane uczucia wojenne objawiły się u literatów, którzy przebyli *el mezzo del cammino*. Kiedyindziej będziemy szukać przyczyny tego faktu. Na razie wystarcza nam to stwierdzić, jeden raz więcej u pisarzy niemieckich. Prawie wszyscy poeci znani i uznani, wszyscy bogaci w lata i wawrzyny, skoro tylko wojna wybuchła, zostali, jak pióro, uniesieni zapałem wojennym. Dehmel nieprzyjaciel wojny, a przyjaciel wszystkich ludzi, Dehmel, który jak sam mówił, nie wiedział, któremu z dziesięciu narodów zawdzięcza swój mózg, wielkim głosem zawodzi pieśni bitewne (Schlachtenlieder) i pieśni o sztandarze (Fahnenlieder), wyzywa nieprzyjaciela, opiewa śmierć i sam ją zadaje. W pięćdziesiątym pierwszym roku życia uczy się robić bronią i zaciąga się do wojska przeciw Rosyi. Gerhard Hauptmann, „poeta miłości śród ludzi“, jak nazwał go Fritz v. Unruh, otrząsa się ze swej „neurastenii“ etycznej, aby zachęcić ludzi do „żniwa tego zboża, co ocieka krwią“. Frank Wedekind gwałtownie powstaje przeciw caryzmowi, Lissauer przeciw Anglii, Arno Holz majaczy w obłędzie wściekłości, Petzold chciałby być we wszystkich kulach wchodzęcych w serce nieprzyjaciół, a Ryszard Nordhausen śpiewa pieśni na cześć czterdziestodwucentymetrowego moździerza. U młodych z początku objawiał się ten sam zapał walki. Wielu jednak szybko go utraciło, pod wpływem cierpień, które sami przebyli, albo też innym zadali. Fritz v. Unruh który jako ułan, wstępuje do wojska i wyrusza z okrzykiem „Paryż, Paryż jest naszym celem“, we wrześniu nad Eną, pisze utwór Der Lamm (Baranek): „Baranku Boży, widziałem twój bolesny wzrok. Przynieś nam pokój i odpoczynek, jak najprędzej zwól nam wnijść do nieba miłości i ożyw zmarłych!“ Tenże Fritz v. Unruh, już jako porucznik ułanów na froncie zachodnim, ogłasza sceny dramatyczne wierszem i prozą, które ukazały się p. t.: Przed rozstrzygnięciem (Vor Entscheidung). Jest to poemat dramatyczny, w którym autor przedstawił swoje własne wrażenia i przejścia moralne. Bohater, który tak, jak i on, jest oficerem ułanów, przebywa w rozmaitych środowiskach wojny i wszędzie z powodu swej natury, wolnej od namiętności zabijania, odczuwa boleśnie okropność wojny i śmiertelnie z powodu tego cierpi, wszędzie czuje się obcym. Sceny pokazują okopy pełne krwi i błota, gdzie żołnierze niemieccy, jak zwierzęta w rzeźni umierają, albo też będą umierać z przekleństwem na ustach — i oficerów, którzy w około 42-centymetrowego moździerza tak długo piją szampana, aż padają, znużeni snem i zmęczeniem. Oto jeden z tych, którzy czekają pod ogniem karabinów maszynowych, mężczyzna trzydziestoletni, mówi: „Za frontem cieszą się i oblewają każde zwycięstwo. Posyłają nas na śmierć, jak bydło na rzez i mówią: „To jest wojna!“ Gdy się wojna skończy, to będą umieli chytrze się wykręcić. Przez trzy lata będą się o nas starać, ale jeszcze pierwszy inwalida nie osiwieje, a już będą się wyśmiewać z jego kalectwa“. Ułan, przejęty zgrozą, wśród walki rzuca się na kolana i modli się: „Ty, który dajesz i odbierasz życie, jak można cię poznać? Nie znajduję cię w tym rowie pełnym poszarpanych ciał? Rozdzierający krzyk tych, których dławi straszny uścisk śmierci, czyż nie dochodzi do ciebie, czy gubi się w lodowatej przestrzeni? Dla kogo ma kwitnąć twoja wiosna, dla kogo wspaniałości twoich słońc, dla kogo, mój Boże? Pytam cię w imieniu tych wszystkich, którym strach i odwaga zamykają usta przed okropnością twego niezbadanego istnienia: co jest tem, co mnie ożywia, jaka prawda świeci we mnie? Ta rzeź, czyż może być Twoją wolą?“. (Traci przytomność i pada).

Rudolf Leonhard, który na początku zachwycał się wojną i bił się z zapałem, on także, kiedy po pewnym czasie odczytuje zbiór swych wierszy, pisze na pierwszej stronie: „Pisane w obłędzie pierwszych tygodni. Szał minął, siła została. Znowu zapanujemy nad sobą i będziemy się kochać“. Poeci nieznani objawiają się światu, krzykiem współczucia z głębi swych rozdartych serc. Andrea Fram, który pozostał w domu, boleje, że nie cierpi tyle, co tysiące innych, którzy umierają: „Cała twoja miłość, całe twoje cierpienie, i najgorętsze życzenie, by stać się pożytecznym — nie osłodzi ostatniej chwili jednemu z tych, co tam,

na polach walk, konają"... Ludwik Marek ugina się pod „widmem każdej chwili".

Menschen in Not...
Brüder dir Tot...
Krieg ist im Land...

Poeta, piszący pod pseudonymem Dra Owlglassa, ku uczczeniu 70-letniej rocznicy Nietschego, proponuje Niemcom nowy ideał: „nie nad-człowiek, ale przynajmniej... człowiek!" — Ten ideał urzeczywistnia Franciszek Werfel w swoich wstrząsających poematach o bólach całej ludzkości, w ktorych znajdują wyraz te dwie rzeczy wspólne całej ludzkości, tj. nędza i śmierć. „Wszystkich nas, więcej niż wspólność słów i czynów, wszystkich nas więcej łączy spojrzenie, które gaśnie, śmiertelne posłanie i śmiertelna rozpacz, kiedy człowiek umiera. Czy chylisz się przed możnym, czy drżysz nad słodką twarzą, którą kochasz, czy bezwzględnie ścigasz wroga... uprzytomnij sobie naprzód, oh dobrze uprzytomnij sobie naprzód wzrok, który gaśnie, straszliwe rzężenie, zaschłe usta i skurcze rąk, ostatnie chwile w samotności, czoło zroszone nędzą i potem... Bądź dobrym... Czułość jest mądrością, łagodność jest rozumem... („Hohe Gemeinschaft") — Wszyscy jesteśmy obcy na ziemi i umieramy, aby się połączyć... („Fremde sind wir auf der Erde Alle").

Ale ze wszystkich poetów niemieckich ten, który napisał słowa najgórniejsze, najbardziej pogodne, jedyny, który w tej demonicznej wojnie zachował spokój prawdziwie goethowski, to ten, którego gościć i uważać prawie za przybranego syna ma zaszczyt Szwajcarya: Herman Hesse. Żyjąc nadal w Bernie, w bezpiecznem schronieniu przed zarazą moralną, rozmyślnie trzymał się zdala od walki. Wszyscy pamiętają jego piękny artykuł z 3. listopada 1914, w „Neue Zuricher Zeitung", przedrukowany 16. listopada przez „Journale de Genève", artykuł pt. „O Freunde, nicht diese Töne", w którym zaklinał artystów i myślicieli Europy, aby ratowali te resztki pokoju, które jeszcze uratować się dadzą i aby swym piórem nie niszczyli przyszłości Europy. Od tego czasu napisał kilka pięknych poezyi, z których jedna, hymn do pokoju, jest w swej klasycznej prostocie, pieśnią wzruszającą i znajdzie drogę do wielu serc znękanych:

Jeder hat's gehabt,
Keiner hat's geschaetzt,
Jeden hat der süsse Quell gelabt,
O wie klingt der Name Friede jetzt!

Klingt so fern und zag,
Klingt so tränenschwer,
Keiner weiss und kennt den Tag,
Jeder sehnt ihn voll Verlangen her...

(Każdy go miał, a nikt go nie oceniał. Każdy pokrzepiał się tem słodkiem źródłem. Jak teraz dźwięczy imię: pokój! Nieśmiało i bardzo odlegle dźwięczy ono ciężkie od łez!...)

* * *

Ciekawem jest obserwować zachowanie się młodych pism peryodycznych. Podczas kiedy miesięczniki dawne, mające już ustaloną markę, te które odpowiadapą francuskiemu „Revue des deux Mondes" albo „Revue de Paris", wszystkie mniej lub więcej dotknięte są zapałem bojowym, — jak np. „Neue Rundschau", drukująca sławne rozmyślania Tomasza Manna nad kulturą i cywilizacyą (Gedanken im Kriege), — wiele z pomiędzy czasopism młodych stara się popisywać obojętnością i lekceważącem traktowaniem z góry wypadków współczesnych. Obojętne, nieczułe na wszystko „Blätter für die Kunst" nad któremi niewidzialnie unosi się osobistość Stefana George, zdobywają się na drukowanie, z końcem roku 1914, tomu poezyi o 156 stronach, który ani jednem słowem nie wspomina o wojnie. A notatka na końcu, oświadczająca, że stanowisko autorów wskutek wypadków politycznych nie uległo żadnej zmianie, z cytatem Jean Paulea że „żaden czas tak bardzo nie potrzebuje poezyi, jak ten, który sądzi, że może się bez niej obejść", z góry już odpiera zarzut, że „czas obecny wymaga czegoś innego, niż pisanie wierszy".

Ruchliwe, nerwowe i bardzo śmiałe czasopismo berlińskie „Die Aktion", którego skrajnie modernistyczny kierunek jest jednak bardzo różny od zimnej jak marmur, bezosobowości poprzednio wspomnianego czasopisma, tak samo jednak jak ono, oświadcza w swoim numerze z 15. sierpnia 1914 roku, że wcale nie będzie się zajmować polityką, ale że służyć będzie tylko sztuce i literaturze. Jeżeli w dziale literackim dopuszcza jednak poezye wojenne, które z pola bitwy posyłają mu lekarze wojskowi Wilhelm Klemm i Hans Koch, to sprawia to nie żywość patryotycznych uczuć tych poezyi, ale ich jakość artystyczna; dowodem tego, że to samo czasopismo w sposób obelżywy przedrzeźnia śmiesznych, piewców szowinizmu germańskiego, jak np. Hans Vierordt, autor „Deutschland hasse", tych zbrodniczych poetów, którzy, kłamliwemi opowieściami sieją nienawiść, i — profesora Haeckla. W numerach swoich, wychodzących raz na tydzień, umieszcza ono bez lęku tłomaczenia z francuzkiego: Andrzeja Gide, Leona Bloy, Péguy; reprodukcye z dzieł malarstwa francuskiego: Daumier, Delacroix, Cezanne, Matisse, R. de la Fresnaye (kubizm kwitnie w tem czasopiśmie berlińskiem). Jego, numer z 24. października 1914 jest w całości poświęcony pamięci Péguy. Na pierwszej stronie umieszczono jego portret przez Egona Schiele, a Franz Pfemfert w imieniu redakcyi „Aktion", składa hołd „najpotężniejszej i najczy-

stszej sile moralnej, która objawiła się we współczesnej literaturze francuzkiej". Trzeba dodać, że, jak się to często zdarza po tamtej stronie Renu, nie uniknięto przesady, „opłakując śmierć tego wielkiego człowieka, jak jednego ze swoich, i ogłaszając się jego spadkobiercami". Ale w każdym razie pycha, która podziwia, jest lepsza od pychy, która oczernia.

Z tych młodych czasopism najważniejszemi jednak są: „Die weissen Bläter", tak wskutek rozmaitości poruszanych w niem zagadnień, ilości i wartości współpracowników, jak i przez bardzo wszechstronny umysł ich redaktora René Schickele, Alzatczyka, jednego z tych, który najgłębiej odczuwa straszną bezwzględność toczącej się walki. Czasopismo to prawie odpowiada naszej „Nouvelle Revue Françasie". Po czteromiesięcznej przerwie, zaczęło wychodzić w styczniu 1915, ogłaszając swój program, bardzo zbliżony do kierunku wychodzącej w Bernie „Revue des nations". Wydaje się nam rzeczą piękną wśród toczącej się wojny rozpocząć odbudowę ducha i przygotowywać jego zwycięstwo. Wspólność i łączność narodów europejskich wydaje się dziś zupełnie zniszczoną. Czyż nie powinno być obowiązkiem wszystkich, tych, którzy dziś nie noszą broni, od dziś dnia żyć pełną świadomością, życiem wszystkich narodów? Obok utworów, nie mających nic wspólnego z teraźniejszą polityką, jak np. historyczne romanse w wielkim stylu („Tycho Brahe" przez Maksa Broda), komedye satyryczne Karola Sternheima, który swoją gryzącą ironią prześladuje w dalszym ciągu arystokracyę niemiecką i wielki przemysł, „Die weissen Blaetter" bardzo dużo zajmują się zagadnieniami chwili. I chociaż siłą faktów musi być różnica zdań w ocenie wypadków między czasopismami niemieckimi, a naszemi francuzkiemi, to jednak trzeba zaznaczyć ich stanowisko wrogie wszelkim wybrykom szowinizmu. Artykuły Maxa Schellera są uznania godnym wysiłkiem bezstronności. Czasopismo to drukuje utwory Anetty Kolb, tej prawej natury, która będąc córką ojca Niemca i matki Francuzki, cierpi bardzo skutkiem przeciwieństw tych dwóch narodów i nie dawno wywołała w Dreźnie wielkie oburzenie, przyznając się do wierności wobec swych dwu ojczyzn i wyrażając żal, że Niemcy nie znali prawdziwego ducha Francyi. W numerze z lutego 1915, w artykule pt. „Ganz niedrich baeugen" czytamy gwałtowne potępienie wojny pyskaczy (Krieg mit dem Maul): „Dziennikarze mylą się, jeżeli sądzą, że obelgami pod adresem nieprzyjaciół zwiększają odwagę... Nie potrzeba nam takiej zachęty. Mamy odwagę oświadczyć, że w naszych oczach najlichszy z nieprzyjacielskich ochotników, który wskutek źle zrozumianego, ale gorącego patryotyzmu strzela na nas z zasadzki, wiedząc, na co się naraża, stoi nieskończenie wyżej od dziennikarza, który zręcznie wyzyskuje nastroje chwili i z hałaśliwą emfazą patrotyczną nie bije się z wrogiem, ale pluje na niego..."

Ze wszystkich młodych pisarzy, usiłujących ocalić swój umysł z nawały namiętności narodowych, najwymowniejszym, najśmielszym, najbardziej zdecydowanym, tym, którego indywidualność najlepiej dała się poznać w burzy tej wojny, jest Wilhelm Herzog, redaktor „Forum" w Monachium, który tak samo, jak nasz Péguy z początku w swoich „Cahiers de la quinzaine, całe prawie pismo wypełnia swojemi płomiennymi artykułami. Wychowany na Henryku v. Kleist, którego był entuzyastycznym historykiem, patrzy na świat i sądzi go tragicznem spojrzeniem tego nieokiełznanego umysłu. Na próżno cenzura niemiecka chce nałożyć mu knebel, zabronić ogłaszania artykułów o odczytach Spittelera albo Anetty Kolb: okrzyki jego oburzenia i mściwej ironii dochodzą aż do nas. Ostro występuje przeciw 93-em intellektualistom, „którzy myślą, że są Ajaksami, dlatego, że najwięcej krzyczą", tym politykom w guście Haeckla, którzy chcą stanowić o losach całego świata, tym piewcom patryotyzmu, którzy lżą inne narody; bezwzględnie napada Tomasza Manna, ośmiesza jego sofizmy, bierze w obronę Francyę, jej wojsko i jej cywilizacyę. Wykazuje, że wszyscy wielcy ludzie w Niemczech (Grünwald, Dürer, Bach, Mozart i inni) byli prześladowani, oczerniani i żyli w poniżeniu („Von der Vaterlandsliebe", styczeń 1915). W artykule pt. „Der neue Geist", wyśmiawszy powrót szablonu we wszystkich teatrach niemieckich i literacką mierność utworów patryotycznych, zapytuje „gdzie można znaleść, nowego ducha?". Pytanie to jest okazyą do zupełnego zmiażdżenia Ostwalda i Lassona. „Gdzie go znaleść? W Uniwersytetach? Czytaliście nieprawdopodobnie płaską odezwę 99 profesorów? Czy nacieszyliście się oświadczeniem tych dwuwiecznych mumii? Lasson? Kiedy w pierwszym półroczu studyowałem filozofię na uniwersytecie w Berlinie, wykłady jego już wtedy uważaliśmy za operetkę, a teraz bierze się go na seryo! Dzienniki angielskie, francuskie, włoskie drukują jego starcze gadaniny, zwrócone przeciw Holandyi, dodając, że są one poglądem niemieckich intellektualistów. Jak wiele zła wyrządzili nam ci profesorowie i geheimraci swoją pracą uświadamiającą! Ich niezdolność postawienia się w położenie drugiego wytwarza pustkę dokoła nas!" Wobec tych niepowołanych przedstawicieli narodu, pseudo-inteligentnych gadułów i awanturników politycznych zachwyca się on wielką masą ludu i ludów, które cierpią i milczą, i łączy się z niemi w niewidzialnem braterstwie bólu. „Cierpiący, który wie, że miliony innych muszą znosić takie same cierpienia, jak on, będzie spokojnie znosił swój los a nawet przyjmie go z o-

chotą, bo czuje, że te cierpienia czynią go bogatszym, silniej czującym, odważniejszym i bardziej człowiekiem". (Hymne auf den Schmerz). Tutaj przytacza słowa starego mistrza Eckeharta: „Najszybszem zwierzęciem, które nas zaniesie do doskonałości, jest cierpienie". Trzeba dodać, że Forum czytane jest w rowach strzeleckich, i że cieszy się wielkiem uznaniem na froncie. (Der Phrasenrausch und ihre Bekämpfer. 1915).

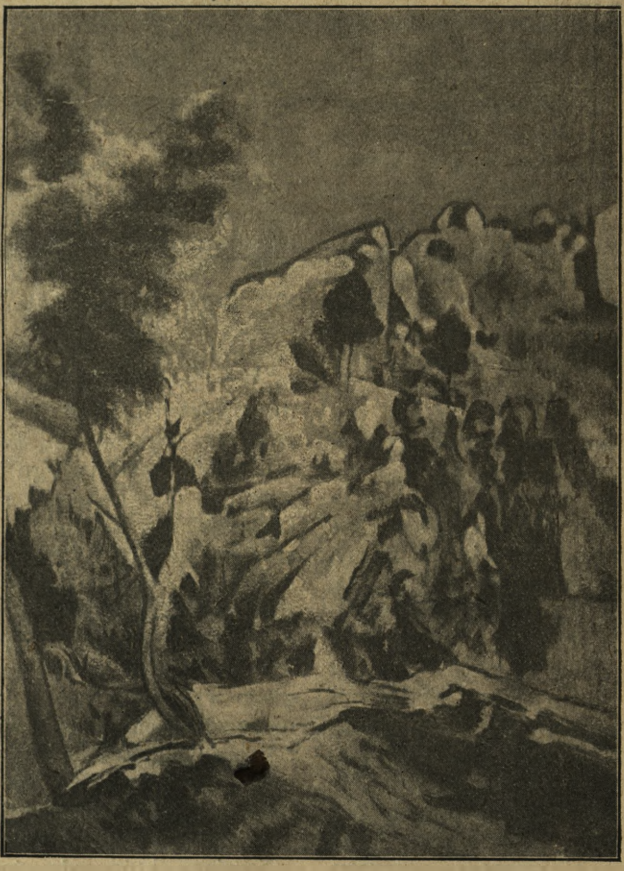
* * *

Na końcu tego bardzo ogólnego przeglądu młodych pisarzy wojennych, trzeba wspomnieć o tych, których ta wojna zniszczyła. A należeli oni do najlepszych. Ernest Stadler, namiętny wielbiciel ducha i sztuki francuzkiej, tłumacz Francis Jammes'a zachwycający się Péguym, z rowów francuskich, dokąd go wysłano w listopadzie, w przeddzień swej śmierci pisywał częste listy do Stefana Zweiga o Verlainie, którego tłómaczył;— nieszczęśliwy Jerzy Trakl, poeta melancholii, w tej wojnie porucznik sanitarny w Galicyi, którego widok nieszczęść wojny popchnął w listopadzie do rozpaczy i samobójstwa. — Ileż ukrytych tragedyi, na które na chwilę zarzucamy zasłonę! Kiedyś później podniesiemy ją, i ludzkość zadrży, widząc swoje dzieło!

Nie mam zamiaru robić porównań między narodami. Najważniejszą rzeczą na razie jest zwrócić uwagę na to, że w Niemczech wybrani zwalczają z całą siłą to samo, czego i my nienawidzimy tj. ducha nieludzkiej pychy i chciwości imperyalizmu, ducha kasty wojskowej i pedantów, cierpiących na manię wielkości. Prawda, że ci wybrani to tylko mniejszość. Nie łudzimy się co do tego, ale tem więcej powinniśmy podwoić wysiłki, celem pokonania wspólnego wroga. Czemu więc powtarzam te głosy szlachetne, ale bezsilne? Bo im mniej są słuchane, tem większą mają zasługę, a po drugie, jest to obowiązkiem walczących w obronie sprawiedliwości złożyć należny hołd tym, którzy we wszystkich krajach, a nawet w tym kraju, którego rząd w naszych oczach reprezentuje pogwałcenie prawa przez prawo pięści, walczą razem z nami o ideę wolności.

Romain Rolland.

Przełożył St. Jawornicki.



P. CEZANNE PEJZAŻ.

Autor „Nowego Kandyda" (zeszyt 17) prosi nas o zaznaczenie, że ostatnia szpalta tego artykułu (str. 355) nie pochodzi od niego; za opinie tam wyrażone nie bierze więc odpowiedzialności.

KRAKÓW · 1 · LIPCA · 1918 ZESZYT · 19

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI *GUŚLARZ (Z RYSUNKÓW DO „LEGENDY").*

(Ze zbiorów p. Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

LUDWIK EMINOWICZ.

PATHÉTIQUE...

Dreszcz przejmujący, chłodny dreszcz jesieni
przebiega możnie nieskończoność serca!
Żałosna senność, co kwiaty uśmierca,
rozrzewnia oczy tych, co opuszczeni.

Brzmi patetyczne allegro con brio —
gra moja matka! Lecz ona już w ziemi
i grać nie może palcami zmarłemi,
a jednak jej to dotknięcia tam biją...

O, tak, zaiste, ktoś podobnie trąca
kość klawiatury i struny rozwichrza...
O, matko moja, słodka, przenajcichsza,
tylko muzyką szał objawiająca,

wołam ku tobie, zadziwiony wszystek:
jestże na świecie podobna istota,
jak ty czująca? — — W świetle coś migota:
z przelękłej róży spadł złocisty listek

i spłoszył nagle jakiś rój skrzydlaty
a burza ptaków, biała i milcząca,
na wszystkie strony leci — nielecąca...
ach, to ostatnie tytoniowe kwiaty!

Nie wzlecą w górę i wyniosłe tuje
stają im pewnie za tatrzańskie turnie...
Allegro dziwne wraca się powtórnie: —
ktoś, jak nieboszczka, motyw ten pojmuje...

ktoś, co ma w ustach przedawnienie głosu
i grą warjacką zwalcza przestrach ciszy...
ktoś, co zwiduje w kolorach klawiszy
barwy żałoby, widmo swego losu...

ktoś, każdym nerwem wprawiony w niedolę,
więc całem sercem wdzięczny za kochanie...
ktoś, co za chwilę nagle grać przestanie,
by szepnąć komuś: »Ciebie słuchać wolę«...

Lecz, że jedynie pustka zamajaczy
przed tą kobietą: — zwróci się rozpacznie
do fortepianu i znowu grać zacznie...
Ha, czuję w sobie stanowczość rozpaczy!

Pójdę i szczerze tak przemówię: »Pani,
samotna jesteś i pragnąca świadka
nieszczęścia swego, tak, jak moja matka,
i znać, że stoisz nad brzegiem otchłani...

Pozwól się zbliżyć, usiądę przy tobie;
blask romansowy nie zagości w oku;
pragnę przez chwilę marzyć przy twym boku,
jak przy swej matce, co mi znikła w grobie...

Chcesz-li na krótko wziąć przedziwną rolę,
być przenikliwą, jak bywa twe granie,
czułą bez zmysłów, jak matki ściskanie,
i rzec przy graniu: »ciebie słuchać wolę«...

Powiem ci wtedy z zaufaniem syna,
że pragnę stworzyć coś, czego nie było,
że kocham bardzo i że moją miłą
jest jedna dobra, serdeczna dziewczyna;

i powiem jeszcze, nim zaczniesz grać hucznie,
żem nie znał nigdy szczęścia małych dzieci!
zaranie moje zimną pustką świeci,
więc muszę życie uzupełniać sztucznie...

Jest oto moment, w którym przeszłość cała
podchodzi ku mnie przypływowym mułem;
mogę weń wrzucić coś, czego nie czułem,
coś, co się zowie: chwila doskonała...

On to zabierze odpływową bryłą,
porwie w łożysko, na prastare włości,
i doskonalszy będę w swej przeszłości,
gdy w nią wczaruję piękno, co nie było...

O, pani, pani, w czas miniony wszczepię
scenę wytworną, jakiej nie zaznałem:
raz tylkom słyszał, będąc dzieckiem małem,
matkę, nim znikła na cmentarnym stepie...

Trzeba mi, trzeba kosztownej rozmowy,
z dostojną matką, co mi życie dała!
Mów do mnie, pani, tyś tak cudnie grała,
jak ona niegdyś w dzień listopadowy...

Mów do mnie, pani, jakbyś matką była!
Odejdę wdzięczny i zniknę ci z oczu.« —
Droga przede mną leży w mgieł przeźroczu,
jak w alabastrze ciemnej skazy żyła;

idę do ciebie, grająca tam, w dali! —
Lecz nie, nie stanę przed progami twemi.
Nieboszczka matka poszła spocząć w ziemi
i może chciała, byśmy się rozstali...

Kształt jej człowieczy mogiła zawarła.
Zgon mi zostawił przepyszną opowieść
o nimfie smutnej...: mógłbym-ż sobie dowieść,
iżbym ubóstwiał ją, gdyby nie zmarła?

Może zgon tylko zachował jej śliczność
i nimb anielstwa, jakim skroń jej stroję;
może zgon tylko...: podglądać się boję
swoją jedyną w życiu tem klasyczność...

Pragnę się krzepić mimowolną wiarą,
że mnie na świat ten wydała bogini...
Weselszym człeka to złudzenie czyni,
że mierzy przeszłość — homerycką miarą...

Och, czasem nawet, gdy się pamięć mieni,
zatracam czucie zwykłego poczęcia...
Niepomny słodkich pieszczot niemowlęcia,
myślę, żem inny, niż wszyscy zrodzeni...

Nieboszczki matki nie pomnę z oblicza;
mówi mi o niej podobizna blada;
więc mi się czasem jakiś myt układa,
jakaś legenda moja, tajemnicza...

Śni mi się wtedy, że wyszedłem z ziemi,
że mnie zrodziła wiosenna przyroda,
że idzie światem postać moja młoda,
by zdziałać cuda dłońmi nadludzkiemi...

Dlatego nigdy nie wejdę w twe progi,
o, nieznajoma, grająca sonatę;
w spotkaniu z tobą dałbym na zatratę
podanie własne, iż jestem, jak bogi...

Wskrzeszając w tobie swą macierz nieznaną,
wcieliłbym w przeszłość kulturę rodzinną,
a moje serce nigdy nie powinno
bawić się ludzką sztuką stosowaną...

Któż wie, czy matka nie zmarła celowo,
a jam nie bronił odejść rodzicielce,
bym piękna wzruszeń teraźniejszych — wielce
nie uczcił w sobie, a w przyszłość szedł nową...

Tak, nie — zgadują świerkowe okiści,
i w pion i w poziom chwiejąc wiech wytycznie;
szum urywany ciągnie chromatycznie
w gorzkiem igliwiu smaragdowych liści.

Mgły srebrnobiałe tańczą po przestrzeni
i biorą udział w czarnych drzew balecie;
wiatr hulający rozszarpuje kwiecie
i pląsającym rzuca strzęp złocieni;

dźwięki sonaty fantastycznie biją —
ktoś popędliwie piętrzy ton po tonie...
lecz w moją przeszłość — wdzięku nie nawionie,
choć gra, jak matka, allegro con brio...



W. WEISS CENTAURY.

(Z WYSTAWY „SZTUKI").

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

10)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Piotr po tej scenie chciał wrócić do domu piechotą. Księżyc wczesnej wiosny już świecił dużą pełnią, jasno poczynało być na dworzu. Chłodna woń młodych ziół napełnia mu nozdrza i jakby wnikła w mózg. Pod wpływem chłodu tętno uspokajało się, zadzierżgnięte pasma i węzły nerwów rozsnuwały się, gwałtowny spęd krwi rozluźniał. Chodził długo i czekał, aż się goście rozjadą, aby się pożegnać z gospodarstwem. Afera z Dzierzyńskim nie wydawała mu się już niczem ważnem, zbiegła pod pomost myśli. Gdy zdawało się, że wszyscy obcy się już rozjechali, wrócił do dworku, cichego już, gdzie ku zdziwieniu zastał obok dojadających jeden z tortów obojga Przesiewiczów i ich córek, i pannę o płowych włosach.

— Gdzie pan się podział? — zaczęła z drwiącą nieco miną rozwódka, ale zmieniła ton po pierwszych słowach. — Gdzie pan był?

— W ogrodzie. Spacerowałem. Chcę szanownych państwa pożegnać — odparł.

— Jakto? Już? Pan prawie nie został przedstawiony mojej przyjaciółce i protektorce, koleżance z pensyi, mojej najlepszej Ninie Donimuntównie z Łąk! — zaszczebiotała Marusia.

— Przepraszam pana, żem pana wybrać chciała w mazurze — rzekła ta panna. — Dopiero przed chwilą dowiedziałam się, że pan niedawno przybył do kraju.

Piotr popatrzył na tę dziewczynę, — odpowiednio do pełnego biustu i ramion pełne miała biodra ze ślicznem wcięciem. Jej oczy były ujmujące i czyste, a nadewszystko sympatyczny i zostający w uchu był dźwięczny głos.

— Nieszczęśliwy danser ze mnie — odpowiedział śmiejąc się, ale Marusia przerwała mu: To nic, nauczy się pan! To głupstwo! Nic nie szkodzi! Tymczasem niech pan je, dopóki jeszcze zostanie co z tego tortu, bo my zjemy!

Piotr jadł i rozmawiał, rozmawiał tak swobodnie, aby można było poznać, że nie został tu pogrzebany przez panów Puchanowskich. Przesiewicz mało zadowolony, poszedł do sypialni, bo był zmęczony, a Marusia gadała:

— Brat Niny, pan Zbigniew, pojechał powozem, chodzić dużo nie może. My miałyśmy iść piechotą, jak często, bo to przez pola pół

mili. Zamiast brać kogo z domu, niech pan z nami pójdzie! Odprowadzimy Ninę, a konie po nas przyjdą i Katarzyna, gospodyni, z Franią po nas przyjedzie. Pozwoli mama? Straszną mam na to ochotę! A pan? Spotkamy konie nasze o kilka kroków przed bramą wjazdową do dworu Niny. A potem pana odeślemy do osady od nas...

Był rad, gdyż miał ochotę przejść się polami i nasycić się zapachem wieczornym. Te panny nic go nie obchodziły, szedł obok, mało mieszając się do rozmowy, którą zaraz żywo, zwłaszcza Marusia, zaczęły prowadzić, ująwszy się pod ręce. Pola roztoczyły się w poświacie księżyca, puste zupełnie łąki i obszary siewne; w oddali, jak oko sięgało w roztocz wieczorną, czernił się las.

Ścieżka wewiodła niebawem pod lasek, którego Piotr zrazu nie spostrzegł w ciemności, ciągnący się po prawej ręce. Była to podłużna, nieszeroka smuga gęstego młodniaku iglastego, jakby umyślnie w polach dla zajęcy i bażantów zasianego; ciągnęło się to długo, zrosłe zbicie, ciemne, wysokie na półtora człowieka. Ścieżka stała się niebawem węższa, tak, że Piotr szedł z tyłu, trzymając niepalącego się papierosa w bursztynowej cygarniczce w zębach. Mimowoli poczęła go nachodzić myśl o aferze, którą będzie miał z Dzierzyńskim. Czy zrobił dobrze? Nie — zrobił źle, ale nie potrafił zrobić inaczej. Dyabli nadali tego Przesiewicza z całym Przesiewiczowskim folwarkiem. Miał ochotę prętem, który miał w ręce, śmignąć po spódnicy Marusi. Pojutrze może go już niebyć na świecie i może to jest ostatni spacer.

Zapadły na niego smutek i przygnębienie. Ciężka zmora siadła mu na sercu i waliła go z nóg. Niebezpieczeństwa znał, ale te były nagłe i niespodziewane — tu zaś godzina za godziną miały wlec się i przybliżać zagadkę o życiu... Głupi przyjazd jakiegoś obywatela z furmankami potrącić go mógł w możliwe nieszczęście, jak przypadkowe mijanie muła w górach. W innej stronie świata byłby się porwał tych Puchanowskich, tak barczystych jak są, wytrzaskać kułakiem, dorzucając im na kupę i tego Dzierzyńskiego. Znał siebie i wiedział, co były warte jego smukłe, ale stalowe muskuły, i wątpił, aby który z nich potrafił stepową sztuką podleść pod konia, kucnąć i na karku go dźwignąć do prostych swoich nóg.

Gdy idąc ciął prętem lekko po trawie z boku ścieżki, w jednej chwili wydało mu się, że coś poruszyło się poza drzewami. Zwrócił uwagę — w gąszczu zbitym niebyło widać nic, a jednak gałązki znów się poruszyły i to na wysokość jego głowy nieledwie. I znów. Tak jest — ktoś posuwał się drąc się pomiędzy konarkami równo z nimi — nie mógł to być nikt inny, tylko bardzo wysoki człowiek.

Piotr niemiał w ręku nic. Pojechał bez laski, a rewolweru zapomniał wziąć z płaszcza. Niechciał zwracać uwagi panien, które widocznie niczego nie spostrzegały, trzymając się ciągle pod ręce; Donimuntówna opowiadała o zielonym karnawale, na który ją matka miała zawieźć do Warszawy. Piotr schował cygarniczkę do kieszeni i wbił wzrok w gęstwę. Ogarnął go niepokój, tajemny bowiem towarzysz posuwał się za nimi gąszczem o jakie może pięć, sześć kroków w bok. Nagle, gdzie ścieżka się zwijała na lewo w pola, rozgięły się drzewka i olbrzym poprostu pokazał się z nich w chłopskiej sukmanie z podniesioną ręką z kijem nad głową do ciosu.

— Tu panna Janina! — wrzasnął, ale nim kijem uderzył, Piotr dopadł go jedną garścią za piersi, drugą zatrzymał mu rękę w zamachu.

— Jezus Marya! — krzyknęła Marusia. — To Jan?!

— Tak, to ja, Jan, panienko! — odpowiedział chłop.

Panna Donimuntówna cofnęła się o kilka kroków ze ścieżki na łąkę, Marusia zasłoniła ją sobą.

— Cóż to?! Rozbój?! Człowieku, czego chcesz?! — zawołał Piotr.

— Od pana nic! — odpowiedział olbrzym i szarpnąwszy się w tył, wydarł się z garści Piotra i cofnął się w gęstwinę.

— Uchodźmy! — krzyknęła Marusia. — Nino! Daj rękę! Zwaryował! — Poczęły biec przed siebie w pole. Piotr zawahał się — lepiej było towarzyszyć dziewczętom, niż niemóc nigdzie zagrodzić do nich przystępu. Pobiegł więc za niemi.

— Niedaleko są stawy, nieduże — mówiła łapiąc dech przerażona Marusia — przez jeden jest kładka, na drugim łódź — za niemi jesteśmy bezpieczni... To odprawiony drugi stangret pani Donimuntowej... Staw o trzydzieści kroków!... Czy nas ściga?... To olbrzym i pijak!... Wszyscy się go bali... Jaki pan jest silny i odważny!... Boże, coby się było stało!... Już woda lśni... Goni nas?!...

Piotr obejrzał się — nie było widać nikogo. Dobiegli — wązka, w wysoki łuk położona kładka prowadziła na drugi brzeg, o kilkadziesiąt metrów.

— Tu trzeba zerwać deskę i wciągnąć ku sobie — odezwał się Piotr — na wypadek, gdyby biegł za nami. Niech panie prędko przechodzą. Ja zerwę, jeśli potrafię, i pospieszę za paniami. Jeżeli nie zerwę, to nie puszczę nikogo.

— Czy pan ma broń? — zapytała Marusia.

— Nie, ale mnie się nic nie stanie. Zresztą nikt nas nie goni. Proszę się jednak nie namyślać i przechodzić! Czy ten staw jest długi?

— Tak — bardzo długi, z obu stron są mokradła nie do przebycia. Boże coby się to było stało!... To coś okropnego!...

Donimuntówna, blada i wysilona, nie przemówiła dotąd słowa. Wrażenie widać odebrało jej głos. Teraz wyciągnęła tylko rękę w tejże samej białej rękawiczce i uścisnęła Piotra mocno bez słowa.

Przeszły kładkę i znikły w kępach. Piotr zatrzymał się na pośrodku kładki, aby spojrzeć; dojrzał teraz: napastnik biegł przez łąkę ku nim! Siadł więc szybko i począł gwałtownie deskę środkową odrywać — gwoździe jednak niechciały puścić. Wobec tego, że chłop się zbliżał, nie było rady — wstał i zszedł z powrotem, zatrzymując się o jakie dwadzieścia kroków od brzegu. Krew tętniła mu w skroniach i serce biło. Ścisnął kułaki i czekał.

Za chwilę olbrzym dobiegł i wkroczył na kładkę. Był bez kija. Podsunął się o jakie cztery kroki ku Piotrowi i zapytał sapiąc z biegu:

— Gdzie panny?

— Albo co? — odpowiedział mu Piotr, gotując się na wszystko, tem więcej, że widać było, że ten człowiek pił wódkę i to nawet świeżo.

— Łódką nie przejadą. Bo tam łódź, od kiedy ją dzieci odwiązały, jest wiązana po chłopsku przez Naściuka, właściciela, a jak chłop po chłopsku zawiąże, to tylko chłop odwiąże.

— Dlaczegóżeście napadli na pannę Donimuntównę? — zapytał Piotr mniej już wzruszony wobec spokojnego tonu olbrzyma.

— Dlaczego? A za pozwoleniem pańskiem, któż pan jest?

— To niema nic do rzeczy. Tu nie ja się będę sprawiał.

— A no prawda. Ja niemam prawa do wielmożnego pana. Panny i tak są w saku — bo my tu, a tam woda.

— Jakto?!

Olbrzym się skrobnął za uchem.

— No, żeby nie wielmożny pan... Byłoby się nieszczęście już stało... Ja widziałem od samego Przesiewiczowskiego folwarku, że wielmożny pan idzie z panną Janiną i z panną Marusią — ale kto się mógł spodziewać, żeby w szlacheckiej osobie tyle siły było. Ze mną jeszcze nikt w karty nie grał i wielmożny pan by też nie zagrał, ale zawszeć mię wstrzymało.

— Ja nie jestem szlachcic — odparł mu Piotr. — Jestem z prostych ludzi, jak wy. Cóż wam panna Donimuntówna zrobiła złego?

Długie badawcze spojrzenie padło w pomroku na twarz Piotra. Ten człowiek pił, ale niebył pijany. Powód jego napaści był widocznie jakiś szczególny i on sam rozumiał to dobrze. Zuchwała twarz nie była twarzą opryszka. Zastanowił on się widocznie, czy odpowiedzieć, czy nie odpowiedzieć? Mierzył Piotra oczyma, wreszcie zdecydował się i rzekł:

Krzywda mi się stała... Służyłem u pani Donimuntowej za furmana. Ośmnaście lat. No i podali na mnie, że owies kradnę... Głupstwo! Dałem synów do szkół, musiałem ich utrzymywać. Żeby nie musieli służyć u pani Donimuntowej, jak ja. Musiałem dużo nakładać, bo kosztowało... Co tam o owies! Pani Donimuntowa ma owsa dość... Myślę se: co będzie, to będzie, muszą na ludzi wyjść! Zaszedłem do jaśnie pani raz, drugi, trzeci — nic. Powiada mi: na co twoi synowie mają być lepsi, niż ty? Żeby ci po głowie jeździli? A ja sobie pomyślałem: wolę żeby oni mnie po głowie jeździli, jak czyjemiś końmi. Nie mogłem nic wymodlić. Nie i nie. Bo jaśnie

pani jest skąpa, żeby, za przeproszeniem, z miski czeladniej zjadła, aby ująć. Przepchałem jednego aż do egzaminów, pcham drugiego — a jeszcze mam trzeciego w domu — łup! owies kradniesz! Przez ludzką złość... Jedno do drugiego, wielem za ośmnaście lat ukradł? Wielem ukradł? ...Pytaj się!... Pani się rozgniewała okropnie, bo to osoba tak prędka i ostra, jak za dawnych czasów bywało. Kazała mi dwie krowy odebrać, co miałem ze dworu, i w tej chwili ze służby iść precz, ani minuty dłużej. Dziedziczka... I służba i krowy i dom i ci dwaj synowie i ten trzeci i więzieniem mi zagrozili, strażnicy ziemscy już byli po mnie... Taka rozpacz, a i złość mnie ogarnęła, że mię całkiem rozum zaczął odchodzić... Życie sobie odebrać, czy co? Tu dwór, dostatek, wszystko—a tu ten marny owies, przeciem go przez te ośmnaście lat stodoły nie wyniósł, a choćby... Mają dość... Poszedłem do pani prosić przebaczenia, ani mię widzieć niechciała. W końcu myślę sobie: jak ty tak na moje dzieci, to ja się na twoich zemszczę! No i szukałem sposobności.

— Wiele wasi synowie mają lat?

— Najstarszy szesnaście, a najmłodszy pięć.

Piotr niechciał drażnić olbrzyma, spytał więc tylko:

— A gdzieżeście kij podzieli?

— Porzuciłem. Bo leciałem sam niewiedzący po co? Czy do nóg paść, czy za gardło chwycić.

— A czemuście na pannę, nie na młodego pana się zaczaili?

— Ja się zastrzegałem na folwarku. Pan Zbigniew pojechał powozem, wiedziałem, że panna będzie wracać do Łąk przez pola jak często, tylko myślałem, że z panienką i z pokojówką.

— Chcieliście wszystkie trzy ubić?

Chłop wyjął flaszkę ze spodni i przechylił: Zdrowie! Com chciał, tom chciał....

— No i cóż teraz będzie? — spytał Piotr.

— Ja sam niewiem, co będzie. Za ośmnaście lat służby się nikogo do więzienia nie daje! Jakem kradł, tom kradł! Karbowy wiedział, a ja nie wiedziałem, że on wie. On mię wydał, bo to szwagier.. Ja do więzienia iść? Moi synowie ze szkół?... Będziemy widzieć!...

Nagle uśmiechnął się i jakby zaszedł w siebie.

— Bądźmy spokojni! — począł po namyśle — Nie uciekną nam! My tu, a tam zawiązane. Ale i pan nie pójdzie!

Błyskawicznie zbliżył się i położył Piotrowi dłoń na piersiach.

Piotr wzdrygnął się i kolana pod nim zadrżały, zdjęło go uczucie ohydy i najwyższego oburzenia. Ale rozpocząć walkę z olbrzymim drabem na wązkiej kładce wydawało mu się fatalnem.

— Dlaczegóż ja niemam pójść? — zapytał rozpętując głos w gardle i udając, że nie zwrócił uwagi na dłoń opartą na piersiach.

— Bobyś mię pan wydał. Karbowy szwagier, a wydał mię.

— Przecie panny was widziały —

— Widziały.

Piotra mróz przeszył przez kości. Zrozumiał swój los. Miał przestać być świadkiem.

Olbrzymie palce, które leżały na piersiach jego marynarki, poczęły ostrożnie, aby się nie wymknął, zgarniać fałdy. Poczuł, jak mu się na plecach marynarka zwęża.

— Co chcecie zrobić? — zapytał siląc się na spokój i starając zapanować nad grozą, aby nie stracić głowy.

— Nic —

— Słuchajcież ojciec, pójdziemy razem do panien. Przeprosicie pannę Donimuntównę, ona nie powie nikomu. A może —

— Aha! — przerwał olbrzym. — I ona nie powie...

Jak śmigło wiatraka zerwało Piotra na lewo, ale w tejże chwili jego lewa stopa chwyciła się kładki z pod spodu, a dłonie wyciągniętej ręki olbrzyma, i przygiąwszy ją całym ciężarem ciała w dół, Piotr spadł okrakiem na kładkę i nogi pod nią zacisnął. Olbrzym szarpnął nim, ale go poderwać nie zdołał.

— Ty psie! — krzyknął Piotr z furyą.

Wtem olbrzym klęknął, jego straszna milcząca teraz twarz zjawiła się naprzeciw twarzy Piotra a lewa ręka wyciągnęła z rozgiętemi palcami ku gardłu.

Piotr chwycił tę rękę obu dłońmi i zatrzymał. Ta śmiertelna odrazu walka zamieniła go w zwierzę drapieżne, które się broni. Olbrzym klęczał na jednem kolanie. Zionął gorącym oddechem, poczwarne człony zbliżyły się ku Piotrowi z czemś okropnem w sobie. Ta woda pod

nim i ten potwór wydały się czemś jednem. Dzika, tępa, gruba, złowieszcza i zawzięta twarz napełniła go nienawiścią, przejęła ohydą i zgrozą. Coś zupełnie nieznanego mu wypełniło mózg. Napadł go ktoś,—chciał odrzucić od siebie, pchnąć wstecz bez względu, bez pamięci. Odjął lewą rękę od ręki olbrzyma i rżnął kułakiem w kość jego prawej ręki, dzierżącej go za piersi.

Cios musiał spaść, jak młot. Zacisk palców zwolniał — Piotr ćwiczony w pięściarstwie, trzasnął w łokieć kłykciami palców z dołu, i w tej chwili ugodził olbrzyma po raz trzeci w brodę, krzycząc: Precz bydlę!

Trwało to mgnienie oka.

Olbrzym porwał się na nogi, wrzasnął: Raku! i mimo potłuczenia prawej ręki chwycił Piotra oburącz za ramiona — jakimś migiem spojrzał Piotr w czarną toń moczaru, zamarł — i całą mocą olbrzyma w kolano pięścią uderzył. Doznał wrażenia, że jabłko wybił. Człowiek ryknął, zachwiał się, stracił równowagę i runął w tył z kładki.

Woda plasła pod ciężarem.

Piotra owiała cisza nocy natychmiast z nieporównaną chyżością. Pojrzał w gąszcz wodną. Niebyło na niej nic znać, prócz pewnego wzburzenia w jednem miejscu. Grząska przepaść pochłonęła ciało, dławiąc człowieka i grzebiąc.

We wnętrzu Piotra zapadło się coś. Jakaś część jego duszy runęła i zginęła w tej otchłani razem z istnieniem człowieka.

Chwilę siedział bez ruchu, nieczując wysiłku, ale ubezwładniony i zmartwiały. Zrzuciłem go? — myślał. — Nie. Sam wpadł.

Po chwili przyszło mu na myśl:

Broniłem się.

Wstał i stanął na kładce. Kawał lodu twardego jakby mu tkwił we wnętrzu.

Nagle objęła go straszna groza. Śmiertelna trwoga opanowała. Jakieś obłąkanie strachu owładło. W głowie zawirował chaos płomieni. Szaleństwo stanęło w oczach widne. Twarz surowa, pytająca, przegroźna, a niedowytrzymania spojrzała nań prost wprost. Ale opamiętał się. Bronił się. Nie pchnął nawet w śmiertelnej walce, uderzył tylko napadnięty. Zwrócił się na kładce i wichrem ją przebiegł. Wpadł w kępy. Ścieżka pod stopami wiodła. Biegł nieczując zmęczenia. Ujrzał lśniącą ciemną wodę pod światłem księżyca, łódź i przy łodzi Przesiewiczównę z Donimuntówną, przysunięte do siebie.

— Co się z panem działo?! — zawołała przerażona Marusia.

— Nic! Czekałem. Czy łódź odwiązana?

— Niemogłyśmy rozpętać węzła —

— Szkoda czasu na to — odparł i wyjąwszy mały scyzoryk z kamizelki, przeciął powróz. chwycił wiosła i spłynął z dziewczynami na wodę. Jego ramiona pędzone chmurą, cięły wiosłami wodę z niesłychaną szybkością. Łódź leciała poprostu po toni, tak szybko, jak szybko płynęły żmije myśli Piotrowej. Za temi wodami zostawiał siebie. Przez jakiegoś złodzieja... jednak człowieka, który ryzykował wszystko, aby synów wyprowadzić na ludzi... pozbawił dzieci ojca, żonę męża... On? Nie — nie on. Ten człowiek sam wpadł w moczar — — napadł...

Odchodził od siebie. To, co się stało, było tak potworne, że mogło zmysłów pozbawić... Czy nie oszalał jeszcze, czy to nie jest maligna, okrutna pastwa wyobraźni?....

Nagle usłyszał głos, głos pełen dźwięku i melodyi w każdej sylabie. — Panie, co to było? — spytała go Donimuntówna.

Głos ten wpłynął mu w ucho i zagrał w niem. Każda sylaba dźwiękła i tknęła słuch kojąco, jakby kwiat tknął.

Chwila minęła nim odpowiedział:

— Czekałem na kładce, czy kogo nie widać za nami. Zdawało mi się, że biegnie.

— Ale nikogo niebyło?

— Nikogo...

— Będę mamy prosiła, niech już przyjmie tego człowieka z powrotem do służby... Niech już kradnie dalej... To było coś tak strasznego — ta napaść — —

— Ah nie, moja droga, to jest niemożliwe!— zawołała Marusia. — Twoja mama niemoże go przyjąć z powrotem! Powinien być aresztowany natychmiast i uwięziony. Napadł na nas. Kijem się zamierzył! Mógł cię był zabić! Gdyby nie pan Węglin, niewiem coby się było stało! Umarłabym z rozpaczy!

— Przyjdziemy późno. Mama będzie niespokojna o nas — mówiła Donimuntówna.



W. SKOCZYLAS ŚW. KRZYSZTOF

— To nie jest daleko, Nino. Nawet bliżej, niż naokoło wód. Przejdziemy tuż koło folwarku Iwanie. Ja znam tę stronę doskonale, pewno lepiej, niż ty, bo więcej chodzę — uspokajała Marusia.

Łódź przybiła. Piotr pomógł pannom wyjść na brzeg.

— Pospieszmy — poprosiła Donimuntówna.

Ruszyli szybko wzdłuż opłotków wsiowych. Niedługo zaświeciły się okna Łąkowskiego dworu.

— Konie nasze czekają — spóźniamy się o jaką godzinę chyba... — mówiła Marusia spiesznie. — Nie trzeba nic mówić! Ani słowa! Powiedz tylko panu Zbigniewowi. Ale nie trwóż mamy. Powiedz, żeśmy chcieli przez wody cię odprowadzić i żeśmy długo niemogli powrozu rozwiązać.

— Dobrze.

Piotr zobaczył dużą, murowaną budowlę jednopiętrową z kilku oknami oświetlonemi.

Koni Przesiewiczów niebyło. Musiały już odjechać. Marusia zakłopotała się. — Tożto będę miała burę! Siostrunia nie chciała czekać, a Katarzynie chciało się spać. Pamiętasz, było już raz tak, kiedy tu byli twoi krewni z Litwy. Cóż to będzie?

— To samo, co wtedy. Pójdziesz do nas, a raczej pójdziecie państwo do nas na herbatę, a potem odwiezie was mój brat. I tak niepuściłabym państwa bez herbaty. A najchętniej zatrzymałabym cię Marusiu na noc, żeby ochłonąć z strasznego wrażenia... Proszę pana, oto jest nasz dom.

Po krótkiem przejściu przez podjazd Piotr wstąpił na białe kamienne schody o kilkunastu stopniach.

C. d. n.



W. WEISS: ZŁODZIEJE. (Z WYSTAWY „SZTUKI“).

JERZY OLIZAR.

NIENAWIŚĆ.

Ręce me, jak harpuny szponów, nigdy syte
dyszą głodem mordowań i krwi złością wilczą;
usta me toczą pianę od wyzwisk opilczą
i bełkocą rzężenia klątw niesamowite.

Wciąż tęsamą zachwytu i przysiąg orbitę
przebiega moje kłamstwo nad chwałą tubylczą,
a w sercu, gdzie wczorajsze sny struchlałe milczą,
jeden lęk: by nie mściło się, co niezabite.

Zwały trupów i zalew krwi choćbym po krańce
światów rozlać umiała, nie wiem, gdzie jest koniec,
kędy głód mój wieczysty w dosyt się przemienia;

więc w lęku nieukojnym, tęsknot dawnych goniec,
biegnie sen mój wczorajszy na graniczne szańce
patrzeć, czy gdzie nie wstaje Widmo Przebaczenia......



J. HRYNKOWSKI PEJZAŻ.

ROMAIN ROLLAND.

TEATR.

Z „Jean-Christophe à Paris" I.: „La foire sur la place".

Doświadczenie uczynione w Niemczech z grupami literackiemi napełniło Krzysztofa podejrzliwością odnośnie do środowiska, w jakiem się znalazł. Z niedowierzaniem traktował książki i pisma. Niewiadomo było nigdy, czy nie są one wyrazem jakiejś małej grupki rozlenionych snobów, lub co więcej, czy autor sam jeden nie stanowi całego koła czytelników. Teatr już lepiej malował nastrój społeczeństwa. Stanowił on w Paryżu, w życiu codziennem czynnik przemożny. Była to gigantyczna garkuchnia, pantagrueliczna olbrzymia restauracya, nie mogąca nastarczyć strawy dla dwumilionowej ludności. Codziennie grało trzydzieści wielkich teatrów, nie biorąc w rachubę teatrów dzielnicowych, kabaretów, widowisk rozmaitych, przeszło setki sal koncertowych, i wszystko to z wieczoru na wieczór było po brzegi pełne. Paryż kochał się w komendyantach i dał się olśniewać ich sławą.

Na każdym kroku niezliczone fotografie, rysunki i karykatury utrwalały ich miny, pozy, gesty, dziwactwa; gramofony powtarzały ich brednie, dzienniki notowały z pietyzmem ich sądy o sztuce i polityce. Posiadali własną prasę, ogłaszali swe pamiętniki, wspomnienia, kroniki tryumfów i kroniki zwycięstw buduarowych.

Pośród innych Paryżan, owych dorosłych dzieci, wałęsających się po ulicach, trawiących czas na małpowaniu się wzajemnie, te małpy doskonałe, ci mistrze głupstwa, dzierżyli berło władzy, a autorowie dramatyczni byli ich ministrami.

Krzysztof poprosił Sylwina Kohna, by go wprowadził w państwo blasków i cieniów.

* * *

Ale Sylwin nie był tutaj przewodnikiem pewniejszym, jak w królestwie książek, i pierwsze wrażenie, jakie Krzysztof dzięki niemu odniósł w zetknięciu z paryzką sztuką dramatyczną było nie mniej przykre i odstraszające, jak się to stało w zakresie literatury.

Wydało mu się, że i tutaj panuje niepodzielnie prostytucya umysłowa.

Były dwie szkoły przekupniów rozkoszy teatralnych. Pierwsza trzymała się starego, wypróbowanego sposobu, metody narodowej, szerokiej w geście, w wykonaniu plugawej. Wszystko w grubych liniach nakreślone, radość i brzydota, obfitość strawy, ułomność fizyczna, wszystko roznegliżowane, żarciki uliczne, bezeceństwa, papryka, cuchnące mięsiwa, seperatki. Mianowano to szczerością i „nazywaniem rzeczy po imieniu", sądzono, że w ten sposób można pogodzić wszystkie słabostki z moralnością, a to na zasadzie, że po czterech aktach najohydniejszego babrania się w kałuży, w akcie piątym przywraca się wszystko do porządku, głosi tryumf kodeksu moralnego i przez jakiś karkołomny zwrot rzuca się rozpustną żonę, chcącą oszukać męża, z powrotem do małżeńskiego łoża. Gdy prawo nie zostało naruszone, cnota również nie poniosła szwanku — oto nikła formuła uczciwości, która nie różni się niczem od wyuzdania mentalnego najgorszego gatunku, — oto typ twórczości gallickiego ducha.

Druga szkoła była w stylu modnym. Bardziej wyrafinowana, przedstawiała to samo w innej formie. Przesiąknięci stolicą żydzi i zjudaizowani Francuzi, owi żniwiarze plonów teatru francuskiego, wprowadzili do szkoły modnej ten bezduszny szablon uczuciowości, który jest charakterystyczną cechą zdegenerowanego kosmopolityzmu. Synowie wstydzący się swych ojców byli ci autorowie blizcy zaparcia się swej rasy, niejednokrotnie zaparli się jej nawet. Obdarłszy własną duszę z wszystkiego, w co ją ubrały wieki życia narodowego i czem ją wyposażyły, wyczerpawszy wszystkie formy, musieli z konieczności sięgnąć po wartości moralne i intellektualne innych narodów. Zrobili z tego bigos, swego rodzaju *olla potrida* i podawali porcyami widzom. Oto była ich metoda. Wszyscy, władający w owym czasie teatrem modnym paryzkim, prześcigali się w wytwarzaniu czegoś w rodzaju pianki z ubitych razem, cnoty i występku, zaprawiając cnotę zapachem grzechu i przeciwnie nadając występkowi woń cnoty, przewracając przy tej sposobności do góry nogami wszelkie ustalone stosunki wieku, płci, związki rodzinne, targając węzły uczuć itp. Twórczość ich posiadała odór specyalny — trudno powiedzieć czy był to zapach czy fetor, czasem cuchnęło istotnie mocno. Całą tę dziką mieszaninę, pozbawioną wewnętrznej logiki, nazywano — amoralizmem.

Jedną z postaci, którą wprowadzono z naj

większem upodobaniem, był to — zakochany starzec. Ówczesny teatr dysponował bardzo obfitą galeryą portretów tego rodzaju. Wprowadzono w malowanie tego typu tysiączne waryanty, tysiączne subtelne odcienia. Czasem sześćdziesięcioletni bohater brał sobie za powiernicę własną córkę. Opowiadał jej wówczas o kłopotach, jakie mu sprawia utrzymanka, córka zaś zwierzała mu się ze szczegółów, dotyczących kochanków. Naradzali się razem złączeni braterskiem uczuciem, dobry ojciec dopomagał córce w wiarołomstwie, wdzięczna córka biegła do utrzymanki ojca, błagała, by przestała go oszukiwać, wymową swoją wzruszała serce niewiernej, przywoziła ją do gniazdka i oddawała wzruszonemu do łez ojcu.

Innym znowu razem dostojny starzec czynił się sam konfidentem swej utrzymanki, rozmawiał z nią o kochankach, jakich miała w danej chwili, i zadawalniał się sam, w braku czegoś istotniejszego, opowiadaniem o przeróżnych bezeceństwach oraz dziwactwach rozpusty, znajdując w tem nawet przyjemność.

Czasem zdarzało się, że kochanek skończony gentleman, przyjmował w domu swej byłej utrzymanki posadę intendanta, administrując jej majątkiem i opiekując się miłostkami.

Damy z wysokich sfer kradły.

Mężowie stanu za pieniądze oddawali swe córki na cele miłości lesbijskiej, a wszystko rozgrywało się wyłącznie w sferze bogaczów i ludzi wysoko urodzonych, innych warstw społecznych nie brano w rachubę. Działo się to dlatego, że można było widzom podać pożądany, a zakazany towar w zbytkownem opakowaniu. Inaczej byłby niemożliwy, musianoby wreszcie zabronić z urzędu tych przedstawień, ku ogromnemu żalowi młodych kobiet i trzęsących się starców. Nad tym teatrem unosił się odór trupi, zmieszany z wonią kadzidła haremowego.

Strona zewnętrzna, forma wypowiedzenia się, była takąsamą mieszaniną. Panował żargon, złożony z wyrażeń wszystkich sfer społecznych i wszystkich ludów świata. Słyszało się tam słowa pedantyczne, napuszone, kalembury cyganeryi kabaretowej, słowa klasyczne, wylewy liryczne, wyrażenia cenne, jadliwe, występne, garus świństw, ordynarne obelgi i wykwintne subtelności — słowem wszystko, co tylko posiadało, lub zdawało się posiadać obcy akcent, czy ton egzotyzmu.

Nawskroś przeironizowani, komedyanci z urodzenia i zamiłowania, nie posiadali zgoła, lub bardzo mało dowcipu przyrodzonego. Ale że byli zręcznymi, fabrykowali go sobie dosyć udatnie tak, że imitacya działała łudząco.

Nie było tam klejnotów, a oprawa niemal zawsze barokowa, podejrzanego gustu i mocno przeładowana, niemniej jednak wszystko to błyszczało, połyskiwało w świetle kinkietów a o to właśnie szło w pierwszej linii.

Inteligencyę posiadali i byli dobrymi spostrzegaczami, tylko że cierpieli wszyscy na krótkowzroczność, skutkiem wiekowego nawyknienia oczu do pracy biurowej, pracy laboratoryjnej, badania uczuć przez szkło powiększające, które czyni rzeczy małe wielkimi, wielkich nie dozwalając ogarnąć wzrokiem. Posiadali upodobanie niepowściągnione do miniatur i nie umieli malować nic innego, prócz rzeczy podpadających ich snobizmowi, ich intelektowi parweniusów ideału.

Była to garść hulaków znużonych i zblazowanych, wyrywających sobie skradzione pieniądze w celu zmarnotrawienia ich, i podejrzanej wartości samice.

Czasem jednak budziła się nagle rzeczywista natura tych zżydziałych autorów. Wyłaniała się z głębi ich istot, jak niepojęte jakieś echo, tajemnicze, rozbudzone po wielowiekowym śnie. A budziła się nieraz przy drobnej okazyi, za lada dźwiękiem słowa, wobec jawiącego się nagle wrażenia.

Wówczas napływał wiew pustyni, niosący w sobie dech dziwny, innej rasy i wieków. Szedł poprzez rozchwiej mórz i przynosił do buduarów paryskich rozgwar bazarów tureckich, błyskotanie i szum piasku, zwidy oryentalne, szał zmysłowy pijany, grzmot klątw ogromnych, zaciekłą newrozę, skurcze i drgawki, fantazyę zniszczenia i rozkładu.

Zdawało się, że Samson ukryty w odwiecznym ciemku, wstaje nagle niby lew i wstrząsa z wściekłością kolumnami świątyni, a wiązania pułapu rozpadają się w drzazgi i mury walą się z łoskotem na głowy wrogiej rasy.

Krzysztof zatkał nos i powiedział Sylwinowi:

— To jest bardzo potężne, ale to śmierdzi! Mam dość! Chodźmy zobaczyć co innego!

— Cóż takiego? — spytał Kohn.

— Francyę!

— Masz ją przed sobą! — odrzekł.

— Niepodobieństwo! Francya nie może tak wyglądać.

— W Niemczech jest to samo... — zapewniał Kohn.

— Nieprawda! Naród, któryby takim był w rzeczywistości, nie miałby dwudziestu lat życia przed sobą. Tu przecież już cuchnie trupem. Musi być gdzieś, coś całkiem innego.

— Nięma nic lepszego!

— Musi być przynajmniej coś całkiem odrębnego! — upierał się Krzysztof.

— A... już wiem — odparł nareszcie — Prawda... mamy także szlachetne, wzniosłe dostojne dusze! Mamy także i teatry dla takich dusz dostojnych. Jeśli ci tylko tego brak do szczęścia, rzecz załatwiona... chodźmy, jestem do usług.

I zaprowadził Krzysztofa do *Théâtre Francais.*

* * *

Grano tego wieczoru współczesną komedyę, której tematem była jakaś kwestya prawna.

Od pierwszych zaraz słów Krzysztof zatracił świadomość środowiska, w którem rzecz się rozgrywa. Głosy aktorów były przesadnie pełne, poważne, mówili bardzo powoli, z namysłem, wszystkie sylaby wygłaszali z jednakiem naciskiem, jakgdyby szło o udzielenie zasadniczych pojęć z zakresu oratorstwa, jakgdyby chcieli nauczyć słuchaczów skandowania przy akompaniamencie tragicznej czkawki.

Gesty ich były także uroczyste, niemal hieratyczne. Bohaterka osłoniona szlafrokiem, niby greckiem peplum, z rękami wzniesionemi w górę, głową opadającą na dół, poruszała się niezmienionym ruchem Antygony i uśmiechała się z wdziękiem nudnego, wiekuistego, bezprzedmiotowego poświęcenia, wydając z piersi najgłębsze tony swego pięknego, kontraltowego głosu.

Bohaterski ojciec stawiał kroki sztywne, jak wachmistrz żandarmeryi na podwórzu koszarowem, ruchy miał automatyczne i cały przeniknięty był niezmiernem, a żałobnem dostojeństwem, romantyzmem ukrytym w fałdach czarnego, długiego surduta. Pierwszy amant robił piersiami i zaciskał gwałtownie oczy, by z nich prawdziwe łzy wydusić.

Sztuka napisana była stylem tragedyi fejletonowej, a więc mnóstwo słów oderwanych, epitetów biurokratycznych, peryfraz szkolarskich. Ni śladu jakiegoś żywszego ruchu, ani też okrzyku niespodzianego. Od początku do końca mechanizm zegarowy, systematyczny wykład problemu postawionego na porządku dziennym, szablon dramatyczny, szkielet sztuki... pozatem nic... śladu życia, śladu ciepła... słowa wyjęte z książek fachowych.

A gdzieś, w głębi tej monotonnej dyskusyi, jakieś zarysy lękliwe idei, które raz poraz porywały się do rozpędu i znowu zapadały w mrok.

Były to dusze marne, drobno-mieszczańskie, obrosłe w sadło.

Bohaterka rozwiodła się z niegodnym jej mężem, z którym miała dziecko, i wyszła za szlachetnego człowieka, którego kochała. Szło o udowodnienie, że nawet w takim wypadku rozwód jest to rzecz potępiona zarówno przez naturę, jak i opinię publiczną. Autor urządził się bardzo pomysłowo. Oto stało się, że ów niegodny pierwszy mąż pewnego razu zakrada się i łączy się nanowo ze swoją żoną, która spostrzega, dopiero post factum, co się stało. Następuje rzecz taka, że miejsce natury, któraby się domagała oczywiście wyrzutów sumienia, może uczucia ogromnego wstydu, a jednocześnie wzmożonej potrzeby kochania tem silniej tego drugiego, szlachetnego męża — miejsce jej zajmuje nagle bohaterski czyn, wbrew naturze! Jakże niewiele kosztuje być cnotliwym wbrew naturze? Autorowie francuzcy nie utrzymują bliższych stosunków z cnotą. Mówiąc o niej, wpadają zawsze w dyszkant, wprost trudno im się utrzymać w skali głosu... no i oczywiście złudzenie prawdy przepada. Nie można się wyzbyć wrażenia, że ciągle ma się do czynienia z bohaterami Corneilla, z królami tragedyi.

Tymczasem nie są wcale królami ci milionerzy, ni te bohaterki, które nie brałyby się wogóle do interesu, nie mając widoków przynajmniej na pałac w Paryżu, oraz dwie, trzy wille czy zameczki na prowincyi. Bogactwo jest dlatego gatunku pisarzy i tego rodzaju publiczności — pięknem... niemal cnotą.

Publiczność zdziwiła Krzysztofa jeszcze bardziej, niż sama sztuka. Nie uczuwał nikt najlżejszego znudzenia wobec tych ustawicznie powtarzanych nieprawdopodobieństw. Wszyscy uśmiechali się lub śmiali w stosownych chwilach, w momencie, gdy aktor wygłaszał zdanie, które winno było wywołać uśmiech. Coprawda uprzedzał ich, by mieli czas przygotować się do śmiechu. W innych miejscach wycierał nos lub kaszlał i dyszał z głębokiem wzruszeniem, gdy tragiczne manekiny miały blednąć, wydawać ryki, lub zapadać w omdlenie, wedle wszelkich reguł sztuki teatralnej.

— A jednak mówią, że Francuzi są lekkomyślni! — wykrzyknął Krzysztof, gdy kurtyna zapadła.

— Wszystko ma swój czas! — uśmiechnął się Sylwin Kohn filuternie. — Chciałeś dostojności i cnoty? Otóż widzisz, że istnieje ona jeszcze we Francyi.

— Ależ to nie jest cnota! — zaoponował Krzyszłof, — To elokwencya!

— U nas — odparł Sylwin Kohn — cnota zawsze bywa wymowną!

— Cnota retorów! — rzekł Krzysztof. — Nagroda najgadatliwszemu! Niecierpię adwokatów! Czy nie macie poetów we Francyi?

Sylwin Kohn zaprowadził go do poetów.

* * *

Byli rzeczywiście poeci we Francyi, byli nawet wielcy poeci. Tylko teatr nie był im dostępny. Zarezerwowano go wyłącznie dla rymotwórców. Teatr jest dla poezyi tem, czem opera dla muzyki, wedle powiedzenia Berlioza: *sicut amori lupanar.*

Krzysztof ujrzał księżniczki-kurtyzany, które miały sobie za punkt honoru oddawać się prostytucyi, a które przyrównywano bluźnierczo do Chrystusa, wstępującego na stoki kalwaryjskie, widział dalej przyjaciół, oszukujących przyjaciół przez poświęcenie się dla nich, ugloryfikowane trójkąty małżeńskie i heroicznych rogaczów. Ten typ ostatni stał się nawet artykułem handlu europejskiego. Przykład króla Marka pociągał: na wzór jelenia św. Huberta nie ukazywano ich nigdy bez aureoli. Krzysztof ujrzał dziwactwa inne jeszcze, mianowicie wyranżerowane kokoty, stawiane wobec dylematu: namiętność, czy obowiązek. Namiętność kazała iść za nowym kochankiem, obowiązek zaś domagał się pozostania z dawnym, który dostarczał pieniędzy. Naturalnie wyjście było łatwe do przewidzenia: oszukiwały kochanka dawnego — obrawszy heroicznie drogę obowiązku.

Krzysztof był zdania, że obowiązek ów nie różnił się bardzo od brudnego interesu, ale publikę uszczęśliwiało takie rozwiązanie. Wystarczało jej bowiem słowo: obowiązek, o samą rzecz nie szło wcale, — sztandar pokrywał najzupełniej towar — co było pod nim nie obchodziło nikogo.

Szczytem sztuki, umiłowaniem największem widzów było, gdy autor potrafił w sposób możliwie najparadoksalniejszy pogodzić przewrotność płciową z bohaterstwem w guście Corneilla. Wówczas doznawały zadowolenie wszystkie popędy Paryżanina: wyrafinowanie intellektualne, zmysłowość i zamiłowanie do retoryki. Na pierwszem jednak miejscu — przyznać trzeba — stawiano gadatliwość, na drugiem dopiero bezeceństwo. Elokwencya jest i była najwyższem jego umiłowaniem. Piękna przemowa to niby bicz pędzący go w stronę; cnota, czy występek, heroizm najniemożliwszy, czy podłość cuchnąca — nie było pigułki, której nie przełknął, byle mu ją ozłocić dźwięcznym rymem, słowami wzniosłemi i efektownemi. Wszystko — miłość, cierpienie, śmierć. A gdy odegrano to przedstawienie, wszyscy byli przekonani, że odczuwali, kochali, cierpieli i umierali. Wzystko zmieniło sę we frazes, wszystko w sztukę.

Gdy Wiktor Hugo wyrzucił grom, natychmiast spieszył stłumić go, by przypadkiem nie przerazić jakiegoś dziecka. Tak mawiał jeden z jego apostołów, mniemając, że głosi chwałę mistrza. Nigdy nie rozebrzmiała w ich sztuce potęga natury. Przesalonizowywano wszystko. Literatura, bardziej jeszcze jak muzyka (która jest w Francyi sztuką młodą stosunkowo, a przeto naiwną) drżała przed tem „co już było“, a najzdolniejsi wysilali się formalnie na to, by z zimnem wyrachowaniem obrać stanowisko wprost przeciwne.

Proceder ten był niezmiernie prosty, dziecięco wprost naiwny. Obierał sobie taki autor jakąś piękną rzecz, utwór dłuższy, czy krótszy i wkładał w usta działających osobistości słowa wprost przeciwne, kazał działać na wspak. W ten sposób powstał „Sinobrody“, którego biły jego liczne żony, „Polyfem“, który wyłupuje sobie oko z dobrego serca, by się poświęcić dla szczęścia Acisa i Galatei. Poważnie nie traktowano niczego poza formą. A obok tego wszystkiego wydało się Krzysztofowi, że owi mistrze formy byli to mali podrabiacze, kopiści raczej, niż pisarze w wielkim stylu i twórcy stylu własnego o szerokiem pociągnięciu pendzla.

Bawili się w artystów, udawali poetów, a nigdzie poetycka blaga nie roztaczała się z taką bezczelnością jak w bohaterskim dramacie.

Utworzono sobie nawet półżartem receptę na bohatera:

Niech ma wspaniałą duszę, tudzież orle oko!
Czoło sklepiste, jak portyk rozsiadłe szeroko...
Moc w geście i pogodę, gdy ręką zatoczy,
Niech drżeń pełne ma serce a marzenia oczy!

I takie wiersze brano zgoła seryo. Pod pokrywką tych wielkich słów, pióropuszów, całej tej teatralnej parady, mieczów z blachy i hełmów tekturowych żyła wiekuista nicość takiego Sardou, nieuleczalnego wodewilisty, grającego w

ciuciubabkę z historyą. Jakiż odpowiednik w świecie realnym miał naprzykład heroizm takiego Cyrana? Autorowie przetrząsnęli ziemię i niebo, wydobyli z trumny cesarza i jego legiony, bandę świętego przymierza, kondotierów Odrodzenia, wszystko zło, wszystkie potęgi świata, które szalały na nim, i wszystko jedynie, by pokazać kilka figur woskowych, zimnych i nieczułych na wszystkie te masakry, otoczonych hufcami zbrojnych gwardyi, albo rzezańcami w haremach, manekinów płonących rzekomo miłością do jakiejś widzianej przed laty kobiety, lub znów poto, by powiedzieć, że król Henryk IV dał się zamordować z powodu, że kochanka przestała się nim interesować.

Krzysztof spostrzegł z wielkiem zdziwieniem, że Francuzi, którzy są podobno bardzo spostrzegawczymi, nie posiadają jednak poczucia śmieszności.

I dobrze było jeszcze, jeśli nie stała na przykład religia na porządku dziennym mody literackiej. Bo wówczas w Wielki Post naprzykład aktorzy wygłaszali w Gaîté kazania Bossueta przy dźwiękach organów, autorowie-żydzi pisywali dla aktorek-żydówek tragedye, których tematem była św. Teresa, grywano „Drogę Krzyżową“ w teatrze la Bodinière „Dziecię Jezus“ w Ambigu, „Mękę pańską“ w teatrze Porté-Saint-Martin, „Jezusa“ w Odeonie, a suity na orkiestrę pt. „Chrystus“ w teatrze Ogrodu-Aklimatyzacyjnego.

Pozatem kilku wykwintnych causerów i jeden poeta, piewca rozkoszy, wygłaszali stale odczyty na temat „Odkupienia“.

Oczywiście z całej ewangelii najbardziej pociągała wszystkich historya Piłata, przygody Magdaleny, zaś ich bulwarowy Chrystus odznaczał się gadatliwością straszną, pełną kruczków światowej kazuistyki.

Krzysztof zadecydował:

— To chyba już najgorsze z wszystkiego. To jest uosobiony fałsz! Duszę się. Idźmy stąd!

Przełożył Franciszek Mirandola.



W. WEISS — UL. FLORYAŃSKA W ŻAŁOBIE.

(Z WYSTAWY „SZTUKI“).



H. DAUMIER — STRAJK DRUKARZY.

P R Z E G L Ą D

BAHR O EKSPRESYONIŻMIE.

Herman Bahr, niemiecki krytyk i poeta, napisał rzecz pt. „Expressionismus", która teraz wyszła w drugiem wydaniu. Bahr jest u nas znany ogółowi tylko z paru komedyi granych w Krakowie („Pieniacz" i „Koncert"). W Niemczech jest znany głównie jako pionier — chociaż nie przodownik — różnych kierunków duchowych, które jedne po drugim „przezwycięża". Przezwyciężacz, to jest człowiek, który się tak intenzywnie rozwija, że chcąc z nim polemizować, nigdy się go nie zastaje w domu, tak szybko przeprowadza się z jednego poglądu w drugi. (Takim był u nas St. Brzozowski, który się tem nawet chlubił). Z wiekiem tempo rozwoju u Bahra trochę osłabło. Teraz ostał się przy katolicyzmie, który propaguje w powieściach. W „N. W. Journal" drukuje co niedzielę swój pamiętnik współczesny, w którym omawia różne bieżące kwestye polityczne, kulturalne, artystyczne. Jest pisarzem bystrym i jasnym, prócz tego wyrozumiałym (to słowo pochodzi od rozumu, nie od pobłażliwości) — i chce zawsze z „żywymi naprzód iść". Dziełko jego o ekspresyonizmie jest ciekawe nietylko dlatego, że ekspresyonizm jest teraz w modzie i że wszystko co Bahr pisze, jest ciekawe, ale specyalnie i dlatego, że oto człowiek starszej epoki pragnie zrozumieć i wczuć się w sprawę pokolenia młodszego, i umysł jasny pragnie zoryentować się w kwestyi niejasnej i rozmyślnie zamąconej. Dlatego też rzecz Bahra o ekspresyonizmie może służyć na początek za przewodnika ludziom, którzy zbliżają się do tego nowego „izmu" z uprzedzeniem, nie znajdując pomostu między swoim światem a tym nowym. Pikantnem jest jeszcze to, że Bahr w ostatniej swej fazie był obrońcą impresyonizmu, któremu się ekspresyoniści gwałtownie przeciwstawiają.

W pierwszej części książki stacza Bahr kilka utarczek przedpolowych. Stwierdza np. trafnie, że podczas gdy ludzie zazwyczaj chętnie poddają się najnowszej modzie, kubiści, futuryści i ekspresyoniści mało mają pociechy z tego przywileju psychologicznego. Ludzie oburzają się na nich jakoś specyalnie, a wydaje się to oburzeniem nie smaku, lecz oburzeniem moralnem. Artystom pragnie się wszystko przyznać, ale nie szarlatanom! Tu następuje znakomita dygresya o szarlatańśtwie w sztuce, dająca się zastosować także do poezyi i muzyki. W sztuce zawsze było dość szarlatanów, może więcej niż artystów. Prawdziwy purytanin sztuki mógłby nawet powiedzieć, że wogóle ktokolwiek wyraża rzeczy wewnętrzne, musi już do pewnego stopnia szarlatanizować. Może nawet żaden artysta nie jest zawsze bezpiecznym przed popadnięciem w ten grzech. Po chwilach wzlotu i natchnienia natępują przecież chwile ubytku siły twórczej i kto wie, czy wtedy nie ma artysta prawa trochę sobie pomóc, trochę poszachrować. Goethe prawie nigdy nie szachrował — dla jego dzieł byłoby jednak może lepiej, gdyby mniej dbał o czystość swego sumienia. Inni artyści dbają przedewszystkiem o dzieło, dla dzieła fałszują siebie i robią z siebie więcej niż przynosi im chwila.

Ale im więcej się rozmyśla nad tem, co znaczy szarlatańśtwo w sztuce, tem problematyczniejszą staje się ta sprawa. Po pierwsze tylko sam arty-

sta może powiedzieć, czy i w czem szachrował. Ale nawet i artysta nie zawsze będzie mógł to powiedzieć, gdyby zaś i mógł, nie będzie to ważnem. Często wygląda na szarlatańśtwo to, co jest raczej nieporadnością wskutek wewnętrznego nadmiaru. Ale całe pytanie sięga jeszcze głębiej; mianowicie, czy wogóle nie przeceniamy intencyi artysty, gdy chodzi o dzieło sztuki. Muzyka domowa dyletantów na prowincyi jest z pewnością bardzo pobożna, grają Beethovena ze łzami w oczach: wirtuoz, koncertujący w miastach, roni łzy chyba tylko nad konkurencyą: tamci mają czystsze intencye, ale on ma lepsze palce. Co to jest wogóle „szczerość“? I kiedy ma być artysta szczerym? W owocnej chwili pierwszego pomysłu czy w długich godzinach wykonania? Ale proszę mi powiedzieć, w której chwili ustaje pomysł i staje się wykonaniem, i czy wykonanie nie musi się wciąż na nowo stawać seryą pomysłów? Tak samo nierozumnem jest w oczach Bahra potępiać artystę za to, że tworzy nie z wewnętrznej potrzeby, lecz wskutek bodźców zewnętrznych np. na zamówienie. A jednak na zamówienie pracowali Rafael i Michał Anioł, Greco i Velasquez, Rubens i van Dyck. Pojęcia szczerości nadużywa się dziś straszliwie. Wszak mamy artyście już nawet za złe, jeżeli wogóle ma jakiś zamiar. Chcemy żeby był zupełnie nieświadomym, lunatykiem, napadniętym przez wizye. Ale wizyoner Wagner postanowił sobie raz napisać „operę dla Włochów“ „łatwą do wystawienia“ — i z tego powstał „Tristan“. Idzie nietyle o to, żeby mieć czyste intencye, lecz raczej o to, żeby mieć siłę, której nawet zła intencya nie zaszkodzi.

Do tego, co tu Bahr mówi, dodać można jeszcze jedno: Nadużywa się u nas także pojęcia „intuicyi“. Ale np. zarówno dobry jak zły wiersz rodzi się z intuicyi, która ma taki sam przebieg psychofizyczny: najście wizyi, uchwycenie jej, zdziwienie własne, aż do wstrząśnienia duszy, ocena wizyi i przyjęcie jej, dalsze zapuszczanie się odkrytym krużgankiem podziemnym itd. Przytem mogą poecie włosy stać dębem, oko nieruchome, nawet ewentualnie łza itd. Wszystko to nic nie znaczy i o niczem nie stanowi. Rozstrzygającą jest dopiero merytoryczna jakość utworu, ale najgorszy partacz tworzy tak samo jak geniusz: przychodzą mu myśli do głowy.

Pomijam ciekawą dalszą dygresyę Bahra o niejasności wogóle, a niejasności programów ekspresyonistycznych w szczególności. I tu znajduje Bahr słowa usprawiedliwienia. Przechodząc do głównych zarzutów, stawianych ekspresyonizmowi, stwierdza Bahr: Gdy impresyonizm chciał jeszcze wywołać złudę rzeczywistości, ekspresyonizm pogardza tem. Namiętnie oponuje przeciw wszystkim żądaniom, jakie dotąd zwykliśmy byli stawiać obrazom, aby je uznać wogóle za obrazy. Gwałci rzeczywistość, gwałci naoczność, gwałci świat zmysłowy. Zdaje się zaprzeczać wszystkiemu co uchodziło dotąd za sens malarstwa i co szanowały nawet kierunki najbardziej rewolucyjne. To jest prawdziwa przyczyna powszechnego oburzenia.

Wyjaśnienie zagadki przez Bahra jest takie: ekspresyoniści malują także tylko to, co widzą, ale ich widzenie jest inne: jestto widzenie wewnętrzne.

Widzenie zmienia się według stosunku człowieka do świata. Historya malarstwa jest zarazem historyą filozofii, zwłaszcza tej nienapisanej. Widzenie jest stanem równocześnie biernym i czynnym. Oko odpowiada na podnietę zewnątrz, przerabia ją na wrażenie i odsyła do myślenia. Drzewo jako podnieta wzrokowa jest tylko stosem zielonych plam: aby było drzewem, do tego jest już potrzebny własny wysiłek. Bahr powtarza tu różne rzeczy wiadome ze szkoły Kanta a nietylko Kanta, ale cytuje najchętniej Goethego. Wywodzi dalej, że stosunek człowieka do świata określa się głównie tem, która część widzenia u niego przeważa: czynna czy bierna albo raczej której części lepiej wierzy: światu zewnętrznemu czy sobie samemu. Człowiek albo ucieka przed światem w siebie samego, albo ucieka od siebie do świata, albo trzyma się w pośrodku między obu temi państwami. To są trzy podstawy człowieka wobec zjawiska.

W praczasach człowiek nienawidzi natury boi się jej, ona jest silniejszą niż on, uratować się może tylko uciekając przed nią w siebie. To, że znalazł w sobie odwagę oderwania się od natury, jest mu dowodem że w nim samym musi tkwić tajemnicza siła. Tej sile się powierza. Z własnej piersi wydobywa swojego boga i przeciwstawia go naturze. Musi istnieć jakaś potęga silniejsza od niego, ale silniejsza też od świata. Sztuka jest wtedy próbą niejako złamania zewnętrznego zjawiska, otwiera natomiast wnętrze duszy człowieka; wtwarza on w świat — nowy świat, który do mego należy i jego słucha. W prymitywnym ornamencie szalona zmienność rzeczy przewyciężona jest spokojem. Człowiek pierwotny boi się wymiaru głębi, dlatego wydobywa zjawisko z głębi i osadza je na płaszczyźnie. Zamiast nieregularnych form widzi tylko linie, koła i kwadraty, i widzi wszystko płasko: wskutek tej wewnętrznej potrzeby, by odwrócić od siebie naturę. Bahr — którego wywody oddajemy tu przeważnie jego własnemi słowami — sztukę owych czasów: np. sztukę Egipcyan, tłómaczy sobie nie niedołęstwem technicznem, nieumiejętnością rysowania, lecz właśnie tą wrogą postawą wobec świata. Zdawałoby się, że ta wroga postawa pochodziła właśnie z braku technicznego opanowania światem choćby przez rysunek. Lecz intencya Bahra jest inna, uważa on, że tak-

że wysoko rozwinięta sztuka wschodu filozoficznie jest wynikiem tej samej postawy, co sztuka człowieka pierwotnego. Człowiek wschodu już przezwyciężył naturę, przeniknął zjawisko i poznał je jako pozór; wszelkie widzenie ma domieszkę mądrej litości oko przyjmuje zewnętrzną podnietę tylko, aby ją zaraz zdemaskować.

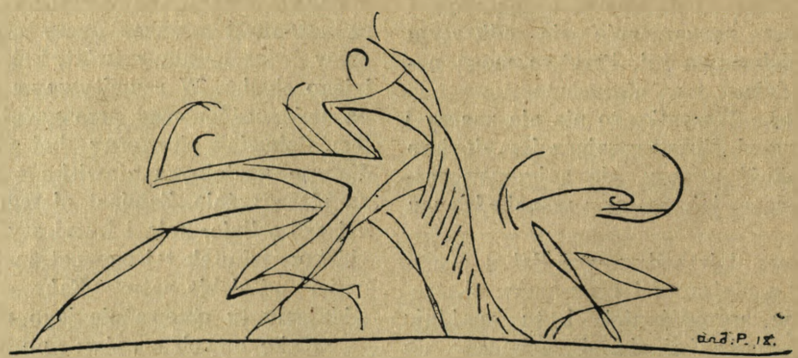
My tego nie możemy odczuć, ponieważ wciąż jeszcze patrzymy na świat oczyma Greków. Grecy odwrócili człowieka; nauczyli go ufać naturze. Musiała to być ogromna przełomowa chwila. Apollo z Tenei, wykopaliska mykeńskie, wiele starych bożyszcz greckich świadczą jeszcze o pierwszej epoce. Atoli powoli Grek przestaje wydobywać swego Boga z własnej piersi, szuka go poza sobą; wdziera się natura, Bóg ożywia się: tu wyzwala się ręka, tam odsłaniają się plecy, stężałe rozluźnia się, Bóg się budzi; ale to już nie Bóg, lecz człowiek. W Greku godzi się człowiek z naturą, ona przestaje mu być straszną; zawiera z nią pokój, a odważając się oddać się jej, spodziewa się w ten sposób ją opanować.

Tak powstaje człowiek klasyczny jednoczący się ze światem i cała historya zachodu rozwija odtąd jeszcze zawsze tego klasycznego człowieka. Czasem budzą się wspomnienia praczasów, przychodzi chrześciaństwo ze swoją głęboką nieufnością wobec przyrody ale klasyczny człowiek utrzymuje się. Człowiek odwraca się coraz bardziej od swego wnętrza i wychodzi na zewnątrz. Staje się coraz bardziej okiem. Oko traci wreszcie zupełnie własną wolę, staje się biernem echem przyrody: to jest impresyonizm.

Impresyonista jest ostatecznem dokonaniem klasycznego człowieka. Stara się on ze swgo widzenia wykluczyć o ile możności to wszystko, co człowiek sam z siebie dodaje do zewnętrznej podniety. Jest próbą, by z człowieka pozostawić tylko siatkówkę. Mówi się o impresyonistach, że żadnego obrazu nie „wykończają". Właściwiej byłoby powiedzieć: nie wykończają widzenia. Impresyonista chce podpatrzyć naturę w chwili, gdy nie jest jeszcze uczłowieczona. Takiem jest widzenie epoki, która wierzy tylko zmysłom, a zwątpiła we wszystkie inne siły ludzkie. Człowiek rozpłynął się w świecie.

Tu Bahr znajduje się na tym samym gościńcu myślowym, co Hamann w głośnej swojej książce o impresyonizmie. Cytuje nawet tak samo, jak tamten, filozofa Macha jako szczyt owej abnegacyi impressyonistycznej, bo wszakże Mach uznał człowieka tylko za kłębek wrażeń i odmówił mu jaźni aforyzmem: „ja" nie da się ocalić.

Owóż ekspresyonizm jest w oczach Bahra gwałtownym buntem przeciw impresyonizmowi: zupełną niewiarą w świadectwo zmysłów, zupełnem zdaniem się na widzenie wewnętrzne. Przyszły znowu czasy nieufności wobec natury, wobec świata zewnętrznego, który stał się znowu najstraszniejszym wrogiem dla człowieka (wojna!!). Wyrazem tej obawy i nieufności jest ekspresyonizm. Bahr rozpatruje go właściwie tylko jako prąd kulturalny, nie wdając się w różne gatunki i cele ekspresyonizmu. Stara się jeszcze tylko ściślej kreślić „oko ducha", które nie jest frazesem ani przenośnią, lecz faktem i z dzieł kilku fizyologów zestawia wszystko, co się odnosi do „widzenia wewnętrznego". Mianowicie stawia pytanie: co człowiek widzi przy zamkniętych oczach? Tu jest — czy może być — źródło dziwacznych wizyi ekspresyonistycznych. (Dok. nast.)



Rys. And. Pronaszki.

KRAKÓW · 10 · LIPCA · 1918 ZESZYT · 20

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI KOŹLEC (Z RYSUNKÓW DO „LEGENDY").
(Ze zbiorów p. Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

ROMAIN ROLLAND.

DWIE FRANCYE.

Z „Jean Christophe a Paris" III: „Dans la maison".

Krzysztof pojąć nie mógł, skąd się bierze, że Oliwer jest Francuzem..

Nie był podobny do żadnego ze znanych mu Francuzów.

Przed poznaniem Oliwera skłonnym był uważać za przeciętny typ współczesnego Francuza bodaj takiego Lucyana Levy-Coeura. A jednak była to tylko maszkara. Teraz dopiero spostrzegł, że jednak Paryż zdolnym jest wydać ludzi, nie ustępujących w wolnomyślności Levy-Coeurom, a jednak tak czystych wnętrznie i tak dzielnych oraz nieprzedajnych, jakich mało napotkać można w Europie.

— Mój drogi! — odparł Oliwer — Wybacz, ale muszę ci powiedzieć, że nie masz wyobrażenia o tem, co to jest Francya.

Krzysztof wytoczył swe najcięższe dzieła, przedstawiał, ile go kosztowało trudu poznawanie ludzi, wyliczył wszystkie osobistości francuskie, spotkane zarówno u Stevensów, jak i Roussinów, wymienił najdokładniej tych wszystkich żydów, Belgów, Luksemburczyków, Amerykanów, Rosyan, ludzi Wschodu, a w liczbie nazwisk cytowanych znalazło się nawet kilka francuskich.

— Otóż to właśnie woda na mój młyn!—odparł Oliwer. Nie poznałeś dotąd ani jednego uczciwego Francuza. Obracałeś się pośród ptactwa błotnego, żerującego na bagnisku, i to ptactwa obcokrajowego, przelotnego. Kogóż bo spotkałeś? Polityków, don Juanów, bandę bezpłodną, szumowiny zbierające się na powierzchni każdego narodu, brud, który rusza się, perli przez czas jakiś, a potem zostaje usunięty. Nic on nie ma wspólnego z treścią danego społeczeństwa. Widziałeś jeno rój ós, unoszących się w piękny, jesienny wieczór ponad winnicą. Tylko to widziałeś. Nie było ci danem spojrzeć w głąb ula, gdzie krzątają się pracowite pszczoły, gdzie wre praca uczciwa i płodna.

— Daruj! — powiedział Krzysztof. — Widziałem także i waszą własną, narodową śmietankę ducha.

— Jakążeto? Tuzin pismaków? A toś się ładnie wybrał. Sądzisz, że to są najlepsze siły narodu? — Nie mój drogi! w naszych czasach wiedza i czyny zabierają tyle czasu i takie zajmują stanowisko, że literatura stała się jeno nieznaczną przymieszką myśli narodowej, sprawą zgoła nie istotną, w której się dusza narodu nie wypowiada.

A zresztą, czyż poznałeś bodaj tę naszą literaturę? Zaznajomiłeś się jeno naogół z samym tylko teatrem, i to z teatrem luksusowym, z kuchnią kosmopolityczną, obliczoną na gości hotelowych Paryża, bogatych i głupich, przejezdną klientelę. Jest to coś jak biblioteka wagonowa. Czy sądzisz, że poważny pracownik Paryża wie, co tam grają w tych paryzkich teatrach? Broń Boże! Taki naprzykład Pasteur, nie był w teatrze przez całe życie więcej jak dziesięć razy.

Wzorem wszystkich cudzoziemców, przypisujesz naszym romansom i teatrzykom bulwarowym, oraz politycznym intrygom i tym podobnym głupstwom przeraźliwie przesadne znaczenie. Na każde zawołanie mogę ci wskazać, nawet pośród najwyżej duchowo postawionych, kobiety, które nie biorą do ręki głupiego romansu, dziewczęta, Paryżanki bez zarzutu, które nie bywają w teatrach, mężczyzn, którzy nie zajmują się polityką.

Nie znasz Krzysztofie ani uczonych naszych, ani nawet poetów. Niewidziałeś żadnego z nich, jak pracuje w samotni, skupiony w sobie, nie znasz też potęgi rewolucyjnej naszego ducha. Nie znasz żadnego z naszych wielkich wyznawców, ani żadnego wielkiego bezbożnika. O samym ludzie nie mówię już wcale. Z ludu, znasz tylko jedną biedną kobiecinę, która cię pielęgnowała w czasie choroby. Skądżebyś zresztą miał znać lud? Iluż znasz mieszkańców trzeciego i czwartego choćby piętra? A nie znając ich, nie znasz, nie mówię, kraju, ale nie znasz nawet miasta. Koniecznie jednak trzeba spojrzeć w te dusze mężne i prawe, stłoczone w ubogich domostwach, po paryzkich mansardach, niby w cichej, niemej prowincyi, nieznane i zapoznane, trawiące czas w skromnej pracy, w ciągłem zaparciu i rezygnacyi wiodące żywot, ową gminę, która trwa od zaczątków państwa ukryta, zapomniana, jednak nie przemija, istnieje, streszczając w sobie całą siłę miasta. Milczy i żyje, ci zaś, którzy mianują się wyborem, kwiatem, śmietanką, ciągle więdną, gniją, przemijają i ustępują miejsca przybyszom nowym.

Dziwisz się, widząc Francuza, który nie po to żyje, by być szczęśliwym, szczęśliwym za każdą cenę, ale po to, by ziścić zwycięstwo przekonań swoich, by służyć swym ideałom! Zaręczam ci, że tysiące czynią to samo, tylko z większą dużo usilnością, poświęceniem, skupieniem ducha, skromnością. Żyją w niestrudzonej pracy, słu-

żąc aż do ostatniego tchnienia ideałowi, owemu bóstwu, które wszystko bierze, niczem nie odpłacąc pracownikowi.

Nie, zaprawdę nie znasz owego ludu, maluczkich, tych mas nieskończenie oszczędnych, metodycznych, pracowitych, spokojnych, na dnie serc żywiących mały, napół zaśniony płomyk, tych niezliczonych rzesz ofiarniczych, w obronie których niegdyś stawał krajan mój, niebieskooki Vauban, zasłaniając ich przed zachłannością wielmożów.

Nie znasz ludu!

Czy przeczytałeś choć jedną z owych książek, które są nam wiernymi sprzymierzeńcami i doradcami serdecznymi? Czyż wiesz bodaj o istnieniu czasopism, służących naszemu ruchowi, pełnych płomiennego zapału i silnych, głoszonemi przekonaniami? O! nie domyślasz się nawet, że żyją pośród nas dusze wielkie, władające nieznanemi ci siłami moralnemi, nasze słońca, których promieniowanie ciche, a mocarne szerzy popłoch pośród szeregów obłudników. Nie mają odwagi zaczepić i walki uczciwej się straszą, przeto chylą się przed nimi, patrząc jeno, gdzieby uskoczyć na bok i zadać skrytobójczy cios zdrady.

Albowiem niewolnikiem jest obłudnik, gdzie zaś niewolnik, tam jest i pan. Znasz samych niewolników jeno, nie znasz władców. Patrzyłeś na nasze walki, widziałeś je, ale nazwałeś je dzikiemi i bratobójczemi wybrykami, albowiem nie zdołałeś pochwycić ich wnętrznej treści. Widzisz cienie i refleksy światła, ale tajne jest dotąd dla ciebię światło wnętrzne naszej duszy nieśmiertelnej.

Czy zapragnąłeś poznać tę duszę?

Czy dowiedziałeś się kiedykolwiek czegoś o naszych bohaterskich czynach od czasów wypraw krzyżowych, aż do Komuny? Czy starałeś się pojąć głęboki tragizm francuskiego ducha? Czy pochylałeś się kiedy nad wiszarem, pod którym zieje przepaść, zwana — Paskalem?

Jak śmiesz urągać ludowi, który od przeszło dziesięciu wieków gromadzi piramidy czynów i działaniem swojem napełnia świat cały, ludowi który kształtował oblicze świata na swój obraz i podobieństwo przez ciąg średniowiecza, siedmnastego stulecia, i dał kuli ziemskiej Wielką Rewolucyę; ludowi, który przetrwał po razy dwadzieścia ogniową próbę mocy, czyniąc się za każdym razem twardszy, wystalając się w nieugiętość nadludzką, który zmartwychwstawał dwadzieścia razy, nigdy śmierci się nie uniżywszy!...

Wszyscyście jednacy!

Zaprawdę, każdy z ziomków twoich, przybywając do nas, spostrzega same jeno pasożyty, które nas kąsają, robactwo i plugastwo. Nie widzi niczego, prócz awanturników literatury, polityki, czy finansów, łącznie z przynależnymi do nich liwerantami, klientelą i utrzymankami..

A zobaczywszy to świństwo, zabiera się odrazu do wydawania sądów o Francyi.

Zaprawdę, zły to sąd i należy go odrzucić. Nie według nędzników, którzy wysysają soki narodu, należy ustalać swe mniemania. Czemuż żaden z was nie pomyśli o prawdziwej, o pognębionej Francyi. Ileż skarbców, pełnych klejnotów życia, po prowincyach! Skierujcie spojrzenie na cały naród pracujący, co słucha z obojętnością głęboką znikomego poszumu, jaki dobiega od stołków biesiadnych jednodniowych mocarzów wielkiego świata.

Oczywiście, aż nazbyt zrozumiałe, że o tem wszystkiem nie wiecie nic i nie czynię wam też z tego tytułu zarzutu. Jakżeby mogło nawet być inaczej? Nie wiele Francuzów zna Francyę rzeczywistą. Najlepsi z nas, są do pewnego stopnia internowani, są jeńcami we własnej swojej ojczyźnie.

Toteż nigdy nie dowie się świat, cośmy wycierpieć musieli, my napełnieni miłością dla naszej rasy, my przechowujący jako święty, złożony w nasze ręce skarb, światłość geniuszu gallickiego, my, którzy chronimy z odwagą rozpaczy jego płomię przed tchem wroga, usiłującego zagasić je podstępem, czy gwałtem.

W walce zażartej i upornej stoimy sami. A wokół nas atmosfera zatruta odorem onych pasożytów, które rzucają się na każdą myśl naszą, niby rój komarów bagiennych, gąsienic, zgryzających żarłocznie młode listowie naszych idei, kalających nasze serca wstrętnemi wydzielinami.

Opuścili nas ci, których powinnością, misyą życia jest obrona nasza. Zdradzili nas przywódcy nasi, głupi i nikczemni krytycy. Przeszli dawno do tamtych i liżą im stopy, by sobie wybłagać przebaczenie za to, iż krew naszej rasy płynie w ich żyłach. Zdradził nas lud, albowiem nie troszczy się zgoła naszym losem, nie zna nas wcale.

Stoimy osamotnieni na pozycyi.

I jakież posiadamy środki, by dać sygnał, wić posłać skrzykującą wiernych pod sztandar zagrożony? Brak nam tych środków i to jest rzecz, która boli najdotkliwiej.

Wiemy jeno, że tysiące współbojowników żyje w granicach kraju ojczystego, że są liczni ludzie, żywiący ideje nasze. Wiemy, iż przemawiamy w ich imieniu, a jednak nie możemy nic zgoła uczynić, by nas usłyszano.

Tamci opanowali wszystko: dzienniki, pisma peryodyczne, teatr... Prasa unika starannie każdej idei, o ile nie jest ona narzędziem rozkoszy,

albo bronią w walce partyjnej. Zorganizowana intryga, oraz kliki literackie dozwalają wolnego wstępu jeno temu, kto zdepcze na progu samego siebie.

Nędza i nadmiar pracy pochylają nas ku ziemi. Politycy żądni tego jeno, by się wzbogacić, zaprzątają swe myśli tylko kupną częścią proletaryatu. Zobojętniałe, samolubne i wskroś znikczemniałe mieszczaństwo przygląda się ziewając, jak umieramy.

Lud nas nie zna, a nawet ci, którzy idą porówni z nami, ci, którzy, jak my, śmiertelnie uznojeni, bronią okopów idei, zapadnięci w ciszę beznadziejną, ci nawet o istnieniu naszem nie mają wieści, podobnie, jak my sami nie wiemy o nich zgoła.

Złowrogie miasto!

Zaprawdę dokonało także dobrej rzeczy, grupując w działy porządne siły poszczególne francuskiego ducha. Ale to zło, które się tu rodzi, to wielkie zło, czyni nicością lub równoważy conajmniej rzeczy dobre i korzystne. Rzeczy one same z siebie, w chwilach, jakie przeżywamy obecnie, mimo iż dobre były zrazu, w czarne zło się przemieniają.

Starczy bowiem, by jakaś można klika, jakaś samozwańcza elita pochwyciła w szpony miasto i uderzyła w wielki dzwon opinii, a wszelki inny głos jest zabity.

Miasto zaś porwać, jakże niezmiernie łatwo!

Co gorsza. Jeśli wpadło raz w ręce czarnej mafii ducha, to sieje zarazę po całym kraju. Francya milknie zmieszana, niepewna, co czynić i myśli własne trwożnie kryje, cofa nawet, zapiera się własnych przekonań, nie wiedząc, co ma myśleć.

Dawniej cierpiałem bardzo z tego powodu. Cierpiałem niewymownie. Ale teraz uspokoiłem się znacznie. Zrozumiałem bowiem siłę własną i siłę mego narodu. Musimy jeno przeczekać cierpliwie powódź. Fale brudne, spienione spadną wrychle, a Francya zbudowana z granitu twardego, nic jej zalew uczynić nie zdoła.

Chcę, byś zobaczył ten grunt skalisty, bo oto z pod szlamu występują już na miejscach niektórych szczyty i zbocza gór wyniosłych.

Przełożył Franciszek Mirandola.

LEOPOLD STAFF.

O FRANCJO!

O, Francjo! Rewolucji szlachetna kolebko!
Zdradziłaś ty myśl własną i nas w wieku ciągu,
Zbywając nas ostrożnych wykrętów odczepką,
Zaślepiona w wygodzie i złotym szelągu.
Dopiero dziś braterstwem jesteś głośna wielce
I wyznajesz wolności wszechludowej wiarę,
Kiedy runęły czczone przez twą trwogę Cielce,
Kiedy w kurzawie leżą świata bożki stare.

Rzymie Piotrowy! Ty, co sam wzrosłeś ofiarą!
Wyparłeś się nas nieraz, choć byłeś powinien
Wiecznie sam nieustanną być ofiarną czarą
I lać w nią krew za prawdę z żył czerwonych rynien.
Dziś bierzesz nas w opiekę wzniośle i serdecznie
I dajesz nam ojcowskie swe błogosławienia,
Kiedy wolność przyznawać ludom — jest bezpiecznie
I jeno niewolnikiem jesteś powodzenia.

O, Francjo! Głos wyrzutu to twojego brata,
Który, kiedy był gnębion knutem i żelazem,
Cierpiał sam, a dziś miłość ma całego świata,
Gdy miłować jest czasu korzystnym rozkazem.
Kościele-Matko! Żal to wiernego jest syna,
Którego kochać bałaś się, gdy marniał w klęsce,
I dopiero dziś pierś twa przygarnia matczyna
Syna-nędzarza, gdy ma wyróść na zwycięzcę.



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

WALKA.

POWIEŚĆ.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.



Stary poważny służący w liberyi otworzył drzwi posłyszawszy głosy.

— Czy mama bardzo niespokojna? — zapytała z obawą w głosie panna Donimuntówna, wchodząc do dużej komnaty wstępnej i wprowadzając Przesiewiczównę i Piotra. — Konie po pannę Marusię były?

— Były, proszę jaśnie panienki — odpowiedział służący. — Pani Gosińska czekała.

— Gdzie mama?

— Jaśnie pani czeka z herbatą.

— Proszę.

Służący otwarł drzwi od przechodniego pokoju z kilkorgiem wyjść, z wieszadłami i zwierciadłami; z lekkiem pochyleniem uchylił drzwi następne: od stołu jadalnego skierowały się na wchodzących zimne, dumne spojrzenia siedzącej w fotelu siwowłosej starszej osoby, o twarzy dosyć otyłej. Obok siedział przy herbacie z jednej jej strony młody Donimunt Zbigniew, z drugiej szpakowaty jegomość, z włosami trochę na czoło zaczesanemi, wygolony, ze szpakowatemi liniami krótkociętych faworytów, o wązkich ustach i przymrużonych siwych oczach.

— Gdzie byłaś tak długo? A! Marusia? Kto jest ten pan? —zapytała starsza pani niemile i z rozdrażnieniem w głosie.

— Wypadek, mamo, przepraszam — odpowiedziała Donimuntówna podchodząc, aby matkę w rękę pocałować. — Powrozu na Naściukowym stawie nie mogliśmy rozplątać. Pan Węglin, inżynier, był łaskaw nas odprowadzić z folwarku.

— Dlaczego wracałaś tamtędy? Jak się masz Marusiu?

Dotykając głowy Marusi, schylonej do jej ręki, pani Donimuntowa skinęła głową Piotrowi, zmierzywszy go sucho a bystro oczami. Zbi-

gniew Donimunt przywitał się z nim z pewnem zdziwieniem, natomiast szpakowaty pan, wysoki, chudy w opiętym tabaczkowym angielskim surducie z aksamitnym kołnierzem, poznał się z nim bez ceremonii, jako szwagier pani Donimuntowej, Ewaryst Donimunt. Piotr siadł do podanej herbaty, a Donimuntówna z Marusią, mimo widocznie dawnej znajomości nieśmiałą, ostrożną i odpowiadającą głównie na pytania, wytłomaczyły bliżej powód opóźnienia przez powróz, towarzystwa Piotra, oraz kto był na wieczorze u państwa Przesiewiczów. Tymczasem z Piotrem wszczął rozmowę szpakowaty jegomość, jakoś tak, że indagacyom i zapytaniom w dosyć szorstki sposób komunikowanym przez panią Donimuntową położył koniec.

— Czy przeszkadzam może kuzynowi? — zwróciła się do niego pani Donimuntowa, zniecierpliwionym, choć miarkowanym głosem, akcentując słowo: kuzyn.

— Ale uchowaj Boże! Proszę się pytać! Któż więcej był u państwa Przesiewiczów? Pół Berdyczowa?

— Więcej nikt nie był, proszę pana — odpowiedziała Marusia, wstrzymując uśmiech.

— No — i szpakowaty jegomość rozłożył komicznie ręce.

Pani Donimuntowa zaczęła się śmiać.

— Kuzyn byś dyabła jednym gestem rozśmieszył.

— Czasem mi się udało.

Oboje młodzi Donimuntowie rozśmieli się.

W Piotrze dygotało całe jego jestestwo. Myśl jego porywał raz po razu wicher i niósł nad tę czarną toń pod księżyc —na ową straszną kładkę. Chwytała go chęć to opowiedzieć straszną rzecz Zbigniewowi Donimuntowi wyprowadziwszy go do innego pokoju, to szpakowatemu starszemu panu, szukać rady, ale gdy spojrzał na jednego zdziwioną ciągle nieco, a nadzwyczaj spokojną twarz, lub na żartobliwą, daleką widocznie wszystkiemu, co przykre, twarz drugiego: widział, że to nie jest możliwe. Gdy drzwi otwarł trochę głośniej wnosząc świeży samowar służący: Piotra przeszyło wrażenie, że to ów olbrzym utopiony wyratował się i przybył. Straszny majak mózg mu oplątał. Ciemno robiło się w oczach. Chciałby był wstać, wyjść ztąd, jechać do domu, a równocześnie nie oddalać się ani na chwilę od światła, nie wpaść w samotność. Wyrazy artykułu politycznego, który począł na nowo czytać głośno młody Donimunt, usiłował chwytać słuchem, zrozumieć. I znów to zagadnienie, czy to wszystko niebyło snem? Czy nawet ten cały dom i te osoby nie są tylko przywidzeniem? Nagle począł bić wielki zegar ścienny — Piotr zdumiał się: była dopiero dziesiąta. Od wyruszenia z dworku Przesiewiczów minęło zaledwie dwie godziny. Czas ten wydawał mu się szeregiem długich godzin.

Możemy trochę zagrać w czworo; pan gra? — odezwała się pani Donimuntowa. — O wpół do jedenastej wyjechawszy ztąd będzie pan na dwunastą w osadzie. Proszę świece zapalić — zwróciła się do służącego.

Piotr z jadalni przeszedł do sąsiedniej sali. Była to sala okrągła, jakby w kopułę pod drugie piętro z podwójnym rzędem podłużnych okien nad sobą, z galeryą i schodami marmurowemi. W dwu jej rogach stały piękne kwiaty, nieopodal ściany od jadalni czarny lakierowany fortepian. W przeciwnym rogu ustawiony był stolik do kart, (od którego widać wstano, idąc do kolacyi), z dwiema świecami palącemi się po rogach. W salonie tym panował półmrok. Tem widniej przez górne nie zasłonięte roletami okna świecił księżyc.

Piotr, dusząc poprostu w sobie drżenie, obłąkanie, przerażenie, zgrozę i nieprzytomność, siadł do gry, nauczywszy się niemal wszystkich gier w osadzie fabrycznej, gdzie głównie tem zabijano wieczory. Odgadywał karty, bo ich nie widział. Na sofie, obok siebie, usiadły panny. Obu ich spojrzenia czuł Piotr skierowane na siebie.

Naprzeciw niego na ścianie w szerokich złotych kosztownych ramach wisiał portret młodzieńca w polskim stroju z mitrą nad herbem w boku płótna umieszczonym.

— Członek rodziny, książe Ogiński — oświadczył przeglądając karty szpakowaty jegomość — miał się żenić z Donimuntówną, tylko się na ślub spóźnił.

Oboje młodzi Donimuntowie parsknęli śmiechem.

— Co też stryj wygaduje! — odezwał się Zbigniew Donimunt. — A mameczka się seryo uraża!

— Był narzeczonym, to fakt — rzekła pani Donimuntowa, usiłując szpakowatemu jegomości niepostrzeżenie wskazać oczami Piotra.

— Tylko się na ślub spóźnił, bagatela — pan wychodzi... Czy to do niego przyjechało się przedstawić szesnastu Donimuntów na drabiniastym wozie? Myślał, że sad z liszek obierać... Karo, aha — proszę — — paff!

Pani Donimuntowa oparła karty brzegiem o stół i wzruszywszy ramionami odezwała się do Piotra:

— To taki zwyczaj mego szwagra. Żartuje ze wszystkiego, nawet z własnego nazwiska.

— Mówię ci, przestań na małem,
Nie dmij się zostać cymbałem — zamruczał starszy pan, zajęty kartami, zgarniając trzecią lewę.

Żarty, przekomarzania się starszego pana z panią Donimuntową, gra, wyczerpywały ostatnią siłę Piotra. Czuł zaś, że obie panny siedzące obok siebie na sofie, patrząc na niego nieustannie z boku, z nieoświetlonej strony salonu. Odczuwał oczy Przesiewiczówny suchoiskrzące i wilgotne oczy Donimuntówny. Mimowoli rzucił w ukos wzrokiem i źrenice jego padły na jej źrenice. Przysłoniła je szybko rzęsą, lecz jakby jakiś prąd od niej przebiegł do niego. Spojrzał znowu i wszedł w jej oczy na moment.

Gdy w parę minut później żegnał się, spotkał dwa uściski młodych rąk kobiecych: jeden krótki, silniejszy, drugi kładący dłoń w dłoń, serdeczny, wdzięczny, długi i miękki Donimuntówny. Dziękowała mu za ocalenie.

Powietrze chłodne podziałało na Piotra. Ogarniające go osłabienie ustąpiło. Poczuł się sam i na siebie tylko zdany. Bilans ostatnich kilku godzin był okropny, groźny i fatalny, jak trudny do ogarnięcia myślą, do objęcia własną istotą. Trzeba było wszystkiemu stawić czoło, starać się opanować, pokonać, przewalczyć, nie lękać się niczego.

Gdy jednak, w ubraniu leżącego na łóżku, obudziło o świcie pukanie służącego, gdy wyszedł na w pobliżu leżący plac budowy i zastał tam już ludzi roboczych, gdy czerwone słońce wschodu padło mu w oczy, a ludzie pozdrowili go: poznał, kim przestał być. Pamięć jego jeszcze omroczona była snem przedświtowym, w którym ratował Donimuntównę z czarnej wody, a w którym zapadł potem wraz z nią w jakiś gaj gęsty i pachnący — rzeczywiste fakty wieczoru jawiły się przerażająco. Rozpacz wyciągnęła ku niemu szpony, lecz odtrącił ją. Tylko to wszystko, co miało być przed nim, co wypełniało jego duszę, stało się obojętnem. Byłby już, co wczoraj porywało go sobą i unosiło, odstąpił i cofnął się w daleką życiu samotność. Uczuł, że uczynił zły krok życia, że wyłamał linię; stało się to przypadkiem, prawda. Ale niemożna już powrócić wstecz w siebie. Przypadek popchnął go. Drzwi jedne się zamknęły, drugie otwarły, otwarły w sposób złowróżbny. Tak jest: nie ludzie rządzą sobą, ale przypadkami nazywa się niezależna od nich droga przyczyn i następstw, każda sekunda jest tajna i każda grozi.

Czuł zamęt głowy, niechęć odrażającą do wszystkiego. On sam był ofiarą i niczem innem.

Obejrzał roboty wczorajsze i wydał dyspozycye. Nie mógł wytrzymać. Powrócił do siebie i kazał okulbaczyć konia, którego trzymał, jako jedyną swoją dotychczas przyjemność.

Ruszył w kierunku Przesiewiczowskiego folwarku.

Koń najszybszym kłusem pędzony przebył wkrótce drogę i minął zabudowania chłopskie i folwarczne boczną jakąś drogą. — Piotr wjechał w pola. Ze drżeniem serca kierował się ku smudze młodego lasu — i niebawem ujrzał zdala ciemną, lśniącą toń moczaru.

Wstrzymał konia i śledził wzrokiem. Nikogo nie było widać.

Podsunął się bliżej.

Woda była spokojna i nieruchoma, lśniwa — nad nią kładka wysoko wzniesiona.

Kogóż tu wtrącił? I taka istota miała mu na drogę życia paść, jak granat, który gościniec przerywa?!

Ktoś obcy, niewidziany nigdy, obojętny, zupełnie daleki, — — i taką samą jest afera z Dzierzyńskim. Zaiste — czemuż to ulega człowiek?

Na co się zdają cała jego wola, postanowienia, gdy jeden zmysł nie został dany człowiekowi — przewidywania i człowiek kruszy się tym brakiem, jak bez wzroku.

Stał i patrzał na wodę — poczem podjechał

bliżej, zsiadł i prowadząc konia przystąpił ku samemu brzegowi. Olbrzym spadł nieopodal brzegu — zaledwie kilkanaście kroków odeń. Czy człowiek silny nie mógł się wyratować? Przestrzeń była nie wielka, w wodzie leżała nie zauważona przez Piotra w nocy deska, widocznie od budowy, czy poprawy kładki porzucona. Co go w końcu obchodziło to wszystko? Ten człowiek mógł się wydobyć — — nie było żadnej pewności, że utonął, nie było żadnej pewności, że miał uszkodzone kolano. Napadł i otrzymał, co zasłużył.

Czarna groza wody magnetyzowała Piotra — — jeżeli jednak to olbrzymie cielsko tam leżało, zadławione gęstwiną moczaru...

Niech się dzieje, co chce! Mógł wyjść, mógł z obawy przed odpowiedzialnością za napad uciec — — niech będzie, co chce! Przypadki trzeba deptać! Są to węże rojące się pod nogami ludzi, oplątujące nogi ciągle, wiecznie, bez ustanku — walka deptania ich jest walką życia, to jest życie całe!! Cóż obchodzi go ten trup, jeźli tam leży? Czy życie jego, życie celu, życie zadania, ma być spętane takiem wydarzeniem?!

Rzuciło się ono na jego życie — — zdziera je z siebie, strąca!!

Zdawało się, że drugi raz, ale już z mocą, z wolą, rzuca w tę czarną toń psychiczne ciało olbrzyma, jego pamięć — — wsiadł na konia i ruszył kłusem — — ale zdarzenie, które się stało, pobiegło za nim.

Ach! — jęknął, czując, jakby okręt węzła żywego koło szyi, rzuconego ręką bezmyślną, pozakontrolną, jakby w przeciwną stronę patrzącego Losu.

Lecz w tej chwili zawidniały przed nim wilgotne oczy Donimuntówny, której ocalił życie.

Jego szpak gnał i tętnił twardemi kopytami. Piotr pędził z powrotem. Niebieskie wilgotne źrenice Donimuntówny, jej miła twarz, płowe puszyste włosy i śliczny głos wypełniły mu zmysły. Czuł, jak kopyta jego konia uderzają w potworność zdarzenia, — jak podkowy grzmocą w nie, jak życie wydobywa się ponad wszystko, woła swoich praw, drży o nie, broni ich — — walka z wężami zdarzeń nieprzewidzianych nie może hamować człowieka!!

Podjechał z powrotem pod poczynającą się budowę kościoła, oddał konia i spojrzał na krzątających się ludzi. Kilofa się już nie chwycił. Nie zszedł z placu na śniadanie, około południa jednak dano mu znać, że dwaj panowie przyjechali i czekają. Dorozumiał się sekundantów Dzierzyńskiego. Niech będzie! Idea pokoju dusz i serc zafalowała ponad nim. Zaprezentował się dwom młodym szlachcicom i zaprosiwszy ich do siebie przyjął wyzwanie urażonego Dzierzyńskiego, zapowiadając swoich świadków nazajutrz, podług wskazanego adresu.

Odnosił wrażenie, jakoby wyładowywała się jakaś chmura, która zatrzymała mu się nad głową. Złe opadło go, był to początek nowej karty życia. Złe głupie. Głupia na wskroś męka mózgu. Czy kobiety, która mu się podobała, niemógł inaczej poznać? Głupstwo życia — rozpacz druzgocąca mózg. Ten straszny osioł z poczwarnemi, wielkiemi, jak kula ziemska kopytami, depcący wszystko, ludzi, ich życie, wolę, moc; to straszne bydlę głupstwa, w królewskiej koronie na głowie, pan świata, absolutny dyktator, król doli.

D. c. n.



RYS. M. OPPENHEIMER

EMIL ZEGADŁOWICZ.

SAMOTNOŚĆ I MARZENIE.

Samotność i Marzenie — drodzy przyjaciele,
przedziwni czarodzieje snów Fata-Morgany —!
przeżyliśmy ze sobą lat rozkosznych wiele
na wyspie Robinsona, nam jedynie znanej.

Stąd robilim wyprawy w strony świata cztery
na czarodziejskiej łodzi o żaglach z obłoków —
sławni magji włodarze, baśni bohatery,
dziedzice Amadysów, Lechów i Zaboków.

Kapłani świętych gajów, zaklinacze kobry,
poprzednicy Stanleya, wiedzy alchemicy,
zapatrzeni w horoskop wielkiej niedźwiedzicy —

żyjemy w cudnej zgodzie: ja, fantasta chrobry,
Samotność, siostra dumy, i Marzenie, kosem
patrzące na Rzecz okiem — z sutym wzruszeń trzosem.

KAZIMIERZ TETMAJER.

Z AFORYZMÓW.

Kobiety atakują gromadnie, jak wrony.

Wtenczas dopiero człowiek może pojąć miłość rodziców, kiedy sam wychowuje dzieci.

Więcej tragedyi jest w stosunku wzajemnym dzieci do rodziców, niż szczęścia.

Dla człowieka miernego nic nie jest tak trudnem, jak uznać cudzą wyższość.

Dureń jest na świecie poto, aby się dobrze wydał.

Jedną z cech istotnej wyższości jest pobłażliwość.

W naszych czasach niema częstszego typu inteligencyi, jak jałowy.

Najniebezpieczniej jest postawić pierwszy ideał.

Tylko fanatyzm czyni życie ludzkie nieśmiertelnem—zabija bowiem myśl o śmierci.

Pracowałeś przez sześć dni w kuźni młotem? Poróbże w niedzielę szydełkową robotę — rzekła pani radczyni.

Kamienie kosztowne odpowiadają najcenniejszym przymiotom ducha: dyament jest płomieniem czystości, rubin płomieniem męstwa, szmaragd płomieniem nadziei, szafir płomieniem natchnienia.

Odkrycia małego dziecka są jak kamienie kosztowne — najtrwalsze, najpewniejsze i najkosztowniejsze ze zdobyczy.

Krążenie ludzi koło siebie jest podobne do krążenia koło siebie gwiazd — jest równie samotne i równie związane.



FRANCISZEK MIRANDOLA: GENIALNY POMYSŁ.

Wróciłem z pracowni zmęczony, osmutniały i siedziałem w jakiemś otępieniu bezmyślnem, dumając nad tem, że zamiast iść wprost na kolacyę, przylazłem tu, na trzecie piętro, nie wiadomo poco. Trzeba się zabierać, bo przecież musi człek co zjeść.

Tkwiłem w fotelu zgarbiony i wpatrywałem się w mały, bronzowy posążek Buddy, siedzący w kucki, z rękami złożonemi do modlitwy, na okrągłym kwiecie lotosu o regularnie wyzębionych płatkach korony.

Posążek był wyraźnym falsyfikatem wiedeńskiego pochodzenia, mimo tybetańskich kulasów opasujących podstawę, i zamiast uspakajać patrzącego wprawiał gą w jeszcze większą pasyę.

Nagle zabrzmiał dzwonek.

Zerwałem się, a dłoń sięgnęła bezwiednie w stronę posążku.

Śmigło mi przez myśl, że najlepiej będzie rozbić gościowi głowę tym oto gratem.

Ale zaraz przemógł szablon wychowania i nawyczki.

Pomyślałem, że skoro już wstałem, tedy mogę otworzyć i zobaczyć, kto to taki.

Po trochu ciekawy byłem, albowiem gość zjawiał się u mnie bardzo rzadko. Teraz, czasu moratoryum nie widywałem nawet substytuta notaryalnego, który przedtem zwiastował mi co kwartał zapadły protest wekslowy.

Przekręciłem klucz i pocisnąłem klamkę.

W tej chwili coś zakotłowało w mrocznym przedpokoju, postać jakaś rzuciła się na mnie, objęła za szyję, a na piersiach uczułem biust kobiecy, przyciskający się do mnie gwałtownie.

— Felek! Felek! — jak się masz! — krzyczała dama.

— Puść mnie pani! Gwałtu! Policya!... to napaść!

Dama ściskała mnie potężnemi ramiony i gadała:

— Głupiś Felek! Nie krzycz! Zaraz ci wytłumaczę!

Bohaterskim wysiłkiem, nie krępując się zgoła tem, że mam do czynienia z kobietą, rozerwałem oplot jej rąk i rzuciłem się jak szalony do biurka.

— Ani kroku dalej! — zawołałem — Albo rozbiję pani głowę tym oto gratem!

Potrząsałem Buddą w powietrzu.

— Felek! Tyś zwaryował! — biadała dama, załamując ręce.

Ale stała w przyzwoitej odległości. Poznała, że niema żartów!

— Felek! Także to mnie przyjmujesz? Przyjechałem umyślnie do ciebie, mimo ważnych spraw, a ty...

— Nie znam pani wcale! — warknąłem. — To jest napaść... to jest jakieś uplanowane łajdactwo... Założę się, że idzie o wymuszenie... o alimenta... prawda... ha! Znamy takie damulki...

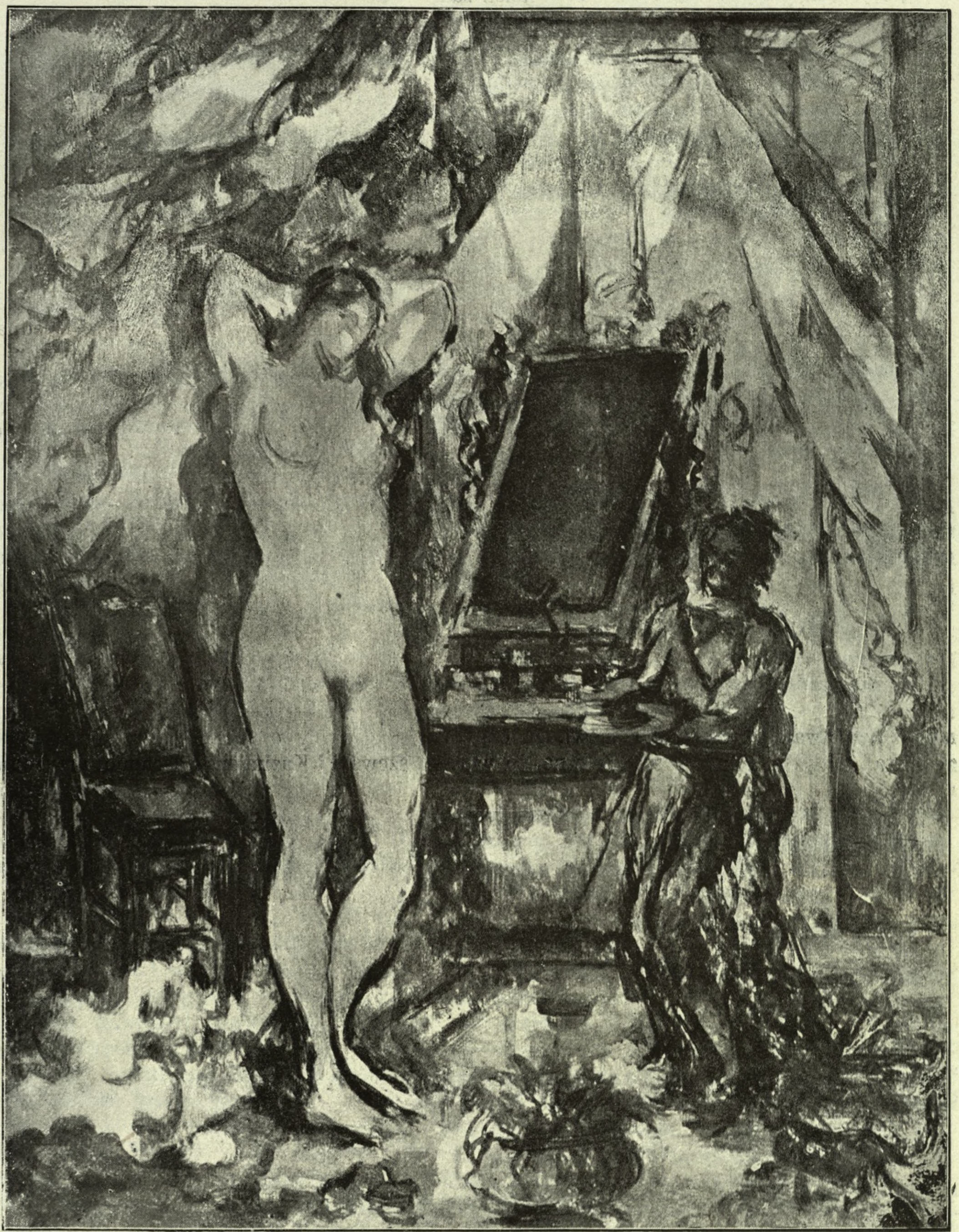
Dama rozłożyła ręce i zaniosła się szalonym śmiechem.

Śmiała się tak, że ustać nie mogła na nogach. Padła na pobliskie krzesło, które pod jej ciężarem jękło z bolesnem oburzeniem.

— Felek... ośle... ach... to paradne... ha... ha... ha... Nie jestem wcale damą... nie chcę alimentów... Felek... Felek!

Cisnąłem Buddę, który leżąc na boku nie przestał modlić się nabożnie, mimo arcyniewygodnej pozycyi.

— Co to ma znaczyć! — spytałem — Na co ta maszkarada? Kto pan jesteś? Gadaj pan zaraz!



P. CÉZANNE TOALET

Dama opanowała śmiech.

— Nie poznałeś mnie... naturalnie... chociaż myślałem: pozna mnie po głosie. No zgadnij, kto ja jestem... zgadnij!

Słuchałem zdumiony. Zdaje się przybysz nie żywił wobec mnie niecnych zamiarów.

Pozatem, ruchy i głos osobnika (nie wiedziałem teraz istotnie, jaką płeć reprezentuje) nie były mi obce.

— Nie poznajesz mnie?

— Nie... to jest... — bąkałem — ...tylko ten głos cienki.

— Ach... cienki... wytłumaczę ci to zaraz... Ale nuże, któż ja jestem?... No... Julek Zmora! Zapomniałeś Julka Zmorę?

— Julek? Czyż to możliwe?

Wahając się jeszcze, przystąpiłem do przyjaciela.

— Julek... w tem przebraniu?

Ucałowaliśmy się serdecznie. Bardzo byłem ucieszony, a jednocześnie okropnie zmieszany i zażenowany. Usta Julka były tak gorące, miękkie, tak kobiece...

— To nie przebranie... — zaczął.

— Gadanie... wypchałeś się przecież! — zawołałem, wskazując na wydatne „przedsięwzięcie“ przyjaciela.

— Wcale nie wypchane! — zapewniał. — Zupełnie naturalne! Chcesz... pokażę ci! — zaczął rozpinać guziki bluzki.

— Daj spokój! Na miłość boską, daj spokój!

— Nienawidzisz widzę kobiet! wybornie! Zupełnie, jak ja! — radował się. — Słuchaj! Nie masz jakiego napitku... papierosów?

Ruszyłem na poszukiwanie.

Julek rozpostarty w moim fotelu, siedział z nogami, (w płytkich bucikach i ażurowych pończochach), skrzyżowanemi jedna na drugą, tak, że widać było całą, dziwnie kształtną łydkę, hen wysoko aż po kolano, otoczone haftami halki, z pomiędzy których wychylał się rąbek pokuśliwych, damskich majteczek.

Nie mogłem odwrócić głowy od tego widoku, a ręce szukały omackiem flaszki i kieliszków po kawalerskim kredensie.

Kręciło mi się w głowie, jakbym dostał przed chwilą potężny cios. Dziwne ideje biegały po biednym mózgu, a przed oczyma migały czarne płatki. Byłem blizki omdlenia... Jak się wobec niego zachować... co się stało... co z tego wyniknie... czy to jawa, czy sen dziwaczny...

— Julek! — powiedziałem z drugiego końca pokoju, a głos mój drżał nerwowo. — Powiedz mi... ale tak seryo... poważnie... co ty właściwie jesteś... chłop... czy dziewka?

— Hm... — odparł, puszczając kłąb dymu. — Z przekonania, jestem chłop... i w dodatku wróg kobiet...

— Jakto?

— ...I mam nadzieję być kiedyś napowrót mężczyzną! — zakończył Julek.

Upuściłem kieliszek.

— Szkoda szkła! — zawołał Julek. Lekkimi, tanecznymi podskokami przebiegł pokój i odebrał flaszkę i kieliszki z moich rąk.

Za chwilę wychyliliśmy po kieliszku, a Julek powiedział:

— Siadaj. Zacznijmy od początku.

— Zacznijmy! — zgodziłem się i padłem na krzesło. Postanowiłem znieść wszystko co nieodzowne, i pozbyć się jak najrychlej straszliwego gościa. W myśli szukałem, do którego lekarza udać się dziś jeszcze. Tylko, czy mi co poradzi... — myślałem... — to jakiś dziwny przypadek halucynacyi... a ci lekarze nie wiedzą właściwie nic. Może lepiej urlop i spoczynek... tak... tak... to najlepsze...

— Ależ ty wcale nie słuchasz! — krzyknął Julek.

— Acha... prawda... więc cóż?

— Zaczynam na nowo!

— Dziwna halucynacya... — powiedziałem mimowoli głośno.

— Osioł jesteś! — wrzasnął.

— Zgoda... i co dalej! — jęknąłem.

— Słuchaj uważnie, a sam się przekonasz, że wszystko jest tak realną prawdą, jak to, że tu siedzę... ja, Julek Zmora!

— Acha... nadzwyczajnie powiedziane! — szepnąłem z ironią.

— Słuchaj. Pamiętasz przecież, przed samą wojną udałem się na Ceylon wysłany przez Akademię. Szło o badania naukowe nad fizyologicznem działaniem światła...

— Pamiętam! — zawołałem przychodząc do siebie. — Pamiętam, było to na jakieś pół roku przed wojną. Popiliśmy tęgo przed odjazdem!

— Popiliśmy. Przez ośmnaście dni jechałem całkiem otumaniony.

— Musiałeś dolewać po drodze!

— Po trochu... Dopiero w Bombaju wyspałem się należycie.

— W Bombaju? — zawołałem. — Pocóż zbaczałeś do Bombaju? Wszakże kurs idzie prosto, jak strzelił z Adenu przez Sokotorę, Lakkediwy, przylądek Komorin do Colombo.

— Wsiadłem na jakiś inny okręt...

— Acha — powiedziałem całkiem już spokojny. — Teraz cię poznaję. Ty zawsze się musisz omylić!

— Tak, ale Opatrzność czuwała...

— Jak zawsze nad pijakami.

— I ma do tego jakąś specyalną predylekcyę...

— To prawda! Opowiadaj dalej!

— Nie żałuję. Poznałem dziwny, zgoła nie-

znany świat. Powiadam ci, wszystko tam inaczej... zresztą mniejsza, nie mogę się zapuszczać w szczegóły. Dość, żem jechał z Bombaju drogą lądową na Hajderabad, Madras, a potem statkiem przez cieśninę ceylońską do Colombo.

Prze cały czas wydawało mi się, że śnię rozkosznie. Byłem żywcem uniesiony do raju. Tyle mego, com zobaczył wówczas, bo w Colombo czekali już inni uczestnicy ekspedycyi naukowej i odrazu zaczęła się praca bardzo specyalna, bardzo mozolna, nie pozwalająca na żadne romanse. Praca umysłowa w tych regionach wyczerpuje Europejczyka okropnie. Zbladłem, jak ściana, schudłem, jak szkielet, nawet popijać nie mogłem uczciwie. Życie mi zbrzydło.

Razu pewnego ujrzałem olbrzymi afisz przyklejony na deskach jakiejś budy. Produkował się fakir, a afisz zapowiadał cuda. Poszedłem i istotnie przez cały czas wydawało mi się, żem opuścił ziemię i został przeniesiony na planetę, gdzie panują zgoła inne prawa natury. Pośród wielu rzeczy, których opis zająłby nam tydzień czasu najmniej, ujrzałem jedną, która zadecydowała o mojem życiu!

— Aż tak? — zawołałem.

— Tak jest... słuchaj! Fakir wsadził w mały napełniony ziemią wazonik niebieski, stojący na wzorzystym dywaniku, ziarnko ryżu. Ziarnko to przedtem miałem w ręku, jak i inni widzowie, więc wiem, że było to ziarnko ryżu w łupinie, całkiem suche i twarde.

Fakir uczynił ręką ruch okrężny. Widzowie rozstąpili się.

Mały chłopiec wziął szklankę, nalał czystej wody, pokazał wszystkim, że jest to tylko woda i wlał ją powoli do wazonika. Potem oświadczył łamaną angielszczyzną, że widzom nie wolno patrzyć w oczy fakirowi, ale ciągle tylko na wazonik. Spojrzenie w oczy fakira miało być niebezpieczne, jego zdaniem.

Fakir stał wyprostowany, z rękami skrzyżowanemi na piersiach i patrzył na wazonik!

Mimo zakazu spojrzałem w jego oczy, ale odwróciłem szybko głowę. Błyszczały żółto, nieprzyjemnie.

Szmer się rozległ w audytoryum.

Chłopiec dał znak milczenia.

Ujrzałem cud. Ponad brunatną powierzchnię ziemi wychylił się maleńki, jasno zielony kiełek.

Mimowoli zerknąłem ku fakirowi i zatoczyłem się wstecz.

Oczy jego promieniowały zielone smugi światła.

Uczułem, że dotknięcie jednego takiego promienia mogło doprowadzić do rzeczy strasznych.

Ponowny szmer.

Kiełek urósł i wznosił się teraz w oczach w górę. W górnej części odróżnić można było zgrubienie, przyszły kłos. Rósł ciągle, z kłosa wysunęły się wąsy, a samo zgrubienie przeszło w podłużny kształt. Nagle odchyliły się w prawo i lewo, przy każdym wąsie, torebki nasion. Za chwilę okryte były kwiatami, jeszcze chwila, a z kłosa posypały się na dywanik ziarna ryżu.

Przysłoniłem oczy dłonią i trwożnie, poprzez palce spojrzałem w twarz fakira.

Promienie jego oczu były głęboko szafirowe, koloru kobaltu.

Uczułem zawrót.

Zwróciłem się szybko do wyjścia. W głowie miałem zamęt straszliwy.

Ale tłum zwarty nie przepuszczał.

— Nie wychodzić! Nie wychodzić! — szeptano. — Jeszcze nie koniec!

Powtórzyła się ta sama historya. Podawano z rąk do rąk ziarnko ryżu, potem fakir zasadził je do świeżej ziemi.

Podczas tych przygotowań Anglicy rozchwytali po wysokich cenach ziarnka i słomę.

Chłopiec zbierał pieniądze do brudnej sakiewki z kociej skóry.

Fakir stanął w poprzedniej pozycyi.

Postanowiłem patrzyć nań mimo wszystko.

Nieznacznie przysłoniłem oczy czarnymi okularami, położyłem na tem jeszcze chustkę od nosa.

Ale nie mogłem i tak znieść tego spojrzenia. Oczy zwolna zaczęły błyszczeć żółto, połysk rósł, przechodził w jasną zieleń, potem już był nie do zniesienia. Krew rzucała się w arteryach, biło serce, gardło ściskał kurcz spazmatyczny.

— Dont luke here! — powiedział ktoś obok.

— Silence! — szepnęły głosy.

Zamknąłem oczy.

Otwarłem je jednak znowu.

Promienie stały się seledynowe, potem błękitne... wreszcie straciły swą przeraźność... jakby siła ich omdlała, i przeszły w szarawy ton kobaltu.

Kręciło mi się w głowie. Ktoś podparł mnie ramieniem. Czułem straszliwe pragnienienie.

Tymczasem wrzawa się rozległa.

— Voila du froment! — powiedział jakiś głos obok mnie.

Kolega z ekspedycyi naukowej podał mi ziarnko.

— Jakto pszenica? — powiedziałem. — Przecież zasadził ryż.

— W tem właśnie sztuka! — zaśmiał się Francuz. — Przemiana gatunku! Co pan o tem sądzi? Patrzyłem dobrze. Niema śladu oszustwa! Ale chodźmy popić! Tu na Wschodzie ciągle się pije, już taki widać kismet!

— Sprzedaj mi pan to ziarnko! — prosiłem.

— Służę panu! Ale w samem ziarnku niema nic.

— Zbadamy pod mikroskopem. Przypuszczam odmienność budowy komórkowej.

— Wątpię. Sprawa polega na fizyologicznem działaniu promieni kobaltowego światła in statu nascendi...

— Panie! Ale skąd się bierze, że oczy tego fakira mogą promieniować to światło i w dodatku tak bardzo intenzywnie!

— Ca c'est une autre affaire!

— Co pan o tem sądzi?

— W Indyach się nie sądzi, proszę pana. — odparł. — Tutaj ustają nasze „sądy". Tutaj tylko wolno patrzyć i zdumiewać się. Ale cóż to takiego?

Ulicą biegli chłopcy z gazetami pod pachą, wrzeszcząc na całe gardło:

— Serbo-Austrian war! Serbo-Austrian war! Times two pence!

Rozpoczęła się wojna światowa.

Nim minęło trzy tygodnie, zostałem internowany, zrazu w Colombo, później w Bombaju, gdzie spędziłem w więzieniu dwa miesiące. Obchodzono się ze mną dobrze, pozwolono zatrzymać aparaty naukowe i książki. Ponieważ nasza ekspedycya rozbiła się zaraz, przeto poza swoimi przyrządami miałem jeszcze inne, pozostawione przez kolegów, którzy się częścią zgłosili sami do wojska, częścią zostali wezwani ogłoszonem powołaniem.

...Ale czekajno Felek... zapomniałem całkiem...

Julek zerwał się, ze złotej damskiej torebki wydobył pulares, wyjął z niego banknot i zawinął go w gazetę wziętą ze stołu.

— Co ty robisz? — spytałem.

— Ot zawijam... zaraz zobaczysz.

Poskoczył do okna, otworzył je i wychylając się zawołał:

— Tom! Luke here! Łapaj! Jedź do Mitridatiego i przywieź tu dwa Pomery i szynkę... ale Pomery extra dry... pamiętaj! I wracaj zaraz... Acha... jeszcze przywieź papierosów... tylko dobrych!

— Możeby z pałacu, proszę jaśnie pani hrabiny?

— Eee nie... To za daleko. Zaraz jedziemy! Spiesz się!

Zadudnił motor auta.

— Bój się Boga! — krzyknąłem. — Więc nietylko jesteś damą, ale hrabiną, masz auto i pałac!

— To cię dziwi? Mój drogi, mam pięć autów, dwa pałace i kilkanaście milionów... Co do hrabiny... to sprawa dotąd jasna wyłącznie dla Toma i jego kolegów. Urzędownie zowią mnie pułkownikową Ixion... i proszę cię, tak zawsze nazywaj swego wspólnika.

— Wspólnika?

— Tak... biorę się do spółki na stałe. Dziś jeszcze przewiozą twe rzeczy do pałacu... Zatelefonuję do Johna, masz telefon?... Prawda, nie masz!

— Zwaryowałeś sam i mnie chcesz pozbawić rozumu... Julku... to niegodnie... to jakaś szatańska halucynacya... Julku... Julku...

Rozpłakałem się ze zdenerwowania, jak dziecko!

Ukląkł przy mnie, objął wpół i przemawiał serdecznie, czule, po przyjacielsku, a ja drżałem, jak liść w tych miękkich, kobiecych ramionach, wiłem się pod pocałunkami tych ust gorących, szarpany okropną pewnością, że szatan we własnej osobie przyszedł i ciągnie mnie w otchłań obłędu.

— Julek... Julek... przez naszą przyjaźń... proszę cię idź... idź... i nie wracaj! Czy nie widzisz, że dusza ludzka tych okropności znieść nie zdolna? Ty pewnie zginąłeś na wojnie, albo na Ceylonie, czy gdzieś i przybywasz tu jako wampir straszliwy... Ale pomyśl... wszak cię kochałem zawsze... oszczędź mnie!...

Wstał, nalał sobie wody, wypił i rzekł ponuro:

— Teraz to ja zwaryuję! Tak! Bądź zdrów! — zwrócił się do drzwi.

Zerwałem się i pochwyciłem go za rękę. Czułem, że jeśli teraz sam zostanę, to popełnię samobójstwo.

— Zostań! Zostań! Może to jakoś minie! Zostań!...

Wziął mnie w objęcia i mówił słowa słodkie, kojące, zapewniał, że niema żadnej obawy.

Przyszedłem zwolna do siebie.

— Jedź do mnie! — prosił. — Zobaczysz sam i to, co zobaczysz, najlepiej cię uspokoi i przekona, że wcale nie zwaryowaliśmy obaj.

— Boję się Julek... boję się... Już lepiej opowiedz... to jest dalsze, a przeto łatwiej znieść... to wygląda na fantastyczną opowieść, na literaturę... opowiadaj dalej!

W tej chwili rozległ się turkot auta.

— Jezus Marya! — krzyknąłem.

— Cicho... cicho... to Tom wraca z winem...

— Nie chcę go widzieć!

Zasłoniłem oczy.

Julek wyszedł, odebrał w kurytarzu od służącego rzeczy, pogadał z nim coś i wrócił.

Za chwilę ciągnąłem szampan i pogryzałem wyśmienitą szynkę.

Uczyniło mi się raźniej. Krew się rozruszała, umysł stał się lotniejszy. Mogłem teraz jakoś przynajmniej próbować przeskoczyć straszny

rów nieprawdopodobieństwa, który dzieli dwie prawdy, tę szarą, znaną, od tej „niemożliwej" tej „nieprzypuszczalnej", drugiej prawdy.

— W więzieniu — opowiadał Julek — nie przestawałem rozmyślać nad tem, co mi się zdarzyło widzieć. Zacząłem nawet po trochu eksperymentować. Uczeni miejscowi, dowiedziawszy się, że pracuję naukowo, uzyskali od władz, że mnie za poręką wysokiej osobistości co dnia wypuszczano i pozwalano pracować w laboratoryum. Umieściłem przyrządy w kilku mocnych pakach i zabezpieczyłem, jak się dało, z uwagi na daleką podróż w ciężkich warunkach. Przez cały czas pobytu w Bombaju studya moje nad działaniem światła postąpiły znacznie. Powziąłem pewną ideję, która jak się to później okazało, była zupełnie możliwą do urzeczywistnienia. Zrazu szło o czysto naukowe doświadczenie, o stwierdzenie, czy można zapomocą światła wywoływać dowolnie silniejszy rozrost pewnych części ciała ludzkiego.

Wiesz dobrze z embrylogii, że człowiek wyszedł z obojniactwa i obie płci posiadają te same cechy i narządy płciowe dotąd. Tylko u mężczyzny, organy właściwe kobiecie znajdują się w stanie szczątkowym, w stanie zaniku czyli atrofii. I przeciwnie, cechy męskie występują u kobiety jako szczątkowe.

Aż nadto dobrze znane są zjawiska osobników męskich z przewagą duchowych i fizycznych cech kobiecych... ty sam jesteś takim okazem o ile wiem... Naodwrót zdarzają się kobiety „herody", którym rosną wąsy, których głos tętni donośnie i w przebraniu łudząco podobne są do mężczyzn.

— Wiem... wiem... zapewniałem go... Wszystko to dobrze znane i banalne wprost fakta naukowe.

— Nie wykładam ci tego wcale! — powiedział. — Tylko przywodzę na pamięć, a to dlatego, byś pojął, że to, co uważasz za szatańską halucynacyę, jest tylko wnioskiem praktycznym, jaki wyciągnąłem z danych naturalnych. Nie uważasz mnie za wampira? Co?...

Uczułem ogromną ulgę. Myśli moje uzyskały jakiś punkt wyjścia, to, co widziałem, było wprawdzie jeszcze nad wyraz nieprawdopodobne, ale nie stało w zasadniczej sprzeczności z rozumem. Znikła obawa, że popadnę w obłęd.

Uśmiechnąłem się swobodnie, a Julek widząc to, napełnił ponownie szklanki i zawołał:

— Zdrowie nowego wspólnika firmy IXION!

— Cóż to za firma? — spytałem wypiwszy. — Czem się zajmuje?

— Pst! — szepnął. — To jest tajemnica... pań... stwo... wa!

Mówił z naciskiem, dzieląc wyrazy.

— Państwowa?

— Tak... w jednym pałacu odbywa się tajemnica państwowa, w drugim zaś... jest kopalnia złota... chociaż i tamten pierwszy coś przynosi od biedy.

— Jakto kopalnia złota? — spytałem zaciekawiony.

— Popatrz na mnie! — rzekł śmiejąc się. — Wszyscy, którzy nie mają wielkich aspiracyi na bohaterów, natomiast posiadają banknoty w większej ilości, przychodzą do tego drugiego pałacu, no... i wychodzą... w zmienionej postaci! Tylko kuracya trwa dosyć długo i jest nieco kosztowna.

— Ależ to kryminał! — wyrwało mi się — Julku. Czas wojenny! Grozi ci sąd!

— Wiem o tem! — odparł z uśmiechem. — I dlatego neutralizuję ten występek w pierwszym pałacu.

— Acha! — zawołałem.

— Czytujesz może, jak... po tamtej stronie... pojąć nie mogą, skąd się bierze niewyczerpany zasób rezerw niemieckich i naszych!

— Prawda! Czytałem.

— Zważ teraz, że wojna nie skończy się ani za rok, ani za dwa, ani za dziesięć, że przejdzie w stan chroniczny...

— Bój się Boga! Cóż my będziemy jedli?

— Pomyślę i o tem... może mi się uda nakarmić państwa centralne, naświetlając pewne przedmioty, dziś niejadalne... Tymczasem jednak pełnię swój obowiązek obywatelski i dostarczam rezerw bez liku.... bez miary!

— Z kobiet?

— Z kobiet... z tych nieprzeliczonych stad bezużytecznych, bo pozbawionych mężczyzn, głupich, rozwydrzonych dziewek i bab, które były dotąd plagą państwa, przyczyną głodu, zawadą społeczeństwa... przytem sycę własną nienawiść i pogardę... Precz z babami! Na front!

Roześmiał się dziko.

— Czemuż jednak sam sobie nie przywrócisz pierwotnej płci? — spytałem.

Zakłopotał się.

— Z ostrożności.... któż wie...

— Nie grozi ci front, jesteś dobrodziejem państwa!

— To prawda... ale widzisz, zawsze bezpieczniej, ze względu na ową kopalnię złota... niekażdy funkcyonaryusz żandarmeryi rozumie się na tem co daję państwu... mogłoby zajść niemiłe nieporozumienie... przytem...

Urwał, a mnie błysnęło coś przez myśl.

— Czy można tę przemianę płci odrobić z powrotem? — spytałem.

Poczerwieniał cały.

— Naturalnie... zdaje się... czynię właśnie

próby. Wybieram osobniki zupełnie zdrowe... bo drugi raz, rzecz może być trochę niebezpieczna...

Tu była jego tragedya. Ten wróg kobiet był może skazany na zachowanie do końca życia swej sztucznej kobiecości.

Zamilkliśmy obaj.

— Więc sprawa ułożona! — powiedział. — Idziesz do mnie!

— Na cóż ci to?

— Klienteli przybywa z dnia na dzień, a wtajemniczać mogę tylko najbliższych i całkem pewnych... zwłaszcza co do pałacu drugiego i jego manipulacyj... No, zbieraj się. Auto czeka, jutro zabiorą twoje rzeczy.

— Zaczekaj! — powiedziałem stanowczo — Daj mi adres, jutro popołudniu sam ci przyniosę odpowiedź.

— Nie chcesz? — spytał z widocznym niepokojem. Zważ, to są przedewszystkiem genialne zdobycze nauki o nieobliczalnych skutkach i dają sławę uczestnikowi... sławę ogromną, z drugiej zaś strony... weź pod rozwagę... to są miliony... rozumiesz... milio... ny...!

— Dobrze... zważę... przyjdę jutro... daj mi adres.

Wyjął bilet z torebki i położył na stole.

— Pamiętaj, że w razie... niedyskrecyi... potrafię się obronić. Dysponuję środkami straszliwymi! — rzekł twardo, lodowatym głosem.

— Julku! — cóż znowu? — zawołałem. — Jakże to do mnie przemawiasz?

—Więc jedź ze mną! — prosił.

Nie było rady. Sprawa tak stała, że musiałem uledz.

— Pojadę z tobą... — powiedziałem, — ale wrócę na noc do siebie. Jutro zobaczymy, co dalej... dobrze?

— Zgoda! — rzekł wesoło — ręczę, że cię to zajmie!

Za chwilę unosiła nas wspaniała, cichuteńka limuzinka angielska, za miasto.

Migały obok nas, jak duchy, domy, drzewa, ludzie.

Nagle szofer zahamował, spuścił szybę i przechylając się w głąb, szepnął:

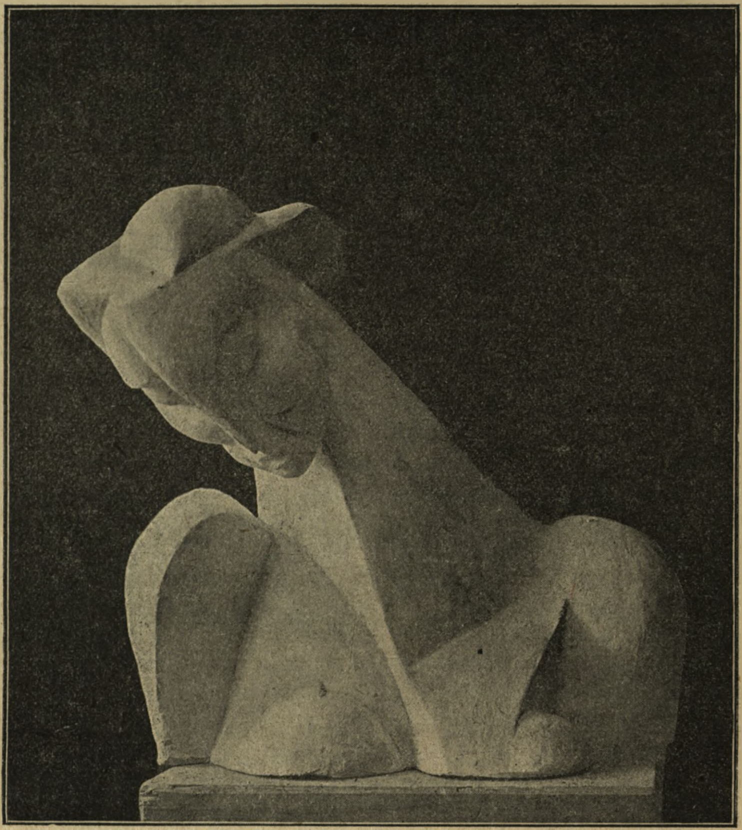
— Proszę jaśnie pani hrabiny, przed pałacem żołnierze... jakieś zbiegowisko, czy co?

— Wysiadaj! — krzyknął do mnie Julek. — Zawracaj! — rozkazał szoferowi. — Wiesz gdzie... prywatne mieszkanie! Przyjdę do ciebie za kilka dni... Mówiłem przecież, że nie każdy funkcyonaryusz żandarmeryi... niemiłe nieporozumienie... Tylko djabli wziąć mogą przy tej okazyi moje aparaty... Do widzenia!

Auto znikło w obłokach kurzu, zostałem sam o mroku, daleko za miastem, w nieznanej mi okolicy. Szedłem powoli drogą ku domowi, a wszystko wydało mi się poczwarnym, przykrym snem.



Z. LOREC — BAŚŃ.



Z. PRONASZKO SYBILLA.

(Z wystawy ekspresyonistów).

BAHR O EKSPRESYONIŹMIE.

(Dokończenie).

Zjawisko wewnętrznego widzenia opisuje Bahr, powołując się na doświadczenia Anglika, Franciszka Galtona, inicyatora eugeniki, i dwóch Niemców: Goethego i Jana Müllera, fizyologa, ucznia Goethego, nauczyciela Virchowa i Haeckla.

Galton, zajmując się w celach eugeniki zbieraniem właściwości ludzkich, zauważył, że niektórzy ludzie mają dar dowolnego widzenia przedmiotów nieobecnych, nawet zamknąwszy oczy, a więc nie wskutek zewnętrznej podniety wzrokowej, lecz tylko z woli własnego ducha. Wypytując o tę właściwość ludzi różnych zawodów, płci i wieku, stwierdził, że jedni (prawie wszyscy uczeni) uważają wewnętrzne widzenie za przenośnię, której nie można brać dosłownie, inni zaś (zwłaszcza kobiety i dzieci) zapytani wiedzą dobrze o co chodzi, i zapewniają, że mogą rzeczywiście widzieć oczyma ducha wszystko, co chcą, i że nie jest to ani przypominanie sobie ani widzenie pośrednie, lecz widzenie prawdziwe. Ci, powiedzmy, duchowidze, posiadają ów dar w różnym stopniu; jedni widzą duchowo obrazy tak wyraźnie, jak na jawie, inni w zarysach zamglonych, inni znów tak niewyraźnie, że są to raczej symbole. Przekonał się dalej, że władza duchowidzenia nie stoi w związku z innemi władzami fizycznemi i duchowemi: znalazł np. duchowidztwo w wielkim stopniu u krótkowidzów, u ludzi obdarzonych zresztą słabą wyobraźnią i słabą pamięcią. Zaciekawiony, badał Galton dalej i wywiedział się, że niektórzy oczyma ducha widzą więcej, niż można kiedykolwiek zobaczyć oczyma ciała: a więc widzą np. odrazu wszystko, co zwykle widzi się kolejno, widzą odrazu wszystkie ściany kostki lub całą powierzchnię kuli. Ci, jakbyśmy dziś powiedzieli:

futuryści i kubiści, opisywali ten sposób widzenia, jako widzenie dotykające; zresztą można przypuścić, że duch przy tej czynności płata czasami takie figle, jak we śnie. W dziecięctwie prawie wszyscy ludzie są duchowidzami, później się ta właściwość zatraca. Świat widziany duchowo, w porównaniu ze światem widzianym zewnętrznie, wygląda jak zdeformowany, ponieważ „oko ducha" zachowuje się nie biernie, jak oko cielesne, lecz czynnie i obrazami zaczerpniętymi ze zwykłej rzeczywistości posługuje się tylko jako materyałem. dla swej siły. Dlatego też duchowidzenie jest o wiele bardziej zindywidualizowane, niż widzenie zwykłe. Aktywność wzroku wewnętrznego objawia się tem wydatniej, im bardziej pozostawimy go samemu sobie i tylko baczymy, co sam z własnej siły wydobędzie, wolny od wszelkiego nacisku pamięci i od wszelkiego dyktanda fantazyi. Zamknijmy więc oczy i czekajmy cierpliwie, co się stanie!

Tak właśnie bawił się Goethe i podał swoje doświadczenia w artykule napisanym w 1809 z powodu książki Purkinjego o „Widzeniu pod względem subjektywnym". Goethe mówi o „własnem życiu oka" i przyklaskuje zdaniu Purkinjego, który przypisuje oku własną „siłę wyobraźni". Następnie opisuje Goethe własne eksperymenty. Zamknąwszy oczy, pochyla głowę, i wtedy widzi np. kwiat, który jednak ani chwili nie trwa w tej samej postaci, lecz wyłania z siebie coraz nowe kwiaty z barwnych, nawet zielonych płatków; nie są to jednak kwiaty naturalne, lecz fantastyczne, choć regularne jak rozety rzeźbiarzy. Albo też zamyśla sobie deseń witrażowy, deseń pojawia się natychmiast, lecz wciąż zmienia się od środka ku obwodowi, jak kalejdoskop.

Otóż bardzo podobne spostrzeżenia opowiada także u Galtona duchowny Henslow, i podaje nawet rysunki swoich wizyi. Henslow potrafi niekiedy dowolnie kierować swojemi wizyami, zawracając je np. do obrazu, z którego wyszły; zresztą wizye te rozwijają się niezależnie od woli.

Jan Müller, genialny fizyolog, żyjący w pierwszej połowie wieku 19-go, opisuje również zjawisko duchowidztwa, które sam wypróbował. Powiada, że refleksya płoszy wizye, za to post potrafi je wzmocnić, porównuje widzenie wewnętrzne ze słyszeniem wewnętrznem Mendelsohna i Russa. Müller uważa całą naturę za wielki cud, dlatego nie dziwi się cudom poszczególnym, i wyjaśnia duchowidztwo w sposób następujący: Abyśmy wogóle widzieli, musi substancya zmysłu wzrokowego doznać podniety, — otóż wszystko jedno jest, czy dozna jej z zewnątrz, przez światło, czy od wewnątrz, np. wskutek napływu krwi do mózgu. Ta substancya zaczyna się wprost w mózgu, idzie przez nerwy wzrokowe i kończy się siatkówką; tylko siatkówka może doznawać podniet od światła, lecz wewnętrzne części substancyi wzrokowej mogą ulegać wszelkim podnietom organicznym. Cóż widzimy wogóle? Zawsze tylko siatkówkę w stanie podrażnienia. Rodzaj podrażnienia jest obojętny, oko zaś na wszelkie podniety odpowiadać musi zawsze tylko grą świateł i barw, tak jak ucho zarówno na podniety zewnętrzne (huk), jak wewnętrzne (szum krwi), odpowiada zawsze wrażeniem głosu. Według tego, co cytuje Bahr, Müller mówi, jak się zdaje, tylko o fizyologicznych podnietach wewnętrznych np. o refleksie stanów innych organów na organ wzrokowy. Bahr jednak konkluduje śmiało — nie mogę oczywiście skontrolować, o ile słusznie — że aby mieć wizye, wystarczy tylko wyobrazić sobie coś tak silnie, iżby przeniknęło aż do substancyi zmysłu wzrokowego, dopuszcza więc także psychiczną motywacyę. Gdy fale naszego życia wewnętrznego wzbiorą aż do oka, widzimy to życie, tak jak je słyszymy, gdy np. fale uderzą do ucha. Na czemże bowiem polega wrażenie muzyki? Kompozytorowi nie przychodzą tony z zewnątrz, nie słyszy on świata, lecz samego siebie, jego dusza w nim dźwięczy.

Tu wpada Bahr na pomysł szczęśliwy: usprawiedliwia ekspresyonizm analogią z muzyką. Muzyka była zawsze tą częścią estetyki, która nie dawała się nagiąć do teoryi o sztuce, jako odbiciu świata zewnętrznego. Jest rzeczą po wszystkie czasy zastanawiającą, że subjektywne tony muzyki nie mają takiego odpowiednika w świecie przedmiotów, jak np. malarstwo i poezya. Dlatego blagować o muzyce trudniej, niż o obrazach i powieściach, niemożność zestawienia z rzeczywistością ucina od razu takie wykrzykniki, jak: jakie to wierne! pysznie schwycone! doskonale odczute! itd.

Tematy do nowel:

Namalować ów hipotetyczny odpowiednik, namalować c i a ł o m u z y k i. Istniało ono niegdyś: kiedy drzewa naprawdę śpiewały, morze grało najpotężniejsze symfonie, każde serce ludzkie miało własny motyw... Lecz stało się coś strasznego: zmierzch jakichś bogów, jakaś katastrofa kosmiczno-metafizyczna... a może tylko z pojawieniem się człowieka oniemiał świat, pozostały tylko tęskne strzępy ciała muzyki, w szumie drzew, nie mogących sobie przypomnieć dawnych pieśni, w groźnym pomruku morza skazanego na milczenie, w gramofonach gardzieli ptasich, nucących wciąż jedną melodyę, a olbrzymia reszta pogrążyła się, jak Atlantyda w duszach ludzkich, skąd niekiedy wybucha wulkanami... Od tego to momentu muzyka stała się czasem, który tęskni za tem, aby być miejscem, ciałem...

Odpowiednikiem dla ekspresyonistów byłby: świat laseczników i wymoczków, tak niesłychanie obfity w nowe formy... Fantazya kleksograficzna Kandińskiego, zamieniona przez czarownika w ja-

kąś cholerę i trująca świat cały, aż mistrz wymyśla „kontrbakcylа“... i żeni się za to z córką cesarza Ameryki, Wilsona.

Lecz wróćmy do Bahra i posłuchajmy, co mówi: To, czego chcą malarze najnowszego kierunku, jest niejako m u z y k ą o c z u. Nie chcą naśladować natury i krzywdzi się ich, przymierzając ich obrazy do natury. Nie można ich pytać, czy widzieli coś takiego w rzeczywistości, — tak samo, jak nie można pytać kompozytora, czy kiedy słyszał ten a ten motyw muzyczny w świecie. On to



L. CHWISTEK PORTRET ŻONY.
(Z wystawy ekspresyonistów).

usłyszał z siebie, oni ujrzeli to w sobie. Jemu tajna moc objawiła się dźwiękami, im światłami i barwami. A jeżeli niekiedy musimy wątpić, czy najnowszy malarz rzeczywiście widział wewnętrznie to, co namalował, jest to wątpliwość takiego samego rodzaju, jaką żywimy co do szczerości pewnych kompozytorów lub kompozycyi. Szarlatani, udający ekspresyonizm, będą więc z czasem zdemaskowani, prawdziwym wizyonerom nie zabraknie siły wzbudzić u publiczności wiarę w swe wizye.

Bahr rozbiera dalej możliwy zarzut, jakoby owe wizye nie mogły być twórczemi, to jest zawierać cokolwiek innego, jak to, co już było w doświadczeniu. Cytuje z dzieł wpomnianego J. Mullera ustęp dość niezrozumiały, odnoszący się zresztą nie tyle do wizyi za-ocznych, co do wyobraźni wogóle: wyobraźnia, wystawiając sobie na ciemnem polu widzenia granice (? — powiedzmy lepiej: różne linie, plamy) może już w ten sposób wymyślać formy, jakich nigdy nie widzieliśmy i objektywnie nigdy nie ujrzymy. Pewien flecista, oślepły w pierwszym roku życia, widywał w snach okropne, wykrzywione postacie... Bahr niepotrzebnie się wysila na udowodnienie absolutnej nowości tworów fantazyi, choćby się posługiwała znanymi składnikami. Są o tem dzieła: stare Tainea, nowsze Lucki, filozofa i poety. „Król Lir“ napisany jest tylko przy pomocy 20 kilku głosek. (Atoli pewien niemiecki dowcipniś, Aleksander Moszkowski, wyrachował, ile bilionów książek przez ile bilionów lat trzeba napisać, aby po odrzuceniu nieużytecznych permutacyi otrzymać wszystkie dzieła wszystkich przyszłych Szekspirów, Żeromskich i Bahrów, a oprócz tego gotową historyę naszej wojny... Temat do noweli: pomyśleć sobie teraz wielką maszynę permutacyjną głosek, któraby w przyśpieszonem tempie napisała te wszystkie dzieła... Napełniają się biblioteki... Posiwiała ludzkość tylko c z y t a własne przyszłe losy... Aż zaniepokojony Bóg psuje maszynę, jak ongiś wieżę Babel...).

Wróćmy jednak znowu do Bahra. Od wizyi wewnętrznych przechodzi on do idei moralnych: zła i dobrego, wolności, obowiązku, które nam się biorą niewiadomo skąd. Od kiedy straciliśmy zdolność widzenia oczyma rzeczy niewidzialnych, zatraciliśmy zupełnie samych siebie. Lecz ludzkość chce siebie znowu odszukać. Czyż człowiek może być przeznaczonym na to, żeby dla jakiegokolwiek celu zaniedbać samego siebie? pytał Schiller. Narzucić to zaniedbanie człowiekowi wbrew jego naturze — oto dążenie naszej epoki. Czyni ona go tylko instrumentem, stał się on narzędziem własnego dzieła, maszyna odebrała mu duszę. Wszak już nie żyjemy, jesteśmy życi (wir werden nur noch gelebt). Nigdy żadną epoką nie wstrząsała taka groza śmierci, nigdy świat nie milczał tak grobowo. Nigdy człowiek nie był tak małym, i nigdy nie było mu tak nieswojo. Więc krzyk rozpaczy: człowiek woła o swą duszę. i sztuka krzyczy także, woła w głęboką ciemność!, krzyczy o pomoc: to jest ekspresyonizm. Jest to ogromna walka o człowieka, walka duszy z maszyną.

Ekspresyonizm jest więc dziś zdaniem Bahra, koniecznością kultury. Epoka panowania burżuazyi była niezdolną do muzyki i poezyi, ale znalazła swój wyraz w malarstwie impresyonistycznem, gwoli niemu będzie jej kiedyś przebaczone. Ale oko impresyonistów tylko słucha, nie mówi, tak jak człowiek epoki burżoazyjnej nie jest zdolny wypowiedzieć prawa ducha nad światem. Otóż ekspresyonista otwiera znowu usta ludzkości: za

długo słuchała i milczała, teraz chce ona znowu wyłonić z siebie odpowiedź ducha.

Ekspresyonizm jest jeszcze tylko gestem. Ludzie nie wiedzą, jaką mają słuszność, gdy szydzą, że te obrazy są malowane, „jakby przez dzikusów". Aby uratować przyszłość ludzkości, musimy się stać wszyscy barbarzyńcami. (Stanowczo nieboszczyk Rosseau tu podpowiada Bahrowi). Jak dzikus chował się w siebie ze strachu przed naturą, tak my uciekamy w siebie przed „cywilizacyą", która pochłania duszę człowieka; jak on zataczał naokoło siebie czarodziejskie kręgi ochronnych znaków (połowę książki Bahra ilustrują straszne bożki), tak my w śmiertelnej trwodze wydobywamy z siebie znaki czegoś nieznanego w nas, co ma nas ocalić, znaki ducha, który się chce wyrwać z więzienia, znaki alarmu przygnębionych dusz — to jest ekspresyonizm.

Ale jest on jednostronnym, to tylko usta oka. Brak tu tego zcalenia wnętrza i zewnętrza, które osiągali tylko niektórzy mistrze w niektórych niezrozumianych dziełach. Ale nawet w tych czuje się nagłe kompromisy, gwałtowny przeskok (Umschaltung) od jednego do drugiego z tych żywiołów, ów upiorny niemal goethowski „hiatus". Najbliższym tej harmonii jest według Bahra lekceważony barok (str. 66, 85). Potem już wpadłszy na harmonię, mówi aż do końca o „całym Goethem", którego cytuje jak ewangelię.

Tyle ekscerptu z Bahra. Czy ekspresyoniści są z tej apologii bahrowskiej zadowoleni? Można przedewszystkiem powątpiewać, czy ekspresyoniści rzeczywiście opierają swoją twórczość na widzeniu wewnętrznem a nie widzeniu zwykłem, które sobie inaczej aranżują. Przypadkiem w najnowszym ustępie pamiętnika Bahra, drukowanym w „N. W. Journal" znajduję uwagi o dziełku Marcusa „Problem wrażenia ekscentrycznego i jego rozwiązanie", wydanem świeżo przez pewien nakład ekspresyonistyczny w Berlinie. Dla Bahra jest ono zastosowaniem słynnego motta Goethego: „Czy mogłoby oko kiedykolwiek zobaczyć słońce, gdyby samo nie było słonecznem?" Marcus uważa mózg za siedzibę „eterycznej materyi", która otrzymawszy podnietę z zewnątrz np. przez nerw wzrokowy, odpowiada na nią, faluje, wydostaje się niewidzialnymi promieniami z głowy i stwarza obraz, który dlatego widzimy poza sobą a nie w sobie. (Co na to filozofowie? To co niegdyś Hering powiedział: „wrażenie słońca mamy właśnie — na słońcu" bierze Marcus dosłownie — słońce to my! Gratuluję ludzkości!). Także w innych wrażeniach odśrodkowych: słyszeniu, dotykaniu (?), zapewne powonieniu, upatruje podobno Marcus odpowiedzi owego fluidum eterowego. „Cały świat zewnętrzny — pisze Bahr — jest dla niego nieustanną wewnętrzną ekpslozyą nas samych; jest to pojmowanie dynamiki takie, jakiegoby nie zniosła epoka impresyonizmu; całe życie nasze, krzyżowanie się dwóch fal eteru, byłoby więc zupełną illuzyą a przecież zarazem czemś przemożnie rzeczywistem, i to otwierałoby sens życia". Takie zapędy myślowe są widocznie miłe ekspresyonistom tj. wyrazowcom, których Marcus zmienia nawet na wybuchowców. Wtedy jednak nie trzebaby tak bardzo lekceważyć widzenia zwykłego, które jest właśnie także mocno niezwykłe: duchowidzenie byłoby niejako tylko odświętnym gatunkiem tego samego widzenia. Przypomina się Bergson i jego wizye o twórczości człowieka: Świat jest nieustannem stwarzaniem. Atoli Bergson, o ile dobrze pamiętam „Ewolucyę twórczą" w widzeniu geometrycznem materyi upatrywał właśnie rodzaj koniecznej degradacyi ducha, nieustanny grzech pierworodny. W każdym razie przedstawiał on sobie ten proceder eteryczniej, niż Marcus, bo obchodził się bez eteru.

Wyznam, że sprzykrzyły mi się te gadaniny o twórczości człowieka. U Bergsona, u Brzozowskiego, u Bahra... Pewnym stałym urządzeniom psychiki, u wszystkich takim samym, przypisuje się wartość ewolucyjną i symboliczną ponad wszelką godziwą miarę. Wypacza się zupełnie pojęcie czynu, twórczości czy pracy, jeżeli się je tak wydyma. Może ongi, gdyśmy jeszcze byli szczęśliwymi mięczakami, przybranie sobie oka i przejrzenie było naszym czynem, — ale dziś widzenie jest sprawą bierną (słyszę syk na sali!) u wszystkich równą, bo nawet jeżeli malarz obrazów widzi inaczej niż malarz szyldów, to chodzi przytem o co innego, o zapasy i przygotowanie intelektualne, a nie o samo-widzenie. Kalejdoskopiczne widzenie pod przymkniętemi powiekami przed zaśnięciem to jest wysepka, która nic nie znaczy, i wątpię, by Galtonom — jeżeli wogóle mają ten zamiar — udało się przez żenienie duchowidzów z duchowidzkami wyhodować rasę rasowych ekspresyonistów. Duchowidztwo jest faktem, jak faktem jest pukanie stolików, lewitacye i aporty „duchów" — ale są to wszystko, że się tak trywialnie wyrażę, wyrostki robaczkowe w świecie ducha, fakty na razie przynajmniej bez konsekwencyi dla codziennej rzeczywistości, która sobie jeszcze z tysiąc lat pożyje.

Sprzykrzyło mi się także to szastanie perspektywami kulturalnemi, szczucie na cywilizacyę i zwalanie wszystkiego na tłuszcz burżoazyi. W prospekcie tegoż samego nakładu, w którym wyszło dziełko Bahra, czytam o dziele Picarda, które wykazuje bezpośrednią zawisłość malarskiego ekspresyonizmu od zwalczanego przezeń impresyonizmu. Idzie tu więc o problematy techniki artystycznej, które się dowolnie transponuje na kulturę. Znaleziono słowo „ekspresyonizm" a teraz szuka się, coby ono wyrażać mogło. Kłopot! Albo raczej: nowy żer! W ostatnich latach musiano się przecież w braku czego lepszego zabawiać roman-

tyzmem. Nowe słowo uratowało sytuacyę. Ja podziwiam tylko tego, co wynalazł końcówkę etymologiczną „izm“, — on wynalazł wszystkie izmy, jest to serya fabryczna. Aby mnie mylnie nie zrozumiano, dodaję, że tych wszystkich wyrażeń sam także używam i używać będę, ale nominalistycznie, jako fikcyi pomocniczych i skracających, lecz nie jako istności wypuszczonych nagle z puszki Pandory i mających byt własny.

Bardzo na rękę był ekspresyonizm Przybyszewskiemu. W „Zdroju“ napisał artykuł, poruszający się na podobnych torach, jak poglądy Bahra. Przybyszewski widzi oczywiście w ekspresyonizmie potwierdzenie swoich znanych pomysłów o „krzyku duszy“; dla niego cała sztuka składa się z dwóch kierunków „in“ i „ex“, wdychania i wydychania, realizmu i ekspresyonizmu. Z tej okazyi radbym poruszyć jedno nie „nieporozumienie“, jak się to zwykle z grzeczności mówi, lecz niezrozumienie.

Ekspresyonizm, jak z nazwy wynika, jest sztuką wyrazu. Wprawdzie według estetyki Crocego, która dziś właśnie powinna być więcej czytana, wszelka sztuka jest sztuką wyrazu, ale duch ludzki lubi pewne prawa ogólne powtarzać w miniaturze, w osobnej specyalnej hodowli. Popularnie: tak, jak wszystkie stronnictwa są narodowe, a przecież jedno mieni się specyalnie narodowem. Otóż jako s z t u k a w y r a z u ekspresyonizm tylko „wyraża“, nie „oddaje“. Zwracam uwagę wszystkich na to „oddawanie“. Oddaje się zwykle coś, co się wzięło. Gdy się więc mówi o „oddawaniu“, to dzieli się akt artystyczny na dwa procesy „branie“ i „oddawanie“. Gdy Bahr mówi, że ekspresyonista oddaje przedmioty wewnętrzne, to w zasadzie jest to właściwie taki sam „realizm“ jak oddawanie przedmiotów zewnętrznych, formalnie bowiem rzecz biorąc obie kategorye przedmiotów są tylko przedmiotami, tak, jak ze stanowiska poznawczego wrażeniem jest zarówno drzewo, jak głos, jak ból zęba. Dlatego Przybyszewski robił w zasadzie to samo, co znienawidzeni przezeń naturaliści: o d d a w a ł rzeczywistość, chociaż tylko rzeczywistość metafizyczną, wizyonerską. Mógł się mylić co do owej metafizyczności i wizyonerstwa, tak jak zresztą naturaliści mylili się grubo co do swego pojmowania wierności, — ale zamiar był zawsze ten sam: oddania, nawet schwycenia na żywem: wszak to impresyonizm?

Otóż w ekspresyoniźmie po raz pierwszy ten dualizm brania i oddawania, może nie znika, lecz ustępuje na drugi plan, kładzie się nacisk na samo medium sztuki, na ekspresyę, powiedzmy nawet na formę, — podkreśla się to, że się coś w y r a ż a, abstrahuje się zaś od tego, c o się wyraża.

Pragnąłbym, żeby ten wywód uważano za coś więcej, niż igraszkę filologiczną, i sądzę, że osobliwie artystom, znającym głębie swoich środków, takie określenie ekspresyonizmu dogadzać będzie. Lektura estetyki Crocego uczy zresztą dobrze eliminować dodatki mącące pogląd na główny akt sztuki, w którym rzecz wyrażona identyfikuje się niejako z wyrażeniem, uchwyceniem, zobjektywizowaniem; w stanie surowym jest nam nieznana. Oczywiście i Croce stoi na stanowisku czynności „ducha“, nie wyrabia z tem jednakże żadnego hokus pokus. Takim hokus pokus jest jednak, gdy się np. naturalizm czy impresyonizm potępia w czambuł, jako bierne postawy ducha. Tymczasem w obu tych kierunkach duch był tak samo czynny, jak dziś w ekspresyonizmie: wymyślał misterne instrumenty do uchwycenia rzeczy, niemal rzeczy same stawały się instrumentami. Bezdusznym można być wszędzie, i w naturalizmie i w ekspresyonizmie. Wierzę zresztą, że przyjdzie jeszcze czas, kiedy sztuka ze zdwojonym impetem rzuci się w naturalizm — który jest odwiecznym postulatem ducha ludzkiego, przezwyciężeniem materyi. Bahr sam zresztą znajduje szczęśliwą formułę, gdy powiada, że „Grek oddając się naturze, spodziewa się opanować ją“. W naturalizmie tkwi silny moment chytrości, ironii. Dodać zresztą trzeba, że wszyscy piszący o ekspresyonizmie, a więc i Przybyszewski i Kazimierz Edschmid, przyznają, że wszelka dobra sztuka jest ekspresyonistyczną. Dawniej mówili: symboliczną. Rozwój sztuki postępuje tak, jakby był analizą samego aktu twórczego, przesuwa akcent na coraz to inne momenty.

Ekspresyonizm jest sprawą własną sztuki, nie kulturalną — chyba tylko w przenośni. Można mówić o polityce ekspresyonistycznej. takiemże życiu, odczuwaniu, miłości itd., ale to są skojarzenia zabawkowe. O wiele łatwiejsze jest myślicielstwo, gdy generalizuje, niż gdy różniczkuje.

W sumie: Bahr mimo sympatyi dla ekspresyonizmu mówi o nim z politowaniem, jak o chorobie. Mówi nieautentycznie. Jest to plotkarstwo filozoficzne.

KAROL IRZYKOWSKI.



KRAKÓW · 20 · LIPCA · 1918 ZESZYT · 21

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI WIŚLANKA (Z RYSUNKÓW DO „LEGENDY").
(Ze zbiorów p. Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

JÓZEF JEDLICZ.

KTOŚ W MASCE.

Płyną nasze sekundy, minuty, godziny —
My w szczęściu ich nie liczym, ale ktoś je liczy,
Ktoś obcy, niewidzialny, groźny, tajemniczy,
Co — milcząc — nieustannie waży nasze czyny.

Wciąż obecny — jak gdyby przez dziwną pustotę,
Stale się upodobnia do okólnych rzeczy;
W szarej masce-niewidce, myląc wzrok człowieczy,
Tai przed nami swoją nieznaną istotę.

Kto on?... Zawsze z ubocza obojętnie śledzi,
Widzi wszystko, wie wszystko, czego my nie wiemy —
Słucha nieprzenikniony, poważny i niemy
Śmiechów i jęków ludzkich, jak ksiądz na spowiedzi.

Nieraz w czasie jesiennej martwoty i nudy
Zamajaczy w szarości ulewy, jak gdyby
Patrzył na nas przeciągle przez zamglone szyby
I z duszy umęczonej płoszył wszelkie złudy.

W chwilach szału, tłumiących wieczną życia sprzeczność,
Właśnie, kiedy najbardziej smakuje nam czara:
On przyspiesza na ścianie wskazówki zegara
I w sekundy obraca naszych ekstaz wieczność.

To znowu w przeokrutnych dobach zniechęcenia,
Kiedy smutek i rozpacz pochwyci nas w dyby,
On zwalnia flegmatycznie zegarowe tryby
I momenty udręki w stulecia zamienia.

Wciąż jednaki, ni smutkiem zjęty ni wesoły,
Nie mający nad nikim litości ni łaski —
Czasem na mgnienie oka, uchylając maski,
Odsłoni nagą szczękę, puste oczodoły...

STARY ZEGAR.

Mój stary zegar, co wczora
Stanął był w zmierzchu pomroce,
Dziś znów zgrzytliwie tykoce,
Nakształt ściennego upiora...
Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

Złuda-ż to uszu, czy czary?
W niezmordowanem swem tętnie,
Jak gdyby skarżył się smętnie,
Tyka chrapliwie grat stary...
Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

Smutny, złowieszczy szyderca!
Swym dychawicznym tykotem,
Niby tłumionym chichotem,
Przedrzeźnia rytm mego serca...
Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

— — — — — — — —

Któż rdzawe szczątki twe skleja?
Jakaż to psota dziecięca?
— »Nas obu — rzecze — nakręca
Ta sama, ta sama nadzieja...
Tik-tak, tik-tak, tik-tak...«

KWIAT WIEKUISTY
(BAŚŃ).

Mnogie kwiaty żywota, które kwitną wkrąg,
Opromieniają ziemię modremi niebiosy —
Mnogie kwiaty znikome ogrodów i łąk
Piją piękno z powietrza i słońca i rosy.

Lecz jest jedno uroczne, niewiędnące kwiecie,
Co świetnością powabów nieprzebraną skrzy;
Jego urok złowieszczy marzy się poecie
I na ludzi magiczne, dziwne zlewa sny.

Kwiat złotawo-szkarłatny, niby żywa krew,
Który codzień rozbłyska w świeży nimb rumieńców —
A karmi się ciałami najpiękniejszych dziew
I torsy najmężniejszych pożera młodzieńców.

Za tęcze barw i rajskich aromatów żary,
Za obłędne ekstazy cudotwórczych złud
Ludzie co noc mu nowe składają ofiary
I własnem życiem sycą jego wieczny głód.

Co noc bucha płomieniem obrzędowy szał,
I coraz nowe pary idą w mrok zatraty;
W odmęt orgii zapada przepych nagich ciał,
Aby kwiatu tęczowe ożywić szkarłaty.

Im więcej ciał śnieżystych straszny kielich wchłonie,
Im więcej krwi wypije z poświęconych par:
Tem wspanialej tryskają oszołomne wonie,
Tem płomienniej rozkwita purpurowy czar.

Oto zbliża się chwila: złoty dzień już zbladł,
Grozę śmierci niebiańska żądz głuszy muzyka —
I dwa drgające ciała wchłonął krwawy kwiat
I purpurowy kielich cicho się zamyka.

A gdy nocy ofiarnej pierzchną parne mroki,
Nanowo się otwiera wiekuisty kwiat
I wypluwa zmiażdżone i wyssane zwłoki,
Odurzającym czarem napełniając świat.

Nawet bladzi asceci błękitu i gwiazd,
Obłąkani tęsknotą śniciele zaświatu,
Dla których kwiecie ziemi to piekielny chwast —
Z dreszczem patrzą w przepychy zabójczego kwiatu...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

I znów złoci się cudnie czarodziejskie kwiecie,
A gdy w blaskach południa wionie żarki wiew,
Baśń żywota purpurą i złotem się plecie,
Do nowych samoofiar podżegając krew...





J. REMBOWSKI — DZIECI

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

12)

WALKA.

POWIEŚĆ.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Piotr zwrócił pamięć w owe ciche, głębokie doliny górskie, gdzie pod fioletowemi i szafirowemi skałami, wśród lodów lśniących i białych pól śniegowych, przybłąkane słońce leżało pod zawisami krzesanic na małych taflach jezior, lub na małych łączkach ze smugami niebieskich niezapominajek i rzadkiemi przejrzyście kłosami wysokich żółtawych szklistych traw, owe święte i zamknięte oddale uroku, z którym się nic w świecie równać nie może... Lecz czas naglił: trzeba było posłać swoich świadków podług adresu świadków owego nieszczęsnego jakiegoś tam Dzierzyńskiego.

Piotr przebiegł myślą znajomości, ale były to znajomości tak powierzchowne, tak bez kitu, tak obojętne, że trudno było wybrać kogo. Najbliższym stosunkiem był Baurowicz przez to samo, że korytarzyk tylko dzielił mieszkanie jednego od drugiego. Baurowicz po obiedzie bywał w domu — Piotr zapukał.

Zwiędły kawaler siedział bez surduta, w starym, letnim paltocie z kołnierzem podniesionym i zastrugiwał cienkie patyczki, z których krzyżowanemi płotkami kwiatki w wazonikach obsadzał.

— Cóż to pan robi? — spytał się go Piotr.

— Jak pan widzi — zaraz kończę; proszę siadać — odpowiedział nie bardzo ucieszony kawaler. — A że to pan nie na sofie po obiedzie?

— Ja nigdy nie sypiam po obiedzie — odparł Piotr, tłumiąc uśmiech na widok małego zadowolenia ze swej wizyty.

— A prawda, prawda... No i co tam słychać? Pogoda?

— Tak? Być może. Ale ja nie przyszedłem panu przeszkadzać, tylko w ważnej sprawie dla mnie.

Zwiędły kawaler spojrzał nieufnie na Piotra z za okularów, w których zacieńczał patyczki.

— No ale przecie nic złego? Bo ja, panie, właśnie tego... Siostra słabuje — dokończył szybko pięknym wyrazem.

— No to co? — zapytał go Piotr naumyślnie.

— No nic... tylko... Hohoho! Co lekarstwa kosztują!

— Nie może być! Takie drogie?

— Niech ręka Boska broni!

— Trudno starczyć! A to ja wszystko.

— Niech się pan nie uraża — gdybym mógł — zaczął Piotr naumyślnie, przydrwiwając z ubiegliwości.

Zwiędły kawaler oparł na jednej nodze rękę z patyczkiem, na drugiej rękę ze scyzorykiem, popatrzał na Piotra sympatyczniej i zapytał:

— O cóż idzie? Słucham.

— Mam pojedynek.

Zwiędły kawaler wzdrygnął się.

— U Pana Boga! Z kim?!

— Z Dzierzyńskim.

Przebłysk uznania dla siebie samego zamigotał w oczach zwiędłego kawalera.

— A co? Nie mówiłem? — odezwał się z przekonaniem co do siebie.

— Mówił pan. Potrzebuję świadków.

— Niby sekundantów?

— Niby sekundantów.

— I z tem pan do mnie przyszedł? W imię Ojca i Syna!

— To też to. Ale jako sąsiad po sąsiedzku kogo mi pan radzi? Bo ja tu tak niedawno jestem.

Ale zwiędły kawaler nie odpowiedział na pytanie, tylko wyłonił myśl:

— Uprzedzałem... Na kogo parol zagną, ten się tu nie ostoi. Któż u pana był — niby ze strony?

— Studzieński.

— I Topko, Romuald Tuleja Topko, Nie?

— Tak.

— A widzi pan! Hehehe — przyśmiał się — naprzód wiedziałem. Tadeusz Pohop. Studzieński i Romuald Tuleja Topko — westchnął. — Ze dwa razy za mojego życia obok nich szedłem na cmentarz... Bo na pogrzeb zawsze przyjadą, to trzeba powiedzieć, zawsze. Czarno ubrani i w ciemnych krawatkach. Może pan być spokojny.

— Dziękuję. Ale któż są ci panowie?

— To są zawodowi sekundanci specyaliści. Jak oni zreferują Dzierzyńskiemu, albo któremu z Puchanowskich — bądź zdrów. Sąsiedzi. Ludzie mało zamożni, a łakomi. Umrze kto — (spojrzał na Piotra) — nie chcę pana martwić, niby który z Puchanowskich albo Dzierzyński ubiją kogo: jedzą i piją. Nastąpi zgoda: ditto. Nie dojdzie na placu: ditto. Znają się na tem, eff! eff! To pan tak musi się pojedynkować z tym Dzierzyńskim? — dokończył z pewnem politowaniem.

— No jakże? Wyzwany jestem.

— A strzelać pan umie? Prawda, że pan tu kiedyś tę szkodniczkę wronę gładko z dachu spuścił. No ale to co? — rozszerzył nagle oczy na Piotra.

— No więc o to idzie: kogo? Ja myślałem prosić pana pierwszego.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Już wiem — ale może mi pan przynajmniej poradzi?

Zwiędły kawaler pomilczał.

— Hm... Znaleźć by nie było trudno... Honorowy obowiązek — — tego się nie odmawia.

— Liścicki?

— To pan nie wie? Odkąd się z córką dyrektora Latały ożenił, melancholia go żywcem zjada.

— Dlaczego?

— No bo nie można się żenić z wnuczką kucharza swojego ojca. Za te czterdzieści tysięcy rubli długów, które mu teść zapłacił i za te sześćdziesiąt tysięcy, które mu żona wniosła —

zależeć od Latałów — rozumie pan? My ludzie z inteligencyi?

Zwiędły kawaler kiwnął głową i przykończył pod oczami szpicek patyczka.

— W sam raz... Nie poznałeś to pan nikogo u Rzesiewiczów?

— No kogóż — dużo osób.

— Ale nikogo. Rozumiem. Toklany. Proś pan Liścickiego, niema rady, ożywi się, a drugiego jego teścia. Oto moja rada. Jak pana nie zabiją, to pan będziesz miał przyjaciela do końca życia w starym przez wdzięczność, żeś mu pan taką okazyę towarzyską dał. Ale ja panu radzę przeprosić Dzierzyńskiego. My nie

— Dziękuję panu. Do widzenia — rzekł Piotr do tego. To szlachecka zabawka.

wstając. — Niewątpliwie pan ma racyę.

— A widzisz pan! To nie dla nas. Boże prowadź! Do widzenia. Przeproś pan! O wypadek nie trudno...

Obydwaj panowie, Liścicki i jego teść Latała przyjęli honorowy obowiązek, przyczem wprawdzie obaj najwidoczniej odrazu stanęli po stronie Dzierzyńskiego, niemniej z pewnem uznaniem spojrzeli na Piotra.

— Czy pan wiesz, kto jest Dzierzyński? — zapytał Liścicki.

— Wiem. Łebki jaskółkom odstrzela.

— No, tego nie widziałem, ale z muszką na dwadzieścia kroków przez szyjkę wybija dno we flaszce, to fakt. Wolałbyś pan pistolety, czy pałasze.

— Pistolety.

— No, w każdym razie, możesz się pan uważać za dumnego — rzekł teść Latała. Pojedynek w towarzystwie robi rozgłos na całą okolicę. On nie lubi zabić, tak wytnie gdzie w bok, można się wylizać. Poproś pan Szyndla. Dobry chirurg.

Piotr zamówił telefonicznie lekarza na godzinę oznaczyć się mającą i wrócił do siebie. Siadł przy stole i machinalnie zaczął rysować ołówkiem na papierze. Wyrysował potworną czaszkę, potem potworne plecy, potem potworny zad na potwornych członach, opromieniony bijącym blaskiem słońca — z boku maleńkie figurki, mrowie ludzkie, wyciągające ręce przed siebie, łamiące je w rozpaczy... Sasza Schneider mylił się, przedstawiając Los czychający na ludzi.

Uśmiechnął się i zapalił cygaro. —

— Oto jest głupstwo życia! Kamienie ślepemu na drodze!...

* * *

Rozstrój nerwów go ogarniał. Zajrzał na budowlę, ale nie mógł tam wytrwać. Niepokój wstrząsał nim całym. Wszystko wydawało mu się obce już, zamknięte! Kazał konia okulbaczyć i ruszył naprzeciw sekundantom. Jakaś próżna nadzieja zażegnania kołatała mu się w głowie. Gościniec szedł wśród hrabskich dóbr po jednej stronie, jak okiem sięgnąć nieprzejrzanych, wzorowo uprawnych przestrzeni, po drugiej stronie pomiędzy działy chłopskie i folwarków obywatelskich.

Zdaleka w czystem popołudniowem powietrzu ujrzał powóz dyrektora Latały, który poznawszy go, począł ku niemu ręką kiwać. Poparł konia i podjechał, gdzie się dwie linie gościńca krzyżowały wiłemi zakrętami.

— Dziękuję panom bardzo. Cóż? — zapytał.

— Jutro, piąta rano, na Waśkówce, zawieziemy pana — odpowiedział Liścicki, zacząwszy powtarzać rozmowę swoją ze świadkami Dzierzyńskiego. Dwadzieścia kroków, pistolety gładkie, pierwszy strzał Dzierzyński, jako obrażony. W oczach dyrektora Latały malowała się obojętna litość. Obaj ci panowie działali na korzyść Dzierzyńskiego, nie można było wątpić.

Piotrowi stało się ciemno w oczach.

Wtem, gdy rozmawiali, Latała uchylił czapkę i pozdrowił nią kogoś poza Piotrem w tyle. Piotr zwrócił głowę i ujrzał wyjeżdżających z zakrętu konno Ewarysta Donimunta z bratanką.

Bez okrycia głowy, w puszystych włosach, w ciemnogranatowej amazonce dawała ta panna typ niesłychanie czysty i szczery. Jej oczy z widocznem wzruszeniem powitały Piotra.

— Dzień dobry panom, a raczej pod dobry wieczór — odezwał się szpakowaty jegomość i pojrzawszy na obecnych, na ich wyrazy twarzy, odgadł o czem tu mowa i kto co reprezentuje.

— Panowie o interesach? Nie będziemy przeszkadzali. Moja bratowa — zwrócił się do Pio-

tra — zachwycona pańską grą, panie Węglin! Mam polecone to panu przy pierwszej sposobności oświadczyć.

Szpakowaty jegomość rzucił okiem na obu świadków, Liścickiego i Latałę i skonstatował wrażenie, jakie uczynił.

— Szczęśliwy jestem, że mogłem pani Donimuntowej służyć za partnera — odpowiedział Piotr.

— Moja bratowa ma nadzieję, że pan ją znowu zaszczycisz — a moja bratanka także— dokończył z żartobliwą miną ku pannie, która zmieszała się i poglądnęła nań błękitnemi oczyma.

— Jeżeli tylko będę mógł... Chciałem złożyć moje uszanowanie po mojej niespodzianej wizycie — odpowiedział Piotr.

Głos mu lekko zadrżał. Ewaryst Donimunt spojrzał na niego z sympatyą, potem rzucił okiem na bratankę i rzekł:

— Pojedziemy. Nie będziemy przeszkadzać.

— Myśmy już skończyli, co mieliśmy do powiedzenia. Wracamy do domu — oświadczył dyrektor Latała.

— A w takim razie może pan łaskawie z nami trochę, panie Węglin, bardzo proszę. Małą przejażdżkę. Proszę. Piotr zrównał konia z końmi Donimuntów. Bujna pierś i bujne biodra panny modelowały się w ruchu. Para tych państwa robiła dziwnie staroświeckie wrażenie. Piotr miał uczucie, jakby się cofnął w epokę z przed kilkudziesięciu lat, znaną z rycin i obrazów. Starszy pan w tym samym angielskim tabaczkowym surducie, w niskim popielatym cylindrze, w sieraczkowych, wąskich, niemal obcisłych spodniach ze strzemiączkami i młoda osoba o typie gdzieś 31-go roku, grzeczni, uprzejmi i tak pociągający, jak stara melodya.

— My tak często — mówił szpakowaty jegomość — oboje. Ja już na dewocyi osiadłem w Łąkach, stary wdowiec, stary wdowiec. Brat mój od lat szesnastu nie żyje. Nawet w bilard grywamy, bo to moja pasya. Pan tak sobie się wybrał, czy z celem?

— Wyjechałem się trochę oderwać od roboty. Korzystam z czasu, póki grunt pod fundamenta kopią.

— Potem trzeba będzie pilnować?

Piotr pochylał się mimowoli w stronę Donimuntówny niewidocznym ruchem — wydawało mu się, że i ona ku niemu lekko głowę skłania. Jakieś ciche uczucie rzewności poczęło go ogarniać, miękkość oblała mu serce. A zarazem przejął go dotkliwy, szarpiący żal, żal życia, żal jego słodyczy, żal — poznał to — tej kobiety... Ile razy ich oczy spotkały się: Piotr widział w oczach jej jakby przymglenie pomimowolne.

Zjechali na polną drogę w wilgotne gaje ponad jaz. Na dole, wśród wiklin i krzewów dzikich szkliło się małe jezioro, koło którego biegł trawnik zielony, kwiatami malowniczemi zasiany. Jaz po drugiej stronie miał pnący się w górę jasnozielony las modrzewiowy, wysokopienny, a podszyty gęstą młodzizną.

— Waśkówka — rzekł stary dżentelmen.

Piotra skurcz chwycił w piersiach.

Jakto?! zajechał tu, gdzie jutro...?!

Pod płonącą kulą słońca pod zachód, w samotni, wśród dzikich drzew owocowych i gąszczu grabiny i jesionów, ujrzał miejsce, gdzie za jedną noc miał stanąć wobec śmierci.

Szczególnemi oczami patrzał na dół, z wysokości jakich piętnastu metrów, Ewaryst Donimunt, a potem niesłychanie krótkie i bystre spojrzenie rzucił na Piotra.

— Panie Węglin — rzekł — moja bratowa wie o wszystkiem, to nieszczęście bez kapelusza, któreś pan ocalił od zbrodniczego napadu, nie wytrzymało i wygadało się ze wszystkiego. Moja bratowa i mój bratanek pragną panu podziękować. Ja także dziękuję, bo to jest ostatni romans mojego życia z przeciwnej strony.

Stary jegomość zażartował na końcu, ale Piotr odczuł, że on domyślił się, tkwiło to w jego głosie. Umilkli i jechali wązką ścieżką nad jazem jedno za drugiem.

— Śliczny zachód słońca — ozwała się Donimuntówna.

— Tyle Pan Bóg potrafił — rzekł starszy jegomość. — Mój aniele, strać mnie z pamięci i uważaj, bo tu dyablo potoczysto na prawo.

— Stryj mnie kompromituje — odpowiedziała Donimuntówna. — Moje uczucie zasługuje na poszanowanie tajemnicy.

Przeklęte głupstwo życia! Swoboda i pogoda tych dwojga ludzi, którzy bawili się żartem, ta

różnica sytuacyi zapiekła Piotra do żywego. Gdy ścieżka wywiodła w pola i drogi polne się zaczęły, wstrzymał konia i rzekł:

— Państwo pozwolą się pożegnać. Mam jeszcze wieczorną robotę. Zdaje mi się, że tu na przełaj przejadę.

Uchylony popielaty cylinder i wdzięczne skinienie głowy żegnały go. Ruszył na przełaj przez jakiś rów, przychylił się, jak jeżdżą na stepach, i pomknął między gęstwiną zarośli, aby zniknąć z oczu. Tu był jego los — poznał to — w tej młodej dziewczynie, z nią pozostały zaczarowane jego zmysły — —

Wyjechał na mały wzgórek i obejrzał się — nie było widać nikogo, tylko w jarze w dole szklił się w oddali skrawek jeziora złowieszczo i tajemniczo.

Śmierć tam legała do snu, aby wstać rano.

Piotra ogarnęło uczucie rozpaczy — — gdyby choć równy strzał — — i o co? Że go chciano trochę ośmieszyć u jakiegoś dzierżawcy w mazurze...

Przeklęte głupstwo życia! Nie słońce, ale wielki zad opromieniony pokazuje się człowiekowi — głupia, tępa, podła przypadkowość..:

(C. d. n.)

LEOPOLD STAFF.

1914.—1918.

Nadużyli słów wielkich! W zezującej, krętej
Mowie, co zaraziła trądem prawdy wnętrze,
Jak liczmany rzucili hasła przenajświętsze
Dla celów gry szalbierczej, dla chytrej przynęty.

Z trzech stron krzyknęli: Wolność! Na najwyższem piętrze
Wież zatknęli swobody sztandar rozwinięty,
By potem wytoczonej krwi ciemnymi męty
Zgasić wskrzesłych zapałów ognie najgorętsze.

Lecz przeciw własnej piersi zdradnych dobrodziejów
Obrócił się karzący, tajny palec dziejów
I upiór wywołany wstał z pomroków toni.

I janusowa postać zbudzonej Wolności,
Zwracając ku nam jasną twarz Sprawiedliwości,
Patrzy na świętokradców obliczem ironji.


RYSUNEK A. MAILLOL'A.

EDWIN ROSENFELD JĘDRKIEWICZ.

W DALEKICH TĘSKNOT...

W dalekich tęsknot zapatrzeni żniwo
Miedzą pól szliśmy jasną i nagrzaną
Czując, że idziem prze bytów ogniwo
W ono czerwcowe i słoneczne rano.

Wokół szumiało w aksamitnym wietrze
Zbóż śmigłych morze i do stóp nam kładło
Fale tysiączne, sypkie i najwietsze
Grzywą grające kłosów, w słońcu zbladłą.

I była chwila jedna — nienazwana —
Gdy w szumach tajnych wiedzy i niewiedzy
I w szumie złotym zbożowego wiana

Falującego wśród świetlistych płatów
Stojąc — uczulim, że stoim na miedzy
Ogromnych, jasnych i potężnych światów.

ARTUR SCHRODER.

L A T O.

Szeleszczą cicho srebrne łany pszenne,
o jakiejś mówią tajemnej pieszczocie —
w lipcowe ono popołudnie senne
pławi się wszystko dookoła w złocie,
śmieje się trawa, każdy krzew swym listkiem —
Wszystko jest szczęściem, boś ty jest we wszyst-
/kiem.

Mówi o tobie zapach ziół słodkawy,
że włosy twoje tak pachną złociste,
brylanty rosy na źdźbłach świeżych trawy,
że oczy twoje są tak samo czyste,
płonąca makiem pól najmiększa chusta,
że tak płonące są twe miękkie usta.

Kwiaty łodygi swoje gną dziecięce
w słońca upalnej radosnej spiekocie
tak, jak te twoje przenajsłodsze ręce,
drżące leciutko w ust moich pieszczocie —
nad ziemią fala białych chmur się przędzie,
jak piersi twoich dwa białe łabędzie —

Niesie się polem, szerokim oddechem
melodya smutna poprzez kwiatów zwoje —
jest ona jeno podsłuchanem echem
słów twych szeptanych prosto w usta moje,
tak, jak rytm ziemi, co się w wszystko wwierca,
jest jeno przecie biciem twego serca.

Lato, w mych tęsknot śnione noc wiośnianą,
po długiej zimy lodowej udręce
przyszło nareszcie w takie jedno rano
i wyciągając pod blask słońca ręce,
mówi kwiatami, krzewem, każdym listkiem,
że wszystko szczęściem, boś ty jest we wszystkiem.

ANTONI WAŚKOWSKI.

EROTYKI.

I.

Jak zorza płoną twe usta,
żar słońca rzucony w wodę...
twe usta — grzech i rozpusta,
twe usta świeże i młode...

Twe oczy — otchłań daleka,
bezdenna, błękitno-sina,
kędy od wieków mnie czeka
spokojność i śmierć jedyna...

Twe oczy, twe usta świeże,
twe ciało — harfa niczyja...
patrzę i miłość mnie bierze,
pali i żre i zabija...

II.

Śnią mi się cudne twe oczy,
usta w lubośnej piosence —
w złotej ulewie warkoczy
płonie twe ciało dziewczęce...

W ulewie złotych warkoczy
palą się tęsknot mych wieki...
śnią mi się cudne twe oczy,
ust młodych uśmiech daleki...

Śnią mi się cudne twe oczy,
słoneczna ulewa włosów...
miłość — co silnie jednoczy
raj tęsknot z piekłem niebiosów...

III.

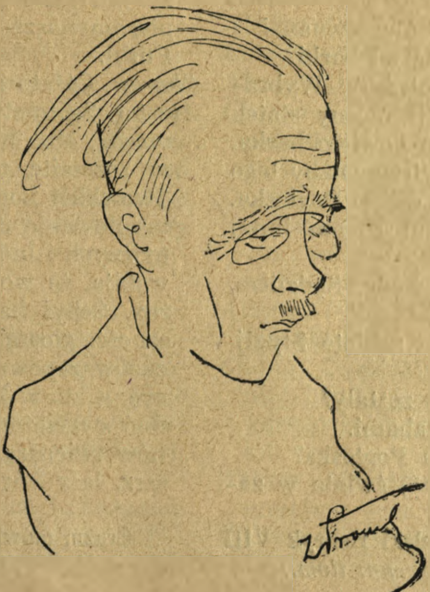
Kiedy cię moje ramiona przygarną
i z ust twych będę pocałunki brał,
chcę, żebyś była, jak burza w noc czarną,
jak otchłań morska i wichurny szał...

Chcę, żeby ciałem twem wstrząsały dreszcze,
jak śpiewną harfą za dotknięciem strun,
żeby z twych ust bił żar gorętszy jeszcze,
niż groźny przepych stu pożarnych łun...

Chcę, żebyś była, jak upał południa,
co wędrownika wyczerpuje z sił...
jak cień przedrożnych lip i święta studnia,
kędybym wodę zapomnienia pił...

Chcę, żebyś była jako sen daleka,
nieodgadniona nigdy w głębi swej —
w mgłach o zachodzie zadumana rzeka,
zapamiętały szum odwiecznych kniej...

Chcę, żebyś była jak grecka kolumna,
gdy słońce pieści ją od głów do stóp,
w nagości swojej królewska i dumna,
a taka dobra jak otwarty grób...



Z. PRONASZKO — WAŚKOWSKI (karykatura)

DEZYDERY ERAZM Z ROTTERDAMU.

C H A R O N

(ze zbioru *Colloquia Familaria*, 1524.)

Charon. Alastorze, gdzie spieszysz w takiem podnieceniu?
Alastor. W samą porę spotykam cię, Charonie. Do ciebie spieszyłem.
Charon. Cóż nowego?
Alastor. Przynoszę wiadomość, która bardzo ucieszy Prozerpinę i ciebie.
Charon. Ulżyj sobie, dajże, coś przyniósł.
Alastor. Oto Furye wywiązały się z zadania z równą gorliwością, jak powodzeniem. Niema już zakątka ziemi, któregoby nie zakaziły piekielnemi klęskami, niezgodą, wojną, rabunkiem i zarazą, aż wreszcie całkiem wyłysiały, oskubawszy sobie z głowy węże, któremi świat zarzuciły, a pozbywszy się jadu, krążą, szukając wszędy żmij i jadowitych gadów. Mają teraz głowy goluteńkie jak jajo, bez jednego włoska, a w piersiach ani kropli trucizny. Przygotuj przeto swą barkę i wiosła. Wnet bowiem przyjdzie taki tłum cieniów, że obawiam się, czy zdołasz wszystkich przeprawić.
Charon. Wiedzieliśmy o tem.
Alastor. Skąd miałeś wiadomość?
Charon. Przyniosła ją Pogłoska, ze dwa dni temu.
Alastor. Ta bogini ma chyżość niezrównaną! Ale cóż ty tutaj czynisz zdala od barki?
Charon. Oczywiście nie bez potrzeby. Wybrałem się tu, aby zakupić jakiś mocny statek o trzech rzędach wioseł. Moja bowiem barka, zbutwiała i dziurawa, nie wytrzymałaby tego ciężaru, jeśli prawdą jest, co rzekła Pogłoska. Zresztą co mi tam Pogłoska! Niema innej rady, skoro się rozbiłem.
Alastor. Zaiste, cały ociekasz wodą. Sądziłem, że wracasz z kąpieli.
Charon. W istocie wypłynąłem z błota Stygijskiego.
Alastor. A gdzież twoje cienie zostały?
Charon. Pławią się razem z żabami.
Alastor. Cóż tedy opowiedziała Pogłoska?
Charon. Że trzech monarchów*) świata w zawziętej nienawiści dąży do wzajemnej zguby i niema już ani skrawka ziemi chrześcijańskiej, wolnego od szału wojny. Ci trzej bowiem wszystkich innych wciągają do udziału w wojnie, a wszyscy są tak zażarci, że żaden nie chce drugiemu ustąpić. Ani Duńczyk, ani Polak, ani Szkot, ani nawet Turek nie siedzi spokojnie. Dzieją się okropności. Wszędzie grasuje zaraza, w Hiszpanii, w Anglii, we Włoszech i we Francyi. Co więcej, różnica przekonań zrodziła nową zarazę, która tak skaziła wszystkie umysły, że niema już nigdzie szczerej przyjaźni, brat nie ufa bratu, ani żona nie zgadza się z mężem. Można się spodziewać, że z tego będzie kiedyś wspaniała rzeź, jeśli od piór i języków przejdą do pięści.
Alastor. Wiadomości Pogłoski zgadzają się z prawdą co do joty. Sam bowiem wiele widziałem na własne oczy, jako wierny towarzysz i pomocnik Furyi, które nigdy jeszcze nie okazały się tak godnemi swego imienia.
Charon. Jednakże trzeba się obawiać, aby nie zjawił się jaki duch opiekuńczy, któryby nagle do pokoju nakłaniał. A dusze ludzkie są zmienne. Słyszę bowiem, jakoby między ludźmi żył pewien pisarz, co piórem nieustannie zwalcza wojnę, a nawołuje do pokoju *).
Alastor. To też on dawno już mówi jak ów chłop do obrazu. Ongiś napisał „Skargę konającego pokoju“, dziś już zmarłemu ułożył wierszem nagrobek. Są za to inni, co popierają nasze sprawy nie gorzej od samych Furyi.
Charon. Cóż to za jedni?
Alastor. Są to stworzenia okryte płaszczem ciemnym, albo białym, w burej odzieży, strojne w rozmaite piórka; nie opuszczają nigdy dworskich komnat. Książętom sączą do uszu zamiłowanie do wojny, popychają ku niej i możnych i lud. W kazaniach ewangelicznych wołają, że wojna jest słuszna, święta i zbożna. Żebyś bardziej podziwiał ludzką waleczność, głoszą to samo obu partyom. Francuzów zapewniają, że Bóg walczy za Francyę, a kto w Bogu ma zastępcę, nie może zostać zwyciężonym. U Anglików zaś i Hiszpanów twierdzą, że tę wojnę prowadzi nie cesarz, lecz Bóg; niech tylko staną dzielnie —

*) Cesarz Karol V, król angielski Henryk VIII i król francuski Franciszek I *(przyp. tłom.)*

*) Erazm mówi tu o sobie samym *(przyp. tłom.)*

zwycięstwo jest pewne. A gdyby ktoś poległ, nie zginie, lecz prosto poleci do nieba, tak jak był uzbrojony.

Charon. I takim wierzą?

Alastor. Czegóż nie potrafi udana religijność! Dodajmy jeszcze młodość, brak doświadczenia, żądzę sławy, zapalczywość i przyrodzony pociąg do tego, co nam wskazują za cel. Łatwo zwieść podobne umysły, bo nic łatwiejszego, jak popchnąć wóz, który własnym ciężarem chyli się do upadku.

Charon. Chętnie zrobiłbym dla tych stworzeń coś dobrego.

Alastor. Zastaw sutą ucztę. Nic milszego nie możesz im uczynić.

Charon. Chyba ze ślazu, łubinu i porów. Wiesz bowiem, że u nas niema innej żywności.

Alastor. Przeciwnie, jeśli chcesz się okazać hojnym gospodarzem, podaj im kuropatwy, kapłony i bażanty.

Charon. Ale jakiż jest powód, który ich skłania do tak gorliwego głoszenia wojny? Co w tem mają za korzyść?

Alastor. Tę, że na nieboszczykach zarabiają więcej, niżeli na żywych. Istnieją przecie testamenty, ofiary za spokój duszy, bulle i wiele innych zysków nie do pogardzenia. A wreszcie oni wolą kręcić się po obozach, niż siedzieć w swoich celach. Wojna wynosi na biskupstwo wielu takich, co w czasach pokoju nie byli warci ani szeląga.

Charon. Mają słuszność.

Alastor. Ale na co tobie statek o trzech rzędach wioseł?

Charon. Na nic, jeżeli mam jeszcze raz w pośrodku bagien zatonąć.

Alastor. A to z powodu przepełnienia?

Charon. Nie inaczej.

Alastor. Przecież ty nie ciała, ale cienie przewozisz. Jaką więc wagę posiadają cienie?

Charon. Gdyby to były nawet komarnice, może ich przecie taka być moc, że obciążą barkę. Wiesz zresztą, że i barka moja jest jak cień.

Alastor. A jednak przypominam sobie, sam kiedyś widziałem, gdy tłum olbrzymi i łódź twoja nie mogła wszystkich zabrać, trzy tysiące cieniów uczepiło się steru, a ty nie poczułeś żadnego obciążenia.

Charon. Przyznaję, że takie bywają dusze, które stopniowo opuszczają ciało wyczerpane suchotami lub malaryą. Lecz te, co nagle uchodzą z tęgiego ciała, zabierają z sobą wiele materyi cielesnej. Takich nam właśnie dostarcza udar, dławiec, dżuma, a nadewszystko wojna.

Alastor. Nie sądzę, aby Francuzi i Hiszpanie przynosili wiele ciężaru.

Charon. Znacznie mniej, niż inni; chociaż i ich dusze wcale nie są z puchu. Za to od Anglików i pysznie spasionych Niemców przybywają czasem takie, że wystarczy przewozić dziesięć, aby się narazić na katastrofę, jak mi się to świeżo zdarzyło, i gdybym był nie wyrzucił części ladunku, byłbym zginął niechybnie razem z barką, podróżnymi i kasą.

Alastor. Straszne niebezpieczeństwo.

Charon. Wyobraź sobie, co się dopiero dzieje, gdy przybywają tłuści namiestnicy, zawadyacy i rębacze.

Alastor. Sądzę, że z tych, co giną w sprawiedliwej wojnie, żaden do ciebie nie przychodzi; ci bowiem — jak słychać — ulatują prosto do nieba.

Charon. Nie wiem, gdzie ulatują; to jedno wiem, że ilekroć zdarzy się wojna, tyle przybywa do mnie rannych i kalek, iż dziw, że ktoś jeszcze na świecie zostaje. Przychodzą zaś nietylko opici i obżarci, ale nadto obładowani bullami, kanoniami i mnóstwem rzeczy podobnych.

Alastor. Ależ cienie tego nie zabierają, lecz przybywają do ciebie nago.

Charon. To prawda; atoli świeżo przybyłe zachowują jeszcze sny o tych rzeczach.

Alastor. Azali sny ciążą?

Charon. Obciążają mi barkę; co mówię: obciążają? one ją zatapiają. Wreszcie czy sądzisz, że tyle obolów za przewóz nie stanowi żadnego ładunku.

Alastor. Niewątpliwie, jeżeli są z miedzi.

Charon. To też właśnie postanowiłem zaopatrzyć się w statek, któryby wytrzymał ciężki ładunek.

Alastor. Jakżeś szczęśliwy!

Charon. Dlaczego?

Alastor. Bo wkrótce zrobisz majątek.

Charon. Niby na ciżbie cieniów?

Alastor. Oczywiście.

Charon. Ba, gdybyż to one zabierały swe ziemskie dobra. Ale ci, co w mej barce opłakują pozostawione na ziemi królestwa, kardynalstwa, opactwa i niezliczone sterty złota, przynoszą mi tylko jeden obol. To też wszystko, com sobie uciułał przez trzy tysiące lat, będę musiał wydać na jeden statek.

Alastor. Niema statku bez wydatku. Kto sieje, ten zbiera.

Charon. Tymczasem ludzie, jak słyszę, pomyślniej handel prowadzą, skoro z pomocą Merkurego robią grube majątki w ciągu trzech lat.

Alastor. Ale też nieraz bankrutują. Twój zysk mniejszy, lecz pewniejszy.

Charon. Nie wiem, czy tak bardzo pewny: gdyby tak teraz zjawił się jakiś bóg, któryby

spory książąt załagodził, moje piękne widoki poszłyby do licha.

Alastor. Och, co do tego, ręczę ci, że możesz spokojnie spać na oba boki. Niema powodu, abyś się obawiał pokoju przed upływem dziesięciu lat. Jeden tylko papież rzymski gorliwie nawołuje do pokoju, ale on wodę sitem nosi. Już i obywatele szemrają pod grozą klęsk: podobno w któremś państwie ludność mówi po cichu, że niesłuszną jest rzeczą, aby przez gniewy osobiste lub dumę dwóch, trzech mężów cały świat wywracać na nice. Ale wierz mi, że Furye przemogą narozumniejszą myśl. A zresztą czemu ty przychodzisz do ludzi ze swojem zamówieniem? Czy brak już u nas rzemieślników? Zaprawdę mamy przecież Wulkana.

Charon. Świetna myśl, gdybym potrzebował miedzianego pancernika.

Alastor. Za byle co można zgodzić cieślę.

Charon. Prawda to, lecz nie mamy budulca.

Alastor. Co słyszę? Nic nie zostało z lasów?

Charon. Nawet gaje z pól Elizejskich zużyto.

Alastor. Na jakiż to cel?

Charon. Aby spalić cienie heretyków; do tego doszło, że niedawno musieliśmy aż z wnętrza ziemi dobywać węgiel.

Alastor. Co znowu! Nie można to było ukarać ich mniejszym kosztem?

Charon. Radamantysowi tak się spodobało.

Alastor. Gdzież ty kupisz statek, gdzie najmiesz wioślarzy?

Charon. Do mnie należy kierować sterem; wiosłować zaś będą cienie, jeżeli chcą się przeprawić.

Alastor. Są przecież tacy, co nie uczyli się robić wiosłem.

Charon. U mnie niema wyróżnień, wiosłują i monarchowie i kardynałowie, każdy, według kolei, tak samo jak prości ludzie, bez względu, czy się uczyli tego, czy nie.

Alastor. Z pomocą Merkurego kupże sobie trójrzędowiec niedrogo; dłużej cię nie zatrzymuję. Zaniosę do podziemi radosną nowinę. Ale, ale, mój Charonie!

Charon. Cóż jeszcze?

Alastor. Wracaj rychło, by cię rosnąca ciżba nie zgniotła

Charon. O tak, znajdziesz tam już przeszło dwakroć sto tysięcy na brzegu, prócz tych, co płyną wpław przez moczary. Postaram się możliwie prędko załatwić. Powiedz im, że wnet powrócę.

Tłomaczył *Maurycy Mann.*



I. HRYNKOWSKI — *AKT.*



P R Z E G L Ą D

KARYKATURY SICHULSKIEGO

Są zapewne w Polsce ludzie inteligentni, którzy nie znają Sichulskiego jako malarza, ale chyba dla niewielu z nich jest on obcy jako karykaturzysta. Karykatura bowiem pozostaje w takim stosunku do wielkiego malarstwa, jak fejleton dziennikarski do poezyi lub poważnej krytyki. Aktualność jest nieodzownym warunkiem jej powodzenia: związania z chwilą, z jej wypadkami i bohaterami, wraz z nimi przemija i więdnie. Najkapitalniejsze dowcipy, najzjadliwsze pamflety, które rozśmieszały i bawiły naszych ojców, dla nas są przeważnie nudne, a często nawet niezrozumiałe. Stają się już tylko przyczynkami do historyi politycznej, czy do historyi kultury tak, jak roczniki starych gazet. Wyjątek tworzą tu oczywiście te karykatury, które poza swą treścią literacką, satyryczną, dzięki tkwiącym w nich zaletom plastycznym, są same przez się wybitnemi dziełami sztuki, nie starzejącemi się nigdy i zawsze zachowującemi swą wartość.

Co karykaturzysta traci na trwałości swej sławy w czasie, (powiedzmy patetycznie, na nieśmiertelności), to zyskuje na jej intenzywności w danej chwili. Dzieli pod tym względem losy wielkich śpiewaków, aktorów i wziętych fejletonistów. Pospolitą jest rzeczą, że zdolni współpracownicy malarscy pism humorystycznych cieszą się często większym rozgłosem, aniżeli artyści przewyższający ich o całe niebo głębią i powagą swej twórczości. I to nie tylko wśród swego społeczeństwa. Jest to jednym z przykrych objawów zależności naszej kultury umysłowej od niemieckiej, że przeciętny nasz inteligient, nie mogący się obyć bez lektury kawiarnianej, zna o wiele lepiej T. Th. Heinego, Gulbranssona i ś. p. Reznicka, niż wielkich twórców plastycznych, zachodnich i własnych.

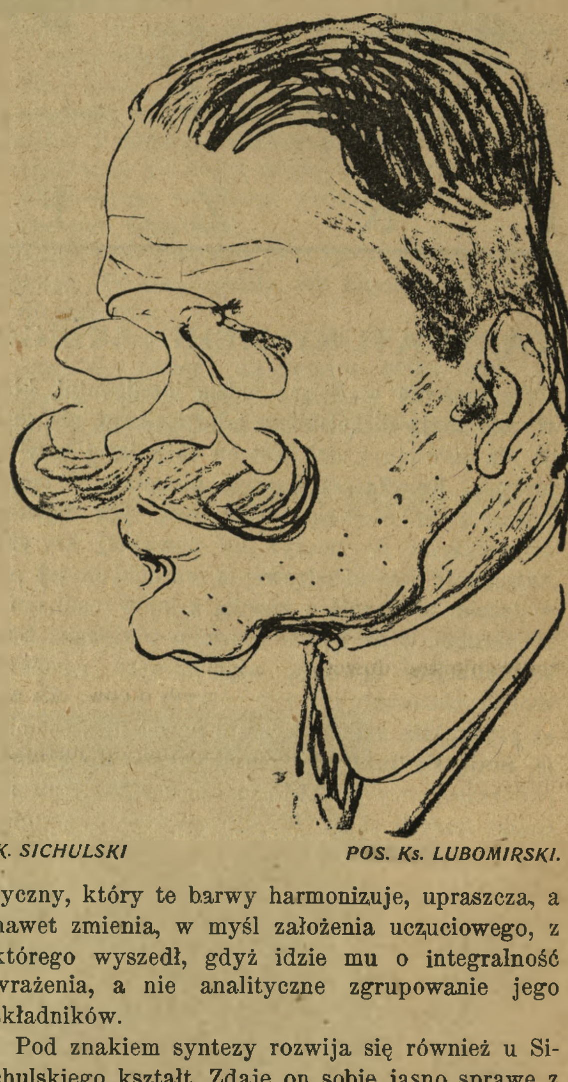
To też za zasługę kulturalną poczytać należy Sichulskiemu, że stworzył własnemi siłami nowożytną karykaturę polską, która jest narodową, bo z czysto polskiego gruntu wyrosła, i nawskroś artystyczna, bo posiada wszystkie zalety talentu tego malerza. A stworzył ją sam, bez niczyjej pomocy i współdziałania, bo artystycznych pism humorystycznych u nas niema, a one to zazwyczaj są wylęgarnią i szkołą karykaturzystów. Ostatniem a zarazem pierwszem w okresie sztuki współczesnej, do niedawna określanej nazwą „Młodej Polski", było „Liberum Veto", którego Sichulski „magna pars fuit". Obecnie pewne tendencye w tym kierunku okazuje lwowski „Szczutek" (redivivus), ale narazie ogranicza się do dobrych chęci. Z artystów, którzy w „Liberum Veto" próbowali, i przeważnie z wielkiem powodzeniem, ostrza swego dowcipu, jak Wyczółkowski, Laszczka, Pautsch, Jarocki, Uziembło, Frycz, Procajłowicz, Niesiołowski, jeden Sichulski pozostał wiernym karykaturze. Współzawodnikiem jego, o zupełnie odrębnym, melancholijno-ironicznym tonie byłby zapewne Wojtkiewicz, gdyby śmierć przedwczesna nie była podcięła prawdziwego kwiatu jego sztuki. Obecnie więc jest Sichulski jedynym twórcą z Bożej łaski, który uprawia w Polsce karykaturę. Jest zaś rzeczą charakterystyczną i ponownie stwierdzającą, jak dalece brak nam humoru, dowcipu i zmysłu satyrycznego, że Sichulski jest bezpośrednim następcą Kostrzewskiego i Brunona Tepy, którzy — pomijając już niższość talentów — byli wszakże ludźmi zupełnie innej epoki i innych wymagań artystycznych. Brak ów charakteryzuje wogóle naszą umysłowość, gdyż występuje

także w literaturze. Wszakże poza Nowaczyńskim Boyem, Lemańskim i Makuszyńskim nie wielu chyba znajdzie się u nas ludzi naprawdę dowcipnych. Byłoby intersującym tematem dla badaczy psychologii zbiorowej zanalizowanie, w jakiej mierze na objaw ten składają się psychologiczne właściwości naszej rasy, jak liryzm i skłonność do metafizycznej i mistycznej fantastyki w połączeniu z brakiem skłoności do realistycznej obserwacyi życia, w jakiej zaś tragiczne zewnętrzne warunki naszego narodowego bytu.

Uwiedzeni popularnością Sichulskiego, jako karykaturzysty, także niektórzy literaci piszący o sztuce (nie powiem „krytycy sztuki", bo ludzi mających u nas prawo do tej nazwy, można z łatwością policzyć na palcach jednej ręki), posunęli się do twierdzenia, że karykatura jest terenem, na którym talent Sichulskiego najpełniej i najlepiej się urzeczywistnia. Słowem radziby uczynić z niego wyłącznie karykaturzystę. Wyrządziliby tem krzywdę nie tylko samemu artyście, ale przedewszystkiem sztuce polskiej. Talent Sichulskiego bowiem zbyt jest żywiołowy, aby owoce jego mogły się pomieścić na jednej i to bynajmniej nie najwyżej wystrzelającej gałęzi malarstwa. Inne ma on i daleko szersze ideały i rękojmie realizacyi.

Psychika Sichulskiego ma konstrukcyę nawskroś malarską. Świat zewnętrzny oddziaływa głównie na jego oczy, a nie na mózg, i na oczy też, a nie na ośrodki abstrakcyjnego myślenia pragnie oddziaływać ten artysta. Już z tego względu karykatura nie może być najwłaściwszem, czy też nawet jedynem polem jego działalności, bo wymaga ona talentu na pół malarskiego, na pół zaś literackiego. Karykatura wyjątkowo tylko może istnieć sama przez się bez żadnego dodatku. Z reguły albo wymaga komentarza, choćby w formie krótkiego podpisu czy dowcipu, albo też opiera się na precedensie faktów ogółowi dobrze znanych. W każdym razie nie jest malarstwem czy też grafiką czystą, ale stosowaną do polityki, literatury lub do problemów moralnych czy socyalnych. W karykaturze treść zajmuje co najmniej tyleż samo uwagi widza, ile forma, jeśli nie więcej. U Sichulskiego zaś, jak u prawdziwego malarza, życie uczuciowe wyładowuje się przedewszystkiem w formie, treść zaś jest rzeczą podrzędniejszej wagi. Wyraża się ono w pierwszym rzędzie za pomocą koloru, tego najbardziej niemateryalnego elementu malarstwa, który pozwala malarzowi działać, podobnie jak działa muzyk, niemal bezpośrednio na duszę, chciałoby się rzec prawie, bez pośrednictwa zmysłów. Wonie kwiatów, akordy dźwiękowe i akordy barwne, to są najbardziej uduchowienie postaci świata zmysłowego, to są owe eteryczne mosty, które najbardziej zbliżają sferę fizyczną i psychiczną.

Wiemy, jaką ewolucyę przeszedł kolor Sichulskiego. Z impresyonizmu naturalistycznego, liczącego się jeszcze skrupulatnie z barwami natury, przerodził się stopniowo w impresyonizm syntetyczny, który te barwy harmonizuje, upraszcza, a nawet zmienia, w myśl założenia uczuciowego, z którego wyszedł, gdyż idzie mu o integralność wrażenia, a nie analityczne zgrupowanie jego składników.



K. SICHULSKI — POS. Ks. LUBOMIRSKI.

Pod znakiem syntezy rozwija się również u Sichulskiego kształt. Zdaje on sobie jasno sprawę z tego, że obrazy nie są mapami topograficznemi fragmentów rzeczywistości. Zadanie to może spełniać i spełnia doskonale fotografia. Cele malarza są inne. On musi eliminować szczegóły niepotrzebne, a podkreślać te, które są konieczne do wywołania zamierzonego przez niego wzruszenia, a następnie łączyć je w całość organiczną, tak, aby obraz jego żył życiem własnem, na wzór tworu przyrody.

Kolorem i kształtem, zwartymi w żywą syntetyczną konstrukcyę, porozumiewa się Sichulski z

współludźmi, udzielając im tą drogą wiadomości o swem bujnem i różnorodnem życiu emocyonalnem, w tym celu, aby wywołać w nich podobne wzruszenia. Liryczne, nastrojowe pierwiastki jego uczuciowości, miękkie i rzewne lub pogodne i radosne znajdują ujście w pejzażach i kwiatach, w tej najczarowniejszej, najbardziej subtelnej części jego dzieła malarskiego, tudzież w wielkich kompozycyach dekoracyjnych (Madonna, Chrystus, Pokłon pasterzy), które są zarazem manifestacyą jego pędu do wielkości, potrzeby ujmowania w artystyczną całość dużych przestrzeni, twórczości w wielkim stylu. Elementy bohaterskie, pierwotne, żywiołowe wyrażają się w kompozycyach o tematach ludowych (Watażka, Wesele na Huculszczyźnie, Rybak), wreszcie pierwiastki ironiczne, satyryczne, szorstkie nieraz nawet brutalne, wyładowują się w karykaturze.

Rzecz zatem ma się nie tak, że Sichulski jest wielkim karykaturzystą, a dlatego także dobrym malarzem, ale przeciwnie, ponieważ jest wielkim malarzem, dlatego robi także doskonałe karykatury, gdyż jako rysownikowi i koloryście przychodzi mu z zupełną łatwością odzianie w niechybne kształty plastyczne pomysłów, które mu nastręcza jego literacki zmysł do satyry. Karykatura jego jest wynikiem szerokiej rozlewności, wszechstronności jego talentu, ale bynajmniej nie ideałem, nie najwyższym celem. Jest ona do pewnego stopnia płodem wywczasów malarskich tego artysty, tworem powstałym dla wypoczynku, dla ucieszenia siebie i innych w przerwie pomiędzy jednem a drugiem dziełem sztuki wielkiej, wolnej od aktualności. Można więc i trzeba radować się karykaturami Sichulskiego i podziwiać je, ale nie wolno żądać, aby robił tylko karykatury. Dajcie mu do zamalowania wielką przestrzeń, ścianę czy sklepienie kościoła, teatru, czy jakiejś hali ludowej, a zobaczycie wtedy, do jakich wyżyn zdoła się wznieść jego talent. Skrzydeł do wysokiego lotu nie zabraknie mu z pewnością. Czy bylibyśmy zadowoleni, gdyby Leonardo da Vinci zamiast malować swe Mony Lizy i Madonny wśród skał, ograniczał się był tylko do tworzenia owych doskonałych zresztą karykatur, które mimochodem rzucał na marginesy swych niezgłębionych kodeksów?

Twierdząc, że karykatura Sichulskiego jest owocem jego wywczasów malarskich, nie mam bynajmniej zamiaru obniżania znaczenia jego karykatury, czy też karykatury wogóle. Chciałem tylko zaprotestować przeciw przesadzie, popełnianej przez pewnych estetów-amatorów, którzy gotowi są dajmy na to za jeden kilku nikłemi liniami wykonany akt kobiecy Foraine'a poświęcić całego Watteau. Karykatura może być niewątpliwie wysokiej miary dziełem sztuki, podobnie jak może niem być duża kompozycya freskowa. Ale pomiędzy doskonałą karykaturą a doskonałą kompozycyą freskową jest przecież i to znaczny dystans, jak istnieje on n. p. pomiędzy humoreską Marka Twaina lub ironicznym persyflażem dramatycznym B. Shaw'a, a tragedyą Szekspira.



K. SICHULSKI *POS. TERTIL.*

Że karykaturzysta może być wielkiej miary artystą, tego dowodem choćby Honoryusz Daumier, w którego scenach z życia paryskiego słusznie dopatrują się krytycy monumentalnych rysów, przypominających Michała Anioła. Dalszym tego przykładem jest twórczość takich humorystów z epoki drugiego cesarstwa, jak Cham, Granville, Gavarni, jak późniejszy Guys, jak wreszcie współcześni mistrze satyry, karykatury i humoru we Francyi: Steinten, twórca znakomitych ilustracyi do Bruant'a „Chansons de la rue“ a dalej Léandre, Willette, Hermann-Paul, Caran d' Ache, a nadewszystko wspomniany już Forain.

Sichulski mimo to, a może właśnie dlatego, że nie uprawia karykatury wyłącznie, stał się nie tylko pierwszym karykaturzystą w Polsce (o co nie byłoby trudno, gdyż u nas jest niemal bez konkurencyi), lecz nadto jednym z pierwszych w Eu-



ropie, i to karykaturzystą do nikogo innego niepodobnym, o wybitnie swoistym stylu. Karykatury jego są też prawdziwemi dziełami sztuki, które pozostaną i nie przeminą, chociaż przeminą ci, których one chłoszczą biczem satyry lub łechcą w nos niewinnem piórkiem dowcipu. Przedewszystkiem dlatego, ponieważ jak w ostatnich pracach z okresu wojennego, pomijając ich elementy satyryczne i humorystyczne, są w kolorze i w rysunku znakomitymi obrazami.

Poza tem trzy kardynalne warunki, bez których nie można być dobrym karykaturzystą, posiada Sichulski w zupełności. Ma niesłychanie zaostrzony zmysł obserwacyjny, który pozwala mu w lot, z błyskawiczną szybkością uchwycić, na kształt migawkowego aparatu fotograficznego, zasadnicze cechy fizyczne i psychiczne danego osobnika. Ma doskonałą pamięć optyczną, dzięki której może po upływie długiego czasu przenieść na papier zaobserwowane szczegóły, nie roniąc nic z indywidualnego podobieństwa. Ma wreszcie ową specyficznie karykaturzystów czy humorystów charakteryzującą zdolność przesadnego uwydatniania, podkreślania i celowego wykoszlawienia znamiennych cech karykaturowanych osób dla ośmieszenia ich i zrobienia z nich figur komicznych. Niejednokrotnie już zrobiono spostrzeżenie, że pewni ludzie są podobni do rozmaitych typów zwierząt lub ptaków. W sejmowych i parlamentarnych karykaturach Sichulskiego znajdujemy sporą seryę takich baranów, buldogów, pawianów, byków, bocianów, jastrzębi i t. d. A mimo to podobieństwo jest doskonale zachowane.

Z temi zaletami łączy się czwarta, nie mniej od tamtych ważna: umiejętność syntezowania, upraszczania, eliminowania szczegółów niecharakterystycznych. Karykatura bardziej, niż którykolwiek inny dział sztuki wymaga skupienia uwagi widza na momentach zasadniczych, nie rozpraszania jej drobiazgami. Zapomocą kilku linii, kółek, kropek, kresek potrafi nieraz Sichulski dać zupełnie podobny, skarykaturowany konterfekt, osiągając w ten sposób ideał uproszczenia. Nie ogranicza się bowiem do opuszczania, ale równocześnie sugeruje, zmusza widza do odgadnięcia, jak wyglądają partye opuszczone. Rekord w tym kierunku przedstawia niezmiernie podobna karykatura Stanisława Henryka Badeniego, którego twarz narysował artysta dosłownie za pomocą pięciu elips, czterech kresek, dwu przecinków, kółka i kropki. Jest to po prostu sprowadzenie fizyognomii ludzkiej do geometrycznego schematu, który powtórzyć może z łatwością każdy nie mający pojęcia o rysunku.

Karykatura Sichulskiego ma już za sobą dłuższą historyę rozwojową. Zaczął od jednopostaciowej karykatury rysunkowej, z której poprzestawał niemal bez wyjątku na pochwyceniu i przesadnem uwydatnieniu fizycznych cech danych osób. Tak powstały i tak wyglądają pierwsze karykatury poetów, literatów, malarzy, dziennikarzy, a dalej karykatury posłów sejmowych i parlamentarnych. W „Tece graficznej“ Sichulskiego i Jarockiego znajdujemy już typ nowy, zbliżający się do typu ostatniego. Umieszczona tam karykatura Jacka Malczewskiego nie ogranicza się do wykpienia fizycznego wyglądu mistrza, ale nadto dworuje sobie na temat jego urzędu rektorskiego, sposobu ubierania się i malarskiego zamiłowania do symbolicznych bestyi, a nadto operuje już cieniami i kolorem, nabierając w ten sposób coraz bardziej charakteru kompozycyi obrazowej. Ten rodzaj karykatury, który Sichulski uprawia w ostatnich czasach, jest już w pełni zapowiedziany w ogólnie znanej, znakomitej, barwnej kompozycyi humorystycznej w jamie Michalikowej, w której artysta urządził szaloną, nieokiełzaną szarżę dowcipów i satyry na krakowski światek literackomalarsko-dziennikarsko-aktorski, słowem zielonobalonikowy. Zakopiańskie karykatury u Karpowicza utrzymane są w tym samym tonie. Wyśmiewa w nich artysta nietylko wygląd swych współbraci z orszaku rozmaitych Muz i kilku znanych figur z pod Giewontu, ale także ich przyzwyczajenia życiowe, ich słabostki i kanciaste strony ich twórczości. O krok dalej jeszcze w kierunku obrazowo-kompozycyjnym i satyryczno-narratorskim posunął się w karykaturach z r. 1917, znanych z wystaw krakowskich i lwowskich. Dawna prosta

i skromna melodya rysunkowa przekształciła się w symfonię o pełnej, bogatej instrumentacyi. Mamy tu po największej części po prostu doskonałe obrazy, które od innych tem tylko się różnią, że treść ich jest humorystyczna lub satyryczna. Jakby dla zaznaczenia dwoistego, literacko-malarskiego charakteru karykatury, uzupełnia je Sichulski często napisami, mogącymi w dowcipie i lapidarności rywalizować nieraz z dosadnością podpisów pod



K. SICHULSKI KRAMAŘ

litografiami Forain'a, któremi tak zachwycał się niegdyś Alfons Daudet.

Jeśli idzie o określenie wewnętrznych cech humoru i satyry Sichulskiego, o oznaczenie stosunku jego karykatury do przedmiotu i o odczytanie stopnia jej złośliwości, to stwierdzić trzeba, że inną miarę stosuje artysta do ludzi, których szanuje, inną zaś do tych, które budzą w nim raczej wszelkie inne uczucia niż szacunek. Do pierwszych należą przedewszystkiem współtowarzysze malarza z pod znaku pióra lub pendzla. Wobec tych humor jego nigdy nie jest zjadliwy, ani obrażający, lecz pozostaje w granicach *bon mot,* towarzyskiego żartu i dowcipnego przekomarzania się. Często nie dotyka nawet duchowej strony „ofiary", lecz poprzestaje na podkreśleniu owej nieuniknionej inkongruencyi pomiędzy życiem a dziełem człowieka tworzącego. Taką jest np. karykatura Kasprowicza, która nietylko nie jest pamfletem, ale przeciwnie panegirykiem na cześć wielkiego twórcy „Hymnów". Motywy Centaura, szczytu skalnego, na który się wspiął i orłów, które go okrążają — to epitety człowieka wewnętrznego o duszy prometejskiej; natomiast kożuszek zakopiański, kokieteryjnie zwisające *pince-nez* i pieróg urzędnika-profesora, na który poeta spogląda z niewymowną pogardą — to nadające się do nieszkodliwego wydrwienia emblematy człowieka zewnętrznego. Nie mniej pochlebnie przedstawia się karykatura Żeromskiego, pojętego na podobieństwo jednego z owych przedziwnych gotyckich gryfów czy chimer, wieńczących szczyty Notre-Dame. Poza groteskowością samego pomysłu, moment ironiczny przejawia się tylko w motywie olbrzymich rąk-szponów, będących aluzyą do owych krwiożerczych szczegółów, do tej *delectatio morosa,* którą tu i owdzie napotyka się w potężnych dziełach autora „Dziejów grzechu". Tak samo z pewnemi modyfikacyami, z mniejszą lub większą domieszką złośliwości traktuje Sichulski karykatury Przybyszewskiego, Reymonta, Rydla, Berenta, Micińskiego i t. d. Karykatura znakomitego historyka Aleksandra Jabłonowskiego nie jest nawet, ściśle biorąc, karykaturą, lecz raczej portretem, robionym według zasad karykatury.

W zupełnie inny ton uderza Sichulski z chwilą, gdy ostrze swej ironii zwraca przeciw ludziom czynu, a zwłaszcza politykom. Z pogodnego wesołego kpiarza przemienia się wtedy w bezwzględnego nieubłaganego satyryka, który woli raczej posunąć się do pamfletu, niż dać się skrępować względami konwenansu, niż popaść w staroszlachecką jowialność i dobroduszność. Od wszelkiej *bon-homie* trzyma się wówczas zdaleka. Satyra jego staje się zjadliwą, jak osa, giętką i śmigłą jak bicz, bolesną jak knut. W smaganiu rozmaitych wielkich ludzi do małych interesów", rozmaitych „polskich świętych", spalających kadzidła przed ołtarzami obcych bogów, rozmaitych zbawców narodu i sterników narodowej nawy, myślących przedewszystkiem o łowieniu ryb w mętnej wodzie — nie zna Sichulski żadnych kompromisów, żadnych ostrożności. Wypuszcza zatrute strzały, jedną po drugiej, godząc niemi w coraz to inną „wielkość", wyniesioną na rydwan karyery przez pachołków, reklamy i lokajstwa. Nie gardzi wtedy nawet akcentami Aretina czy Nowaczyńskiego. Bo zaiste są ludzie, którzy nie zasługują na inne traktowanie. I jeśli ci ludzie nie obrażają się na Sichulskiego i nie dają mu swego oburzenia dotkliwie odczuć, to tylko dlatego, że robią

„dobrą minę do złej gry“ i udają jakoby ich kultura duchowa była tak wysoka, iż dzieło sztuki dotknąć ich nie może. Ale bądźmy pewni, że gdyby Sichulski żył na dworze Ludwika XV, a jego polityczne ofiary były dworakami tego monarchy, biedny autor karykatur razem z Diderotem znalazłby się w Bastylii.

Rzeczą w tem wszystkiem nie najmniej podziwu godną jest fakt, że Sichulski, trzymający się przecież zdala od polityki, samą tylko nieomylną intuicyą artystyczną potrafi zawsze odróżnić ziarno od plewy i nigdy nie obrazi rudymentarnego, niezawodnego instynktu narodowego. Ludzi rzetelnej zasługi i niewątpliwie dobrej woli wśród polityków i działaczy karykaturuje z widocznym szacunkiem i względnością. Natomiast wszelki blichtr, kłamstwo i obłudę demaskuje bez litości.

Postępuje w tem według rady, którą mu dał raz Stanisław Witkiewicz w liście pisanym do niego w czasie, gdy po przebytej chorobie wracał do zdrowia:

„Niech pan zdrowieje, silnieje i będzie spokojny. Skupia siły fizyczne i myśl — i czyni.

Jest w Polsce coś do zrobienia: poważna, głęboka, żrąca satyra rysowana. Nie krotochwila, nie kpiarstwo, nie paszkwil, ale ta satyra, w której myśl stapia się z formą i targa za samo dno dusz ludzkich. Warto to zrobić.

Niech więc drogi pan zdrowieje“.

Satyrę taką urzeczywistnił już Sichulski w znacznej mierze i zdobył nią istotną, nie tylko artystyczną, ale także obywatelską zasługę.

Jest wśród karykatur Sichulskiego jedna, pewnego dziennikarza krakowskiego, mojem zdaniem najbardziej wartościowa, w której miejsce soli atyckiej zastępuje element wprost tragiczny. Powagą swoją i grozą wznosi się ona do wyżyn Goyi i jego „Caprichos“.

Nasuwa mi to pewną myśl. Jeśli wolno wogóle artyście podsuwać pomysły i wyrażać życzenia pod adresem jego twórczości, pragnąłbym, aby Sichulski stał się satyrykiem obecnej wojny. Ująć w nieodporną konstrukcyę sztuki i wykazać światu całe okrucieństwo i barbarzyństwo tej potwornej rzezi, obłudę dyplomatów, którzy mają miód na ustach, a truciznę w sercu, bezmyślność i niewolniczość tłumów, które dają się wymordowywać, nie dla własnych interesów, ale w usługach szczupłej garstki ludzi, ich żądzy władzy, buty i chciwości! A uczynić to, nie w romantyczno-idealistycznym tonie Grottgera, ale w demoniczno-ironicznym stylu Goyi — to zaiste zadanie godne olbrzymiego talentu i znakomitego zmysłu satyrycznego, tych dwu rzadkich zalet, które jednoczy w sobie Kazimierz Sichulski.

Władysław Kozicki.

Cykl karykatur politycznych w następnych zeszytach.



RYS. L. CZECHOWSKI.

KRAKÓW · 1 · SIERPNIA · 1918 ZESZYT · 22

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI RUSAŁKA (Z RYSUNKÓW DO „LEGENDY").
(Ze zbiorów p. Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

LEOPOLD STAFF:

S Z K O Ł A.

I.

Zwiedzałem dzisiaj szkolny dom,
Podobny innym wcale.
Nad bramą kwitł Czerwony Krzyż
Na czystej tła pobiale,
Wnętrza w nim bowiem wszystkich sal
Zmieniono na szpitale.

Zwiedzałem dom, gdzie mieszka ból
I kędy leczą rany.
A każdą z ran tych otwarł cios
Przez bratnią dłoń zadany.
Każdego, co tam leży, twarz
Jest biała, jak te ściany.

Czy krew stracona czy ta myśl
Zbieliła tak ich twarze?
Nie powie nikt z mieszkańców tych
I milczą kurytarze
I Siostry Miłosierdzia, co
Sposobią im bandaże.

Myśl pyta: skąd ta straszna krew
Przelana zbrojną siłą?
Czyli niedosyć cierpiał człek
Pod zwykłych nieszczęść bryłą,
Że dbano, by na ziemi snać
Za dobrze mu nie było?

Myśl pyta: po co mord i rzeź?
Dlaczego te kaleki?
„Potrzeba wojny, — mówią nam, —
Jak są potrzebne leki.
Dobrego wrogiem lepsze jest
I było tak przez wieki...“

Lepsze dla tych, co poszli w grób
I dla tych, co zostali
Bez kropli krwi, bez rąk i nóg
I leżą w białej sali.
Za ciasno było w świecie już,
By wszyscy się kochali.

Ci, którzy padli, mają dziś
Drewniany krzyż zasługi,
Że przerzedzili ludzki tłok,
By wolniej czuł się drugi:
Wolniej od jednej z rąk lub nóg
Na cały żywot długi.

Gdy trzeba tak, cóż począć? cóż?
Co znaczy dłoń lub goleń?
Poświęcać trzeba dobro wciąż
— Na drodze do wyzwoleń —
Znanego pokolenia dla
Nieznanych nam pokoleń.

Gdy Rozum każe czynić tak,
Cóż możem, ludzie prości?
Serce ma też zadanie swe:
Umarłych grzebać kości.
Dla pozostałych chowa zaś
Jodoform: woń Miłości.

Ach, bo cóż Miłość może dać?
Izbę i łoże czyste
I imię pomazane krwią
W szpitalną wpisać listę
I w kącie dłonią zakryć wzrok.
I jęknąć: Jezu Chryste!

II.

Święty jest, głoszą, ludzki Duch.
Lecz święte jest i Ciało:
W Miłości bo poczęte jest
I pierś Miłości ssało
W miejscu, gdzie matki serce drży,
Co dziecię swe kochało.

A cóż dziś uczyniono z niem,
Że łzą nawisa rzęsa?
Który ze zgrai głodnych psów,
Co w polu się wałęsa,
Miłości przedmiot pozna w tych
Strzępach chrzczonego mięsa?

Bo przecie chrzczono je na znak
Chrystusa, że w swym czasie
Przyszedł i Erze imię dał,
Co w złotych liter krasie
Wyhaftowane pięknie lśni
W ołtarzach na atłasie.

Ochrzczono je, siedlisko to
Tęsknoty i nadziei,
Modłów o sprawiedliwość, próśb
O litość... I z kolei
Uznano, że się stało dość,
Ba, zadość aż Idei.

Wszak: „Nie zabijaj!“ głosi się
I niedość na tem jeno.
Życie i zdrowie z wyższą też
Spotkały się oceną,
Gdyż wiek, co na rzeź ludzi śle,
Szczyci się swą hygieną.

Więc twórczy się wysilił duch
Na wsze zniszczenia cele:
O zdrowe ciało pilnie dba,
Bo zdrów duch w zdrowem ciele,
By je trujący zdławił gaz,
Rozdarły w strzęp szrapnele.

Lecz wyższa pono tkwi w tem myśl,
Tajń głębszej, mędrszej racyi,
By nie rzec jawnie, że się kpi
Z dwunastu Pańskich Stacyi,
Miłość na Mus się zmienia, lecz
To zmiana deklamacji.

Zaiste, nie zaprzeczy nikt,
Że jest konieczność w musie,
Bo gdy się kraść i zarznąć chce,
Nóż nie śmie spać w lamusie.
Historję giełda robi, mów,
Lecz zamilcz o Chrystusie!

Przecz pod frazesów skrzydło kryć,
Jak strusie, głowę w strachu
I krzyczeć w głos: „Czerwony Kwiat!“
Gdy pożar jest na dachu,
Nie po to, by był jasny dzień,
Lecz by rabować w gmachu?

Świętego hasła, w samże czas
Sposobnej żądz rozterki,
Hasła Wolności Ludów, zbir
Dla handlu i szacherki
Nadużył i sztandary cne
Na niecne zmienił ścierki.

Chełp się, Europo światła, chełp
I sromaj się swej chluby,
Że gdy Ideał ziści się
Spełniając twoje śluby,
To przeto, że korzystny był
Trafem dla twej rachuby.

I niech oczadza się, kto chce,
Historjozofji dymem,
Że Rozwój czy też Postęp chciał
Wojny, by wzróść olbrzymem
I by Adamem w Raju być,
Trzeba być wpierw Kaimem.

Bo bałwochwalstwem ślepem jest
Ten postęp, ten automat,
Co miażdży, jak djabelski młyn,
Tłumy człowieczych gromad,
By z nich omanów tworzyć mgły,
Kadzideł mdłych aromat.

Nie wierzę, że od ludu lud
Pieszczotnych chce uścisków.
Śpi w piersi tłumu straszny zwierz
O kłach stu krwawych pysków,
Lecz zbrodzeń jest, kto szczuje go
Dla swych kramarskich zysków.

I jeśli Chrystusowy Sen
Na dzikość zlał balsamy,
Złagodził srogość, którą smok
W spokojnych miast ział bramy:
Chrystusa, jako lewy łotr,
Dziś kramarz lży i kramy.

Zbyt gorzki mnie zdejmuje śmiech
Z snutego ciągle mitu,
Że ta okropna rzeź to krok
Do Miasta Snów, do Szczytu,
Gdy Jeruzalem Nowa dziś
Zowie się: rynkiem zbytu.

Wiem: prawo życia twarde jest:
Żądz i zatargów strumień.
Lecz wstyd, że zmienić nie chce Czas
Narzędzi porozumień,
A umie, jak tchórz, łuski kłaść
Na oczy podłych sumień.

Dla uświetnienia żądnych krwi
Łotrów i błaznów, komu,
Jeśli nie tłumom, kazać iść
Na jatki, wśród pogromu,
By tym wygodniej było tym,
Co zostać wolą w domu.

I oto idą noc i dzień
Przez krwawy pól manowiec,
A każdy dumny z nazwy swej
Jednostki: szeregowiec,
Nie wiedząc, że w całości wszak
To wszystko szereg owiec.

Nie będęć, Wojno, hymnów piał.
Ni sławił cię peanem,
Żeś cudem techniki, żeś krwi
I pożóg oceanem.
Niech rab ci schlebia przeto, żeś
Molochem i tyranem.

By z świata hańbę zmyć, co z nas
Każdego musi skrywać,
Wielkiem Misterjum ciebie zwą.
Chcę maski z fałszu zrywać,
I jeno szczerze każdą rzecz
Imieniem jej nazywać.

Oto jest prawda, której w twarz
Odważnie spojrzeć stajem:
Że człek to zawsze jeszcze zbój
I ziemia nie jest rajem,
A „miłość" to niemożność li
Pożarcia się nawzajem.

Bandyta-rycerz dotąd żyw,
Jak w średniowiecznej kniei,
Cywilizacya nasza zaś
To jeno Treuga Dei,
Wśród której wszak co pewien czas
Nie brak na łup nadziei.

Załatwiać człek rachunki chce,
Jak rabuś w czarnym lesie,
Więc niech nie szuka na to nazw
W idei gdzieś bezkresie,
Lecz niech jak szczery mówi łotr
O krwawym interesie.

I czemu nie rzec tego wprost,
Lecz naprzód Ras Różnicę,
To znowu Wolność Ludów łgać,
Bój Krzyża z Półksiężycem —
A ludziom dobrej woli... mir
Z oszusta wieścić licem..

III.

O szkoło, zanim kiedyś znów
Nadejdą czasy zmiany:
Ty wchłoniesz w siebie ciał tych ból,
Co jękiem wsiąka w ściany
I zapamiętasz wszystko to,
O czem dziś mówią rany.

Przepój się wonią, którą tchnie
Gaza i krwawa wata
I dzieci małe, które są
Przyszłością, jutrem świata,
Zawczasu prawdy ucz, by im
Nie przyszła w późne lata.

I gdy znów kiedyś w salach tych
Popłynie słów obfitość:
Że życia celem Miłość jest,
Nie żądz surowych sytość,
Że sprawiedliwość rządzi nam
I miłosierdzie, litość;

Ty szepcz, że dawno minął czas
Złudzenia i liryzmu,
Że pustą bańką mrzonki są
Ludzkości, chrystjanizmu
I czego wojna uczy nas,
Zimnego ucz cynizmu.

W ewangieliczne cnoty dziś
Wierzy się pod drwin grozą.
W poezjach można czulić się
Nad giętą wiatrem brzozą,
Lecz w życiu trzeba przecie czuć
Praktycznie, myśleć prozą.

Co się zdawało siłą sił
W zmaganiu ducha z ciałem,
Co podnosiło serca wzwyż
Nazwane Ideałem,
Przeżytkiem stało się i dziś
Jest zwykłym komunałem.

Żeby bliźniemu bliźnim być
I służyć sercem prostem,
Że miłość i braterstwo są
Jedynym duchów mostem,
Wszystko to jest wygodnym li
Polorem i pokostem.

Ucz szkoło, że się nazbyt słów
Podniosłych darmo traci.
Bo podstęp, chytrość, lisi chód
W praktyce więcej płaci,
A skryta zdrada, z krzywdy zysk
Ma miano dyplomacji.

Trudno za marą gonić wciąż,
Jak dziecię za motylkiem.
Granie anielskich w duszy harf
Oddawna śpi zamilkiem
I jako w jaskiniowy czas,
Człek jest człekowi wilkiem.

Ach, marzycielem długo dość
Było się zbyt szalonym.
A nie ulega chyba też
Wątpieniu, w względzie onym,
Że trzeba albo drugich gnieść,
Albo też być gniecionym.

To, szkoło, wpajaj w dzieci mózg:
Cześć gwałtu i obola,
Pięści, pod którą w zbrodnię gna
Posłuszna ludów dola,
Aby, dziczejąc, dzikość siać,
Bo taka silnych wola.

Lecz gdy drgnie w któremś z dzieci coś,
Co ludzką jest godnością,
Gdy Snu w nim ocaleje strzęp,
Co zowie się Wolnością:
Że, jak człek człeka, ludu lud
Nie może być własnością:

Gdy błyśnie w jednem choć ta myśl,
Niech gniew mu spłoni lice,
Niech dzikość raz uświęci się,
Iszcząc myśl — błyskawicę:
Że Brutus jeden i sam był
I jedną miał prawicę!



F. HODLER WYBRANIEC

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

13)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

— Słuchaj — odezwał się starszy pan — ten człowiek będzie miał jutro, lub pojutrze pojedynek.

— Jakto?!

— O czem oni mówili z Liścickim i Latałą, odrazu można było poznać. Także i to, że ci dwaj ludzie nie tyle są sekundantami jego, ile drugimi sekundantami jego przeciwnika. On jest wspólnie, naturalnie bez wymienienia jednego słowa między świadkami, nawet spojrzenia, dezygnowaną ofiarą.

— Zkądże stryj to wszystko wie, może wiedzieć?!

— Ztąd, że żyję już sześćdziesiąt dwa lata i bardzo dużo widziałem, a trochę mam węchu.

Starszy pan przypatrzył się bratance i dodał:

— Niestety niemożna temu zapobiec.

Donimuntówna, która zbladłszy opuściła głowę, podniosła ją nagle zalewając błękitem ócz stryja:

— Jest naszym obowiązkiem go ratować! On mi życie ocalił!...

— Wiesz dobrze, że zapobiec niczemu niemożna — rzekł starszy pan, świadomy już wszystkiego — można go tylko ratować. Pojedynki odbywają się tu od króla Michała, czy Mieczysława Starego na Waśkówce. Dlatego go tam zawiozłem, aby się przekonać, czy i ten się tam odbędzie.

— I przekonał się stryj?

— Tak. Poznałem to z wrażenia, jakie na nim uczyniło wymienienie nazwy Waśkówki. Pojedynek odbędzie się o piątej, lub o szóstej — o tej porze roku ta godzina jest w zwyczaju. Czy on niemiał jakiego zajścia u Przesiewiczów? Nie usłyszałaś czego?

— Ani nie zauważyłam, ani nie słyszałam.

Zabawa trwała tam tak krótko. Zaledwie parę godzin. Chyba nawet czasu nie było do nieporozumień jakichkolwiek.

— Na to wiele czasu nietrzeba, minuta wystarczy. Na tej Waśkówce, za mojej pamięci i czasu mego pobytu w kraju, odbyło się tam okrągło dwanaście pojedynków. Z tych ja sam, temu lat czterdzieści cztery, miałem dwa po jednym balu jakimś nieszczęśliwym. Jutro przed świtem ja podejdę tu sam, a karecie każę czekać bez żadnej ceremonii nieopodal. Zapobiec niemożna, ale znaleźć się na miejscu niby przypadkiem można. Jeżeli nietrafię jutro, to przyjadę pojutrze. Będzie żył, a ranny, to zabiorę go do siebie. Jesteśmy mu winni tyle wdzięczności, choć przypadkowo, że do końca życia się nie wypłacimy. Poczekaj, ja tam zgubię zegarek; to mi łatwo się mogło przydarzyć, bo się już każdy święty w powiecie tej cowboyskiej amerykańskiej dewizce obdziwił. Ale go zgubię tak, żeby go kto inny nie znalazł. Zawróć konia.

— Stryju — rzekła Donimuntówna po chwili, zawróciwszy — weź mnie z sobą...

Starszy pan ozwał się kryjąc pewne rozrzewnienie:

— Nie, to niemoże być, rozumiesz to sama dobrze. Ja wysiądę z karety, jadąc niby gdzieś dalej szukać zegarka, i przypadkiem trafię na rezultat pojedynku. A domyślą się umyślności, niech! Owa! Z kim robić ceremonię?! Na to mnie stać. Przed strzałem obowiązują wszystkie prawa, po strzale tylko dyskrecya.

Starszy pan rzucił w gąszcz zegarek, z krótkim stalowym grubym łańcuszkiem, zawrócił na nowo konia i mówił:

— Jeżeli nie wyjdzie cało, zabiorę go do siebie i wtedy możesz się nim zająć. A przeczucie mi mówi, że tych czterech radców, którzy tam o nim radzili, dobrze o nim uradziło.

Ruszyli truchtem. Niedługo wydostali się z zarośli na gościniec.

...Piotr przeczytał już wyrok. Zrozumiał także dobrze, że nie dając mu prawa równoczesnej wymiany strzału, gubiono go bez ratunku i na prostej drodze. Po rozstaniu się z Donimuntami, jechał kłusem ku osadzie szczęśliwy, że spotkał tę parę. Poprostu dlatego, że mieli twarze i oczy ludzi dobrych i że widocznie nie należeli do „klanu". Teraz zrozumiał dobrze sposób, w jaki Bawrowicz to słowo wymówił. Klan miejscowy, tak zwanej „tutejszej szlachty" tu panował i terroryzował inne warstwy. Piotr „niespodobał się", w dodatku zachował zuchwale. Jeżeli by nawet cudem poprostu wyszedł żywy i zdrów z afery, będzie ten klan miał przeciw sobie. Będzie go miał nietylko dlatego, że go ztamtąd sprowokowano — on sam będzie jego zaciętym i zawziętym przeciwnikiem.

Jego energia cała skupiła się, zogniskowała. Chciał już i dlatego ocaleć, aby stanąć przeciw. Przypadek zaś bawił się nim jak piłką — rzucił nim o Puchanowskich i Dzierzyńskiego, i gdyby tam miał być koniec jego życia, byłoby to tym obojętnym gestem Losu, z jakim ktoś, niosący kobiałkę borówek z lasu, idzie dalej widząc, że mu się jedna, czy dwie stoczyły za krawędź przy przekraczaniu kamienia... Haniebna egzystencya przecięta, niewiedzieć po co powstała, bez celu i bez racyi. Ocalił Donimuntównę? Po to żył?

Błękitne oczy tej kobiety i jej bujna uroda falowały koło niego — — ale nie to było nim.

Kiedy wszedł do domu i otwierał drzwi od mieszkania, Bawrowicz uchylił swoje, kiwnąwszy głową i mówiąc:

— A, to pan? Ja myślałem trochę o panu. Jakże się pan czujesz?

— Jakto, czy byłem chory? — odpowiedział Piotr bezmyślnie żartem.

Bawrowicz uraził się.

— Nie. Przecież ja panu troskliwość okazuję. Prosił pan dyrektora Latałę i Liścickiego? Niebyli tu.

— Niebyli? Proszę.

— Cóż pan kpi, czy co, do starego dyabła?

— Broń Boże. Tylko takem się zamyślił o tem, że „my inni", „Bawrowicze, Węgliny" — ta druga klasa. —

— Za pozwoleniem — Latała kucharczyk, a my obydwaj pochodzimy mniej więcej z inteligencyi. Mój ojciec był lekarzem w Galicyi —

— I to pan nazywasz „mniej więcej"?

— No to ja —

— No tak, moi „przodkowie" byli tylko leśnikami, a pochodzili podobno od leśnego wę-



F. HODLER STUDYUM

glarza. Ale tymczasem pomódl się pan za moją duszę, a jeżeli jutro nie będę na śniadaniu, każ pan sprzedać mego konia i pieniądze z tego i z tego, co po mnie zostanie, rozdaj pan pomiędzy ubogie parafii.

— Ubogich — poprawił Bawrowicz i spytał:

To pan już testament robi? Wszystko w ręku Opatrzności —

— Latała na niebie. Dobra noc panu.

Piotr zamknął drzwi i siadłszy na łóżku przy stoliku, skronie w obu garściach oparł. Nie ogarniały go ani żal, ani rozpacz, ani depresye — poczucie absolutnej bezwładzy, bezmocy tępej, i głuchej, podobnej do ściętego z wykrotu pnia, który się jasno świeci białem świeżem drzewem, obsnuło mu duszę.

* * *

Nastawiony budzik zadzwonił. Piotr zbudził się w ubraniu leżąc głową na poduszce. Zerwał się i żywo wyszedł nad rzekę, gdzie rozebrał się i rzucił w mroźną jeszcze głąb nurząc się z głową. Zelektryzowany kąpielą czekał na świadków podług wskazówki w czarnym angielskim surducie bez zegarka, scyzoryka, portmonety, portfelu w kieszeni, ofiarowany na kulę Dzierżyńskiego. Odrętwiałość myśli nie opuszczała go. Gdy panowie Latała i Liścicki przybyli w dwie karety wraz z lekarzem, przywitał się z nimi i wsiadł, jak automat. Byłby był wolał jechać zupełnie sam. Dyrektor Latała wyjął cygara i poczęstował.

— Mam nadzieję, że zapalimy jeszcze niejedno — rzekł z protekcyonalnie obojętnem grubijaństwem do Piotra; jego zięć spojrzał nań przymrużonemi oczami, również zresztą nawskroś obcy.

Niemogli być inni — spełniali obowiązek, którego się nieodmawia, o ile niema nikogo bliższego — więcej nic. Przecież jednak ranili wrażliwość Piotra, tak samo, jak lekarz.

— Muszę tu zginąć — myślał — taki los... Zaciągnął się mocnem cygarem i odurzył niem. W milczeniu odbywała się ta jazda przy wschodzie słońca, które z mgieł wydobywało się, zamgławioną ziemię rozjaśniając jaskrawemi i różowemi blaskami. Piotr miał ochotę liczyć minuty na zegarku. Jednostajny turkot karety bębnił mu w uszach, jakby zastanawiając upływ czasu, a przyspieszając moment stanowczy. Pola wyłaniały się poza szybami karety puste, ciche i oćmione jeszcze siną mgłą w oddali. Piotr odczuwał, że jedyną myślą patrzących również przez szyby panów Latały i Liścickiego było to, że to są dobra hrabiowskie. To samo myślał niezawodnie jadący w drugiej karecie doktor, gdyż hrabia i jego majątek były nietylko tłem i podłożem stałem myśli tutejszego świata ludzkiego, ale poprostu bezwiedną już stałą myślą zasadniczą. Nazwisko, tytuł, majątek i stosunki wysokie tego magnata, działały tu jak gazy otumaniające okolic wulkanicznych. Ludzie żyli niemi i umierali wśród nich.

Piotr wyobrażał sobie, jak drogą idącą z ukosa jedzie pan Dzierzyński ze swymi świadkami i drugi lekarz za nimi. Nieczuł do niego nienawiści, ani względem niego zawziętości, Tak być musiało widocznie... Los tak chciał... Przenikał go tylko od czasu do czasu dreszcz, a niekiedy uciskało uczucie przykre, że wszyscy tu z obu stron sprzyjali Dzierzyńskiemu.

Kareta zatrzymała się Piotr ujrzał stojące już opodal dwa inne pojazdy. Nogi pod nim zadygotały. Rzecz jest rzeczywistością. Nieodwołalną i bez ratunku, a przedewszystkiem niezawodnie nieodwołalną. Opanował się i pragnął niedać nic znać po sobie. Chciał się — z głupią podświadomością, czuł to — wydać dobrze. Był na polu „spotkania“ nowicyuszem, podczas gdy z biegłymi mistrzami miał do czynienia.

Na leśnej drodze znać było wczorajsze odciski koni Ewarysta Donimunta, Niny Donimuntówny i jego. Wczoraj...

...Wydawało się to tak dawno... To niebył wcale ten człowiek, który tu idzie... Tamten żył, miał życie przed sobą... Miał jeszcze przed sobą kilkanaście godzin — — tę cyfrę — kilkanaście godzin. Ogromną, wielką cyfrę... Tyle jeszcze miał czasu, życia... Tyle jeszcze mogło się było niespodziewanych, nieprzewidzianych rzeczy zdarzyć...

Ze skraju jaru widać było na dół — trzech mężczyzn w cylindrach i jeden w czarnym meloniku, w płaszczach i burkach, siedziało na zwalonym pniu ponad ciemnem, matowem jeszcze zupełnie jeziorkiem, paląc.

Znikli z oczu, gdy ścieżka wewiodła w gąszcze, pośród których schodziło się w jaz. Naprzód szedł Liścicki, świadomy drogi, Piotr za nim, odrzuciwszy cygaro. Otwarła się przed nim równinka. Czterej panowie powstali i ośm kapeluszy oddało ukłon wzajemny, ośm czarnych skrzydeł jednego ze zwyczajów ludzkich.

Rozpoczęły się natychmiast zwykłe czynności wstępne, rozmierzenie mety i nabicie broni. Dzierzyński patrzał w ziemię, zupełnie spokojny i obojętny. W Piotrze w tej chwili obudził się bunt. Wprowadzono go tu na rzeź! Ofiarowano Dzierzyńskiemu!... I za co?! Za to, że go wraz z Puchanowskimi chciał okryć śmiesznością! Patrzał na tę podłą twarz dyrektora Latały, który starał się dorównać w manierach i sposobie świadkom Dzierzyńskiego, a dać do zrozumienia samemu Dzierzyńskiemu, że trudno było wymówić się Węglinowi, i na Liścickiego, który bez zbytniej ceremonii nieledwie ignorował go, kumając się ze stroną przeciwną. Otrzymawszy z rąk Latały pistolet, upokarzany na placu atmosferą, jaką go wszyscy otoczyli, miał ochotę Latale, albo ledwie kryjącemu lekceważenie Liścickiemu w łeb palnąć. Zoryentował się, że może ostatniem jego uczuciem jest ta gorycz wobec krzywdy, wobec której był bezbronny, na którą nic niemógł poradzić. Był tylko Piotrem Węglinem.

Naprzeciwko stanął Dzierzyński i utkwił w nim spokojne, zimne, uparte, ogniste oczy. Czuł, że odpowiada mu wzrokiem, który wobec wyrazu oczu Dzierzyńskiego wznosił się nad nim, jak wieża wysoka. Cała istność jego, cała żywotność, wszystko, co było psychiczne i fizyczne w jego istocie, zbiegło mu się w prawą źrenicę. Postanowił choćby trafiony nie paść, aż strzeli i ugodzi.

Po krótkiej propozycyi, aby sobie adwersarze podali rękę, przyjętej milczeniem, zabrzmiała wyraźna, skandowana komenda, podobna do uderzenia młotka — Dzieżyński spuścił trzymany koło twarzy pistolet z niewypowiedzianą szybkością i tempem i strzelił.

Piotr, który naśladował go w ruchu, uczuł ciepło w boku, drgnął, przeraźliwe światło przedarło mu wzrok, uczuł niemoc i spadający na oczy cień, ale utrzymał się na nogach i zmierzył. Naprzeciw były zuchwale wesołe źrenice i lekko uchylone zęby Dzierzyńskiego — pociągnął cyngiel. Strzał huknął i wrzask wypchnięty z gardła rozległ się równocześnie niemal. Dzierzyński chwycił się za twarz i padł na bok. Wtedy Piotr poddał się, gdyż dłużej stać niemógł, i z cieniem na oczach ukląkł.

Sekundanci i lekarze Dzierzyńskiego pobiegli ku niemu; lekarz Piotra zbliżył się ku niemu, Latała i Liścicki obeszli go i także ku Dzierzyńskiemu się skierowali. Widział to.

— Cóż panu jest? — spytał się go lekarz.

— Przepraszam pana, że dostałem kulę — odparł Piotr, w którym oburzenie podnieciło energię. Ale siła opuściła go, ukląkł na drugie kolano i oparł się ręką o ziemię. Pełna rozdrażnienia twarz pochyliła się nad nim; lekarz polecił mu położyć się na lewym boku i począł mu rozpinać ubranie.

— Cóż tam? — zapytał Liścickiego, który się zbliżył.

— Kula skruszyła kawałek kości obok i urwała pół prawego ucha.

— Bagatela! — odpowiedział lekarz, zakładając prowizoryczny opatrunek. — Musiał skrę-

cić głowę na lewo. Dobrze że nie w skroń. Nic mu niebędzie?

— Dyabli wiedzą. Zemdlał.

— Pan może wstać? — spytał lekarz Węglina.

Piotr zmógł się, ale nie zdołał.

— Nie wysilaj się pan. Choć niewidziałem jeszcze takiego Herkulesa. Poproś pan dyrektora, to przeniesiemy pana do karety. Może być, że tu rana jest cięższa, niż tam, choć mniej bolesna na razie. Dyrektorze!

Piotr czuł, że mu się źrenice zsuwają na oczy. Zdołał jednak rozeznać wysoką figurę Ewarysta Donimunta, który podchodził szybko, mówiąc do lekarza:

— Skorom się tu znalazł przypadkiem, szukając wczoraj zgubionego zegarka, biorę pana Węglina pod moją opiekę i proszę przenieść go do mojej karety, która zaraz podjedzie bliżej. Pomogę panom go znieść, a pana proszę, panie doktorze, pojechać z rannym do Łąk.

Ostatnie słowa, jakie Piotr usłyszał, były: „Do usług pana dobrodzieja".

(D. c. n.).



F. HODLER ANIOŁ ŻYCIA

OTOKAR BŘEZINA

MOJA MATKA

Przez życie matka szła jak pokutnica smutnie,
dzień stracił dla niej czar, zagasła barw ulewa,
zgorzkniały życia płód, co wysechł w proch okrutnie,
bez odpocznienia wciąż z wieczności rwała drzewa.

Ubóstwa ostry pył odzierał z krasy lice
i siekał oczy jej, aż gasły w łzach promienie;
na drodze życia słał łzy samum burz wichrzyce,
schronisko pośród fal wznosiło jej omdlenie.

Ciężar przyćmionych fal do ziem' jej czoło chyli,
a żrącej pracy trud przegryzał nerwów pęki;
pieściła-ż swoją śmierć w agonii ciężkiej chwili,
na usta uśmiech wszedł i spłynął szept podzięki.

Na wilgny marmur płyt w kościołach głowę skłania,
w grobowych woniach świec, co blask przed ołtarz niosą,
pociech upojnym dżdżem i wizyą zmartwychwstania
napełnia życia kruż jakoby świeżą rosą.

O matko ma, o matko, dziś światłość cię spromienia,
złoty pocisku ty, odstrzelon do ogniska
w Tajemnic wieczny żar; dźwięk twego drga imienia
po wierzchu naszych fal — lecz wiem, iżeś jest blizka.

Twej martwej, chłodnej krwi wybladłym jestem kwiatem,
co w cieniu oczu twych dojrzałym błysnął płatkiem,
żywota cierpki smak wsączałaś ust szkarłatem,
a smutek duszy mej dziedzictwem twem i spadkiem.

Gdy noc zielona lśni, rozświetla mroków cisze,
opuszczasz wtedy grób, by w moje paść ramiona,
w oddechu moim rytm oddechów twoich słyszę,
gdy przejmie cię mój głos, zakwilisz przebudzona.

I ciepłem moich żył twe ciało się roznieci,
oczu przyćmiony blask w mych źrenic mrze topieli,
mistycznej wiary żar, co w duszy twojej świeci,
wtedy się w serce me gorącym blaskiem wcieli.

I tak jak niegdyś ty, mą drogą idę smutnie,
bez woni schodzi dzień, przygasła barw ulewa,
zgorzkniały życia płód, co wysechł w proch okrutnie,
owiany cieniem twym z wieczności zrywam drzewa.

Przełożył Witold Bunikiewicz.

KAROL IRZYKOWSKI.

FILOZOFIA KORALOWA WOBEC RELIGII.

Naturalną religią człowieka jest immanentny symbolizm. W kontraście do symbolizmu dogmatycznego, który jest podstawą religij oficyalnych, zadowala się materyałem świata rzeczywistego i wypatruje w nim pewne linie, które przedłuża w nieskończoność jako drogi dla myśli, pytając, tęskniąc, zgadując. Symbolizm immanentny istniał właściwie zawsze, zawarty w innych religiach, w kabalistyce, w astrologii, posługiwał się językiem nieraz najdziwaczniejszym, i urządzał z tej strony świata znaki najdziwaczniejsze, — jakby na wabika, aby wyzwać lub wyłudzić odpowiedź.

Każdy jest o tyle religijnym, o ile potrafi się zdobyć na ten kontakt myśli i działania z imaginacyjnym światem transcendentalnym, który niekoniecznie ma się składać z bóstw, bo mogą to być także szatany, liczby, albo potworne nowoczesne idee jak „das Ding an sich“, albo własne twory i kombinacye, które się symbolicznie stawia w miejsce rozwiązań właściwych lecz niewiadomych. Z tego wynika, że moralność z tego rodzaju religią niewiele ma wspólnego, może jej towarzyszyć lub nie — i że religia jest sztuką indywidualną, którą każdy musi wykonywać z własnych zasobów i własnymi środkami, chociaż na użytek ludzi niereligijnych służy surogat w religiach już gotowych. Nie ma też ona wiele wspólnego z wiarą. Zresztą co do wiary, to zdaje się, że niepotrzebnie pojmuje się wiarę jako przeciwstawieństwo wiedzy, czyniąc ją przez to zamaskowaniem, zwątpieniem, nawpół świadomem kłamstwem. Wiara — o ileby zatrzymać to słowo — jest tak silnym aktem wyobraźni i pragnienia, jak przeniesienie się w przedmiot sztuki, — przyczem nie pozostaje miejsca na wątpienie.

Wszelkie zdarzenia i przedmioty mogą się stać bodźcem kontemplacyi religijnej. Czytałem u Simmla znakomitą rozprawę o dzbanie, w której dzban powoli przemienia się w symbol wszystkich rzeczy ziemskich — brzmi to jak spowita w mgłę filozoficzną modlitwa. Kilka genialnych rzutów symboliki immanentnej znalazłem w dziele filozofa Ewalda „Gründe und Abgründe“. Najważniejszym warunkiem takiej symboliki jednak jest czuć potrzebę i racyę tych dróg niepewnych, które się znajduje dopiero na szczytach wiedzy, które nie mogą być nigdy igraszką; rozumieć i odnajdywać w sobie te rzadkie i wybrane momenty, w których rzeczywistość sama obraca się naokoło osi, aby przybrać inną fizyognomię. Życie samo powoli lecz skutecznie gromadzi te momenty jak zatrważający ciężar. Historyozofia własnego życia jest tak samo początkiem religii indywidualnej jak historyozofia powszechna mogłaby być punktem wyjścia religii ludzkości, gdyby jeszcze zawsze nie uprawiano jej z uboczną myślą znalezienia jakichś wskazówek dla polityki praktycznej.

Przeszłość i jej naczynie pamięć — już one same są zjawiskami, wywołującemi religijne



ZB. PRONASZKO — K. IRZYKOWSKI

zdumienie. To co działo się niegdyś jako sprawa najaktualniejsza, niewątpliwa, zachowuje i budzi się w pamięci jako cień bezcielesny i tchnie lodowatym powiewem na teraźniejszość. Prócz skrawka natychmiastowej chwili cały świat składa się z tego, co nie istnieje.

Są bloki erratyczne „z tamtego świata“ rzucone w codzienną rzeczywistość jak wieczne zagadki—niezgadki. N. p. miłość, która wpleciona w kołowrót rzeczy ziemskich może ulegać rozmaitej interpretacyi: od pogardliwego cynizmu do idealizującego zachwytu. Podobnie ma się rzecz z śmiercią.

Od religijności nieodłączną jest pewna chęć kultu, symbolu, chęć formowania w widzialnych rozmiarach tego, co się odczuwa lub przeczuwa z całości, a prócz tego pewne wymaganie rękojmi owej transcendentalności czy cudowności świata. Można wprawdzie powiedzieć, że świat jest w każdym momencie cudownym i nowym. Ale tego rodzaju cudowność jest tak powszednia i powszechna, że ogarniając każdy atom, znosi się niejako we wszechświecie, niby niepotrzebne części zrównania, staje się bezużyteczną. Chodzi o rękojmie specyalne, niezawodne i niesfałszowane. Taką jest tylko śmierć, rzecz dość rzadka a zarazem dość zwykła, żeby nie zamęczać człowieka swoją zawisającą nad nim obecnością. Z wielu punktów widzenia zalicza się ona do zjawisk codziennych, przez które swobodnie przechodzimy do dalszego „porządku“ dziennego. Traktujemy ją jak deszcz, usychanie kwiatów, zgubę klejnotów, okradzenie przez złodzieja, potknięcie się na ulicy. Dla lekarza śmierć czyli „exitus“ jest tylko granicą choroby taką samą jak wyzdrowienie. Dla statystyka śmierć jest rubryką, taką jak narodziny, śluby, — i dzieli się na rubryki podrzędne: zgony wskutek chorób tych a tych, wskutek nieszczęśliwych wypadków, mordy, samobójstwa. Dla grabarza śmierć jest okazyą do zarobku itd. Krzyżują się więc w tym punkcie linie idące z życia i rozbiegające się dalej po różnych polach życia, po tej samej powierzchni. Ale jest też jedna linia, która prowadzi w ciemną głąb, lub w jasną wyż — jak kto woli, i ta przypomina, iż pod tą maską codzienności w śmierci zawiera się cudowność, zrozumiała i wyczuwalna tylko dla ginącego osobnika lub dla jego najbliższych. Życie było i życia niema — tego nie można w żaden sposób zrozumieć, to przerywa wszystkie łańcuchy logiczne. W żadnym innym fakcie nie jest ta straszna cudowność tak ewidentną.

Z dawien dawna jednak starano się zakryć tę ziejącą rozpadlinę, aby jej jak najmniej było znać na świecie. Przytem zawsze wydawało się najważniejszem pytaniem: bać się, czy nie bać śmierci? i oczywiście usiłowania myślicieli dążyły wciąż ku temu, żeby dowieść, iż się jej bać nie trzeba. Gorliwość, z jaką wciąż starano się odjąć śmierci grozę, jest prawie podejrzana. Każda era miała swoje argumenty, którymi się zakrzykiwala. Starożytność pokonywała śmierć stoicyzmem; średniowiecze redukowało ją do bramki, poza którą zaczyna się życie zagrobowe; nowe czasy zmodyfikowały tę chrześcijańską obietnicę nieba w ten sposób, że ściągnęły niebo na ziemię, i zamiast perspektywy wieczności osobistej, jednostkowej, postawiły perspektywę doskonalenia się ludzkości w nieskończoność, przez rozwój już to automatyczny już to bohaterski. W ten sposób powstała ta *filozofia koralowa*, której zawdzięczamy naszą wojnę.

Filozofia koralowa uczy, żeby sobie nic nie robić z śmierci, ponieważ ginie tylko marna jednostka, ale gatunek, ród, ojczyzna żyje dalej, a w nich przecież i owa jednostka żyje wiecznem życiem — w stosownej przeróbce. Jesteśmy wieczni, bo jesteśmy przecież społeczeństwem korali, które narastają wciąż jedne na drugich, i rozgałęziają się jak drzewa w oceanie bytu. Stąd niesłychany podziw dla Japończyków, pszczół i mrówek — istot, u których ów zmysł poświęcenia się dla ogółu stał się jasnowidzącym instynktem, zautomatyzował się dokładnie,— i odpowiednio potaniał. Stąd swego czasu, przed wojną, ogromne powodzenie dzieła Prenticea Mulforda „Przeciw śmierci“. które podaje nam stoicyzm przyprawiony po amerykańsku. Śmierć stała się bagatelą, umarli są tylko ekskrementami wielkiego cielska...

Mulford pisał o „nadużyciu śmierci“ — oczywiście śmierci, jako sentymentalnego straszaka, wytykał, że za dużo się o niej mówi, pisze, myśli, i przez to wyświadcza się jej za dużo zaszczytu. Sądzę, że gdyby sama śmierć przeczytała tę książkę, zawstydziłaby się okropnie. Uczułaby się poniżoną w roli hycla i kanalarza, skurczyłaby się tak jak egzekutor podatkowy, który wszedł przypadkiem do milionera. Wymieniłem tylko Mulforda, ale całe myślicielstwo ostatnich czasów rozwijało na różne sposoby filozofię koralową. Jakgdyby się chciało wygwizdać śmierć ze świata, zdemaskowawszy jej podłe praktyki, maltretujące ciało i duszę. Zabiwszy w sobie zupełnie trwogę przed śmiercią, może znajdziemy eliksir na nieśmiertelność

według przepowiedni Miecznikowa. Śmierć stanie się anachronizmem i przesądem. Nie znajdziemy wprawdzie środka przeciw niszczeniu ciał, bo technika wojny wymagać będzie ich zmiętoszenia, rozćwiartowania, ale na pobojowisku będzie się zbierało dusze nieśmiertelne jak się dziś zbiera gilzy, i te dusze będzie się internować w ciałach ptaków, motyl, roślin, albo — najsympatyczniej — korali. Lecz wogóle na co komu potrzebne są wtedy — dusze...

Oto co pisze np. pewien uczestnik wojny w r. 1916:

„...Nasza śmierć na pobojowisku jest krótka, bez bolesnych pożegnań z życiem; przychodzi i już się stało; słońce się z tego śmieje a siła włada twórczo aż do ostatniej chwili; otaczający nie odczuwają jej tak samo jak ten, co ginie; niema przygotowań i biadającej żałości, to nie śmierć bierna lecz czynna, nie zjawia się jako wyrzekanie się dóbr, lecz sama działa jako dobro, jako dar szczodry; to nie rezygnacya lecz ofiarowanie, nie cierpienie ale czyn, otoczony blaskiem, dyszący pogłośną wielkością; śmierć w polu nie poniża jak poniekąd śmierć ze starości, świadcząca o władzy natury nad naszem ciałem, — nie śmierć panuje, lecz człowiek, który ją zadaje, aby wytwarzać życie, i stwarza życie, świetność, zwycięstwo, sławę. Kto inny jest umieranym, bohater umiera; śmierć na polu bitwy jest najpiękniejszą...

...„Nie życzymy jej sobie, ale i nie boimy się jej, nie upiększamy, przyzwyczailiśmy się, nie potrzebujemy „eutanazyi": kula trafia, trafiła — oto cała nasza mądrość... Śmierć w polu jest faktem. Tak jak wojna, która ją nieść musi.

„...Podziwia się słusznie ludzkość, że weszła w nowy stosunek do śmierci, nazwijmy go bohaterskim, albo ufniejszym; nauczyła się umierać" i t. d.

Tak się wyraża patos tresury bohaterskiej. Ten bojownik marzy nawet, żeby tego rodzaju śmierci uczyć w wykładach wędrownych, martwi się tylko, że prelegent nie mógłby jej demonstrować dla przykładu. Czemże dla takich filozofów koralowych jest wojna?

Wielką młocarnią: z jednej strony pakuje się rozśpiewane zapałem snopy, z drugiej wyjmuje się — co? to jeszcze będziemy widzieli...

Znam jeden wyjątek. Niemiecki kanonier Hellmuth Falkenfeld (autor „Muzyki bitew" — tytuł ironiczny! — i „Istoty sztuki aktorskiej") zraniony na froncie zachodnim, w łóżku szpitalnym pisze rozprawę pt.: „Śmierć i ja", w której zwracając się przeciw filozofii stoickiej twierdzi:

„Kłamstwo, iż nie jest godnem człowieka filozoficznego drżeć przed śmiercią. jeżeli tylko ma odwagę. nie zataić tego drżenia przed filozofem w sobie." I rozstrzyga rzecz tak: „Właściwa obawa przed śmiercią zasadza się nie na utracie bytu, lecz na utracie jaźni. Trwoga przed śmiercią jaźni jest w najgłębszej głębi metafizyczna. Zatratę materyalności można zrozumieć tak jak obumieranie rośliny, ale nie można zrozumieć śmierci tego, co materyi nadaje formę „ja", śmierci właściwej jaźni... Uczucie odpowiada na tę zagadkę obawą śmierci. I jest to spłytczeniem kwestyi metafizycznej w kierunku moralistycznym, gdy Sokrates twierdzi, że cnotliwy nie potrzebuje się śmierci obawiać..."

„To jest właściwy problemat śmierci: „Ja" jest tylko tam możliwe, gdzie jest życie, formuje się tylko z materyi żyjącej, i jest dlatego czemś więcej niż ona. Śmierć jednak jest tylko zaprzeczeniem życia, brak jej niejako logicznej siły, aby zaprzeczyć także jaźń. Można powiedzieć, że metafizycznie jaźń nie dorasta do śmierci, metalogicznie natomiast śmierć nie dorasta do jaźni. Ja i śmierć pozostają względem siebie w braku równowagi, który objawia się tem, że jaźń zostaje tylko pochłoniętą przez śmierć lecz nie zaprzeczoną, że jaźń nie ustaje wskutek śmierci, ale nie jest przez nią załatwiona."

Jaźń i śmierć są dla Falkenfelda niepojętymi biegunami życia; dlatego fakt, że człowiek może umrzeć, wydaje się nam tak często kłamstwem, nierzetelnością natury. Że właściwe „ja" jest czemś nieskończenie więcej, niż same żywe zjawisko człowieka, uczy nietylko oglądanie zwłok, lecz także długie spojrzenie w lustro. „Śmierć jest tedy upomnieniem, żeby jaźń zatrzymać dla życia i nie gubić jej już w życiu przez wyłącznie negatywno-animalną wegetacyę. Życie jest najwyższem dobrem, ale nie dlatego że jest życiem, lecz że ponad siebie może doprowadzić do indywidualnych ukształtowań." "Że byt żywy u góry ograniczony jest przez jaźń, a u dołu przez śmierć, to wiedza, która należy do wieku wojny światowej."

Nie znam głębszego wykrystalizowania zagadki śmierci. Brzmi ono jednak jak indywidualizm i egoizm, megalomania jaźni. Według filozofii koralowej każde pokolenie dzi-

siejsze ma wykonywać tylko prace przygotowawcze dla jutra. Właściwego zadania nie tyka nikt, odsuwa się je w nieskończoność. Przygotowywanie czyni się niemal instytucyą wieczną: ma się przygotowywać przygotowywaczy i asekurować przygotowywanie. (Mam tu na myśli pewien pogląd zupełnie określony.) Ktoby się temu sprzeciwił, mógłby być okrzyczany kwietystą, pacyfistą, wrogiem kultury.

Z tych źródeł płyną te paradoksy, których świadkami jesteśmy: Walcząc rzekomo dla przygotowania lepszej przyszłości, obciążyliśmy tę przyszłość spłacaniem kosztów naszej zabawy przez kilka pokoleń. Troskliwi o to, żeby nam nie zarzucono, iż trzymaliśmy się dewizy: „po nas potop“ sami sobie urządziliśmy potop i zostawiamy po sobie bagna. W obawie przed utopiami natychmiastowemi, niezgodnemi z zasadą ewolucyi, urzeczywistniliśmy utopię wsteczną. Niszcząc tysiące istnień, równocześnie przemyśliwamy nad tem, jakby przyśpieszyć i pomnożyć populacyę, wyznaczamy premie za rozradzanie się.

Mało nas, mało nas,
Ludzkich mas, ludzkich mas,
Więc kto w Boga wierzy,
Pleń się, nakształt zwierzy!

— — — — — — — —

Nad utartą życia treść,
Jeśli chcesz się człecze wznieść,
To doskonaleń zamiary
Swoim synom złóż na bary.
Oni niech ten niosą trud,
Ty, jak piasek, mnóż swój ród.

(Lemański, Księga Rodzaju).

Nigdy nie była ludzkość tak bezbożną, jak wtedy, kiedy obłudnie przestała się bać śmierci i zrobiła z niej quantité negligeable. Nawet bohaterstwo nie jest, jak się zwykle mówi, przezwyciężaniem śmierci na rzecz życia; jest ono tylko dlatego piękne, że rzuca cień śmierci na życie i czyni je na nowo tajemniczem.

I pospolitowanie śmierci doprowadziło właśnie do zabijania jednych przez drugich. Bo jeżeli ludzie są tylko wzajemnym nawozem, to czemuż przyrządzanie tego nawozu miałoby się ograniczać tylko do kategoryi c z a s u, od jednego pokolenia do następnego, — czemuż by nie zastosować tego procederu do kategoryi p r z e s t r z e n i, do grup ludzkich, żyjących równocześnie? Jeżeli moje pokolenie z r. 1917 ma się poświęcić dla pokolenia z r. 1971, to tak samo dobrze można pokoleniu, żyjącemu pod tym a tym południkiem i tą a tą szerokością geograficzną poświęcić inne pokolenie, żyjące o kilkanaście stopni geograficznych dalej. To jest przecież „postępowanie skrócone“. Filozofia koralowa na to wszystko pozwala, ponieważ nie uznaje śmierci za świętość, lecz zaprzęgła ją do usług i zrobiła ją katem. „Nie śmierć panuje, lecz człowiek, który ją zadaje“ powiedział dumnie ten pan z pola bitwy.

Od fatalnego startu ziemia galopuje już po raz piąty naokoło jasnego słońca, kłuta ostrogą Wielkiego Szaleńca. I ukośną wskutek pędu strugą ścieka z niej obficie krew, w przestwory kosmiczne, między gwiazdy...



JÓZEF JEDLICZ.

REFLEKSYE DOBRODUSZNE.

1. *Zasady.*
Zasady to okopy najtrwalszych korzyści —
Przeto najwięcej zasad mają egoiści.

2. *Kres wolnej myśli.*
Jest wielu, co gotowi iść w bój z samym Bogiem,
A kłonią się nabożnie przed — złotym pirogiem.

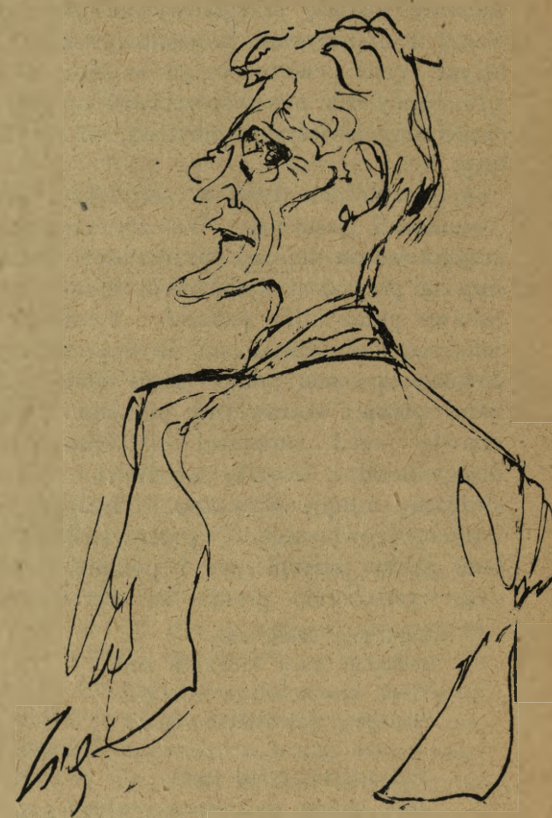
3. *La dernière loyauté.*
Dziwnej dziś lojalności od — karpi żądają:
By wdzięczyły się słodko, gdy je żywcem krają...

4. *Gorzki chleb oppozycyi.*
Pół wieku stał na pańskiej liberyi i wikcie —
Ma-ż się dziś oblizywać, własne gryząc kłykcie!?...

5. *Mania wielkości.*
Gdy wszechwładny Surogat panuje nad światem,
Jeden Polak śmiał wzgardzić Polski surogatem!...

6. *Z przepowiedni królowej Saby.*
»Przyjdzie czas, iż w plugawe zmienią się ersatze
Wszelakie jadła ludzkie, krom c h a ł y i m a c e«.

7. *Pierwsza polska centrala.*
Ktoś podobno w Warszawie zabiega wytrwale,
By wielką teatralną stworzyć tam centralę...



K. SICHULSKI POS. DASZYŃSKI

8. *Neoprometeizm.*
Z Prometejskiej, od sępa zwolonej, wątroby
— Patrz: — smętne kabotyny dziś tyją i snoby!

9. *Beati mortui.*
W Polsce ż y c i e, ruch twórczy niewielkie ma szanse
Zato z g o n ci otwiera najwyższe awanse.

10. *Epitafium poety.*
Głaz ten wielką przywalił sławę — — Zgadnij, czyją?
Oto tych, którzy kiedyś me dzieła odkryją.

11. *Myzogynizm Młodej Polski.*
Gdy złośliwe wersety śle wieszcz do kobiety,
Znaczy to, że — niestety — nie dla psa kotlety...

12. *Także mizogyn.*
...I ja także kobiety gromię z całej siły,
Zato zwłaszcza, że tylu — osłów porodziły...



K. SICHULSKI POS. STAPIŃSKI.

STEFAN BREYER (SZAN. AUT.)

SONECIKI WAKACYJNE.

SPRÓCHNIAŁY PIEŃ.

W bieganiu przez zwalonych drzew oślizgłe belki
posiadłaś pani, przyznać to trzeba, kunszt wielki
i odwagi złożyłaś pani dowód rzadkiej,
nad metrową przepaścią trawestując kładki.

Już doprawdy wyzbyłem się nadziei wszelkiej,
aby się gdzie potknęły pani pantofelki;
aż w potrójnym koziołku fikłaś pani w kwiatki!
więc z radości pękałem, jak w sukni zakładki.

Cieszyć się biedą bliźnich, jest to narów podły,
lecz pani tak zdziwiona z tej leciałaś jodły
gdy zmogły równowagę pani zwykłe żerdzie,

iż musiałem poniechać wszelkie litosierdzie
i śmiać się. Bo w tem krył się właśnie dowcip cały,
że był to tylko mego serca pień spróchniały.

ZSIADŁE MLEKO.

Wielbiąc przepyszne pani wdzięki odaliski
i pijąc zsiadłe mleko, pomnę czas nie blizki,
(ot głupi przeżuwania chwil smaczniejszych narów),
gdy mnie dzieckiem z piękniejszych karmiono puharów.

Błyskawicą minęły dni dziecinnych czarów,
z pieluszek wszedłem prosto w ciemny życia parów
i dziś, że już nie jestem na miarę kołyski,
każesz mi piękna pani mleko pić, ach, z miski...

Nie przypuszczała pani, aby zwykły nabiał,
tak smętnie erotycznie kogoś usposabiał?
a jednak zsiadłe mleko, jest, jak męzkie serce:

wprzód rozlewne, po czasie kiśnie w poniewierce,
śpi; choć nieraz śmietania maska na niem pęknie,
chwalą je słodkie panie, że się kraje — pięknie...

KONWERSACYA.

Pani mnie nie poznaje? ubiegłej niedzieli
miałem panią przyjemność oglądać w kąpieli.
O, to wielka przyjemność, ja z ogromnym gustem
napawałem me oczy pełnym pani biustem.

Tak, trochę niewygodnie siedziałem pod chrustem,
cóż robić? dostrzeżono by mnie w miejscu pustem,
wtedyby może cały efekt dyabli wzięli,
bo cóż jest ciekawego w płótnie, czy flaneli.

Wie pani, dzień strawiłem na stawianiu premis,
czym widział Afrodytę, czy samą Artemis,
i przez myśl mi nie przeszło, że to z ziemskich dziewek

pierwsza precz odrzuciła dla mnie przyodziewek,
Więc, że w grzeczności nie chcę być dłużen nikomu,
powiem pani, że — ja się kąpię koło promu.

SZTUKI PIĘKNE.

Rzeka, to ciał niewieścich paradna wystawa,
i podziwiać ją rozkosz, ale rozkosz krwawa;
wiem coś o tem ja, który natchnień nitkę motam,
czołgając się wśród pokrzyw, błotem pełznąc do tam.

Gdy ujrzę wśród fal dziewczę, ognistą, jak lawa,
śnię baśń, — jakże ją często zła przerywa jawa,
jakże często mnie budzi plusk; patrzę się, co tam?
to mać jej lezie z wody, jak ten hippopotam.

I nagle w ten ostatni zakątek Hellady
lecą babskiego basu zelżywe tyrady;
mać, zamiast greckim dyskiem, łomkiem ciska kwarcu

i w sytuacyi jesteś, wieszczu, kota w marcu!
zaiste Sachalinem to dziś i Wiatką
obserwacya Sztuk pięknych — co się kąpią z matką.

KSIĘŻYCOWE NASTROJE.

Gdy zcichł świergot ptaszęcy i szmery owadzie
ustąpiły miłosnych westchnień serenadzie,
chłońmyż wonnych nastrojów posilny Wiatyk
w dalszą drogę miesięcznych i kwietnych pijatyk.

A cóż to w tej poświacie sterczy za lunatyk?
hej! kto tam? — Toż-to ja sam stanąłem jak patyk!
widać mi nocka w duszę sentymencik kładzie...
dusza: skrzypek z pękniętą struną na estradzie.

Czy pokutuje jeszcze w pani cudny przestrach
po dętych i urżniętych młokosów orkiestrach?
pokój im! wszak z nich żaden na próg twój nie przelazł,

każdemu wbiłem kędyś pod żebro kordelas;
wszystko to, byśmy marzyć mieli gdzie bez trwogi,
pani — i ja — i księżyc, co także ma rogi

KWADRATURA TĘCZY.

Przyjrzałem się zaletom pani, oraz wadom,
znam poglądy na sztukę, na ojczyznę, na dom,
które umiałaś pani powiedzieć niezwykle,
gdyśmy nieprzyzwoitych rozmów wiedli cykle.

Szczycę się tem, iż dzięki dyskretnym wywiadom
jaknajtajniejszych wdzięków pani jestem świadom,
powiedziała mi rzeka i nadrzeczne wikle,
które to i gdzie panią ugniatają brykle.

Mistycyzmu cudowna, tajemnicza krasa
i tyle cudnych łuków wzwyż i niżej pasa;
z tych danych, bardzo chytrze zdobytych przez zmysły,

chciałem syntezę pani stworzyć w sposób ścisły,
Lecz napróżno mój umysł sili się i męczy:
będziesz mi pani zawsze — kwadraturą... tęczy.

PRZEGLĄD



K. SICHULSKI PROF. MASSARYK.

LISTY O CZESKIEJ KULTURZE.

I. PRZEGLĄD TEATRALNY.

W maju b. r. obchodził naród czeski pięćdziesięciolecie dnia, w którym położono kamień węgielny pod Teatr Narodowy (Národní Divadlo) w Pradze. Oba wielkie teatry praskie, Teatr Narodowy i Teatr Miejski w Królewskich Winogradach zaprodukowały cykl sztuk czeskich wzajemnie się uzupełniających, którym przedstawiono obraz twórczości dramatycznej od Tyla i Klicpery aż do najnowszych czasów. Widzieć można było pocieszający rozwój i postęp, choć właśnie na polu dramatycznem literatura czeska nie może wykazać najistotniejszych wartości, jakie złożone są gdzieindziej, n. p. w czystej, wspaniałej i jędrnej liryce czeskiej. Jednak i tutaj wre praca nad stworzeniem dramatu czeskiego, na razie historycznego. A l o i z e g o J i r á s k a próby historycznego dramatu, chociaż wybierały najsilniejsze postaci i typy czeskich dziejów („Jan Hus“, „Jan Žižka“); rozbijały się o małą twórczą siłę swego autora, który jest w swym żywiole w historycznej kronice swych romansów i powiastek, chętnie czytanych przez szerokie warstwy czytelników, ale nie ma dramatycznego pędu, tragicznej siły, poetycznego, wartkiego liryzmu, który jest u niego czczy i oschły.

Największą nadzieją współczesnego dramatu czeskiego jest J a r o s ł a w H i l b e r t, temperament dramatyczny, który wszystkich próbuje dróg, by dojść do swego celu. Jego „Falkenstein“ oznacza czyn w dramatycznej poezyi czeskiej. Z młodszych wymieniam jeszcze A r n e D v o r a k a, którego „Wacław IV“ zawiera wiele znacznych wartości artystycznych.

Oczywiście, trudne położenie czeskiego dramaturga łatwo da się wytłumaczyć i słabe sukcesy jego działalności usprawiedliwiają stosunki, które do niedawna panowały na pierwszej scenie czeskiej, stosunki, które, miejmy nadzieję, obecnie radykalnie się zmienią. Bo Teatr Narodowy pod dotychczasowym swoim zarządem faworyzował

wszystko i wszystkich, tylko nie — pisarzy czeskich. Wystawiał sztuki wszystkich możliwych autorów obcych, zwłaszcza niemieckich, a najmniej słowiańskich, — a sztuki czeskie grywane już były tylko wyjątkowo; po większej części bywały odrzucane, a przyjęte tak były zbywane, że po kilku zaledwie przedstawieniach tonęły w archiwach. Autorzy, którzy tryumfy święcili w liryce albo w prozie, jak n. p. Jarosław Vrchlicky i Juliusz Zeyer, na scenie przepadali, acz sztuki Vrchlicky'ego mają świetne wartości artystyczne, a sztuki Zeyerowe, np. „Donna Sanca" gorące, dramatyczne tchnienie, lub niewysłowiony czar liryczny — jak n. p. „Raduz a Mahulena". Idąc śladami Reinhardta i Kiliana, reżyserya Narodowego Teatru pokazywała swoje zdolności nie w inscenizacyi sztuk czeskich, lecz obcych, importowanych z Berlina, i w ten sposób Teatr Narodowy zalany został repertuarem berlińskim, a jego reżyserya widziała największą swoją ambicyę nie w wystawieniu np. Zeyera ślicznego „Neklana", lecz „Wallensteina" Schillera całkiem wedle intencyi monachijskiego Kiliana. Wskutek wojny, w której samopoczucie narodowe czeskie ogromnie wzrosło, doszedł dzisiejszy zarząd Teatru Narodowego do pocieszającego zrozumienia, że zadaniem czeskiej sceny jest grać w pierwszym rzędzie sztuki czeskie, a z obcych literatur sztuki narodów rasowo nam pokrewnych, a dopiero w dalszej linii narodów wszystkich innych, bardziej oddalonych. Spodziewamy się, że Teatr Narodowy będzie więcej uwzględniał i polską literaturę i że zapozna naszą publiczność z poezyą dramatyczną Wyspiańskiego. Nie można jednak odmówić obecnemu zarządowi jednej wielkiej zasługi, t. j. kultu Szekspira. W jego reprodukcyi zaznaczyli się wybitnie dwa najwięksi aktorzy Teatru Narodowego: Edward Vojan i Leopolda Dostalowa. Hamlet Vojana jest wybitną kreacyą aktorską, jest studyum psychologicznem, które rozbiera wnętrze medytującego melancholika aż do najdelikatniejszych nuance'ów.

Miejski Teatr w Królewskich Winogradach jest młodym zakładem; istnieje dopiero 10 lat. Lecz współzawodniczy wcale dzielnie na polu dramatu z Teatrem Narodowym, a przewyższa go często większą ruchliwością, żywotnością i szczęśliwszą odwagą. Jego reżyser Dr. K. H. Hilar nie zadawalnia się tylko imitacyą obcych wzorów, tworzy samodzielnie, eksperymentuje i znajduje. Jego Peer Gynt był zupełnie oryginalną kreacyą, odtworzył na scenie cały fantastyczny realizm baśni Ibsenowskiej. Jeśli ulubieńcem Teatru Narodowego jest Szekspir, to jego ulubieńcem jest Moliére. Ma on trzech znakomitych aktorów: Annę Iblowę, tragiczkę ciemnego, namiętnego timbru, wysoce inteligentnego Wacława Vydru, który szczegółowo analizuje każdą postać, znakomitego charakterystycznego aktora Bohuslava Zakopala, umiejącego wspaniale uwydatnić stronę paszkwilową dramatycznej postaci.

Jeśli rzucimy okiem na twórczość dramatyczną ostatniego roku, musimy przedewszystkiem wspomnieć o sztuce, której treść stanowi



K. SICHULSKI POS. STRANSKY

żyjąca rzeczywistość. Jest nią Jarosława Hilberta „Gniazdo podczas burzy". Autor przedstawia w niej rozdarcie rodziny na tle toczących się wypadków wojennych i ostateczny jej ratunek w huraganie ognia i krwi... Materyał ogromny — niestety, cenzura zmusiła autora, by problemu tego tylko zlekka się dotknął — i dlatego robi sztuka wrażenie nieśmiałego szkicu, nie działa ogromem całej bolesnej i okrutnej akcyi. Ma jednak znakomitą zwięzłość i ruchliwość dramatyczną i mocną plastykę scen.

„Rewolucyjna trylogia“ Viktora Dyka napisana jest stylem lapidarnym, zjadliwym, a przecież nie znalazł Dyk dotychczas sceny, gdzieby się mógł wypowiedzieć. Hałaśliwa akcya teatralna, wielkie gesty — to wszystko jest mu obce. Walk uczuć i idei — oto jego dziedzina. Lecz dla tego dramatycznego świata niema współczesna scena dotychczas odpowiedniej formy. Jakież n. p. konflikty piętrzą się w „Figaro“: rozpadający się świat tych, którzy dotychczas władali, rozrastający się świat tych, którzy pną się w górę, ognista i krwawa kąpiel ścierających się i walczących ze sobą idei — a przecież brzmi to wszystko ze sceny raczej, jak debata, jak sporna dyskusya, acz w książce ma gorące tchnienie, prawdziwie tragiczną plastykę.

„Faustina“ Stanisława Loma, zbiór scen; autorowi nie udało się uczynić z niej sztuki o problemie ideowym, do czego zmierzał. Jest ona niewieściem pendant Fausta Goethego, brodzi przez kałuże społecznej zbiorowości, tęskniąc za lśniącymi darami życia, by w końcu znaleźć „mężczyznę z gwiazdą na czole“, z którymby nowe rozpoczęła życie. Symbolizm sztuki zanadto jest mglisty, przez co efekt staje się wątpliwy. Realizm niektórych scen przerósł całą koncepcyę, wskutek czego zostaje wrażenie zupełnie chaotyczne. Mimoto sztuka napisana jest przez poetę bardzo niepośledniego.

„Torquato Tasso“ Jarosława Marii jest śmiałym eksperymentem, by przedstawić poetę „Wyzwolonej Jerozolimy“, jego patologiczną, zagadkową, problematyczną postać. Lecz i tutaj rozbiły się zamierzenia poety. Stwór to jest literacko interesujący, ale dramatycznie uboga, opuszczona, psychiczna puszcza. Maria nie chciał przedstawiać Tassa wyidealizowanego w stylu Goethego, lecz realistycznie. Znalazł on w archiwach rodu Este dowody popędliwości Tassa, jego służalczości, bigoteryi, próżności, zarozumiałości i artystycznej degeneracyi, — i z tych właściwości ulepił swego bohatera. Z estrady scenicznej działa postać odpychająco. Maria przedstawia swego bohatera w takiem świetle, jakoby jego osobistość nie miała nic wspólnego z jego geniuszem, i to właśnie jest nieprawdopodobnem. Teza Maria byłaby dopuszczalną, gdyby poeta skreślił walkę geniusza z marnem jego człowieczeństwem; gdyby był przedstawił, jak geniusz druzgoce małostkowość „biednego człowieka z Sorrento“. Mimo tę słabą strukturę ideową dramatu, trzeba przyznać, że koncepcya Tassa jest śmiała, a gdzieniegdzie ma magnetyczną siłę poetycznego tchnienia.

Najświeższa nowość dramatyczna, „Przemyslovci“ Ottokara Fischera, jest poprawnie wystylizowaną sztuką historyczną, ale jej siła artystyczna jest znikoma. Autor wybrał temat wielkiego, dokonanego, rasowego przeznaczenia, ale brakuje mu bezpośredniego związku z treścią, wtajemniczenia we wszystkie żyły i fibry narodowych dziejów, ich tragiki, ich potęgi, i ich upadku. Jest to zrozumiałem, bo autor nie jest z pochodzenia Czechem i nie może wyczuć tragiczności momentu, w którym znika ostatni potomek narodowej dynastyi, zostawiając Czechy niepewnemu, chwiejnemu losowi... Fischer konstruował swój dramat na chłodno i tam, gdzie historya wykazuje lukę, tam wprowadza jako królobójcę fikcyjną postać Piotra z Lomu, anarchistę czy Nitscheowca, jako narzędzie przeznaczenia, odwracającego się od świata zwyrodniałych dynastyi, przedewszystkiem Przemysłowczyka. Tu jest miejsce bolesne, gdzie dotyka się poeta czeskiego serca — acz mimowoli — bo nie z rasy czeskiej pochodzi. Gdyby był Czechem, wyczułby, że jedyna czeska dynastya nie spełniła jeszcze swej misyi dziejowej i że usunięcie Wacława III. ręką nieznanego mordercy było nieszczęściem dla czeskiego narodu, a nie czynem nitscheańskiej odwagi i siły. Sztuka napisana poprawnym wierszem jest chłodna i oschła, bez temperamentu i bez płomiennego liryzmu.

W Pradze, w lipcu 1918.

JIŘÍ KARÁSEK ZE LVOVIC.

ROK · I · ZESZYT · 23 ·

MASKI



ST. WYSPIAŃSKI

Z „ZIELNIKA".

KRAKÓW · 10 · SIERPNIA · 1918

TREŚĆ ZESZYTU DWUDZIESTEGO TRZECIEGO.

Okładka rysunku St. Wyspiańskiego. Wewnątrz rysunki i reprodukcye z dzieł: Amiet'a, Boss'a, Württembergera. Karykatury Kaz. Sichulskiego (Długosz, German, Hussarek, Śliwiński). Winiety i końcówki z „Zielnika" St. Wyspiańskiego.

„Maski" wychodzą 1., 10., 20. w miesiącu.

Warunki prenumeraty z przesyłką:

Kwartalnie . . . K 20·—
Półrocznie . . . „ 38·—
Rocznie : . . . „ 75·—

Cena zeszytu pojedynczego K 2·50. — Ogłoszenia wedle umowy.

. ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW, UL. WOLSKA 19.

W trzecim kwartale 1918 r. ogłoszą w „Maskach":

Poezye: *Bogusław Butrymowicz, Ludwik Éminowicz, Józef Jedlicz, Jan Kasprowicz, Edward Leszczyński, Edward Ligocki, Tadeusz Nalepiński, Bronisława Ostrowska, Lucyan Rydel* (z pośm. rękop.), *Leopold Staff, Tadeusz Szantroch, Maryla Wolska, Stanisław Wyrzykowski, Antoni Wysocki, Kazimiera Zawistowska* (z rękop. pośm.) *i inni.*

Prozę belletrystyczną: *Stefan Grabiński, August Kisielewski* (z rękop. pośm.), *Franciszek Mirandola, Stefan Nowiński, Władysław Orkan, St. Wł. Reymont, Tadeusz Rittner, Kazimierz Tetmajer,* (*prócz dalszego ciągu powieści „Walka", nowy VIII. cykl „Na skalnem Podhalu"*), *Gabryela Zapolska, Stefan Żeromski i inni.*

Prozę teoretyczną i krytyczną: *Feliks Jasiński, Leon Chwistek, Tadeusz Dąbrowski, Karol Irzykowski, Władysław Kozicki, Tadeusz Sinko, Tadeusz Świątek i inni.*

Przekłady autorów ostatniej doby (*Březina, Jammes, Karasek, Meyrink, Miłosz, Pascoli, Péguy, Rolland i i*).

W części ilustracyjnej: *J. Bukowski, L. Chwistek, L. Czechowski, E. Czerwenka, A. Dobrodzicki, St. Filipkiewicz, L. Gottlieb, Vl. Hoffman, J. Hrynkowski, J. Hulewicz, W. Jastrzębowski, Z. Lorec, Br. Małkowski, J. Mehoffer, T. Niesiołowski, C. Norwid (szkice), A. Procajłowicz, A. Pronaszko, Z. Pronaszko, J. Raszka, St. Schwarz, W. Skoczylas, K. Sichulski, Z. Stryjeńska, W. Szymanowski, W. Weiss, St. Wyspiański, Witkowski, E. Zak i inni. — Obcy: Archipenko, Bourdelle, Cézanne, Delanney, Van Dongen, Gleize, Van Gogh, F. Hodler, Kandinsky, Marc, Matisse, Metzinger, Severini i inni.*

Redaktor:

TADEUSZ ŚWIĄTEK

Redaktor odpowiedzialny: Roman Czaplicki.

Odbito w drukarni Narodowej w Krakowie.

KRAKÓW · 10 · SIERPNIA · 1918 ZESZYT · 23

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA

Kasimierz Rachowski 31. VIII. 1918



ST WYSPIAŃSKI TRZY KUMOSZKI (Z RYSUNKÓW DO „LEGENDY").
(Ze zbiorów p. Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

EDGAR ALLAN POE

MASKA CZERWONEGO MORU.

„Czerwony mór“ już oddawna srożył się w kraju. Nigdy wszakże zaraza nie była tak okropną i zgubną. Zaczynała i kończyła się krwią — krwi grozą i czerwienią. Występowały ostre bóle i nagłe zawroty, poczem krew tryskała wszystkiemi porami i przychodziła śmierć. Szkarłatne plamy na ciele, przedewszystkiem zaś na licu ofiary, były oznakami moru, pozbawiając ją pomocy i przychylności ludzkiej, cały zaś początek, przebieg i koniec choroby odbywał się w przeciągu pół godziny.

Ale książę Prospero był szczęśliwy, przezorny i nieustraszony. Gdy dzierżawy jego wyludniły się na poły, z pośród dam i rycerzy swojego dworu wezwał do siebie tysiąc najlepszych i najpogodniejszych i wraz z nimi schronił się w niedostępnem odludziu przedzierzgnionego w warownię klasztoru. Był to przebytek przestronny i okazały, twór odrębnego, lecz dostojnego smaku księcia. Mocny, wysoki mur opasywał go dokoła. W murze widniały żelazne bramy. Dworzanie, wszedłszy do zamku, przynieśli panwie i ogromne młoty i pozabijali na głucho wrzeciądze. Postanowili nie wypuszczać ani wpuszczać nikogo, chcąc w ten sposób zapobiedz porównie nagłym podrywom rozpaczy od wewnątrz, jak i zapędom wściekłości od zewnątrz. Klasztor był sowicie zaopatrzony we wszystko. Poczyniwszy te środki ostrożności, mogli dworzanie urągać zarazie. Świat zewnętrzny niech sam ma staranie o sobie. Byłoby głupstwem trapić się i zastanawiać przed czasem. Toć książę pomyślał także o wszelakich rozrywkach. Byli więc tam trefnisie, improwizatorowie, tancerze i grajkowie — i piękne były tam kobiety i wino. Było w zamku wszystko, a na domiar zupełne bezpieczeństwo. Zewnątrz zaś był „czerwony mór“.

W piątym, czy szóstym miesiącu tego odosobienia, gdy poza obrębem zamkowych murów najwścieklej srożyła się zaraza, zaprosił książę Prospero swych tysiąc przyjaciół na niezwykle świetny bal maskowy.

Rozkosznem widowiskiem była ta maskarada. Lecz wprzód opowiem o komnatach, w których się odbywała. Było ich siedem — iście królewska amfilada! W innych pałacach, gdy podwoje na oścież są otwarte, tworzą takie amfilady długi i prosty szereg, to też jest łatwo przejrzeć je na przestrzał. Tutaj urządzenie było najzupełniej odmienne, co zresztą — znając upodobanie księcia do niezwykłości — łacno dawało się przewidzieć. Rozmieszczenie komnat było tak bezładne, iż nie więcej, niż jedną można było odrazu ogarnąć spojrzeniem. Co dwadzieścia lub trzydzieści łokci następował nagły zakręt, a za każdym zakrętem nowa czekała niespodzianka. W prawo i w lewo, pośrodku każdej ściany wąskie i wysokie okno gotyckie wychodziło na zamknięty krużganek, który podążał równolegle do zakrętów. Okna te były z kolorowego szkła, którego barwa dostrajała się do odcienia, górującego w urządzeniu komnaty. Jakoż wysunięta najdalej ku wschodowi miała obicie błękitne, okna zaś świetlisto-modre. W sprzętach i makatach następnej przeważała purpura, to też szyby były purpurowe. Trzecia była zielona i miała zielone okna. W czwartej urządzenie i oświetlenie mieniło się amarantem, w piątej bielą, w szóstej fioletem. Siódma komnata była wybita czarnym aksamitem, co przysłaniał cały jej strop i zwieszał się ze ścian, opadając w ciężkich fałdach na kobierzec z takiejż tkaniny i tej samej barwy. Atoli kolor jej okien nie zgadzał się z obiciami. Miała bowiem szyby szkarłatne o głębokim, krwawym nalocie. Wszelako w żadnej z tych siedmiu komnat śród mnóstwa złotych ozdób, rozsianych dokoła lub zwieszających się ze sklepień, nie było lampy ni świecznika. Światło lamp i świec nie znajdowało do nich przystępu; natomiast w krużgankach, co wiły się wzdłuż amfilady, ustawiono potężne trójnogi z gorejącemi panwiami, których promienie wnikały przez barwiste szyby i skrawymi blaski zatapiały komnaty. Udało się w ten sposób osiągnąć mnóstwo kraśnych i czarownych harmonij. Ale w zachodniej czyli czarnej komnacie łuna ognia, padająca przez krwawo zabarwione szyby na ponure obicia, wywoływała wrażenie wprost upiorne i taką grozą oblekała twarze, iż z całego towarzystwa odważali się tam wchodzić tylko nieliczni śmiałkowie.

W komnacie tej, pod zachodnią jej ścianą, stał olbrzymi, hebanowy zegar. Głucho, posępnie, jednostajnie tykotało wahadło jego w jedną i drugą stronę. Kiedy wszakże wskazówka kończyła swój obieg na tarczy i miała uderzyć godzina, wówczas z bronzowych płuc zegaru rozlegał się dźwięk głęboki, czysty, donośny i nadzwyczaj melodyjny, lecz tak dziwnie gędziebny i uroczysty, iż ze schyłkiem każdej godziny grajkowie orkiestry mimowolnie przestawali na chwilę rzępolić i zasłuchiwali się w dźwięki, bezwiednie zatrzymywali się w swych pląsach tancerze i przelotny niepokój rozradowane ogarniał towarzystwo. Jak długo rozebrzmiewało granie zegaru, najlekkomyślniejsi

bledli, starsi zaś i stateczniejsi podnosili rękę do czoła, jak gdyby w błędnej jakiejś zadumie, czy rozmarzeniu; lecz skoro tylko ostatnie zamierały pogłosy, płochy śmiech naraz przelatywał w tłumie, grajkowie spoglądali na siebie, uśmiechając się ze swego niedorzecznego zmieszania, i szeptem przyrzekali sobie, iż następny odzew nie wywoła już u nich takiego wrażenia; atoli po upływie sześćdziesięciu minut, (które mieszczą w sobie trzy tysiące sześćset sekund pierzchliwego czasu) granie zegaru odzywało się ponownie i ponownie następowało takie samo zadrganie i zaniepokojenie i taka sama następowała zaduma.

Pomimo to bawiono się wytwornie i ochoczo. Bo też książę niezwykłe posiadał upodobania. Miał subtelne poczucie barw i zestrojów. Lekceważył decora bezdusznej poprawności. Zamiary jego były zuchwałe i ogniste, a pomysły barbarzyńskim skrzyły się przepychem. Utrzymywano podobno, iż podlegał obłędowi. Towarzysze jego wiedzieli, iż tak nie było. Chcąc atoli się upewnić, trzeba było wejść z nim w styczność, słuchać go i nań patrzeć.

Od niego to przedewszystkiem, dla uświetnienia zabawy, wyszła myśl, by owe siedem komnat w ruchome przystroić opony, on też rozstrzygał przodowniczym swym smakiem o wyglądzie masek. Jakoż istotnie odznaczały się nieskiełznaną pomysłowością. Zachwycały strojnością i powabem, lekkim dowcipem i widziadlanem marzeniem. Były tam arabeskowe postacie, u których wszystko popadło w nieład: zarówno członki, jak powołanie. Były senne zjawy, jak gdyby poczęte z wyobraźni szaleńca. Było tam wiele piękna, wiele rozpasania, wiele cudactwa, nieco okropności, nie brakło nawet tego, co mogło wzbudzać niesmak. To też skroś owych siedmiu komnat falował bezlik snów. Sny te przewijały się z sali do sali, przyjmując od nich zabarwienie, huczna zaś muzyka orkiestry zdała się niby wtórem ich kroków. I oto rozlegały się uderzenia hebanowego zegaru, ustawionego w aksamitnej sali; i wszystko milkło i cichło w okamgnieniu okrom zegaru. Sny zastygały nieruchomo w miejscu. Lecz już zamierają dźwięcznej gędźby echa — toć trwały tylko chwilę — i polatuje za niemi płochy, nawpół stłumiony śmiech. I znów potężnie grzmi muzyka, sny ożywają i jeszcze rozkoszniejszym kołyszą się pląsem, pławiąc się w kolorach mnóstwa barwistych okien, przez które wpadają promienie trójnogów. Jeno do najdalej na zachód położonej komnaty wejść już nie waży się nikt: gdyż noc jest późna; i płomieniściej sączy się światło przez krwawo zabarwione szyby; i czerń posępnych opon przeraża; kto zaś swą stopę na czarnym postawi kobiercu, tego głuchy szmer hebanowego zegaru uroczystszą z pobliża przejmuje powagą, niż tych, co w odleglejszych zabawiają się komnatach.

Zato tem gęstsza w innych salach tłoczyła się ciżba i gorączkowo biło tętno życia. zapamiętale szalała orgia, aż na zegarze jęła bić północ. I jak już rzekłem, ucichła muzyka; i ustały taneczne pląsy; i znów zastygło w niepewności wszystko. Dwunastu wszelako uderzeniami zabrzmieć miał tym razem dzwon zegaru; i zdarzyło się oto, iż, więcej snadź mając czasu, rozważniejsi z biesiadników w głębszych pogrążyli się zadumach. I snadź z tej samej przyczyny zdarzyło się również, że nim zapadło w cichość ostatnie echo ostatniego dźwięku, wielu z obecnych miało sposobność dostrzedz jakąś zamaskowaną postać, której poprzednio nikt nie zauważył. Kiedy zaś wieść o niej wszędy już obiegła szeptem, wówczas śród całego towarzystwa podniósł się pomruk i wszczęło się sarkanie, w którem przejawiało się zrazu zdumienie i niezadowolenie — później lęk, groza i odraza.

Rzecz prosta, iż niepowszednie musiało być to zjawisko, skoro śród opisanego przeze mnie tłumu widziadeł takie wstrząsające wywarło wrażenie. Wprawdzie swoboda, z jaką tego wieczora obmyślano sobie maski, była prawie nieograniczona, atoli owa postać pozwoliła sobie za wiele i wyłamała się nawet z niezmiernie zresztą luźnych karbów godziwości, uznawanych jeszcze przez księcia. Nawet najlekkomyślniejsi mają w sercach struny, co drgają za dotknięciem. Nawet straceńcy, co szydzą zarówno ze życia, jak ze śmierci, mają rzeczy, z których szydzić nie wolno. Jakoż w całem towarzystwie głębokie nurtowało poczucie, iż nieznajomy w stroju i w zachowaniu się przebrał miarę przyzwoitości i dowcipu. Czechło grobowe upowijało od głowy do stóp postać jego wysoką i chudą. Miał na twarzy maskę, która z taką dokładnością odtwarzała zastygłe rysy trupa. iż najściślejsze badanie niezdolne było rozprószyć złudzenia. A jednak i to wszystko, bez oklasków wprawdzie, lecz bez oburzenia byłaby przyjęła hulaszcza zgraja. Lecz nieznajomy posunął się w swem zuchwalstwie, tak daleko, iż przybrał na się wygląd Czerwonego Moru. Szatę miał ubroczoną w krwi — zaś szerokie czoło i cała twarz jego usiana była szkarłatnemi znamiony.

Gdy oczy księcia Prospera padły na tę piekielną zjawę (co jakby w poczuciu swej roli snuła się śród tancerzy wolno i uroczyście) spostrzeżono, iż drgnął zrazu cały z obrzydzenia, czy grozy, lecz wnet potem skroń jego spłomieniła się gniewem.

— Kto śmie? — pytał chrypliwie stojących

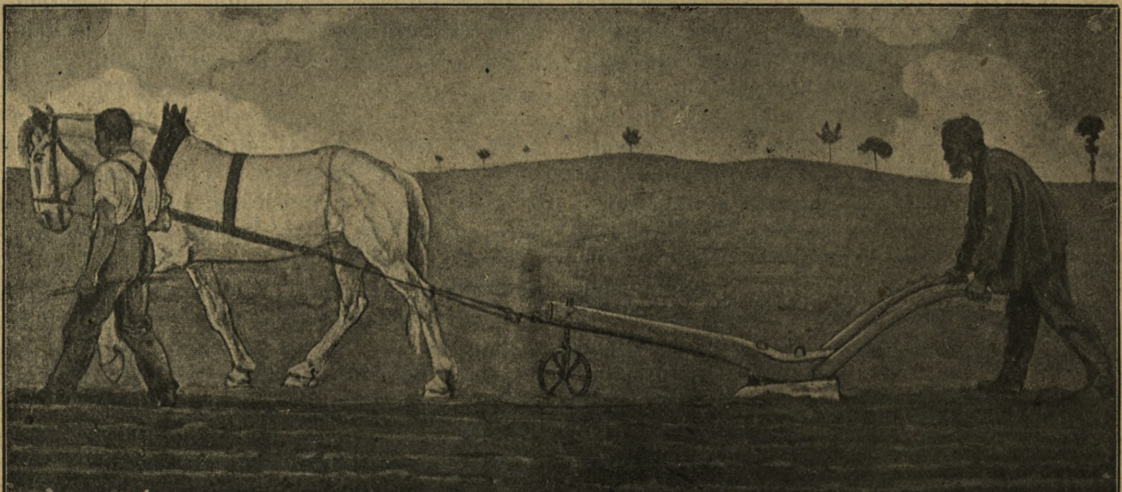
obok dworzan — kto śmie naigrywać się z nas tem bluźnierczem błazeństwem? Wziąć go i zedrzeć mu maskę, byśmy wiedzieli, co za człek z rozkazania naszego zawiśnie o świcie na blankach!

We wschodniej, czyli błękitnej sali stał książę Prospero wymawiając te słowa. Dźwięcznie, donośnie rozległy się one skroś siedmiu komnat — gdyż silnym i nieustraszonym był książę, a muzyka na skinienie jego ucichła.

W błękitnej komnacie stał książę śród gromadki pobladłych dworaków. Zrazu na wezwanie drgnęli oni z lekka w kierunku natręta, co znajdował się w tej chwili opodal i wolnym, posuwistym krokiem zbliżał się właśnie do mówcy. Atoli jakaś nienazwana groza, którą szalone zuchwalstwo nieznajomego w całem wznieciło towarzystwie, sprawiła, iż nikt na niego nie podniósł ręki; to też niewstrzymany przeszedł tuż obok księcia; a ponieważ ciżba, jakby na skinienie, ze środka komnat rozpierzchła się pod ściany, przeto tym samym, od początku sobie właściwym, uroczystym, miarowym krokiem szedł nieprzerwanie dalej z komnaty błękitnej do purpurowej — z purpurowej do zielonej — z zielonej do amarantowej — z tej zaś do białej — i zmierzał właśnie do fioletowej; kiedy wreszcie drgnęło postanowienie, by mu zastąpić drogę. Książę Prospero, szalony z wściekłości i sromu, iż właśnie na chwilę zawiodło go męstwo, rzucił się pędem i biegł przez komnaty, nie mając przy sobie nikogo, gdyż wszystkich innych śmiertelna ubezwładniła trwoga. Wysoko dzierżąc dobyty z pochwy sztylet, zbliżał się szybko i był już o trzy lub cztery kroki od uchodzącej mary, gdy ta, kresu aksamitnej dosięgnąwszy komnaty, odwróciła się nagle i stanęła oko w oko ze swym prześladowcą. Rozległ się przenikliwy krzyk — zalśnił sztylet, na czarny padając kobierzec, a zaraz potem, rażony śmiertelnie, powalił się książę Prospero. Z dziką odwagą rozpaczy biesiadnicy tłumnie do czarnej wtargnęli komnaty i pochwyciwszy zamaskowanego zuchwalca, którego wysoka postać prosto i nieruchomo w cieniu hebanowego widniała zegaru, struchleli z niewysłowionej grozy, bowiem trupia maska i gzła grobowe, które z taką srogą targali zaciekłością, kształtów dotykalnych nie zawierały wcale.

Poznali tedy obecność Czerwonego Moru. Przyszedł, jak złodziej w nocy. Jeden po drugim walili się z nóg biesiadnicy w krwią ubroczonych biesiady swej salach i marli rozpacznej postawy, przybranej podczas upadku, nie zdążywszy zmienić w chwili zgonu. Życie hebanowego zegaru uleciało wraz z tchnieniem ostatniego z wesołków. Płomienie trójnogów pogasły. Niepodzielnie zawładły wszystkiem Mór Czerwony, zgnilizna i ciemność.

Przełożył Stanisław Wyrzykowski.



BOSS: ORACZ.

EDWARD LESZCZYŃSKI.

ROZAURA.

(BALLADA)

Piękną była — snać — Helena,
którą zwabił ów lowelas,
trzód idyjskich pasterz — o nią
wojnę długą wiódł Menelas.

Piękną była boska Lais —
też Petrarki wspomnę Laurę,
lecz przysięgam, że piękniejszej
świat nie widział nad Rozaurę.

Na Lugarno we Florencyi
z matką żywot wiodła skromny;
kto ją ujrzał raz, ten potem
chodził w tłumie nieprzytomny.

Chodź z prostego ród jej stanu,
taki wdzięczny czar ją zdobił,
że z margrabiów, książąt, duków
niewolników jej sposobił.

I napróżno fiołkowe
przysłaniała rzęsą oczy,
bo za tysiąc starczył grotów
jeden promień ich uroczy.

Jeden promień, co się wymknął
bez namysłu, w dobrej wierze
ranił serca co najtwardsze
przez zbroice i puklerze.

A Rozaura ponad wszystko
ukochała swą dziewczęcą
czystość, dumę, przeto żadnych
sidła pokus jej nie nęcą.

Więc jak srogi mór naokół
obłęd szerzył się miłosny —
ów sam własne skrócił życie,
tego zgładził druch zazdrosny.

Z taką klęską nie szła ongi
rozwydrzonych furya Menad,
jak wdzięk tego dziecka cnoty —
aż uchwalił w końcu senat

florentyński, by woal gęsty
odtąd lice jej zacieniał.
Cóż?!.. gdy z chodu, z fali łona
żar złowieszczy w tłum promieniał.

Dwakroć stała już przed sądem,
lecz raz po raz sędzie miękną,
grzechu czarów tam nie widzą,
gdzie króluje boskie piękno.

Aż raz trzeci starców wyrok
nieszczęśliwą oddał katu,
by przez »poenam maleficii«
wreszcie spokój wrócić światu.

Lecz gdy kat jej spojrzał w lica
przepromienne, rzucił topór
i nie ważąc tknąć się pięknej,
oddał życie za swój opór.

Z tłumu zbirów i siepaczy
nikt żelaza się nie ima;
w końcu życiem ją obdarzył
wielkoduszny Piotr Cosima.

Krótką wszakże była radość
cnej Rozaury. W onym czasie
kazał książę dom Maryi
odbudować w świeżej krasie.

Malarz z Rzymu Frangipani,
do onego przyzwan dzieła,
gdy Rozaurę ujrzał w tłumie,
— już w nim miłość się poczęła.

Już go wino nie weseli,
ani druchów płoche figle;
w swej świątyni sam pracuje,
drzwi zawarłszy w niej na rygle.

Aż, gdy mijał dzień już trzeci,
przeczuwając los złowrogi,
kazał biskup drzwi wyłamać
i w świątynne wstąpił progi.

Spojrzał — zdumiał się — u szczytu
na krawędzi wątłej deski
klęczy młodzian — zatopiony
jak w modlitwie — a zaś freski

wszystkie mają twarz Rozaury,
bo od dołu aż do pował
mistrz w obłędzie Madonn twarze
jednym kształtem przemalował.

Uwięziono ją i jego
a mieszczanie i notable
i sąd cały orzekł zgodnie,
że w tem były sprawy dyable.

Przeto biskup konsekrował
zbeszczeszczony gmach świątyni.
Malarz wkrótce zmarł w obłędzie
a cudna winowajczyni

za dyabelskich czarów zbrodnię
popełnioną najwyraźniej,
miała żywot swój do końca
w najciaśniejszej spędzić kaźni.

Że zaś kara im jest sroższa,
temci pewniej grzech odkupi,
więc jej cudną twarz wtłoczono
w twardą maskę czaszki trupiej.

Długie lata tak nieszczęsna
przejęczała w doli łzawej;
aż jej wreszcie wolność wrócił
syn Cosimy przełaskawy.

Wolność wrócił jej, lecz ukaz
wielkodusznej księcia łaski
na jej licu już nie zatrze
przeokropnych śladów maski.

Bowiem kiedy sztuką żmudną
zdjęto z twarzy trupią larwę —
zgrozo! — twarz ta już straciła
ludzki wygląd, ludzką barwę.

Żywy odlew trupiej czaszki
patrzy wzrokiem upiornicy.
— Dopust boży! — więc do księcia
idą z wieścią tą strażnicy.

Książe śle ich do biskupa
a zaś mąż ten śmiały rzecze:
»Przed bożego klątwą ciosu
żaden grzesznik nie uciecze.

Pohańbiona pycha czarta,
w której żyła ta niewiasta,
zalotnica — istna zguba,
klęska, srom, zakała miasta.

Niech pokaże sama światu,
jak bóg karze zły uczynek;
więc otrąbić mi dziś jeszcze,
że ją będą wieść na rynek.

Książe wyrok ten pochwalił —
już tłum czeka niecierpliwy —
a Rozaura w swojej celi
tak się modli: »Sprawiedliwy

boże, ojcze wszelkich stworzeń!
ty wiesz przecie, że nikomu
nie życzyłam źle, więc nie daj,
bym szła dziś pod pręgierz sromu —

by mię sprośny tłum otoczył
jadowitych szyderstw kołem
i to piękno poniewierał,
co z liljami twemi społem

wzięłam ongi z rąk twych hojnych —
więc gdy szczęścia tu na świecie
już nie znajdę, ty miłościw
weź do siebie swoje dziecię!«

Tak modliła się w pokorze
a snać była bogu miła,
bo gdy przyszli wieść ją z celi,
cna Rozaura już nie żyła.

»Przecież nawet i umarła
służyć może ku przestrodze
i zaświadczyć, jak jej dumę
srogi Pan poniżył srodze«.

Tak pomyślał biskup światły
i zarządził, by w katedrze
wystawiono w trumnie zwłoki
a gdy ksiądz z nich całun zedrze,

wtedy on sam z kazalnicy
rzuci słowa piorunowe
i na postrach niewiast płochych
wskaże straszną zmarłej głowę.

Ledwie dzień następny świta,
nieprzebrana fala tłumu
z miasta, przedmieść, aż z Fiesole
do bożego płynie tumu.

W środku nawy stał katafalk
wywyższony ponad wiernych —
Dies irae już rozsiało
dźwięk przerażeń swych bezmiernych.

Więc już biskup we fioletach
ręką daje znak z ambony —
Cisza — wokół dech zamiera
w piersiach ciżby przerażonej.

Zaszeleściał kir złowieszczy
i osunął się z nad trumny —
i w tej chwili poprzez kościół
szmer zachwytu wionął tłumny —

biskup stał jak posąg z głazu
a w zamęcie już się tłoczy
rzesza ludu do tych stopni,
kędy cud ujrzały oczy.

Cud! — zaiste — bo te lica,
które odcisk maski skaził —
przeokropne jeszcze wczora —
dziś czar piękna przeobraził.

Wdzięk Madonny ekstatyczny
zastygł w słodkim półuśmiechu,
głosząc światu z lic promiennych,
że ich piękność jest bez grzechu.

— Że tej zmarłej los pokutny
już odkupił ziemskie skazy,
że najwyższy Mistrz piękności
nie dopuścił swej obrazy.

— O tym cudzie wieść się niosła
stujęzycznej famy głosem —
i sam książe się zadumał
nad Rozaury dziwnym losem.



AMIET: *ZNIKOMOŚĆ.*

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

14)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Pewna śliczna i sławna opowieść włoska, „Jak sen“ Barilli, czytana niegdyś jeszcze na dalekim Wschodzie czasu wczesnej młodości, opowieść ciszy i pokoju życia, wśród których, jak kwiat błękitny wśród szerokich zielonych liści, wykwita miłość — przywodziła się na myśl Piotrowi. A czasem aż w dzieciństwe czytana idylla „Robinsona Szwajcarskiego“... Piotr wiedział, że to musi się skończyć: i sześć tygodni snu z nieznajomą w małem miasteczku Barilli skończyły się bezpowrotnie, i młody Fryderyk spotkał statek po długich latach idylli rodzinnej na bezludnej wyspie, i cudowna samotność dzieci, rodziców i zwierząt, d o m u, zamknęła się, aby pozostać wieczną tęsknotą. W wygodnie i pięknie urządzonym pokoju, gdzie dywan gruby i puszysty głuszył kroki, w towarzystwie starego Ewarysta Donimunta, jego dwóch ukochanych kotów, białych wspaniałych angora Bim i Bam, w zażyłej z niemi przyjaźni będących dwóch małpozwierzy Fik i Mik i ich opiekuna wspólnego, potwornego, niesłychanie uprzejmego czarnobiałego buldoga Assurbanipala, wśród pięknych obrazów, rzeźb, mebli, roślin i kwiatów, żył Piotr jak w bajce, patrząc na park i na wschodzące od tamtej strony słońce wiosny. Zdaleka, ale wyraźnie, dochodził go często fortepian biegle i uczuciowo opanowany, czasem piękny głos kobiecy, czasem dwa w duecie, a niekiedy stary Doni-

munt brał gitarę hiszpańską i wyśpiewywał mu we wszystkich językach świata, zacząwszy od angielskiego, a kończąc na żargonie żydowskim, kuplety, piosnki ludowe, z wiedeńskich piwnic, z paryzkich zaułków, z petersburskich tingel-tanglów, w niesłychanie humorystyczny sposób i z nadzwyczajnym talentem naśladowczym.

Piotr poznał życie dostatnie i beztroskie, życie, którego całem zadaniem było szukanie przyjemności. Dowiadywał się, że byli goście, to znów Donimuntowie gdzieś jechali w gościnę. Ludzie żyli dla własnej satysfakcyi i cudzej. Poza tem nie żyli właściwie dla niczego.

Wszystko bowiem inne, o czem się dowiadywał, było tylko dodatkiem. I leczenie chłopstwa okolicznego przez panią Donimuntową i jej syna, i tajna nauka dzieci włościańskich pod patronatem panny Donimuntówny, i czynności patryotyczno-obywatelskie całej rodziny. Wszystko to się robiło bez akcentu z łaski swojej, w zbiorowem podobnie usposobionem kole, którego główną myślą i główną sprężyną było to, że hrabia nic nie robił.

Stary Ewaryst Donimunt nie mieszał się do niczego, lub mieszał się tylko w wyjątkowych wypadkach. W dalekim dziedzińcu stał osobno od wszelkich innych budynków duży dom, codziennie dwa albo trzy razy odwiedzany przez swego fundatora: to był szpital i przytułek dozgonny chorych i nieszczęśliwych zwierząt z okolicy, którym stary jegomość całą swoją weterynarską umiejętność poświęcał. Jedne leczył, inne, nieuleczalne, usypiał na wieczność łagodnemi środkami.

— Czy pan wiesz, co mam przedewszystkiem za to w nagrodę? — zapytał pewnego ranka Piotra.

— No?

— Szaloną nienawiść u chłopów, którzy uważają naprzód, że to jest obraza Boska, a potem, że powinienem te parę tysięcy rubli, które mnie to rocznie kosztuje, na ich potrzeby obrócić — i szyderstwo obywatelstwa, które mnie przezywa starym dziwakiem, czytaj: starym durniem. Jeden z popów wystąpił w tak straszliwy sposób przeciw mnie za bezrozumne i z ujmą ludzką marnotrawienie pieniędzy, że aż mu musiałem posłać parę safianowych pantofli, a w każdym pantoflu w palcach po sto rubli. Nie będę się panu chwalił, że nigdy nędza ludzka nie odeszła ode mnie z próżnemi rękami. Nieszczęście chciało, że religia żydowska zapomniała zupełnie o cnocie miłości i miłosierdzia dla zwierząt, a wszystkie religie, które z niej wyszły, jako jej reformy, w tem ją naśladowały,



WÜRTTEMBERGER: JOH. SEB. BACH.

jak Przesiewicz mnie, kiedy na mój wzór u siebie zwierzyniec zaprowadził.

Piotr uśmiechnął się.

— I ja też nie zostałem tu zaliczony do godnych miłości i miłosierdzia istot.

— Pan? Afera z panem jest u nas typową aferą. Ja rozumiem, że można nic nie robić, bo sam całe życie bąki zbijałem, ale u nas się nie szanuje ludzkiej wartości. Przyjechał inżynier, człowiek potrzebny, zdolny, poważny, — czy panowie Puchanowscy i Dzierzyńscy zastanowili się nad tem? Nie. Ich to nic nie obchodzi. Owszem, przeciwnie, im się wydaje, że tu właśnie można sobie pozwolić. Pański wypadek przypomina mi życie pewnego malarza w Genewie, gdzie ulokowany jest cały mój majątek w pewnem przedsiębiorstwie i gdzie wiele lat przeżyłem, którego przez dwadzieścia lat prowokowano i w oczy wykpiwano, ubijano poprostu, ażeby się dowiedzieć z Londynu, dokąd się nakoniec z Boską i ludzką pomocą prze-

niósł, że parafia Genewy rzucała się na jednego z pożytecznych ludzi. O tem, czem jest głupi człowiek, wie już nawet Assurbanipal. Wiesz?

Ogromny buldog, trącony lekko szpicem buta, otwarł oczy i z miłem spojrzeniem poprosił o pozostawienie go w spokoju na dywanie.

— Ciekawy jestem — mówił dalej stary Donimunt — czy w tym przyszłym świecie, tym, który po nas przyjdzie, będzie inaczej? A raczej nie jestem ciekawy, tylko jestem pewny, że będzie tak samo. Mały człowiek, nizki, pospolity, ten arogancki, bo taki jest zawsze arogancki, prostak Goethego z kpinami na ustach: oto jest nieszczęście świata, jego cholera, czy dyssynterya. Co do mnie osobiście mam się za lepszego: warunki dały mi możność zdobycia większej kultury — że byłem próżniak i pędziświat, to już na własną rękę. A pan co myśli począć po przyjściu do sił?

— Zostać.

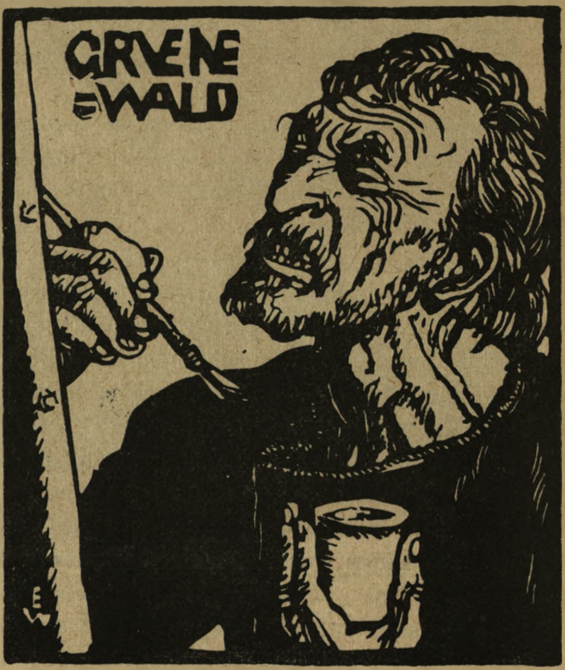
— Pomimo tego przejścia, które zresztą uczyniło panu reklamę, ale które panu nie posłuży na przyszłość?

— Tak. Człowiek nie powinien nigdy ustąpić, dopóki się nie przekona, że musi.

— Tak, to jest mądra i praktyczna zasada. Jeżeli jednak człowiek niemoże ustąpić, a musi, to ginie...

Piotr przyzwyczaił się do dźwięku fortepianu, który go dopływał. Bez objaśnienia wiedział on, że to Donimuntówna gra i przyzwyczaił się słuchać jej, myśleć o niej i wyobrażać ją sobie. Długie godziny nieraz biegły, podczas których, jak później spostrzegał, cała jego istota psychiczna wtapiała się w muzykę i w zjednoczoną, z nią kobietę grającą, tracąc wszystko inne z pamięci. Usiłował on myśli swoje przesłać na odległość i zdawało mu się, że oddziaływanie to daje się czuć w muzyce. Nawzajem wydawało mu się, że w muzyce tej drgają prądy osobiste kobiety grającej. Wyobrażał sobie spotykanie się, stykanie się i mijanie w drodze własnych tych wydzieleń siebie nakształt wędrujących w dwu przeciwnych kierunkach strzał świetlnych, jednych, kobiecych, krystalicznie szafirowych, drugich, męzkich, lśniąco-czerwonych. Jakoby odbywała się w starym domu podróż przeciwna świecących szafirów i płonących rubinów. To stykanie swej istoty z istotą Donimuntówny powoli poczęło go pochłaniać coraz więcej. Gdy przestawała grać, starał się rzucić jej promień rubinowy, któryby ją znów przyprowadził.

Gdy wyjechała czasem i fortepian milczał, obejmowała go pustka i chwytała tęsknota. „Jak sen“ Barilli, snuło się przez myśl i dźwięki fortepianu. Utwory kompozytorów przestały być ich dziełami, a stały się tylko symbolem słów. Piotr odróżniał dnie, usposobienia, intencye. Pojony by kobiecą treścią od szmeru warg, które niczego nie wymawiają i wcale nie mówią, aż do wybuchów spazmatycznej namiętności i szału. Te same ręce, które akompaniując Przesiewiczównie, dotykały klawiszów chłodno i spokojnie, rzucały z siebie kaskady uniesienia kiedyindziej. Piotr odgadywał, kiedy jest kto obecny w pokoju, albo nie. Czasem zdawało mu się, że wolą swoją oddziaływa na sposób gry, na wybór kompozycyi. Wydawało mu się, że może rzucić na fortepian kwiaty, zerwać je myślą w ogrodzie i myślą przenieść przez powietrze. Obcował z kobietą oddającą mu się w przestrzeni, poznawał ją i wchodził w nią. Z jej rozkoszy rodził się Euforion, boski geniusz dziecięcy, i wzlatał wspaniałym łukiem tęczy



WÜRTTEMBERGER: GRÜNWALD.

w wysokość, kształt prześwietlnego alabastru, niesionego wichrem. Jej ciało spoczywało w jego ramionach w widzeniu, przypominając ciało Ledy greckiej. Godziny całe czuł ją przy sobie, aby mu się oddała. Przeżywał romans myśli ludzkiej i muzyki, dwóch woli, które pokonywały rozdzielającą przestrzeń, dwóch energii życiowych, które usiłowały przewładać warunki, przeżywał romans tak zamknięty w sobie i tajemniczy, jak nigdy. Owo „Jak sen“ włoskiego pisarza, stało się rzeczywistem życiem snu.

Pewnego razu, gdy Piotr mógł już być wysuwany w fotelu na balkon, wydawało mu się, że w odległej alei kilka razy zajaśniała modra suknia, a potem wszedł Assurbanipal wielce niezadowolny i kichający z ogromnym pękiem pachnących mocno kwiatów zaplecionym koło obroży. Siadł on naprzeciw Piotra prosząc go bardzo widocznie małemi ciemnemi oczami o uwolnienie go od tej ozdoby. Piotr wiedział, że tych kwiatów nie zapłótł tam nikt, tylko Donimuntówna i że ona to bielała w alei.

Te kwiaty, wrażenie, powietrze, bezpośredni widok parku ożywiły i uradowały Piotra. Stary jego opiekun zauważył to.

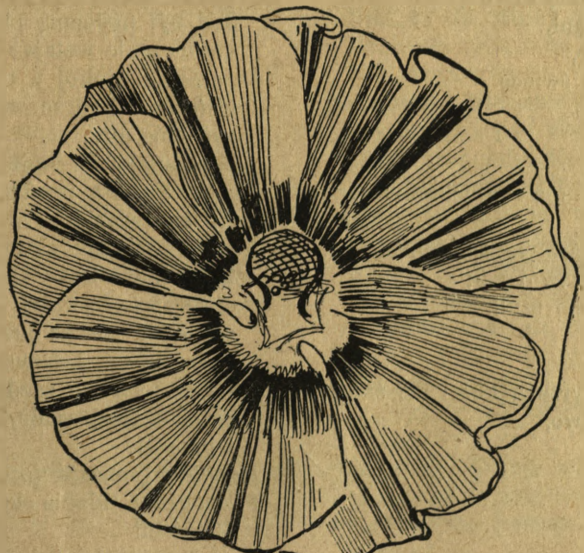
— Widzi pan, jak dobrze zrobiłem — mówił — rewanżując się panu za ocalenie Niny od tego draba, który nawiasem mówiąc przepadł gdzieś, bez słychu dychu. W tem powietrzu przyjdziesz pan dwa razy prędzej do siebie. Podług opinii lekarskiej w tych dniach będziesz pan już mógł ruszać się swobodnie i chodzić.

Gdy Piotr poraz pierwszy spotkał Donimuntównę, spojrzeli oni na siebie, jak dawni znajomi. Ich oczy, czuł to, zapromieniały kojarzącem się i łączącem światłem.

— Byłabym panu nieraz kwiatów posłała, każdy lubi kwiaty — mówiła — ale ja należę do tych staroświeckich posłusznych córek. Moja matka jest jedną z tak etykietalnych osób, że muszę się liczyć z sobą w najprostszych rzeczach.

Piotr widział to wyraźnie, że ta modro ubrana dziewczyna ma mu mnóstwo do powiedzenia, że za miarą jej słów, kryją się całe pasma przejawów instynktu; nawzajem ona pociągała go ku sobie teraz cała, jak była, od stóp do głów, a jej śliczny głos pętał go i przykuwał do niej. Ich rozmowy były krótkie i sztywne, ale spojrzenia i odchylenia ust Donimuntówny mówiły, co kobieta mężczyźnie powiedzieć może. Piotr począł wstępować w krainę czaru. Każde dotknięcie ręki stawało się wydarzeniem, epoką. Czuł, że krystaliczno szafirowa przędza przędzie się około niego i opanowywa go. Poddawał się temu. Nawzajem chciał owić własnym magnetyzmem, gdyż to stało się jego potrzebą.

D. c. n.



ST. WYSPIAŃSKI Z „ZIELNIKA“.

ANTONI GODZIEMBA-WYSOCKI.

KASZTELANKA.

(FRAGMENT Z DRAMATU).

W letni gwiaździsty wieczór, przed burzą, na gruzach polsko-gotyckiego zamku wśród lasu, zbierają się dawni zamku mieszkańcy. Nie są to ludzie żywi i nie duchy zmarłych, ale odblaski minionych kształtów i echa uczuć. Kanclerz i jeden z jego dworzan rozpatrują, jak we śnie — gdzie są? Są w zamku, lecz jakże innym, niż wówczas, gdy nań jeszcze swym ziemskim wzrokiem patrzyli. Tymczasem z ruin zamku woła do nich przeszłość i wzywa kanclerza do czynu.

Przeszłość, — ten cmentarz wołający.

AKT II.

Sala gotycko-polska w ruinach zamku. Naprzeciw widowni brak ściany. Widać wierzchołki drzew sosnowych i gwiaździste niebo. Na ziemi gruzy dwóch kamiennych słupów. Obok rosną chwasty i kilka krzaków jałowcu.

Scena VII.

Dworzanin. Kanclerz. (później) *Podstarości.*

Kanclerz. Istnienie to jakieś struchlałe,
wyrwane męce,
bieży ku nam,
niby miotane wichrem
zgaszone łuczywo smolne.
Podstarości. Krew mścicielka przeciekła ogniem [wieko trumny,
oczy wypieka, serce tłoczy.
Uciekam wciąż przed falą krwi!
W ucieczce bez przystani,
raz jako żagiew płonę,
to znów, jak próchno świecę.
Za winy niepopełnione
przeklętym jest,
i co dnia przeklinany.
Dworzanin. Nie skwiercz, nie znajdziesz w nas po- [słuchu.
Z cmentarza na cmentarz się schroniłeś.
Kanclerz. Niewypłakany twój żal;
ni ciemność, ni cisza cię utuli.
Czego chcesz?
Podstarości. Sprawiedliwości!
Rok rocznie ziemia wyrzuca kości me znużone.
Osamotniałe me tułactwo,
osamotniały ból,
i żal,
i srom.
Przez piekło i niebo
wzgardzonym jest i odepchniony.
Kanclerz. Czyjaż cię pomsta ściga?
Dworzanin. Czyja złość?
Kanclerz. Księżyc czy mnie nie zwodzi
bo już nie dojrzeć, —
spójrz ty, —
barwa, co zmorę tą okrywa,
będzie znajoma ci.
Wspomniane to choć na chwilę barwy tej drżenie
pamięć mą wstrząsa,
serce trwoży.
Dworzanin. W strzępach i pyle na nim znać,
widzę,
zieleń kabatu,
granat lam.
Oznaczyć łatwo, — czyj zwid.
Godło to zamkowej załogi go zdobiło
i barwa województwa.
To jest nasz człowiek panie.
Podstarości. W domu przemożnym tym,
gdzie teraz
lada szmer mnie tak zatrważa,
ongi,
lata długie wiodły mnie
w miłym trudzie.
Życie mi wtedy było syte,
znojne bez trosk.
A dzisiaj!
Imię zwalane w błocie,
z legendą krwawą społem,
wleką co noc,
siostrzyce jędze dwie,
zbrodnia i hańba.
Gorze mi!
Sąd był nademną obiecany, —
czemu mnie wołają?
Dworzanin. Pokój z tobą.
Podstarości. Sąd to ostatni miał być,
sąd obiecany.
Niedoczekanie moje.
Dworzanin. Na zamku tutaj twój pan sędzią.
Co życzysz?
Kanclerz. Duchu nieznany
Mów śmiało!
Podstarości. Dawniej, dawniej, —
wypełnić rozkaz pański,
radością mą i dumą serca było.
Łaski pańskiej zazdrościł mi też cały dwór,
wojsko zazdrościło,
i panowie.
Kanclerz (poznaje go) Andrzeju!
Podstarości. (kłania się do ziemi) Wasza Wysokość!
Cześć ci!
Kanclerz. Andrzeju! druhu stary!
Tyżeś to z nami
w tej losów poniewierce.

Podstarości. Kornie u twych stóp się ścielę,
żeś raczył panie wspomnieć sługę,
co o twe śpichrze
i o twe stajnie dbał.
Jam Andrzej był, na zamku podstarości.
Kanclerz. Witaj!
Dworzanin. Ha! Nie wstyd ci babskim lamentem się
Tyżeś jest ciuro, [łzawić?!
Tyś sam,
coś bywał zuch bez trwogi.
Podstarości. Prawda i to, żem jeszcze
dawnej pochwały pańskiej godny,
jam jest ów
zuch bez trwogi,
i bez sumienia.
Kanclerz. Powiernik byłeś mi najbliższy,
sługa pilny.
Podstarości. Wolejbym ci nie był służył panie.
Dworzanin. Co z tobą?
Podstarości. Wolejbym cię nie był nigdy słuchał.
Kanclerz. Czyż może kiedy skąpiłem ci nagrody?
Podstarości. Niestety!
W złoto i upominki
zanadto mi hojny byłeś panie.
Dlatego teraz, — biada mi!
Do dzisiaj baje okolica o krzywdzie onej wo-
do dzisiaj nocy owej krzyk [łającej,
po świcie między ludem
w plugawych szatach zbrodni
tuła się niepogrzebiony.
Kanclerz. Kogóż to straszysz?!
Podstarości. Niezapomniany mi
ów moment przedbojowy,
ostatni,
tutaj w zamku.
Za okopami już grały trąby
pobudkę wsiadanego,
a w dziedzińcu skrzyp wozów,
harmat łoskot głuchy,
i odzew komendy,
płoszyły z zamkowych wież
drzemiące gniazda kruków,
Kanclerz. I nie zwiodła
ona czarnego ptactwa wróżba zła, —
stało się!
Podstarości. Armii gotowej hetmanić panie miałeś
jechałeś w bój. [znowu, —
Kanclerz. Niezapomniana chwila,
ostatnia to wojna była moja,
już nie wróciłem w dom.
Podstarości. Wróciłeś, ale już w trumnie, —
po czasie.
Dłonie skalane moje jeszcze nie obeschły z tej
tu wytoczonej, w domu, [krwi,
Kanclerz. Coś uczynił?
Podstarości. Z twojego panie rozkazania.
Dworzanin. Pewnie to, kasztelanki Hanny miło-
dalszy wątek. [snych ceregieli

Kanclerz. Błachostki to jakieś domowe,
kochanie skryte, schadzki, —
wspominać szkoda.
Wiem, wiem, —
więc cóż?
Przerwałeś czułej pary gruchania?
Podstarości. Zabiłem gacha.
Kanclerz. Zabiłeś gacha tej panny? —
Spełniłeś zbrodnię.
Dworzanin. Zabiłeś?
Któż on kochanek był.
Kanclerz. Jak złodziej wszedł tu w mój dom,
włóczęga obcy, —
niema w tym czynie winy.
Podstarości. Przed świtem u kołatki komory,
gdzie panna pilnie, co dnia nad krosnem schylona,
wzory kościelne haftowała, —
czekałem.
Noc była głucha, jak dziś.
Dworzanin. I ciało zabitego wrzuciłeś z baszt do
[rzeki?
Podstarości (milczy).
Dworzanin. Bronił się?
Podstarości. Było nas więcej.
Dworzanin. A panna?
Podstarości. Z baszty tej samej,
tak, jak odziana była, w gieźle białem,
do rzeki za trupem skoczyła.
Kanclerz. Nie żyje!
Podstarości. W siedem dni wypłynęła topielica.
Kanclerz. Nie żyje Hanna!
Zbóju! Ty!
Dworzanin. Nie jego wina.
Kanclerz. Nie twoja,
nie moja wina.
Szał jej, występny szał ją zgubił,
Nikt tu nie winny złego.
Umywam ręce z tej krwi.
Nie twoja wina.
Podstarości. Nie moja wina, moja kara.
Jej skargi i pod ziemią mnie szukają,
uderzeniem sztyletów bodą,
rany me rozdzierają zadawnione.
Krew jej mnie pali ogniem piekła.
O panie! Ratuj sługę twego!
Skoro trąby archanielskie zatrąbią na sąd osta-
— świadectwo wobec sądu, [teczny,
— świadectwo za mną prawdy złóż.
Kanclerz. Ciężką mi nieraz była ziemia,
nieznane czemu, —
— Hanny tak mi ciężyła ręka martwa,
i krew.
Dworzanin. Zlecasz mi panie znaleść?
przyzwać tu samobójczynię młodą?
Kanclerz. Nie jeszcze.
Czekaj.
(Gwar za sceną).
Podstarości. Ulituj męce mej.

Kanclerz. Ufaj mi bracie...
Win spełnionych,
dzisiaj już niczyja wola nie odwoła.
Skruchy,
niczyje czucie nie wysłucha,
a czynu odległego,
już niczyj rozum nie zrozumie.
Podstarości. Krzyknij panie,
żem ja niewinny był.
Krzyknij,
żeby Bóg usłyszał.
Kanclerz. Próżna twa trwoga, próżny żal.
Głosu mego i echo nie powtórzy.
Noc nam panuje na wieki.
Nicość i noc.
Co tam za rozgwar na pokojach?
Dworzanin. Czy to nie skargi niewieście i lamenty?
Podstarości. Nie, panny tam niema.
Ona jeno nad rzeką się jawi.
(Słychać turkot).
Dworzanin. Tłum obcych mar.
Podstarości. To goście nasi.
Kanclerz. Goście?
Turkot jakowyś słychać od bram.
Dworzanin. To grzmoty.
Burza się nad zamkiem zbiera.
Podstarości. Jadą, jadą,
z różnych stron gości tak wiele,
że stajnie nie zmieszczą ich cugów.
Przez furtkę sadu, gdym się przekradał ku zam-
[kowi,
słyszałem, że straż na wałach hejnał grała,
na przybyłych pojazdów witanie.
Dworzanin. Z mostów spuszczonych
turkot niesie.
Konnica pędem obłąkańczym,
jazda zbrojna na majdan zamku się wali.
Podstarości. Nie jazda to,
ale gwardye pańskie,
i piękne kolasy w pocztach.
Tętnią też na moście zwodzonym
wozy, bryki.
(Turkot).
Kanclerz. I czyje znaki widziałeś?
Dworzanin. Obce?
Podstarości. Znaków nie sporo z dal rozeznać,
pocztowi mi znajomi,
Panowie i familianty,
sąsiedzi pańscy i wasale,
jakby na kulig zjeżdżali się hałaśnie.
A ja sromałem się też w sobie,
pewnie głodni, jak z drogi,
a niema czem stołów zastawić,
Jakaż im uczta,
jakaż im będzie ochota.
(Grzmoty przelatują nad zamkiem).
Dworzanin (wskazuje w głąb, w framugę drzwi).
Patrz!
Widni stąd na przestrzał sal.
Podstarości. Motyle polne!
Kanclerz. W bladawym mroku
motyli rój płomienistych się trzepoce.
(Gwar w sali wzrasta).
Dworzanin. Ogników szybkich chmura drży.
Podstarości. Dwór z nich wyroił się nasz,
Oficerowie wojsk i pazie.
Dworzanin. Widzę, widzę, —
w dawną się postać przemienili.
Kanclerz. Poznaję, tak, —
to oni,
wszyscy, jak byli, moi ludzie.
Dworzanin. Nadobnych dwórek koło,
Dokoła zgraja śmieszków, karłów.
W bawialnej komnacie
zbiera się, — cały dwór.
(Muzyka gra tarantelę).
Podstarości. Dwór cały, — kanclerskie sługi,
Kanclerz. Już oni mi nie sługi,
ale druchy,
druchy łaskawe mej niedoli.
Podstarości. Czy zapowiedzieć,
że wasza wysokość
wnet zejdzie na komnaty
Dworzanin. Oni tam czekają gospodarza.
Kanclerz. Robotę zacznę z nimi wnet,
porządki uczynię w spustoszeniu,
wesoła nas czeka praca.
Idź z pozdrowieniem, —
jeśli mi wierności dochowali,
idź z pozdrowieniem.
Dworzanin (kłania się i wychodzi).
(Dok. n.).



ANATOL FRANCE.

HISTORYA KURTYZANY VASAVADATTY I KUPCA UPAGUPTY.

Żyła w mieście Mathura, w Bengalu kurtyzana niezmiernej piękności imieniem Vasavadatta. Pewnego dnia ujrzała ona na ulicy młodego Upaguptę, syna bogatego kupca i zapłonęła doń w jednej chwili wielką miłością.

Posłała doń tedy służebnicę swoją z zawiadomieniem, że gdyby ją zechciał odwiedzić, przyjmie go z radością w domu swoim każdej chwili.

Ale Upagupta nie zjawił się. Był to młodzieniec czysty, słodki, pełen litości. Posiadał wielką mądrość, żył wedle przepisów zakonu i nakazów wielkiego Buddhy. Dlatego też wzgardził miłością tej kobiety.

Zdarzyło się niedługo potem, że Vasavadatta dopuściła się zbrodni wielkiej i skazaną została na obcięcie rąk, nóg, uszu i nosa.

Zaprowadzono ją na cmentarz podmiejski, dopełniono wyroku i pozostawiono nieszczęśliwą na miejscu kaźni.

Żyła jeszcze.

Służebnica, przywiązana do swej pani, usiadła przy niej i oganiała ją wachlarzem od much, aby mogła umrzeć spokojnie.

Nagle ujrzała zbliżającego się mężczyznę. Zdala rozpoznała, że nie jest to żaden ciekawy, żądny niezwykłego widowiska, ale człek nabożny, pełen skupienia modlitewnego i powagi.

Pacholę niosło parasol nad głową przybysza.

Poznawszy młodego Upaguptę, służebna pozbierała rozrzucone członki swej pani i przykryła je skromnie płaszczem.

Młodzieniec zbliżył się do Vasavadatty, stanął i patrzył w milczeniu na szczątki kobiety, która wczoraj jeszcze była miastu, jak perła morskiej głębinie.

Nieszczęśliwa poznała także ukochanego młodzieńca i wyszeptała konającym głosem:

— Upagupta! Drogi Upagupta! Kiedy ciało moje zdobne w złote manele, pierścienie i łańcuchy, otulone w przejrzyste, wonne tkaniny, słodkie i upojne było, by kwiat lotosu, napróżno wyglądałam twego oblicza, nieszczęśliwa! Nie chciałeś przybyć wonczas, kiedy budziłam pożądanie i byłam cudną czarą rozkoszy. Teraz zaś oto, kiedy shańbione me ciało, krwawym jest jeno ochłapem, budzącym wstręt i przerażenie, ty drogi przybywasz nagle? Powiedz, dlaczegoś to uczynił?

A Upagupta odparł głosem pełnym słodyczy i litości.

— Droga siostro Vasavadatto! Onych dni, kiedy byłaś piękną i pożądaną, oczy moje rozbłyśnione światłem niebiańskiem, jakie daje modlitwa skupienia pełna i zamyślenie, nie dały się obłąkać pozorom i widziały cię w dzisiejszej jeno postaci. Widziałem ciało twe i wiedziałem, iż jest pucharem jadu. Mówię ci to, droga siostro, abyś wiedziała, iż tamto było złudą jeno, a więc nic nie straciłaś w oczach moich. Przeto nie cierp, nie bolej, że minął czas radości i upojeń, w niepamięć puść poczwarny koszmar minionego życia twojego. Wiedz, iż wszystkie radości ziemi, są jak odbłysk księżycowego światła na fali. Nieszczęściem twem był nadmiar pożądania, żądza była twą kaźnią, przeto teraz przestań boleć i pożądać, stań się słodką i cichą, ukój duszę swoją, czyniąc ją Bogu podobną.

O, zaprawdę powiadam ci, nie dobrze jest pragnąć życia! Wola człowieka sprawia, iż trwa przy życiu na ziemi, przestań przeto pragnąć tej ziemi, poznawszy, iż życie jest złem ponad wszystko zło świata.

Kocham cię, siostro Vasavadatto, uwierz moim słowom i zechciej spocząć pó męce ziemi!

Kurtyzana usłyszawszy te słowa, poznała, iż głoszą prawdę. Duszę jej przeniknął spokój nieziemski, znikły wszystkie pożądania i nieszczęśliwa dotąd kobieta opuściła słodko i świątobliwie ten świat znikomy, będący samą jeno złudą, majakiem życia.

Przeł. Fr. M.

P R Z E G L Ą D

Z NOWYCH KSIĄŻEK.

Tadeusz Żuk-Skarszewski: Pustka, Opowieść na tle Kartaginy współczesnej.

Poznań 1918, Spółka wydawnicza „Ostoja".

Autor nazwał swoją rzecz „opowieścią" a nie „powieścią"; może chciał się tem jednem „o" zastrzedz przeciw zarzutom krytyków co do kompozycyi „Pustki". Czy przeto krytyk musi wypuścić



K. SICHULSKI PREZYDENT HUSSAREK.

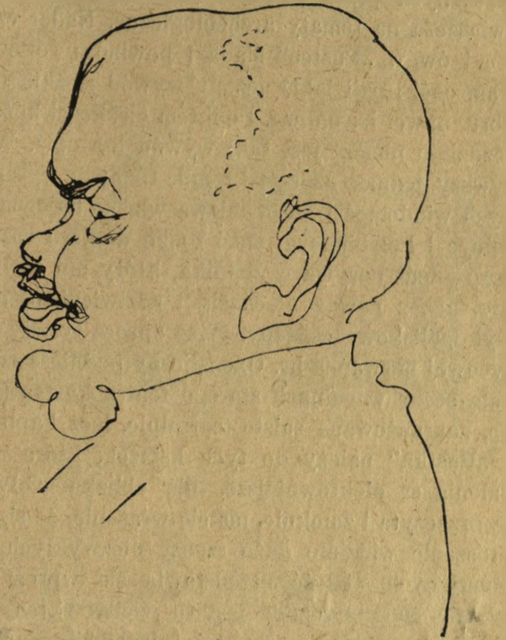
autora z obligu, to jest nie trzymać się tych nadziei, które autor raz po raz w nim wzbudza utartemi metodami powieści? Bo jeżeli kto maluje obszernie miejscowość, w tę miejscowość wstawia pewne postacie i również obszernie je określa, a potem wykonywa niemi pierwsze ruchy, mota między niemi jakieś nici — to zasada energetyki psychologicznej czy zasada stosunku między kosztami a plonem wymaga, żeby wątek rozwijał się, rozrastał i kulminował. W tej opowieści brak zupełnie pierwiastka dramatycznego. Także pierwiastek epicki, narracyjny jest słaby, przeważa nadmiernie opisowość i dydaktyka. Jestto pamiętnik autora z pobytu w Kartaginie współczesnej, zbiór notatek pejzażowych, archeologicznych, ludoznawczych i ludzioznawczych, przegradzany dygresyami powieściowemi.

Co prawda bardzo wiele powieści starszych i nowszych („Jan Krzysztof") obciążonych jest balastem różnych uczoności, obserwacyi ubocznych, i mają wartość mimo kompozycyi chaotycznej. Wyrobił się już nawet typ powieści o swobodnej fabule, i luźnych epizodach, dostrojonych jednak wewnętrznie do pewnego zasadniczego tonu, tak że mimo bezładności — zresztą zwykle nieumyślnej — zdają się posiadać pewną jednolitość. Takie powieści miewają już w tytule zapowiedź, że bohaterem będzie nie człowiek, lecz jakieś zjawisko pozaczłowiecze, a więc: Popioły, Płomienie, Wiry, Męty itp. Zapewne i „Pustkę" należałoby zaliczyć do tego typu. Wskazywałby na to ostatni rozdział, w którym jedna z osób opowieści zasiada na wzgórzu i patrząc na pustkę odbywa przegląd wypadków historycznych, które się tamtędy przewinęły, i w duchu przeciwstawia odwiecznie na tem miejscu osiadłych Berberów odradzającej się wciąż Kartaginie. W powieści pojawiają się zresztą — jako fragmenty dyalogu — i inne motywy na temat pustki, np. gdy powstaje kwestya, czy wolno niszczyć spokój umarłym. Wyobrażam sobie jednak, że także przeprowadzenie takich więcej ukrytych motywów wymaga pewnego rodzaju akcyi, choć bardzo osobliwej, któraby się rozwijała, odchylała i stopniowała, ale której ślady w tej opowieści rychło się zacierają.

Najwybitniej jeszcze zarysowuje się akcya, której podmiotem jest baronowa Rufos-Elissa. Jak niegdyś Elissa-Didona, królowa i bogini, ożywia-

ła tę pustkę, podniecając mężczyzn do działalności w różnych kierunkach kulturalnych, tak bohaterka „Pustki“ baronowa Rufos jest dobrym duchem poetów, wojskowych, malarzy, architektów, milionerów zakładających nowe osady. W tej więc postaci podają sobie niejako rękę przeszłość i teraźniejszość, podobnie, jak w pewnym dramacie Annunzia, rozgrywającym się wśród wykopalisk mykeńskich. Ale analogia do przeszłości jest przeprowadzona skąpo i dorywczo, tak, że wydaje się raczej dodatkiem, niż celem. Dopiero ku końcowi opowieści, gdy jej bezwynikowość wydaje się już przypieczętowaną, zrywa się autor do poetyckiego lotu, potrącając skrzydłami o dziedzinę fantastyki. Wynurza się narwaniec hr. Oxenstierna, który dotychczas nie grał prawie żadnej roli, budował tylko wysoki pomost, zwisający nad morzem w miejscu, gdzie przypuszczano istnienie grobowca Elissy. Gdy w oddali odbywa się uroczystość poświęcenia Hotelu Hazdrubala, on we wspaniałej sugestywnej przemowie tłómaczy baronowej znaczenie Elissy, jako Tanity, bogini księżyca, w nocy wywodzi ją na ów pomost, zawieszony w tajemniczem przestworzu, aby z nią odbyć cudowną wędrówkę, bo wyobraża sobie, że „księżyc da swym wybrańcom skrzydła... da taką moc, iż w twarz jego bolesną wpatrzeni pójdą na przełaj, pójdą po morzu, pójdą przez przestwór, pójdą jakby drogą bitą ku niemu, ku tajemnicy, ku światłu...“ Berberzy opowiadają potem, że oboje „sunęli powietrzem, szlakiem jasnym“, inni świadkowie mówią, że oboje wpadli w morze. Nadbiega milioner, rzuca się w morze, by ratować, ale wyławia tylko towarzysza baronowej, jej nie znajduje, a sam ginie. Uratowany narwaniec w obłędzie obstaje przy tem, że baronowa Elissa kroczyła spokojnie po szlaku srebrnym, odwróciła się raz jeszcze ku niemu i rzekła: „czekaj na mnie w Tyrze“.

Ten epizod jest znamienity, pozostaje jednak epizodem, przyczem jedna rzecz jest znamienna: po uwodzącej tyradzie obłąkańca, zasłona zapada, i otrzymujemy już tylko scenę ratowania zaginionych. Otóż jest to wprawdzie głównym sposobem opisywania rzeczy fantastycznych, że się je usuwa w cień, że się ich nie domawia, pozostawiając wolne pole dla gry wyobraźni, — lecz w „Pustce“ ta metoda przemienia się w jakieś kunktatorstwo: tam, gdzieby się można spodziewać walnej bitwy, naoczność zastępuje się krótką relacyą. I tak np. uczony archeolog, podniecony przez baronową, wybiera się na poszukiwanie grobowca tajemniczej Elissy, do jakiejś odkrytej studni, przyczem ginie zasypany przez Berberów, Hotel Hazdrubala rozpada się, — epizodów tych autor nie maluje, chociaż maluje mnóstwo innych nie interesujących ani nie należących do rzeczy scen i scenek, np. szacherki różnych oszustów i spekulantów. Lecz jeszcze drugą cechę warto zanotować z powodu tego epizodu z wędrówką z pomostu po smudze księżycowej. Przypuszczam, że jaki najnowszy poeta niezawahałby się przechylić owego zajścia stanowczo ku dziedzinie fantastyki, orzekłby na końcu:



K. SICHULSKI PREZYDENT HUSSAREK.

baronowa Rufos jest nie czem innem, jak wskrzeszoną Elissą-Didoną-Tanitą. Autor „Pustki“ postępuje tu dwulicowo: baronowa zachowuje wszystkie właściwości ziemskie, może być jednak uważana także za zjawisko nadzwyczajne, to co się z nią dzieje tłómaczy się równie dobrze logiką ziemską, jak mistyczną. Fakt, że autorem i głównym wykonawcą tej księżycowej boskiej komedyi jest hr. Oxenstierna, a baronowa jest stroną bierną, porwaną, nie porywającą, — świadczyłby nawet, że autor „Pustki“ w założeniu całego epizodu przechyla się raczej na stronę logiki ziemskiej. Tę różnicę metod formułuję nie jako „zarzut“, lecz dla scharakteryzowania niejako dwóch różnych światopoglądów poetyckich. P. Skarszewski, jako autor starszy, skłania się ku umiarkowaniu. Różnica jest mniej więcej taka, jak między rozprowadzonem porównaniem, które nie zaniedbuje słówka: „jakgdyby“, a skróconą przenośnią, wyrzucającą nawet przedmiot porównywany.

W książkach takich, jak „Pustka“, czytelnik

i krytyk są zdani przeważnie na szczegóły. Nie mogę przyznać szczegółom „Pustki" większej wartości literackiej. Opisy są wytworne, ale pedantyczne i nudne, drobiazgowa ich metoda sięga jeszcze dawnych czasów. Charakterystyka osób powierzchowna i stronnicza: względem jednych stosuje się protekcyę i pieszczotę, względem innych szykanę. Polot poetycki znajduję głównie tam, gdzieby najmniej można tego się spodziewać: w wygłaszanych przez postacie „Pustki" przemowach zwłaszcza na tematy archeologiczne. Nader często ten i ów w „Pustce" siada i powiada: opowiem wam coś! i pali jakiś uczony wywód ciężkiego kalibru, nawet baronowa. Punktem ciężkości każdego rozdziału niemal jest taki wywód lub opis. Wyłożywszy jednak na stół kramik różnych wyszperanych wiadomości autor miewa własne bajeczne intuicye i kombinacye; snać to go dopiero rozpala, jego zapał porywa czytelnika, który mu towarzyszy, acz z pewną niechęcią i zdziwieniem, na te wykopaliskowe wertepy. Więc oprócz tyrady księżycowej narwańca hr. Oxenstierny podnieść można całą scenę w ruinach starego teatru kartagińskiego, zaaranżowaną zaiste teatralnie, lecz kapitalną.

„Pustka" należy do tych książek, które z oddalenia są efektowniejsze, niż zblizka. Gdy się ją przeczyta i zamknie, ma się wrażenie, że się nieproszenie widziało dużo rzeczy niezwykłych, imponujących. Całość przedstawia się wprost masywnie, nagromadzona jest tu wielka praca, ukochanie, pogłębienie, zaparcie się siebie, artyzm, myślenie i lot; to wszystko nie chybia wrażenia, bo w świecie sztuki nie tak, jak w świecie rzeczywistym: mści się każdy błąd duszy, ale nie ginie też żadna energia i przeszczepia się dalej, choć nie bywa oficyalnie „kwitowaną". „Pustka" pisana jest też nieskazitelną, wytworną polszczyzną, bez ekstrawagancyi, lecz formowaną z widocznem rozmiłowaniem w tajemnicach ojczystego języka.

Władysław Bienin-Bielenin.

Złoty Królewicz, opowieść współczesna. Kraków 1918, skład w księgarni Krzyżanowskiego.

Jest to dramat w trzech aktach, który autorowi podobało się nazwać opowieścią, tak jak gdyby nie był pewny, czy dramatyczność tego dramatu nie przechodzi zbytnio w epickość. Rzecz dzieje się na wsi polskiej, bohaterką jest Marychna, dziewucha żywiołowa, przypominająca Jagnę z „Chłopów" Reymonta. Atmosfera chaty wiejskiej oddana jest bardzo pięknie, świeżo i zamaszyście, wytrzymuje konkurencyę z wzorami Wyspiańskiego i Reymonta. Przez otwarte okno widać ogród, zalatuje głos fujarki, zalotnicy podchodzą tędy, lecz Marychna wymyka się od zalotów, wyskakuje oknem, aby kędyś po polach szukać wymarzonego złotego królewicza. Raz,

„deszcz zaczyna padać, w pobliżu piorun w starą uderzył wierzbę. Marychna biegnie do okna, otwiera je szeroko — patrzy w sad — wyciąga ręce na deszcz, w dłonie chwyta duże krople, myje niemi twarz, szyję, piersi, pije deszczową wo-



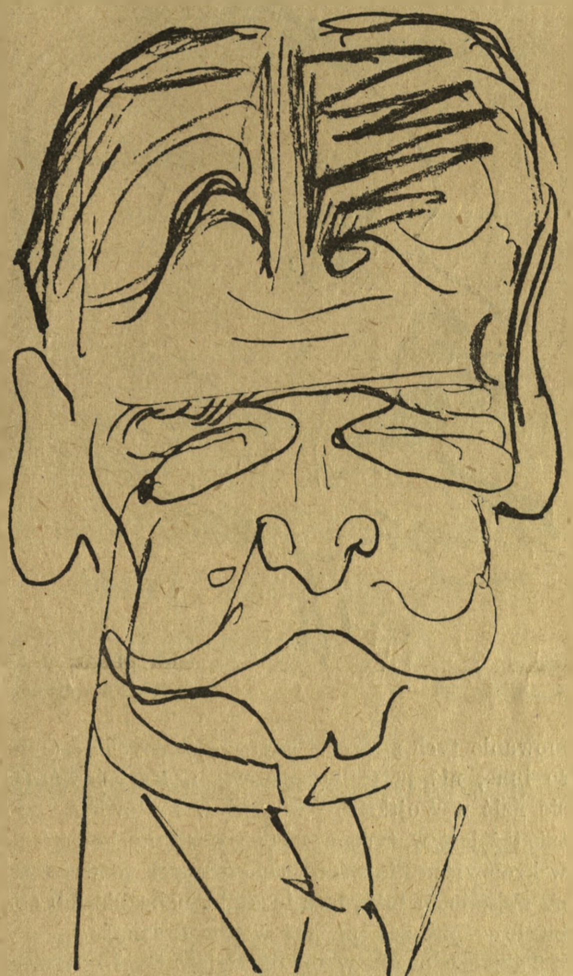
K. SICHULSKI — EKSC. WŁ. DŁUGOSZ.

dę namiętnie — cała oddaje się tej czynności, jakby się chciała spoić z żywiołową naturą, mało — zostaje w jednej koszuli, długiej, zgrzebnej — włosy zwolniła z warkoczów i oknem wybiegła do sadu. Widać ją, jak biegnie wśród deszczu — chwyta kwiaty, tuli je do siebie — przy drzewach staje, cisnąc się do nich ciałem. Wśród tego raz po raz wybucha głośnym śmiechem. Zniknęła w sadzie. Słychać jeszcze jej śmiech coraz się oddalający. Piorun uderzył w pobliżu i zaśmiała się Marychna i dwa te głosy zlały się w jeden potężny śmiech natury".

Wątpić można, by ten epizod wyszedł dobrze w dzisiejszym teatrze, zepsułaby go aktorka i re-

żyserya, a przecież trudno go nazwać epicznym. Autor wymienia słowo, które się już dawno niepojawiało w poezyi a przecież niegdyś było hasłem: „natura“. Trochę abstrakcyjnie występuje to hasło w „Złotym królewiczu“. Sama Marychna mówi „To nie grzech, — to natura woła“. Raz odwiedza ją nawet ów złoty królewicz, nazwany w dramacie „on“, i wyjaśnia swą rolę: „Co postąpiłem krok — w łonie matek życie się budziło. Przyszedłem i do ciebie“... — „Mów mi o sobie“ rzecze doń Marychna. Nieznajomy odpowiada: „Mówi za mnie sad. Mówią za mnie pola i zżęte łany i schnąca na łąkach trawa. Mówi o mnie Wojtkowe granie i Kubusiowa fujarka“. Jest to więc symbol natury, który komentuje sam siebie dość dokładnie, — jednak potem odchodzi z Marychną „na matuline łoże“ — ale jest to tylko fantom nierzeczywisty, który dziewczęta rozpala na wiosnę, aby przyspieszyć cele natury — zrealizowanie obejmują młodzi wieśniacy. A jest ich dwuch rywali: Bartek, bogaty chłop, wracający właśnie z urlopu, i Wojtek parobek posługujący w chacie rodziców Marysi, natura muzykalna, subtelniejsza. Marychna waha się między nimi. Zakochana jest rzekomo tylko w królewiczu, nie pogardza jednak tem, co na placu, i z początku sama prowokuje Wojtka, ten zaniedbuje jednak sposobności; później między Bartkiem a Wojtkiem przychodzi do bitki, jak między dwoma jeleniami o łanię, — łania-Marychna przypatruje się tej walce spokojnie, plotąc wianek z rutwicy. Bartek zwycięża, wyrzuca Wojtka za drzwi, i bierze Marychnę gwałtem, to jest niby gwałtem, bo gdy później Wojtek pyta ją, czy się wtedy oparła Bartkowi, ona milczy. Bartek wraca do wojska, a tu Marysia ma zostać matką, więc ją teraz rodzice chętnie oddają Wojtkowi, i znów tak, jak w pierwszym akcie odbywają się zrękowiny, ugoszczenia, przypijania. (To powtórzenie razi, bo nie towarzyszy mu wybitny kontrast). W tem wraca Bartek i rodzice a także Marychna znowu przechylają się na jego stronę, więc nowe zaręczyny, ale tymczasem Wojtek się wiesza — w kostyumie, w którym, zdaniem Marysi, podobnym był do złotego królewicza, tak, że dramat może się już na tem skończyć.

W ostatnim akcie wychodzi na jaw pewna bezradność autora w ułożeniu treści. Chciał on zwykłą chłopską historyę — zwykłą, ponieważ autor nie zdołał drastyczności zmienić na dramatyczność — połączyć jakoś z fantastyczną postacią królewicza, lecz połączenie to jest czysto mechaniczne; przynajmniej nie widać momentu, w którymby ów pierwiastek nadnaturalny sprzęgał się organicznie ze splotem wypadków realnych. Królewicz pojawić się mógł tak samo w akcie I., jak w akcie II. Jest on tylko dekoracyą. Gdybyż przynajmniej oddziałał na Marysię, jako ostatnia zachęta do porzucenia stanu dziewictwa, ale Marysia jest już zaraz od początku sztuki dojrzałym owocem, któ-



K. SICHULSKI POSEŁ GERMAN.

ry gotów przypaść pierwszemu lepszemu. Znaczenie tego królewicza, jako symbolu, jest dwoiste, a nie jest to wieloznaczność pochodząca z obfitości lecz z wahania, czy też z niedostatecznego uświadomienia. Królewicz miałby być symbolem zniewalającej natury, zmysłowości, — lecz jego drugą rolą jest to, że on właśnie także odwodzi Marysię od chłopców, budzi w niej niezwykłe ambicye, pogardę dla pospolitych zalotników, nieznane tęsknoty, raczej estetyczne i marzycielskie. Przypominamy sobie, że i Jagusia z „Chłopów“ Reymonta miała w sobie drugą naturę: artysty-

czną, umiała pokój swój ozdobić pięknie wycinankami. Ze zmysłowością niema to nic wspólnego; zmysłowość ma właśnie to do siebie, że się szybko lokalizuje i nasuwa marzenia konkretne, związane z realnemi osobami, a nie rozprasza się w tęsknotach nieokreślonych — chociaż zdawkowe pojmowanie tych sytuacyi psychologicznych jest może inne, niż ja tu przedstawiam. Marysia mogła się gzić z Wojtkiem i kochać w królewiczu — i tak też jest w tym dramacie, wszelako kochać się w królewiczu nie wśród samotniczych rozwiązłości na matulinem łożu, lecz idealnie, nabożnie lub ambitnie — tak zaś nie jest w tym dramacie.



K. SICHULSKI POSEŁ H. ŚLIWIŃSKI.

Tak, czy owak, w tej dziedzinie leżał właściwy problem, który autor mógł rozwiązać jakąś własną intuicyą. Tylko na próbę przytaczam następujące różne sposoby: Któryś z chłopców mógł udać owego złotego królewicza i w tej roli zdobyć Marysię, ku jej zadowoleniu — rozwiązanie takie, jak w pewnej noweli Boccacia, gdzie pyszna niewiasta kocha się w archaniele Gabryelu. Lub też mógł autor z dwóch zalotników (a raczej trzech, bo i pan wójt jest łasy) zrobić jednego, i przedstawić, jak jej marzycielstwo powoli konkretyzuje się w tym jednym, który natarczywością, zrazu nienawistną, lecz potem coraz bardziej pożądaną, usuwa nierealnego rywala. Albo mógł autor przedstawić to marzycielstwo w stanie beznadziejnego zacietrzewienia się, pogańskiego kultu zmysłowego dla fantomu; taka kobieta staje się w końcu *res nullius* i może paść ofiarą byle draba, z pośród wielu za biegających trafić na najgorszego. Taką *res nullius*, wydaną na łup, jest np. Ewa z „Dziejów grzechu“, gdy wpada w ręce Pochronia.

Autor miał, jak się zdaje plan taki, by opętańczy wpływ złotego królewicza podzielić między dwóch chłopców: bezceremonialnego Bartka, który występuje, jako wykonawca woli natury, i subtelniejszego Wojtka, w którym ratują się niejako wszystkie idealne resztki ze złotego królewicza, by razem z nim zginąć na powrozie. Wten sposób rzecz jest załatwiona i nawet zaokrąglona,choć nie przekonywuje. Ale i to, że tak powiem, rozdwojenie mógł autor przeprowadzić w sposób bardziej zdecydowany, mianowicie odrzucając trzeci akt, w którym podławe wahania się Marysi i jej rodziców, chwilowe poniżenie Wojtka i niespodziewany powrót Bartka, wcale nie posuwają głównej sprawy naprzód. Odpadłby wprawdzie przez to ważny ustęp o rozpoczynającem się macierzyństwie Marysi, ważny ze względu na to, że tu właśnie dokonywa się dzieło szafarza „natury“, królewicza: po wiośnie i lecie — jesień, po nieokiełznanym okresie przyciągań, odpychań okres owocu, obojętności i apatyi. To są jednak motywy raczej liryczne; dramat wymaga raczej, by samobójstwo Wojtka było bezpośredniej związane z sukcesem Bartka, ale wówczas i obydwu tych rywalów powinno się było inaczej skontrastować.

Powyższe deliberacye nie są zresztą pomyślane, jako „zarzuty“; ich zamiarem jest pokazać, z jakiego materyału jest zrobiona ta sztuka. Metodą moją jest wogóle najpierw badać i stwierdzać jakość tworzywa poetyckiego, potem dopiero roztrząsać rzecz, jak ja to nazywam „merytorycznie“, tzn. krytykować ideologię autora, treść i wyniki fabuły itd. W danym wypadku materyał wydaje mi się cennym i debiut autorski udałym. Dyalog jest nie wybredny ale jasny i energiczny, figury nie ciekawe ale postawione mocno, całość świeża. Poezya tej sztuki nie jest z pierwszej ręki, ale mimo to szczera. Rzecz powinna być wystawiona, choćby jej drastyczności miały wywołać skandal.

Osobiście ani talent p. Skarszewskiego, który należy do starszej generacyi, ani talent p. Bielenina, nie są mi sympatyczne. Nie czuję w nich pierwiastków rozwojowych. To zastrzeżenie musiałem dodać dla siebie, spełniwszy co do nich obowiązek objektywnej krytyki, który przypadł mi w udziale tylko przypadkowo a nie z wyboru.

Karol Irzykowski.

OD ADMINISTRACYI „MASEK"

Ze względu na uregulowanie nakładu prosimy uprzejmie o nadesłanie prenumeraty za bieżący (trzeci) kwartał.

Nowym P. T. Prenumeratorom możemy — jak długo jeszcze zapas starczy — odstąpić komplet zeszytów „Masek" od d. 1 stycznia b. r. ze zniżką 20%.

Niebawem w „Maskach" ukaże się cykl nowel tatrzańskich, które stanowić będą VIII tom „Skalnego Podhala" K. Tetmajera.

Administracya.

KRAKÓW · 20 · SIERPNIA · 1918 ZESZYT · 24

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI WILKOŁAK (Z RYSUNKÓW DO „LEGENDY").
(Ze zbiorów p. Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

STEFAN GRABIŃSKI.

PROBLEMAT CZELAWY.

Onegdaj popołudniu o zwykłej godzinie ordynacyjnej przyjąłem nową pacyentkę: zaszczyciła swą wizytą mnie, początkującego neurologa, pani Wanda Czelawa, żona powszechnie znanego profesora dr. S. W. Czelawy, który od szeregu już lat, zajmując katedrę filozofii w naszem mieście, zdobył sobie sławę wybitnego badacza z dziedziny psychopatologii.

Zjawienie się tej pięknej, dziwnie ujmującej słodyczą wyrazu kobiety, zdziwiło mnie niezmiernie. Nie mogłem zrazu pojąć, dlaczego nie zwróciła się po radę lekarską do męża, który wprawdzie w ostatnich czasach ograniczył się niemal wyłącznie do sfery teoretycznych dociekań, mimo to jednak niewątpliwie w tym wyjątkowym wypadku zrobiłby ustępstwo. Dopiero zwierzenia jej, pozostające w ścisłym związku z domniemaną chorobą nerwów, rzuciły nowe światło na pobudki tego kroku. Objawy towarzyszące rzekomej chorobie nosiły istotnie tak specyalny charakter, że pani Wanda nie tylko nie mogła, owszem nie powinna była szukać pomocy u męża.

Z właściwą kobietom subtelnością uczuć zrozumiała, że jakiekolwiek wynurzenia w tym kierunku niechybnieby go obraziły, dotykając boleśnie pewnych strun duszy. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie podczas pierwszej rozmowy; i ona bowiem, wyczytawszy w mych oczach zdumienie wywołane niespodziewaną wizytą, pośpieszyła niezwłocznie z wyjaśnieniem.

Co do mnie, sądziłem, że ewentualne rewelacye przed profesorem raczejby go zaniepokoiły, co do własnej osoby; odrazu wzbudziło się we mnie podejrzenie, że „chorobliwe symptomy", jakie pacyentka przypisywała sobie, należałoby poddać wprost przeciwnej oryentacyi i przenieść je na męża. Mimo głębokiego przekonania „chorej" powziąłem krańcowo odmienny pogląd na sprawę. — Lecz nie chcąc przed czasem niepokoić biednej kobiety, udałem, że „cierpienia" pojmuję w ten sam sposób, określając je poddanym mi przez nią szablonowym terminem, jako „lekki rozstrój nerwów, połączony ze sporadycznemi objawami halucynacyi wzrokowej". Naturalnie zaleciłem też odpowiednie zabiegi, nie omieszkując prosić o zdawanie mi sprawy od czasu do czasu z wyników kuracyi. Na tę niewinną mistyfikacyę pozwoliłem sobie bez szczególnych wyrzutów sumienia, gdyż w rzeczy samej chciałem zaradzić jeśli nie urojonej według mnie chorobie, to czemuś innemu, co prawdopodobnie kryło się poza tem.

Dziwnym bowiem zbiegiem wypadków parę dni przed konsultacyą zaobserwowałem coś, co zwróciło mą uwagę na profesora Czelawę.

Chociaż osobiście nie znaliśmy się dotąd, niejednokrotnie w czasie mych studyów uniwersyteckich słuchałem jego głębokich a oryginalnych wykładów. Mówił wtedy niemal wyłącznie o anormalnych zjawiskach z dziedziny chorób psychicznych. Gruntowna wiedza tego stosunkowo młodego uczonego połączona z genialną intuicyą w wyświetlaniu subtelnych i zawiłych problemów zdumiewała mię zawsze, budząc bezwzględny dlań szacunek i uwielbienie. Zaprawdę nieraz zastanawiałem się nad bogactwem zebranego przezeń materyału, który ujęty w szerokie, wolne od akademickiej pedanteryi ramy, tętnił gorącą krwią rzeczy osobiście przeżytych.

Gdzie i kiedy mógł ten człowiek obserwować te ponure objawy duszy ludzkiej, te nad wyraz przykre, czasem odrażające obrazy, z których bił odurzający czad obłąkań i zbrodniczości? — Oto pytania, które nasuwały się często podczas lekcyi profesora.

Potem, gdy stosunek mój z wszechnicą rozluźnił się, gdy zacząłem pracować samodzielnie, jako praktyk, zapomniałem o Czelawie i jego dziwnej erudycyi. Osobiście też nie zbliżyłem się doń ani razu i jestem niewzruszenie pewny, że nie znał mnie nawet z widzenia; wiecznie roztargniony, ciągle zajęty ukochanym przedmiotem, nie zwracał uwagi na słuchaczy i nieraz popełniał zabawne pomyłki co do nazwisk uczniów. Zresztą słuchałem go z amatorstwa raczej niż z konieczności, gdyż specyalny kierunek jego badań nie pozostawał w bezpośredniej styczności z memi studyami.

Dopiero tydzień temu przypadkowe spostrzeżenie zmusiło mię do skupienia uwagi na tym ciekawym człowieku.

Szczególnym zbiegiem okoliczności przed paru miesiącami sprowadził się Czelawa wraz z żoną do domu, w którym mieszkam już od roku. — Zajął cały mezanin, mieszkanie wspaniałe, urządzone z wyjątkowym przepychem i zbytkiem. Moje dwa pokoje znajdują się tuż nad nim na pierwszem piętrze i tylko dwukrotnie złamana linia schodów przedziela mnie od uczonego.

Dzięki niespodziewanemu sąsiedztwu odżyło zainteresowanie, które niegdyś we mnie budził; mimowoli też zajmowałem się nim więcej niż innymi lokatorami.

Wkrótce spostrzegłem, że tryb życia profesora

jest nader regularny; z nieubłaganą ścisłością po godzinie ósmej rano opuszczał mieszkanie i szedł na prelekcye, z których wróciwszy koło południa, znów koło trzeciej spieszył zapewne jak dawniej do laboratoryum; wieczory zwykle poświęcał żonie, spędzając czas w jej towarzystwie w sąsiedniej kawiarni lub na przechadzce; przed wieczorem był już Czelawa w domu i nigdy nie udało mi się zauważyć, by wracał późniejszą porą; zdaje się, że rozrywek nocnych i przedstawień teatralnych nie uznawał. Sądziłem, że życie w tak surowo przestrzeganych normach było dla młodej i pięknej kobiety, jak żona Czelawy, czasami nader przykre i wymagało dużo zaparcia się i rezygnacyi. A jednak pani Wanda zdawała się nie odczuwać zupełnie monotonii; twarz jej była zawsze pogodna, a ciemne fiołkowe oczy byszczały szczęściem, gdy wsparta na ramieniu męża przechadzała się po długich alejach miejskiego parku; i nieraz słyszałem w klatce schodowej jej metaliczny śmiech, gdy koło godziny pół do ósmej wieczorem razem wracali do domu.

Wkrótce potem światło w mieszkaniu Czelawy gasło i cały mezanin pogrążał się w bezwzględnej ciszy; profesor znać lubiał wczesny spoczynek.

Tak jednostajnie upływało zewnętrzne życie uczonego, nie przerywane odwiedzinami znajomych, nie mącone żadną dystrakcyą, żadnem choćby najlżejszem odstępstwem od codziennej reguły.

Dopiero tydzień temu, a trzy dni przed wizytą pani Wandy, zauważyłem pewien fakt, który przekonał mię, że albo obserwacya nie była dokładną, lub też zaszła jakaś zmiana w dotychczasowym trybie życia Czelawy.

Było to w ubiegły czwartek.

Znużony całodzienną pracą, zabawiłem tego wieczora nieco dłużej w amerykańskim barze i dopiero po dziesiątej w nocy udało mi się wymknąć z wesołego grona przyjaciół. — Czas był chłodny, deszcz lał strugami, nieznośny wiatr smagał nielitościwie. Z trudem brnąc po wodzie, dotarłem do domu i już miałem wejść do środka, gdy w tem drzwi wchodowe kamienicy otworzyły się i na progu ukazało się jakieś podejrzane indywiduum.

Spostrzegłszy mię, nieznajomy szybko nacisnął na czoło szeroki, czarny kapelusz i oddalił się lekko utykając, w kierunku miasta.

Stało się tak prędko, że nie zdołałem dokładniej przypatrzyć mu się mimo szczerej ku temu chęci; zdawało mi się bowiem, że nie bardzo był rad ze spotkania. Mimoto przez błyskawicznie krótką chwilę mogłem widzieć profil twarzy, który mi dał dużo do myślenia: miałem wrażenie, że wychodził z domu Czelawa. Niebawem jednak uznałem przypuszczenie za zbyt niedorzeczne; było zbyt ciemno, by módz rozeznać rysy, i wszelkie domysły w podobnych warunkach są nader ryzykowne. Zresztą strój nieznajomego bardzo zaniedbany, niemal nędzny wykluczał coś podobnego. Dziwiło tylko, że otworzył sobie bramę sam, gdyż słyszałem wyraźnie zgrzyt klucza; widocznie więc musiał to być jeden z mieszkańców, któremu gospodarz pozwolił klucz dorobić; z drugiej strony jednak zdziwił mię jego podupadły wygląd; jak na lokatora naszej kamienicy był stanowczo zanadto obdarty. Lecz koniec domysłom położyła coraz mocniejsza ulewa; przestałem oglądać się za znikającą na zakręcie ulicy postacią i korzystając z tego, że zagadkowy gość, czy współmieszkaniec drzwi za sobą w pośpiechu nie zamknął, wszedłem do wnętrza domu i wkrótce potem znalazłem się u siebie.

Nazajutrz rano serdecznie śmiałem się z wczorajszego spotkania i swoich przypuszczeń. I byłbym niezawodnie zapomniał o nocnej przygodzie, gdyby nie pojawienie się u mnie pani Czelawowej w trzy dni potem.

To, co wtedy od niej usłyszałem, zastanowiło mię nadzwyczajnie, naprowadzając na domysł, że może przecież niezupełnie się pomyliłem.

Pożegnawszy pacyentkę, jeszcze tej samej nocy zabrałem się do wyświetlenia sprawy. Wiedziony trafnem przeczuciem, że „cierpienia“ pani Wandy pozostają w pewnym związku z mojem rzekomem „przywidzeniem“, wyszedłem z pomieszkania tuż po dziesiątej na platformę schodową i przechylony przez balustradę czyhałem na korytarzu pierwszego piętra.

Oczekiwanie nie zawiodło. Gdy już pogasły światła, usłyszałem pod sobą na wysokości mezaninu ciche skrzypnięcie drzwi i ostrożnie skradające się kroki: ktoś schodził po schodach w dół. Korzystając z szelestu, jaki mimo wszystko wywoływał ten oględny chód, i ja zeszedłem powoli na dół, by tu zobaczyć rysującą się na tle szyb bramy wchodowej ciemną sylwetę mężczyzny; nie ulegało wątpliwości — było to tosamo wydarte indywiduum z przed tygodnia.

Otworzył sobie kluczem drzwi i zatrzymał się na chwilę u wejścia, pilnie coś przeglądając na dłoni. Cichy dźwięk metalu przesuwanego palcami ułatwił oryentacyę: przeliczał pieniądze na wychodnem.

W tem jakby nie dowierzając oczom, podniósł monetę pod światło i odchyliwszy głowę wstecz, badał jej wartość. Skutkiem tego twarz znalazła się w promieniu światła gazowej latarni tuż obok domu i wtedy nabrałem przekonania, że nieznajomym jest Czelawa lub

też ktoś łudząco podobny. Na razie mi to wystarczyło i zawróciłem na górę. Tu wyciągnąwszy się wygodnie na sofie, zacząłem analizować ciemną jeszcze dla mnie sprawę.

A zatem — profesor czy jego fizyczny sobowtór wymyka się nocami z domu w sposób tajemniczy, ukradkowy i widocznie wcale nie życzy sobie, by go po drodze spotkano. Może czynił to już i przedtem od szeregu miesięcy, lat i dopiero przypadek zdradził mi jego wycieczki?

Lecz w jakim celu i dlaczego w tak lichym stroju?

Atoli właśnie to przebranie stanowiło punkt łączny ze zwierzeniami jego żony i skłoniło mię do stwierdzenia tożsamości nocnego włóczęgi z Czelawą. Bo oto, czego dowiedziałem się podczas pierwszej konsultacyi z ust profesowej.

— Od pewnego czasu — mówiła znękana kobieta — ulegam przykrej nad wyraz halucynacyi, którą muszę przypisać moim chorym nerwom. W ubiegłą środę położyłam się, jak zwykle, wcześniej na spoczynek, lecz nie mogłam zasnąć mimo wysiłków. Noc była jasna i księżycowe światło padało do sypialni pełnemi strugami. Już chciałam wstać, by zapuścić ruletę, gdy w tem drzwi od pracowni cicho otworzyły się i nademną pochyliła się jakaś postać. Krzyknęłam instynktowo, szukając ręki śpiącego na sąsiedniem łóżku męża. Znalazłam ją trupio zimną, jak zwykle u niego podczas snu— lecz Stach nie obudził się. Tymczasem nieznajomy odwrócił się twarzą ku światłu i wtedy z bezgranicznem przerażeniem spostrzegłam, że człowiekiem stojącym w nogach mego łóżka jest mąż w dziwnie zniszczonem ubraniu. Patrzył na mnie wzrokiem, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam: był w nim ohydny cynizm i lubieżność.

Jak sparaliżowana nie mogłam dźwignąć się z łóżka i odpędzić wizyi. Wreszcie z ciągle tym samym zwierzęco-namiętnym uśmiechem na ustach cofnął się w głąb pokoju i zczezł z powrotem w gabinecie. Po paru minutach usłyszałam, jak ktoś otwierał drzwi od pracowni, w której zniknął, i wychodził na korytarz. Potem wszystko ucichło...

Przez cały czas bez przerwy trzymałam kurczowo ściskając rękę męża; spał snem kamiennym. Gdy widmo rozwiało się, zapaliłam lampę, by przekonać się, że Stach spoczywa rozebrany tuż obok w głębokiem jak zwykle uśpieniu. To właśnie umocniło mnie w przekonaniu, że to, co widziałam i słyszałam, było chorobliwą halucynacyą nerwów. Od owej nocy powtórzyło się to samo jeszcze dwa razy i z nieopisanym strachem oczekuję codziennie chwili zbliżania się nocnego spoczynku.

— Czy zwierzyła się pani z tem mężowi? — zapytałem, gdy przestała opowiadać.

— Nie, jakaś szczególna trwoga wstrzymuje mię od tego kroku. Gdyby przedmiotem halucynacyi był kto inny, nie on właśnie... pan rozumie?

— Tak — łaskawa pani ma najzupełniejszą racyę. Nie trzeba mu o tem mówić; właśnie dlatego. Wyjątkowa sytuacya... W tej sprawie jesteśmy zdani wyłącznie na własną pomoc; nie można go wtajemniczać.

I tu zaleciłem parę nic nie znaczących środków lekarskich na uspokojenie nerwów, prosząc na wypadek powtórzenia się „wizyi" o bezzwłoczną relacyę.

O ile zrazu żywiłem jeszcze pewne wątpliwości co do stanu nerwów pani Czelawowej, przypisując choć w części ich rozstrojowi „zmorę" nocną, teraz nabrałem przekonania, że niema tu mowy o jakiejś chorobie: „halucynacya" ustępowała stanowczo miejsca zagadkowej rzeczywistości. — Wszystko było faktem bez wątpienia dziwnym, niemniej jednak realnym.

Z takiego ujęcia rzeczy wyniknął tajemniczy wniosek: należało przyjąć bezwarunkowo obok osoby profesora Stanisława Władysława Czelawy istnienie drugiego osobnika zupełnie doń podobnego, który zdradzał wyraźną skłonność płciową ku jego żonie. Właśnie ten objaw natury seksualnej zaobserwowany odrazu przez nią nie pozwalał na inną hypotezę. Mimochodem uczyniona wzmianka o niezwykle twardym śnie męża i lodowo zimnych „jak zwykle u niego podczas snu" rękach początkowo zdezoryentowała mię i chwilami myślałem, czy przypadkiem nie wchodzi tu w grę coś w rodzaju duchowego sobowtóra, czyli t. zw. dwojnika. — Lecz po głębszej rozwadze odrzuciłem to tłumaczenie, jako zbyt fantastyczne i niezgodne z poglądami lekarza. Jakoż przyszłość wykazała, że miałem słuszność.

Chodziło tylko o stosunek, jaki łączył profesora z jego sobowtórem fizycznym. Nasuwało się pytanie, czy wogóle wiedział o jego istnieniu, a jeśli wiedział, dlaczego nie starał się przeszkodzić niebezpiecznemu zbliżeniu.

Wszystkie te kwestye jednak mogłem rozwiązać tylko przy pomocy jego żony, której dłużej nie należało wprowadzać w błąd; owszem obowiązkiem mym było wyjawić swe podejrzenia i skłonić ją do współpracy nad rozwikłaniem tajemnicy.

Dlatego z niecierpliwością oczekiwałem jej przybycia.

Nastąpiło niebawem, bo w dzień po stwierdzeniu wycieczek „sobowtóra".

Profesorowa przyszła jeszcze bardziej niż poprzednio zdenerwowana: „halucynacya" pow-

tórzyła się znowu ubiegłej nocy, przybierając formę tem groźniejszą, że wzrok „męża“ stał się natarczywszym.

Widząc, że biedna kobieta uważa się za poważnie chorą, bezzwłocznie powiedziałem, co myślę o rzekomej wizyi. Sąd mój oparty na dwukrotnej obserwacyi zrobił ogromne wrażenie.

— Ależ panie doktorze — mówiła zmienionym od przerażenia głosem — coś podobnego byłoby okropnem. Istnienie sobowtóra z krwi i kości, wnęcającego się nie wiadomo jak do domu człowieka, który fatalnym przypadkiem jest doń łudząco podobny, byłoby rzeczą potworną. — Zaklinam pana na wszystko — proszę mi nie taić prawdy; widząc, jak zaniepokojona jestem stanem mych nerwów, zapewne chciał pan zasugestyonować moje obawy, przesuwając właściwe przyczyny zjawiska na coś innego. Lecz środek zawiódł. Wszak widzi pan, że przestrach mój, gdybym nawet wzięła pańską interpretacyę za dobrą monetę, zmieni tylko pobudki, nie tracąc mimo to nic na swej sile.

— Niestety, łaskawa pani — nic na to nie poradzę. To, co powiedziałem, jest mem najgłębszem przekonaniem. Człowiek taki według mnie istnieje. Mówiłem szczerą prawdę. Jeśli zaś dotąd nie zawiadomiłem odnośnych władz, stało się tylko przez wzgląd na osobę męża pani.

Słowa moje, wypowiedziane spokojnie, tonem niekłamanego przekonania, zachwiały znać wątpliwości pani Wandy. Oparła zamyślone czoło na ręce, spoglądając na mnie wzrokiem zlęknionego ptaka.

— Doktorze — zapytała po chwili milczenia — wyrażasz się pan zagadkowo. — Co rozumiesz pan przez owe względy, które wstrzymują go od rewelacyi publicznej?

— A któż nam zaręczy, czy profesor istotnie nie wie nic o istnieniu tego człowieka?

— Jakto?! — żachnęła się gwałtownie — przypuszcza pan, że pozwoliłby na to, co się dzieje?

— Nie wiem, nic nie wiem, łaskawa pani. Są tylko domysły, niepewne supozycye. Sądzę jednak, że w życiu męża jest jakaś tajemnica, której nikomu, nawet pani nie może, czy nie chce wyjawić. Nie zapominajmy, że jest uczonym. Lecz jeśli już mam skutecznie zająć się tą ciemną sprawą, muszę zadać parę zasadniczych pytań: Będą może zbyt niedyskretne, lecz uważam je za konieczne. Zresztą proszę pamiętać, że jestem lekarzem.

— Słucham pana, doktorze.

— O której państwo udają się na spoczynek?

— Mąż punktualnie o ósmej wieczorem. Ja, o ile nie jestem znużoną, czytam jeszcze przez godzinę. O dziewiątej bywam już w łóżku.

— O której wstaje mąż?

— Punktualnie o ósmej rano. Ja zwykle wstaję wcześniej, koło siódmej, by przygotować śniadanie.

— Czy nie odstąpili państwo kiedy od tej reguły?

— Od czasu dziesięcioletniego małżeństwa ani razu; pod tym względem Stach jest nieubłagany.

— Hm... Czy nie zastanawia trochę ta nieugięta niczem punktualność!? Równo 12 godzin snu i znów 12 godzin stanu jawy.

— Istotnie w pierwszych latach naszego pożycia było mi trochę trudno nagiąć się do tego trybu, lecz z czasem przyzwyczaiłam się.

— Wspomniała pani, że ręce męża podczas snu są zwykle lodowo zimne. Czy nie dostrzegła pani innych jeszcze objawów

Ostatnie pytanie było widocznie bardzo niemiłe, przypominając coś, o czemby się chciało zapomnieć.

Po chwili wahania odpowiedziała:

— Rzeczywiście mąż mój w uśpieniu sprawia dziwnie przykre wrażenie. Przez całą noc ani na chwilę się nie budzi, i wygląda jak martwy; ciało jest przerażająco zimne, nie słychać oddechu, serce przestaje uderzać.

Pamiętam okropną noc, gdy to po raz pierwszy zauważyłam. Myślałam, że nagle umarł. Moje rozpaczliwe wołania o pomoc zbudziły sąsiadów; natychmiast wezwany lekarz okazał się bezradnym i stwierdził śmierć. — Może pan wyobrazić sobie moją radość, przestrach i zdumienie, gdy równo z godziną ósmą rano mąż podniósł się z posłania zdrów i rześki, jak zwykle. — Lecz i do tego przyzwyczaiłam się powoli.

Słuchałem jej zwierzeń ze wzrastającem ciągle zajęciem. C. d. n.

Z NOWSZEJ POEZYI WŁOSKIEJ.



G. MARRATI.

Z CYKLU „RAPSODIE GARIBALDINE".

ŚMIERĆ ANITY.

V.

Anita kona. Główka ciemnowłosa,
co się tak hardo niosła w gradzie kul,
dziś jak kwiat zwiędły, który zżęła kosa

leży bezwładna — usta ściął jej ból
i gasną oczy, w twarzy coraz bladszej
...lecz wciąż na swego bohatera patrzy.

Mgła łez przyćmiła źrenic blask promienny.
Cisza — za oknem mrok zapada senny,
czarny i smutny stoi las Rawenny.

Na Ave Maria bije z wieży dzwon;
jakby łkającej duszy pożegnanie,
płacze w powietrzu jego srebrny ton.

Anita kona — lecz raz jeszcze wstanie;
lica jej płoną, oczy toczą w krąg:
jawi się duszy młodych lat zaranie —

O! stepy bujne, trawy jasnych łąk,
gdzie źrebce złote jeść jej szły do rąk,
gdzie po raz pierwszy zjawił jej się On:

Wódz jasnowłosy, co od słońca jaśniej
olśnił jej oczy, jak królewicz z baśni,
aż poszła za nim — na życie i skon!

Gdzie jest? uboga chata, białe ściany,
sami są, dwoje — jak za pierwszych lat...
i przytulona do piersi kochanej

Anity głowa opada jak kwiat.
Nad czarnym lasem gaśnie pas różany,
w liliowych zmierzchach złoty zachód zbladł

i na kolana pada wódz-banita,
boleści swojej już nie kładąc tam:
„Anita!" — woła — „Anita! Anita!" —

Już jej nie zwołasz od wieczności bram —
nad Adryatykiem pierwsza gwiazda świta —
O płacz Lwie serce! już żeś został sam.



*) Pierwsza żona Garibaldie'go, zmarła z trudów w czasie słynnego „Odwrotu".



A M I C I S.

Quando il pensiere di morir mi accese...

Gdy mi się kiedy myśl o śmierci roi,
to zawsze widzę: piemonckie gdzieś błonie,
Alpy śnieżyste hen na nieboskłonie,
sztandarów furkot słyszę i chrzęst zbroi.

Widzę: przed nami wróg odwieczny stoi,
odwieczna krzywda porachunku czeka,
a wojsko płynie, płynie niby rzeka,
na wielką wojnę idą bracia moi.

Bitwa — zwycięstwo. Tryumfalną wrzawę
podnoszą pułki zmęczone i krwawe,
pieśń bije w niebo, jak tryumfu dzwon.

Takbym chciał zginąć — na łąki kobiercu
w obliczu śnieżnych Alp — o błogi skon!
Z słońcem na czole paść — i z kulą w sercu.

GIOVANNI PASCOLI.

Z poematu: „Mazzini".

KATEGORYCZNY IMPERATYW.

Idź i walcz. Życie jeden wielki bój.
A każdy człowiek jeśli nie swój los,
To zawżdy w sercu niesie sztandar swój.

* * *

Czy śmiech tryumfu sądzon ci czy płacz,
Jaką bądź broń twa, duch czy władna pięść,
Czyś wódz czy żołnierz, czynem krok swój znacz.

Bo kiedy domu buduje się zrąb,
We wielkim dziele każdy ma swą część,
Czy kamień polny, czy podniebny dąb.

* * *

Idź i walcz. Ziemską miarą nie mierz sił,
Ani nie pytaj, jaki kres twych dróg,
Ani się nigdy nie oglądaj w tył.

Walcz i idź naprzód, gdy każę ja, Bóg.
I co uczynić przykazano, czyń!
A gdy ci ginąć przykazano, giń!

Przełożyła K. Firlej-Bielańska.



RYS. ST. WYSPIAŃSKI.



VLASTIMIL HOFMANN *MADONNA*

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

15)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Rozpoczął się dla Piotra drugi okres życia „Jak sen". Przedewszystkiem życie to odepchnęło z myśli wszelką celowość. Godzina przeradzała się w godzinę, podobna do przesypującego się piasku w zegarze starożytnym. Szła jedna za drugą, niosąc ze sobą rzecz, która je wypełniała w całości: czar kobiecy.

Piotr nieżył niczem innem. Wszystka jego uwaga skupiona była na tym jednym przedmiocie. Uczucie namiętności przeniknęło go i wypaliło w nim resztę człowieka. Jego spływanie się z Donimuntówną w wyobraźni w falach muzyki w przestrzeni, przeszło w formę plastyczną bezpośredniego uczucia, działającego przez oczy. Za każdem spotkaniem się dwie ich istoty łączyły się z sobą w jedno i wychodziły poza obręb rzeczywistości.

Piotr nie zastanawiał się, co będzie. Nie słyszał, co mówiono i nie widział, co robiono. Wymiana słów, zawsze wobec osób trzecich, była nic nie znacząca. Nic nie mógł Donimuntównie powiedzieć i nic od niej usłyszeć.

To mu tłómaczono często, a akcentowała to równie pani Donimuntowa, jak jej syn, że ich obowiązek względem jego osoby był ogromny, że był jednak wyłącznie gościem szwagra i stryja. który zajmuje część dworu dla siebie zupełnie niezależnie, że wobec nich niema żadnych długów wdzięczności, a da Bóg będzie mógł nie długo wrócić do swego powołania. Piotr dziękował i wyrażał wdzięczność.

Siły i zdrowie powracały mu szybko. Namiętność potęgowała je i przyspieszała ich powrót. Natura, domagając się zadośćuczynienia, parła jego moc życiową naprzód. Owszem, wydawało się, jakby mu większe siły chciała dać, niż poprzednio. Instynkt aktu godowego rozżarzał w nim krew.

Pewnego gorącego przedwieczoru, kiedy słońce wiosenne rozpłonęło suchym ognistym

upałem, pani Dnimuntowa, która czyniła mu zawsze z tą samą staroświecką ceremonią grzeczności, honor towarzyszenia jej na przechadzce po ogrodzie, poprosiła go o przyniesienie parasolki. Wówczas nastąpiło spotkanie. W pokoju matki nie było nikogo. Piotr, nie zastanawiając się, co robi, wyciągnął rękę — Donimuntówna bez słowa ujęła ją w dłoń — gdy Piotr podniósł tę dłoń ku ustom, jej głowa pochyliła się ku niemu, a wargi, jakby zniewolone, poruszyły się jednym nie do odgadnienia wyrazem.

Od tego momentu Piotr poczuł, że posiada swoją kobietę, że jest kobieta, która należy do niego. Ta świadomość, to pojęcie otwarło mu wrota nieznajomej ziemi. Poznał szczęście leżące w uczuciu zamknięcia się we dwójcę przynależną sobie nawzajem. Donimuntówna stała mu się drogą. Zaczął jej w myśli nadawać pieszczotliwe imiona i troszczyć się o nią. Ona także od tego dnia stała się jakby miękką i omdlałą w ruchach, jakby chcącą się oprzeć o kogo i potrzebującą oparcia.

Piotrowi przemknęło przez myśl słowo: żona...

Spotkanie powtórzyło się. Krótkie, przelotne, szukane chwile stały się wszystkiem w życiu obojga. Słowa biegły od ust do ust krótkie, urywane, pospieszne, nagłe, gorące. W zdarzony dzień dłuższej rozmowy Piotr wypowiedział i usłyszał słowo: kocham — i mały drobny pierścionek złoty z małym szmaragdem znalazł się w jego ręku.

Piotr współczuł i również tak chciał: tajemnica była mu najmilszą i najpożądańszą. Odsłonił się przed nim jednym wstyd dziewiczy. Zawiązali węzeł uroku. Niemiał on jeszcze wyjść z ich rąk.

Gładki, dźwięczny wyraz „narzeczona“, wypowiedziany przez dziewczynę, wpłynął mu w słuch. Mały pierścionek okuł mu w jednej chwili ręce i nogi obręczą. Już niemógł odejść, ani nie dla niej czynić.

W parę dni później odjechał do osady fabrycznej bez oczu i słuchu dla otoczenia.

Zaczęło się życie uprzednie. Budowa kościoła postąpiła podtenczas naprzód znacznie, a Piotr postanowił zmienić sklepienie na błękitne, jakby w pasma obłoków jasnego dnia, o zaledwie znacznych kolorach. Z budową kościoła wiązał wiele. Przyjął także inne zamówienia planów budowli.

Życie zapulsowało w nim pełnem tętnem. To, co przebył, zmężniło go. Czuł potrzebę pracy, działania, oddziaływania, z radosną swoją tajemnicą w sercu. Jego instynkt formowania dusz ozwał się: zbliżył się do robotników snuć między nimi etykę religii ziemskiego życia. Próbował obracać ich oczy na wyższe i szersze widnokręgi myśli. Jego marzenia z gór sprowadzone w niziny sprawiały mu wrażenie gwiazd bez promieni, złotych ciał, które nie świecą i leżą w pomroku — ale te promienie usiłował zastępować prowadząc ręce ludzkie, aby ich dotykały.

Od znajomych swojej klasy odciął się zupełnie. Jedyny dom, z którym nie mógł nie utrzymywać stosunków, to był dom Przesiewicza.

Pulchny obywatel złożył mu natychmiast uszanowanie, ugrzeczniony, jak na początku poznania. Pokazało się, że i Marusia opowiedziała o jego bohaterskiem odparciu napadu odprawionego stangreta Donimuntów, który przepadł bez śladu, a którego rodziną zajął się „złotego serca Ewaryst Donimunt“. Spotkanie z Dzierzyńskim, który stracił kawałek kości policzkowej i ucha, napełniało samego Przesiewicza, jak i całą okolicę, podziwem, a Piotr mógł być pewnym respektu wszędzie. Powód rozprawy niebył Przesiewiczowi znany. Żona jego i córki tęskniły do miłego gościa, a Marusia szczęśliwą była mogąc mu w Łąkach uprzyjemnić od czasu do czasu jaką szarą godzinę śpiewem.

Przesiewicz popłynął trochę po przymiotach obu swych córek, po ich domowych cnotach i charakterze i Piotr, z niechęcią, musiał go rewizytować. Został tam nagabywany, czy nie zakochał się w Ninie Donimuntównie, że pewno się zakochał ku rozpaczy wszystkich pań i panien, które go w okolicy, gdzie tak zasłynął, poznały, lub chciały poznać, i zrozumiał, że oboje Przesiewiczostwo wręczyliby mu z przyjemnością którą ze swych córek, bijąc przedewszystkiem w stosunki, jakie mu dom Donimuntów otwiera.

Podczas etykietalnej wizyty w Łąkach niemiał możności zamienienia jednego szczerego wyrazu ze swoją zamyśloną i małomówiącą na-

rzeczoną. Zauważył tylko, że zmarszczyła ona z niechęcią brwi na wspomnienie rozwódki córki Przesiewicza.

Przyjęto go życzliwie i grzecznie, zresztą tak, jakby tam długich tygodni nie spędził. Tylko stary Ewaryst Donimunt w serdeczny sposób zapraszał go i obiecał odwiedzić w osadzie. Przy pożegnaniu Nina Donimuntówna wcisnęła mu drobny zwitek papieru w rękę, który brzmiał:

Jestem pełna wiary. Jeżeli niemówię matce mojej, to dlatego, że ją trzeba powoli przygotowywać do wszystkiego. Ufam w jedno: że pierścionek pozostanie tak czysty w rękach pana, jak z moich wyszedł. Narzeczona.

Piotr przycisnął ten mały zwitek do ust. Odczuł on, jakiego uczucia doznawała ta dziewczyna, kreśląc litery wyrazu „narzeczona“ — jaką pieszczotą, słodyczą, jasnością, błogością przesycone było to słowo, istoty, która do niczego innego nie znała się urodzoną, jak tylko do tego, aby być kochaną i kochać.

Piotr zdawał sobie doskonale sprawę z tego, z jakich przyczyn romans swój okrywała Donimuntówna tajemnicą, panując nad sobą i starając się niczem nie zdradzić przed nikim. Bawrowicz określił to wszechstronnie w orzeczeniu „my inni, Bawrowicze, Węgliny“, a romans ubogiego młodzieńca wydawał mu się czemś ośmieszonem, śmiesznem i poniżającem, ale z drugiej strony postanowił iść naprzód, z całą stanowczością i bezwzględnością. Decydującą była tylko wola panny. Zresztą niedbał o nic, choćby trzeba było przewalczyć przebojem przeszkody. Owszem, gdyby przyszło zdruzgotać je, był gotowy.

Czego od niego żądała Donimuntówna dając mu mały swój pierścionek — wiedział. Było to zaufanie nie tylko w honor jego uczucia, ale i w honor jego życia. Stając się jej narzeczonym, stawał się jej mężczyzną.

Jego natura swobodna, nieujarzmiona, nieznającą podobnych więzów, tem silniej poddała się warunkom pierścionka. Piotr podjął zaufanie kobiety, która go kochała, w sposób uczciwy. Ta podwójna czystość, to obopólne panieństwo, którego żądała Donimuntówna, stało mu się czemś poświęconem. Kochał ją za to wyrażone prawo moralne tem więcej.

C. d. n.



VLSATIMIL HOFMANN — Św. MATEUSZ EWANGIELISTA.

ANTONI GODZIEMBA-WYSOCKI.

(Dokończenie.)

KASZTELANKA.

(FRAGMENT Z DRAMATU).

Scena VIII.

Kanclerz. Podstarości. Podchorąży.

Kanclerz. Rycerzyku mój w chorągwi najmłodszy,
najzgrabniejszy, — jakże mi cię witać miło.
Gdzieżeś to bywał?

Podchorąży. Szczęśliwe me wydarte oczy,
że cię znów oglądają wodzu.

Kanclerz. Zwichrzone na ramionach twych słomko-
włosów pukle, [watych
wybladła młoda krasa lic, —
witaj, witaj.

Podchorąży. Rozruch w zamku,
tłum w strzępach żołnierskich mundurów
tłoczy się na pokoje.

Kanclerz. Wojska to nasze wracają na kwaterę,

Podchorąży. Gwarne bawialne komnaty,
w gorączce wszyscy, jak przed bitwą,
ledwom się przez ciżbę przedarł tu.
Nikt mnie objaśnić nie zdołał,
jaka mnie siła tu przyniosła
z Czarnego Morza,
z łańcucha tureckiej galery.
A koń mi przepadł
z zamkowej stajni,
koń przyjaciel.
Próżnom wołał,
radbym osiodłać go pod wierzch,
aby już
w pościg za dziczą łupiezką w pole rwać.
Lecz stajnie puste,
puste żłoby!
snać pastuchy tabunem na paszę pognali
wszystko stado.

Kanclerz. Dziecko kochane!
To tyś mi strzemię podawał do wsiadania,
gdym z domowych odjeżdżał pieleszy.

Podchorąży. Gdyś przy litaurów fanfarze
wyjeżdżał hetmanić,
na bój śmiertelny, bój ostatni.
Tak, to ja.

Kanclerz. Ostatnia walka moja, —
już nie wróciłem w dom.

Podchorąży. Wróciłeś,
wróciłeś w trumnie.
Kwiliły dzwony,
płakały psalmy kleru i zakonników.
Za twym całunem grobowym
królewicze trzej młodziutcy szli w żałobie
aż do podziemi.
Harmaty, które do zwycięzkich bitew
prowadziłeś, grały ci ostatnie pożegnanie,
i rycerz żelazny cały w kirach,
na karym jechał bachmacie,
z złamanym drzewcem proporca.

Kanclerz. Już wówczas duch mój w proch martwy
[się rozpadał i w ciszę,
już tylko prochom się kłaniali.

Podchorąży. Potem nawała wrogów spadła na
niszcząca ludzkość, jak zaraza. [kraj,
Mnie oczy wyłupili, żem niechciał wydać,
gdzie skryty był pańskich klejnotów skarbiec.

Kanclerz. A zamek?

Podchorąży. Zniszczenie, gwałt widziałem,
ponad wierzchami drzew koło tych okien prze-
gdy już nie człowiek, ale cień [latując,
i sokół byłem, od słońca oślepły, przerażony.
Rabusie sepety stąd wynosili,
w srebrzyste klamry nabijane,
darli tyftyki z murów,
i uciekali z świetlic z rynsztunkami,
co było płatnerzów ormiańskich chlubą.
Ogień targał w niwecz te stragarze rzeźbione
u pułapu, i krokwie dachu.
Ogień podłożyli podpalacze.

Podstarości (n. s.). Skrzyknąć nam co jest chłop-
[stwa i żołnierza,
i w pościg skoczyć za rozbójniczym taborem,
odebrać zdobycz, —
jeszcze czas.
Ot, nędza moja!
Mów, mów dalej.

Podchorąży. Już na pogorzeli jakieś się potwory
[lęgły i pokraki.
Jaszczurki po pustych komnatach się plezły,
jadowitą śliną pluły groźby,
skargi, —
pełno ich tu.

Kanclerz. Poddaliście zamek?
Złożyliście broń u bram otwartych.

Podstarości (n. s.) Mnie bo już wtedy ziemia żarła.

Podchorąży. Wasza Wysokość!
Szeptano na twych egzekwiach,
że strzaskasz odrzwia grobowca,
co się nad tobą zawarły.
Spodziewał król i pułkownicy,
i spodziewało żołnierstwo,
że lada czas,
jak orzeł król,
ze szczytów skał,
w szumie chorągwi,
z huzarska zbrojny,
otoczon gwardyą dział,
wrócisz.

Kanclerz. Czekali, spodziewali,

a dom mój stary na takie oddali pohańbienie,
w niewolę gadów podziemnych.
Podchorąży. Ale ciałem się stało słowo,
— otoś jest!
Kanclerz. Zapóźno!
Słusznieś powiedział,
otom jest, —
lecz na to,
abym łachmany me oglądał.
Dzisiejsi goście moi
z jakimż szyderstwem będą się śmieli,
z żebractwa mego,
i wy się śmiejcie ze mnie,
i urągajcie mi.
Podchorąży. Proch jestem z pod twoich stóp.
Nie każ mi wątpić.
Podstarości. O panie nasz!

Scena IX.

Ci. Pułkownik. Komendant zamku. Strażnik. Towarzysz pancerny.

Komendant. Cześć ci kanclerzu wielki,
Pułkownik. Cześć ci kanclerzu!
Strażnik. Cześć ci!
Towarzysz pancerny. Cześć!
(Wchodzi kilka pań, strojnych jak na bal. Stroje i uczesania epoki saskiej).
Kanclerz (wita wszystkich skinieniem ręki)
Pułkownik. Meldujem służby pokorne.
Komendant. Meldujem się po rozkazy.
Kanclerz. Spóźniona wasza dobra wola
panowie bracia!
Świadomym klęki doznanej.
Gród nasz zdeptany wrogów stopą.
Już jeno
nad zdechłych gadów gospodarstwem
i robactwem wśród chwastów uśniętem
ostało nam panowanie
niemocy.
Strażnik. Wodzu!
Towarzysz pancerny. Wodzu!
Pułkownik. Twojeż to prawdziwe słowa panie
—, niema nadziei?
Kanclerz. Niestety.

Scena X.

Ci. Ćma. Wojewodzic.

Ćma. A chodźże śpiochu.
Komendant. Natrętna zmoro, — puść go.
Towarzysz pancerny. Cóż to za nowy strach?
Strażnik. Kto to?
Podchorąży. Upił się.
Ćma. Baw zebranie
rozpustnych swawoli koryfancie.
Nic to,
że myszy trochę nadgryzły trochę twą perukę
i kusy zszarpały frak.
I tak już o ten czas
inna parada rządzi,
inna moda,
niż kiedy formowany był twój strój.
Wojewodzic. Puść.
Ćma. Dla przydymionych
podziemnym ogniem twych policzków
i próchna czaszki,
pożyczę różu od piwonii, pożyczę ci,
i jaśminy osmukam z bielidła,
nadobniejszy będziesz chłopiec,
niźliś kiedykolwiek był.
Wojewodzic. Puść.
Strażnik. Jakaż to igraszka posępna.
Towarzysz pancerny. Obrzydła dola.
Kanclerz. Jak i nasza.
Ćma. On przecie za dobrych swoich czasów
pierwszy elegant, pierwszy bałamut był stolicy
, — to warte śmiechu.
Dziś skrzydła nietoperza miał u ramion przeogromne
i kręgiem sunął w przestrzeni.
Serca kobiece łowiłeś zapamiętale
na wędkę kolorowych słów, —
a teraz
z jakąś też jak on zgłodniałą sową w bójce
ścierał się o tłustej muchy ścierwo, —
takeś zmarniał.
Wojewodzic. Któryż cię dyabeł leśny na mnie nasłał?
Któregoż licha to znów sprawa?
Ćma. Świat chciałam mu pokazać dzisiejszy,
niechciał się podnieść z trumny
w zapadłych kryptach kaplicy.
Nie był ciekaw.
Wojewodzic. Tyrczysz, furkoczesz mi w ucho,
niby echo angielskich koczobryków,
lub łoskot korków szampańskich.
Wolteryanko!
Cóż więcej zdołasz wytrajkotać,
że zdechłem już,
i błoto płynie w moich kościach, —
to kłamstwo.
Czołem waszmościom!
Strażnik. Czołem.
Towarzysz pancerny. Czołem.
Wojewodzic. Mości kanclerzu!
Tyżeś to w własnej swej postaci?
Bohaterze!
Coś zadrwił czas z twej potęgi,
i ze mnie, — prawda, prawda.
Kanclerz. Skończona życia gra.
Oto nam przyszło!
Wojewodzic. Skończona życia gra, — bezradny los.
I cóż byłoby gdybym żył?
Gdybym, — stracony kształt, — w dawną ubrał się barwę
i z pomiędzy was powrócił tam.
Ach! —
na nowo zaczął życie!...
Jak wtedy

musiałbym tańczyć menueta w Belwederze,
lub w sztosa zgrywać się pod Blachą,
albo li ziewać w Ursynowie.
Do kata, —
wieczysta nuda.
Ćma. (siada na gzemsie któregoś z filarów).
Komendant. Obszedłem warty na wałach,
hajduków w przewilgłym chłodzie
pobudziłem.
Kanclerz. Byliście rozbici, rozprószeni.
Pułkownik. Tylko na czas.
Wojewodzic. Czas?!
Zdawało mi się, nie wiem,
wczoraj czy dzisiaj rano
strzelałem się z kimś na pistolety, —
tak, z psoty,
o czyjąś kochanicę.
Ćma. To już z okładem sto lat.
Wojewodzic. Sto lat?
Pułkownik. Sto lat!
A my?
(Na sali między duchami poruszenie).
Podchorąży. Sto lat?!
Nie czas odwlekać,
nowi wrogowie w granicach.
Prowadź nas wodzu!
Podstarości. Wpierw panie zwołaj sąd, — błagam,
sąd nademną.
Kasztelanka Hanna pozew
przed twój trybunał wniesie.



VLASTIMIL HOFMANN — PŁACZĄCA ELLENAI.

FR. MIRANDOLA.

UPROSZCZONY SPOSÓB.

(GROTESKA).

Vaskhali bikshu, maharadża Nepalu, wyglądał przez okno swego pałacu w Katmandu, stolicy państwa.

Widział wąskie, kręte i ciasne uliczki zapełnione tłumami obdartych, wynędzniałych postaci.

Miasto leżało na stoku potężnego przedmurza Himalajów, wstępującego tarasami wzwyż, zda się kędyś w niebo. Wysoko, że patrzącego bolał kark, śnieżyły się czuby przepotężnego, widnego na mil sto wokół Gaurisankaru, zwanego przez „ starszych braci", to jest Anglików, Everestem.

Władca kraju siedział zadumany.

Z głębokim smutkiem patrzył na tłumy ruchliwe, niespokojne, płynące uliczkami, to ku rozsianym po skałach kapliczkom drewnianym, to znów na wschód, ku miastu świętemu Bhatgaun, kapłańskiej osady, będącej od wieków całych celem pielgrzymek pobożnych Ghurków, którzy radzi szukali tam pociechy w utrapieniu.

A utrapienia spadły zaiste niemałe na kraj ongiś spokojny, wolny, przez dzielnych zamieszkały tybetańskich górali.

Dzięki niedostępnemu położeniu na wyżach wielkich, poprzerywanych głębokimi przepaściami, zarówno Nepal, jak i sąsiedni Bhutan, przez bratnie plemię Bhutiów zamieszkały, ostały się dotąd zaborczości „starszych braci", chociaż ich długie łapy sięgały nieraz po te kraje, a zwłaszcza po srebronośne pokłady.

W latach 1815 i 1850, gdy uwaga świata była w inną stronę zwróconą, powiodło im się nawet wyrwać ochłap z ciała Nepalu, zagarniając Almorę. Wbito klin między Niepal i Bhutan, tworząc maleńkie, niby to niezawisłe księstwo Sikkim. Od samej granicy, z miejscowości Dardżiling zbudowano kolej wiodącą wprost na południe do Kalkuty i na tej nici uwiązane Sikkim stało się jakby obozem „starszych braci", jakby pogotowiem wojennem.

Vaskhali bikshu rozpamiętywał te dzieje i myślał o losach przyszłych swego kraju.

Jak się opierać? Szukano dawniej opieki w Tybecie, i zawiedziono się. Nienawiść datująca się od roku wojny 1855 stanęła na przeszkodzie, mimo iż ludność była przecież w znacznej części tybetańską, a religia Buddhy łączyła serca i dusze. Potem, Tybetem zawładnęli Anglicy, tak, że kraina ta mimo swej przynależności teoretycznej do Chin stała się ową placówką „starszych braci". Zaszło to po wojnie rosyjsko-japońskiej, kiedy Rosyę utraciła swe wpływy, podstępem wyparto, okrążano ich, nie mogąc zwalczyć wprost.

Gdybyż jeszcze w samym kraju panowała jednomyślność i zgoda. Dzielnymi wojownikami byli Ghurkowie i wprawnymi w boju. Tysiące ich, za pieniądze walczyło w angielskiej armii kolonialnej, stanowiąc jej jądro i wybór najlepszy... Za pieniądze!

Westchnął stary radża boleśnie.

I wspomniał z rozpaczą na to wywabianie z kraju najdzielniejszych, przez wroga, na odpływ żywiołów oporu i podpór wolności.

Chytrzy są „starsi bracia"! — pomyślał.

A w kraju? Kraj składał się właściwie z czterdziestu sześciu księstewek rządzonych przez dziedzicznych książąt. Kłótni i sporów nie brakło... Gdybyż tylko wszyscy szli chociaż ręka w rękę, gdy sprawa ojczyzny tego wymagała!

Potrząsnął głową stary radża i przetarł ręką czoło.

Co tam zresztą przeszłość! — szepnął.

Gorsze, bo pilniejszego rozstrzygnięcia potrzebujące sprawy stanęły przed znękanym władcą.

Ot, te tłumy! Skąd się wzięły! Co z nimi począć!... Co począć? Czy nie jest to szatański pomysł „starszych braci", którzy walczą teraz gdzieś na drugiej stronie świata z Germanistanem i Turkistanem?

Załamał ręce. Codziennie zdarzało się mnóstwo wypadków głodowej śmierci. Ubogi kraj nie mógł wyżywić tych dziesiątek i setek tysięcy przybyszów ze Sudanu... z bogatej „mlekiem i miodem płynącej doliny Gangesu... ogrodu świata"!

Zerwał się z siedzenia i zaczął nerwowo chodzić po komnacie.

— Straszne, niepojęte rzeczy! — szeptał. — Straszne jakieś rzeczy, których rozwiązać nie mogą kapłani w Patn, najstarsi mędrcy świata..., których rozstrzygnąć nie może sam Dalajlama w Lhassie, pytany w zaufaniu przez Depa radżę Janakruti za pośrednictwem czcigodnego Dharma radży!

Awrapati Kaikeja był nominalnym naczelnikiem Bhutanu. Ludność rozpadała się na małe grupy pod rządami patryarchów, na klasy niemal zgoła niezawisłe, zaś Dharma radża Kaikeja, kapłan i książę jednocześnie, zawisły był od Dalaj Lamy tybetańskiego.

Pierwszy mąż stanu, komendant stolicy, Tas-

sisudonu, Deparadża Janakruti, był właściwym regentem i zwierzchnikiem namiestników poszczególnych dystryktów.

Istniało przeto coś w rodzaju podwójnego rządu, co bardzo osłabiało kraj, szarpany i tak niesnaskami klanów.

Naraz rozległy się krzyki.

Vaskhali szybko zbliżył się do okna, ale zaraz cofnął się w głąb komnaty i zasłonił oczy dłońmi.

— Boże! — jęknął — Objaw co czynić.

Ulicą toczyły się dwa wozy zaprzężone w trójkę zebu, których nagie garby i ostre rogi chwiały się umiarowo w takt truchtu.

Woły biegły dość szybko skalistą ulicą pod górę. Na wozach widniały okropne, wychudłe ciała pomarłych z głodu.

Tłum otaczał wozy.

Jedni szli w ponurem milczeniu, inni pokrzykiwali, byli wreszcie i tacy, którzy mijając pałac królewski potrząsali ku oknom zaciśniętemi pięściami.

— Bodaj was wszyscy dyabli!

Okrzyk ten w nieznanym języku wydany przywabił radżę do okna.

Spoglądając z poza zasłony ujrzał wśród tłumu, znanych mu dobrze z kopalni srebra na płaskowzgórzu Tarai, robotników z Lachistanu, czyli Polaków.

Pracowali istotnie tam Polacy i żydzi obok ludzi wszystkich ras i kolorów twarzy, kopalnie bowiem przyciągały wszystkich, z całego świata.

Zadumany nie słyszał i nie wiedział nic.

Dopiero po chwili dostrzegł kłaniającego mu się w pas służącego pałacowego.

— Tat swam asi! — bełkotał służący dotykając niemal czołem dywanu.

— Sat, asat! — odpowiedział.

— Panie! Depa radża Bhutanu, mężny Janakruti pragnie być dopuszczony przed oblicze twoje.

— Niech wejdzie! — pospieszył z odpowiedzią i podszedł kilka kroków na spotkanie.

Depa radża wszedł i zaczął od progu wybijać pokłony. Jako wybieralny władca i zależny w gruncie od każdego możniejszego książątka, przytem naczelnik dużo mniejszego państwa, oddawał cześć wyższemu rangą, samoistnemu władcy.

— Chodźże, chodź drogi bracie! — powiedział Vaskhali. — Skróć te ceremonie! Rad jestem bardzo, że przybywasz! Jakże zdrowie czcigodnego Awrapathi Kaikeja?

Depa radża zerknął złośliwie.

— Wielki ten król-kapłan znów udał się do Lhassy pytać, co mu wolno myśleć o różnych sprawach.

— Acha! — odrzekł Vaskhali i umilkł.

— Pojechał onegdaj ale myślę, że zanim zobaczy się z wielkim arcykapłanem samym, porozmawia ze „starszym bratem“ Hopkinsem.

— Acha! — powiedział znów radża.

— Tak sądzę. Wreszcie, to na jedno wyjdzie. Wiadomości, jakie przywiezie, będą tesame.

Umilkli obaj.

— Czy mogę mówić z tobą szczerze? — spytał Vaskhali po chwili.

— Po to tutaj przybyłem! — odrzekł.

— Nic mi po wiadomościach czcigodnego Kaikeji.

— I mnie też nic!

Vaskhali wskazał ku oknu.

— Na to trzeba zaradzić! — rzekł.

— Koniecznie.

— U was jak? — spytał.

— Śmierć tysięcy co dnia!

— Cóż za przyczyna tego, na miłość boską! — zawołał Vaskhali łamiąc ręce. Jeszcze dwa lata temu wszystko było dobrze, ludzie pracowali w kopalniach Tarai, zarabiali, w dolinach uprawiano ryż... wszyscy mieli co jeść...

— Pięść „starszego brata“ zaciężyła nad Sudanem. Z bogatej doliny Gangesu lud ucieka w góry nasze. „Starszy brat“ mieszka w ciasnym kraju, zwie się on „Eng-land“. Nie wyżyłby nigdy ze swego, więc żyje ze Sudanu. Ale razu pewnego stało się, że rozpoczął wojnę. Na wojnie trzeba dużo jedzenia i ludzi. Rzekł więc: dajcie zapasy wasze i życie wasze, są mi bowiem potrzebne. Z początku nikt tego nie brał na seryo. Wszak to śmieszna rzecz gadać tak do przytomnych ludzi. Ale „starszy brat“ nie żartował. „Ogród świata“ zamienił się w piekło, a szatany starszego brata przyszły kraść, czyli rekwirować jedzenie i ludzi.

— Powiedz mi, w jakim celu ta cała wojna?

— Zaraz powiem. Racz posłuchać panie cierpliwie. Otóż „starszy brat“ zaczął wywozić masowo okrętami zapasy żywności i ludzi zdatnych do broni z całych Indyi, więc z Bengalu, Radżputany, Pendżabu, Madrasu, słowem z całego kraju aż po Ceylon.

— A gdzież wywozi tych ludzi?

— Do Frankistanu, albowiem wymordował tam już wszystko.

— Pocóż ich tam wywozi?

— Aby odbierali Italistan z rąk Ungristanu, jak mówią jedni, a znów Lechistan z rąk Alzakistanu, czy Germanistanu, jak mówią inni. Jakieś tam jest wzajemne odbieranie, w czem najbardziej mocny ma być Germanistan, więc nasi Bengalowie czy Afgany i inni pobożni ludzie mają pomagać „starszym braciom“ i dać się mordować!

— Cóż ich to obchodzi?
— Nic a nic.
— Cóż tedy czynią nieboraki?
— Uciekają do nas setkami tysięcy, zostawiając ziemię na łup „starszego brata“.
— Jakto na łup?
— Kto ucieka traci prawo do ziemi! Tak ogłoszono w Kalkucie.
— Bój się Boga, ależ to zbrodnia.
— Starszy brat nie boi się Boga, czyż inaczej byłyby głody co kilka lat w Sudanie, który jest „ogrodem świata“? Pomyślał sobie: dobrze, niech uciekają. Co mi trzeba, wezmę, pochwytam trochę do wojska, ziemię zabiorę i będzie mniej ludzi, nie będą umierali z głodu tu, tylko gdzieindziej.
— U nas?
— Tak. A potem... myślał jeszcze „starszy brat“: nikt już nie powie, żem ja winien —
— Któż będzie winien?
— Ty panie i... oczywiście także czcigodny Dharma radża, mój pan i władca.
— Coś strasznego... coś strasznego... — biadał Vaskhali.
— Pytałeś panie, poco ta wojna, jaki jej cel?
— No...
— Otóż ma dwa cele.
— Dwa?
— Naprzód sprzedać dobrze i zjeść to, co wyprodukowali bogacze przez długie lata, a co leży, psuje się i traci cenę. Aby to zjeść, gromadzą duże wojska, odrywają ludzi od pracy i żywią ich, jednocześnie zaś każą im mordować drugich. Tamci zaś tych mordują wzajem.
— Pocóż to?
— Aby się ich pozbyć, gdy się już najedli, a towar cały zamieniony został na złoto, które mają bogacze w kieszeni. Usuwają w ten sposób wielką ilość zbytecznych ludzi, którychby teraz przez całe lata nie mieli czem karmić.
— Idzie więc o pozbycie się towarów i ludzi nagromadzonych w ilościach zbyt wielkich... dobrze, ale czyż nie dałoby się to zrobić jakoś inaczej... jakoś...
— Owszem... tylko nie wypada!
— Jakto!
— Każdy król musiałby osobiście zjeść towary swego kraju, zapłacić bogaczom i wymordować swych poddanych.
— Cóż ty gadasz?
— Prawdę szczerą.
— Więc cóż my mamy czynić? Towarów wprawdzie nie mamy, ale za to ludzi strasznie wiele.
— Wymorduj ich panie!
— Oszalałeś!
— Broń Boże. A jeśli ci tego uczynić nie wypada, wypowiedz wojnę!
— Komu? „Starszym braciom“?
— Nie, nie podołasz. Wypowiedz wojnę mnie!
— Tobie? Królestwu Bhutanu? Ależ zważ pokrewieństwo rasowe...
— To nic, Germanistan i ciasny kraj „starszych braci“ są zamieszkane przez ludzi jednej rasy, co więcej: król ciasnego kraju jest bliskim krewnym króla Germanistanu.
— Czyż być może? Jakże śmią...
— Dla „Racyi stanu“.
Cóż to takiego?
— To jest przykazanie, które wchodzi w zastosowanie, gdy się nagromadzi za wiele towarów. Tak mnie pouczył pewien bardzo mądry człowiek w Kalkucie. Ale mniejsza z tem. Ogłoś panie, że objawiła ci się we śnie najdostojniejsza dziewica Racya Stanu, bogini wojny i kazała ruszyć na państwo Bhutanu. Kto jest pobożny i kocha boginię, ten dostanie order Sanatkumary, boga wojny, i kulą w łeb... gdzie woli...: we własnym kraju, albo w Bhutanie. Ludzie, mówiąc między nami, powinniby raczej wybrać to pierwsze. Oszczędziliby dużo obuwia, przedewszystkiem zaś sobie niesłychanych trudów i niewygód. Nie mówię już o tem, że szkoda przecież popalonych miast, wsi, zniszczonych drzew, pól ryżowych i pastwisk! To jasne. Zresztą...

(Dok. nast.)



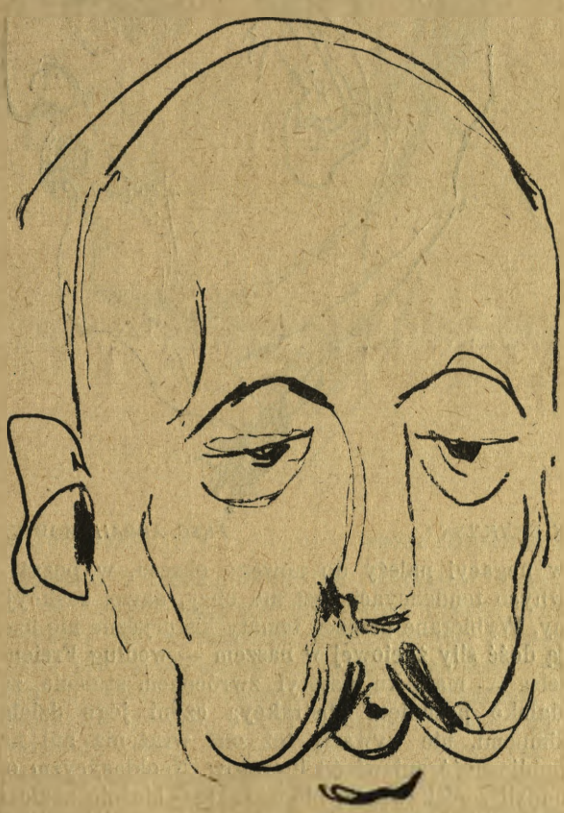
P R Z E G L Ą D

PRZEGLĄD TENDENCYI W LITERATURZE NIEMIECKIEJ OSTATNICH LAT.

Podczas wojny literatura niemiecka wbrew znanemu przysłowiu łacińskiemu zakwitła tak świetnie, że warto się bliżej przypatrzyć temu rozwojowi, który towarzysząc wojnie, jednak jest od niej niezależnym, nie wysługuje się jej, i jest raczej inwersyą utajonego buntu. Ponieważ mamy zamiar w „Maskach" przedstawiać czasem ciekawsze objawy niemieckiej literatury wojennej, na wstęp dajemy w streszczeniu, jasny a nie banalny przegląd głównych tendencyi w literaturze niemieckiej z ostatnich lat, pióra Ryszarda Freienfelsa, zamieszczony w „Das literarische Echo". Przeczytać go może z korzyścią i ten, komu obce są nazwiska i dzieła tam wymienione.

Naturalizmowi w początkach wieku 20-go przeciwstawiła się w Niemczech neoromantyka, która jednak nie była ucieczką w krainę romantyczną, w świat marzeń dawnej romantyki jenajskiej lub heidelberskiej, lecz wolą do podniesionego psychologicznie nastroju, do silnej i wyborowej barwy, do subtelności języka, graniczących nawet ze zmanierowaniem. Podczas gdy naturalizm czerpał tematy z teraźniejszości, neoromantyzm, brał je najchętniej z przeszłości. Hofmannsthal, Ricarda Huch, Eulenberg, późniejszy Hauptmann, Ernst Hardt są głównymi przedstawicielami tego kierunku. Panowanie jego było bardziej literackie, niż popularne, zaznaczyło się więcej w liryce i dramacie, niż w powieści.

Atoli już w czasie największych powodzeń tej szkoły wystąpiło nowe pokolenie, którego kontrast do neoromantyzmu dlatego tylko nie wybijał się wyraźnie, ponieważ, jak to często bywa w stosunku tezy do antitezy, to pokolenie nie było wprost zaprzeczeniem poprzedniego. Ten sam był w niem zmysł dla nastroju, dla silnych barw, lecz już nie jako cel główny. Nowi ludzie odrzucają obcy światu, słabowity estetyzm, pragną znowu siły zamiast zróżniczkowania, teraźniejszości a nawet przyszłości zamiast przeszłości i baśniowych praczasów; nie zaprzeczają życia ani ponurym pesymizmem ani estetycznem przesubtelnieniem, lecz potwierdzają życie, podziwiają je, entuzyazmują się niem. Jestto tedy pod pewnym względem na-



K. SICHULSKI — POSEŁ STEINHAUS.

wrót ku naturalizmowi i jego ideałom ale zarazem pogłębienie go i przekształcenie, można też ten nowy kierunek nazwać syntezą naturalizmu i neoromantyki, która jednak jest czemś zupełnie nowem i swoistem.

Kontrast do neoromantyzmu stwierdziła po raz pierwszy grupa pisarzy, nazywanych „neoklasykami" (Paweł Ernst, S. Lubliński, dawniej Wilhelm Scholz). Ich zarzuty opiewają: neoromantyzm grząższ w liryzmie, spekulującym na efe-

kty nastrojów, barw, brakło mu woli heroicznej, a więc i siły niezbędnej dla wszelkiej sztuki tragicznej; wskutek tego mimo sukcesów zewnętrznego formalizmu nic zdobył sobie silnej formy wewnętrznej; jego dzieła są nagromadzeniem pstrych i ładnych szczegółów, ale nie tworami mocnymi, jednolicie organicznymi. Ale neoklasycyzm tylko



K SICHULSKI EKSC. ABRAHAMOWICZ

w negacyi należy do nowego okresu, w pozytywnych tendencyach jest mu obcy, nawet reakcyjny. Wybierane przezeń tematy historyczne nie mają dość siły życiowej w naszem — według Freienfelsa — mało ku historyi zwróconem stuleciu, za daleko posunięta abstrakcya czyni jego dzieła zimnemi, nie wywarły też one wrażenia ani na publiczność ani wśród literatów. Neoklasycyzm obudził zaciekawienie intelektualne, ale nie znalazł miłości ani naśladowców.

Prawdziwych przedstawicieli nowej umysłowości należy tedy szukać gdzieindziej, tam gdzie jest wprawdzie mniejsza jasność intelektualna, ale za to więcej namiętnego, bezpośredniego życia. Jako główne wymagalniki nowego pokolenia w kontraście do neoromantyzmu poznaliśmy: siłę, potwierdzenie życia, przyszłość. Odpowiednie po temu sfery i symbole znaleźć można było tam, gdzie jest najmniej przeszłości: w wielkiem mieście, wśród nowoczesnej techniki i przemysłu, zwłaszcza zaś w Ameryce. Dlatego Freienfels nazywa ten kierunek a m e r y k a n i z m e m. Ameryka dostarczyła także literackiego proroka nowych tendencyi w osobie Walta Whitmana, od którego dawniej (Arno Holz) uczono się tylko protestu przeciw rymowi i regularnemu rytmowi, a teraz jego woli życia, ukochania teraźniejszości i przyszłości. Dla tych samych tendencyi wzorami stali się także Duńczyk Jensen, zwiedzacz całego świata, i Belgijczyk Verhaeren. Do tej trójcy nawiązują próby wielu młodych Niemców. Rytmy w stylu Whitmana dał np. Alfons Paquet. Bardziej samorodną poezyę wielkomiejską dał Otto von der Linde i jego zwolennicy piszący w czasopiśmie „Charon"; oraz grupa, która skupiała się koło przedwcześnie zmarłego Jerzego Heyma, wzorującego się na Rimbaudzie. Z najmłodszych poetów wymienić tu należy niezwykle rozreklamowanego Austryaka Franciszka Werfla, który w swoich książkach, jak „Przyjaciel świata" i innych, nietyle wielkomiejskość opiewa, ile raczej formułuje uczucie aprobujące świat, tak charakterystyczne dla tego kierunku. Szczytowem i rozgłośnem dziełem amerykanizmu niemieckiego stał się „Tunel" powieść Kellermanna, będąca niejako symbolem także duchowego tunelu między Ameryką a Europą. Czy ten kierunek po wojnie będzie żył dalej, czy — co jest możliwem — wojna, jako tryumf nietylko śmierci lecz i życia, a także techniki i przemysłu, wzmocni go jeszcze, to okaże przyszłość.

Obok amerykanizmu stoją inne tendencye; według sfer, w których szukają swoich symbolów, nazywa je Freienfels p r y m i t y w i z m e m i e g z o t y z m e m. W kontraście do neoromantyki, pielęgnującej uczucia i nastroje delikatne, zróżniczkowane, nowa wola artystyczna szuka tego, co jest niezłamane, pierwotne, nawet zwierzęce, jako objawów tej brutalnej, nieokiełzanej siły, którą uwielbia. Szuka ich już to w najniższych sferach życia kulturalnego, — występują wtedy na widownię złoczyńcy, alfonse, nierządnice z przedmieścia, — albo też rekonstruuje praczasy, szuka po krajach obcych, po miastach podzwrotnikowych i parnych borach pierwotnych.

Ten sam rozwój mamy w sztuce plastycznej. Po przesubtelnieniach impresyonizmu droga także tędy skręciła; szukano rzeczy prymitywnie prostych, nawiązywano do sztuki Hotentotów i murzynów, emigrowano nawet do Tahiti, aby żyć w takim prymitywnym świecie. U Gauguina, Matisse'a i wielu ich niemieckich zwolenników pokazuje się ta tendencya. Atoli nie sielankowości szuka się dziś w pierwotnej kulturze, jak za czasów Russa, lecz raczej czegoś wręcz odmiennego.

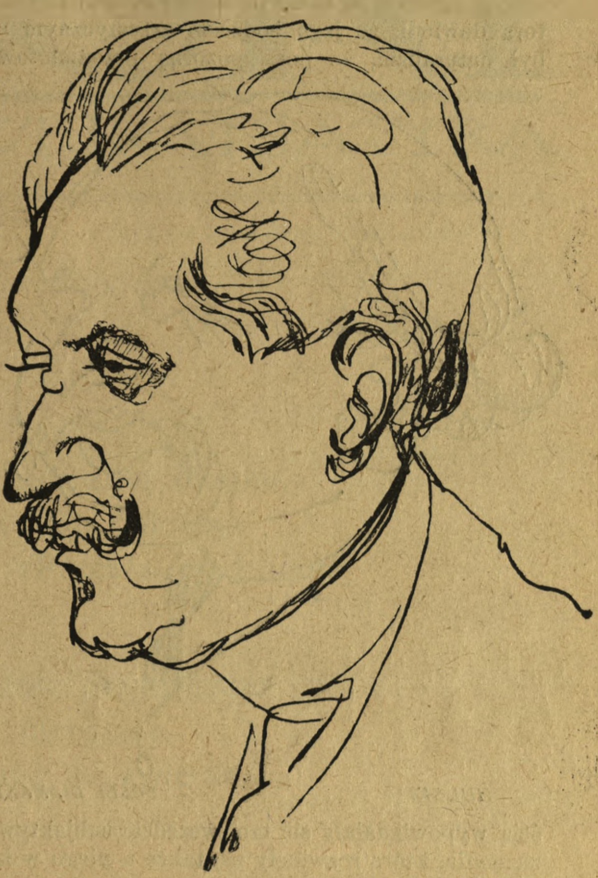
W Niemczech pierwszym bezwarunkowym wielbicielem instynktów pierwotnych jest Frank Wedekind. Pisał on jeszcze w czasach naturalizmu i

neoromantyzmu, ale jego powodzenie zaczęło się dopiero po upadku tych kierunków. W jednym swoim prologu każe on obwieścić, że tylko u niego można widzieć „prawdziwę zwierzę“; przedstawia też zawsze zwierzę w człowieku, czy sztuka rozgrywa się w domu rozpusty, czy w kołach wielkich oszustów lub t. zw. towarzystwie. Jeszcze radykalniej przedstawia się ta tendencya u Duńczyka Jana Jensena. Od amerykanizmu, który już sam rozpędzał subtelne nastroje starego świata kulturalnego, niedaleka droga do prymitywizmu. Jensen poszedł nią do końca w swojej powieści z czasów pierwotnych „Lodowiec“. Ale powędrował także i w kraje egzotyczne, aby i w tej sferze tworzyć „z pierwotności“, jak sam powiada we wstępie do „Nowel egzotycznych“. Wszelako ten egzotyzm nie jest podobnym do dawnego, nie idzie w nim głównie o to, co jest dziwne, obce, wyjątkowe, lecz o to, że w owych dziwnościach szuka się prapodstaw, instynktów, najgłębszych a wszystkim wspólnych korzeni istoty ludzkiej, która w tym przekroju jest może taką samą jak zwierzęca.

Z niemieckich poetów, którzy również szukali najdalszych zakątków, aby tam znachodzić instynkty rabunkowe i pierwotności obok barwności wymienić należy Dauthendeya. Osobliwym egzotykiem jest Heinz Ewers (autor znanej i w Polsce „Alrauny“). I on rozbija się po świecie, kocha połowiczne i rozkładające się kultury, szukając tam okrutnych, zwierzęcych, niesamowitych instynktów.

W tym rodzaju literatury właśnie objawia się szczególne pokrewieństwo, zachodzące między brakiem kultury a jej nadmiarem. Choćby ze stanowiska moralnego stawiano tej sztuce zarzuty, z psychologicznego przedstawia się ona jako dążność, by z życiem zgadzać się także tam, gdzie ono wydaje się godnem wzgardy lub nienawiści. Mamy tu nowe wartościowanie, które mimo różnic styka się z amerykanizmem.

Inna tendencya, która wynurzyła się po neoromantyzmie, polega na tem, by przedstawiać życie obecne, ale nie widziane zwykłemi oczyma, lecz niejako w upojeniu, w zmienionych wymiarach i barwach, już to skrzywione, już to spotęgowane, i jako całość przeobrażone tak, że staje się dziką fantasmagoryą, z niektórymi rysami realistycznymi. Można to nazwać s z t u k ą u p o j e n i a. Jej najwybitniejszym reprezentantem jest Henryk Mann, chociaż twórczości tego poety nie można wyczerpać tą jedną cechą tylko. W działach jego ujawnia się wola do niesłychanego potęgowania życia, do takich jaskrawych oświetleń i ekstatycznych wzlotów, jakich się doznaje w upojeniu toksycznem, erotycznem lub apolińskiem. W tym celu stworzył sobie styl o niebywałem tempie. Cały świat zmienia w dynamiczną grę sił. Jako równoległe zjawisko w sztuce plastycznej można wymienić von Gogha. Z amerykanizmem łączy Manna przedewszystkiem ten rytm i wstręt do wszelkiej sentymentalności i słabości. Z prymitywizmem i egzotyzmem łączy go podkreślanie tego, co w życiu duszy jest pędem i in-

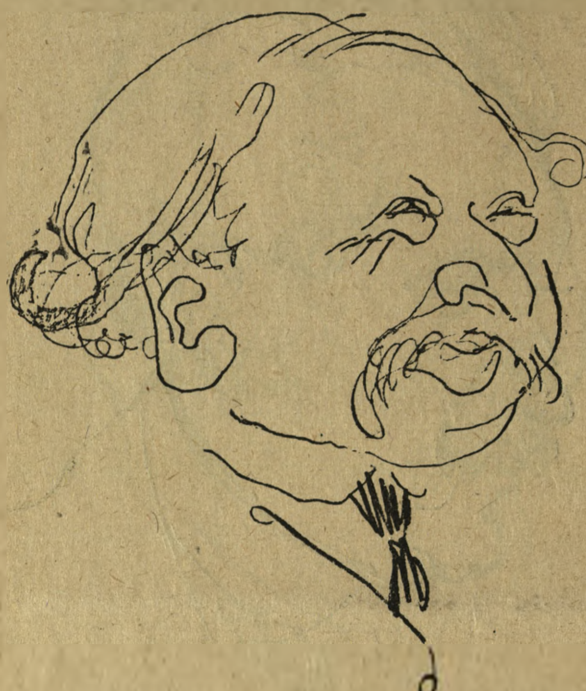


K. SICHULSKI *POSEŁ LÖWENSTEIN.*

stynktem, i zaciekawienie dla produktów rozkładu, w których znajduje takie same popędy i instynkty, jak w naturach niezłamanych. Dlatego Mann jest uwielbianym mistrzem najmłodszej generacyi, która się entuzyazmuje futuryzmem. Z młodszych poetów, którzy wstąpili w jego ślady wymienić należy Renego Schickele, Alzatczyka i Leonarda Franka (autora głośnej „Ursache“).

Oczywiście obok tych prądów nowych płyną jeszcze stare obficie, a u publiczności, interesującej się nową poezyą, jeszcze neoromantycy uchodzą za „modern“. Wielu jest kompromisowców i eklektyków, wielu też przystosowało się do nowego kierunku nie tracąc dawnych właściwości. Do tych ostatnich należy np. Stefan George, największy cyzelator wśród liryków niemieckich. Przedtem idąc z neoromantyką hodował blade, zmatowane uczucia, później zwrócił się ku teraźniejszości, wystąpił nawet z „Pieśniami czasu“, gdzie

uderzył w tony silniejsze i jaśniejsze. Podobną ewolucyę przebył Tomasz Mann. Jego sławna powieść „Buddenbrooks“ napozór przedstawia się jako wytwór umiarkowanego naturalizmu: drobiazgowe sceny środowiskowe, pesymistyczny ton zasadniczy, podkreślanie rzeczy charakterystycznych zamiast idealizacyi. Dalszy rozwój tego autora dowiódł, że jego bodźcem artystycznym nie był naturalizm, że poza pozorną przedmiotowo-



HULSKI POSEL DIAMAND.

ścią wypowiadałały się tam wszędzie subjektywne zaznania, które rozwinęły się także u niego w kierunku potwierdzenia życia. Przedewszystkiem problem formy stoi u niego na pierwszym planie. Forma nie jest mu tylko sprawą możności technicznej, lecz sprawą wychowania własnej jaźni, świadomem stanowiskiem i ukształtowaniem życia. Wypowiada to sam w „Śmierci w Wenecyi“. I pod tym względem także pokrewnym jest Georgemu. U obu surowa forma stylu stała się powoli tylko symbolem surowego traktowania życia, organicznem uzewnętrznieniem jakości człowieczej. W neoromantyce styl był przeważnie ozdobą i maską, teraz staje się koniecznym wyrazem pewnej określonej woli życiowej, w czem tkwi również owa aprobata życia, tak charakterystyczna dla ostatniego pokolenia.

Takie były kierunki niemieckiej poezyi przed wojną. Freienfels widzi w nich odbicie tego, czem Niemcy są w swej najgłębszej istocie: siłą, wolą do potęgi i jak najbardziej wytężonej organizacyi. Odzwierciadlają się w tej poezyi zresztą nietylko niemieckie cnoty, ale i ujemne strony, gdyż wola do potęgi przekłada np. brutalność nad słabość. Przygotowywał się też w tej poezyi zwrot ku nacyonalizmowi, dotąd zaniedbywanemu (cykl Lissauera „Rok 1813“ itp.).

Gdyby pod powyższe grupy chcieć podciągać twórczość polską z czasów przedwojennych, największa jej część pozostałaby poza temi kategoryami. Jedynie Staff dałby się porównać z Georgem. Od biedy przedstawiciela polskiego amerykanizmu możnaby widzieć w Reymoncie i w .... Nowaczyńskim („Nowe Ateny“), egzotyzmu w Sieroszewskim, prymitywizmu w Przybyszewskim, którego jednak razem z Żeromskim należałoby zaliczyć także do sztuki upojenia. Ale np. neoromantyzm polski — o ileby razem z p. Feldmannem tak nazywać przełom literacki dokonany przez Wyspiańskiego, — jest odmienny od neoromantyzmu niemieckiego, wchłonął bowiem pomimo akcentowania przeszłości, te wszystkie pierwiastki, które w Niemczech właśnie przeciwstawiły się tamtejszemu neoromantyzmowi, zaś polski neoklasycyzm (Morstin) lansował się nie jako kontrast lecz jako kontynuacya kierunku Wyspiańskiego. Zawodzi tu poprostu cała terminologia. Jedna tylko cecha polskiej literatury przedwojennej jest wspólna z niemiecką: zaufanie do życia i przyspieszone tętno wewnętrzne. Tu i tam rozbrzmiewały hasła woli do potęgi, lecz u nas jako nadzieja, nie jako wyraz realnego nasycenia. Różnica między naszą literaturą a tamtą zachodzi zresztą nietylko co do jakości prądów, lecz także w sposobie społecznego objawiania się tej literatury: podczas gdy w Polsce przeważają wybitne indywidualności i tworzą „szkoły“ mniej więcej przypadkowe, „prądy“ zaś importowane bywają z zewnątrz, w Niemczech, jako kraju posiadającym liczniejsze społeczeństwo literackie, samorzutne indywidualności twórcze są stosunkowo rzadsze, licznym jest natomiast zastęp talentów średnich i miernych, które u nas nie mogłyby istnieć, ale dlatego też literatura tamtejsza może się rozwijać logicznie według takich tez i antytez, jakie wypatrzył Freienfels. Wspomnieć jednak wypada tu także, że literatura polska w porównaniu z zagranicznemi ma wiele do nadrobienia, dlatego u nas niejedno zjawisko literackie może jeszcze być rewelacyą i sensacyą, które na zachodzie dawno już przerobiono. (Dok. nast.).

Karol Irzykowski.

KRAKOW · 1 · WRZEŚNIA · 1918 ZESZYT · 25

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA

LEOPOLD STAFF.

* * *

Przejdą ciągnące łańcuchem zbyt długim,
Przeminą czasy ciężkich losu chłostań
I Jutro powie jednym: »Precz!«, a drugim
Powie: »Pozostań!«

Tych, co wiązali przyjaźnie przymierza
Po to jedynie, by były niezgody,
Ażeby rzucać, jak zwierzę na zwierza —
Całe narody;

Tych, co sprawili, że nienaruszonem
Li to zostało, co ziemię bezwiedną
Dzieli, że świat dziś, który był zagonem
Jest miedzą jedną;

Tych, którzy ludzkość chcieli skryć w tornistrze,
Przepędzi Jutro wężami Eumenid,
By nie widziało ich słońce najczystsze,
Gdy wstąpi w zenit!

Przelecą góry Huny i Mongoły,
A my, jak kłosy pod wiatru powiąniem,
Ugięci nizko, podniesiem się czoły
I prostsi wstaniem!

STEFAN GRABIŃSKI.

PROBLEMAT CZELAWY.

2)

— Rewelacye pani — zauważyłem — noszą piętno czegoś tak niezwykłego, że chwilami skłaniałbym się do przyznania racyi spirytystom. Lecz ponieważ nie mam przekonania do ich teoryi, przeto mimo wyraźnych symptomów kataleptycznych u męża łaskawej pani, poszukam innej drogi do zbadania prawdy. Nie wierzę przynajmniej w tym wypadku w istnienie t. zw. sobowtóra astralnego czyli dwojnika. Lecz, aby ten problem rozwiązać, muszę dokładnie przypatrzyć się owemu indywiduum. Czy widziała pani twarz jego przy wyraźnem świetle? Nie próbowała pani ani razu podczas „halucynacyi“ zapalić lampy?

— Niestety. Byłam zbyt przerażona, by odważyć się na coś podobnego: nie śmiałam ręki wyciągnąć przed siebie.

— Otóż to właśnie. Obojeśmy widzieli niedokładnie: pani przy niepewnym blasku księżyca, ja przy mdłem świetle latarni i z daleka. Trzeba to naprawić.

— Panie doktorze, ja nie mogę dłużej narażać się na podobne eksperymenty; za dużoby mię kosztowały. Jeśli pański pogląd na rzecz jest słuszny, grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Sama nie wiem, jak postąpić. Możeby wszystko powiedzieć mężowi i drogą policyjną uwolnić się od natręta?

— A jeśli profesor wie o tym człowieku, z którym może pozostaje w specyalnym stosunku? — Nie — łaskawa pani — tego na razie czynić nie można.

— Więc co robić, co robić?!

— Jedyne wyjście, zdaniem mojem, jest następujące. Gdy mąż zaśnie, proszę zostawić światło w sypialni, samej zaś spędzić noc w innym pokoju, zamknąwszy się szczelnie na klucz. Nie sądzę, by odważył się na wyłamanie drzwi; toby narobiło dużo hałasu i zbudziło cały dom; mimo zuchwałości względem pani, człowiek ten jednak widocznie nie wyzbył się całkiem środków ostrożności i liczy się z niemiłemi ewentualnościami. Ponadto proszę mieć pod ręką broń na wszelki wypadek. Lecz jestem pewny, że narazie będzie niepotrzebna. Naturalnie nad ranem koło siódmej powróci pani do sypialni, by nie budzić podejrzeń męża.

— Dziękuję panu doktorze — czuję, że rada znakomita.

— Tylko tymczasowa — znajdę lepszą w przyszłości. Lecz przejdźmy do dalszych kwestyi. — Wygląd zewnętrzny profesora znam doskonale; miałem sposobność przypatrzyć mu się dokładnie niegdyś podczas wykładów i w ostatnich czasach dzięki blizkiemu sąsiedztwu. Niemniej sądzę, że mąż mnie nie zna z widzenia.

— Jestem tego pewną. Nie zwraca uwagi na otoczenie, tem mniej na ludzi, z którymi nie utrzymuje stosunków towarzyskich.

— Właśnie. To samo i ja zauważyłem. Bardzo mi z tem na rękę.

— Czy zamierza go pan śledzić?! — zapytała trochę zaniepokojona.

— Muszę; to mój jedyny środek. Proszę się nie obawiać, potrafię być dyskretnym. Lecz nie odbiegajmy od tematu. Zdaje mi się mąż utyka lekko na jedną nogę?

— Tak, na prawą.

— Czy powód znany pani?

— Owszem. Uległ podobno w młodości wypadkowi, po którym pozostały wyraźne ślady; na prawem biodrze ma szeroką bliznę.

— Hm... tak. Czy była pani kiedy w pracowni profesora, z której wychodzi i gdzie znika jego „sobowtór“?

— Nie. Tam nie wolno mi wchodzić.

— To dziwne. Więc przecież mąż ma swe tajemnice. Czyż nie starał się umotywować przed nią zakazu?

— Mówił, że czyni to z obawy o mnie. W gabinecie przechowywać ma rozmaite przyrządy naukowe i preparaty, z którymi należy się obchodzić nadzwyczaj ostrożnie.

— Hm... być może. A teraz na koniec pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Jest trochę kłopotliwe, lecz może ułatwi mi zada-

nie. — Czy stosunki małżeńskie państwa są serdeczne?

— Kocham go i uwielbiam. Jest dla mnie dobry, na niczem mi nie zbywa.

— Przepraszam — o tem nigdy niewątpiłem. Lecz chodzi tu o stosunki płciowe.

Pani Wanda lekko zarumieniwszy się, odpowiedziała z zakłopotaniem w głosie:



J. MEHOFFER PORTRET.

— Pod tym względem należymy do wyjątków. Możnaby uważać nas za anormalnych: obcujemy rzadko, przyczem nie odczuwamy szczególnej rozkoszy. Wogóle co do mnie nie uważam aktu płciowego za integralną część współżycia małżonków.

— No tak, rzecz zapatrywania i organizmu.

I na tem zakończyłem posiedzenie, prosząc nadal o częste porozumiewanie się ze mną konieczne do zamierzonej współpracy. Przyrzekła z wdzięcznością w oczach.

Jakoż od owego popołudnia widywaliśmy się codziennie. Profesorowa zdawała relacye ze swoich spostrzeżeń, które zestawiałem z własnemi, przyczem uzupełniały się i tłumaczyły nawzajem znakomicie.

Jeszcze tego samego wieczora zabawiłem się w dedektywa. Chcąc mieć na wszelki wypadek swobodę ruchów w obecności Czelawy i domniemanego „sobowtóra“, ucharakteryzowałem się do niepoznania w stylu a la canaille i w wyniszczonem mocno ubraniu czekałem na platformie schodowej.

Po dziesiątej, jak zwykle otworzyły się drzwi gabinetu profesora i z wnętrza wysunęło się tajemnicze indywiduum. Przeczekałem, aż wyszedł za bramę, poczem przy pomocy własnego klucza wymknąłem się za nim na ulicę.

Szedł szybko w stronę podmiejskich bulwarów, od czasu do czasu oglądając się ostrożnie; wtedy kryłem się za drzewa lub domy, dopóki nie weszliśmy w strefę ludniejszą. Tu byłem już swobodny. Obdartus kluczył po plugawych uliczkach, zanurzał się w jakieś kręte zaułki, gubił w typowych wielkomiejskich culs de sac bez wyjścia, ciemnych i ponurych, jak ich powiernica, noc.

Widocznie był w tych stronach postacią popularną, bo co parę kroków spotykał znajomych, równie jak on wytartych rzezimieszków, którzy witali go serdeczno-grubijańskimi przydomkami. Parę razy ku niemałemu zdziwieniu obiło mi się o uszy imię Stachur.

Wreszcie włóczęga zawinął do jakiejś wielce podejrzanej oberży z charakterystyczną wywieszką: „Gospoda pod Rudą Bertą“. Z wnętrza dochodziły już na znaczną odległość pijackie krzyki i śpiewy podochoconych gości. Obejrzawszy raz jeszcze dokładnie rewolwer, ukryty w kieszeni mego postrzępionego surduta, i ja z kolei wszedłem do tego ziemskiego eldorada.

Pierwsze spojrzenie rzucone dookoła pouczyło o tem, gdzie jestem: byłem w jednej z najohydniejszych nor, w jednej z tych tajemniczych kryjówek, w których wylęga się zbrodnia i jej towarzyszki. W nizkiej, beznadziejnie brudnej izbie poruszało się poprzez gęstą mgłę dymu z cygar, fajek i papierosów, kilkanaście osób mieszanej płci. Kilku mężczyzn o twarzach zbójeckich grało pod oknem w karty, inna grupa ćmiła zapamiętale tytoń przy pełnych szklankach absyntu; z kątów odzywały się cyniczne śmiechy baraszkujących dziewek, przerywane szerokim rehotem wielbicieli. Jakaś kobieta na wpół obnażona tańczyła na stole wśród dzikich podrzutów kankana w takt przygrywających mandolin. Za bufetem drzemała młoda jeszcze, lecz już wyniszczona dziewczyna.

Usiadłem przy jednym ze stołów i zażądałem rumu. Trzeba było odrazu wejść w tempo „Rudej Berty“ i wstępnym bojem zdobyć sobie prawo obywatelstwa. Zacząłem tedy wtórować dźwiękom instrumentów głosem chrapliwym, sztucznie wyuzdanym, improwi-

zując piosenki zaprawne wisielczym sentymentem.

Sukces był zupełny. Otoczono mię wśród odznak uznania. Po chwilowej przerwie nastąpiły tłumne pytania i indagacye. Przedstawiłem się jako zbiegły z więzienia włamywacz z bogatą i płodną w epizody przeszłością. Rozpoczęła się serdeczna pogawędka, w której wysilałem się na grube dowcipy, opowiadając setne kawały z tysiąca i jednej zbrodni, moje przejścia z władzami, awantury z agentami policyi i t. p. Równocześnie śledziłem niepostrzeżenie „sobowtóra". — Ten w chwili mego wstąpienia w progi oberży stał w środku izby okolony gromadą towarzyszy, którym opowiadał coś arcyzabawnego, bo od czasu do czasu wybuchali salwami śmiechu: brat Stachur był widocznie bardzo dowcipny.

Mogłem teraz przy świetle bliżej mu się przyglądnąć. I oto po troskliwem przeprowadzeniu obserwacyi stwierdziłem z zadowoleniem, że tego człowieka stanowczo nie można było nazwać sobowtórem prof. Czelawy. Był wprawdzie zadziwiająco doń podobny, lecz nie identyczny. — Staranna analiza rysów usuwała wszelkie wątpliwości. Równocześnie miało się wrażenie, że różnice między twarzą Czelawy i brata Stachura wytworzyły się jakby dopiero z czasem; mimowoli nasuwała się myśl, że obaj mieli kiedyś twarze najzupełniej jednakowe, które później wskutek odmiennych kolei życia uległy zróżnicowaniu, zatrzymując w liniach zasadniczych elementy wspólne.

Przyczyny tego rozdźwięku mogły leżeć zarówno w przeżyciach duchowych, jak fizycznych. Oblicze Stachura nosiło ślady rozpusty i nocnych hulanek; z pod wspaniale sklepionego czoła Czelawy wyzierały jego głębokie oczy, lecz jakby znieprawione obcym mu wyrazem — inteligencya uczonego weszła tu w dziwaczny sojusz z rozbestwieniem. Były to dwie nader do siebie podobne, lecz przecież różne osobowości.

Zauważyłem nadto jeszcze inne, silniej zaakcentowane różnice. Przez czoło Stachura biegła podłużna rysa, jak od rozcięcia ostrem narzędziem lub szkłem, zapewne ślad jakiejś awantury, w które bez wątpienia obfitowało jego życie. Lecz najbardziej zastanawiał jeden szczegół, który odrazu wpadał w oko. Profesor utykał na nogę prawą, gdy ruchy Stachura zdradzały podobną ułomność, lecz po przeciwnej stronie ciała: kulał wyraźnie na lewą. Ta różnica, a równocześnie podobieństwo dawały dużo do myślenia.

Postanowiłem z kolei dokładniej zapoznać się z jego charakterem i psychiką, na razie poprzestając na obserwacyi z daleka.

Zachowywał się głośno, czując się tutaj jak u siebie. Mówił głosem ochrypłym, tonem drwiąco żartobliwym. Wkrótce spostrzegłem, że mimo powierzchowności zupełnie dostrojonej do tła, przecież go wyróżniają. Wyglądało to z zachowania się gości, z pewnego półświadomego szacunku, z jakim się doń zwracano. Być może dlatego, że cynizmem przewyższał wszystkich, być może z innej przyczyny. Przechodził od grupy do grupy, przypijał, poklepywał po plecach protekcyonalnie, podniecał do żartów i wyuzdania.

W ten sposób zbliżył się i do kilku apaszy, siedzących opodal mego stołu. Zaraz zrobiono mu miejsce i podsunięto świeżą szklankę. Jeden z towarzystwa zaczął coś opowiadać. Rzecz zdaje się zajęła go, bo rozsiadł się wygodnie i zapaliwszy fajkę, przysłuchiwał się z zajęciem.

Zaciekawiony wytężyłem słuch, by pochwycić choć parę słów.

Apasz ze zwycięzkim uśmiechem na wargach grubych, zmysłowych opowiadał ohydną historyę, w której zwyrodnienie płciowe szło o lepsze z bestyalstwem.

Stachurowi zwierzenia widocznie bardzo przypadły do gustu, bo ciągle uśmiechał się, dolewał mu wina i przerywał od czasu do czasu pytaniami o szczegóły.

Lecz właśnie te pytania przedstawiły mi go w całkiem nowem świetle. Były dziwnie inteligentne, stawiane rzekłbym metodycznie. Gdy tak patrzyłem nań, jak siedział rozparty w krześle z oczyma wlepionemi w narratora, rzucając chwilami jakąś uwagę równie bezwstydną, jak trafną — mimowoli zestawiałem go z prof. Czelawą: Stachur zdawał się wprost badać towarzysza, który nie podejrzywając dla mnie oczywistej intencyi, wywnętrzał się z naiwnie bezwstydną otwartością. Gdy skończył, Stachur bryznął na pożegnanie przejaskrawionym żartem i zbliżył się do mego stolika. Widząc to, zacząłem zmyślać dłuższą historyę, w której odgrywałem rzekomo pierwszą rolę; mówiłem płynnie, okraszając rzecz stereotypowemi wyrażeniami z gwary podmiejskiej.

Słuchacze spostrzegłszy zbliżającego się brata, przepuścili go bliżej; usiadł obok, nie spuszczając ze mnie oka. Wzrok jego przeszywający, bystry mieszał mię i czułem się nieswój. Lecz Stachur milczał i nie przeszkadzał mi, uśmiechając się czasem nieznacznie. Potem nic nie mówiąc, odszedł w głąb sali.

Gdy się trochę koło mnie przerzedziło i gospoda zwolna zaczęła się opróżniać, niespodzianie przysiadł się do mnie, ujmując poufale za ramię:

— No — towarzyszu miły — sądzę, że będziemy przyjaciółmi. Zdaje się, żeśmy z jednego gniazda ptaki.

Myśląc, że to tylko zwykła forma przyjęcia do

grona „Rudej Berty", trąciłem o jego szklankę na znak braterstwa. Lecz wyraz mej twarzy w tej chwili nie podobał mu się widocznie, bo z filuternym uśmiechem zauważył:

— Tylko bez tych stylizowań. Ze mną nie potrzeba. Co innego tamci — wskazał pogardliwie na izbę — my pokrewne duchy; przejrzałem cię na wylot... No — przyznaj się — przyszedłeś tu na studya, co?

Zaskoczony z nienacka, patrzyłem nań w osłupieniu. Powoli zoryentowałem się. Nie chcąc grać w zupełnie otwarte karty, zniżonym głosem przedstawiłem się jako jednostka wykolejona, niegdyś literat, obecnie z nędzy i rozpaczy szukający pociechy w napoju i obcowaniu z mętami. Uwierzył.

— Widzisz bratku, odrazu poznałem, że tu się coś święci. No, jakoś pójdzie. Będziemy razem studyowali; może co z tego wydłubiesz. A warto, bardzo, bardzo. Co za typy, co za ludzie! Panorama obłąkań, pandemonium żądz, wykwit zbrodniczości! Pyszne okazy! Słyszałeś, co ten nożownik z pod okna gadał przed chwilą?

Zrobiłem potwierdzający ruch głową.

— A wiesz? — aha — jak się wabisz?

— Kazimierz Dzierzba — zmyśliłem naprędce.

— A wiesz Dzierzbo, co w tem wszystkiem najwspanialszego?

Popatrzyłem pytająco.

— Że żaden z tych dobrych ludzi nie przypuszcza, że ich podpatruję. Niby to się gada, przytakuje, dodaje — a wszystko z premedytacyą według planu, metodycznie. Na pasku ich wodzę.

— Słuchajno Stachur — przerwałem — a tobie to na co?

— Z amatorstwa rozumie się, taki sobie dyletantyzm. Uważasz? — odparł szybko.

— Rozumiem; to cię bawi.

— Tak, tak. Wrodzona skłonność do tropienia ludzkiej podszewki. Zresztą jest mi tu dobrze. Potrzebuję ich, nie mógłbym już żyć inaczej. Pozatem lubię bagienko. To mój żywioł.

— A dawniej?

— Jakto dawniej? Masz na myśli moją przeszłość. Hm... tak mniejwięcej było od najwcześniejszej młodości. Zawsze ciągnęło mię coś do tych nor. Ot taki sobie nocny człowiek.

— I to ci wystarcza do szczęścia? Ta nędza — ten brud?

— Ha, tak się jakoś złożyło. — Posmutniał. — Ale wkrótce to się zmieni. I mnie się też należy mój dział. Postaram się o pieniądze!

Patrzył dziko, mściwie, gniewnie.

— Jeszcze poczekam jakiś czas — dodał ponuro — lecz potem... No, ale to ciebie nie obchodzi. Lepiej pogadajmy o czem innem.

I zaczął ze mną formalną dysputę na tle zagadnień psychozy.

Byłem zdumiony. Ten obdartus mówił jak pierwszorzędny psychiatra. Znał wszystkie najnowsze teorye, wszystkie badania, eksperymenty; zbijał jedne, prostował drugie. Poglądy jego zabarwione silnym indywidualizmem przypomniały mi zaraz prelekcye Czelawy; były mo-



J. MEHOFFER STU[illegible]

menty, w których powątpiewałem o istnieniu dwóch odrębnych ludzi: brata Stachura i profesora, stapiając ich w jedno. Lecz iluzya rozpływała się za pierwszym rzutem oka na tę twarz obrzękłą od pijaństwa, porysowaną bliznami, na dźwięk tego głosu ochrypłego od nocnych wybryków. Przedemną siedział Stachur, brat Stachur, tylko z kompletnym zasobem wiedzy prof. Czelawy. Dziwne to było, tajemnicze, lecz rzeczywiste.

Koło piątej nad ranem rozstaliśmy się. On opuścił oberżę pierwszy, ja wychyliłem się w parę minut za nim, zachowując przyzwoite oddalenie. Szliśmy oczywiście w jedną stronę; by go dalej śledzić, nie potrzebowałem zbaczać od mego mieszkania.

O trzy na szóstą, zanim zaczął się ruch w kamienicy, otworzył bramę i zniknął we wnętrzu.

C. d. n.

EDWARD LESZCZYŃSKI.

GRAJ MI PRZEDZIWNA MUZYKO...

Graj mi przedziwna muzyko!
— już wszystko wokół umarło
— chwast w dzikie wrasta się głazy,
gdzie tak niedawno przedemną
płonęły życia obrazy
— dziś życie samo je starło.

Nie mogłem duszy wyśpiewać
miłością ani żywotem —
jakiż to napój, co jeszcze
zdolen to serce rozgrzewać
strasznym uśpione blekotem.

— Graj mi przedziwna muzyko!
słucham cię duszą wsłuchany.
Już mię od ciebie nie dzieli
to, czem się człowiek weseli,
lub smuci — w życiu zbłąkany.

Koło mnie chodzą upiory,
przez ludzkie patrzą się ciała.
Ostatnie prysły zapory,
w głąb straszną dusza spojrzała.
Świat zachybotał mi w oczach
w straszliwej gonitwie godzin
— graj mi przedziwna muzyko
pieśń skonów mych i narodzin!

Graj mi przedziwna muzyko!
Już w rytmach bożego grania
nowa się ziemia wyłania
i nowe gwiazdy nademną.
W krąg żywy cud mię otacza,
a głos twej pieśni głęboki
płynie i wiedzie me kroki —
Na oną drogę kto wstąpił,
już z niej na wieki nie zbacza.

Samotny chodzę wśród ludzi
— lat mknących tłumna gromada,
jak sypkich liści ulewa
w ciemną się otchłań zapada.
Twojeż to tchnienie je zwiewa
przedziwna pieśni, co z łona,
tajni żywota zrodzona,
dziś moją duszę w swe kręgi
boską zniewalasz przemocą
i wiedziesz w światy dalekie,
gdzie nowe gwiazdy się złocą?!

— Graj mi przedziwna muzyko,
pieśń mego z tobą przymierza!
— Już wszystko wokół umarło
— ku tobie dusza ma zmierza.



VLASTIMIL HOFMANN *PUSTE GNIAZDKO*

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

15)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Potężne pulsa natury Piotra biły teraz wszystkiemi żądzami. Jakgdyby będący przed nim akt, którego ostatecznym efektem miał być płód, oddziaływał na całą zdolność płodną jego organizmu. Zaroiło się przed nim mnóstwo zadań życia w niesłychanej plastyce i barwności. Radby był w te myśli swoje wciągnąć swoją narzeczoną, przedstawić jej obrazy dzieł, wespół z nią je tworzyć. Przymusowa zimna pzestrzeń między nimi napełniała go wściekłym gniewem. Parę mil — dom o dom — i nie można. Cóż przeszkadza? Oto parę osób obojętnych, nieistniejących, bez znaczenia, głupi mus świata — — i niema rady. Starać się o pannę — wyrażenie jakieś zestarzałe, spłowiałe, starte, już nawet i w ustach tych, którzy je wymawiają. Zresztą rozumiał dobrze karteczkę Donimuntówny — bez pewnych danych warunków on niemógł starać się o nią. Przygotowywanie matki mówiło wszystko.

Jedyną drogą, która mogła go poprowadzić, było zdobycie majątku. Ale zdobycie majątku wymagało czasu. Nie było tu terenu do robienia cudów finansowych — nie płynęła nafta, niebyło kopalni złota, ani giełdy. Fortuny mnożyły się i wznosiły, ale tempem powolnem. Jego

zawód mógł dać mu środki materyalne w rękę, ale w przeciągu szeregu lat i w mieście, w którem by naprzód trzeba było dać się poznać, a potem wytrzymywać i zwyciężać konkurencyę. Jednak myśl wyjazdu, opuszczenia Donimuntówny, rozluźnienia nici, która ich wiązała wspólną okolicą, odrzucała Piotra od siebie. Postanowił czekać, co czas przyniesie.

Jego uczucie dla tej dziewczyny definiowało się dla niego samego coraz więcej: tonął on w kobiecości, w czarze i ponęcie kobiecej, które wyobrażała mu Donimuntówna. Kobieta w Donimuntównie zasłaniała mu raczej ją samą. Natomiast odczuwał, że dla niej on sam zasłania w sobie mężczyznę.

Nieraz rano, gdy budził się o świcie pełen sił i świeżości dojrzałej, postanowił w pierwszym momencie nie zważać na nic i zjawić się w Łąkach wyraźnie po swoją narzeczoną żonę; ale później natychmiast spostrzegł niemożebność tego instynktu. Ogarniała go niecierpliwość. Ani mówić, ani się widzieć, ani się porozumieć — nic. I dokądże to miało trwać? Dotąd, dopóki mu Donimuntówna nie da znaku, że może być inaczej. Dlaczego?

Otóż tu rozsnuwało się przed Piotrem całe pasmo zjawisk życiowych, którym wszystkim razem sprzeciwiały się wszelkie ludzkie pojęcia i które wszystkie były głęboko usprawiedliwione racyami życia. W tym lesie obłąkiwał się duch wolny, aby ujrzeć się ostatecznie w klatce i pośród prętów.

Piotr, który począł pracować pośród robotników przemysłowych rozmawiając z nimi, ucząc ich i starając się umoralniać w swojem rozumieniu z pobudek idei, a razem omawiając z nimi ich prawa, ich krzywdy i rzucając pomiędzy nich słowa brzmiące, jak hasła zdobywcze, począł się teraz tą pracą głuszyć i zatumaniać. Świadomość i poczucie więzów życiowego warunku, wyższość nad nim pani Donimuntowej, lub paragraf kodeksu życiowego wobec niego Zbigniewa Donimunta, upokarzały, bolały go osobiście, a zarazem poruszyły w nim bunt teoretycznie.

Tymczasem okoliczne towarzystwo stanęło przeciwko niemu, jak mur. Wykluczono go. Donimuntowa nie wyjechała z córką do Warszawy i Piotra raz wraz dochodziły wieści o wiosennych piknikach i zabawach prywatnych, na których bywały te panie.

— Widzisz pan, siedzisz pan — mówił mu zmiędły kawaler Bawrowicz. — Lody byłyby pękły i byłbyś się pan choć raz na tydzień zabawił po wsiach. Urwałeś pan Dzierzyńskiemu kawałek ucha, a sobie całą przyjemność pobytu tutaj. Pan powinieneś zrobić jedno: postarać się o to, ażeby hrabia pana zaprosił. Dwudziestego czerwca, w rocznicę założenia pierwszej cukrowni tutejszej hrabiego, jest u niego co roku ogromny bal, zjazd nawet zdaleka, zabawa towarzyska en gros, przyjęcie książęce. Wszystka szlachta okoliczna, jak jeden mąż. Chyba, że już kto niema w czem przyjechać, albo na czem. Szampan się leje, kuchnia — mniam! mniam! Ten jeden raz do roku zapraszają do pałacu naprawdę, bo tam te imieniny, o ile hrabia jest u siebie, Nowy Rok, Święcone, Panie Boże odpuść, ale wszystko eff! eff! Oficyalistów proszą, ale tylko tych, których hrabia zna osobiście. Pan mu był przedstawiony?

— Nie.

— No to trzeba, żeby pana pan Rzesiński plenipotent przedstawił.

— To łatwo. Hrabia plan kościoła zatwierdził, a ja chcę sufit zmienić.

— No więc. Powód jest. Jak pana tam zobaczą, to się zmieni. Jeszcze jakby z panem która z kuzynek hrabiego chciała przetańczyć, które się tu zjadą, bo tam jest dosyć trudno tak dla jednego z unser einer pójść i poprosić o turę walca, to panu tego Dzierzyńskiego darują. Wszystko tu już widziałem. Dwóch tu jest Panów Bogów: jeden na niebie prawdziwy, a drugi na ziemi, hrabia. Idźże pan poproś pana Rzesińskiego, bo tam także tak nie od razu iść, oddać bilet i spytać się lokaja, czy pan hrabia w domu, zwłaszcza dla nas, niby podwładnych.

— Ale — przerwał Piotr.

— Ale co pan będziesz dużo gadał, panie! — niedopuścił go do głosu Bawrowicz. — Nie tacy byli! Trzeba rzeczy brać, jak są. Pan służysz u hrabiego, ja służę u hrabiego, pan Rzesiński, choć czterema końmi jeździ, służy u hrabiego, dyrektor Latała, choć go rachują na pięćdziesiąt tysięcy rubli rocznie, służy u hrabiego — bo każdy mniejszy służy u większego i na tem polega porządek życia, panie Węglin. Niemasz pan dwudziestu lat, żeby się pan o to ze mną kłócił. A powiesz mi pan, że ci, co nie są zależnymi od hrabiego, jako od większego, nie podlegają mu? No to się pan przekonasz, że jak pana tam zobaczą, to pana wszędzie będą prosili — może z wyjątkiem pani Dzierzyńskiej. Idź się pan ubierz. Bo to, żeś pan u Donimuntów siedział, to nic nie znaczy. Jedno Donimuntowie dmą, a takich samych i bogatszych pośród szlachty się tu znajdzie, drugie wiesz pan, co mówiono? Że niema się co dziwić, Ewaryst Donimunt każdą zmarzłą jaskółkę zabierze do kieszeni i krzesi, to nic dziwnego, że i pana wziął.

— Wzięto to za akt miłosierdzia?

— A pan za co wziął?

— Pewnie — cóż my, Bawrowicze, Węgliny —

— A no widzisz pan, to nasza rola na świe-

cie, dopóki się z nas nie porobią Latały. Biedni, mali — —

— Pan na mnie robi wrażenie, panie Bawrowicz, jakby pana coś zgniotło — rzekł Piotr.

Zmiędły kawaler podniósł palec do góry i odparł:

— Mało pan znajdziesz ludzi, którzyby tak rozumieli życie, jak ja. Urzędnik jestem, panie Węglin. —

— Aha. Bądź pan zdrów.

To więc była droga znalezienia względów, a w tym wypadku i przebaczenia towarzystwa okolicy. Odraza ogarnęła Piotra. I to Nina Donimuntówna należy do tych ludzi... Jednak wszystko, co Piotr odczuł, ustępowało przed jednem: zazdrością o tę kobietę. Tyle już razy pięści ściskał i gryzł palce myśląc o tem, że z nią tańczą, że ją obejmują, że do niej mówią, że ona się obejmować i brać za rękę daje, uśmiecha się do ludzi, odpowiada. Wejść między tych ludzi, zagrodzić im drogę — zastawić swoją kobietę niezrównanemi stalowemi mięśniami ramion — odegnać to stado...

Starego hrabiego nieznał; przyjeżdżał on rzadko, bawił krótko. Pałac był o milę przeszło od osady. Nieraz ciekawił go zdaleka, w ogromnym parku gmach okazały, dwupiętrowy, z wielkiemi oknami, z ornamentowanym bogato i wspaniale dachem, który widać było z małego wzniesienia z przejazdu wśród szpalerów drzew odwiecznych. Mały Rzym powiatowy, wsi i miasta.

Zobaczył człowieka starego, potężnego wzrostu, szerokich ramion, siwego z dużemi wąsami po polsku, impozycyjnej powierzchowności, który nie podał mu ręki siedząc przy biurze i prawie nie spojrzał na niego z poza okularów, skinąwszy głową przy przedstawieniu.

— Pojektuje pan zmianę sufitu kościoła, panie Węglin? — zapytał. — Słyszałem, że ładnie idzie. Jak mury dojdą do dziesięciu metrów, da mi pan znać. Niewidziałem jeszcze. Trudno czas znaleźć. Pan chorował?

— Chorowałem.

Hrabia popatrzył na niego, potem na pana Rzesińskiego plenipotenta, który stał obok.

— Panowie siądą. Pan ma czas, panie Mieczysławie?

— Niebardzo, panie hrabio.

— No to nie zajmuję. Padam do nóg. Proszę, panie Węglin.

Piotr rozłożył plan kolorowy wnętrza i spojrzał naokoło siebie.

Kancelaryjny ten gabinet, z kasami ogniotrwałemi, skrzyniami żelaznemi, przyśrubowanemi do podłogi, na drugiem piętrze pałacu, ogromny, bogaty i ciężki, jak cały pałac, postaciował dobrze kogo przedstawiał. Ztąd ta ciężka ręka panowania moralnego i realnego spoczywała na wielkim płacie ziemi naokoło. Poczucie to mogło być przeciwne wszelkiemu instynktowi, niemniej było imponujące. Przedewszystkiem uderzał tu spokój. Spokojnem było wszystko, aż do kostiumu hrabiego, z jakiegoś ciemnego angielskiego materyału w drobną jednotonną kratkę, i rżniętego w szafirze sygnetu na jego wskazującym palcu u prawej ręki, bo tak nosił. Głowa i twarz, na które Piotr patrzał, nie wskazywały intelligenta — była to głowa i twarz woli, charakteru, impozycyi i energii. Hrabia podniósł głowę, wziął cygaro z pudełka, zerwał papierek, obciął, dmuchnął w cygaro z przeciwnego końca, zapalił, podniósł głowę z nad planu, oparł się w fotelu, puścił kłąb dymu i odezwał się:

— Ładne. Pan zkąd? Jeżeli się niemylę, syn emigranta? Mówiono mi.

— Powstańca.

— Tak. Panu się tu podoba?

— Tak.

Hrabia podniósł brwi.

— Czy pan źle po polsku mówi?

— Owszem, zdaje mi się, że już dobrze.

— Pan chorował u Donimunta. Prawda, proszę pana?

— Tak, panie hrabio.

— Proszę pana — zaakcentował stary hrabia — a wolno wiedzieć, czy pana łączyły jakie stosunki z Ewarystem Donimuntem uprzednio?

— Zdarzyło mi się oddać tej rodzinie pewną usługę. To był powód zajęcia się mną pana Donimunta w chorobie.

— Aha. Rewanż. To szlachetny człowiek... Zapalno pan cygaro, panie Węglin. Pali pan?

— Palę.

— Proszę.

— Osobliwy człowiek ten Ewaryst Donimunt... Dziwak... Oryginał... Człowiek bardzo światowy... Bogaty... Liczą się z nim w okolicy.

— Zdaje mi się, że tak.

— No, pan to musiał dobrze zauważyć, panie Węglin. Niewiem, czy z kim drugim tak się liczą w okolicy, jak z nim. Nieprawdaż?

— Zbyt krótko jestem tutaj — odparł Piotr. — Zdaje mi się, że istotnie pan Donimunt ma tu wielki mir.

— Właśnie. Dobrześ się pan wyraził. Czy pan wiesz, wiele on ma dochodu?

— Niewiem.

— Sto pięćdziesiąt tysięcy franków. A z tego ze siedmdziesiąt tysięcy, jeżeli nie grubo więcej, idzie po cichu pomiędzy ludzi. Oto jak się u nas zdobywa mir, panie Węglin — rzekł hrabia, jakby z pewnem rozgoryczeniem w głosie.

— No, toby tylko przecie świadczyło pięknie o panu Donimuncie — odpowiedział Piotr poczynając zdawać sobie sprawę.

— No tak, ale nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić, nawet choćby i trochę więcej mieli. Pan z nim dużo rozmawiał? Tak o ludziach? O tutejszych? Wypytywał się go pan o stosunki, o opinie? Tak, żeby się oznajomić z gruntem? Pan, jako architekt, inżynier, zdolny człowiek? Pan jest tu na swobodniejszych prawach, jak inni urzędnicy. On tam niema zamiaru czego stawiać? Jakiego przytułku, szpitala, albo co?

— Niesłyszałem. A co do rozmów naszych, to pan Donimunt wiele i o wielu rzeczach ze mną mówił.

— Mnie tam nie wspominał czasem, hę? Podobno mnie ma za skąpca? Takich fortun i stosunków ludzie, jak Ewaryst Donimunt, niemają obowiązków.

— Zdaje mi się — rzekł Piotr — że tak rozumny człowiek, jak pan Donimunt, rozumie dobrze prawa życia.

— Otóż to, dobrześ pan to określił: prawa życia. Czy on to jednak rozumie? Bo zwykle dopiero dwa bieguny się schodzą. Byłbym szczęśliwy, gdybym tak, jak on, siedział w Łąkach. Rywalizowałbym z nim wtedy o popularność, o mir, o znaczenie, starałbym się... A na mój kościół, co mówi?

— Cóż może mówić? To co każdy.

— A cóż ludzie mówią?

— Podziwiają hojność pana hrabiego — odpowiedział Piotr, którego nudziła rozwijająca się przed nim próżność skąpego a pretensyonalnego starca.

— No tak, postawić kościół za dwakroć sto tysięcy rubli prywatnym sumptem, to jest coś. Ale ludzieby chcieli więcej, na to, na tamto, na owo. Potem to się nazywa: „hrabia nic nie robi“. Nikt z nas nie jest Rockefellerem, ani Carnegiem. Czy słyszał kto kiedy o jakich ofiarach człowieka tak bogatego, jak książe Westminster? Cóż pochłania te więcej niż królewskie dochody? Obowiązek świata, dom i wzgląd na jutro. A jeszcze tu, gdzie ziemia pod nogami zdrowa, ale nie murowana. Trzeba się oglądać na wszystkie strony. Czas nie śpi.

Stary magnat mówił w końcu, jakby do siebie. Piotr wstał.

— No, do widzenia z panem, mój młody panie, do widzenia — żegnał go hrabia nie wyciągając doń jak i poprzednio ręki — żegnam.

— Cóż? — zapytał Piotra Bawrowicz. — Hrabia lubi mówić z nowymi urzędnikami. Ma ich za naiwnych. Mówił z panem?

— Mówił.

— Jakże?

— No przypuszczam, że nie inaczej, jak z innymi. Przecie i pan musiałeś być dopuszczony przed majestat pański.

— Byłem, ale tylko raz i na krótko. Bo, jak mi się spytał, gdzie kończyłem technikę, a ja powiedziałem: w Dorpacie, ścielę się do stópek pana hrabiego — tak się na tem skończyło.

— No to trudno grzeczniej było odpowiedzieć.

— Otóż właśnie, zdaje mi się, że za grzecznie się odezwałem.

— I że już nie potrzebuje pana indagować więcej. Wygląda na ciekawego.

— Wszystko wie! W Paryżu siedzi, a wie, co się tu dzieje. Którędy niewiadomo, a wie. Lubi popularność i idzie mu o nią, tylko jej kupić niechce. Hehehe! Stary skąpiec. Ale teraz jużeś pan pewny. Rzesiński pana wpisze na listę.

— Na tę uroczystość doroczną?

— Aha! Dopiero pan zobaczysz, co możny człowiek może. Przesiewicz ma do Wszystkich Świętych cukry. Bo te panie wszystkie razem tak drą pudła, że Rzesiński z marszałkiem dworu mają podobno na nie osobną rubrykę.

— Jakto? I ta śliczna panna?

— Ale! Gdzie nie chowa?! Spytaj się pan jej pokojówki, co się jej przydarzyło przed dwoma laty, bo ta niepoczciwa dziewczyna rozgadała między sługami. Podobno te panie sobie kazały robić osobne z płótna —

— Cóż sobie kazały robić?

— Hihihi! — śmiał się zmiędły kawaler na wspomnienie. — Hihihi! Są okolice...

Piotra piknęło coś; samemu sobie na złość zapytał:

— A Donimuntówna?

— Zwaryowałeś pan? Ale, hihihi, podziwiałeś pan tam, co? Parą końmi nawracać! Rarytaty!

Piotra ogarnął nagły chłód co do tej dziewczyny. Rozdrażnił go Bawrowicz, niemniej oziębił odrazu.

D. c. n.

Z. L.

FRYDERYK NIETZSCHE.

S A M O T N Y.

Stado kraczących wron
chyże od pól ku miastu leci...
Szczęśliwy ten, kto schron
w czasie śniegowej ma zamieci....

Ty teraz stoisz — wstecz,
daleko, hen gdzieś zapatrzony...
Przecz-żeś ty, głupcze, przecz
w obce przed zimą ruszał strony?...

Los cię pogoni w świat,
w pustynie, kędy wieczna zima...
Kto twoich doznał strat,
nigdzie się w drodze nie zatrzyma.

Bezdomny tułacz ty —
przekleństwo zimą w świat cię żenie....
Jak dym ów jesteś mdły,
co się pod niebios pnie sklepienie...

Leć, ptaku, pienia piej,
pustynne pieśni o swobodzie!
Krwawiące serce — hej! —
w udanych szyderstw ukryj łodzie!

Stado kraczących wron
chyże od pól ku miastu leci...
Biada ci, jeśliś schron
w czasie śniegowej zbył zamieci!...

Przełożył *Jan Chełmirski.*



ST. WYSPIAŃSKI *Z „ZIELNIKA".*

RYSZARD DEHMEL.

Z POEMATU: „ZWEI MENSCHEN".

Kroczy ich dwoje w zimny las uśpiony.

Wraz z nimi księżyc srebrnolity
Nad dębowemi mknie korony,
Co czarne czuby swe w błękity
Przeczyste grążą. Północ dyszy.
Kobiety głos się ozwie w ciszy:

W mem łonie dziecię — z krwi nie twojej,
Występna idę przy twym boku,
Sumienie jadem złym mię poi.
Gdy ma nadzieja szczezła w mroku,
A trawił duszę głód powicia,
Głód macierzyństwa, treści życia,
Głód obowiązku — wroga siła
Tak mną owładła, że ktoś inny
Wziął dań z mej piersi ogniem płynnej,
I za tom sobie wdzięczną była.
Lecz z zemstą czekał los na niebie,
Bo oto ciebie znów mam, ciebie!

Spojrzała w górę. Dysk promienny
Śledził jej kroków rytm brzemienny.
Jej ciemny wzrok w jasnościach tonie,
A głos mężczyzny czarem wionie:

Dziecię, coś w łonie swem poczęła,
Niechaj nie cięży tobie grzechem.
O spójrz, jak glorja drga uśmiechem!
Cóż, że nam morze w lód zakrzepło?
Jakieś wewnętrzne ku mnie ciepło
Płynie od ciebie — i wzajemnie.
To ciepło — dziecię obce zbawi.
Zrodzisz je dla mnie i przezemnie,
Rzuciłaś blask na moją drogę,
Że sam jak dziecię płakać mogę.

Objął ramieniem bujne biodra,
Ust tchnienia światłość łączy modra.

Tak kroczą dwoje w noc, co Boga sławi.

Przełożył *Cezary Jellenta*

FR. MIRANDOLA.

UPROSZCZONY SPOSÓB.

(Dokończenie). (GROTESKA).

...Wiesz panie? Ponieważ nam nie idzie o zniszczenie towarów, których nie mamy, ale pozbycie się ludzi, przeto wystarczy zwołać ich pod broń, podzielić na małe oddziałki, ponumerować i ustawić naprzeciw oddziałów moich, opatrzonych tymi samymi numerami. Potem niech strzelają aż do skutku. Ghurkowie twoi są dzielnym patryotycznym ludem, wystarczy im powiedzieć, że idzie o odzyskanie Sikkimu, na który się rzucają Bhutiowie. Pójdą jak szaleni w bój. Ale moi Tybetańcy nie są tak głupi, będę musiał sprawić pewną ilość sztandarów z wyobrażeniami boga Rahu, czyli smoczego ogona, planety szczęśliwej i opublikować, że wielki Dharma radża Arrapathi Kaikeja odpuszcza grzechy popełnione do pierwszej bitwy temu, kto mężnie będzie stał pod kulami wroga, nie usiłując się ukryć za drzewo.

To pomoże moim ludziom, boją się oni bowiem bardzo najmniejszego grzechu. Będą zaś mordowali wspaniale, zaręczam, o ile grzech ten wezmę na siebie.

Musimy tylko pilnować, by się wszystko odbyło w porządku, szybko i możliwie najoszczędniej. Dla przyspieszenia sprawy, nie damy żołnierzom jeść, aż po każdej bitwie, a ten, kto mało zabija, musi pościć do bitwy następnej.

Liczę, że to wszystko potrwa mniej więcej tydzień.

Główna rzecz, powtarzam Waszej Wysokości, to oszczędność! Tylko wówczas odniesiemy korzyść, tylko wówczas przyda nam się na coś zmniejszenie ludności, gdy nie zwiększymy własnych długów i nie obciążymy jakiemś zobowiązaniem tych towarów niewielu, jakie posiadamy.

Zamilkł Depa radża, a czcigodny Vaskhali bikshu siedział długi czas zamyślony. Nie mówili obaj nic, rozważali w głębi dusz swoich całą sprawę. Aż dopiero kiedy uczuli, że ogień świadomości, przedziwna Kundalini rozkwitła w ich myślach po długim okresie pączkowania, jak cudny rododendron himalajski na zboczach skał, wówczas powstał czcigodny radża Nepalu i rzekł:

— Depa radżo Bhutanu! Jesteś moim wrogiem, a lud twój jest wrogiem mego ludu. Sromotnie napadasz Sikkim, księstwo utworzone z okręgu Almory, rdzennie nepalskiego kraju, wydartego nam przez wrogów.

— Radżo Nepalu! — odrzekł tenże. — Jesteś moim wrogiem, a lud twój jest wrogiem mego ludu. Twierdzisz, jakoby Almora była rdzennie nepalskim krajem, gdy w rzeczywistości jest ona krajem Bhutiów, czego dowodem po pierwsze to choćby, iż tak twierdzę i tak twierdzić mi się podoba, po drugie zaś to, że moje własne futro zrobione jest ze skór angorskich z Almory.

Vaskhali uderzył w mały, bronzowy gong. Weszli dworzanie i służba.

— Poprosić tutaj dostojników państwa i książąt kraju! — rozkazał radża. — Mam obwieścić rzecz wielkiej wagi!

— Radżo Nepalu! — ozwał się Depa radża podniesionym głosem — odchodzę! Spotkamy się na polu chwały, gdzie dokończymy dzisiejszej rozmowy!

— Oby tylko dla Waszej Wysokości wypadła pomyślnie! — rzekł dumnie Vaskhali bikshu. — Odprowadzić radżę do granic państwa! — rozkazał. — Dać honorową eskortę!

— Dziwne słyszę rzeczy! — zauważył Raikwa, stary mędrzec, ulubieniec króla. — Pocóż eskorta przyjaciołom?

— Dowiesz się dziwniejszych rzeczy, czcigodny Raikwa, nim minie godzina.

Depa radża odjechał, cały zaś zebrany dwór posłyszał niebawem niespodziewaną wieść.

Oto rada książąt pod przewodnictwem maharadży uchwaliła wielką wojnę z księstwem Buthanu, albowiem Bhutan wyciągnął rękę po rdzennie nepalski kraj, Sikkim.

Wieść przyjęto z entuzyazmem ogromnym. Flagi ubarwiły stolicę, rozebrzmiały muzyki. Obnoszono na rękach generałów, królowi wręczano masowo dobrowolne dary w złocie i klejnotach. Nie wyłączał się nikt.

Jeszcze większa radość wezbrała we wszystkich sercach, gdy maradża ogłosił odezwę. W odezwie tej zapowiedział Vaskhali bikshu, że mocą swej władzy uznaje za obywateli wszystkich uchodźców z Sudanu, którzy staną do boju, jako ochotnicy.

Bezdomni tysiącami zaczęli się garnąć pod niebieski sztandar państwowy z głową zebu pośrodku, uszczęśliwieni, że posiedli nową ojczyznę i będą mieli co jeść.

Nie zostali też w tyle cudzoziemcy. Żydzi pracujący w kopalniach Tarai utworzyli korpus markietanów, zaś Polacy z Lachistanu legion posiłkowy. Otrzymali za to prawo własnego munduru i własnej komendy.

Wprawdzie nadpłynęły dziwne wieści, że taki sam legion wysztyftowali Polacy zajęci w Bhutanie, ale przestano się temu dziwić, gdy

znawca Polaków, inżynier kopalni Schmelkes z Warszawy objaśnił, iż taki już jest stary obyczaj tego narodu, który miesza się do wszystkich wojen, służąc w ten sposób umiłowanej nad wszystko ojczyźnie.

Czynne też były kobiety w łonie wielkiego Naczelnego Komitetu Narodowego — utworzyły się sekcye Samarytanek, dam Czerwonego Zebu



J. MEHOFFER *PORTRET.*

i Liga Kobiet Pocieszycielek ochotników, w której to Lidze znalazły miejsce także sekcya żydowska, chińska i polska.

Nie brakło, co prawda i malkontentów. Twierdzili oni, że po pierwsze, o Sikkim walczyć nie można, gdyż jest to własność Anglii, powtóre zaś, że jest to maleństwo, jałowe i skaliste, gdzie kozy angorskie giną z głodu, przeto nawet w razie zdobycia, trud i koszta się nie opłacą.

Ludzie ci zastanawiali się wreszcie nad kwestyą, skąd weźmie Nepal żywności dla uchodźców, którzy nagle uzyskali pełnię praw obywatelskich.

Pukali się po czołach, ale nic wypukać nie mogąc rozpoczęli starania, aby w sposób mniejwięcej zgodny z prawem uzyskać reklamacyę od służby wojskowej.

Niebawem wsiąkli gdzieś i ani ich znać było. Pozostali sami entuzyaści.

Ponieważ naczelna komenda ogłosiła, że ćwiczyć żołnierza nie trzeba, gdyż każdy Ghurka jest z natury żołnierzem, a obcokrajowcom ćwiczenie zastąpi zapał, przeto niezwłocznie sformowano kolumny, wzięto na fury broń i amunicyę i udano się na plac boju.

Druga strona nie trwoniła także czasu. Z bezprzykładną szybkością zmobilizowane armie, już dnia drugiego stały przeciw sobie.

Około godziny piątej popołudniu, strojny w mundur polowy sędziwy Vaskhali bikshu stał przed namiotem otoczony dzielnymi generałami. Nad głowami świetnego grona powiewał błękitny sztandar z głową zebu pośrodku, w dali zaś jak okiem sięgnąć szarzały kolumny wojsk.

Potężne sprawiały wrażenie, mimo braku jednolitego umundurowania. Nie suknia stanowi żołnierza! Takie hasło padło z ust królewskich. Stanął więc każdy we własnym stroju.

Odebrawszy raporty, sędziwy monarcha podniósł w górę wielki bat o siedmiu złocistych rzemieniach, symbol zwierzchniej władzy wojennej i miał dać znak rozpoczęcia boju, gdy nagle rozpoczęły się liczne trąbki automobilów i w dali zamajaczyły pędzące z zawrotną chyżością samochody.

— To „starsi bracia“ z Kalkuty! — odezwał się któryś generał. — Zapewne przysyłają swych attaché wojskowych i sprawozdawców wojennych.

Jeszcze nie stanęły wozy, gdy wyskakiwać z nich zaczęli, wysocy, rudowłosi mężczyźni, w kraciastych strojach, z fajkami w zębach.

Wnet utworzyła się gromadka i skierowała wprost do maharadży, który opuścił bicz i patrzył zaniepokojony na przybyszów.

Gdy stanęli obok niego i zaczęli wymieniać swe nazwiska, skinął ręką, wskazując wejście namiotu.

Niebawem obsiedli go wkoło.

— Co to jest właściwie? — spytał pierwszy z brzegu, bez wstępu.

Maharadża spojrzał zdziwiony i obrażony.

— To wygląda na wojnę... hm? — pytał drugi.

— Cóż panu do tego mój panie? — oburzył się.

— Tak nie wolno — oświadczył trzeci. Ja mam dużo mąki na sprzedaż.

— Co? Mój panie... jak śmiesz?

— Sprzedam po możliwej cenie. Ile potrzeba? Jaka waluta? Czas dostawy?... Kiedy...

— Oferuję skóry, loco Dardżiling... wagonami taniej...

— Benzyna, oleje, smary...

— Płótno, wełna...
— Konserwy, tłuszcze, powidło...
— Daję pieniądze na zastaw... finansuję kopalnie...
— Żelazo, broń gotowa, działa...
— Wozy, samochody, aeroplany...
— Sukno, mundury, koszule...
— Siano, owies, żyto, pszenica...
— Ależ dajcie mi spokój do stu dyabłów! — wrzasnął maharadża. — Wynoście się! Cóż to znaczy? Co wy tu robicie? Każę was aresztować!...
— Nie wolno... John już wystawił stacyę



CARDINAUX PEJZAŻ.

iskrową... przyszłaby pomoc, lub zakaz z Kalkuty.
Wskazał na pole.
Wznosił się tam w istocie wysoki maszt iskrowej stacyi telegraficznej.
— Wojna, pańska rzecz,... jeśli wola... — zaczął znów Anglik. — Nic nam do tego! Tylko, jak wojna, to wojna... You underrstand?
— Prowadzę wojnę, jak mi się podoba! — wrzasnął oburzony.
— Nie wolno!...
— Co pan wygadujesz? Cóż to za bezczelność?
— Nie wolno... — potwierdził drugi.
— Nie wolno... — rzekł trzeci.
— Nie wolno... nie wolno... — gadali wszyscy.
Maharadża śmignął w powietrzu biczem.
— Co? A któż mi zakaże. Jestem u siebie! Ciekawym bardzo... kto śmie zakazać?
— Zdrowy rozsądek...
— Logika...
— Konieczność...
— Obejdzie się bez tego. Żegnam panów... Skłonił im się.
— Zostajemy! — oświadczyli chórem. — Zostajemy aż do odpowiedzi z Kalkuty. Do tego czasu nie wolno rozpoczynać boju.
— Nie wolno?
— Tak. Inaczej nadejdzie wypowiedzenie wojny z Kalkuty. Naruszyliście terytoryum. Stu żołnierzy stoi na ziemi państwa Sikkim.
Zbladł ze złości i oburzenia. Ale naturalnie niepodobieństwem było rozpoczynać wojnę z wicekrólem Indyi.
Siedział przez czas jakiś w milczeniu.
— Ponownie ofiarujemy Waszej Wysokości różne towary!... — zaczął któryś nieco uprzejmiej. — Wszakże są one czasu wojny konieczne!
— Nie mogę brać tych rzeczy. Nie są mi potrzebne, a powtóre...
— Well!... Damy na kredyt, na zastaw.
— Ale kto będzie płacił?
— Państwo...
— Państwo nie zapłaci...
— Owszem, wejdziemy na hypoteki, na kopalnie, na płody...
— Ładny interes!... Ależ panowie, co wy gadacie?
— No... jak wojna, to wojna!
— Wojna jest na to, byśmy zarobili... Jasne... pan nie dajesz zarobić, przeto nie wolno się bić.
— Tak się robi wojnę może tam u was w Europie, my jednak mamy inne, wyższe powody...
— Wyższe?
— Większe, a przeto moralniejsze.
— Głupstwo...! — powiedzieli chórem.
Maharadża zamilkł. Nie wypadało już dalej mówić. Siedział zgarbiony, i czekał na depeszę z Kalkuty.
— Może Wasza Wysokość rozmyślił się... Ludzie potrzebują pożywienia... — spytał znów któryś grzeczniej.
— Pożywienia... — westchnął mimowoli... — Tak, tak... naturalnie...
— All right! — powiedział Anglik i wyciągnął notes. — Proszę dyktować... Pogodzimy się, nie będę twardy...
Wszedł do namiotu szofer. Niósł w ręku krążek papieru.
— Depesza z Kalkuty! — powiedział.
Rzucili się czytać, wreszcie podano telegram maharadży.
— „Zwraca się uprzejmie uwagę maharadży, Nepalu, — czytał — aby pokrył swe zapotrzebowanie wojenne u przysłanych agentów. Kwestya cen i formy zapłaty będzie rozważana później. Dziwny i niezrozumiały opór mógłby nasuwać przypuszczenie, że pragnie on popierać przemysł inny, może wrogi, co mogłoby ujemnie wpłynąć na stosunki, dotychczas, jak najlepsze“...

— Ależ ja nie potrzebuję niczego! — krzyknął znowu, rzucając depeszę.

— Cóz znaczy tedy ta armia?

— To rzecz moja... zresztą — powiem wam!... Cóż mam począć z taką masą ludności, która uciekła od was?... Co zrobić?... Umierają!...

— Co? Żywić ich... — odparli.

— Nie mam czem!

— Kupić od nas...

— Czem zapłacę?

— Weźmiemy kraj w zastaw...

— To znaczy, zabierzecie go sobie...

— No... jeśli się zapłaci... oddamy.

Załamał ręce.

— Maharadżo! — ozwał się jeden z Anglików. — Bądź pewny, że to, co ci radzimy, to rzecz najlepsza...

— I najmoralniejsza...

— Najkulturalniejsza....

— Przytem ludność ureguluje i tak, sama wojna...

— Niszcząc materyalnie pozostałych...

— Więc ile tego zboża? — spytał agent z notesem... Ile? Pilno mi!

Vaskhali miał łzy w oczach, drżał cały.

Ale po chwili otrząsł się z niemocy.

— Zaraz — powiedział — zawołam dworzanina... — Niech pan zaczeka.

— All right! — odparł Anglik nader uprzejmym głosem. — Mogę zaczekać.

— Ja też! — dodał drugi.

— O, nie! armat nie biorę! Żegnam! — oświadczył, i wskazał rozkazująco ku wyjściu.

— No, a jakże będzie?

— Wojna skończona!... Oświadcz to pan, gdzie trzeba.

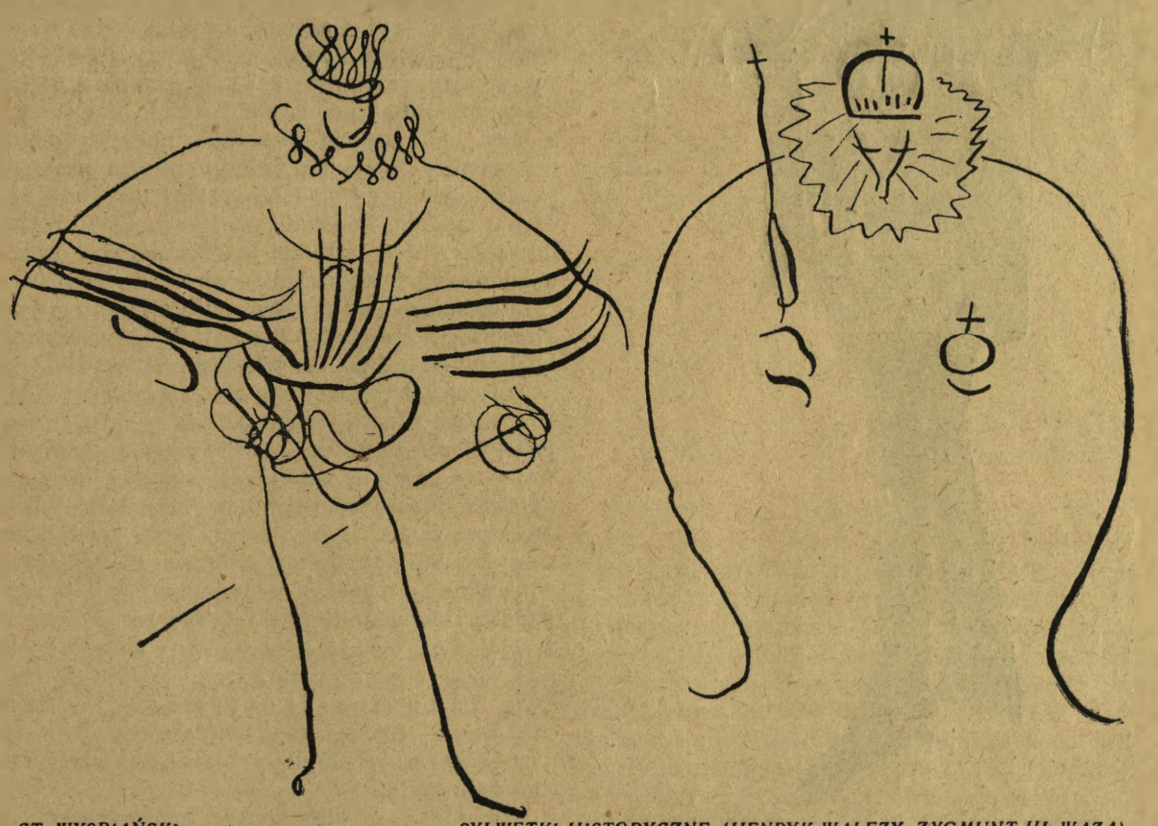
— Co? — wrzaśli wszyscy wielkim głosem. — Ależ to szaleństwo! Nie dopuścimy...

— Rozkazuję wam odejść! — krzyknął w uniesieniu. — To nie giełda w Kalkucie! Słyszeliście? Niema wojny!. Porzuciłem tę myśl!

— Ten chyba uproszczony sposób tylko- — dziwili się.

— Nie! Postaram się wyżywić ludzi! Cofam wyzwanie Bhutanu!

— All right! — oświadczył agent zbożowy. — Idźcie precz! — dodał zwrócony do kolegów. — To brudna konkurencya... On was nie potrzebuje!... No, idzcież sobie raz... forward marsh!



ST. WYSPIAŃSKI — SYLWETKI HISTORYCZNE. (HENRYK WALEZY. ZYGMUNT III. WAZA).

P R Z E G L Ą D



K. SICHULSKI POSEŁ ROSNER.

PRZEGLĄD TENDENCYI W LITERATURZE NIEMIECKIEJ OSTATNICH LAT.

(Dokończenie).

Gdy okres około 1890 w Niemczech pod względem literackim można było nazwać okresem dążenia do rzeczywistości (w tzw. naturalizmie), okres około 1900 ucieczką od rzeczywistości (w neoromantyce), okres około 1910 charakteryzuje się jako dążenie do spotęgowania rzeczywistości (Freienfels nazywa to dynamizmem), lata najnowsze zaś jego zdaniem cechuje dążność do rozkładu rzeczywistości. Oczywiście tendencye te nie luzują się tak, jak dynastye na tronie, raczej tak, jak stronnictwa w życiu parlamentarnem Anglii, z których jedno, potem znów drugie jest u steru, a obok nich istnieją wszystkie inne. Romantyka i dynamizm wcale nie znikły, owszem puszczają wciąż nowe pędy, ale ich reprezentatywne znaczenie zmalało. Podobnie też i dążność do rozkładu rzeczywistości istniała już dawniej tu i ówdzie, dominować jednak zaczęła dopiero od niedawna.

Interesujące jest przytem oddziaływanie wojny. Właściwa literatura wojenna w Niemczech z małymi wyjątkami nie ma własnego oblicza (tak, jak w Polsce) i chyba niewiele wpłynie na rozwój stylu w sztuce. Za to jednak obok wojny rozwija się literatura, która — o ile wogóle uwzględnia wojnę — zajmuje wobec niej stanowisko opozycyjne (w Polsce taka nie powstała). Pośrednio ta literatura zasila się z katastrofalnego upadku burżoazyjno-politycznej rzeczywistości, i w ten sposób obok wojny a jednak w podziemnym z nią związku wyrasta kierunek literacki, który roztwarza wartości dotychczas uznane, odsłania je, jako nierealne, jako komedyę, jako sen, fantasmagoryę, kierunek, który — lubo istniał już dawno przed wojną — podczas wojny dopiero objawił się, jako jednolita wola stylu.

Rozważany ze stanowiska genetycznego, ze

stanowiska wpływów literackich, kierunek ten pochodzi ze źródeł bardzo różnych; atoli o wiele ważniejszym jest fakt późniejszego zrośnięcia się tych różnorodnych zaczątków w tym samym gruncie, tu dopiero bowiem widzimy pracę najgłębszych sił współczesnego ducha. Pod tym kątem widzenia stwierdza Freienfels wspólną tendencyę u takich odmiennych zjawisk literackich, jak Shaw



K. SICHULSKI POSEŁ KĘDZIOR.

i Strindberg z ostatnich lat swej twórczości, Henryk Mann i Sternheim, Meyrink i Eulenberg, i hufiec poetów młodszych, zwanych ekspresyonistami, — tendencyą tą jest rozluźnienie i rozkład rzeczywistości akredytowanej jako normalna.

A propos literackiego ekspresyonizmu zauważa Freienfels nawiasem, że nazwa ta nie jest wcale trafną, ale że nie byłoby celu przeciw niej protestować. Takie nazwy, skoro raz poszły w obieg, nie dadzą się wytępić, pozostaje więc tylko określić jak najwyraźniej pojęcie z nią związane. Pojęcie ekspresyonizmu powstało w dziedzinie sztuk plastycznych, jako przeciwstawieństwo do impresyonizmu, i dosłownie wzięte, oznaczałoby, że istotą sztuki ma być wyrażenie świata wewnętrznego a nie wrażenie z świata zewnętrznego. Tak ogólnikowo sformułowane przeciwstawieństwo nie jest jednak w sztuce niczem nowem. Atoli nazwa „ekspresyonizm" jest tylko etykietą dla dążności, które jej dosłownem znaczeniem wcale nie są wyczerpane, bo fakt, iż chodzi w nich o „wyraz", nie obejmuje wszystkich kompozycyjnych, kolorystycznych, i intuitywnych nowości, które sztuka Cézanne'a i Matisse'a i wielu ich zwolenników wszędzie wydała. Natomiast coraz bardziej wysuwa się na pierwszy plan, jako istota nowej sztuki świadome deformowanie rzeczywistości w niebywałej dotychczas mierze, i w tym też sensie przeniesienie pojęcia ekspresyonizmu na poezyę byłoby poniekąd uprawnione. (Szczególna rzecz, że podczas gdy Freienfels radby z ekspresyonistów zrobić świadomych deformistów, ekspresyoniści polscy na najnowszej wystawie krakowskiej ogłosili się „formistami" to znaczy poszukiwaczami formy; przykład, jakie sprzeczności — zresztą pozorne — mogą wyniknąć z wąskości nazwy).

Już w poprzednich pokoleniach literackich upatruje Freienfels tendencye destrukcyjne i deformacyjne, jako współprądy. Jeszcze neoromantyka opierała się na rzeczywistości „normalnej", tylko sztucznie spreparowanej. Dramaty Hofmannsthala np. lub baśnie dramatyczne Hauptmanna są psychologicznie bezzarzutnymi, ludzie i rzeczy, z małemi przesunięciami, widziane są ze stanowiska reszty rzeczywistości. Następne pokolenie „dynamiczne" wprawdzie nie przesuwa jeszcze rzeczywistości, ale powiększa jej wymiary i przez to ją deformuje. U Jensena, w Kellermanna „Tunelu", w liryce Heyma zaznacza się to w spotęgowaniu rytmu życia. Rzeczywistym prekursorem nowej sztuki był Scheerbart, który jednak nie wywarł szerszego wrażenia. (Scheerbart, autor fantastycznych powieści, zmarł podczas wojny; mówiono o nim po śmierci, że miał tylko „fantastykę" nie „fantazyę"; cudną jest jego komedya „Rübezahl" zaopatrzona niesłychanie dziwacznymi i nastrojowymi rysunkami autora).



K. SICHULSKI POSEŁ GROSS.

Także wielolice zjawiska Wedekinda, Eulenberga i Henryka Manna zapowiadają często kierunek najnowszej sztuki. Świat, który H. Mann w swoich najnowszych dziełach przedstawia, jest fantastycznem wykoszlawieniem i groteskowem nadęciem burżoazyjnej rzeczywistości. W „Szlarafii" przedstawia świat berliński, jako groteskowy, lubieżny karnawał, w „Profesorze Niechluju" każe niemieckiemu miasteczku wypaść zupełnie z równowagi moralnej, w „Gonitwie za miłością" przedstawia towarzystwo monachijskie, jako wściekły pochód bachancki w rydwanie Wenery. Wedekind

w „Duchu ziemi“, „Puszce Pandory“, „Napoju misnym“, przeobraża rzeczywistość w tragikomiczną grozę, czem oddziałał także na najmłodszą generacyę. (Z rzeczy polskich możnaby przytoczyć jako analogię „Wesele“ Wyspiańskiego, gdzie również rzeczywistość rozkłada się i ukazuje lico grozy, — wogóle Wyspiański, uważany za „neoro-



K. SICHULSKI *POSEŁ E. BREITER.*

mantyka“, miał wiele cech literackich, któreby go dziś kwalifikowały jako ekspresyonistę). Również Eulenberg, którego zrazu widziano w sąsiedztwie neoromantyki, teraz przysunął się ku ekspresyonistom. Niepsychologiczny świat jego dramatów, żywy tylko jako odzwierciedlenie subjektywnych nastrojów poety, jest sztuką świadomie antirealistyczną.

W tym związku przytacza Freienfels Shawa „Cezara i Kleopatrę“ i późniejsze dzieła Strindberga: trylogię „Do Damaszku“, „Igrzysko senne“ i „Sztuki komnatowe“. W Niemczech i w Wiedniu te sztuki wystawiano w ostatnich latach bardzo często, parę lat trwał specyalny kult wielkiego Szweda, który z naturalisty stał się mistykiem. Ten kult ostatnich dzieł Strindberga przypisuje Freienfels ich pokrewieństwu z tendencyami współczesnemi. W tych dziełach normalna rzeczywistość rozchwiewa się zupełnie: świat wydaje się hallucynacyą, zamąconym snem, upiorną fantasmagoryą. Akcya w tych sztukach jest tylko odzwierciedleniem subjektywności poety, która zerwała z rzeczywistością i przekształca ją w okropny świat schematów, narzucający się czytelnikowi lub widzowi z siłą zmory.

Strindberg jest wzorem dla młodszych dramaturgów, ale co u niego było naturalnym wyrazem silnego temperamentu, a może i ustroju patologicznego, u naśladowców staje się sztucznem, nawet absurdalnem. Jako typ takiego naśladowcy przytacza Freienfels Pawła Kornfelda, którego tragedya „Uwiedzenie“ jest najcharakterystyczniejszem dziełem szkoły Strindbergowskiej. Zresztą — powiada Freienfels — nie wiele dobrego jest do powiedzenia o nieskończenie długich i po większej części beztreściowych tyradach tej sztuki. Godnem uwagi jest tylko „Słowo do aktorów“ dodane na końcu książki; Kornfeld żąda w niem od aktora czego innego, jak tylko „udatnej imitacyi cielesnej realności i psychy codziennej“. Czekajmy, czy aktor stworzy taką czysto ekspresyonistyczną mimikę. To, co z dzieł młodszych dramaturgów tego kierunku (Hasenclevera „Syn“) dostało się dotychczas na scenę, nie miało wielkiego echa — przynajmniej u publiczności (Freienfels nie docenia Kornfelda i Hasenclevera, wogóle pomija sztukę najmłodszych, przemilcza też zupełnie Jerzego Kaisera, najciekawszego dziś dramaturga niemieckiego, którego — mimo, że należy do „starszych — zaliczają także do „ekspresyonistów“. Te luki uzupełnimy kiedyindziej).

Także w literaturze opowiadającej występuje tendencya przedstawiania życia, jako łańcucha hallucynacyi groteskowo-upiornych. Wydaje się t[illegible] chętnie na nowo starszych autorów tego gatunku w nowem opracowaniu lub w przekładzie, z ilustracyami podobnie nastrojonych artystów, jak Alfreda Kubina. Ów Kubin sam napisał powieść, w której z wielkim talentem opisuje państwo snów, rozpadające się ostatecznie wśród strasznych wizyi. („Kraina snów“ jest najfantastyczniejszą książką na świecie, przytem są to fantazye malarza, kopalnie ekspresyonizmu, ale fantazyi namotanych jest tyle, że jedna obala drugą, niewiadomo nawet — czego się ma nie wiedzieć, dzieło staje się bezwynikowem, i rozczarowuje, — trudno o większy brak właściwego stosunku między olbrzymim nakładem wyobraźni a sensem. Ilustracye własne Kubina są słabsze od tekstu, zresztą groteskowe lecz nie fantastyczne; drugie wydanie zawiera niezmiernie ciekawą autobiografię autora). Wielkie powodzenie zdobyły sobie rzeczy Gustawa Meyrinka. W „Golemie“, i „Zielonej twarzy“ rozwija się kinematograficznie wymuskana fantastyka, przy której, mówi Freienfels, „można doznawać pożądanych ciarek“. Nie bardzo — gdyż podobnie, jak w powieści Kubina, tak i w „Golemie“ jedna fantazya wywraca drugą, zastępką fantazyi staje

się nielogiczność, — brak jest owej specyalnej logiki wyobraźni, jaką posiadają wizyonerzy, jak Hoffmann, Poe, a dziś choćby Ewers). Wiele obrazów i krajobrazów czaruje, ale zresztą siła twórcza słaba, mistyka płytka, nie przekonywująca. Za wyznanie własnej wiary można uważać taki ustęp z „Golema“: „O niczem nie jest człowiek przekonany tak silnie, jak o tem, że żyje na jawie, a przecież w rzeczywistości uwięziony jest w sieci, którą sobie sam utkał ze snu i ze spania. Śpiący idą przez życie, jak bydło do rzeźni, obojętnie i bezmyślnie; ci z nich, którzy śnią, widzą przez oka sieci zakratowany świat, widzą tylko wycinki, wiodące na manowce, zastosowują do tego swoje działanie a nie wiedzą, że te obrazy są tylko bezsensownymi kawałkami olbrzymiej całości. Tymi śniącymi nie są fantaści i poeci — ale właśnie ludzie ruchliwi, pilni, pożerani złudą czynu. Niektórzy tylko wiedzą dobrze, że śnią — pionerzy, co dotarli do portów, poza którymi kryje się wiecznie czujna jaźń — jasnowidze, jak Goethe, Schopenhauer, Kant, ale nie mieli broni, żeby zdobyć twierdzę, a ich hasło bojowe nie zbudziło śpiących. Czuwać — w tem sedno rzeczy“.

Oprócz Meyrinka jeszcze wielu młodszych formowało świat jako fantasmagoryę, często nawet lepiej i oryginalniej, niż dość niekiedy trywialny Meyrink. Typem tych młodszych opowiadaczy ekspresyonistycznych jest Klabund; jego „Moreau“ zwie się wprawdzie powieścią żołnierską, naprawdę zaś jest to przemykająca kinematograficznymi obrazami historya szaleńca. Typową pod tym względem jest także powieść Schickelego „Benkal, pociecha kobiet“: dzieło pod względem językowym barwne i jędrne, pod względem treściowym obłędna gonitwa nadnaturalnych cieniów, wizyi świata, które nie są rzeczywistością w zwykłem znaczeniu a przecież nie są widziane tak mocno, żeby się narzucały czytelnikowi same sobą.

Zresztą rozpad rzeczy w upiorną irrealność nie jest jedyną metodą obalania rzeczywistości. Powyż wymienieni pisarze rozkładają światy abstrakcyjne, ale nie brak też głów, które atakują dzisiejszy świat konkretny. Reprezentantem zaś jego jest „mieszczuch“. Za czasów Schillera postać idealna w jego „Pieśni o dzwonie“, teraz stała się symbolem wszystkiego, co pogardliwe, śmieszne, groteskowe, celem nienawiści i szyderstwa młodszego koła poetów. Pierwszym heroldem tej walki z mieszczuchem jest publicysta Karol Kraus, wydawca sławnej „Pochodni“, w której chłoszcze mieszczańską sprawiedliwość, moralność, a zwłaszcza prasę, która mu się wydaje główną kwaterą ducha mieszczańskiego, groteskowym karnawałem. „Przypatruję się — pisze Kraus — już tylko niby mieszkaniec Saturna tym małpim komedyom na ziemi; nie stać mnie już na oburzenie ziemskie, któreby było może o wiele skuteczniejsze“.

Tymczasem inny autor stał się dla szerokich kół reprezentantem owej walki z mieszczuchem: poeta komedyi, Karol Sternheim. Co prawda nie odpowiada on szablonowym wyobrażeniom o poecie. Oko jego patrzy zimno, bystro; odsłania on w życiu ludzkiem wszelkie śmieszności, podłostki, nielitościwie zrywa ostatnie zasłony i obnaża wstrę-



K. SICHULSKI POSEŁ GOETZ

tną brzydotę. „Z życia mieszczańskich bohaterów“ — taki jest tytuł cyklu komedyi, które już po części zdobyły większe powodzenie. (W Krakowie grano jego komedyę „Snob“ w moim przekładzie; nie zrozumiano jej zupełnie a grano pod psem, przekręcając, jak to jest już sławetnym zwyczajem polskich aktorów, tekst sztuki co chwila. Kraków i Galicya nie dorastają zresztą do „Snoba“ — my nie znajdujemy się jeszcze na tej wyżynie kultury, na którejby już można snobów bezkarnie wyśmiewać, u nas niestety snobów niema wcale, oby się tu na kamieniu rodzili, — tu trzeba napisać komedyę pt. „Cham“. Zresztą sztuka ta padła w Krakowie głównie wskutek następującego iście chamskiego nieporozumienia: wiedziano, że należy potępiać snoba tj. postać sztuki, ale ziewającym patryotycznie w pierwszych fotelach reprezentantom prasy zachciało się widzieć snoba i to pruskiego także — w autorze, ponieważ jako Niemiec nie jest Francuzem, a więc jest — konieczne! — ciężkim, zakalcowatym i tym podobne francusko-galicyjskie głupstwa).

Freienfels ubolewa w końcu, że cała sztuka ekspresyonistyczna pracuje dotąd tylko w kierunku

negatywnym: nad rozkładem rzeczywistości, — zauważa jednak przytem trafnie, że może to być i złudzeniem, gdyż głębokie walory nowych kierunków z początku bardzo często odczuwane bywają jako negatywne i ponure.



K. SICHULSKI POSEŁ ADLER.

Sprawozdanie to nie byłoby zupełnem, gdybyśmy nie dodali, że zapowiada się w Niemczech kierunek pozytywny w poezyi, i to zwrócony ku czynnej polityce. W dramatach takich, jak w wystawionych lub napisanych w ostatnim roku Goeringa „Bitwie“, Fritza von Unruh „Pokoleniu“, Hasenclevera „Antygonie“ (gdzie bohaterem jest chór-lud), odzywa się podziemny bunt lub co najmniej krytyka. Znamiennym jest tomik poezyi Hasenclevera pt. „Śmierć i zmartwychwstanie“, w którym poeta tematy do wybuchów lirycznych czerpie nawet z codziennej polityki. Oto tytuły jego niektórych utworów: „Król przeciw Casementowi“, „Zielona hrabina“, „Turati mówi w izbie“, „Śmierć Jauresa“ itd. W końcowym wierszu o zadaniu poety nowoczesnego w stosunku do tłumu przepowiada rewolucyonista Hasenclever:

„Er wird ihr Führer sein. Er wird verkünden.
Die Flamme seines Wortes wird Musik.
Er wird den grossen Bund der Staaten gründen,
Das Recht des Menschentums. Die Republik“.

Ideologiczną podstawą tej nowoczesnej poezyi politycznej, zbrojnej we wszystkie zdobycze sztuki przekonywania słowem, jest ruch umysłowy, skupiający się około czasopisma „Die Action“ i wydawnictw nakładu „Der neue Geist“. Za głównych teoretyków tego niemieckiego aktywizmu uchodzą: Ludwik Rubiner i Kurt Hiller. Pierwszy w książce „Człowiek w środku“ powiada: „Jesteśmy przeciw muzyce — a za budzeniem do wspólności. Jesteśmy przeciw poematowi — a za wezwaniem do miłości. Jesteśmy przeciw powieści — a za wskazówką dla życia. Jesteśmy przeciw dramatowi — za wskazówką do działania. Jesteśmy przeciw obrazowi — a za wzorem“. Kurt Hiller, wydawca zbioru rozpraw aktywistycznych w tzw. „Zielbücher“ (drugi tom pt. „Tätiger Geist“ wyszedł niedawno) jest publicystą o polocie nietzscheańskim. W wydanem jeszcze przed wojną dziele „Mądrość znudzenia“, zbiorze mądrych i dowcipnych rozpraw, złożył on i uzasadnił swoje wyznanie wiary aktywistycznej (kreśląc różne jej stadya od sceptycyzmu i zwątpienia do woli). Cały ten ruch umysłowy jest wybitnie racyonalistycznym (w przeciwieństwie do przedwojennego antiintelektualizmu) i gdy w zbiorze „Tätiger Geist“ czytam np. rozprawę głośnego powieściopisarza Maxa Broda, pt. „Aktywizm i racyonalizm“, to czerpię z niej pełną satysfakcyę, gdyż długi czas byłem w Polsce jedynym, słabym obrońcą posterunku racyonalizmu.

Całe to najnowsze pokolenie dojrzałe podczas wojny, będzie musiało jeszcze przeżyć tragedyę Niemiec i w jej ogniu wypróbować swoje przekonania.

Karol Irzykowski.

KRAKÓW · 10 · WRZEŚNIA · 1918 ZESZYT · 26

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI „SĄSIADKA“

(Ze zbiorów Włodz. Żuławskiego.)

STEFAN GRABIŃSKI.

PROBLEMAT CZELAWY.

3)

Znużony całonocnem czuwaniem i ja wkrótce potem położyłem się na dwie godziny drzemki. Koło ósmej wstałem, by usunąć zbędną już charakteryzacyę i przebrać się. Wychyliwszy naprędce filiżankę kawy, pośpieszyłem na uniwersytet. Tego dnia kończył Czelawa cykl swych wykładów na temat „Psychoza a życie płciowe“. Dla mnie, który już od szeregu lat przestałem uczęszczać na prelekcye, miała ta godzina szczególny urok. Odżyły wspomnienia, przypomniały się ambicye i kłopoty akademika. Wzruszony witałem stare sale, długie, chłodne korytarze.

Lekcya zaczęła się o dziesiątej. Profesor mówił, jak zwykle świetnie, rozwijał swe poglądy jasno, przejrzyście a głęboko. Czuć było jednak w głosie zmęczenie, w ruchach zdenerwowanie i niepokój. W połowie wykładu interes słuchaczy wzmógł się: uczony przytaczał przykłady ilustrujące jego teoryę. Były nader plastyczne, podane z sugestyonującą siłą wyrażeń. Lecz z pewnością na nikim nie sprawiły tak silnego wrażenia, jak na mnie. Bo któż opisze me zdumienie, gdy pomiędzy wypadkami zboczeń seksualnych zauważyłem historyę słyszaną minionej nocy w gospodzie. Profesor powtórzył ją bez zmiany treści, nadając jej tylko zastosowaną do audytoryum formę. Czelawa wyzyskał sumiennie przeżycia Stachura.

Natychmiast po lekcyi koło godziny 11 rano wróciłem do domu i kazałem się zaanonsować pani Wandzie w jej mieszkaniu. Przyjęła mię bez wahania. Mieliśmy czasu dość na pogadankę, bo uczony wracał na obiad dopiero o pierwszej w południe.

Z łatwą do zrozumienia ciekawością słuchałem jej relacyi z ubiegłej nocy i rana.

Stosownie do mej rady zamknęła się wczoraj wieczorem koło dziesiątej w pokoju przylegającym do sypialni, zamierzając przeczekać godzinę „halucynacyi“. Jakoż po dziesiątej w nocy usłyszała za ścianą ciche kroki. Z zapartym tchem patrzyła w sypialny pokój przez otwór klucza. W środku oświetlonej jasno lampą elektryczną sypialni stał „sobowtór“, patrząc z rozczarowaniem na puste jej łóżko. Jakiś czas krążył, jak dziki zwierz w klatce, wreszcie jakby domyślając się, chwycił za klamkę od drzwi do sąsiedniego pokoju. Gdy usiłowania spełzły na niczem, zwinął pięść gestem pogróżki w stronę śpiącego martwo profesora i wyszedł przez gabinet. Wtedy dopiero z uczuciem ulgi udała się na spoczynek.

Nad ranem wstała wcześniej koło pół do szóstej i była świadkiem powrotu Stachura. Wyszedł znów na chwilę z pracowni męża, lecz i tym razem nie zastawszy jej jeszcze w pokoju, cofnął się do środka tajemniczego wnętrza. Przez cały czas Czelawa nie ruszył się z posłania, nie otworzył ust. O ósmej zbudził się, wypił śniadanie i w kwadrans potem przeprowadzony przez żonę na schody, wyszedł z mieszkania.

— Czy nie wrócił mąż w chwilę potem, by zaglądnąć do pracowni? — zagadnąłem w ciągu rozmowy.

— Z wszelką pewnością nie. Drzwi wchodowe pomieszkania zostawiłam otwarte celem przewietrzenia pokoju i sama aż do paru minut po dziesiątej przebywałam w sypialni, od czasu do czasu wychodząc w klatkę schodową. Absolutnie nie było nikogo. Powrót męża nie byłby uszedł mej uwagi.

— Tak, naturalnie. A ja o godzinie dziesiątej słuchałem już osobiście wykładu profesora. Porozumienie zatem ustne wykluczone. Czy mąż nie zaglądnął ani razu przed odejściem do laboratoryum?

— Stanowczo nie. Spieszył się tylko niezwykle i był zdenerwowany, jak zresztą wogóle w ostatnich dniach. Zdaje mi się, panie doktorze, że on już wie o mojej przeprowadzce do salonu.

— Przypuszczam, że tak, wnioskując z innych objawów.

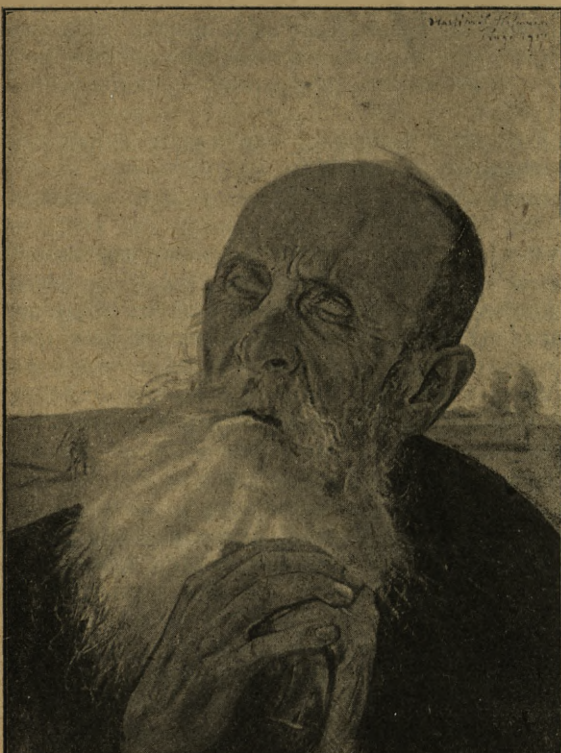
— Ale w jaki sposób? Czy sądzi pan, że zdołał się już porozumieć z tym ohydnym czło-

wiekiem? Przecież to stało się dopiero dziś w nocy po raz pierwszy.

— Niekoniecznie — może tego nawet nie potrzebuje.

Profesorowa patrzyła wzrokiem wyczekującym wyjaśnień.

— Na razie wstrzymam się z odpowiedzią. Być może wkrótce dowiemy się całej prawdy. Czy nie ma łaskawa pani mi nic więcej do powiedzenia?



VL. HOFMANN ŚLEPIEC.

— Owszem. Odchodząc, mąż przystąpił do mnie i z rzadkiem u niego zakłopotaniem powiedział: Wybacz mi, że narażam cię w ostatnich czasach na pewne nieprzyjemności, lecz robię to w imię nauki. Zresztą dobrze zrobiłaś, usuwając się. Wkrótce zmieni się wszystko pomyślnie. Na wszelki wypadek miej w nocy przy sobie tę broń. — I wręczywszy mi browning, szybko oddalił się.

— Hm... to ciekawe. Przecież obawia się. Myślę, że w dzień jest łaskawa pani bezpieczną; od ósmej rano do ósmej wieczór.

— Postanowiłam nie rozstawać się z rewolwerem. Jeśli ten człowiek naprawdę istnieje, to sąsiedztwo jego tak blizkie w pracowni jest nader ryzykowne.

— Proszę być spokojną. On teraz najprawdopodobniej nieszkodliwy. Zresztą musimy zaraz tam wejść.

— Gdzie? Do pracowni? To niemożliwe! Mąż nosi klucz zawsze ze sobą.

— Poślemy po ślusarza, proszę się nie obawiać.

— Nie! nie mogę na to pozwolić. Zauważy.

— Niema obawy. Zamek każemy natychmiast naprawić.

Pani Wanda z rezygnacyą ustąpiła.

W godzinę potem wszedłem do zagadkowego sanktuaryum, gdy profesorowa z trwogą wyglądała z sypialni. Przypuszczenia moje ziściły się najzupełniej: w rzekomem laboratoryum zastałem na sofie pogrążonego w uśpieniu Stachura. Nie rozebrał się nawet, leżąc w swem wytartem, zniszczonem ubraniu. Sen jego zdradzał objawy zupełnie podobne do tych, które zauważyła pani Czelawowa u męża; ciało było jakby skrzepłe, lodowate, serce nie biło: Stachur spał snem kamiennym.

Zachęcona przezemnie pani Wanda podeszła do sobowtóra, by rozpoznać nocnego intruza, który od tylu dni mącił jej godziny spoczynku. Biedna kobieta stała w bezradnej zadumie wobec niezwykłego fenomenu i dopiero na moją uwagę, że czas wracać, ocknęła się z zamyślenia.

Przywołany powtórnie ślusarz naprawił zamek, poczem zatrzasnąłem drzwi „pracowni“ z powrotem.

— A teraz — rzekłem na pożegnanie — mam do łaskawej pani małą prośbę.

— Proszę, panie doktorze, o cóż chodzi?

— Pragnę zapoznać się osobiście z profesorem. W tym celu proszę być z nim dzisiaj popołudniu po piątej w kawiarni, którą państwo zwykle odwiedzają. Sposób zawarcia znajomości znajdę sam. Naturalnie nie zdradzi się pani ani słowem. I my również poznamy się dzisiaj dopiero po raz pierwszy. Rozumie łaskawa pani?

— Przystaję z całą gotowością, lecz pod warunkiem, że go pan nie narazi na nic niemiłego. Chcę oszczędzić mu za wszelką cenę kompromitacyi.

Zapewniwszy słowem najściślejszą dyskrecyę, pożegnałem się i wróciłem do siebie.

Materyał w sprawie Czelawy zebrany od wczorajszej nocy przedstawiał się teraz bardzo zajmująco. Trzeba było tylko przeprowadzić analizę i wyciągnąć wnioski.

Nie wątpiłem już więcej, że między uczonym a Stachurem istnieje specyalny związek psychofizyczny, dzięki któremu stanowi jawy pierwszego towarzyszyło zbliżone do katalepsyi lubo z nią nie identyczne uśpienie drugiego; wspólny obu prąd życiowy zdawał się przepływać kolejno od jednego do drugiego, nie pozwalając na równoczesny proces biologiczny; ci ludzie pra-

wdopodobnie nigdy ze sobą nie zamienili ani słowa, nie spojrzeli sobie w oczy — nie mogli nawet mimo przypuścić się dającej do tego chęci.

A przecież jeden wiedział z przedziwną dokładnością o przeżyciach drugiego. Lecz należało ten punkt ustalić. A jeśli Stachur, nie mogąc się inaczej porozumieć, po każdej przehulanej nocy zdawał pisemną relacyę swemu wspólnikowi? I naodwrót?

Musiałem stanowczo poznać się z Czelawą, mieć z nim wspólne jakieś błahe przeżycie obojętne dla sprawy interesującej równocześnie jego i brata Stachura; o pewne szczegóły związane z tym drobiazgiem możnaby potem lekko potrącić w obecności nocnego włóczęgi, a jeśli odpowie stosownym resonansem, przypuszczenia moje co do tożsamości pamięci u obu i związanych z nią kwestyi będą niezbitym pewnikiem.

Dlatego z niecierpliwością czekałem na godzinę piątą wieczorem, w której miało nastąpić poznanie

Jakoż koło wpół do piątej zjawili się Czelawowie w kawiarni. Profesor zajął miejsce obok żony pod oknem i zatopił się w czytaniu dzienników. Przysiadłem się do sąsiedniego stolika, składając oględny ukłon pani Wandzie.

Skończywszy przegląd pism, Czelawa wszczął obojętną rozmowę z żoną. Byłem w kłopocie, jak zawiązać znajomość; lecz szczęście mi sprzyjało. Uczony, zapalony szachista zaczął po chwili utyskiwać, że niema zwykłego partnera, za którym bezskutecznie rozglądał się po sali. Skorzystałem ze sposobności i zbliżywszy się do jego stolika, przedstawiłem się, proponując partyę szachów.

Czelawa lubo nieco zdziwiony, przystał z ochotą i zaczęliśmy grę.

Przyznać muszę, grał świetnie, lecz i ja mam pewną wprawę; to też szczęście kampanii ważyło się na obie strony: raz ja dostałem mata, to znów on poniósł porażkę. Powoli roznamiętnił się i sam zażądał odwetu.

Przez cały przeciąg gry mówiliśmy mało; raz tylko spojrzenie jego zamyślonych oczu spoczęło na mnie nieco dłużej.

— Wie pan — zagadnął, zatrzymując rękę na poruszonej figurze — zdaje mi się, że my się skądś znamy. Ale gdzie to być mogło? Twarz pańska tak mi kogoś przypomina.

— Bardzo możliwe panie profesorze; byłem jego długoletnim słuchaczem — pospieszyłem z wyjaśnieniem.

— Ah tak, ma pan racyę. Lecz tyle się co roku przesuwa przedemną twarzy, że trudno zapamiętać.

I uspokojony posunął wieżę.

Tymczasem czas upływał szybko i zbliżała się fatalna godzina ósma. Czwarta z rzędu partya, którą zaczęliśmy po siódmej, przeciągnęła się zapowiadając na dalszą metę. Umyślnie zastanawiałem się dłużej nad każdym ruchem i wikłałem sytuacyę. Czelawa niecierpliwił się i ciągle spoglądał na zegarek. Wreszcie, gdy było już trzy na ósmą, przerwał grę w bardzo naprężonym momencie i przeprosił za zawód.

— Mam dziś jeszcze posiedzenie o ósmej — skłamał niezręcznie. — Lecz partyę tę musimy rozstrzygnąć jutro. Położenie nader zajmujące. Możebyśmy zapamiętali sobie obecną sytuacyę. Wszak mi pan nie odmówi, nieprawdaż?

— Z prawdziwą przyjemnością, panie profesorze.

I uważnie rzuciwszy raz jeszcze okiem na szachownicę, rozstaliśmy się.

Powróciwszy do siebie, przeprowadziłem znów metamorfozę mojej osoby w stylu z wczorajszej nocy i przed jedenastą siedziałem już w oberży. Brat Stachur spóźnił się nieco i przyszedł po mnie w bardzo złym humorze. Zaraz na wstępie zażądał paru szklanek absyntu z rumem i wychylił duszkiem jedną po drugiej: niechybnie zamierzał się upić. Jakoż po północy szalał już na dobre.

W stosownej chwili odciągnąłem go na stronę, proponując grę w szachy.

— Wiesz — zagaiłem — jeden z moich znajomych zadał mi wczoraj do rozwiązania łamigłówkę szachową. Wyobraź sobie, grał z jakimś jegomościem, lecz z braku czasu musiał grę przerwać. Końcowy układ figur zapamiętał, obiecując sobie dokończyć partyę później. Sytuacya bardzo ciekawa; możebyśmy rozwiązali ją w dwójkę; weźmiesz białe, których pozycya korzystniejsza. No, jakże, będziesz grał Stachur?

— No dobrze literacie — odparł trochę rozczulony — ustawiaj, ale prędko, bo mam dziś do załatwienia jeszcze jedną arcyważną sprawę.

Zacząłem ustawiać szachy, odtwarzając sytuacyę z nierozstrzygniętej partyi z profesorem. Pamięć mam niezłą i wkrótce zrekonstruowałem pozycyę czarnych.

Przeszedłszy następnie do reprodukcyi strony przeciwnej, umyślnie postawiłem trzy figury na niewłaściwem miejscu, celowo fałszując rzeczywistą sytuacyę.

Stachur spojrzał uważnie na szachownicę, potem podniósł na mnie badawcze oczy:

— Jak się nazywa ten twój znajomy, który przerwał tę partyę? — zapytał zaciekawiony.

Wymieniłem obojętnie swoje właściwe nazwisko.

— Aha! tak, prawda, wszystko w porządku. Ale, wiesz co kochany Dzierzbo? Albo tobie,

lub też temu młodemu lekarzowi nie dopisała pamięć. Popełniłeś w trzech miejscach pomyłkę.

I spokojnie przesunął figury na właściwe pozycye.

Chociaż czekałem na to, mimoto trudno było oprzeć się uczuciu zdumienia. Stachur zauważywszy wyraz mej twarzy, zaśmiał się tryumfująco:

— No cóż, nieprawdaż, że tak stały?

Przyznałem bez wahania.

— Ale skąd u licha możesz coś podobnego wiedzieć? Chyba nie na podstawie techniki szachowej? Popełnione przezemnie istotnie pomyłki nie sprzeciwiają się w niczem logice gry.

— Wiesz co Dzierzba? — rzekł po chwili — Zostawmy w spokoju te figurki. Zbyt dziś jestem wzburzony, by grać dobrze. Natomiast zajmijmy się czemś innem. Nie przypuszczasz nawet, o jak ciekawą sprawę potrąciłeś, zadając mi przypadkiem swoją zagadkę. Lecz ja ci zadam jeszcze ciekawszą, o jakiej się jeszcze nie śniło naszym filozofom... Zuziu, serdeńko, podajno jeszcze szklaneczkę! — krzyknął na młodą kelnerkę, przechodzącą obok i objął ją szerokim uściskiem.

Dziewczyna wymknęła się zręcznie, by wkrótce wrócić z żądanym napojem. Stachur posadził ją sobie na kolana i obsypawszy całą seryą gminnych czułości, wypuścił z powrotem ze swych objęć.

— Teraz możesz odlecieć, turkawko.

— Setna dziewka — zwrócił się do mnie, wskazując na oddalającą się — co za ciało! Specyały literacie, frykasy! Radzę ci umizgnąć się. Nie pożałujesz. Ale to są sprawy drugorzędne w tym momencie. Zacznijmy dyskusyę sub specie aeternitatis.

Wyciągnął daleko przed siebie nogi, łyknął haust absyntu i patrząc mi w oczy z zagadkowo tajemniczym wyrazem, zaczął:

— A wiesz Dzierzbo, z kim grał w szachy twój doktor?

— Skądże mam wiedzieć? O nazwisko partnera nie pytałem.

— Ze mną.

Stachur z widoczną satysfakcyą śledził wrażenie, wywołane tą enuncyacyą.

— Wolne żarty. Kpisz, czy o drogę pytasz?

— Mówię całkiem seryo. Pan doktor grał wczoraj wieczorem koło siódmej tę partyę ze mną, vulgo z prof. Czelawą.

— Kłamiesz Stachur. Czelawę znam z wykładów uniwersyteckich, lubo nie osobiście; był niegdyś mym profesorem; wykładał psychologię stanów anormalnych.

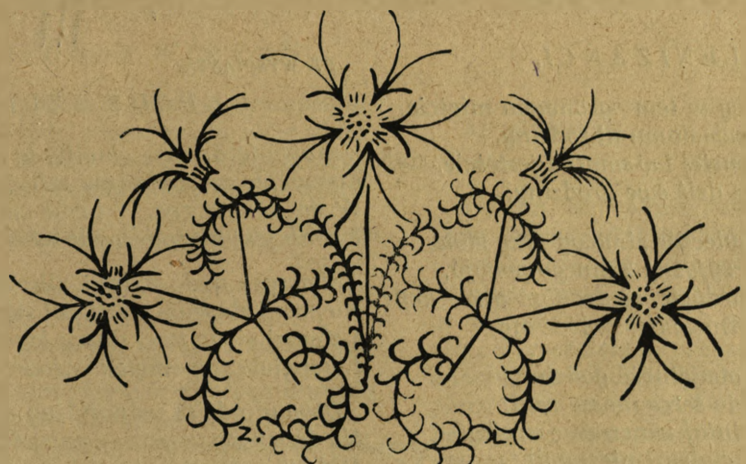
— Bajecznie! Cudownie! Witam cię kochany uczniu!

Stachur kordyalnie ujął mię w ramiona.

— Zwaryowałeś?

— Ani trochę. Brat Stachur i prof. W. St. Czelawa to jedna jaźń w dwóch formach, t. j. w dwóch ciałach. Rozumiesz serdeńko?

— Ani trochę. (Dok. nast.)



RYS. Z. LOREC.

JULIAN TUWIM.

Z „CZYHANIA NA BOGA".

SPADEK.

Wtrącony w wieczność bytu, w kołowrót zagadek,
Przez dumną wolę Twórcy, który mnie wywołał,
Z tajemnicą bój wiodę: taki-ć wieków spadek,
Choć wiem, iż poto walczę, abym nie podołał.

Zmagam się, bluźnierczego boju spadkobierca,
Widząc bezcel i nicość swojej walki krwawej;
Walczę — w kres zapatrzony, co wszystko uśmierca,
Ja, ogniwo w łańcuchu jakiejś Świętej Sprawy.

A kiedy dni żywota do kresu dobiegną
I ujrzę, iżem kroku nie postąpił, — wtedy
Przekażę bój odwieczny innym, co też legną,
Omamieni ogromem przekazanej schedy.

CHRYSTUSIE...

Jeszcze się kiedyś rozsmucę,
Jeszcze do Ciebie powrócę,
Chrystusie...

Jeszcze tak strasznie zapłaczę,
Że przez łzy Ciebie zobaczę,
Chrystusie...

I taką wielką żałobą
Będę się żalił przed Tobą,
Chrystusie...

Że duch mój przed Tobą klęknie,
I wtedy — serce mi pęknie,
Chrystusie...

JA

W czerwcu, o piątej rano,
W różowej słonecznej stolicy
Idę środkiem najszerszej ulicy,
Idę środkiem najszerszej ulicy!

Jak tam jasno, jak tam daleko
Za tym mostem błyszczącym za rzeką!
Ach, jak jasno i jak daleko!

Mocno mi, pięknie i młodo!
Pójdę mostem, nad spokojną wodą,
Potem polem, potem zielonem polem
Pójdę w dal,
Jakby upiły czystym, przeźroczystym alkoholem!

SOLENIZANCI.

Którzy jesteście obcy w tem ogromnem mieście,
A w dali też nie macie domu ni rodziny,
Którzy w samotni pustej i w smutku jesteście,
A obchodzicie może dziś swe urodziny;

Którzy siedzicie w wieczór zimowy przy stole,
Patrząc w kąt nieprzyjazny zimnego pokoju,
W wyszarzanym surducie, zjedzonym przez mole,
Lub w sukni komicznego i starego kroju;

Obrażeni na szarą obojętność godzin,
Która wam uroczyste serca wasze rani;
Którym niema kto tutaj winszować urodzin,
Solenizanci biedni, cudzy i nieznani!

Którzy nie macie dokąd kroków swoich zwrócić,
Gdy pleśnią szarej nudy pokój wasz zarasta,
O, moi nieszczęśliwi! Przestańcie się smucić!
Przyjdzie wam dziś winszować jasny Chrystus
/Miasta!



ST. WYSPIAŃSKI Z „ZIELNIKA".

OGRODY SZPITALNE.

Uchwyć tę dziwną chwilę, tę niewysłowioną,
Co zwykle po południu schodzi na ulicę
W dni świąteczne, — i żale cię drżące owioną
I poczujesz niezmierną w swem sercu tęsknicę.

Zobaczysz nudę ludzi i ulic zwątpienie,
Niepokój zbytniej ciszy, żal słów pożegnalnych,
I zbudzi się w twej duszy łagodne znużenie:
Ewangieliczny smętek ogrodów szpitalnych.

...Dzwoni gdzieś jednostajny, monotonny dzwonek,
Na drzewach nagich — gniazda samotnych jaskółek,
Wdowie smutki, apatja, sieroty z ochronek,
Ktoś nieładny w żałobie, i starców przytułek...

Uchwyć tę dziwną chwilę... Ludzie siedzą w domu,
Ulice suche, czyste... Gdzieś śpiew niewesoły...
I taki smęt poczujesz, nieznany nikomu,
Jak uczeń, co ostatni wychodzi ze szkoły.

Ż Y D Z I

Czarni, chytrzy, brodaci,
Z obłąkanemi oczyma,
W których jest wieczny lęk,
W których jest wieków spuścizna,
Ludzie,
Którzy nie wiedzą, co znaczy ojczyzna,
Tragiczni, nerwowi ludzie,
Przybłędy.

Szwargocą, wiecznie szwargocą,
Wymachując długiemi rękoma,
Opowiadają sobie jakieś trwożne rzeczy
I uśmiechają się chytrze,
Tajnie posiedli najskrytsze
Z miljarda czarnych, pokracznych literek
Ci chorzy obłąkańcy,
Wybrany Ród człowieczy!
Pomazańcy!

Pogładzą mokre brody
I znowu radzą, radzą...
— Tego na bok odprowadzą,
Tego wołają na stronę,
Trzesą się oczy strwożone
Rzucą szybko przed siebie,
Czy kto nie słyszy...
Wieki wyryły im na twarzach
Bolesny grymas cierpienia,
Bo noszą w duszach wspomnienia
O murach Jerozolimy,
O jakimś czarnym pogrzebie,
O rykach na cmentarzach...
...Jakaś Szatańska Msza,
Jakieś ukryte zbrodnie
(...pod oknami... w piątki... przechodnie...
Goje... zajrzą do okien... Sza! Sza-a-a!)

S Y M F O N I A W I E K Ó W.

Huczy wieków symfonia hymnem uroczystym:
Wryły się w twardej ziemi grudy ostre radła,
Brzękły miecze stalowe rozdźwiękiem srebrzystym,
Z hukiem ciężkim upadły młoty na kowadła!

W bębny wojenne biją! Hej, mocniej! W rytm trwogi!
Rozniósł się wielkim echem hymn milionostrunny,
Tłumy czarną kurzawą zapełniły drogi,
Tętentem kopyt końskich pędzą dzikie Hunny!

Miasta płoną! Rzym płonie łun pożogą krwawą
Cezarom na uciechę, dla władców pijanych!
Strach śmierci! Płacze starców, zagłuszone wrzawą,
Zgiełk paniczny w olbrzymich grodach obłąkanych!

Z Chrystusami na krzyże! Płoną drzewa stosy!
Miserere żałobne... — Ciał płonących swądu!
Krwi! Samic! Chleba! Złota! Padają Kolosy
W gruzy kamieni z trzaskiem! Sodoma! Dzień Sądu!

Hej, silniej! straszniej! groźniej! Walą w mur kilofy!
Pękają kotły maszyn! Rewolucye! Mordy!
Kataklizmy żywiołów! Wojny! Katastrofy!
Zgrzyt rygli czarnych więzień! Żądz buchają hordy!

Ryczy Symfonia Wieków! Ryczy pieśń wspaniała!
Szalona w groźnym pędzie! Bez kresu! Bez końca!
— Hej, Ziemio! I mnie dusza w pieśń się rozśpiewała:
„Pędzisz dokoła słońca, słońca, słońca, słońca!!"



ST. WYSPIAŃSKI — Z „ZIELNIKA".

A T L A S.

Klękam. Rozwieram ramiona na Twoje przyjęcie; głowę wtył odrzucam, przymykam oczy i rozchylam usta... Słyszę szelest... już idziesz... dolatuje mnie upojny zapach ciała ciepłego... promienie oczu Twoich muskają mnie po twarzy... Przeczuwam... wiem: to będzie pocałunek wieczny, pocałunek Sfinksa z obrazu Stucka. Na piersi swej poczuję Ciebie, Kobieto! A kiedy przylgniesz do mnie — rozedmę, wypręż pierś, aby się stała granitem i stalą: toć będę Ziemię dźwigał — Ciebie, święta glebo Miłości!

Już utonęły wargi nasze w sobie... Wsparłaś się o mnie, Wieczna! — — —

I rozdwoiła się na mnie Ziemia w krągłe, sprężyste, żywotne piersi Twoje...

„EXTRABLATT!“

Pan kapelmistrz zwaryował widocznie:
Macha strasznie, podnieca go hałas!
Brak już tchu! Panie, niech pan odpocznie!
Takie tempo — to absurd, to chaos!

Wrzawa, wrzawa, a two-step szalony
Wre i pieni się, miota iskrami!
Ponad głową mą kelner spocony
Z entuzyazmem wywija kuflami!

Sapią, dyszą, parują i pachną,
Wrzawa, wrzawa, w rozgwarze, w rozdźwięku!
„Extrablatt!“ Ktoś wyskoczył i machnął
W dymie zgiełku i krzyku i brzęku!

A przez miasto, kipiące narodem,
Który buchnął, jak czarna krew z płuca,
Pędzi Śmierć, pędzi Śmierć samochodem,
Chmary kartek czarwonych rozrzuca!

KRWAWY CHLEB.

Wzrośnie wam z tłustej ziemi niebywałe zboże:
Ciężkie, ogromne kłosy, napęczniałe ziarna,
Cuda się będą działy w pulchnej ziemnej korze,
Za ziarno każde — korzec da wam gleba czarna.

Zbierzecie plon zasobny na długich lat wiele,
Wymłócicie cepami dary płodnej gleby,
Ponapełniacie worki, młynarz ziarno zmiele,
Matka mąkę zamiesi — i upiecze chleby.

I przy dymiącej misie siądźcie z słowem Bożem.
Ojciec krzyżem przeżegna bochen wypieczony,
Lecz, gdy go krajać zacznie poszczerbionym nożem,
Tryśnie z chleba waszego strumień krwi czerwony!

JAK WIERSZ POWSTAJE.

Liryzm przedziwny. Liryzm chwil.
Css... Czeka dusza na zdarzenie,
Na nieuchwytne „coś...“ (wzruszenie
I styl odczuwań, ton i styl...)

A potem — słowo. Pierwsze z słów
Zwykle jak błysk przez myśl przechodzi
I w samo sedno stylu godzi
I każe duszy: dalej mów!

A wtedy — wicher! Wtedy — szał!
Mus i tyrański rozkaz chwili!
A potem — spokój. Skroń się chyli
I jeno łkałbyś... słodko łkał...

OJCZYZNA.

Ojczyzną moją jest Bóg,
Duch, Syn i Ojciec wszechświata.
Na każdej z moich dróg
Ku Niemu dusza ulata.

Ojczyzną moją jest łan,
Łan Polski, prostej, serdecznej.
Niech mi pozwoli Pan
W nim znaleźć spoczynek wieczny.

Ojczyzną moją jest dom,
Kochany dom rodzicielski,
Przytułek cichym snom
Młodości sielskiej-anielskiej.

Patrzę, strudzony śród dróg,
W oczu twych błękit przeczysty,
I jest w nim wszystko: i Bóg
I Polska i dom ojczysty.

POEZYA.

(Spojrzenie w przyszłość).

3.

Nie stracił czaru romantyczny smęt
Róż i słowików, rusałek i goplan.
Lecz coraz szybciej warczy życia pęd:
Tam, gdzie jest księżyc, jest i aeroplan!

Nie stracił mocy Achilles i Piast,
I chwalon będzie każdy, kto bohater!
Lecz już z czeluści elektrycznych miast
Tłum wielki bucha, jak lawa przez krater!

A kto jest wyższy — może wyższym być,
Niechaj na skroń mu liść laurowy kładą,
Lecz i Przechodniom ma być wolno żyć!
Starzec olbrzymi rzekł im: Camerado!

A kto marzenie ukochał i sen,
Niechaj je w śpiewną splata słów perlistość!
Lecz oto z szczytów i przepastnych den
Dźwiga się Potwór: Wielka Rzeczywistość!

Byłaś, Poezyo, teatralną grą,
Miałaś swe stałe, stare rekwizyty,
Lecz oto moce niesłychane prą,
I Śpiew powszechny bije pod błękity!

Gromada śpiewa, współczesności chór,
Tłum ekstatyczny, który w bezmiar urósł!
Hej, ŻYCIU DROGĘ! Stanął groźny Zbór,
A na spotkanie Zborowi — Futurus.



COLOMBI ZIMA.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER. NA SKALNEM PODHALU. TOM (VIII).

OPOWIADANIE.

...Kumoter pyknął z fajki kilka razy i odezwał się:

Proces... hm... wto wartki do prawa, nic nie nagazduje. Za mojego casu béło dwok sonsiadow, Jasiek Kasprzyk i Wojciech Pytkos. Fajne béły hłopy, ino co Kasprzyk béł bogac, miał śtyry konie, hował kielkanaścioro hrubego statku, owce, świnie, a u Pytkosa to jedno jakiesi ta końsko, dwie krowy, ze trzi ta owcątka, całe gazdostwo. Béłoby ta i tak syćko dobrze, kieby nie jedna rzec. Pomiendzy Kasprzykowym gruntem a Pytkosowym potocek owijał i béła hań łoncka, prawie na niej mozna béło bez lato dwie krowy paść. Coz, kie niewiadomo béło, do kogo przinalezy? O to wej zwada sła. Pytkos padał, co do niego, Kasprzyk, co do niego.

Nie daj Boze ik pojednać. Pytkos pada: Kasprzyk ma kainendej paść, a Kasprzyk na to: Choć byk miał i na sto krów, kie to moje!... Ten swoje, ten swoje.

Wzieni sie w prawo. Komu sond przisondzi, be jego.

Pośli do hadukatów: tak i tak. Pytkosowy pedział mu: ty mas racyjom, a Kasprzykowy: ty mas racyjom. Kie sie w sondzie zaceni kłócić! Widziało sie, ze hnet syby z okien pozwylatujom!

Pockaj! — méśli se Pytkos; kie to tak sło, a Kasprzyk samo to.

Nie mogli sie przegadać. Jaze sie cysto pieknie spocili. Nawet ig juz i Pytkosowi i Kasprzykowi zal béło. Ani ta łoncka moze telo nie warce. Ale nic. Nakoniec telo Pytkosów hadukat béł mondrzejsy, co sond łoncke Pytkosowi przisondziéł.

Niedocekanie jego — méśli se Kasprzyk. — Kizby to djabli béli, ajby béli, dy przecie i mój hadukat rozum ma nie na wsi. Trza apelować! Dyby ja sie hańbiéł, kieby ja z takim dziade, jako Pytkos, przegrał. Wiecie panie co — pada do swojego hadukata — apelujmé.

— No dy apelujmé, jak fcecie — pada hadukat.

— Do drugiej instancyje. Co be kostować, to be kostować!

Posłali apelacyjom. Wysło ze trzi miesionce, kim ik zawołali na termin. Zaś sie hadukaci jesce barzyj zarli pomiendzy sobom. Jaze ludzie pod sondem stajali.

Wygrał Kasprzyk, Zaś temu przisondzili.

Krotni milońscy! Kie przisel Pytkos du domu, kie wzion klonć! Portki ostatnie przedam — pada do baby — w gaciak, pada, pudem do trzeciej instancyje! Razek wygrał, musem, pada, wygrać! Ociec hań krowy pasał, łoncka moja! Tu mie djabli niek bierom! Musem wygrać!

— Dėj ta i Kasprzyków ociec krowy na łoncce pas — pada mu kumoter Walos, co akuratnie przisel zaźreć na Pytkosów.

— Niek pasał, jako fciał, łoncka bėła ojcowa i dziadkowa.

— Nie tak bėło — pada mu kumoter — twój ociec i Kasprzyka Jaśka ociec wraz hań po krowie paśli. Uwiązali u kulika i bėło. Nie bėło hań kłopotu nijakiego o to, bo ta nik nie uzna cyja krowa więcėl uskubła trawy. Heba kiebyś, za łaskom, nawóz mierzał, wtory cięzejsy.

He, nic mój Pytkos. Ani słuhać nie fciał. Zastawiėł tęgi kęs pola na kosta. Ceka. Zaś ta za pare miesiency do trzeciej instancyje zawołali; zaś znowa Kasprzyk wygrał. Cośik wyonacyli, jakiesi akta poznajdowali, kiesita jesce za pradziadków łoncka bėła Kasprzykowej prababki. Telo wej mondrzejsy Kasprzykowy hadukat bėł, kie to w mentrykak, cy ta kajsi inendy po papierzyskak wysukał.

Ino to wej pedzieć, co ci dwa hadukacia mieli trzeciom kancelaryjom spólnom.

Dopiéro sie Pytkos wściók, bo juz scwartej instancyje niėmas. A i baba jego sie wściekła ś nim. Bo to bėło babsko telo zazarte, co ani psa takiego nie najdzie. Jak wziena treć pyskem, to jom jaze do trzeciej wsi słyhno bėło. I niebėło cudu. Bo sie Pytkos stempił w tyk sondak, a tu dzieci kupa, a majontku mało. Padał mu hadukat, ze Kasprzyk kosta procesu zapłaci, a bėło na cėm sukać. Tłómacėł mu, ze w drugiej instancyi to ino przypadke Kasprzyk wygrał, bo ta jednego papiéru hybiło, ale sie ten papiér nalaz i w trzeciej instancyi wygrać musi. A kie zaś Pytkos do niego skocėł: Panie! Coz sie to robi?! — to mu wej pedział: Ha, mój gospodarzu, robiłem, co mogłem, mentryka prababki Kasprzyka was zgubiła. Cóz robić? Głowom muru nie przebije.

Zje kie nie przebije, to nie przebije!

Zajńdzie Pytkos du domu, jak niezywy. Do nikogo złości niėma, jacy do Kasprzyka. Hadukacia, jak hadukacia — kazdy swojego broniėł. Sond, jak sond; kieby Kasprzykowi nie przisondziėł, notoby bėł musiał jemu przisondzić. To prosta rzec. Abo temu, abo temu. Kasprzyk syćkiemu winowaty! Kieby nie on,



WÜRTTEMBERGER TARG O KROWĘ.

toby niebėło nic! To jak jamen w paciorzak!

— Bez Kasprzyka jek sie stempił — pada do baby. — Skróś niego na dziada wyjńde. Pole trza stracić, bo dług na niėm. Zyd ta cekał niebedzie. Niek ta! Ja juz o nic nie stojem, cobyk ino Kasprzyka wypłaciėł!

Wzieni uradzać z babom. Baba bėła psowata, taby bėła bratu łeb ozbiėła, kieby jej bėł na dródze stanon. Telo wziena hłopa jydzić, co sie jaze pościele zembami hytał. Uradzili Kasprzyka zabić. I tak sie na nim pomścić.

Pytkos sie porwał zaraz iść. Ale go baba stusiėła na pościeli. Głupi! Coby cie powiesili?! Pojutrze bedzie jarmak w mieście, wiem, ze Kasprzyk hań bedzie. Po pijaności go zabij! Ja haw cytała w gazecie o takim, co po pijaności cłeka zabiėł i nie dali mu wiencėj, ino trzi miesionce. Bo jakoz takiego karać, co sam niewié, co robi! Idź, opij sie, a plon-

łaj sie pomiendzy ludziami, coby cie świat widział. Trzi miesionce nie wielga rzec! Powiedz mu jedno drugie, o bitke nie trudno. Zabijes go, to sie by pomścis na nim!

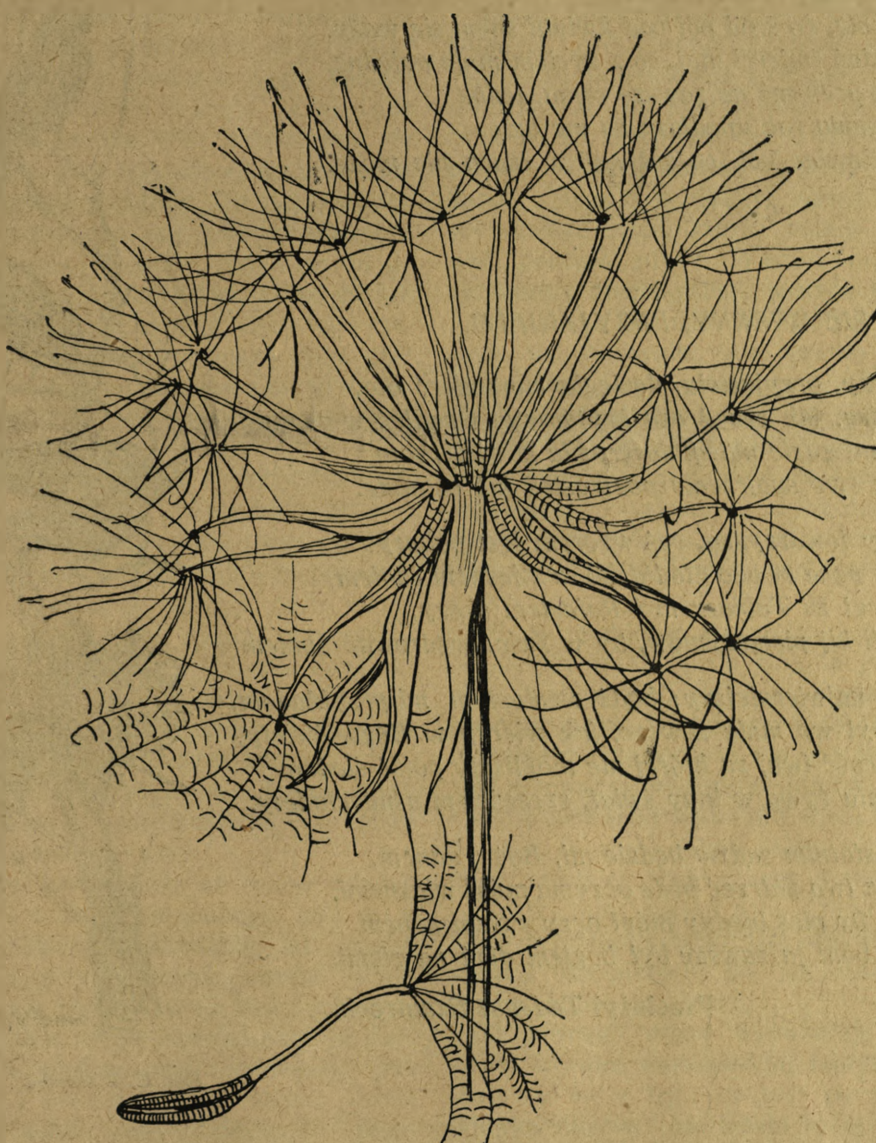
— He, powiem ci — pada jej hłop — syciek rozum do twojej głowy przeseł! Jako mi radzis, tak zrobiem! Opijem sie i Kasprzyka zabijem! Ja byk nie zył dłuzy! Abo on, abo ja!

I tak zrobieł. Opieł sie i Kasprzyka zabieł.

Jak wzieni ospatrzować, ze karany nie beł, proces przegrał, do znaku sie stempił, ze beł nieprzytomny, za cyny swoje nieodpowiedzialny, ze miał zal do nieboscyka, bo ta Kasprzyk na tele pastwisko móg ani nie patrzeć, nie dopiero sie prawocić, zasondzili mu pół roku. Jesce se kwalieł, ze mu ta nieźle beło.

Ino co go na sumieniu gryzło, bo sie wpółtrzecia roku pote sam w stodole obwiesieł.

Tak wej za mojego casu beło. Sycko ja se to przibacujem i tak myślem: kieby beli oba nietelo sparci, bo ta o nic nie sło, ino o honor. U nas som ludzie straśnie honorni. Jeden by drugiego wierchował i pod scyt dahu kieby mu powała nie przeskadzała, do procesu o bądź co, a od procesów do niesceńścia nieraz ani pół kroku niema...



ST. WYSPIAŃSKI — Z „ZIELNIKA".
(Ze zbiorów Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej).

FRANCIS JAMMES.

Z „MODLITW POKORY".

12. MODLITWA O PROSTEJ ŻONY NAPOTKANIE.

Daj Boże, aby ta, co żoną mą zostanie
prostoty miała wdzięk i czułą przyjaźń dla mnie;
byśmy, ocknąwszy się, przez nocne byli spanie
spleceni węzłem rąk, by z szyi jej bezkłamnie
medalik zwieszał się ku fałdom piersi srebrny;
by gładkie ciało jej w śnie grzało złotolśniące
jak śliwa, której miąższ wrześniowe syci słońce.
By zawsze serce jej tą niewinnością drżało,
co stapia w uśmiech warg uścisku rozkosz całą;
by silnie trwał jej duch nad duszą moją w straży
jak pszczoła, co śród pól nad kwiatu snem się waży.
I by w dzień śmierci mej, co z życiem mnie pojedna,
zamknęła oczy me na zawsze sama, jedna
i w załamaniu rąk upadłszy na me łoże
uklękła dławiąc ból, co spłynąć w łzach nie może.



Rys. E. Czerwenka.

15. PSIE WIERNY, PRZYJACIELU...

Psie wierny, przyjacielu, dosięgła cię śmierć oto,
przed którą, jak przed osą kryjąc się, wpadłeś w matnię
pod stołem, gdzie natrętnie groziła ci swą psotą,
i na mnie swe spojrzenie podniosłeś już ostatnie.

Codzienny towarzyszu, coś wzorem jest pokory,
co głodny pana swego głód dzielisz z jasnem czołem,
coś wybiegł za Tobiaszem i Rafaelem skory,
gdy wzięli kij pielgrzymów, by w świat wędrować społem.

Ty sługo najwierniejszy: bądź wzniosłym mi przykładem,
coś wierzył we mnie zawsze, jak wierzy w Boga święty.
Dziś mądrość twa, za której nie mogliśmy pójść śladem
już przeszła żywa w inny świat, szczęściem uśmiechnięty.

Gdy na ostatnim sądzie będzie mi, Boże, danem,
iż w twarz twą patrzeć będę oczyma mógł własnemi,
daj Boże, by pies biedny mógł oczy swoim panem
ucieszyć, bom ja zawsze był bogiem dlań na ziemi.

Przełożył *Tadeusz Szantroch.*

KAROL IRZYKOWSKI.

STUDYA Z ZAKRESU CHEMII ORGANICZNEJ GALICYI.

I.
PARTACZE, MAMUTY I ZAWALIDROGI.

Moje studya niezamierzone, robione pod batem wypadków na owym marginesie życia, który już dawno stał się głównem życiem, naprowadziły mnie na odkrycie pewnego prawa, które tłumaczy wiele zjawisk galicyjskich. Nazywam je prawem nienasmarowanych drzwi.

Dla wyjaśnienia: W pewnej powieści mowa jest o drzwiach, które przez kilkanaście lat wciąż skrzypią, bo się wciąż zapomina je nasmarować. Rodzice dają początek życia bohaterowi w chwili właśnie takiego skrzypienia drzwi, przyczem matka robi niestosowną do sytuacyi uwagę, że z tymi drzwiami raz nareszcie należy zrobić porządek. Ów moment roztargnienia matczynego ma później zaciężyć nad całem życiem bohatera. Nie o to mi jednak chodzi, tylko o owe drzwi, które mi tak utkwiły w pamięci jako symbol, że od tego czasu przy wielu sposobnościach mego życia galicyjskiego słyszałem ich żałosne a niewysłuchiwane skrzypienie: O — o — ludzie, kiedyż mnie nareszcie — nasmarujecie — o — o!

Lecz któżby się troszczył o skrzypienie zawiasów — to są przecież „imponderabilia“?

Bez narzucania stawiam dwie tezy: Po pierwsze w traktowaniu imponderabiliów pokazuje się kultura, ponieważ tu właśnie, gdzie niema wzorów i nakazów, może działać improwizacya praktyczna, umysłowa i etyczna. Powtóre: imponderabilia — to są te niewidzialne karzełki z bajki, które szyją historyę; ich dzieło przywłaszczają sobie potem firmowi krawcy.

Zdaleka od rozstrzygających zdarzeń kilka notatek z własnego mikrokosmosu — a każdy niech się w swoim rozejrzy.

Na drożynie, którędy idę na spacer między zagrodzeniami z drutu kolczastego, leżą to w środku, to z boku duże kamienie lub cegły, zawleczone tu z wysypanych opodal rumowisk. Niektóre z nich służą od biedy jako wysepki do stąpania wśród powstającego tu czasem błota, ale większa część rozrzucona jest przypadkowo i zawadza tylko ludziom, dzieci zaś rozbijają sobie nosy. Codziennie przechodzi tędy mnóstwo ludzi, ale niema nikogo, ktoby te kamienie z drogi usunął, choćby kopnięciem buta; woli potknąć się, ominąć, co wymaga pewnego małego wysiłku uwagi, niż uprzątnąć przeszkodę z myślą o swoich bliźnich lub choćby o sobie samym, który później jeszcze raz będzie tej drogi używał. Gdyby każdy z przechodzących choć jeden kamień usuwał, droga byłaby za parę godzin wyczyszczona.

Miałem kolegę dziennikarza, który przez kilkanaście lat do swoich czynności zawodowych codziennie potrzebował stenografii, mimo to nie uczył się jej nigdy, wolał codziennie mozolić się na nowo, niż raz trudność przezwyciężyć. Takimi zresztą są wszyscy dziennikarze. Wogóle w Galicyi można na palcach porachować ludzi, którzy umieją stenografować, podczas gdy w Wiedniu prawie każdy ukończony gimnazyalista posiada tę sztukę.

W Galicyi jest dziś około 5000 osób piszących na maszynie. Ale prawie nigdzie, w żadnej kancelaryi, w żadnym urzędzie, nie zdarzyło mi się zobaczyć, żeby kto pisał systemem pisania na ślepo wszystkimi palcami, systemem, który najlepiej oszczędza energię i daje największą czystość i szybkość. Wszędzie pisano paru palcami, co chwila patrząc na tastaturę. Gdym tu i ówdzie zachęcał do wprowadzenia tego systemu (teraz w Tarnowie wyszedł podręcznik J. Kapuścińskiego, stosujący go metodycznie), ludzie niby to już umiejący pisać zachowywali się jak obrażeni, nikomu nie można było wytłumaczyć, że cała jego dotychczasowa sprawność nic nie warta.

W przeważnej większości domów w Krakowie i we Lwowie spisy lokatorów wiszą tak wysoko, że ktoś, co szuka jakiej osoby wzdłuż pewnej ulicy, powinien nosić z sobą drabinkę, świecę i zapałki, aby dopiąć celu. Bezmyślność takiego przybijania tablic jest oczywistą, ale nie szkodzi ona nikomu, tak jak chaos w ruchu przechodniów na ulicach.

Od pewnego czasu wyświetlają w kinach sztuki wyrobu warszawskiej fabryki filmowej. Możnaby się z tego cieszyć: pierwsza polska fabryka filmów. Ale sztuki te są naśladownictwem zagranicznych, żadna nowa myśl, nowa ambicya nie ożywia fabrykantów, co gorsza —

nawet ta przeciętność wykonana jest niedbale, niechlujnie, z widocznem lekceważeniem rzemiosła i publiczności.

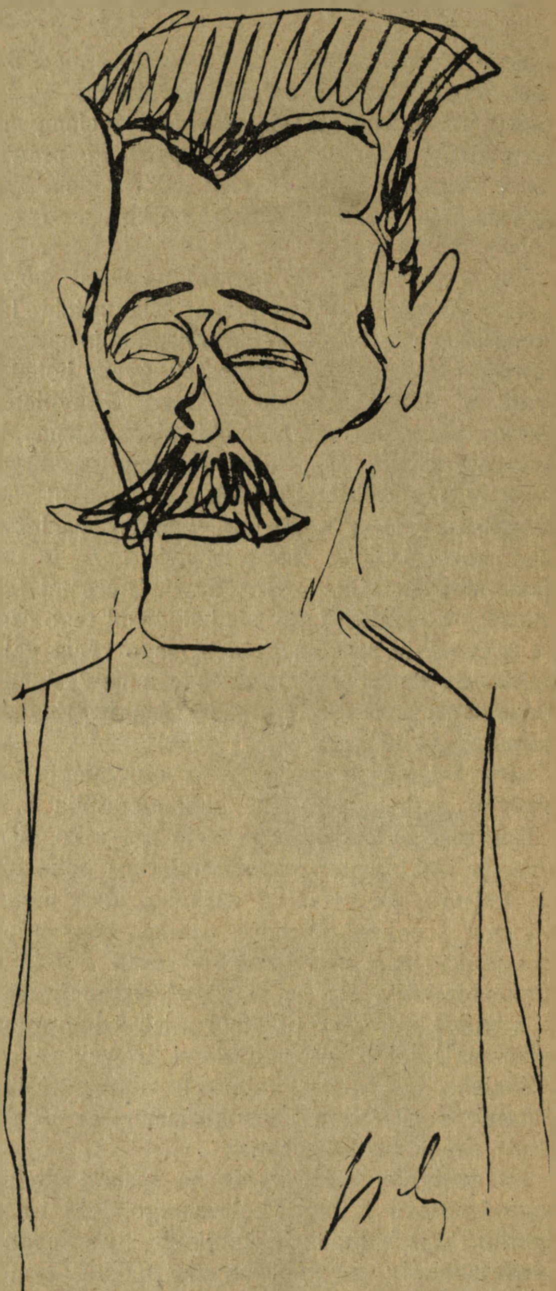
Musiałbym wciąż sięgać do przykładów, wnikających w szczegóły bardzo specyalne, obruszać na siebie różne osoby i grupy, aby opisać tę powszechną wolę do fuszerki, z którą się spotykałem w znanych mi niewielu zakresach. Mam wrażenie, że tak samo jest i gdzieindziej. Nie idzie mi tu o gderanie narodowe, ani o propagowanie nowych cnót społecznych, ponieważ „Maski" nie są pismem do tych celów, tylko o świeże sformułowanie i porozumienie się z ludźmi, którzy rzeczy podobne zauważyli w swojej praktyce, bez apriorycznych uprzedzeń. Ileż to instytucyi urządzonych jest u nas według „prawa nienasmarowanych drzwi", z wiecznem zacinaniem się zawiasów, z raz wraz powtarzającemi się trudnościami, których się jednak albo nie odczuwa, albo gdy się je już odczuwa, to się ich nie bada, gdy się bada, to powierzchownie i szablonowo, a nie naprawdę i do dna, a gdy się już nawet zbada, to niema się pomysłu na ich usunięcie, w końcu zaś nie ma się potrzebnej na to siły moralnej. Gdy na zachodzie rozbrzmiewają hasła „imperatywu energetycznego", gdy do wszystkiego stosuje się system Taylora, aż w końcu nawet do samego tego systemu, to jest do ekonomii ludzkiej, gdy krzewi się tendencya, żeby w przemyśle, handlu, administracyi, szkole, rolnictwie, prawie i t. d. wszystko urządzać „psychotechnicznie", po amerykańsku, — polska „wola do fuszerki" pozostaje nieskażoną i gotowa jest nawet wysilać się na różne sposoby biernego oporu, aby te „wymysły" odeprzeć od siebie jako niepotrzebne, niepraktyczne, niemieckie, żydowskie, rosyjskie, wolnomularskie itd.

Mam wrażenie, że fuszerką jest zarówno nasz konserwatyzm, jak demokracya, jak socyalizm. Wszystko to zredukowane jest do prymitywnych motywów, dyagnoz i metod, nie bierze swych haseł zbyt ściśle, co nawet bywa uważane za chwalebną właściwość narodową, albo za politykę.

Miałem raz uczennicę z lwowskiej szkoły wydziałowej. Nauka szła licho, roztargnienie uczennicy wielkie, widziałem, że stara się mnie ona oszachrować na każdym kroku — na własną niekorzyść. Wreszcie gdy raz wyeksplikowawszy jej tajemnice dwumianu algebraicznego egzaminowałem ją z tego, co wyłożyłem, rzekła zniecierpliwiona:

U nas nie trzeba tak dobrze!

Ten niespodziewany argument przekonał mnie zupełnie. Odtąd, ile razy widywałem zaniedbania i partactwa, przypominało mi się to szczere wyznanie: U nas nie trzeba tak dobrze.



K. SICHULSKI — POS. BUDZYNOWSKI.

Z biegiem czasu dorobiła mi się do niego nawet perspektywa polityczna.

Galicya jest wychowanką Austryi i wady mistrzyni powtarza u siebie, z przymusu czy z zamiłowania, to wszystko jedno. Istnieje mię-

dzy niemi nawet podobieństwo losu. Austrya, jak to dostatecznie wiadomo, jest państwem prowizoryczności. Galicya zaś nietylko bierze udział w prowizorycznościach swej macochy, ale nadto posiada własne prowizoryczności, o których również rozwodzić się nie trzeba. Stan jest wskutek tego taki, że, jeżeli największy dziś patryota austryacki, socyalista Renner, powiada, że w Austryi nikt za nic do odpowiedzialności się nie poczuwa, to samo dzieje się w Galicyi, tylko z pewną stopniującą ów stan modyfikacyą. Mianowicie społeczeństwo galicyjskie żyje w stosunku takim do Austryi, jak u c z e ń d o p r o f e s o r a. Profesor niezdolny, niezręczny, bez powagi, — ale i uczeń nie zdoła wyjść poza swój uczniowski stosunek, owszem jest mu w nim dobrze i wygodnie i wesoło, cała jego uwaga zaś skierowana jest na to, żeby profesorowi wypłatać jak najwięcj figlów. Te figle często gęsto uważa się nawet za zasługi patryotyczne.



K. SICHULSKI EKSC. BILIŃSKI

Cały ten stosunek oparty był na nieszczerości i niedomówieniach, z których korzystała to jedna strona, to druga. Balansowanie tych niedorzeczności nazywało się polityką. Podczas wojny dopiero się okazało, że obie strony na tem źle wyszły. Mimo to ten stosunek trwa nadal.

Niedawno czytałem w pewnym dzienniku tutejszym atak na agraryuszy, że uprawiając lichwę zbożową i nie oddając uczciwie swego zboża do zarządu publicznego, wygłodzą własny kraj. Artykuł ten spotkał się z wielu stron z zarzutami, że jest niepatryotyczny. Był zaś tylko — niepedagogiczny. Był tylko taką odezwą, na jakie się zdobywają płatni i nieudolni propagatorzy pożyczek wojennych, przemawiając do kieszeni Galicyan w imię patryotyzmu austryackiego. Jeżeli się chce naprawdę osiągnąć efekt, to nie wystarczy przypomnieć, że według rozporządzenia urzędu żywnościowego zboże galicyjskie ma iść tylko na użytek ludności galicyjskiej a nigdzie indziej nie ma być wywożone; trzebaby dotknąć punktu wrażliwego, że tak powiem pałubicznego, i pouczyć, że teraz nie jest czas na figle. Trzeba przyznać społeczeństwu, że ma prawo do pewnych prymitywnych środków samoobrony. 90% grzechów społecznych, a zresztą i prywatnych, dzieje się tylko dla wyrównania różnic nieuświadomionych lub niezdefiniowanych. Trzebaby więc wejść w pertraktacye ze społeczeństwem i wtedyby się może udało podkopać tę mimowolną opiekę moralną, poza którą chowają się paskarze (jak pieszczotliwą i żartobliwą jest sama ta nazwa!). Ale, aby sprawę w ten sposób postawić, na to trzeba pedagogii, założonej na daleką metę, i innego, mniej obłudnego stosunku prasy do społeczeństwa i naodwrót.

Ów stosunek ucznia do profesora zrodził u nas tak, jak wogóle w Austryi organizacye i instytucye o doborze wstecznym, otoczone jakby atmosferą spisku, automatycznie niejako zamykające się przed wszelkim ratunkiem i odświeżaniem. W środku zaś takich gniazd



K. SICHULSKI POS. SEITZ.

smrodliwych rozwalają się mamuty i zawalidrogi.

Mamuty zawsze istniały, ale nigdy ich istnienie nie woniało, tak jak dziś, gdy oni to właśnie zajmują przednie miejsca wśród pasażerów arki Noego, unoszącej się na falach potopu. Mamuty uważają, że wojnę trzeba przeczekać, tak jak ulewny deszcz w najbliższej bramie, będą na nią kląć siarczyście, ale nie czują nawet, że czas ich minął, że robota, którą teraz spełnić należy, jest po większej części odrabianiem tego, co oni narobili. Nie czują? A może czują, bo mamuty są zazdrosne, nigdy i nigdzie nie wychowali sobie następców, a dbają o to, żeby najbliższe pokolenie nie przekreśliło sensu ich dotychczasowego życia i samą już jakością swojego innego działania nie udowodniło im ich głupoty. Mamuty są cyniczne, choć na pozór dobroduszne, więc plątać się będą między nogami właściwych budowniczych, będą przeszkadzali, psuli, paskudzili, będą narzucali swoje „doświadczenie“, będą żądali posłuchu, szacunku, jubileuszów, aż powoleńku wymrą i spoczną pod pomnikami z napisem, że to byli ci niespożyci, którzy dźwigali fundamenty, a zębami ich ugarniruje się portal katedry na Wawelu.

Zawalidrogi — to drugi gatunek partaczy: wynoszą ich na odpowiedzialne stanowiska względy towarzyskie, protekcya, ale najczęściej tolerancya społeczna, lub dziwny zwyczaj naszego społeczeństwa załgiwania się w przesadną reklamę dla jednostek nieodpowiednich, wymyślania sobie coraz to nowych bożków, — brak elementarny intuicyi wobec charakterów i zdolności.

Są wszędzie.

W Niemczech już od paru lat rzucono hasło: „Freie Bahn dem Tüchtigen!“ (wolnej drogi dla tęgich!), roztrząsa pomysły „Szkoły dla uzdolnionych“, przemyśliwa się nad skomplikowanymi sposobami, jakby usunąć różne przeszkody, tamujące selekcyę najtęższych, najzdolniejszych, jakby usuwać pomyłki talentów w wyborze zawodów itd. Rusztowanie dla odbudowy moralnej i duchowej wznosi się zawczasu i czeka na runięcie budowy starej.

„U nas nie trzeba tak dobrze“. Germanizmy wcielamy tylko w nasz język, nie w nasze życie.

Oto jest jedna z warowni wstecznictwa: sacrosancta filologia klasyczna w gimnazyach galicyjskich, codzienna zbrodnia, dokonywana przez bieżące pokolenie na następnem. Nie usuniemy jej. Zaczekamy, aż nas wyprzedzą ci, co się jeszcze z usunięciem tego przeżytku kultury nie uporali, bo sami nie odważymy się na taki „niebezpieczny eksperyment“. Mamy zresztą — jak zawsze mieliśmy — „ważniejsze“ rzeczy do roboty. Synowie mogą zaczekać. Niech będą jeszcze podobni do nas, aby nam żal nie było...



Rys. E. Czerwenka.

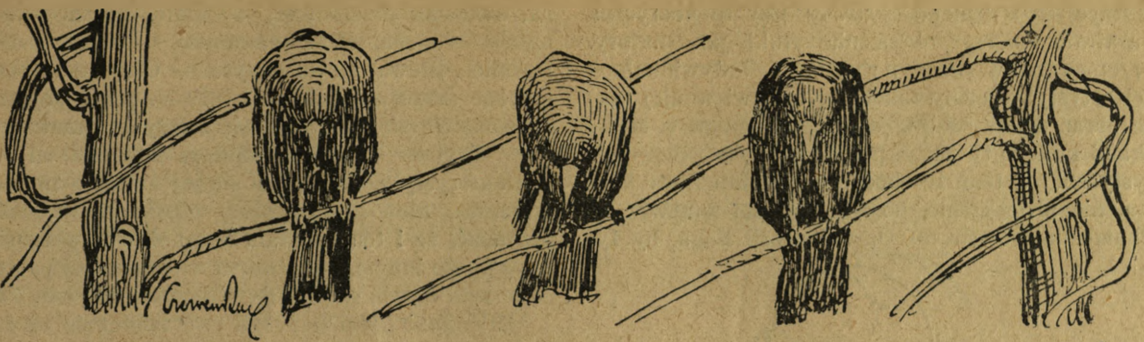
ARTUR PRĘDSKI: PRZEGLĄD.

Zamknąłem szczelnie okna, aby gwar uliczny
nie wciskał się natrętnie do mojej komnaty,
na stole dawno zwiędłe postawiłem kwiaty:
bez — zerwany na wiosnę — blady, anemiczny.

Pstre zdjąłem z siebie dzienne Harlekina szaty
i z bladej twarzy grymas wygnałem komiczny —
i dawnych wspomnień szereg przywoławszy liczny,
zestawiać jąłem wszystkie me zyski i straty.

I widzę życia swego kierunek wytyczny
spaczony, dziwnie śmieszny, cyrkowo pstrokaty,
gest — na poły błazeński, na pół heroiczny,

kłamiących samym sobie słów przepych bogaty
i cel daleki jeszcze, chociaż ustawiczny:
śmierć — głupi August —, z którym już jestem: ty na ty...



P R Z E G L Ą D

W POGONI ZA NOWĄ POEZYĄ.

Julian Tuwim: Czyhanie na Boga, Warszawa, 1918, nakład (własny?), skład główny u Gebethnera i Wolfa, str. 139.

Jak matka obiera imię pierwszego dziecka, zwłaszcza syna nieraz po długich namysłach i naradach, by było i piękne i dobrowróżbne, tak autor, o ile swego pierwszego tomu nie ochrzci czysto formalnie, jako Poezye, Wiersze, Rymy, Rytmy, Strofy, Sonety i t. p., dobiera mu tytuł i znaczący i nęcący i niepokojący. „Czyhanie na Boga" zawiera prócz tego wyznanie, że poeta nie doszedł jeszcze do swego celu; że dopiero nań czyha, jak myśliwy z palcem na cynglu na zwierzynę, czy rozbójnik z kastetem na przechodnia... Porównania ilustrują tylko treść czasownika, który wyraża najintensywniejszą formę czekania.

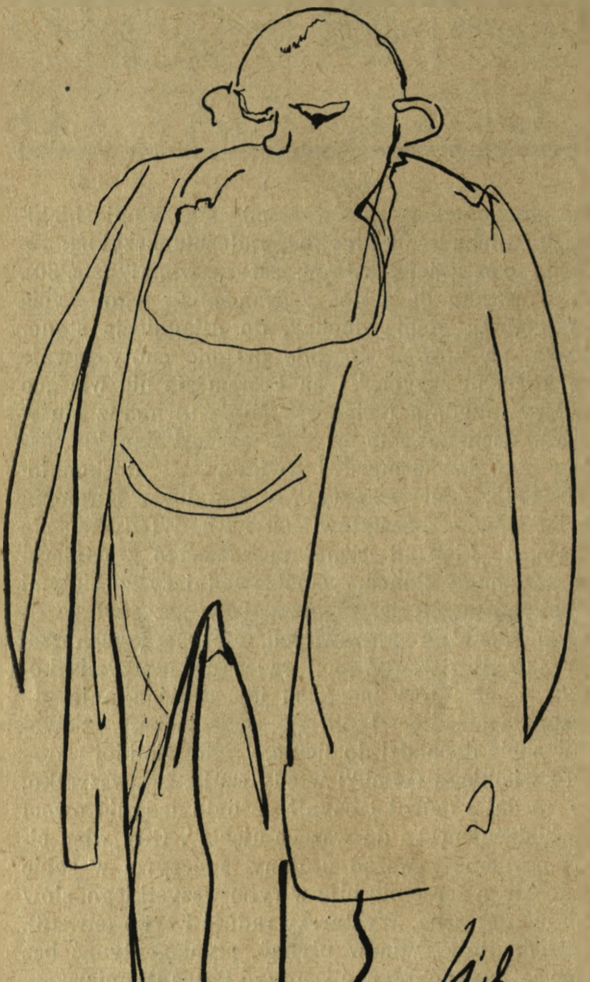
Przedmiotem tak oczekiwanym jest Nowa Poezya, Nowy Bóg. Poeta nie widzi jeszcze jej oblicza, ale patrząc w świty, wie, że będzie tajemnicza i szalona, objawi się (jak Jehowa Mojżeszowi) „ognia manifestem" i nazwie się „groźnie, twórczo", (jak Bóg Mojżesza): Jestem (str. 3). Z oblicza jej ma „Bogiem trysnąć wieków treść ukryta". Czy historya odwiecznych i wiekowych walk, kulminująca za dni naszych??: „Hej, silniej! straszniej! groźniej! Walą w mur kilofy! — Pękają kotły maszyn! Rewolucye! Mordy! — Kataklizmy żywiołów! Wojny! Katastrofy! — Zgrzyt rygli czarnych więzień! Żądz buchają hordy! — Ryczy symfonia wieków! Ryczy pieśń wspaniała!— Szalona w groźnym pędzie! Bez kresu! Bez końca! — Hej ziemio! I mnie dusza w pieśń się rozśpiewała: — Pędzisz dokoła słońca, słońca, słońca!!". (str. 71).

Chaotyczne zmaganie się sił ziemskich jest wyrazem tego samego ruchu, który pędzi w nieskończoność bryły kosmiczne, jest wyrazem — Życia. Ono ma być przedmiotem nowej poezyi.

Siłę jego czuje poeta jako człowiek — po Farysowsku (tylko znacznie krótszym oddechem): „Rozprężę szeroko ramiona, — nabiorę w płuca porannego wiewu, — w ziemię się skłonię błękitnemu niebu — i krzyknę, radośnie krzyknę: — Jakie to szczęście, że krew jest czerwona!" (str. 30). Jako artysta dąży do zrozumienia tego życia „najgłębszą głębią ducha", do osiągnięcia stanowiska, na którem się „nie pragnie cnoty jawnie ani grzechu skrycie" i na którem się nie wie „co znaczy brzydota i piękno". Mimo to nieraz mu w duszy „sen zakwita czysty, — tęskniąc ku pięknu słońca, marmuru i kwiatów, — doskonałości ładu, idei artysty, — ujmujcej harmonią świat i świat zaświatów" (str. 12). Wtedy mu się zdaje, że kłębami dymu, puszczanego z papierosa w smugę słońca, współzawodniczy z białymi obłokami na niebie, co „rzucają w przestworze — sny o słońcach wędrownych, nie znających brzegu" (str. 14); wtedy „pod gwiezdną, olbrzymią kopułą — on, który mózgiem jej całość ujmuje, — przepaja się nią, stapia się sam z sobą, — powoli w sobie dochodzi do siebie, — do wielkiej radości i wielkiego rytmu"; wtedy czuje, że „wszystko, co myślał i mówił i czynił — było jedynie owem dochodzeniem — do wszech-ujęcia". Gdy więc ciszą ogromną zewsząd otulony, spoczywa w sobie radośnie, a serce mu bije w rytm wszystkiego, słów mu nie potrzeba. Wystarczy radość i rytm (str. 16). „Falistą linią rytmów płynąć, płynąć, płynąć bez końca... płynąć, płynąć i poczuć Patos Bezmiaru. — Patos ciśniętej w bezkres Perspektywy", to najpiękniejsza poezya wewnętrzna, muzyka dali drżącej, złocistej (str. 6).

Więc jakże? Podzielaż Tuwim poetykę Verline'a, który śpiewał: „Muzyki tylko i muzyki jeszcze! — Niech pieśń twa będzie jakby aromatem, — płynącym z duszy, która uleciała, — ku innym niebom i innej miłości... Bo wszystko inne jest literaturą!"? Może chwilami marzył o tem, ale pęd do życia i siły narzucił mu wnet inny postulat: Życie twórcze ma być dyamentową bryłą, wielościenną „nieubłaganie, zimno w sobie symetryczną". Gdy ją boskie słońce przeszyje pieszczotą złotego promienia, ma „oślepiająco zaślnić, błyskami drgające, — milionami blasków zagrać, roz-

iskrzyć się w śnienia“ (str. 5). Czy to poetyczna parafraza znanego określenia sztuki, jako natury, przepuszczonej przez pryzmat indywidualności artysty? Choćby tak było, to tkwi w niej także obraz dzieła sztuki, jako zamkniętego w sobie, skamieniałego tworu. A poeta szuka swej dumy artystycznej w tem, że choć widzi w dali Złote Miasta, nie idzie w nie, bo wie, że tam znajdzie — Skamieniałość (str. 9). On zaś prosił Boga, by ży-



K. SICHULSKI POS. GROSS, PREZ. IZBY.

cie jego, twórcze i szalone, zwało się „wieczna zmienność — w wiecznej jedności na duszy cokole“ (str. 7). W takiem życzeniu możnaby wprawdzie odnaleść także starą definicyę piękna, ale wystarczy zaznaczyć w niem jedynie pęd do ruchu i zmienności.

Mimo tych ograniczeń poetyki Verlaine‘owskiej, Tuwim określił istotę liryki zupełnie po Verlaine‘owsku: „Płynność... płynność... falistość... rytm wieczornych dostrzeżeń.. drżąca, żywa rtęcistość, — śnień wstydliwość i zwierzeń — Chwilna, zwiewna przelotność, — nikłe, smętne więdnienie, — cicha, cicha samotność, — cienie, cienie i cienie... Słowa: słowa ukryte. — Oczy: oczy spuszczone (Przeświecanie rozkwitu — przez pajęczą „zasłonę“)“ (str. 81). Jeśli się zważy że przeważna część liryków Tuwima odbiega zupełnie od tej charakterystyki, nie będzie się jej uważało za programową, albo przynajmniej będzie się musiało przyznać, że i ten program autor dawno porzucił. Zastąpił go innym, wyłożonym w epilogowej poetyce p. t. „Poezya, spojrzenie w przyszłość“ (str. 131—139) Inni poeci kończyli swą twórczość na takiej poetyce, w której pozwalali profanowi zaglądać do tajników swego — warsztatu literackiego; Tuwim od niej zaczyna.

I ta obfitość wierszy programowych jest najcharakterystyczniejsza dla autora, który postanowił złowić Nową Poezyę, ale jeszcze jej dokładnie nie widzi i jakby dla zwabienia jej do siebie, robi jej różne obietnice, jak to jej u niego będzie się powodziło. Z tem ogólnem czekaniem zgadza się i to, że także przy każdym utworze z osobna „czeka dusza na zdarzenie, — na nieuchwytne ‚coś‘, (wzruszenie — i styl odczuwań, ton i styl)“ (str. 82); u innych poetów „pękała bania poezyi“ bez specyalnego czekania na zdarzenie. Do wykładu swej poetyki użył Tuwim familiarnie ironicznego pouczenia „mędrca i chama“, może dlatego, by ironią pokryć nieco oklepaność rozmaitych *lieux communs*, z których się ona składa. Pierwszą taką oklepanką jest definicya poezyi: „Jest to pierwotny, czippewajski krzyk — (i chutna miłość do rodzącej ziemi), — zadowolony barbarzyńcy ryk, — gdy ujrzał Ogień oczy zdumionemi. — Wtedy podskoczył (to Poezyi Bóg — skoczył) i krzyknął słowo obłąkańcze“. Stąd „poezya, jest to, proszę panów skok, — skok barbarzyńcy, który poczuł Boga!“. Ponieważ autor każe swemu barbarzyńcy tańcem poświęcać Bogu próg chaty, ma, zdaje się, na myśli, ogień ogniska domowego, z czemby się zgadzała tajemnicza „chutna miłość do rodzącej ziemi“, właściwa tylko szczepom osiadłym, oddanym rolnictwu. I bez szczegółów antropologicznych wiedziano, że najdawniejsza „poezya“ była objawem reakcyi na dziw, na cud, objawem mimicznym, a potem (czy równocześnie) głosowym. Przybyszewski domagał się wznowienia owych pierwotnych wyrazów, streszczających pierwszą reakcyę na cud, wznowienia „meta-słów“; Tuwim poprzestaje na stwierdzeniu, że on się cieszy tak samo (z tą pierwotnością) jak dzikus i z ognia i z każdej cielesnej rzeczy, z każdego zjawiska. Wiadomo. Już pozytywista Świętochowski pisał o poecie, jako o człowieku pierwotnym. Bez pierwotności w odczuwaniu zjawisk niema prawdziwej poezyi. Więc, gdy Tuwim tłumaczy: „skacze się, śpiewa, szuka nowych dróg“, to tu nowość jest problematyczna.

Od poezyi pierwotnej, zawsze aktualnej, prze-

chodzi autor do ostatniej wielkiej szkoły poetycznej, do poezyi romantycznej i zaznacza, że obok jej piękności, które do dziś dnia nie straciły czaru, narzucają się piękności nowe: „Nie stracił czaru romantyczny smęt — róż i słowików, rusałek i goplan, — lecz coraz szybciej warczy życia pęd: — tam, gdzie jest księżyc, jest i aeroplan! — Nie stracił mocy Achilles i Piast —i chwalon będzie każdy, kto bohater! — Lecz już z czeluści elektrycznych miast — tłum wielki bucha, jak lawa przez krater... *Więc* kto marzenie ukochał i sen, — niechaj je w śpiewną splata słów perlistość! — lecz oto z szczytów i przepastnych den — dźwiga się Potwór: W i e l k a R z e c z y w i s t o ś ć“. Mniej pojednawczo wołał już przed czterdziestu kilku laty ojciec poezyi „technologicznej“ Maksym de Champ, że wobec dzisiejszych statków transportowych niema sensu śpiewać o klasycznej Argo, wobec maszyn tkackich rozczulać się nad krosienkami Penelopy, wobec całego postępu w astronomii, chemii, technologii i t. d. snuć marzenia o nierzeczywistości. A nie wiele później Sully Prudhomme głosił w wierszu p. t. *La poesie*, że wierzy w poezyę, o ile ta zapala fantazyę w oczach prawdy. Gdy go zwątpienie napada, otwiera księgi Euklidesa i w sprawach trójkąta znajduje pewność, jedyne swe szczęście i zdrowie. Kiedyindziej (*Monde a nu*) prosił chemika, by go zaprowadził do swego ciemnego królestwa, bo on wzdycha do rzeczywistości bez zasłon, a w „Zenicie“ wyrzekł: „Cel i przyczynę kryje wieczna chmura: — pewną jest tylko waga, liczba i figura“. Ten poemat (*Zenith*) jest pochwałą odważnych aeronautów, jak *Realisme* pochwałą — fotografii. Poeta technologiczny napisał też pochwałę kraju *par excelence* techniczego, przemysłowego, Ameryki (*L' Amérique*), która jak wiadomo, znalazła piewcę swej „nowoczesności“ w Walcie Whitmanie. Na starym lądzie nieraz porównywano z nim Verhaerena...

To tylko dla przypomnienia, że „nowoczesność“, technika już dawno wywalczyła sobie uprawnienie na Parnasie. Przez to jednak, jak sam Tuwim wyznał, „nie stracił czaru romantyczny smęt“, o ile oczywiście był szczery. Ale ponieważ każdy kierunek literacki w miarę popularyzowania się staje się coraz bardziej konwencyonalnym i dyskredytuje się przez ludzi, którzy nic nie czując, układają z gotowych frazesów i formuł „piękne“ wiersze, może Tuwim temu konwenansowemu romantyzmowi wytoczyć takie oskarżenie: „Byłaś, Poezyo, teatralną grą, — miałaś swe stałe, stare rekwizyty“... Przeciw temu konwencyonalizmowi podnosi się nowa Poezya — rzeczywistości: „Gromada śpiewa, współczesności chór, — tłum ekstatyczny, który w bezmiar urósł! — Hej, Życiu drogę! Stanął groźny Zbór, — a na spotkanie Zborowi — Futurus“.

Z podobnemi rekryminacyami wystąpił przed przeszło stu laty przeciw skonwencyonalizowanemu klasycyzmowi (czyli t. zw. pseudo-klasycyzmowi) sławny Stendhal (*Racine et Shakespeare*) w imię romantyzmu pojmowanemu jako zwrot do — rzeczywistości, do prawdy, do życia. Kto sobie przypomni, jak w pierwszym tomie Poezyi Mickiewicza klasyków warszawskich oburzał naj-



RYS. K. SICHULSKI POS. ROMAŃCZUK.

bardziej — r e a l i z m w doborze „niepoetycznych“ t. j. niekonwencyonalnych osób (obłąkane dziewki wiejskie, dzieciobójczynie, morderczynie mężów) i „niepoetycznych“, wprost z życia, z gwary wziętych wyrazów i zwrotów, ten powoli zrozumie, że romantyzm był także reakcyą poczucia rzeczywistości, współczesności przeciw anachronistycznemu konwencyonalizmowi. Wszelkie szkoły, nowe prądy są taką reakcyą przeciw konwenansowi dawnych. Konwencyonalizm wierszyków Gawalewiczów, Laskowskich, Szelążków (z lat 1916—1918) i innych poetów warszawskich usprawiedliwia zu-

pełnie słowa Tuwima o stałych, starych rekwizytach...

Przedmioty technologiczne, współczesną rzeczywistość, zalecali poetom od jakich dwunastu lat także włoscy — futuryści, jak Marinetti i towarzysze. Z tego, zdaje się, dość przypadkowego względu i Tuwim nazywa się „pierwszym w Polsce futurystą", choć odrazu odgranicza się od ekscentrycznych kolegów włoskich: „a to nie znaczy, bym się stał głuptasem, — co sport z poezyi czyni, i z hałasem — udaje maga, a jest tylko glistą. — i to nie znaczy, bym na przeszłość plunął, — bym zerwał w wierszu nawet, z przeszłym czasem"... Pozytywny swój program streszcza w sposób, odpowiadający — każdemu prawdziwemu poecie jakichkolwiek czasów: Chce więc stać się łuną — Idącego (t. j. tego wszystkiego, co nadchodzi), chce głosić nową „Wiedzę Oczywistą", chce „swoje tańce, żale i zachwyty, — smutki, spojrzenia, szaleństwa i burze, — tęcze, koszmary, jesienie, podróże — noce, księżyce, wichry i błękity pożary, gniewy, przemknienia i cienie, — rozpusty, słońca, zwycięstwa i róże, — przepaści, zbrodnie, niziny, przestrzenie — wszystko na s w o j e wyprowadzić szczyty, — wszystkiemu chce dać równouprawnienie". Wymienione przedmioty poezyi (pominąwszy chaotyczność ich wyliczenia) miały oczywiście równouprawnienie i w dotychczasowej poezyi. To też autor otwarcie się przyznaje, że wśród jego rymów znajdą się echa dawniejszych olbrzymów poezyi, których uczniem mieni się być z dumą.

Tak nawet w teoryi futuryzm Tuwima jest bardzo — passeistyczny, co o tyle tylko zasługuje na podkreślenie, że kwestyonuje zapowiedź: „Będę ja pierwszym w Polsce futurystą"...

Po ustaleniu programu następuje powitanie Nowej Poezyi. Poecie i jego pokoleniu duszno, jak przed burzą. Czuje, że chwila jej się zbliża i czyha na nią z niecierpliwością, wiedząc, że kiedyś w nocy obudzi się z stygmatem świetlistego krzyża w duszy i stanie się apostołem Nowego Chrystusa. Nowy Bóg „wstanie ogromny w Życia aureoli — i będzie Ludy nauczał Żywota — i będzie Nowych Zdarzeń protoplastą" i pójdzie za nim cały proletaryat i „wszystkich Jutrznia rozsłoneczni złota". Tę konieczność rozszerzenia dobrej wieści żywota na wszystkich uzasadnia autor równie prawdziwie, jak po staremu: „bo to są ludzie, bo to są narody — przed Bogiem równe i Bogu nie krzywi, — bo to są dusze, to są ludzie żywi, — których czekają jasne życia grody". W nich odrodzi się cała ludzkość, poczuje Boga, wstąpi w siebie, odmłodnieje... „To nie proroctwo! To wola! To pewność! — Poezya moja, to nie tylko śpiewność, — zrodzona szczęściem lub żalem głębokim. — To rewolucya dusz, to śmiałe rzuty (...ale i rzewność, niezgłębiona rzewność...)". To są — przeczucia człowieka, co nie mogąc w czynie „wykazać swej buty" — pisze wiersze... A więc Tuwim chce poezyą powieść proletaryat do życia w Chrystusie, do życia prawdziwego?

„Dosłownie, dobitnie, wyraźnie — dla powszechnego zrozumienia" tłumaczy jeszcze raz, że mówi „o jednej wszechobecnej Sprawie, — o prawdzie widomej, o bezspornej rzeczywistości", że sławi „Boga Ducha przez potysiączne Rzeczy i Wcielenia, że sławi „dzieje, pochwala istnienie, tłomaczy śmierć"... Wygląda to na optymizm bez zastrzeżeń w stylu Panglossa z Wolterowskiego Kandyda, a tłumaczy się ogólną affirmacyą życia i wszelkiej rzeczywistości przez poetę:

Raduje go bowiem boskie jego człowieczeństwo, raduje go rozkosz groźnych możliwości. Spotęgowane uczucie życia, nietylko własnego, ale całej natury, rozpiera mu pierś i wyrywa z gardła jakieś Beethoveniczne psalmy, którymi chciałby porwać z sobą do życia wszystkich współczesnych: „Nauczyłem się cudownej pieśni, — tryumfuję, szaleję z radości, — upiłem się światem Bożym, — pokochałem ostateczną miłością, — za pan-brat jestem z nieskończonością! — Chodźcie! chodźcie!". Pieśń jego przechodzi w rytmy i słowa — marsylianki, marsylianki życia: „Allons enfants! allons enfants: — Le jour d e l a v i e est arrivé!"

Technika — „natchnienia" jest w tym szóstym ustępie Poetyki opanowana mistrzowsko. Że to tylko fikcya, dowodzi bezpośrednio potem dodana wskazówka „źródłowa": Taką pieśń śpiewał już za oceanem bard siwobrody, — chyba Walt Whitman. Tuwim „ku chwale imienia ojczyzny swojej przeszczepia obce pędy na Drzewo Rodzinne, na krżepki Dąb Polski", podnosi „donośny głos antifilozofa ku utrwaleniu Nowej Poezyi". Ten głos „precz rzuci nakaz dawnych wiar, — ale się skłoni wszędzie, kędy jest mogiła", ogarnie cały byt wszystkich wieków, będzie zapowiadać świt stolicom ducha, będzie dzwonić na spotkanie — Idącego... (dok. nast.).

Tadeusz Sinko.

KRAKÓW · 20 · WRZEŚNIA · 1918 ZESZYT · 27

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



VL. HOFMANN PORTRET WŁASNY.

STEFAN GRABIŃSKI.

PROBLEMAT CZELAWY.

4)

— Non fa niente, ragazzo mio, non fa niente. Oto nieco z grubsza ociosana parabola; trochę może ordynarna, lecz zastosowana do tutejszego środowiska. — Sięgnął po brudny kufel z piwa, przelał doń część absyntu ze swego kieliszka i postawił przedemną oba szkła.

— Widzisz ten drogocenny płyn?

— No, cóż z tego?

— Przez ściany kufla przegląda mętnie, w kieliszku świeci, jak łza, Nieprawdaż? A przecież i tu i tam ciecz ta sama. Kwestya oprawy serdeńko, kwestya ram. Ostateczny wygląd i wrażenie są tu wypadkową treści i formy, chociaż w obu identyczna treść się powtarza. Lecz i forma ma głos kochasiu, i to lube ciałko, a jakże, i to biedne, posiniaczone w nocnych bitkach, pokrajane od razów, obrzękłe od trunków i łajdactwa ciało. No, rozumiesz nareszcie?

— Rozumiem.

— Chwała Bogu, pardon, demonowi życia, nie wierzę w Boga. Niema to jak literaci. Wszystko rozumieją, na wszystko się zgodzą z wyjątkiem grzechów przeciw sztuce. Lecz by mnie zrozumieć, trzeba trochę cierpliwości i czasu.

Pociągnął z kieliszka i mówił dalej tonem spokojnego opowiadania.

— W roku 1867, 20 lutego w miasteczku N. pojawił się na świecie dziwny kaprys natury: pewnej parze małżonków urodziło się dwoje męskich bliźniąt zrosłych biodrami. Po szczęśliwem przeprowadzeniu operacyi jedno zapadło w dziwny stan martwoty, by po 12 godzinach śmiertelnego snu wrócić do stanu jawy, gdy równocześnie drugie niemowlę uległo symptomom przebytym uprzednio przez pierwsze. Władze duchowne były przy udzielaniu chrztu w niemałym kłopocie. Konsylium uczonych i lekarzy zajęło się żywo fenomenalnym wypadkiem, by wreszcie orzec, że najprawdopodobniej ma się tu do czynienia z jedną jaźnią o podwójnej osobowości empirycznej.

Energia psychiczna ożywiająca nasze ciała była jedną i tą samą, a stąd i pamięć wspólną; tak, siła duchowa była identyczna, lecz nie ciała: to były dwa różne ustroje fizyczne. Każdy z nas jako osobowość empiryczna przedstawia wypadkową dwóch elementów, z których jeden jest nam wspólny.

Następstwa tego kaprysu życia rzucają się w oczy przy pierwszem zestawieniu; mój organizm, pobudliwszy pod względem płciowym wpłynął też zasadniczo na ukształtowanie charakteru, który porównany z usposobieniem profesora razi wyuzdaniem. Być może z tegoż źródła wypłynęło moje umiłowanie brudu i plugawego życia. Lecz pamięć i inteligencya są naszą wspólną własnością, zarówno co do siły napięcia i jakości.

Ja byłem już od początku człowiekiem nocy, nie znałem dnia i jego spraw. Noc i jej mrok rozpostarły nademną od kolebki opiekuńcze swe skrzydła.

Zrazumiesz trudności wychowania. Utraciliśmy rodziców w siedmnastym roku życia. On, tj. ja pod postacią dzisiejszego prof. Czelawy, miał charakter zimny, spokojny, niemal bezpłciowy. To ułatwiło mu studya, pozwoliło na inicyatywę. Wyjechaliśmy za granicę. Słych o nas zaginął.

On zaopiekował się mną — ha! ha! zaopiekował! Niech mu kat świeci! Wstydził się mnie, ukrywał przed światem, trzymał przed ludźmi w tajemnicy moje istnienie.

Uległem od razu z pokorą bydlęcia; i to jasne: w obu nas współdziałała przecież ta sama inteligencya, ten sam spiritus movens, ta sama pamięć. Ujarzmił me ciało. Zresztą szedłem mu na rękę po części dzięki mym wcześnie wybujałym popędom. Stałem się wkrótce kar-

czemnym hulaką, gwałcicielem kobiet, zwyrodnialcem; mam parę egzystencyi ludzkich na sumieniu, che, che, na sumieniu. Popełniłem parę zbrodni. Udało się jakoś wymknąć, zatuszować.

— Czy nie starał się uwolnić od ciebie?

— Zrazu tak; potem wpadł na piekielny pomysł, dzięki któremu stałem się mu nieodzowny. Został profesorem uniwersytetu, wielkim psychologiem i postanowił z katedry wyzyskiwać bezczelnie moje najserdeczniejsze przeżycia. Łajdak! Wygodnie się urządził, mając do dyspozycyi dwa ciała. Od lat śpię jak pies w zamkniętym, nigdy nie opalanym gabinecie, by w nocy żyć z tych paru ochłapów monety, które mi łaskawie odstępuje. Sknera! Nawet ubrać się nie mam za co. Chodzę w jego znoszonem ubraniu. Kutwa!

— Jak długo zamierza przeciągnąć współbytowanie w tak blizkiem sąsiedztwie? Musicie chyba znać obaj najtajniejsze drgnienia swych myśli?

— Oczywiście. Uważasz Dzierzba, ten egoista w profesorskim birecie postanowił z siebie i ze mnie, przedewszystkiem ze mnie zrobić naukowy problem, nad którym pracuje już od lat. Dzieło już na ukończeniu; lada dzień zechce mnie się pozbyć, wycisnąwszy przedtem jak cytrynę. Lecz ja go uprzedzę! — dodał z dzikim błyskiem w oczach.

Zadrżałem.

— Przecież on musi wiedzieć o twych względem niego zamiarach?

— Naturalnie, że wie.

— Dlaczego więc nie przedsiębierze środków ostrożności? Czyżby igrał z niebezpieczeństwem?

— Ha, ha! Otóż właśnie! Pan profesor przeliczył się w rachubach. Zbyt silnie ufa w dotychczasową przewagę naszego wspólnego spiritus movens, naszej wspólnej jaźni. I po części ma racyę. Zawsze dotąd wstrzymywał mię od samodzielnego czynu jakiś sprzeciw wewnętrzny. Lecz i organizm ma głos swój i prawa, kochany Dzierzbo, tak jest, i to spodlone, zawsze lekceważone przezeń ciało. Pijany dziś jestem i silny. Przeciągnął strunę. Ostatni eksperyment, ten zwornik jego pracy, korona, która uwieńczyć ma jego dzieło, zawiódł haniebnie, rozpętując we mnie tej nocy niepohamowany już bunt; wywabił z kryjówek ciemne siły, które go zniszczą. Dlatego, dziś właśnie stawiam wszystko na jedną kartę i mówię swobodnie. Chyba mnie nie wydasz?

— Bądź spokojny. Mówisz o końcowym eksperymencie, co miałeś na myśli?

— Cha, cha. Ciekawy eksperyment, jedyny w swoim rodzaju! Jego przedmiotem Wanda Czelawowa. Ten człowiek zimny jak ryba, niemal aseksualny, ożenił się z kobietą piękną, bardzo piękną i młodą. Zamęcza ją, poświęcając na ołtarzu swej wielkiej nauki.

Oczywiście wiedziałem o jej istnieniu i jak wygląda.

Podobała mi się dyabelnie i zapragnąłem. Ty wiesz, co znaczy dla takiego, jak ja osobnika pragnienie fizyczne kobiety, pożądanie jej? Sprzeciwiał mi się zrazu wewnętrznie, nie pozwalając nawet wchodzić do ich sypialni. Lecz żądza moja wzrastała, ta niesytą żądza, która u niego jest niemal w stanie zaniku. Wreszcie uległ i pozwolił ją widywać



VL. HOFMANN NAD WODĄ LETEJSKĄ.

nocami; chciał, widzisz, i z tego ciągnąć zyski, stworzyć jeszcze jeden konflikt w naszej symbiozie i włączyć ciekawe, stąd płynące przejawy, jako ogniwo ostatnie w łańcuch swych doświadczeń, pragnął wypróbować i w tym kierunku władzę, jaką miał nademną.

Jakoż ograniczałem się długi czas do spojrzeń. Kobieta zrazu nie wiedziała o moich nocnych wizytach; dopiero wczorajszej nocy zauważywszy mię, skryła się w sąsiednim salonie. Lecz nie ujdzie mi. Dziś już przypuściłem szturm do zamkniętych drzwi i dopiero gdy zaczęła krzyczeć, z obawy pobudzenia lokatorów uszedłem, by się upić i nabrać odwagi. Zbyt mię rozdrażniła. To skończy się dla nich fatalnie. Seksus, mój kochany, to nieobliczalny element. Dziś jeszcze wrócę, posiądę Wandę, zabiorę pieniądze a samego uduszę, jak psa. Jeśli tego dziś nie zrobię, jutro on ze mną postąpi podobnie.

Domawiając tych słów Stachur porwał się z krzesła i wyzywająco patrzył w dal. Był straszny. Ostre, białe zęby jak kły rozwścieczonego dzika błyskały z wykrzywionych pasyą ust, zlepione potem włosy spadły w nieładzie na czoło.

— Masz słuszność — rzekłem siląc się na chłodny spokój — ja ci w tem dopomogę.

— Ty?! — spojrzał na mnie wzrokiem pełnym wdzięczności. — Dziękuję! Dzielny z ciebie chłopiec. — Uścisnął mi rękę.

— A zatem w drogę zaraz! Już późno: szósta nad ranem. Gotowi nam przeszkodzić.

Wyszliśmy.



VL HOFMANN *ŚWIĘTY JAN*

Był jasny, słoneczny poranek. Zbudzone już miasto szemrało pogwarem wstających głosów życia. Po zaułkach tułały się wypłowiałe postacie kobiet, z austeryi wymykali chyłkiem nocni goście. Jakiś włóczęga ziewnął szeroko, prostując znużone ramiona i powlókł się dalej chodnikiem. Po drodze skrzypiały pod stosem jarzyn wózki przekupniów, rozlegał się ciężki stukot kół miejskich furgonów.

W przestworzu snuły się zaranne dymy fabryk, przesłaniając od czasu do czasu czerwony krąg słońca nad farnym kościołem. Rzeźwy dreszcz brzasku wstrząsał ciało, rozlewając w powietrzu krzepką woń ozonu.

Stachur szedł spiesznie, nerwowo, co chwila spoglądając na zegarek. Dotrzymywałem mu kroku w milczeniu. Koło siódmej wchodziliśmy do bramy. Szczęściem na schodach nie było nikogo. Stachur otworzył gabinet, przepuścił mię do wnętrza, zamknął za sobą drzwi od korytarza i nie zatrzymując się ani na sekundę w pracowni, wprowadził mię do sypialni.

Serce biło mi młotem i fala krwi uderzyła w głowę. W pokoju zastaliśmy w uśpieniu tylko profesora, pani Wandy nie było; widocznie zmęczona przejściami ubiegłej nocy, jeszcze się nie obudziła.

Stachur wlepiwszy drapieżny wzrok w śpiącego, wskazał mi go ruchem ręki:

— Patrz, to ten! Zdławię go jak psa!

I już ruszył ku łóżku z wyciągniętemi przed się rękoma, gdy nagle wydobyłem z kieszeni browning i równocześnie chwytając go za piersi, krzyknąłem:

— Ani kroku dalej!

Stachur szarpnął się, lecz wymierzona wprost w piersi lufa rewolweru poskromiła go.

— Ha! — syknął przez zęby — Kto ty jesteś podły zdrajco?!

Wymieniłem swoje właściwe nazwisko.

Na dźwięk imienia Stachur wpił we mnie badawcze spojrzenie i nagle zrozumiał.

— Łotr, podlec, pan doktor! — mruknął, pieniąc się z wściekłości.— Także eksperymentator! Tej samej nędznej sorty, co ten w łóżku, jego uczeń! Puść mię, bo narobię hałasu!

— Nadaremnie grozisz: Teraz i tak nie obejdzie się bez skandalu.

— Puść mię na wszystko święte! — jęknął, zmieniając ton. — Gdy się zbudzi, zabije mię!

— Bądź spokojny. Nie mogłem tylko dopuścić do zbrodni. Musimy czekać.

Gdy domawiałem tych słów, drzwi od salonu odemknęły się i w progu stanęła z bronią w ręku blada jak ściana pani Wanda.

— Proszę się niczego nie obawiać. — Uspokoiłem ją. — Jest w moim ręku. Zaczekamy do godziny ósmej.

Profesorowa usiadła we fotelu obok łóżka, z niepokojem spoglądając to na nas dwóch, to na męża, to na zegarek. Tak w milczeniu przeczekaliśmy trzy kwadranse, długie jak wieki. W miarę jak wskazówki zbliżały się do fatalnej godziny, niepokój Stachura wzmagał się, przechodząc w rozpacz. Błagał, by go puścić. Musiałem uspokajać, upewniając, że w mojej obecności nic mu się nie stanie. Lecz kon-

frontacyę wobec osoby trzeciej uważałem za konieczną do ostatecznego rozwiązania sprawy. Mimoto Stachur usiłował parokrotnie wydrzeć mi broń z ręki. Lecz nie udało mu się.

Na pięć minut przed ósmą, przerażenie biedaka doszło do szczytu; wyglądał jak obłąkany. Wbite nieruchomo w tarczę zegara oczy śledziły ruch nieubłaganie posuwającego się indeksu, złączone ręce kurczowo wyginały palce. Wtem zesztywniał, białka oczu poszły w górę i bezwładem ciężaru, wymykając mi się z rąk, runął na posadzkę.

Zegar wydzwonił ósmą.

Usłyszałem ciche westchnienie ulgi z piersi pani Wandy:

— Zasnął.

Lecz w tejże chwili drgnienie życia wstrząsnęło martwem ciałem profesora i podnosząc się z łóżka, zaczął przecierać ręką czoło i oczy. Nagle otrzeźwiawszy z resztek snu, zoryentował się. Spojrzał przytomnie na nas, na leżącego jak trup na dywanie włóczęgę i w lot przypomniał sobie wszystko. Postanowienie szybkie jak błyskawica, mignęło w siwych, bystrych oczach. Jednym skokiem zbliżył się do żony, podjął opuszczony przez nią na podłogę rewolwer i zanim zdołałem przeszkodzić, wypalił do Stachura. Strzał był celny: zgruchotał mu czaszkę. Śpiący nie drgnął.

Lecz prof. Czelawa chwycił się ręką za czoło, przyciskając je w miejscu, które odpowiadało ranie zabitego. Po czasie odjął rękę i patrząc na drżącą jak trzcina żonę, szepnął:

— Działanie reperkusyi.

I wskazał ręką na czole okrągłą, czerwoną plamę, jakby od silnego uderzenia. Po chwili zwrócił się znów do żony:

— Odejdź stąd Wandziu, widok zwłok działa na ciebie. Nie popełniłem zbrodni: miałem prawo rozporządzać wedle woli tem ciałem.

Profesorowa oddaliła się.

Wtedy Czelawa postąpił ku mnie:

— Panie doktorze! Dziękuję za pomoc i ratunek. Problemat mojego życia rozwiązany. Proszę pana na świadka w tej wyjątkowej sprawie. Musimy zaraz donieść władzom i usunąć trupa.

I popatrzył na zwłoki Stachura dziwnem, zagadkowem spojrzeniem.

Patrzyłem i ja przejęty grozą i zdumieniem. Niespodziewanie uczułem jakiś głęboki, przejmujący ból: żal mi się zrobiło tego nędzarza, tego genialnego pauvre diable, człowieka nocnych mroków i zbrodni, tragicznej igraszki życia.

I skłoniwszy się, bez słowa odszedłem.

— — — — — — — — — —

W dwa tygodnie po zaszłym wypadku zasiadł na ławie oskarżonych przed sądem w P. prof. dr. Wł. St. dwojga imion Czelawa obwiniony o zabójstwo. Po przeprowadzeniu śledztwa i przesłuchaniu świadków uwolniono podsądnego 23 głosami przeciw 3 od winy i kary.

W dwa lata potem wydało londyńskie towarzystwo naukowe dzieło prof. W. S. Czelawy pod tyt.: „The Soul and the body or The history of a man with two bodies. The probleme of my life“*). Do tekstu dołączył autor dwie podobizny: swoją i brata Stachura.

Koniec.

---

*) „Dusza i ciało czyli Historya człowieka o dwóch ciałach. Problemat mojego życia“.

LEOPOLD STAFF.

MIAŁEŚ TY, LUDU...

Miałeś ty, ludu polski, zawsze opiekunów,
Co ganiąc cię, że w izbie mieszkasz wraz z chudobą,
Dbali, abyś nie porósł w brud i mech kołtunów
I nawet wyręczyli cię w rządzeniu sobą.
Takież ci to, wbrew tobie, stworzyli wygody
I zaprzątać ci niczem nie dali się inszem,
Jeno byś zadowolon żył, jak twoje trzody
I za bezczynność płacił bezsilności czynszem.
Dziś znów z trzech stron zjechali w gości, by w twym domu
Zaprowadzić ład, który do łask dawnych dodasz,
Jeno ty nie wiesz, czy masz dziękować i komu?
Bo nie ma się u siebie gdzie podziać gospodarz.
Świadczą ci swe najlepsze chęci wśród słów kroci,
Uściski obiecują, jeno że zbyt ciasno;
Przebaczają ci nawet w swej wielkiej dobroci,
Że zdołałeś oddychać dotąd piersią własną.
Troszczą się o cię, radzą o tobie bez ciebie,
Tak, że ty, lud karmiący, ty, chleba mnożyciel,
Na własnej roli żyjesz o łaskawym chlebie,
Nowy, w chudej nagości poszczący, Jan Chrzciciel.
Zaprawdę! Jak on, chadzasz z twardym krzyża znakiem
I ochrzciłeś swą ziemię własnej krwi Jordanem,
Ziemię, co jest dziś cała Gorejącym Krzakiem,
W którym się duch Twój zjawić chce swym własnym Panem.
A wśród najezdnych rządców kędyż masz Ojczyznę,
Gdy twemi nie są własne, wszem otwarte wrota?
Skurczyła się dziś cała w twego serca bliznę,
Lecz jest wielka, jak dusza twa i twa tęsknota.
O, ziemio, pozbawiona siewców i oraczy,
Wtrącona w nędzę ruin, sieroctwa, wdowieństwa!
Chociaż wdziałaś żałobę, lecz nie znasz rozpaczy,
Jeno hart cierpliwego i ufnego męstwa.
Ojczyzno, nawiedzona ogniem i żelazem,
Pośród zgorzeli czarnych tego mąk ogrojca,
Jesteś tym cudnym młodej kobiety obrazem,
Co w czas głodu swą piersią karmi starca-ojca!
O próg zwęglon opierasz głowę obolałą,
I na ból błogosławisz swoich synów plemię.
Lecz choć ci wszystko wzięto: wszystko ci zostało,
Gdy nad sobą masz Niebo, a pod stopą Ziemię!
O, ludu polski! Zbawi cię największa Święta!
Podniesie cię z padołu twej głębokiej troski
Ziemia twoja bronzowa i mieczem pocięta,
Jak oblicze Najświętszej Panny Częstochowskiej.



VL. HOFMANN — DZIECI.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

17)

WALKA.

POWIEŚĆ.

I tak oto kwestya się przedstawiała: stał przed nim ucieszony pierwszy z brzegu człowiek i zawracał mu parą koni po przestrzeni między jednem biodrem a drugiem u jego narzeczonej.

Zabodła Piotra do żywego pospolitość rzeczy. Ten robił to temu, tamten tamtemu. Chamstwo ludzkie kotłowało się spokojnie po barłogu, a miliony Bawrowiczów pędziły jedne ku drugim w rozmaitego gatunku wehikułach, aby sobie parą, czy czwórką koni po wszystkiem, co którego jest, zawracać. Cóż ma wobec tego czynić człowiek inny? Niema go być, albo musi mur koło siebie i tego, co wybrał, postawić.

Rarytaty...

Cóż była winna ta dziewczyna? Tylko to, że on sam nie zamknął jej za wrota przed oczy ludzkiemi.

— Czegóżeś się pan tak zadumał? — zapytał go Bawrowicz.

— Nic — — tak sobie pomyślałem, czyby tam wystarczyło miejsca na parę koni i czyby nie lepiej było zawrócić tam parą osłów.

Bawrowicz wybuchnął śmiechem.

— A tom się ubawił! A toś pan kawaler! Taka to młodzież dzisiejsza! Dawniej do stóp... Ja, panie, kiedy mi głowę zawróciła pewna panieneczka, siostrzeniczka dyrektora Latały — jeszcze wówczas niebył tem, czem dziś — która tu bawiła na wakacyach, śliczna bruneteczka,

Ficia jej było na imię, Filipinka, tom, panie, tak waryował, że aż mi się raz pan Rzesiński spytał, czy mam ciasne buty... Daję panu słowo uczciwości, panie, chodzićem niemógł, tylko chciałem skakać!

— No i cóż?

— A no cóż? Ja chciałem tu skakać, a jakiś furfant chciał się z nią ożenić półtora roku później w Łomży — odpowiedział Bawrowicz ze smętną rezygnacyą.

— I ożenił się?

— Ożenił. Już tu znowu jej syn był kiedyś na wakacyach. Kubek w kubek —



VL. HOFMANN POŻEGNANIE.

— Pan?

— Iii idź pan! Którędyż?

— I rarytaty poszły!?

— A no — — hihihi! Pan Bóg wiedział, co robi! Trzymaj się pan ciepło!

Niesłychany przykry komizm sytuacyi opanował Piotra: z jednej strony jakieś człowieczydło, to całe jego stosunki, z drugiej narzeczona, której nikt nie zna i nieuznał.

Postanowił to skończyć.

A przedewszystkiem postanowił skończyć jakąś rozterkę wewnętrzną, która w nim tkwiła. Mógł więcej kochać, niż kochał Donimuntównę? Bez wątpienia. Dał sobie na to sam odpowiedź przed chwilą w rozmowie z Bawrowiczem, któremu nie zamknął ust i nie wsadził nosa w kurz. A jednak ta dziewczyna była mu czemś miłem, pożądanem, upragnionem, drogiem. Był jej godnym? Otóż nie: albowiem on czuł się kochanym całą duszą i całem sercem. Zmarnować to uczucie, zdeptać — nie. Odpowiedzieć tem samem? Tak trzeba. A jednak: pocóż się łudzić?

Stracić ją? Nie! Ale wprowadzić równe prawa, a wprowadzić — — —

Piotr niechciał jej mniej kochać, a niemógł tak samo.

Było w niej wszystko, a niebyło wszystkiego. Ten jakiś jeden cień, jeden ton, którego niebyło... Jej atmosfera myśli była próżnią — ale to mógł zmienić. Pustą była głowa jej matki, pustą głowa jej brata, ukochany stryj Ewaryst był człowiekiem oczytanym, rozmownym, miłym, uprzejmym, dobrym, ale to był przedewszystkiem człowiek towarzyskiej rozmowy. Takim się przynajmniej przedstawiał. Wszystkich i wszystko znał i lubił mówić. W wygodnym fotelu wygodnie oparty, bardzo dobrze ubrany od bucików do krawatki, ożywiony, pogodny, z humorem, zawsze gotów słowo słowem poprzeć. Cała głębia jej życia dotychczasowego to była jasna bania szklanna. Całe obszary życia były jej obce, lub znane z nazwiska. Nawet nędza ludzka była obowiązkiem sercowo-obywatelsko-kościelnym i niczem więcej.

Miała wiele ponęt i kochała...

Z tą myślą szedł popołudniu na robotę, gdzie wznoszono mury kościoła. Miał tam być przez panią Donimuntową fundowany ołtarz, gdyż hrabia zgadzał się, aby obywatelstwo okoliczne ofiary czyniło, tak, że oprócz murów niewiele sam dokładał, bo nawet dzwon główny gremium oficyalistów fundowało, a dach dyrektor Latała i pan Rzesiński na spółkę. Ów ołtarz miał ich połączyć...

Do zachodu słońca dozorował pracę, po zachodzie zbliżył się do kilku robotników, którzy na ciosach siedli, aby dychnąć i fajki pozapalali. Byli to ludzie sprowadzeni z miasta, murarze zawodowi. Rozmawiali.

— Dobry wieczór — ozwał się Piotr. — O czem tak panowie radzą?

— A tak się ta zastanawiamy, proszę łaski pana budowniczego, kiedy się też to wszystko zmieni?

— Co się ma zmienić?

— A okolica. W mieście to mniej razi. Ale tu. Przeszliśmy się trochę, proszę łaski pana budowniczego, parę razy po okolicy w niedzielę: dy tu klasa intelligentna inna ,narodowość, klasa niższa, niby pospólstwo, inna, wiary dwie, mowy dwie, do tego jak widzimy i słyszymy, te obszary, te osady przemysłowe, te dwory, konie, kuchnie, liberye w niewielu rękach — tu tak równowagi niema, że się to musi przeważyć, bo niech pan budowniczy uważy, świat był podług wagi wodnej ułożony i dopiero człowiek równowagę zepsuł. Jabym tu niechciał wtedy żyć.

— Jak się te mury, które budujemy, ostoją, dobrze będzie — rzekł drugi. — My jesteśmy miastowi ludzie, ale ze wsi —myśmy tu i z tutejszymi ludźmi mówili trochę.

— I co oni powiadają?

— A no co? Cóżby gadali? Że na tych włókach, co sam hrabia ma, trzy tysiące bogatych chłopów by się osiedliło. A dopiero inni panowie podalej — a szlacheckie majątki — dobrze kumoter Bednarczyk mówił, gdzie świat z wodnej wagi wyjdzie, tam się na jedną stronę przeważyć musi.

— I przeważy — dodał trzeci robotnik wytrząsając spaleniznę z fajki.

— A na czyją stronę, można wiedzieć; narodu kupa i w domu — rzekł czwarty, Jędrzejowski, podmajstrzy.

Piotra czoło zmarszczyło się, a więcej jeszcze zwarła się i sfałdowała w sobie jego dusza. Siadł obok na ściosie kamiennym.

— Najlepiej by było, żeby się ludzie bogaci naszego narodu ztąd sami dobrowolnie inendej wynieśli — rzekł pierwszy robotnik.

— To tak łatwo powiedzieć — odpowiedział mu inny — są tacy, co tu z dziada pradziada, z niewiadomej pamięci mają prawa swoje. Oni tę ziemię zdobyli, oni jej też i bronili. Czytałem, to wiem.

— To jest wszystko jedno — odezwał się trzeci z robotników — nie na tem świat stoi, co było, abo co jest, ino na tem, co powinno być. Ma być wolność i równość socyalna i koniec. Co było, tego nikt nie zje.

— Tak jest — rzekł żywo Piotr, czując, że w w tej chwili mimowoli, czy wbrew woli inaczej myśli — ma być wolność i równość socyalna. Wolność narodów i urównanie społecznych warstw za każdą i bezwzględną cenę.

— No to ja się cieszę, że pan jest z nami — ozwał się robotnik Jędrzejowski — bo pan nieraz mówił, że ludzie powinni się starać jeden o szczęście drugiego, powinni zabić krzywdę i złą wolę, ale się pan nigdy tak wyraźnie nie oświadczył. Na mniejszych ludzi przychodzi czas, wszyscy mają być do równości pomniejszeni.

— Albo też do równości powiększeni — rzekł drugi.



VL. HOFMANN MATKA POLKA.

— To to to, to to to — poparł go któryś murarz — do równości powiększeni. Nie o to idzie, żebyście oba mieli jednako po kawałku pieczeni. Demokratyzacya, to jest panie święty — —

— Powszechna arystokratyzacya — ułatwił mu Piotr, który ujrzał w tej chwili w wyobraźni obok kupy dziewek noszących cegłę, sytych, wesołych, doskonale odzianych, Ninę Dominuntównę, bo przecie cegły zawsze będzie ktoś musiał nosić.

— My, jak my — mówił pierwszy robotnik — tam w innych krajach, gdzieindziej, fabrycznych, durch und durch uprzemysłowionych, gdzie są miliony robotników wszeliniejakich

gałęzi, ale u nas — chłop znaczy. Co chłop zawoli, to będzie. I tu to samo, ino jeszcze więcej i o dużo więcej. My se to już nieraz powiedzieli i samiśmy się siebie pytali, czy ci panowie, niby ci nietutejsi, zdają sobie sprawę z tego, że oni są tak, jak wyspa morzem otoczona. Pokąd morze spokojne — gut, aus, wszystko dobre, ale niech wiater zawieje, wody wzburzy: kto się ostoi? I to nie jest takie dalekie. Po ludziach tutejszych coś chodzi. A gdzieś w okolicy dalszej ma się jawić jakiś kulawy olbrzym, człowiek, no człowiek, bo cóżby mogło być, wilkołaki albo widma to bajka, i buntuje ludzi. Chłopi o tem mówią po cichu między sobom, ale nas to już doszło. Nawet jego nazwisko nam wiadome: przedstawia się Topielec.

Piotr drgnął.

— Topielec? — zapytał mimowoli.

— Tak, proszę łaski pana budowniczego, Topielec.

— I co też to być może za jeden — zapytał Piotr — nie wiecie panowie? To ciekawe —

— No jakiś ideowiec, albo ma swojom krzywdę — rzekł robotnik Jędrzejowski. — Szwagier dobrze nazwisko pamięta. Może ta niekoniecznie olbrzym musi być, ale wysoki człowiek będzie. Słyszałem to dobrze ja sam, tam, gdzie nocuję. Tu my panie architekcie spokojnie stawiamy ten kościół, a kto wie, co on będzie oglądał i co tu w nim ochrzczą?

— Albo czy tu i chrzcić zdążą? — dodał inny. — No, ale to my radzi, kiedy się pan z nami oświadcza. Bo my se nieraz zadawali pytanie, czy pan należy do partyi, ino my się nigdy tak prosto spytać nie śmieli.

— Tak, należę do partyi — rzekł Piotr wstając — powszechnie wolnych, powszechnie równych, powszechnie niepodległych ludzi chcących powszechnego dobra, powszechnego pokoju i powszechnego światła.

— To się wszystko mieści w socyaliźmie — odpowiedział uroczyście Jędrzejowski, wyciągając dłoń. — A zatem witamy pana, panie budowniczy-towarzyszu.

Piotr z drgającemi wargami uścisnął rękę Jędrzejowskiego.

— Do widzenia do jutra, towarzysze. Krzywdy niweluje się wytrwałością i hartem, zemsta burzy porządek wewnętrzny człowieka. Bądźcie panowie zdrowi.

— Kłaniamy się. Do widzenia. Życzymy spokojnej nocy.

Przeklęte przeznaczenie, które wplątało go w miłość Donimuntówny — — tak miłej, takiej dobrej i tak pełnej uroku — — ten Topielec — — czy to nie ten olbrzym stangret, z którym walczył na kładce nad stawem? Kulawy — — ta deska, która się dała zauważyć rano na wodzie — — to buntowanie...

Rozprężył ramiona. Siłę w nich czuł atlety. Przypomniał mu się Dżibennenosach, Duch Puszczy, unoszący Edytę z pośród wigwamów indyjskich przed pościgiem. W tej chwili serce porwało go ku Ninie — — wyjął mały pierścionek ze szmaragdem i przytknął do ust.

Droga... moja... kochana... szeptał. C. d. n.



VL. HOFMANN POLNA PIEŚŃ.

K. FIRLEJ BIELAŃSKA.

WITKIEWICZ.

W czwartą rocznicę śmierci.

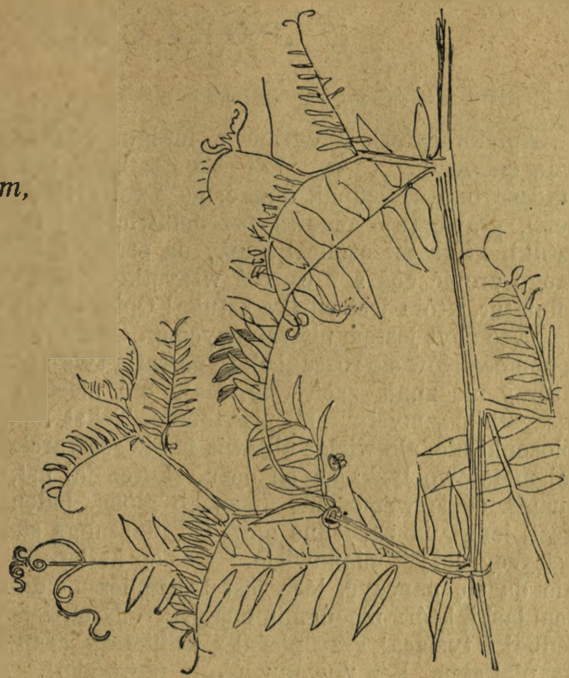
I.

Przed świtem odszedł. Ach, on był z tych rodem,
Co zapatrzeni w wizyę proroctw jasną,
Jak słup ognisty idą przed narodem
A spoczną wtedy, kiedy w trumnie zasną.

Był z tych, co lud swój duszą karmią własną
Skarbem rozrzutni a sami mrą głodem,
Zawsze samotni — bo wciąż idą przodem
I pierwsi ujrzą Chanaan — i zgasną.

Ale z ich cierni i krwawego trudu
Wykwitnie Róża: czerwony kwiat Cudu —
Śpiącą królewnę wyzwoli królewicz,

Przez piekło idąc mąk i trud nadludzki.
Dla niej miecz w kuźni wykuwał Piłsudski,
Dla niej zrąb domu budował Witkiewicz.



ST WYSPIAŃSKI Z „ZIELNIKA".



ST. WYSPIAŃSKI Z „ZIELNIKA".

II.

Patrzę na czapkę Ziuka (Piłsudskiego)
i myślę o nich wszystkich...
Witkiewicz: Ostatnie słowa.

Wsłuchany w poszum obcych modrych fal
Gasł nowej Polski wielki Budowniczy.
W przedświtu chwili szarej, tajemniczej
Odchodził cicho w światową dal.

I wielka trwoga zdjęła go i żal,
Że już nie ujrzy nowych dnia zdobyczy.
Czy wypełniony jest kielich goryczy?
Dziejowy węzeł czyjaż przetnie stal?

Konał i słuchał cichy, coraz bladszy,
Jak tam los karty obraca historyi,
Jak tam świat stary kruszy gromów huk —

Otworzył oczy — z obrazka nań patrzy
Twarz ukochana w jasnej brzasku gloryi,
Stygnące wargi cicho szepcą: Ziuk...

I zgasł z uśmiechem, słysząc lot Wiktoryi!

PIOTR ALTENBERG.

Z „P O K Ł O S I A". („NACHFECHSUNG").

G u s s y H o l l.

(Apollotheater). Program z lutego. Naprawdę cudowny. Gussy Holl jest dla mnie najrzadszą (można jednak dodać: po Yvette Guilbert), prawdziwie rasową przedstawicielką tej sztuki, która mi osobliwie leży na sercu: z niczego zrobić coś a z czegoś wszystko. Sztuka miniatur, która jest wielką sztuką! Opisywać ją — na to zbyt jestem nią zachwycony. Opisywać, z pomocą słów się rozczulać, to potrafią tylko ci, którzy nie znają zachwytu. Mają oni niestety wszystkie „zmysły" (?!) przytomne. Tekst nic, piosenki nic, ale wieleż objawia nagłe rozwarcie jej metalowo łyskających oczu, skurcz jej ust, znagła ostre wzmożenie jasnego głosu, jeden gest, jedna pauza, jedno nic?! Od niej mogą się wszyscy uczyć, mianowicie, — że co najlepsza, nie da się nauczyć, lecz jest tajemniczym darem łaski, który nieodgadniona przyroda udziela jednej z tysiąca! Przy pieśni z żołnierską czapką płakałem. Bez powodu, nie, z powodem!

— Kiedy to sprawozdanie ukazało się, przyszła nazajutrz Gussy Holl do mego pokoju, usiadła na sofie i poczęła płakać.

„Aha", pomyślałem „dobrze wyuczona scena, pierwszorzędna reżyserya".

„Postanowiłam sobie wczoraj wieczorem przyjść do pana, usiąść na sofie i wypłakać się za wszystko, za wszystko w mojem życiu, a ponadto jeszcze za pańskie dobre, szlachetne uznanie".

Zawstydziłem się wtedy sam przed sobą.

Zwłaszcza, kiedy dodała po pauzie: „prócz tego pozwoliłam sobie przywieść panu pięćset pańskich ulubionych papierosów, Hanum, z munsztukiem korkowym".

R o c z n i c a ś m i e r c i
P i o t r a A l t e n b e r g a.

„Ach, Hugo, drogi mężusiu, mam do ciebie prośbę, jedną prośbę — — —"

„Będzie spełniona! Wiem. Dziś przypada rocznica śmierci Twego ubóstwianego P. A. Zapisano w moim notatniku pod: „ważne zdarzenia". Zamówiłem już dla ciebie duży bukiet tuberoz, jego ulubionych kwiatów, za trzydzieści koron".

„Hugo, Hugo, Hugo — —!"

„Jak długo chcesz pozostać tam na grobie?! Szofer mówi, że czas czekania liczy się oczywiście osobno!"

„Hugo, nie mogę przecież przewidzieć tego z góry!"

„Naturalnie, Jolanto. Ale w przybliżeniu!"

„Może godzinę. Albo jeśli ci to za długo, Hugonie?!

„Nie, Jolanto. Cóż miałbym czulej w tobie czcić i cenić, jak twój kult dla P. A.

„Hugo, Hugo, Hugo — — —!"

Tam, na grobie starego błazna, Hugo zatrzymuje się z boku, chodzi cichemi alejami tam i napowrót, tam i napowrót.

Ona, nareszcie: „Hugo, allons!"

On nie mówi słowa. Ona: „Czy go moje kwiaty ucieszą?!"

Po przybyciu do domu.

„Hugo, Hugo, Hugo, jakże ci mam dziękować, Hugonie?!"

On całuje ją ze czcią w rękę.

Całość przeobraża się powoli w solenną uroczystość na cześć szlachetnego charakteru Hugona.

D z i e n n i k a r s t w o.

„Kochany p. Altenberg, nie jest mi tajnem, dlaczego mnie pan dziś wita z tak osobliwym chłodem i rozdrażnieniem!"

„Mam ból brzucha".

„Nie, to nie to. Wykreśliliśmy wczoraj z pańskiego sprawozdania z varieté dwa słowa Ale niestety, było to nieuniknione. Odbyliśmy posiedzenie i po dojrzałej dopiero rozwadze usunęliśmy dwa wyrazy z pańskiego cennego referatu. Ja osobiście nie miałbym nic przeciw temu, by zostały. Napisałeś pan w swoim cennem sprawozdaniu: „Muzykę napisał autor B o g u d z i ę k i jeszcze nieznany". Tych dwu rozstrzelonych wyrazów: „B o g u d z i ę k i" nie mogliśmy, nie śmieliśmy, nie chcieliśmy ogłosić; jest to za ostre, za radykalne, za prawdziwe! Pan to zrozumie, Piotrze Altenberg?"

Ś w i a t o w a w o j n a p o e t ó w.

Żaba siedziała w brunatno-liliowej wodzie, rechotała i zatrudniała się swoim obyczajem. Ale gdy zamęt światowy stawał się coraz groźniejszym, dostała wyrzutów sumienia i zgłosiła się na front. Strzelała dość dobrze i nie rechotała więcej. Pewnego dnia rzekł generał: „Żabo, jesteś wcale tęgim strzelcem, ale tak strasznie dają się nam tu we znaki roje komarów i robactwa, mącąc tak ważny dla nas spoczynek nocny! Nie mogłabyś nam pomódz?!" „Panie majorze, rzekła żaba, chociaż wiedziała, że to jest generał, ale żaby chętnie udają nieznajomość realnego świata, — „panie majorze, dla Ojczyzny — wszystko!"

I w ten sposób znowu została nader użyteczną żabą.

Drzazgi.

Tragedyą małomieszczanina jest, że na pewno i głęboko wierzy, iż w wielkim mieście „coś się dzieje“.

* * *

Jakże mają rozumieć się narody i rasy, jeżeli człowiek nie rozumie zgoła swego bliźniego albo rozumie go źle, kochający kochanki, matka córki, a tym przecież to łatwiej, niż zgoła obcym sobie narodom?! Kupiec nie rozumie kupującego, kupujący kupca. Każdy żąda od d r u g i e g o idealizmu, aby j e g o interes szedł lepiej. Każdy jest zdumiony, że drugi jest właśnie tak nikczemny, jak on sam! Przecież tu niema żadnego stopniowania, skoro wszyscy są równi! Jeden musi być przecież zręczniejszym.

* * *

Gdy przystąpi do mego stołu „sławny literat“, aby poznać raz tego narwanego P. A., a ja siedzę cichy, spokojny, skupiony w sobie, — mówi odszedłszy: „Temu człowiekowi zawrócił jego talencik kompletnie we łbie; siedzi, jak arcykapłan, w którego każdy ma obowiązek wsłuchiwać się, jak w objawienie“.

„Ależ on nic nie mówił“, odezwała się panna A. R.

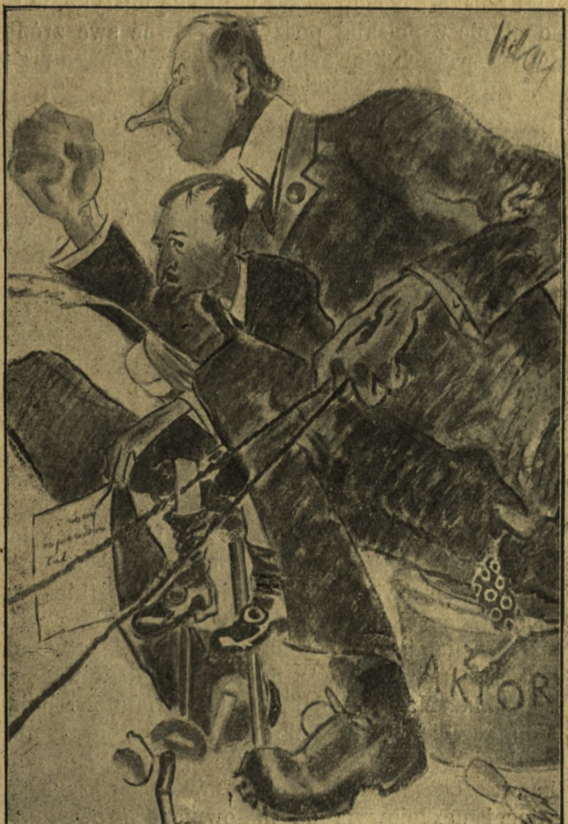
„Otóż to właśnie, żąda aby go słuchać nawet wtedy, kiedy nic nie mówi“.

Upadek Przemyśla.

Z okienka pod dachem zwisała wązka czarnożółta chorągiew, aż do błękitnego balkonu z czerwonemi geraniami, tam ją umocniono. Dachówki lśniły się stalowo-rdzawo-brunatno, szary termometr wskazywał 21 stopni w cieniu. Nieznajoma dama owinięta szalem szła samotna ulicą. Brunatny pinczer stajenny igrał ze świstkiem papieru. Przez lustrzaną szybę kawiarni widać było, jak dwu żarliwie rozmawiało o polityce. Wywieszono jeszcze trzy chorągwie, białoczerwone i czarnożółte. W jednem z okien ukazała się ruda blondynka, spojrzała po ulicy w górę i w dół, ale nic nie nadeszło, nic nie zdarzyło się dla niej. Ktoś zawołał głośno: „He, auto!“. Robiło się coraz parniej. Na oknie mojej dwunastoletniej sąsiadki Lucie D. stały cztery wazoniki gwoździków. Otrzymała je od autora tych wierszy. Wtedy to jej ojciec wyraził się: „Ten człowiek zdaje się nie mieć żadnych żywszych interesów w tych ciężkich czasach!“

Przeł. ts.





KAZ. SICHULSKI — TRZCIŃSKI. — SIEDLECKI z niejakim Mikuckim.

ZMIANA DYREKCYI W TEATRZE KRAKOWSKIM.

PRZEGLĄD

VLASTIMIL HOFMANN.

Z młodej generacyi malarzy polskich najwybitniejszym i najoryginalniejszym artystą jest Vlastimil Hofmann. Choć urodził się w Czechach z ojca Czecha i matki Polki (w Karlinie 1881 r.), od małego jednak dziecka przebywał z rodzicami w Krakowie, gdzie chodził do szkół polskich i obracał się zawsze w polskiem środowisku, aż wreszcie został uczniem najsławniejszego malarza polskiego ze starszej generacyi, Jacka Malczewskiego, i dziś można powiedzieć z całą pewnością, że niema malarza polskiego więcej „polskiego“ nad V. Hofmanna, malarza, któryby wybitniej przedstawiał polską psychę i sięgał w polską mistykę, w tę, co płynie z polskiej poezyi, a główne swe zródło ma w utworach Słowackiego, tak wielbionego przez Hofmanna i tak mu blizkiego duchem.

Wszechświatowa wojna zagnała Hofmanna na przeciąg dwu lat do Czech — jego ojczyzny po ojcu. Zamieszkał w Pradze, opuściwszy swą pracownię w Krakowie, i tworzył między nami w improwizowanem atelier w pięknej willi, położonej wysoko na Hrebenkach, tonącej w bukietach róż... Ale czeskie otoczenie nie miało już na niego żadnego wpływu. Dzieła jego z tej doby przejściowej są również polskie i również dalekie od tego, co przemawia do widza z obrazów czeskich artystów współczesnych. Hofmann i w Pradze pozostał samotnikiem, a wracał do Polski z jasnem poczuciem, że tylko w Polsce jest odpowiednie miejsce dla jego twórczości.

Z polską sztuką łączy Hofmanna ów mocny prąd mistyczny, który Pawlikowski w swej książce o mistycyzmie Słowackiego charakteryzuje, jako wojnę pierwiastku materyi z pierwiastkiem ducha. Nauczyciel Hofmanna — Jacek Malczewski, wielki, płomienny i płodny duch, w utworach swych nie przedstawia tej walki: jest zupełnie ziemskim. Maluje ludzi z żądzami faunów, bujne, śmiejące się i tęgie dziewki, silnych, barczystych opalonych chłopców, słowem pyszną zmysłową barwę ziemską. Hofmann w swych obrazach jest więcej uczuciowym od malowniczo-surowego genialnego Malczewskiego, rozmaitemi sposobami wyraża mistycyzm, walkę materyi z duchem, ziemi z niebem. Jeżeli Malczewski widzi przebogatą pełnią swych zmysłów, to Hofmann przygląda się ludziom nietylko powierzchownie, ale przenika swym wzrokiem ich wnętrza. Jeżeli Malczewski maluje Polonię, jako Nikę, tęgą, pełną życia nagą kobietę, to Hofmann przedstawia Polskę, jako umęczoną szczupłą kobietę, przykutą do pnia katowskiego. Obok stojący jej syn z twarzą ukrytą w dłoniach płacze, rozmyślając o wszystkich cierpieniach, jakie przeżyła Ojczyzna... Tylko dziecko, spoczywające u nóg kobiety, symbol generacyi, która ma przyjść i ujrzeć już oswobodzoną Polskę, patrzy z ufnością w dal i czeka blizkiego nadejścia wiosny...

Faun Malczewskiego, to zwykle pyszne zwierzę ludzkie o grubych, zmysłowych wargach, śpiewające zwycięzką pieśń żywota, faun zaś Hofmanna bywa zamyślony i wpatrzony w bieg wody albo zieleń trawy, siedząc na brzegu rzeki, czy pod jakiemś innem drzewem. Nie jest on krzykiem natury, jak u Malczewskiego, ale jej duszą, jej pieśnią, jej poezyą.

Prócz Malczewskiego miał Hofmann jeszcze jednego mistrza, który wprawdzie nie oddziałał na wewnętrzną treść jego twórczości, ale za to na formę. W Paryżu był Hofmann uczniem Leona Gérôme‘a, tego słońca III-ciej Republiki, autora znanej „Walki kogutów“. Wnętrze tego artysty odznaczało się zawsze pustką, czy malował obrazy o treści „greckiej“, „wschodniej“, „rzymskiej“ lub współczesnej, ale formę miał mocną, skończoną, tradycya doskonałego rysunku żyła w nim od Dawida aż do Ingres‘a. Tam więc w Paryżu dojrzała forma Hofmanna. Rysunek jego odtąd jest mocny, nie zatarty barwami, by zakryć niepewność, uczciwy, prawdziwy, wyraźny. Patrząc nań, zawsze myślę o słowach Blake‘a: „wielką umiejętnością w sztuce jest to: im pewniejsze i ostrzejsze rysunku, tem doskonalszem jest dzieło artysty, a im mniej pewnym i ostrym jest rysunek, tem więcej naśladownictwa, podrabiania i twórczej słabości‘.

Ile razy patrzę na „św. Sebastyana“ Hofmanna, zgadzam się zawsze w zupełności z powyższem

zdaniem, ciało bowiem tego świętego, przebite strzałami i leżące koło słupa na kawałku czerwonej materyi, tak ostro odcina się od ciemnego tła, że prawie plastycznie występuje. Jest w niem cud pewności, jasności, rysunkowej uczciwości, a swoją drogą niczem nie skażone uduchowienie. Czuje się, że jest to ciało świętego, a nie ciało tylko pięknego młodzieńca. W obrazie tym „walka pierwiastku materyi z pierwiastkiem ducha“ stworzyła dzieło, pełne harmonii.

Hofmann jest malarzem dzieci i starców. Umie wyobrazić spojrzenie dzieci, czyste jak woń fiołków, ale umie także wymalować oczy starców i staruszek, z których wygląda przepaścista głąb umęczonej, na krzyż przybitej ludzkości. Spuszczona głowa stuletniej staruszki, zawinięte w chustę ręce, trzymające różaniec, wzrok przygasły, usta szepczące cicho: „przyjdź Królestwo Twoje“. — jakaż to tragedya żywota ludzkiego, która zniweczyła wszystko, oprócz maleńkiej iskierki wiary w „przyjście lepszego życia — tam za grobem“...

Tutaj dociera mistyk-malarz do samego jądra rzeczy, dochodzi do najtajniejszych źródeł życia, z jakich pił wizyoner-Słowacki, którego Anhellego ilustruje Hofmann całym cyklem obrazów. Ta staruszka nie jest tylko samą rzeczywistością, choć tak wyraźnie rysowana, ona jest apokaliptycznym obrazem, jest wizyą.

I właśnie znalazłem określenie, jakiem mogę nazwać twórczość Hofmanna: apokaliptyczna. Hofmann skomponował obraz: Opuszczony Chrystus. Krajobraz pochmurny, szary i czarny, trochę zieleni, na tem tle figura rzeźbiona Chrystusa, u stóp skulone płaczące złotowłose pacholę — anioł skulone płaczące złotowłose pacholę, anioł współczucia, z główką na kolanach, z nóżkami okurzonemi ziemską podróżą. Całą ziemię przeszło, nigdzie nie znalazło przytułku, dopiero tutaj na końcu świata opuszczony kamienny Chrystus staje się jego jedyną ucieczką. W tym właśnie obrazie Hofmanna najwyraźniej zauważyć się daje apokaliptyczny charakter jego twórczości. Jestto wizya chmurnej suggestyi, w pomyśle i wykonaniu wielkiej. Chrystusa zawsze przedstawia Hofmann jako kamienną albo drewnianą figurę, przypominającą pracę ludowych rzeźbiarzy. A jednak ten Chrystus nie jest martwym, nie jest ani drzewem, ani kamieniem, jest pełen współczucia dla stworzenia żywego, które schroniło się w cieniu jego kapliczki. A jaki czar bije z obrazu, gdzie chłopak z ludu gra na skrzypeczkach kamiennemu Chrystusowi, a ten się przysłuchuje łaskawie.

Tak to Hofmann we wszystkiem, co tworzy, dagłęboki symbol życia albo polskości. Hofmann nie stara się, jak inni artyści, chwytać samą malowniczość, piękną barwę zwierzchnią i przenosić ją na płótno, ale wnika we wnętrze, w głąb żywota, skąd bierze swe symbole.

Z drugiej zaś strony od niczego Hofmann tak daleko nie stoi, jak od tego, co się nazywa „literaturą w malarstwie“, gdzie brak techniki zakry-



VL. HOFMANN. *W PRACOWNI ARTYSTY.*

wa się ideowemi, nie malarskiemi aspiracyami.

Wizye artysty pochodzą z jego wnętrza, są wytworami jego ducha, a nie dłoni jedynie. Z duszy Hofmanna płyną te delikatne czyste linie, co tchną na nas z obrazu szczerą, ognistą krasą. I nigdzie Hofmann nie pozwala sobie na koncepcye małostkowe, albo na jakieś fantastyczne oryginalności: w swych najmistyczniejszych obrazach jest naturalny i ludzki. Jego Madony, choć proste wiejskie dziewoje, przecie są pełne świętego niebieskiego czaru. Jego aniołowie, to dzieci, na rękach których widać, że bawiły się rzeczami ziemskiemi, nóżki ich chodziły też po drogach ziemskich, a jednak oczy ich to gwiazdy płomienne, rozpalone światłem niebiańskiem.

Hofmann z rzeczy naturalnych tworzy nadnaturalne, z ziemskiej materyi wizye nadziemskie. Jego Jan Chrzciciel jest młodzieńcem, idącym na puszczę. Kto go ujrzy tak zupełnie nagiego, zrozumie odrazu, że zrzucił on ze siebie po to to wszystko, czem był związany z życiem doczesnem, by być tylko sobą, i jedna w nim teraz jedynie tkwi żądza: zwiastować tego, który przyjdzie... Tem pięknem czystem ciałem najlepiej wyobraża artysta świętą misyę zwiastowania Przyjścia... W tym właśnie obrazie widzi się cały zwycięzki artyzm Hofmanna: harmonię spokoju, radości, wiary i siły.

Praga. *JIŘÍ KARÁSEK.*

W POGONI ZA NOWĄ POEZYĄ.

(dokończenie).

Chyba dość tych obietnic i zapowiedzi! A jednak Tuwim sypie nowe, raz w Marchołtowsko-Kasprowiczowskim wierszu o „syna poetowego narodzinach“ (str. 34), o chrzcinach przyszłego affirmatora życia i radości, Dyonizego, drugi raz w „Symfonii o sobie“ (str. 36). Ta wędrówka świadomego siebie indywiduum przeciw wiatrowi, mimo że graniczy z naiwnością, jest (nie tylko chce być) w prymitywnej swej prostocie prawie symboliczna, ale przygotowania do pieśni kończą się znów na samem zapewnieniu: „Pieśń się budzi w Twej duszy, o Młody — jak kościelna podniosła melodya, — pieśń powstaje wspaniała i smutna, pieśń o smutku kosmicznym, prastarym... i wróżebne melodye załkały — nieukojne, głębokie, ogromne...“ Mimo braku samej pieśni, chciałby, by mu droga coś odpowiedziała na skargę żalną i by go pocieszyła — w smutnym powrocie... Farysowy rozpęd wątli się w samorozczulenie....

Odpowiedniejszem zakończeniem tego wyścigu z wiatrem jest „wesoła pieśń o domu“ (str. 32), o domu pustym, w który przez otwarte okna i drzwi wpada wiatr i szaleje: „A wszystko trzaska, wszystko drży, — jakieś radosne i pijane! — Hej, bo się upił wielki dom, — jak słońce lub jak szewc w niedzielę...“ Z wiatrem puszcza się w tany po pustym domu — poeta: „Wywijaj wietrze, tłucz i grom! — tłucz nowe szyby! Drzwi pchaj w stronę, — gdzie były nieme i przymknione“. Mniejsza o to, że i wiatr i poeta wyważają drzwi — otwarte. Każdemu młodemu powinno się zdawać, że wniesie do czerwonego domu poezyi nowy ruch, nowe życie; ta wiara w siebie jest zadatkiem powodzenia, a w tym wypadku i gwarancyą — talentu.

„Symfonia o sobie“ zamyka grupę wierszy o urodzie i radości życia. Największą bezpośredniością odczucia i reakcyi odznacza się okrzyk: „Wiosna“, (str. 21).

Serce pęcznieje, nabrzmiewa,
wesele musuje w ciele,
można oszaleć z radości,
o moi przyjaciele!
Od stóp do głowy krąży,
potok niepowstrzymany!
Pomyślcie, co się to dzieje!
Jaki to pęd opętany!
Jak „bardzo“ jest! jak „wiele“,
Jak „żywo“, „zupełnie“, „cało“!...

Tu serce poety naprawdę bije w rytm całej wiosennej natury, a usta jego wykrzykują wszystko, czego sama natura wypowiedzieć nie może. Przysłówki ostatnich dwóch wierszy nabierają w tym ekstatycznym nastroju wartości pierwotnego „czippewajskiego“ krzyku. Tych dziesięć wierszy jest z tego samego metalu najszczerszej, najbezpośredniejszej poezyi, co — Goethego sławny M a i l i e d rozpoczynający się od słów: „Wie herrlich leuchtet — mir die Natur! — wie glänzt die Sonne! — Wie lacht die Flur!“. Goethe czuje w sobie ten sam pęd, tę samą miłość, która pulsuje w całej wiosennej naturze, w całym wszechświecie (O Erd‘! O Sonne! — O Glück! O Lust!). To też wdzięczny jego zachwyt kieruje się ostatecznie do ukochanej: „Wie ich dich liebe — mit warmem Blut, — die du mir Jugend — und Freud‘ und Mut‘ — zu neuen Liedern — und Tänzen giebst!...“ Tuwim chciałby uniknąć konwencyonalnego erotyzmu, chciałby powiedzieć coś godnego wiosennej rozrodczości natury, więc pisze: „Chodź, młoda do Młodego: — Ojcostwa mi się zachciało!“ Szkoda, że ta świadoma celu szczerość zbyt przypomina Boyowe

ironiczne wyznanie: „Chcę z Panią — cudzołożyć“ i psuje ostateczny effekt prześlicznej piosenki wiosennej... Sztucznie, a przynajmniej wyszukanie brzmi wobec niej nawet stylizowana na wzór F i o r e t t i św. Franciszka z Assyżu „Wiośnianka“ (str. 88): „Siostro — Wiosno! Siostro — polna dziewanno! — Chwiejna dziewanno miła, — wiosno oczu, jasna panno“...

Impresya z sadu, w którym dojrzewają czereśnie (str. 22) kulminuje także w przysłówkach: „W ogrodzie było ćwierkliwie — słonecznie, rośnie i wcześnie“, niemniej jak ekspressya z czerwcowego poranku w stolicy (str. 23): „Mocno mi, pięknie i młodo!“ Wieczorne wałęsanie się po ulicy „z podniesionym kołnierzem przy wytartem palcie“ (a więc na przedwiośniu) nie ma żadnego tła kosmicznego. Musimy na wiarę przyjąć zapewnienie (str. 29): „Jak sobie naprzód idę młody i wspaniały, — jak wsadzę do kieszeni twarde, suche pięście, — to, jakbym brzemię dźwigał, przewalam się cały: — we mnie to się przewala me pijane szczęście“. To uczucie „radośnika“, roześmianego, pijanego szaloną wiosną projektuje też autor w mitologię o Panie (str. 25) i umie ją zindywidualizować przez zastąpienie konwencyonalnej Nimfy przez „miedzianowłosą Krystę, młynarzową córkę“. — Letnie dojrzewanie zbóż assocyuje się u niego z „dojrzewaniem dziewiczem, upojnem“ (str. 27).

Dionyzyjska radość z życia jest też treścią poematów w prozie, zebranych w dziale szóstym. Mniejsza o to, czy K. Baudelaire czy P. Altenberg czy ktokolwiek z ich naśladowców był tu wzorem Tuwima. Za Altenbergiem przemawiałyby pewne umyślne „naturalizmy“. Wieczorne miłostki pod stogiem siana (str. 97), kończą się zdaniem: „prawą ręką gładzisz mnie delikatnie po policzku i czujesz lekką szorstkość golonej dziś rano brody“. Rozpamiętywanie innych wieczornych pocałunków przed uśnięciem (str. 100), zawiera taki ustęp: „Szedłem lekko upojony, jakby odurzony błękitnym aromatycznym likierem, zaprawionym brylantową kroplą mroźnej, mlecznej jaśni księżycowej, która kapnęła do smukłego kieliszka, opalizując i skrząc się fantastycznie“. Konwenansową robotą tchnie zazdrość o miłostki wiejskiej kochanki (choć w batystach) z — księżycem. (str. 101): Naturalnie, chodzi wieczorem nad leśne źródło, rozbiera się tam i w obcych wyrazach wzywa, jak Leda, kochanka-księżyca, a potem późną nocą „błędnie uśmiechnięta, naga“ wraca w poświacie miesięcznej. — Pocałunek, złożony w obecości damy na znamieniu słupka kwiatu liliowego, budzi w damie dziwną reakcyę: „Stała w pąsach, z rozfalowaną piersią i błyszczącemi źrenicami i uśmiechnąwszy się nikle (pewno z warg mych, ufarbowanych żółtym pyłkiem), jakimś specyficznie wzruszonym i drżącym głosem powiedziała: Pan jest wy-ra-fi-no-wa-nie nieprzyzwoity!“ (str. 102). Erotyka przechodzi w — Afrodystykę... Zapominamy o tem wykolejeniu się autora, poszedłszy z nim wieczór do karczmy na sąsiedzką pogwarkę przy piwie: „Jesień, jesień. Ani nam w karczmie smutno ani wesoło nie będzie. Bezcelowości spokojnej pragnę, smacznego snu, prostych myśli i ciepła...“ (str. 104). Z historyi, którą poeta w tym miłym nastroju opowiada, słyszymy tylko kilka wyrazów: „Ma jasne, smutne oczy i jest daleko“... Ale to wystarcza.

Jakby dla zilustrowania zapewnienia: „Nie stracił czaru romantyczny smęt — róż i słowików“, podaje autor w dziale piątym także ośm liryków *vieux jeu:* Szedł przez życie z imieniem ukochanej. „Tem imieniem, promieniami tkanem, —lśniące liście leśne szeleściły, — bzy majowe, zroszone perliście, — tem imieniem pachniały kochanem“... Oczywiście imię gdzieś przepadło, „smętkiem rzewnym duszę rozśpiewało: — Jakże było memu życiu na imię?“ (str. 83). Podmuch wiosny każe opiewać „dzwoneczki konwalijne, — dziewczęce sny lilijne, — kębłane (?), hołubione, — gołąbki białołone“ (str. 84). Dla powtórzenia zapewnienia, które już Andromacha dawała Hektorowi: Tyś mi ojcem, matką, bratem, wszystkiem! — wyznaje poeta, że ojczyzną mu Bóg, łan polski, dom rodzicielski: „Patrzę, strudzony śród dróg, — w oczu twych błękit przeczysty, — i jest w nim wszystko: i Bóg — i Polska i dom ojczysty“ (str. 86). Wobec tego nie dziwimy się też wyznaniu (str. 87): „Niczyj ja jestem na świecie, — niczyj, jak trawa lub zdrój, — jam jeno Twój jest i Boży, — Twój!“ Wzruszająca jest assocyacya padającego śniegu z wrażeniem, jakie list, pisany właśnie przez poetę wywrze na adresatce: „Bielutko. Cicho. Szczęśliwie. — Śnieg, patrz! — Bezgłośnie ozwie się w duszy — serdeczny płacz... A wtedy zagraj przesmętnie — Valse triste“... (str. 90). Smutne preludyum jesienne w wolnych rytmach marzy sam poeta (str. 91):

Wiem... Siadłaś teraz przy oknie
i patrzysz...
Kasztan pożółkły przed Twem oknem stoi
i liście roni... jesienne liście...
Deszcz kropi... kasztan moknie,
wiem, siadłaś teraz przy oknie,
jesienią ci się w dobrych oczach smutki,
te Twoje smutki: dziwne... przypomniane...
Lecą, lecą z kasztanu liście,
powiędłe, obłąkane,
szelestnie na ziem się kładą,
żałobnie... złociście...
A może świeci słońce?

Ten sam poeta, który tak delikatne preludyum posłał ukochanej, patrzącej z okna na opadające w jesieni liście kasztana, obrzuca ją obelgami w przypuszczeniu, że nie wyjdzie do niego na jesienną słotę, a on ją musi dziś zobaczyć. Błagać jej

jednak o to nie chce: „A tobie, psiakrew, nieochota! — A tobie w rozpaczy mej — przeszkadza słota, — mokro, mgła, chlupot błota!... ...A uparła się moja tęsknota, — a uparła się moja tęsknota“. Cóż robić? na upór lekarstwa niema...

Czysto nastrojowy i muzykalny jest Verlaine‘owski wierszyk p. t.: „Wieczór“ (str. 85), o takich anemicznych dziewczętach, bladych, jak wspomnienia, które szepcąc modlitwy, niepewnie, powoli kroczą „i znużone swej własnej wątłości słodyczą — cicho sobie nawzajem dobrej nocy życzą“. Z tych północnych mgieł i smętków wyrywa się dusza poety do słonecznej, lazurowej, rozśpiewanej Italii (str. 89):

A wieczorem tkliwą pieszczotę
ześle *dolce chiaro di luna*,
Drzewa szepcą: *Buona notte*,
gdzieś zadzwoni trącona struna...
I zaszemrze rozkołysana,
jak aksamit dźwięczny pianina,
la canzona napolitana,
che si canta con mandolina,

W tem napozór makaronistycznem użyciu włoszczyzny leży subtelna szczerość wspomnień, które z ukochanych obrazów przeszłości przemawiają językiem swoistym.

Oprócz kilku drobnych wierszy napisał Tuwim także jedną balladę niby historyczną, w stylu romantycznym (str. 121). Bohaterem jej jest Świetozar, pan stubramnego Złotogrodu, pogromca Połowców, Chazarów i Pieczyngów, który roił sobie dumne sny o przyszłości syna, spłodzonego z rozkoszną nałożnicą:

Byłbyś ty, Świetozarzyc, włodarz nad włodarze!
Wojewoda piorunów! kneź na Złotogrodzie!
Wicher Huraganowicz! Witeź w kraśnej tyarze!
Hospodyn purpurowy na słonecznym wschodzie!
Ale cię skradła macierz i w łonie uniosła,
synu, synu, s p o d z i e w o i dumo ojcowa!
Wydadzą ciebie na świat pokalane t r z o s ł a,
cudzołożna cię, synu mój święty, wychowa!
Albo i rzuci ciebie, jak pomiot sobaczy,
i będziesz rósł bezsławnie, najjaśniejsze c z ę d o!
i przeklniesz nieznanego rodzica w rozpaczy,
gdy cię za srom matczyny lżyć ze śmiechem
[będą!...

Podkreśliliśmy w przytoczonym fragmencie trzy wyrazy, jeden nowotwór, a dwa staropolskie. Autor mówi jeszcze o „tążeniu“ za dziewką, o skrzyniach „usieręg“, o „ładzie“ (pannie młodej), o gwiazdach, jako „srebrnicach-mrugankach“... Taką tęgą, krzepką polszczyznę archaizowaną nieczęsto się spotyka.

Utwory, dotychczas omówione, wygrał poeta przeważnie na — starej lirze. Nowsze (choć jeszcze nie „przyszłe“) tony wydobywa w szeregu wierszy impressyonistycznych, złożonych ze samych wrażeń niby zupełnie objektywnych, niby wolnych od elementów subjektywnych. Za przykład może służyć: „Pogrzeb“ (str. 65):

Świeciła mała naftowa lampka,
wynieśli na czarne schody,
na czarne schody drewniane,
szli, szli, schodzili,
szeptali coś, mówili,
schylali głowy,
głowami kiwali,
szli, szli, schodzili,
śnieg padał, mokro było,
ręce załamywali.

Na ciemnych schodach, nie rozjaśnionych naftową lampką, mdło płonącą, jakiś ruch, jacyś ludzie coś znoszą, schodzą. Ci, których ten ruch zatrzymał, coś szepczą, mówią, kiwają głowami. Wreszcie wyszli na ulicę. Tam śnieg, mokro. Dopiero w świetle dziennem widać czyjeś załamywanie rąk; że widać i trumnę, poeta nie dodaje. Tytuł „Pogrzeb“ dostatecznym jest wyjaśnieniem. Ale w końcowem załamywaniu rąk mieści się cała rozpaczliwość tego „czyjegoś“ pogrzebu. — W podobnej manierze napisany jest wiersz „U sąsiada“ (str. 63), ujęty w ramy dwóch domyślników: „Pewno ktoś chory u sąsiada“... „Pewno ktoś umarł u sąsiada“. Impressya jest u Tuwima zawsze nastrojowa, zazwyczaj symbolistyczna. Sama nastrojowość cechuje n. p. obrazek „Staruszków“ (str. 50). Symbolizm widać najwyraźniej na „Melancholii stojących przy ścianie“ (str. 52). Nie wiadomo, czy to publiczni posłańcy, czy żebracy ci, co „stoją z pochyloną na bok głową ludzie, — może są zmęczeni, może śnią o cudzie; — stoją nieruchomi, w jeden punkt wpatrzeni, — szarzy, jak szarzyzna śródmiejskiej przestrzeni, — patrzą tępo, szkliście, jakby bez pamięci... Nie budźcie ich nigdy, to są ludzie — święci“. Znak zapytania, powstający w czytelniku przy ostatnim przymiotniku, uspokaja autor zapewnieniem: „Święci, chociaż drzemią bezmyślnie pod płotem. — Oni nic nie wiedzą, ale ja wiem o tem“. Może przy neapolitańskich lazaronach, drzemiących bez trosk w ciepłem słońcu, to zapewnienie by nas przekonało; w naszych stosunkach nie budzi wiary...

Tragiczną zgrozę umie poeta wywołać, malując w podobny sposób „Żydów“ (str. 69). Po obrazie ich postaci, ruchów, życia, czytamy tam: „Wieki wyryły im na twarzach — bolesny grymas cierpienia, — bo noszą w duszach wspomnienia — o murach Jerozolimy, — o jakimś czarnym pogrzebie, — o rykach na cmentarzach... Jakaś Szatańska Msza, — jakieś ukryte zbrodnie (...pod oknami... w piątki... przechodnie — goje... do okien... Sza! Sza-a-a!)“. Autor tego utworu byłby, jak nikt, powołany do spłacenia długu, niespłacaconego dotąd przez literaturę polską, wobec Izaaka Laquedema, Żyda wiecznego tułacza. Polska, która gości największą

na świecie ilość jego współwierców, dotąd nie ma poematu o tym przedmiocie...

Do większych, a w każdym razie znaczniejszych kompozycyi zastosowuje Tuwim manierę impressyonistyczną, kreśląc obrazy z dzisiejszej wojny. Oto noc w mieście, zdaje się opróżnionem:

Puste, ciche, bezludne ulice,
Noc. Blask białych elektrycznych lamp.
Cicho.
Lampy świecą, jak srebrne księżyce,
i poświatę na chodniki leją,
błyszczą szyny, a domy bieleją,
domy równe, wysokie, milczące,
z tej strony rząd i z drugiej rząd.

U wylotu ulicy błyskają czerwono-złote słońca, pędzą cicho coraz bliżej, rzucają snopy światła: „Coraz szybciej. (Pswiu-u! psswiu-u)! Trąbka: Tru-tu-tu-tu". Automobile przemknęły, powiozły z Łodzi na pozycye sztab. I oto siedzą przy stołach schyleni nad mapami i piszą coś, kreślą „znużeni, gorączkowo, twórczo zamyśleni". Padają dyspozycye. Puka, stuka aparat na stole, — dzwoni cicho dyskretny telefon: Przyszła wiadomość o osaczeniu (przez nieprzyjaciela?).

Nagle siwy z purpurowym lampasem
zmarszczył brwi, do ust palec przyłożył,
suchą dłonią mocniej ścisnął słuchawkę...
w aparacie coś pękło z hałasem,
zabębniło, zadudniło, zadrżało,
(w młodych sercach zamarło, omdlało,
wznieśli oczy i wparli w siwego):
„Meine Herren, die Linie durchbrochen"...
(dolna warga, jak wprawiona w drgawkę)
— Coś cisnęło się nagłym popłochem...
Ktoś gdzieś krzyknął, ktoś bardzo daleki,
jakiś wzrok, jakiś gest, jakieś słowo — —
ktoś pospiesznie przekładał przez ramię
w futerale lornetkę polową...

Tak wygląda bitwa ze stanowiska sztabu, ze stanowiska mózgu i nerwów. Refleks jej na publikę, zaskoczoną podczas wesołej zabawy złą wieścią, kreśli „Extrablatt" (str. 75): „A przez miasto, kipiące narodem, — który buchnął, jak czarna krew z płuca — pędzi Śmierć, pędzi Śmierć samochodem, — chmary kartek czerwonych rozrzuca!" „W ogniu" (str. 76) żołnierz, którego się chwyta upadający kolega, woła: „Nie trzymaj! Jezu! Puść! — Ja nie chcę! Nie chcę! Nie mogę! — nie czepiaj się moich nóg!... Dlaczego ty na mnie wisisz? — Ty podły, podły, puść! — Po pysku będę cię walił! — (Huk — huk — huk —!). Słuchaj! Ja krzyczę! krzyczę! — Czy-ty-nie-sły-szysz —?" Więcej tu prawdy i grozy i nastroju, niż w konwencyonalnym ataku (str. 77), choć opis jego nie ujęty w formę — sonetu: „...Dopadli! kopią, gryzą, prują bagnetami — brzuchy, piersi i twarze, krew gorąca bucha, — miażdżą twarze poległych ciężkimi butami — lub wdeptują ich ciężar do krwawego brzucha. — Wreszcie, człapiąc nogami w kałuży krwi czarnej, — spoceni, poszarpani w tym śmiertelnym tańcu, — jak szaleńcy, co wnoszą kwiaty do trupiarni, — zatykają swój sztandar na zdobytym szańcu".

Od wielkiej batalii przechodzimy do małej walki „na noże", oczywiście między apaszami (o nieszczęsny walc nocy!), oczywiście o kochankę. Przy odpowiedniem akompaniamencie śpiewany wiersz ten nie chybiłby effektu groźnego: „Dzika gra! straszna gra! — Oczy płoną! Serce gorze! — Który? Dwóch nas być nie może! — Albo ty — albo ja!... — Raz, — dwa, — raz, — dwa! — Na noże". Niestety apasze przed walką składają także przysięgę, „że będziemy strzec najświęciej... by strumienie naszej krwi, — Boże broń, nie pobluzgały, Jej lilijnej, cichej, białej..." Ach, i morderca ma swój konwenans. Przekleństwo kabaretom!

Tuwim czuje to przekleństwo konwencyi „poetyckiej" obowiązującej w każdej manierze i rzuca anatem śpiewowi (str. 116): „Przeklęty śpiew! Wstyd nazwania rzeczy po imieniu i ukrywanie świętych szczegółów, — Ach! ta megalomania myśli: „Jakto- mnie nie będzie?" (*oczywiście w wierszu*). — Rozbrat człowieka współczesnego z tradycyą bohaterstwa duszy! (Szczerość, tragiczna szczerość! — *oczywiście dziś nie istnieje*). — I już rozmach — i już patos — i już alkohol poezyi, gotowy upoić mnie, aż wtem znów uderzenie obuchem w głowę, i krzyk, krzyk, szamotanie się z tą jedną myślą: „Przeklęty, przeklęty śpiew" — Tragiczność tej walki z pozą poetycką, przedstawił niegdyś analitycznie K. Irzykowski w „Pałubie", demonstrując zarazem, że prowadzi ona do rozkładu twórczości. Bez jakiegoś konwenansu nie można ani żyć — w społeczeństwie, ani pisać — w kulturalnej literaturze. Na szczęście Tuwim swego przeklęcia śpiewu nie bierze za hasło twórczości...

Za to zbyt dosłownie ujął futurystyczny przykaz o zastąpienie konwenansowego piękna czemś nowem, co na razie budzi wstręt, i napisał ową „Wiosnę w mieście", która ogłoszona w marcowym zeszycie organu akademików warszawskich (P r o a r t e e t s t u d i o) wywołała pewien huczek, pewien literacki skandalik. Ta „ulica", którą odmalować i ożywić próbował bohater ostatniej powieści Przybyszewskiego (K r z y k) wypełzała ze swych nor na świat, wywabiona wiosennym pędem do życia, do miłości, i ofiarowywa tę miłość, względnie goni za nią — na swój wielkomiejski. uliczny sposób. Venus vulgivaga tryumfuje „na ławce i na trawce", po separatkach i — w szpitalu. Tego utworu Tuwim nie przyjął do obecnego zbioru. Apokaliptycznej bestyi, zwanej kobietą, poświęcił trzy nikłe wierszyki (str. 109 n), a dla „zgrożenia" miłośników dawnego piękna, napi-

sał pieśń suchotników, wypluwających strzępy płuc na chusteczki (str. 59):

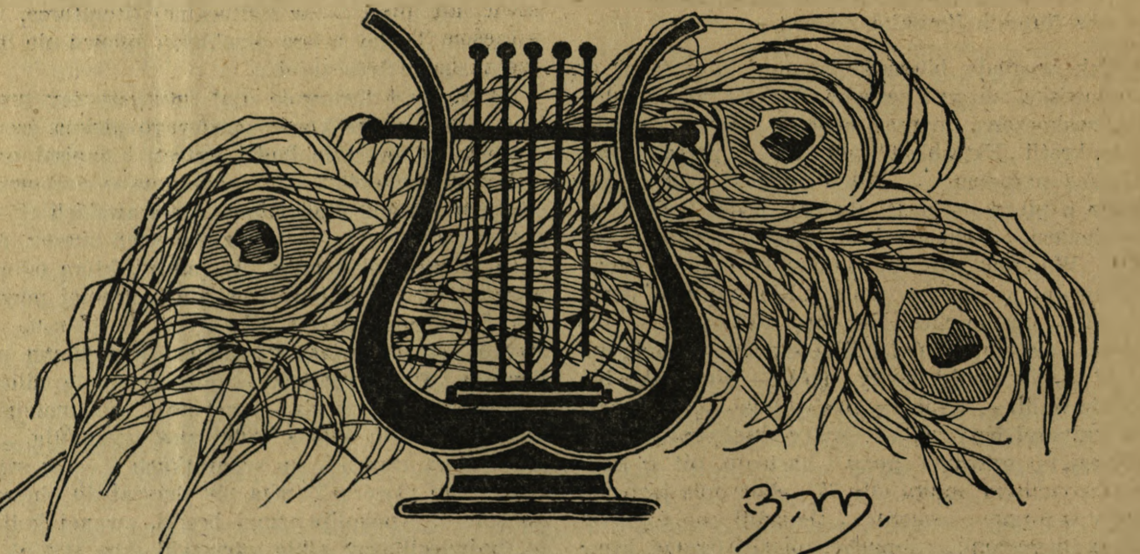
...Szyjcie siostry... Bo mamy na tem białem
[płótnie
panoramę cuchnącą, kalejdoskop krwawy...
Szyjcie siostry... Nie patrzcie tak trwożnie
[i smutnie!
I my musimy użyć. Chcemy też zabawy...

Bawią się fantastycznymi obrazami, utworzonymi przez wyplutą krew na chusteczkę, dopatrują się w nich scen rozpustnych: „Śnimy o takich niewinnych dzieweczkach — na naszych chorych łożach w chore noce ciemne“. Dla wywołania uczucia — wstrętu to wystarcza. Zresztą to uczucie ustępuje miejsca litości, gdy dalej (str. 60) czytamy jak przed nimi staje „smutna, szarooka ksieni — Chrystusowa Łagoda, od księżyca bledsza“ i jak gotują się modlitwą na — śmierć.

Dotychczas nie pamiętał autor o swem apostolstwie między proletaryatem. Poświęcił mu kilka utworów działu trzeciego. Raz (str. 43) wzywa ludzi do powitania nadchodzącego Pasterza; drugi raz głosi słowami biblijnemi jego przyjście (str. 45): „Radujmy się, dobrzy ludzie, — weselmy się, prostaczkowie! — przyszła do nas ...nowina. — Uzdrowiony jest chory, — a smętny pocieszony, — a kto pracą znużony — odpoczywa po trudzie! — Serca się uradują, — dusze się rozpromienią, — dobrzy ludzie!“ Ci dobrzy ludzie stają się w dalszym ciągu „głupcami, gapami, głuptaskami“, których poeta wywozi w pole, gdzie „święte apostoły — też wywijają kozły“. „I my będziemy wywijać, — chichotać i gawędzić, — będziemy mleczko popijać, — szczęśliwie żywot pędzić“. Tak się przedstawia Tuwimowi *gaya scienza*. Chrystus jego (str. 44) nie skarży się Ojcu, że gdy obwieszcza dobrą wieść, ludzie go odprawiają — kromką chleba, jakby nie wiedzieli, nie wierzyli, że się zbliża Święte Królestwo; prosi tylko, by go zrozumieli „dobrzy, cisi ludzie“. Raz przyszedł „Chrystus miasta“ (str. 48) na most, na którym w nocy tańczyli ludzie — źli. „Wzięli go na stronę, — mówili, mówili, pytali, — milczał... Podeszła Magdalena, — poznała, powiedziała, — płakał... Ucichło. Coś szeptali. — Na ziemię padli. Płakali“.

I tyle apostołowania Tuwima, tyle spełnienia głośnych zapowiedzi, że obwieści światu dobrą nowinę, ewangelię życia. Bo też nie w spełnianiu rozmaitych teoretycznych programów tkwi i objawia się jego siła, ale w zdolności wypowiedzenia dzisiejszej duszy w sposób najmniej na razie konwencyonalny. W chwili, gdy mistrz Kasprowicz ograniczył się pokornie do ewangelicznej prostoty „Księgi ubogich“, a rzesza drobniejszych śpiewaków nuci dawniej wyuczone trele, liryce polskiej groziło wyjałowienie. Wszak od czasów Młodej Polski prawie, że nie przeprowadzono na jej zagonach żadnych płodozmianów, prawie ich nie nawożono żadnemi posilającemi ingredyencyami. Tuwim uświadomił sobie to jej skonwencyonalizowanie się domorosłe i „obce pędy przeszczepił na Drzewo Rodzime, na krzepki Dąb Polski“. Na razie za dużo jescze u niego programów literackich, za dużo eksperymentowania. Ale że pomimo to oczywisty jego talent zdobywa się na rzeczy już doskonałe i w koncepcyi i w ekspressyi, możemy ze spokojem oczekiwać chwili, w której z tego chaosu wyłoni się piękna gwiazda poetycka, której na imię: Julian Tuwim.

Tadeusz Sinko.



KRAKÓW · 1 · PAŹDZIERNIKA · 1918 ZESZYT · 28

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA.

ZE STROF ANTYCZNYCH.

JAN PIETRZYCKI.



I.
KOCHANKA HERMESA.

Powiedziało mi słońce, co w krwawej czerwieni
Zachodziło, że nocą spowity i cieni
Rozsrebrzonym błękitem — z korynckiej kolumny
Zejdziesz, Argos pogromca, płomienny i dumny,
Na łęk darni zielonej, co stroi się w kwiaty,
Kładąc posoch, sandały i hełm swój skrzydlaty.

Gdyś skroń podniósł, w powietrzu coś dźwiękiem zadrżało,
Jakby strunę kto trącił. Błyszczące twe ciało
Ukochały księżyca promienie srebrzyste.
W tył przegiąłeś ramiona, a taka, zaiste,
Jest moc w tobie ogromna i taki ci z łona
Bije jasny żar życia młodego, spłoniona
Idzie siła i taki szał lotu młodzieńczy,
Że z miłości... pod tobą kolumna aż dźwięczy!

Czy pamiętasz noc — srebrną? Gorące szły wonie
Z kwitnącego ogrodu. W różowej koronie
Stał sad cały. Rozwarły się cicho podwoje —
Wszedłeś biały, jak posąg. Czy oczy cię moje
Sprowadziły tęskniące, czy usta — bo z drżeniem
Oddechały nieznanem, tajemnem pragnieniem —
Czy te dreszcze bezwiedne, co tchnieniem omdlałem
Przebiegały, wstrząsając dziewiczem mem ciałem.
Jak gałęzią kwitnącą potrząsa w noc białą
Ciepły powiew? O, powiedz! Co wówczas się stało,
Że wypełzły mi z piersi płomienie i cała
Ni to w ognia uścisku szalonym jam drżała,
W mych ramionach kołysząc twą siłę, napiętą,
By cięciwa na łuku — i czułam, żem świętą,
Jak ty... władców Olimpu zesłańcze promienny...

A gdy bledła noc, poblask rozzłacał się dzienny,
Senny ogród w powiewach pochylał się ku mnie
Drzew różowych poszumem...
Na białej kolumnie
Stałeś taki kamienny, milczący, bez drżenia,
Że mnie groza przejęła, gdym oto ujrzała
Skamieniałość twych ruchów promiennych i ciała —
Gdym zoczyła... żem miała kochanka z kamienia...

II.
FAUN POMPEJAŃSKI.

Księżyc tarczą srebrzoną spojrzał poprzez liście —
Pieśni fletów pastuszych grają gdzieś srebrzyście.
Wiatr mu z gaju woń złotej przyniósł pomarańczy
I faun stary oszalał! Na fontannie tańczy,

Jakby lata mu nagle powróciły młode,
Kiedy w górach albańskich pasał białą trzodę,
Albo czasem w strumieniach zielonych przeźroczach
Chwytał nimfy o lśniących, miedzianych warkoczach
I unosił na łąki, szumiące wśród knieji.

Faunie! Stary poeto, tancerzu z Pompei!
Wokół ciebie ruina i zgliszcza i mary —
Przy fontannie od wieków strzaskane filary
Legły w pyle... dokoła samotna śmierć gości...
Ty nie widzisz jej! Śnią ci się twojej młodości
Sny śródleśne na łąkach kwitnących i letnie
Noce jasne i fletnie, grające te fletnie...

Neapol 1914.



TADEUSZ SZANTROCH.

PERSEFONA.

Z łąki, od kwiatów, gdzie w pląs mimowiednie
życia zawrotny rwał me stopy rytm,
nagle porwana jestem w mrok, w bezednie,
błądzę śród cieniów żywa pośród widm.

W mrocznych pałacach obcych mi boleśnie
Pluton przemocny więzi moje sny,
lecz gdy się czasem w te sny cała weśnię,
jutrznia wyzwolin świta mi przez łzy.

Oto się widzę: w nadwiślane łęgi
wracam, śpiewając swój podziemny los,
pól rozoranych wita mnie dech tęgi,
wiatr z ziół do stóp mych strząsa gwiazdy ros...

Tak śnię niewolna. Sfinksów czujne straże
szydzą z mych marzeń swym uśmiechem złym,
że taka wiotka w białej swej symarze
buntu pochodnią śmiem urągać im.

Martwy śmiech sfinksów! Przyjdzie wieść radosna,
ziemią mnie dojdzie, zbudzi siostrę gwiazd...
otom jest wieczna w słońcu jako wiosna,
wolna, ta sama, z którą gwarzył Piast.

JÓZEF RELIDZYŃSKI.

PIGMALION I GALATEA.

Stworzyłem cię w natchnienia twórczego porywie
i stanąłem olśniony przed własnego dłuta
dziełem...Lśniłaś przedemną, w marmurze wykuta,
biała nagością bogów i w płomiennej grzywie,
co od słońca greckiego blasków płomieniała
i kładła ton różowy na biel twego ciała.

Stałaś przedemną, niby wcielenie artysty
snów gorączkowych w blade bezsennością noce;
zdawało się, że oko twe życiem migoce,
że się lekko uśmiecha twój profil przeczysty,
że krew w twych żyłach krąży, że grają twe nozdrza,
li niemoc cię kamienna do ziemi przygwożdża.

Więc, w dreszczu zachwycenia i rozmiłowany,
ustroiłem twe skronie w róż śnieżystych wieniec,
jako oblubienicę swą wieńczy młodzieniec,
i błagałem Afrodis, rodzącą się z piany,
słałem modły, to-m w szale ciskał anatemy,
by zechciała ożywić mi twój posąg niemy.

Błagałem ją dopóty, groziłem tak długo,
aż wzruszyłem nareszcie pierś Anadjomeny...
Rozwoniły się słodko w sadzie cyklameny
i gołębie bogini błysły śnieżną smugą;
dreszcz cię wstrząsnął, gorąca krew przebiegła żyły,
barwiąc lica i kształty, co naraz ożyły.

Oszalały ze szczęścia, nieprzytomny prawie,
porwałem cię w ramiona i wśród nocy letniej
uniosłem w gaje święte — tam, przy Pana fletni,
w cyprysów chłodnym cieniu, na wonnej murawie,
łagodnie prześwietlonej dyskiem srebrnym Diany,
ambrozyę z ust twych piłem, aż ległem pijany...

Twych ramion irysowych rozsunąłem pęta,
na skroń — śpiącej — złożyłem całunek pokoju,
i, wstawszy, poprawiłem chiton i u zdroju
świętego się obmyłem; motyla — natręta —
jeszcze z ust twych spędziłem, poczem lekkim krokiem
odszedłem w ciszy rannej milczeniu głębokiem...

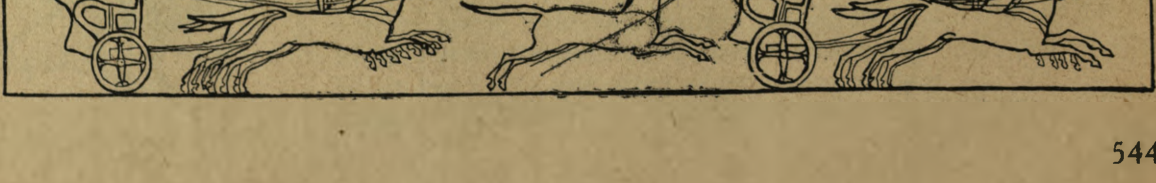
Gdym wytrzeźwiał o świcie, spojrzawszy na płótno
twych lic, przybladłych nocy najsłodszą rozkoszą,
złorzeczyłem skowronkom jeszcze, że sen-ć płoszą,
lecz już byłem daleki i było mi smutno,
bom przejrzał, żeś posągiem jeno żywym, nie tą
snów moich gorączkowych wyśnioną kobietą!

Bo poznałem, żeś tylko marzeń mych kameą,
że cudnych oczu twoich mgławe heliotropy,
płomień złoty twych włosów, twe różane stopy;
że cud twojego ciała jest, o Galateo,
jeno fantazyą moją, w którą bóstwo tchnęło
życie, lecz zapomniało tchnąć coś jeszcze w dzieło..

Co? sam nie wiem... Przeczuwam li, a czego ślady
wśród dróg mlecznych odkrywam, kiedy, smutny, patrzę
na gwiaździste różyce ranka, coraz bladsze;
czego-m dotąd nie znalazł, chociaż-em Hellady
przeszedł wszystkie gościńce, wszystkie święte gaje,
i co jeno w posągach mych drzemać się zdaje...

Więc wracam do posągów i żegnam cię, żywa!—
tyś kłamstem, a w nich prawda li spoczywa na dnie...
Pomyślenia, jak orły, już płyną gromadnie,
święty wicher tworzenia w piersiach mych się zrywa;
dam im życie, co serce moje wypromienia —
to życie najpiękniejsze, wieczne, bo — z kamienia...

Niech twórca będzie smutny, niech życie przemija,
byle gaj marmurowy dzieł jego radosny
był, jak słońce Hellady; byle greckiej wiosny
życie kwitło w posągach, których dłoń niczyja,
oprócz jego, nie stworzy, ani świętokradczo
nie zburzy — chyba kiedyś Zews prawicą władczą!...



ROMAN ZRĘBOWICZ.

ALKIBIADES.

Pijanemu radością niedojrzałych ech —
jakże mi dziś powstrzymać ciągły życia dech—
ból po niepewnych stratach i niepewny śmiech?
gdzie mi tu iść po radę?...

Wiem już!

Las posążków z mych dawnych radości utworzę —
niech szumi legendami jak Egejskie morze.
Piaskiem smutków obsypię ogrodu ścieżyny —
niech po nich depce stopa występnej dziewczyny.

Urządzę maskaradę:

O północy tu przyjdę — przebrany, ponury,
i porozbijam wszystkie wkrąg szczęsne marmury.
A popękanej hermie najstarszego bólu
wcisnę za wargi bąka, niech brzęczy jak w ulu.
Potem nagą bachantkę obietnicą strwożę,
że w ciepłym piasku smutków będziem dzielić łoże.

JERZY OLIZAR.

MORFEUSZ.

O zmierzchu w przestrzeń mknę, gdzie
srebrna świeci
ziemia i kłamstwa dar bezcenny niosę:
w szczęściu się pławią pola złotokłose,
bławat zachwytu, szału mak się kwieci

i białe w zbożach Gracye chodzą bose,
we śnie odwracam krąg wieczny stuleci
i oto ludzkie serca biegną, dzieci,
chwytając złudy widmo bujnowłose.

...Już świt. Apollo tam na nieboskłonie
pęta Jutrzence szafranowej konie.
Za chwilę promień, słoneczny morderca
skaleczy śniące cud człowiecze serca.
Odlatam. Żal mi was. Powiem niebiosom
serc ludzkich radość, ranną płacząc rosą...

KAZIMIERZ BUJAR.

T E Z E U S Z.

Jutrzni ogniste groty
Wpiły się w zwały chmur,
Że rdzawą spłynęły posoką...

Na skałach, wysoko — wysoko,
W rozburzy piór,
W zamięcie lśnień,
Orły wstają na loty.

Na dół — w tępe ciemnoty
Szary sączy się dzień...

Żagle wyciągnięto czarne...
O masztów zawisły,
Jak błamy nocy nieprzejednanej.

Lęk przejął chęci ofiarne.
Mroczniejją zamysły.
Rzutu napięta moc cichnie...

Niebo popiołem mrzy.
Czemuż się promień czuwającej łaski
W żałobne płachty nadzieją nie zbłąka?
Nawa trwożliwie drży.

Lamenty i wrzaski
Tłoczą się w okręt rozżaloną falą.
Jak ciężka rozłąka!

Sny, sny, sny...
Ponad okrętem krążą
Mewy białe i wiążą
Go z dalą...

Powszednie łzy
I uśmiechy
W swą kolej kuszą daremnie!
Jakaż mię siła poza nią wytrąca
I jak lawa gorejąca
Jest we mnie?
Nim zemrze —
Znojnem w sobie bojowaniem
Samotne w sercu wykuje uciechy?...

Jeśliś nie bogów wezwaniem —
To czemże?!

Cienie gorzkie się kładą po bokach nawy
I w wód niezgadnione ciemnie
Szepcą tajemnie
Tren łzawy...

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA.

AKTEON.

W uszach mi wichru śpiew ponury wieje
i barwnym dźwiękiem swym mi opowiada,
że, gdzie się ruszę, Trwoga bieży blada
w cieniste knieje.

I wnet się przestrach rozpościera czarny...
Od brzegów puszczy hen aż do rubieży
lękliwym płaczem łkają smukłe sarny:
...Akteon bieży!...

Do lotu jeleń porywa się chyży,
chwieją się w biegu beznadziejnym rogi,
lecz tuż, po tropach, bliżej, coraz bliżej
Akteon srogi.

...Mój ulubiony koń biały podemną,
na którym często łowów żądzą drżałem,
rozświetla plamę kniej pochmurną, ciemną
swem jasnem ciałem...

Pędzę... Napróżno jeleniu wyniosły
umykasz! silne zbyt mej żądzy sidła...
Lecę, jakgdyby mi u barków wzrosły
srebrzyste skrzydła.

Koniowi memu nozdrza młode grają,
blask moich oczu jak słońce goreje...
Pędzę, otoczon psów mych wierną zgrają,
przez leśne knieje...

...O, gdybym wtedy przeczuł w duszy głębi,
jaki okrutny lęk się w członki wwierca
i jakiem piętnem rozpala i ziębi
zwierzyny serca, —

Gdybym był przeczuł, jak to biedne serce
w przelękłej piersi tłucze się i wali,
kiedy groźnego zawietrzy mordercę
w poblizkiej dali, —

Gdybym był przeczuł, że sam zamieniony
w jelenia bogów rozkazaniem władnem,
przez własnych psów swych rozszarpany szpony,
martwy upadnę, —

możebym przecie zaniechał rozboju
I, zwoląc knieje od sfory hałasów,
smukłym jeleniom dał hasać w spokoju
w zieleni lasów!...



KIETLICZ-RAYSKI.



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

17)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Rozczulenie owładło Piotra. Rozczulenie nad dziewczyną, która go kochała siłami wszystkiemi, tak daleka, tak obca wszystkiemu, co było poza jej ogrodem. Piotr uczuł, że ocknął się. Przyszło na niego to, co czasem przychodzi na ludzi, a co podobne jest do nagłego otworzenia się uszu w dolinie nad strumieniem po trudzie górskim, który zmysł słuchu przytępi. Strumień zaszumiał mu. W jednym momencie jak kula ołowiana zaciężyło w nim, wewnątrz piersi, życie. Życie inne, jak to, którem żył w tej chwili. Groźne, bezwzględne posępne i ciężkie, które rozszerzało się godzina za godziną, krok za krokiem, jak mokradło tworzące się w okolicy. Wszystko to, co otaczało go, miało zniknąć. Powabne, ponętne i działające jak haszysz. Czas szedł i swoje niósł. Nieubłaganie.

Płowa głowa Donimuntówny zawidniała mu u kolan... Położył na niej dłoń... Biedna przychylona głowa...

* * *

Dzień 20-go czerwca nadszedł. Gdy Piotr stał przed zwierciadłem we fraku, zmiędły kawaler Bawrowicz wstąpiwszy poń, obejrzał go i oświadczył: Daj go katu! Żeby też taki bóg drugiej klasy... Gips jestem, jeżeli się w panu najpiękniejsza panna nie zakocha... Za pozwoleniem: kto też pana rodzi z przodków?

— Las. Mówiłem już panu.

— Jakto las? Kpisz pan?

— Uchowaj Boże. Z leśników pochodzę, a zgodzisz się pan, że nim był leśnik, był las.

— Ano to może i jabym był lepiej zrobił, żebym od lasu, a nie od klyzopompy pochodził, bo mój dziadek był felczerem. Niewielka między nami różnica, jakieś trzynaście lat, w tym wieku to nic nie znaczy, a że pan tam bonfortiun na kopy narobi... Tylko niech się panu nie zachciewa szukać drugiego Dzierzyńskiego, boby pana zadzióbali. Raz się panu udało wylizać i jeszcześ pan dobrze jadł przytem przez sześć tygodni.

Zmiędły kawaler urwał biały gwoździk z doniczki na oknie u Piotra i wpiął sobie w klapę fraka.

— Niewinność, panie, biały kolor, rozbrajający. Aniu — zwrócił się do dziewczyny, która przyniosła herbatę — cóż tam z nami będzie, co?

Taca z herbatą brzękła na stole, a dłoń zmiędłego kawalera odtrącona w powietrzu, opisała łuk i spadła w próżnię.

— Czart dziewka — — hehehe — myślałbyś, że gołębica...

— Jedźmy zatem — rzekł Piotr, który i spieszył się spotkać tam swoją cichą tajemną narzeczoną i ciekawy był balu.

Ruch już był ogromny. Bawrowicz bowiem niechciał się wybrać wcześnie, aby odrazu wejść w tłum i zniknąć. — Lada lokaj stropi człowie-

ka jednem spojrzeniem. Najgorzej wejść. Potem już hajda! Jużem to miał. Pan jesteś wysoki, ale ja, przy moim wzroście — mówił, prostując się sztywno.

Pałac jaśniał od świateł. Gorzały ogromne lampy przed frontem, a cały wielki dziedziniec podjazdowy płonął od smolnych wiech poutwierdzanych na wysokich żerdziach. Błyszczały również światła w parku poza pałacem.

Gdy Piotr wszedł w kolosalną salę wejściową, pełną jasności od kryształowych złoconych



ST. FISCHER PYCHA

pająków, z której wprost i w dwie strony po bokach wznosiły się białe, lśniące, czerwonem suknem nasłane marmurowe schody z szeroką balustradą, i ujrzał mnóstwo służby i mnóstwo snujących się wśród tłumu mężczyzn kobiet w bogatych balowych strojach i w promieniejących klejnotach, doznał pewnego olśnienia, a zarazem uczucia obawy, jak wyda się wobec nich jego Donimuntówna, której niewidział nigdy inaczej, jak tylko w błękitnym ulubionym kolorze po domowemu. Nagle podsunęły się ku niemu Przesiewiczówny, rozwódka z Marusią, ustrojone i w kwiatach polnych.

— Wygląda pan! Zjadłabym pana! — szepnęła mu rozwódka, podczas gdy Marusia wsuwała mu głęboko z przysłoniętemi powiekami dłoń w rękę.

Piotr doznał uczucia odrazy mimowolnej. Wymowa iskrzących oczu rozwódki i zalotność ślicznej Marusi odpychały swoją zwykłością. To było wszędzie do nabycia. Czego innego chciał od ogółu kobiet. Blasków strumienia, który płynie pod liśćmi. Odsunął się od nich, zgubił Bawrowicza i w trzecim salonie wśród grupy młodych panów i pań w jasnobłękitnosrebrzystej sukni z dyademem srebrnym tkanym w prześliczne sztuczne konwalie ponad czołem spostrzegł Donimuntównę.

Jej dusza była nieobecną. Widział to. Jej twarz miała w sobie coś zamkniętego dla wszystkich. Jej świetność, pokonywująca wiele kobiet naokoło, była jej widocznie obojętną.

Odstąpiła żywo towarzystwo i przysunęła się ku niemu. — Czekałam na pana — szepnęła, manewrując tak błękitnym wachlarzem ze złotym ornamentem i malowidłami XVIII-go wieku koło ust, że nikt inny usłyszeć niemógł. — Odmówiłam wszystkim kontredansa. Będziemy go tańczyli razem, chcę, aby moja matka i mój brat to widzieli.

Postanowiła. Widać to było w jej oczach i czuć w jej głosie. Na Piotra wywarło to wrażenie. Niech zatem stanie się. Rzecz, która nigdy nie zajmowała jego myśli: żenić się. Rzecz, która nawet teraz niemogła go zagarnąć i opływała go raczej, niemogąc go dopiąć, rzecz poza nim, podobnie, jak czasem wyciąga się rękę ku podawanej potrawie w roztargnieniu myśli, patrząc, a nie widząc. Niemniej w stosunku do Donimuntówny ogarniało go i pragnienie i uczucie.

Rozpoczęły się tańce. Wir zabawy, blask, dźwięk upajał. Piotr uczuł, jak można było oszaleć w tym świecie... Zapomnieć siebie i ludzi. Piękne kobiety, jakich niewidział gdzie indziej, wirowały z nim z gracyą i wdziękiem, jakich nieznał. Naokoło zapamiętywało się w zabawie kilkaset osób, migotały perły i brylanty. Bogactwo, beztroska, lekceważenie wszystkiego poza swobodą i satysfakcyą własną pulsowało. Milionowe i uprzywilejowane towarzystwo roztoczyło urok.

Piotr spojrzawszy w duże zwierciadło wyżej głowy, odniósł wrażenie, jakby to niedziało się naprawdę. Rój pukli włosów i ramion obnażonych w klejnotach wirował. w blasku w pełnej ciszy, jakby widma. Było to widzenie prześliczne.

Wtem brzękła szyba w olbrzymiem oknie i przez szkło rozbite na salę pomiędzy głowy w malinowego koloru szmatkę owinięty wpadł spory kamień i stuknął o podłogę.

— Czerwona śmierć Edgara Poë! — wykrzyknęła jakaś pani w wysokiej białej kicie brylantowej na głowie i z mitrą złotą na wachlarzu.

Konsternacya ogarnęła rozbawione towarzystwo. Otoczono kamień kołem. Ktoś trącił go nogą. Odezwały się wyrazy wzburzenia w kilku językach. Nadbiegli lokaje, z których jeden począł zmiatać szkło, drugi chwycił i wyniósł kamień.

— To nic: on tu już był — odezwał się czyjś głos męski.

Stary hrabia nadszedł blady, jak płótno. Wskazano mu miejsce, gdzie kamień padł. Milczał długą chwilę i widocznie niemógł opanować oburzenia i wzruszenia.

— To tak, jakby w moją głową — szepnął, ale wzniósł czoło — i odezwał się głośno z wysilonym spokojem, a nawet swobodą:

— Swawola czyjaś, nic więcej! Niema co zważać. Wstydby był przywiązywać do tego wagę. Głupstwo!

Oczy jego spotkały się z oczami Piotra. Były to oczy tak pełne wściekłego gniewu, pogardy, oburzenia, że niemógł mieć innych ten, który na pal skazywał. Ale te oczy były zarazem swobodne a to podwajało ich wściekłość.

— Niewidziałem pana dotąd. Witam pana jako mego gościa — ozwał się, biorąc Piotra za rękę. — Co pan myślisz o tem? To stado dudków i krasnowronek już zaczyna dalej tańczyć. Co to znaczy?!

— Swawola czyjaś, nic więcej.

— Powtarzasz pan po mnie. To jest więcej, ja wiem, to jest prowokacya!

— Nie — odpowiedział Piotr spokojnie — to jest grudka piasku, która się osunęła w klepsydrze.

— Raczej zegar zerwać ze ściany!

— Lecz to się nieda: jest wysoko.

— A ja panu powiadam, że to jest nic, głupstwo, swawola, i nic więcej! Może który z moich własnych stajennych podchmielił sobie i po pijanemu, może nawet przypadkiem, rzucił.

— Zapomina pan hrabia o szmatce.

Hrabia spojrzał na niego.

— Dawniej miało się żołnierzy własnych, dziś ma się tylko pieniądze. Pod ziemią znajdę i pod ziemię skryję!

— Być może, że to najlepsza metoda — rzekł chłodno Piotr.

Zabawa toczyła się w jakiemś podnieceniu.



ST. FISCHER — MARTA.

Niesłychane zuchwalstwo z kamieniem rozpaliło ją. Doznano „zamachu". Wrażenie pozostało ogromne. Źrenice płonęły, a usta opełzły irytacyą.

Piotr obejrzał się. Donimuntówny niebyło w salonie. W jednym z odległych otwartych tylko na czas balu pokoi znalazł ją samą siedzącą w fotelu, tak zamarzoną, że nie spostrzegła go, gdy wchodził.

Doznał wrażenia, jakby między nim, a tą dziewczyną drgała przeźroczysta eteryczna gaza. Przedarł ją gwałtownie i postąpił naprzód.

Zwróciła głowę. Jej wargi rozchyliły się tym

niewypowiedzianym wyrazem, który kiedyś na nich wyczytał. Ręka jakby mimowoli wyciągnęła się przed siebie. Piotr podjął ją do ust.

— Kocham nad życie — usłyszał.

Kląkł szybko na jedno kolano i usta swoje wraz z jej ręką do jej kolan przycisnął. Czułe palce drugiej jej ręki z wachlarzem poczuł na swoich włosach.

— Tam był przedświt mego szczęścia, tu jest wschód... Gdy grywałam panu w Łąkach na fortepianie... Pamięta pan?

— Pamiętam.

Przyciągała jego głowę ku sobie. Lecz nagle drgnęła, pytając:

— Co to jest? Słyszy pan?

Uszu Piotra dobiegły huczne dźwięki.

— Wiejska muzyka — rzekł zdziwiony. — Jakby zbliżała się.

— Tak, widocznie nadchodzą. Czy hrabia sprowadził dla urozmaicenia wieczoru? Wyjdźmy na balkon...

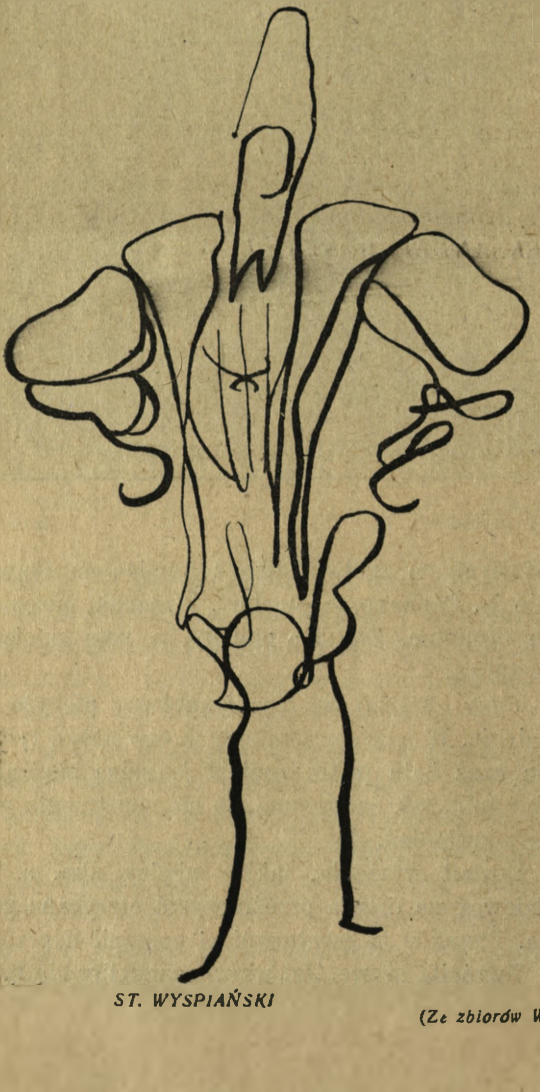
Stanęli pod stropem gwiazd. Muzyka huczna i liczna zbliżała się coraz bardziej.

— To będzie śliczne — mówiła Donimuntówna — zapewne koło otoczą pochodniami i będziemy widzieli ludową tutejszą zabawę.

Słychać już było pohukiwanie, zagłosiły się także chłopskie śpiewki taneczne.

Donimuntówna niewiedziała o rzuconym przez okno do pałacu kamieniu, który wydawał się Piotrowi być w związku z tą nadchodzącą chłopską kapelą.

Ogarnął ją bez dotknięcia ramieniem i wsłuchiwał się w dźwięk płynący nocą, jakby dało się z niego odgadnąć, czem dźwięczą chłopskie instrumenty. C. d. n.



ST. WYSPIAŃSKI



AUGUST I BARBARA

(Ze zbiorów Włodz. Żuławskiego.)

Z NOWSZEJ LIRYKI ROSYJSKIEJ.

W. DOROSZEWICZ.

HERCEN.

Było to w pociągu między Wiedniem a Podwołoczyskami, po całej Europie myśmy mknęli expressami.

Latali jak wichr. Od Wiednia do Podwołoczysk pociąg wlecze się powoli, jakby z niechęcią a koła dzwonią:

— Czytajcie, czytajcie!

We wszystkich przedziałach czytają żarliwie, pochłaniają poprostu, lecz zanim pociąg dojdzie do Podwołoczysk, ze wszystkich okien zaczynają wylatywać książki, broszury, świstki.

Obie strony toru zaścielone książkami. Mieszkańcy Podwołoczysk mogliby, gdyby im przyszła ochota, złożyć sobie ogromną bibliotekę.

Czegoby w tej bibliotece nie było!

„Dumy“ i „Byłoje“ Hercena znalazłyby się obok pornograficznych wierszydeł i broszury półzwaryowanego dekadenta, który głosi:

— Czyż terror dla terroru nie jest pełen sam w sobie piękności i siły?

Pornografia, dzikie krwawe brednie i piękne czcigodne myśli — wszystko zwalone razem!

W tym „czytelniczym“ pociągu poznałem się z Hercenem.

Już od pierwszych słów „Z tamtego brzegu“ krew uderzyła mi do głowy, łzy zdławiły gardło.

Przedemną otworzył się nowy świat, jak zawsze po przeczytaniu genialnej książki.

Szczęśliwy, radosny, wstrząśnięty do głębi, jam patrzał jak przedemną wyrastał wielki w myśli i słowie — artysta, myśliciel, poeta — Nieśmiertelny zmarły.

Jaka szlachetna myśl, jaka piękność formy! I oto tę książkę musiałem też wyrzucić przez okno jak pornograficzną broszurę.

I za co?

Przeczytałem na pożegnanie raz jeszcze przedmowę „Z tamtego brzegu“ i dumając z zazdrością o tym szczęśliwym, przyszłym człowieku, który kiedyś, swobodny, będzie mógł bez trwogi i zakazu czytać kochaną książkę — (pociąg zbliżał się już do Podwołoczysk) otwarłem okno i — wybaczcie sentymentalności — pocałowawszy książkę, wyrzuciłem ją za okno.

Chwycił mnie gorzki smutek — i teraz jeszcze, sam na sam z sobą, rumienię się przy tem wspomnieniu.

Jak ciężko zniweczyć książkę — jakbyś zabijał człowieka! Gorzej jeszcze, bo zabijasz lepsze, co jest w człowieku — myśl. Setki ludzi przeczytałyby ją, nakarmiłyby się jej myślą, jej uczuciem, a tyś odjął setkom ludzi to dobro.

Wyjrzałem za okno. Książka bielała w dali obok toru. Została po tamtej stronie granicy.

Biedny Hercen!

Otoczony hołdami, sławą — on tak strasznie, tak namiętnie tęsknił za swoją biedną, śniegami zawianą ojczyzną.

I przez trzydzieści lat jemu nie wolno było wrócić do tej ojczyzny.

Czy nie czas, aby wróciło nam choć teraz to, co w nim było najlepsze, nieśmiertelne i niezniszczalne?

Jego ojczyzna kochająca i kochana tęskni i czeka na swego wielkiego syna.

I po cichu płacze za nim w żałobie podwójnej rozłąki.

1915.

GORKIJ.

...Co się stało? Po sinem niebie jak pajęczyna przeleciał klucz szarych, dzikich, głodnych, ale wolnych gęsi.

I w powietrzu zadzwonił ich krzyk żałobny — ale swobodny. I załopotały, spłoszyły się gęsi domowe, żerne, syte i zamachały bezsilnymi skrzydłami.

Zawiść zabrzmiała w ich głosie.

Zawiść do tamtych szarych, głodnych, dzikich ale wolnych gęsi.

— Gdy czytasz Gorkiego, mój spokojny, skupiony, zrównoważony czytelniku, czyż nie zdaje ci się, że nad twą głową wysoko, wysoko szumiąc skrzydłami — przelatuje klucz szarych, dzikich, głodnych, ale wolnych ptaków?...

ALEKSANDER ROSTAWLEW.

ZABAWKI.

Zabawki miłe, przyjaciele
Dziecięcych marzeń, młodych lat,
Duszy, co przeszła mąk tak wiele —
Jakżebym ja was wskrzesić rad.

Lecz jak was wskrzesić? Zwiędły sady
Różowych baśni, białych snów.
Serce do syta piło jady
I któż je dziś uzdrowi znów?

Pochmurne wstaje ze snu rano,
Cmentarny wicher kwiaty zwiał,
Gdzieżeś ty z ręką oderwaną
pajacu, coś się ciągle śmiał?

Zadzwoń w bębenki, zatańcz wkoło
Serdecznym śmiechem smutek lecz,
Patrz, śmierć już muska moje czoło,
Powiedz: „Zawcześnie!“ — goń ją precz!

Co szepcze wieczność nad mą głową?
Zabawki miłe, białe sny,
Nie wskrzesi wiosna was na nowo:
Jam tak złamany, jak i wy!

1916.

Przełożyła K. Firlej-Bielańska.

KAROL IRZYKOWSKI.

STUDYA CHEMICZNE.

II.
W OCZEKIWANIU JEJ OWOCÓW.

Z okazyi wznowienia „Wesela“ na scenie krakowskiej niektóre dzienniki wyczuły, że ta sztuka dziś już jest bądź co bądź anachronizmem, a jeden zaryzykował nawet takie radosne wyjaśnienie owego anachronizmu, że to co niegdyś dla twórcy „Wesela“ i dla narodu było ideałem, dziś już stało się „czynem“ (czyim?). Powiedział maszynkowo: czynem, i nawet podkreślił to słowo — choć mógł powiedzieć co najwięcej: faktem. Inny dziennik natomiast powiada, że „Wesele“ jest jeszcze dziś aktualne, bo wszakże armii polskiej znowu tworzyć nie chcemy. A dziennik ten swego czasu wcaale armii polskiej tworzyć nie chciał.

Tak to „Czas“ trąbi dziś na złotym rogu „Naprzodu“, a „Naprzód“ wyrwał się już daleko i przezwyciężył epokę „Wesela“.

Ale zamiast pytać: czy „Wesele“ już przestało być aktualnem, można postawić inne pytanie: czy było ono kiedykolwiek aktualnem?

Że było aktualnem subjektywnie, to nie ulega wątpliwości, tyle się przecież o tem wtedy mówiło i pisało, taka radość panowała w całej Polsce z odkrycia, że „jesteśmy zgnili“, że się znalazł Savonarola, który nagadał nareszcie „gorzkie prawdy“ narodowi. Masochizm polski uczuł się nawet pochlebionym impertynencyami „Wesela“ i „Wyzwolenia“, gładko pokwitował otrzymane baty, i wytworzyła się jedyna w literaturze komitywa. Teorya, że poeta i jego dzieła są wytworem środowiska, doznała tu niespodziewanego potwierdzenia: naród sam dyktuje rodzaj i granice impertynencyi, które można powiedzieć pod jego adresem, rozpada się na grzesznika i sumienie, które pozostają z sobą w tajemniczym związku. Sumienie bywa wentylem...

Ale o tem wszystkiem pisałem już dawniej w „Czynie i słowie“, nie iżby kogokolwiek przekonać, tylko z platonicznej potrzeby założenia votum separatum. Tamże zanalizowałem także objektywną wartość wszelkich dyagnoz w rodzaju „Wesela“, biczujących wolę jednostki czy całego narodu do „czynu“: sens tych poszukiwań jest na ogół biorąc taki, że, z wyjątkiem wypadków istotnie chorobliwych, tzw. niezdolność do czynu pochodzi nie z marazmu, paraliżu, nie z zaczarowania przez chochoła, ani wogóle z tego rodzaju mistycznych źródeł, lecz stąd, że czyn jest tylko narzucony sobie samemu, konwencyą, ambicyą, przymusem, szablonem, lecz nie jest naprawdę chciany. Niezdolność do czynu płynie tedy właściwie ze źródeł intelektualnych, z przeczucia, że sytuacya nie była dostatecznie rozjaśniona a wybrany czyn nie jest najlepszem rozwiązaniem zadania.

Dziś, w świetle doświadczeń wojny, pokazuje się, jak Wyspiański mylił się co do Polski, a Polska co do siebie.

Jakie mogło być uczucie przeciętnego, nienależącego do żadnej kliki, Polaka w początkach tej wojny?

Uczucie wielkiego zdumienia.

Miało się przecież swoich polityków oficyalnych i tajnych, między którymi istniał naturalny podział pracy narodowej, panów posłów i dyplomatów, i panów spiskowców, ludzi podziemnych. Obowiązkiem jednych i drugich było robić Polskę, przygotowywać ją, wiedzieć, jakie są szanse wzięcia udziału w wojnie, jaka jest naprawdę wola narodowa, pertraktować ze sferami naprawdę miarodajnemi i wziąć od nich prawdziwe zobowiązania. Specyalnie np. obowiązkiem tych, co siedzieli w komisyi wojskowej delegacyi, było znać prawdziwe siły sprzymierzeńca — bo się tem nawet chwalili. Nie wiedzieli, jak się pokazało, nic, nie znali się wcale na rzeczy. Była to ogólna fuszerka. Wszyscy nie do pisali, nawet przereklamowany Czepiec. A przygotowywano się niby od lat 50 do „chwili osobliwej“. Powie ktoś może sarkastycznie, że ów „przeciętny Polak“, który dziś staje zdumiony, powinien się był także przygotowywać. Tak, ale byli tacy, którzy mieli na to monopol, żądali wiary, napomykali, że się coś gdzieś robi, mrugali tajemniczo, tupali tak, jak ci co mogą „wytupywać armie z ziemi“. Falanga specyalistów od polityki i od spisku trzymała rzekomo pod stołem jakieś nici w ręku, a przeciętnym Polakom prawiła tylko kazanie na temat: „wytężaj słuch!“ Że nie przewidziano strategicznego charakteru tej wojny, tj. wojny pozycyjnej, nie dziwota, gdyż nie przewidzieli tego także najtęższi fachowcy państw militarnych; ale czyż nasi specyaliści nie powinni byli przewidzieć, że natychmiast w chwili rozpoczęcia wojny naród rozdwoi się z siłą procesu chemicznego na odmienne oryentacye! I tylko to, że skompromitowali się politycy wszystkich państw, i że zaczęły się dziać wciąż coraz to nowe rzeczy, odwróciło uwagę od tego fiaska w „chwili osobliwej“.

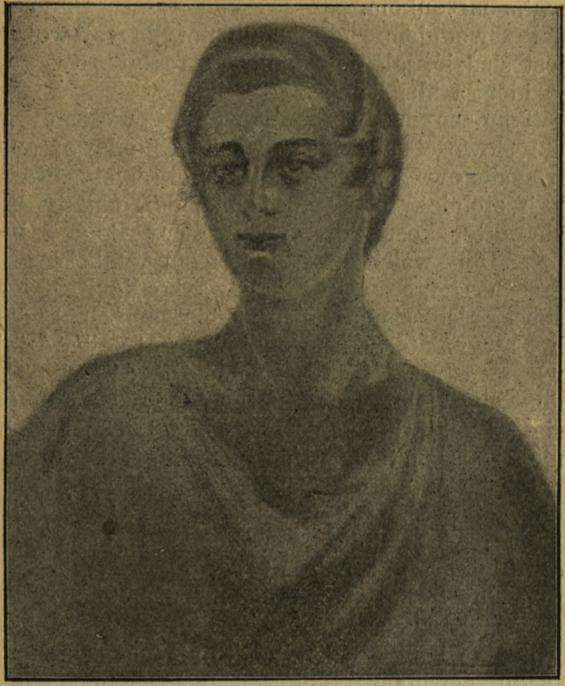
Prawie cały śpiewnik narodowy okazał się odrazu anachronizmem. Ale dusza polska tak się już oddawna rozkołysała w kierunku wojennym, że tej ukochanej fikcyi musiało stać się zadość. Stworzono więc na odczepne dla „czynu“ legiony. Historya tej kreacyi była nieczysta. Jedni chcieli opornych porwać za sobą, przerazić perspektywą, że kto się odsunie, będzie potem wykluczony od Te Deum, a migali przytem pewnością posiadania hufca „śpiących rycerzy“ w Warszawie, czekających tylko na rozkaz... Była to taktyka temistoklesowska, szlachetna, ale dziwnie dorywcza po tak długim okresie „przygotowań“. Drudzy albo ze wstydu, albo z obawy, że... a nuż się uda! — przystąpili do przedsięwzięcia, pozorując to przed sobą tem, że oni będą pilnować tych tam anarchistów i waryatów, aby jakiego głupstwa nie palnęli, że będą im patrzyli na palce, i albo okiełznają głupstwo, by się zanadto nie rozrosło, albo jako „realni politycy“, przekują je dopiero na coś, co ma sens polityczny — sprzedadzą dobrze towar krwi, który tamci wyprodukują.

W r. 1916 była przecież sytuacya, w której pchano się, kto ma być akuszerem, kto ma wycisnąć swoją firmę na prezencie dziejów. Tak się przypytali do legionów, popełnili szlachetny plagiat, aż się im to potem ogromnie spodobało. Karciarze polityczni — mieli w ręku takiego doskonałego „atuta“! Chociaż ten atut nieco brykał...

Kreacya była nieczysta, bo już zaraz na drugi dzień powinno się było wiedzieć, że przy tych kolosalnych machinach, jakiemi są wojska nowoczesne, legiony mogą być tylko ciekawym gościnnym występem potomków Sobieskiego. Legiony stały się tylko klubem bohaterów i przekonywały się, że przelewanie krwi za ojczyznę w tych warunkach jest przelewaniem z pustego w próżne. Trudno jest walczyć bez istotnej nienawiści, niejako symbolicznie. Polska prowadziła wojnę przez... rękawiczkę: miała z niej całą przykrość, nie miała przyjemności. Legiony, które były z początku dobrowolnemi ofiarami fikcyi narodowej, schodziły coraz bardziej na atuta, na którego dobrze się było powołać przy końcowem wykładaniu kart. Chciano nim oszukać siebie i drugich. Do tegoby jednak było potrzeba, żeby ci drudzy byli bardzo naiwni, albo mieli interes w tem, żeby udawać naiwnych. Niestety, oni nie chcieli wdać się w taką grę i powiedzieli wręcz, że atut jest fałszywy. Ale naród nawet nie zrozumiał tego afrontu. Zresztą nie było się czego wstydzić, bo i z tamtej strony narzucano nam naiwnie wiarę w to, że oni nas... wyzwolili.

Legionom było dosyć tego taroka politycznego fałszywemi kartami i aby ratować swoją ideę, wolały popełnić samobójstwo. Szaleńcy! Chcieli przejść na drugą stronę! Ale co to znaczy „na drugą stronę“? Czy jest to tylko geograficzne określenie? Nie, to znaczy: poza symbol, poza kompromis, poza komedyę polityczną. Brawo szaleńcy!

Wyrwały się atuty, i o dziwo pokazało się, że sprawa polska wcale nie stoi gorzej bez nich niż z nimi.



I. PINKAS STUDYUM

Legiony były tylko kłopotem honorowym, ale nie najgłębszem przeżyciem narodu podczas wojny. Nie były niem także inne problematy, które wstrząsają dziś narodami.

Takim jest np. wyłanianie się pacyfizmu w związku z likwidacyą teoryi o sile jako naczelnej prawodawczyni, jako boskim sprawdzianie dobrego i złego. Ta wojna ekonomiczna stała się wojną filozoficzną, toczy się o wojnę samą. Tak się stało mimowoli, bo tzw. realni politycy jednej i drugiej strony, którzy się dotychczas posługiwali ideami pogardliwie jako „atutami“, sami uwikłali się w zdradliwe sieci idej i pomału z ich panów stali się ich sługami. Ideje rozszerzają się zawsze przez plagiat! Plagiatorami były państwa koalicyi, które z początku nie mając zwycięstw i zdobyczy, chciały jak stara panna mieć po swojej stronie przynaj-

mniej cnotę, choćby były wolały, żeby było odwrotnie. Najnowszym plagiatorem jest hr. Czernin, który żądał nawet patentu, że on pierwszy w tej wojnie głosił rozbrojenie i związek narodów. Galimatyasu narobił ten „doktryner“ Wilson, który w tem towarzystwie chciał wziąć idee na seryo. Śmieszny! A może tylko wyrafinowany egoista? Dotychczasowy gazeciarski roentgenizm polityczny węszy wszędzie świństwo i egoizm i nie spocznie póki nie zredukuje idei do interesu. Wtedy wydaje się sobie bardzo mądrym, wszak nie dał się wziąć na kawał... mrzonkom.

Przewodniem zadaniem historyka tej wojny jest śledzić, jak oni, „politycy realni“, oszukują idee, a idea ich.

Tragicznym bohaterem tego przełomu w umysłowości ludzkiej są Niemcy, ponieważ one właśnie ową teoryę o sile pojęły i stosowały najrzetelniej, to jest najcyniczniej, nadały jej charakter kosmiczny, wyzywający Boga i ludzi. Oni wzięli na siebie imperyalistyczny grzech całego świata. Państwa koalicyi siepiąc się na nich, siepią się na siebie samych. Ludzkość wygniata na tym punkcie swój najbardziej własny czyrak. I można sobie życzyć tylko tego, żeby polaryzacya potęg ideowych odbyła się jak najgruntowniej, metodami dramatu, a nie rozciągniętego w nieskończoność eposu.

Polska w tem przeżyciu nie ma prawie żadnego udziału.Pacyfizm polski jest okolicznościowym nie zasadniczym, rodzi się z pewnych określonych antypatyi, i jest nawzajem pozorem, aby te antypatye pogłębić. Ale społeczeństwo polskie w gruncie serca usposobione jest wojennie i imperyalistycznie, nie ma tylko pola do rozwinięcia tych właściwości; ono pacyfizmu nie rozumie, a choćby go sobie teraz przyswoiło, będzie to przyswojenie sztuczne, ponad istotny stan moralny i umysłowy, będzie to tylko teza, która jak wiadomo, jest wprawdzie podobna do syntezy, lecz w praktyce przepływa dopiero w antitezę. Społeczeństwo polskie będzie musiało dopiero później jeszcze raz przerobić, i przeżyć problemat pacyfistyczny (przyszła wojna polsko-ukraińska!)

Drugiem doznaniem narodów w tej wojnie jest hasło stanowienia ich o własnym losie. Zdawałoby się, że tu właśnie będzie Polska najwięcej interesowaną. Ale tak nie jest. Oczywiście wywiesza się i u nas to hasło, bo tak wypada, ale społeczeństwo jest wobec niego albo obojętne, albo — i tak czyni właśnie myśląca i uświadomiona część społeczeństwa — bagatelizuje je sobie jako mrzonkę, lub nawet uważa je za wręcz szkodliwe. Wszak Polacy dzięki swojej sile liczebnej mają i tak najlepsze z pośród mniejszych narodów słowiańskich szanse przeforsowania swej samoistności państwowej, pocóż im jakiegoś „doktrynerskiego“ „mechanizującego “ prawa samostanowienia narodów, któreby mogło nadwyrężyć „historyczne“ prawa Polski na wschodzie? Wszak musimy mieć państwo porządnie skomasowane, bez niewygodnych dla administracyi wysepek; musimy mieć ekspanzyę, granice wojskowe, kolonizacyę, „interesy żywotne“, wogóle całe umeblowanie państwowe z epoki przedwojennej. Wszak toczą się pogawędki na temat: co my Rusinom damy? co im dać możemy? co „leży w naszym interesie?“ Samostanowienie, plebiscyty — to dobre dla Macedończyków lub jakichś tam Kucowołochów....

Trzecią niespodziankę tej wojny sprawił socyalizm. Problematy socyalizmu podczas tej wojny należą do najinteligentniejszych i najważniejszych. Już np. to było bardzo ciekawe, że po wybuchu wojny cały świat burżuazyjny miał pretensyę do socyalistów, czemu wojnie nie przeszkodzili! Takie nagłe, dziwne uznanie! A potem te zjawiska ekonomiczne! Socyalizm, pogrążony i pobity w praktyce, zatryumfował jako teorya, rzeczywistość sama dawała poglądowe lekcye socyalizmu. Myśmy się jednak tem nie przejmowali. Rozdwojenie obozu socyalistycznego w całym świecie było dla nas tylko ciekawostką polityczną. Jesteśmy przecież narodem agrarnym. A w sprawach aprowizacyjnych mamy także własny, narodowy kąt widzenia, jako otoczeni przez okupantów; pouczają więc nas one o wszystkiem innem tylko nie o socyalizmie. (Świadczy o tem np. wyłącznie polityczne a nawet rasowe traktowanie sprawy central).

Czwartym kataklizmem tej wojny jest rewolucya. Wobec niej zachowujemy się już nietylko obojętnie lecz nawet wrogo. Traktujemy ją jak parchy lub epilepsyę: dobrze, że za karę napadło to naszego sąsiada, lecz my się parchami brzydzimy. Z jaką satysfakcyą notują nasze dzienniki wszystkie prawdy i bajki o anarchii w Rosyi. Jeszcze kiedy rządził Kiereński, głównym informatorem naszym o upadku idealizmu w Rosyi, o kolosalnej różnicy między tą rewolucyą a rewolucyą francuską, był taki „idealista“, jak Milukow. A potem to nieustanne wyczekiwanie: Padną bolszewicy, czy nie padną? „Dni ich panowania są policzone“. „Chłopi ciągną na Moskwę, Lenin uciekł“ — już im teraz dojadą! I tak dalej. Trudności rewolucyi, jej niesłychane zadania, jej wzloty i upojenia — to nas nic nie obchodzi, to wszystko skurczamy i zamykamy w jednem słowie: utopia. Słowo to niesie dla nas jeszcze specyalne, nieznane gdzieindziej skojarzenie: utopista — niechże się topi. A przecież ta wojna jest sama

taką utopią, wywołaną przez „polityków realnych“, że wobec niej wszelka inna utopia jest równie uzasadnioną.

Niesłychany manifest bolszewicki, zwalniający wszystkie ludy nierosyjskie ze związku państwowego z Rosyą, został przyjęty jako coś, co się samo przez się rozumie, już też jako jakiś nadzwyczajny szwindel żydowski.

(A więc wychwalasz bolszewików? Polecasz ich na wzór? Zapominasz o dworach polskich popalonych na Ukrainie? O rozstrzelanych ofiarach? Na te zarzuty nie odpowiadam, ponieważ już raz dawniej napisałem studyum „O perfidyi“).

Lecz tu już zaczynają się doznania, które Polska dzieli z resztą Europy. Są to doznania nienawiści.

Nienawiść nietylko rymuje się do „zawiść“ lecz i zwykle zawiera ją w sobie jako nieuświadomione „uczucie wyparte“ (według terminologii freudowskiej).

Europa nienawidzi bolszewików, ponieważ oni ośmielili się pierwsi wziąć utopię na seryo. Kiedyż im się nareszcie powinie noga?

Wyczekiwanie na cudzy upadek nazywa się h y e n i z m e m. Nasz hyenizm ma oczy skierowane na wschód i na zachód.

Ta druga nienawiść jest najgłębszem przeżyciem społeczeństwa polskiego podczas tej wojny.

Należy tu dokładnie odróżnić przyczyny objektywne od pobudek subjektywnych. Nienawiść może być objektywnie bardzo uzasadnioną i słuszną ze stu przyczyn powszechnie znanych, a jednak jej właściwym, subjektywnym spiritus movens może być coś zupełnie innego, co zmienia całą wartość moralną uczucia. Tym motorem jest w danym wypadku zazdrość.

Jeżeli w poprzednim artykule była mowa o stosunku ucznia do profesora bardzo niekwalifikowanego, to tutaj wchodzi w grę stosunek podobny, tylko że ten drugi profesor jest wysoce kwalifikowany ale surowy, brutalny i upokarzający. Nienawidzimy go, antycypując w duchu to upokorzenie.

Było sto takich samych przyczyn objektywnych do nienawidzenia sąsiada ze wschodu a jednak nienawiść ta, tradycyjna i opiewana, znalazła się z chwilą wybuchu wojny w stanie impotencyi. W tym starym wrogu wyczuliśmy sojusznika przeciw antycypowanemu upokorzeniu.

Oczywiście w niniejszym całym artykule idzie tylko o rozpoznanie psychologiczne, o to, czem dusza polska karmi się i żyje podczas wojny — nie o kombinacye polityczne.

Pokarm, o którym dopiero co wspomniałem, jest niezdrowy i ogłupiający, i jest już sam przez się upokorzeniem. To jest wódka duchowa.

Znam pewną panią, żonę wysokiego urzędnika, która dla swoich dzieci zbiera istne album nienawiści: wycinanki z gazet, eksploatujących szowinizm po jednej i drugiej stronie.

Tak podczas wojny dusza polska snuje przędzę nienawiści, ale fakt, że wróg sam dostarcza



KIETLICZ - RAYSKI BUNT.

jej do tego obfitego materyału, nie usprawiedliwia jeszcze takiego namiętnego zatrudnienia.

Czekamy jednak na owoce wojny, które dojrzewają w jej skwarze, więc jakoś ten czas spędzić potrzeba. Tymczasem politycy nasi próbują strząść już teraz te owoce, lub manipulują swojemi soczewkami, aby przyspieszyć dojrzewanie.

Jesteśmy dziś pewni, że te owoce nam się należą, bo tak chce „sprawiedliwość dziejowa“. Dlatego nawet z niechęcią patrzymy na zbyt skwapliwych polityków: mogą uszkodzić owoce, albo strząść je przedwcześnie.

W języku aktywistów nazywa się to wyczekiwanie pasywizmem, a rzeczy biorą taki obrót jak gdyby rozwój wypadków przyznał ostatecznie paciwizmowi racyę. Jak daleko odbiegliśmy od epoki „Wesela"! Chwila dzisiejsza jest złośliwą satyrą tej satyry. Klio i Melpomene biorą w rękę ową chatę rozśpiewaną i rozpowstanioną i wstawiają ją wpośród nowoczesnych pól bitwy, iżby się zawstydziła...

Ale „Wesele" jest podobno mszą narodową o czyn wszelkiego rodzaju. Instynkt przemawia za aktywizmem — tylko za jakim?

W każdym razie za takim, któryby dorównywał kolosalnym napięciom tej wojny. Instynkt nie chce, żebyśmy byli tylko jej pasożytami. Instynkt wstydzi się darowizny losu, choćby najbardziej należnej, każe na nią zasłużyć, wywalczyć ją. Jest bowiem przyrodzoną ambicyą człowieka-Prometeusa, aby wszystko sam sobie zawdzięczał, nie bogom. To właśnie czuły najgłębiej legiony, lecz wzgardziły gestem, nie mogąc mieć istoty rzeczy...

Tu gubią się nasze drogi... Nie szukam wskaźników politycznych, chcę tylko nakreślić sytuacyę duchową, Polski, niedość odczuwaną i sprecyzowaną w świadomości powszechnej.

Nazywało się zawsze: „mocą odbierzemy". Nazywało się w epoce Mickiewicza i Słowackiego, że my sami z siebie wydźwigniemy moc, która „odwali kamień grobowy". To było ambicyą romantyzmu, która przeszła spadkiem na pozytywizm.

I zanim zdołaliśmy wykuć ową moc z siebie, zaskoczyła nas wojna swym prezentem. Tak, jakgdyby losowi sprzykrzyło się czekać. Nie wrócą nigdy dni męki, dni usiłowań beznadziejnych, pracy przygotowawczej, oddalonej od celu o całą nieskończoność, nie wróci nigdy ta jedyna możność, że my sami...

W tej sytuacyi mieści się coś rozpaczliwego, tuż o ścianę obok wielkiej radości. To jest najcichsza tajemnica narodowa. Nie mówmy o niej nikomu. Nie przyznaliśmy się do niej przecież nawet przed samymi sobą...

Bo też tymczasem przebywamy nowe męki: męki Tantala, że owoc nie spada... Los nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Może być wszystko jeszcze trzy razy lepiej albo trzy razy gorzej, ale to pewna, że będzie — inaczej.

Sprostowanie: W nr. 26. str. 505, szp. ., w. 13 od dołu zam. „niedorzeczności" ma być niedomówienia. St. 516., w. 11. od dołu zam. „pluli" ma być psuli.

P R Z E G L Ą D

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO

Wesele *Wyspiańskiego.*

Pojęcie ekspresyonizmu, chociaż nieokreślone ściśle, otwiera jednak pewne nowe perspektywy. Jeżeli Przybyszewski pragnie wykazać, że ekspresyonistą był Słowacki, to z o wiele większą słusznością można za ekspresyonistę uważać Wyspiańskiego. Ta nonszalancya twórca, to lekceważenie realizmu i szablonów dramatycznych, monologi i monologiczny charakter całości, niecierpliwe przeskakiwanie członów logicznych, niejasność, robota jakby tylko dla siebie, wikłanie się naokoło jednego motywu, eksplozywne znajdywanie „wyrazu" i podrywanie go w górę — to wszystko można znaleźć w nowoczesnych obrazach i utworach ekspresyonistycznych. W „Weselu" wszystkie osoby szukają swej ekspresyi; to jest filtr, na którego spodzie zostają dziwne rzeczy. Autor nie wdaje się ani w psychologię snu, ani nie uzasadnia widm folklorystycznie sposobem „Dziadów"; poprostu wprowadza je jako nowy gatunek rzeczywistości. Szczególną pod tym względem jest zwłaszcza przerwa w napływaniu widm: gospodarz zasnął, gospodyni mu się dziwuje, napozór dom wraca do normalnego stanu, ale za chwilę wzbiera nowa fala, i tym razem podnosi już wszystkich, i gospodarza i gospodynię, która się nad nim litowała, i wszystkich gości, we wspólnej już wizyi. To nowe zaczarowanie przekoziołkowuje się z chwilą powrotu Jaśka; natępuje trzecie zaczarowanie czy też nowa jeszcze kondygnacya rzeczywistości; ostatni obraz nie wraca już do początku, jak sonata do tonu zasadniczego, lecz tonie w abstrakcyi, w sensie rzec można trywialnym, dydaktycznym, ugrupowanym niejako częściami zdania na scenie; ale i ten sens, to „fabula docet", w systemie zwierciadeł „Wesela" staje się dalszym wyrazem, wyrazem wyrazu, odtrywialnia się, jak hieroglif, który coś znaczy dla rozumu, lecz w którym oko przywraca walory malarskie...

(Trzeba ekspresyonistycznie pisać o ekspresyonizmie; takby może pisał Lack, gdyby teraz żył, Lack — polip w głębinie, której na imię „Wyspiański", gdy p. Siedlecki jest nurkiem).

Wystawienie „Wesela" na scenie krakowskiej odbywało się i odbywa wśród największego, fenomenalnego optimum warunków, jakich można życzyć wogóle autorowi scenicznemu. Najwięcej podziwu godnym aktorem w „Weselu" jest ta druga wydrążona półkula teatru: publiczność. Umie rzecz na pamięć jak publiczność Beyreuthu, rozumie wszystkie alluzye, symbole i allegorye, dopełnia wyobraźnią i uczuciem to, czego autor nie uwy-

puklił, idzie za nim nawet przez wertepy, rozwlekłości, przez niejasności i paranojskie skojarzenia słów i zdań, smakuje sobie w miejscach świetnych. A aktorzy grają jakby byli częścią tej publiczności, wysuniętą na scenę...

Fenomenalne widowisko!

Różni mają różne pretensye co do poszczególnych ról i scen. Ja specyalnie bałem się, czy dobrze wypadnie ostatnia scena, kulminacyjna, czy Jasiek będzie w sam raz takim, jakim się ma być, gdy się zostaje sam na sam z widmem i widmami. Już w myśli wyczuwałem niesmak z tego powodu, ale zawiodłem się in plus, wszystko było takie, że nie powstydziłoby się wiecznego utrwalenia w kinetofonie.

„P r z y j a c i e l e“, kom. w 4 aktach *Fredry.*

Czy do starych sztuk koniecznie trzeba przystępywać z miarą nietyle pobłażliwą ile snobistyczną, odczuwać ich nieudolność jako wdzięk stylowy, miewać dreszcze literacko-historyczne? Czy nie można by ich raz osądzić tak, jakby to była premiera współczesna? Szacunek dla starej firmy niepowinien się objawiać przyznawaniem większej liczby okoliczności łagodzących, lecz tylko ostrożniejszem, sprawiedliwszem wczuwaniem się w wartości pozytywne.

Tych tu niema. To, co „myszką trąci“ nie jest zasługą Fredry lecz epoki. Fabuła pierwszoplanowa zbudowana naiwnie. Powie się, że to konwencya? Dwoje ludzi, którzy żyjąc razem oddawna, nie domyślają się wzajemnej miłości, wkońcu ona posądza jego na podstawie błahych poszlak o miłość do starej panny: sytuacye przykre i nietaktowne, ale ani na jednem miejscu nie znać choćby nieświadomego buntu autora przeciw tym własnym absurdom, czy też narzuconej konwencyi.

Ale w figurach drugoplanowych widzi się „lwi pazur“ Fredry? Trzeba sobie przypomnieć „Naszych najserdeczniejszych“ Sardou, aby dostrzedz, jaką sposobność ominął tu Fredro, nawet jej nie drasnąwszy. Co do postaci, to Smakosz, uważany niesłusznie za kapitalną próbkę obserwacyi, jest tylko dobrą rolą; jedyną subtelnością jaką taką jest, że Smakosz trafnie krytykuje drugich. Obserwacya w Smakoszu jest żadną, to tylko szkolna dedukcya z nazwiska. Już o wiele lepszym jest Wtórkiewicz. Data powstania sztuki nie jest tu żadnem usprawiedliwieniem; na przeszło 2000 lat przedtem napisane były „Charaktery“ Teofrasta, które już dały miarę i wyobrażenie o tem, czem może być obserwacya.

„W y z w a n i e“, prolog do dramatu w 3 aktach *Bol. Gorczyńskiego.*

Jest to sztuka przedewszystkiem pedagogiczna. Ale jako taka miałaby większe znaczenie, gdyby ją była napisała kobieta. Będąc utworem mężczyzny, wygląda na uwodzicielstwo panien ze sceny, ułatwianie zadania miłym gogusiom. Dlatego na przestrogę musimy tutaj zdefiniować tezę sztuki jako o wiele surowszą niż się wydaje; mianowicie: pannie wolno tylko wtedy popełnić „błąd“, jeżeli gotowa jest sama ponosić, powić, wykarmić i odziać jego konsekwencyę.

Dla szerszej publiczności sztuka ta jest jeszcze w sam raz pouczającą, śmiałą i aktualną, ale już i ta publiczność zamiast protestować, przeważnie przynosi z sobą już gotowe sympatye dla postępowania bohaterki. To znaczy, że nie jest to już „faza wojująca“ tej tezy, lecz jej uznanie — alias: wywalanie otwartych drzwi. Oczywiście w praktyce własnej wszyscy ci pobłażliwi widzowie możeby powtórzyli nietolerancyę i małoduszność osób otaczających bohaterkę, ale w teoryi już tej grzesznicy oddawna przebaczono. Dzisiaj trudności wynikające z „błędu“ są raczej ekonomiczne niż obyczajowe. Zwłaszcza po tej wojnie! Wszak w Niemczech rozsyła się klepsydry: pana X. X. z dzieckiem zawiadamia o śmierci swego narzeczonego Y. Y. na polu bitwy. Lecz nawet 8 lat temu, kiedy podobno ta sztuka została napisana, już była przestarzałą, to znaczy prześcigniętą przez nowe pomysły i literackie i społeczne. Na polu literackiem fala ogólnej reakcyi wywołała pewien nawrót od emancypacyi wstecz, na polu teoretycznem możnaby pannie Jasi, pionierce ruchu kobiecego, polecić dzieło Grety Meisel-Hess. „Die sexuelle Krise“.

„Dramatu tu niema, nikt nie umiera, owszem przeciwnie“, zauważa słusznie brat Antosi. Dramat polegałby właściwie na tem, że Antosia oddaje się niekochanemu mężczyźnie; powoduje się więc: 1) nie miłością, jak w podobnych sztukach starszej daty, 2) ani chęcią, żeby mieć dziecko bez oków małżeńskich, jak w „Zawodzie“ Szukiewicza, 3) lecz żywiołową żądzą, zwaną zwykle „zmysłową“, przez którą jednak na równi a może jeszcze więcej i potrzeby umysłowe sięgają po swoje prawo („Zmysłowość jest klawiaturą ducha“ mówi Hebbel). Konflikt głębszy wynikałby tedy z mizernej natury duchowej amanta apetytnego fizycznie (patrz „Ananke“ powieść W. Feldmana) i konflikt ten mógłby się obejść snadno bez dziecka. Lecz autor wymija tę grupę motywów i jedzie pełną parą w zwykły konflikt społeczny: panna z dzieckiem naprzeciw opinii publicznej, ten konflikt jednak może się snadnie wywiązać i po stosunku z mężczyzną kochanym (Ewa z „Dziejów grzechu“). Absolutna dzielność bohaterki podrywa zresztą i ten drugi konflikt, odgania kompromisy, pokazuje drzwi całemu światu, ale gdy kto się niczego nie boi, to i dramatu niema. Porządek jest tu odwrotny niż w sztuce Szukiewicza: tam bohaterka zaczyna od rezonerstwa, potem się

łamie i nie wytrzymuje próby, Antosia zaczyna po ludzku, kończy nadludzko. (Zresztą ugrupowanie stosunku osób przypomina także „Gniazdo rodzinne“ Sudermanna).

Może czując ten brak dramatyczności, autor nazwał „Wyzwanie“ prologiem do dramatu — jakiego? Zapewne miał na myśli dalszą walkę Antosi z małodusznym światem. Lecz można sobie pomyśleć dramaty właściwsze, nie oparte na tle braków ekonomicznych lub przesądów. Naprzykład: W dziecku swojem znajduje rysy fizyczne lub duchowe ojca, i to ją doprowadza do pasyi. Albo wypadek t. zw. telegonii: wychodzi za mąż i dziecko z człowiekiem kochanym przynosi na świat rysy tamtego, który był pierwszym. Wogóle ta „pierwszość“ pozostawia niezatarte ślady nie fizyczne lecz duchowe (choć pani Meisel-Hess zapewnia, że „kobieta nie jest bułką“).

Sztuka jest prostolinijna, aż nadto jednoznaczna, lecz zręczna, z mocnymi akcentami, i jeżeli wywiera wrażenie, to nietylko dzięki dobrej grze aktorów, lecz także dzięki temu, że sztuka tendencyjna, rezonerska, jako gatunek wcale się nie przestarzała. Może ona wywierać wrażenie poetyckie, nie — jak się zwykle myśli — p o m i m o tendencyi, t. j. dzięki jakimś innym „artystycznym walorom“, lecz owszem w s k u t e k tendencyi i rezonerstwa. Samo napięcie rezonerskie może wzruszać poetycko — to właśnie widzieliśmy na „Wyzwaniu“. Ale tendencya musi być nie bylejaka, trzeba głębiej kopać, poruszać sprawy trudniejsze. Poezyę dydaktyczną, która w starożytności ceniona była wysoko a dziś znajduje się niemal w pogardzie, czeka jeszcze przyszłość.

Karol Irzykowski.



KIETLICZ RAYSKI — PIEŚŃ.

Z WSPÓŁCZESNEJ MUZYKI.

I OGÓLNA KRYTERYA.

Gdy muzyk interesujący się malarstwem czyta jakiekolwiek francuskie lub niemieckie dzieło o współczesnej sztuce, zauważa przedewszystkiem olbrzymią mnogość „izmów“, nieznaną zupełnie współczesnej muzyce (impresyonizm, neoimpresyonizm, akademizm, prymitywizm, naturalizm, luminizm, pointyllizm, symbolizm, kubizm, formizm, ekspressyonizm i t. d.). Zapoznawszy się ze znaczeniem tych pojęć i przypatrzywszy się dziełom sztuki, które reprezentują te „kierunki“, dochodzi do przekonania, że połowa tych „izmów“ dotyczy nie jakiegoś ściśle ideowego, artystycznego kierunku, lecz raczej wyboru środków wyrazu lub formy, że szereg „izmów“ dałby się sprowadzić do jednego zasadniczego pojęcia, że tylko nieporozumienie (chwilowe) lub fałszywe ambicye i „prywatne namiętności“ literackich przestawicieli różnych „izmów“ stoją na przeszkodzie w dojściu do przekonania, że tych „izmów“ jest daleko mniej w rzeczywistości, niż w piśmie. Daleki jestem od tego, aby nie dojrzeć w sztuce dzisiejszej różnych, pozornie rozbieżnych dążeń, ale śmiesznem wydaje mi się, że artyści, którzy uczonym zarzucają chęć szufladkowania szkół i kierunków, sami wytwarzają tych szufladek, czyli „izmów“ daleko

więcej, niż to kiedykolwiek historycy uczynili. Jeśli się obserwuje dzieła malarskie należące do różnych „izmów“ (co najkorzystniejszem jest uczynić przed poznaniem literackich opisów i recenzyi, pisanych przez ludzi nie umiejących władać ani pędzlem ani dłutem, ani linią, ani barwą i ich zespołem), to szuka się przedewszystkiem tych wartości artystycznych, za pomocą których artysta sprawia wrażenie, iż naprzód ma coś do powiedzenai w sposób odmienny i lepszy niż inni i włada środkami wyrazu samodzielnie, indywidualnie, ale tak, że forma środki i treść łączą się w jedność, odczuwaną przez widza jako zespół wiedzy, inteligencyi i talentu.

Kierunek jest tu rzeczą podrzędną i nie wpływa na wartość dzieła sztuki. Inaczej bowiem huczne błazeństwo pewnych włoskich futurystów kazałoby dzisiejszemu artyście utrwalać w pamięci i powtarzać przed rozpoczęciem dzieła trywialne, ale według zasad futuryzmu logiczne „memento“: że za x lat stanie się „przestarzałym“, a twórczość jego ulegnie temu samemu losowi, na który skazali futuryści Cimabue'go, Michała Anioła, Velasqueza, Goyę i t. d. Obok wizytowej karty z odpowiednim „izmem“ istnieją jeszcze trwalsze niż spiż pojęcia a b s o l u t n e j w a r t o ś c i artystycznej, która nie kruszeje i nie rozkłada się pod wpływem takich lub innych zmian atmosferycznych w zakresie kierunków, ewolucyi lub rewolucyi. „Stylizm“ przestrzegany w urządzeniach wystaw malarskich, zabraniający umieścić obraz Weissa obok — „główki“ Stachiewicza lub akt Putza obok „Chrystusa“ Filiżera nie jest w stanie zamącić mi wrażeń jakich doznaję oglądając naprzód „Ukrzyżowanie“ El Greca, a bezpośrednio potem „Morskie sceny“ Van Rysselbergha lub „Zmierzch“ Muncha. Szukam wrażenia dzieła doskonałego, w którem treść, forma i środki tworzą przewód magnetyczny między artystą i mną. Jeśli tego wrażenia nie doznaję, to albo zawinił artysta, albo też stopień mej inteligecyi jest za niski lub tylko zbyt jednostonnym jest jej rodzaj. Ale nigdy nie winien temu kierunek. Przypomina mi się wiersz Grilllparzera o recenzentach:

„Romantisch, klassisch und modern
Scheint schon ein Urteil diesen Herrn
Doch übersehn sie in der Wut
Das einzig wahre: schlecht und gut“.

Nie będę „opisywał“ po literacku wszelkich ewolucyi, jakie dokonywują się w muzyce 20 wieku. Sądzę też, że w t a k i c h opisach często wartościowszą jest literacka strona opisu, (nigdy nie wtajemniczająca czytelnika w dzieło lecz tylko w myśli piszącego), aniżeli jego treść pozytywna. Pomocnemi są wszelkie porównania, metafory, dynamika zachwytów, potępień lub ironii, i cały ten łgarski aparat tęczowych barw stylu, który jednym biegunem opiera się o małe przygotowanie ogółu, drugim zaś o niedokrewność pojęciową i snobizm autora, będącego „geistreich“ w goethowskiem znaczeniu, czyli będącego „najlepszym leksykonem konwersacyjnym“, porównywującego muzykę z malarstwem, literaturę z muzyką wśród wielojęzykowych interjekcyi. Daleko lepsze światło na dążenia w dzisiejszej muzyce rzuci charakterystyka indywidualności, aniżeli „kierunków“, z których lepiej zda sobie sprawę historyk w przyszłości. Nawet między tak skrajnymi typami jak Reger i Debussy istnieje wiele stycznych „izmów“. Zresztą kierunek — to indywidualność jego twórcy lub jego najlepszego wyraziciela.

Za najbardziej charakterystyczne postacie w dzisiejszej muzyce uważam te, które przy największym talencie przedstawiają najbardziej skrajne przeciwieństwa, a więc najmniej zawierają cech eklektyzmu. Kwestya bezwzględnie nowych wartości“ jest niewątpliwie ważną, ale najważniejszą jest inna: mianowicie, c z y k o m p o z y t o r m a c o ś d o p o w i e d z e n i a bądź w sposób wnoszący nowe pierwiastki do muzyki, bądź też prowadzący na dasze etapy to, co inni zapoczątkowali. Jeślibyśmy uwzględniali tylko absolutną oryginalność, od której nie jest daleko do maniery (stąd nadmiar „izmów“), to za nieoryginalnego uznamy Bacha, treściowo jednak stojącego wyżej od tych, którzy mu dostarczyli środków stylistycznych. Mozartowi w pomoc przyszli włoscy kompozytorowie, dziś już zupełnie zapomniani. Wagnerowska orkiestra bez Berlioza nie byłaby tak świetną. Bach instrumentuje bardziej konserwatywnie aniżeli Händel, a jednak suity orkiestrowe i koncerty brandenburskie Bacha przedstawiają w słabszych momentach nie mniejszą wartość niż „concerti“ Haendla. Bardziej „oryginalnym“ jest styl Liszta, ale mniej pretensyonalne i mniej „świetne“ preludya i fugi Mendelssohna okazały się dziełami trwalszemi. Powaga i głębia intencyi, brak kompromisów, pietyzm dla swej sztuki, doskonała technika, zasób treści i pracowitość są cechami każdego gieniusza. Reszta zaś może być udziałem talentu. Talentami nie będę się tu zajmował, lecz tylko przodownikami i bohaterami ducha.

Dlaczego ograniczę się do muzyki instrumentalnej, będzie można dowiedzieć się w dalszym przebiegu tej pracy. Historyk muzyki odgadnie już naprzód powody: wszak mniej więcej od r. 1700 muzyka jest w pierwszym rzędzie instrumentalną (mimo Händla, Schuberta, Wagnera). Jeśli ponadto główny nacisk położę na muzykę symfoniczną, to ze względu na największą sumę ewolucyi, jakie właśnie na jej polu się dokonały. Dotyczy to jednak tylko tego wstępnego preludyum, w którem pragnę porozumieć się z czytelnikiem.

Dążeniem muzyki, najbardziej charakterystycznem od czasów Berlioza, Wagnera i Liszta, była tzw. „programowość“, tj. zastosowanie albo pogo-

dzenie formy muzycznej z formą poetyckiego, ideowego „programu“, co wymagało zastosowania i powiększania środków, w pierwszym rzędzie symfonicznych. Ale już w dziełach Straussa i wielu współczesnych znajdziemy objawy, które są równe rewizyi „programowości“.

Najgłówniejsza forma „muzyki programowej“, poemat symfoniczny, już całkowicie spełnił swoją rolę w dziełach Ryszarda Straussa i kilku jego wybitnych naśladowców, jako reakcya przeciw akademickiemu formalizmowi, niezdolnemu do dalszego rozwoju — mimo Brahmsa, ale też i mimo Brucknera, którego symfonie posiadały największy od czasów Beethovena rozmach, ale rwaniem się formy i pękaniem jej zawiasów zapowiadały wyczerpanie formy symfonii, poddanej tylu w ostatnich czasach eksperymentom. Z jednej strony nawet ci kompozytorowie, których rozwój odbywał się po linii Berlioz-Wagner-Liszt-Strauss, zaczęli miewać refleksye na punkcie nie dającej się zaprzeczyć zbyt daleko posuniętej zależności formy muzycznej od poetyckiego programu, a nie mniej zdawali sobie sprawę, że i tu zaczyna pojawiać się groźne oblicze szablonu, zadokumentowane nie tyle w samej formie, ile raczej w rodzaju przeprowadzań myśli, tematów i w środkach wyrazu, w instrumentalnem słownictwie. Strauss zarzucił poemat symfoniczny i o ile nie tworzy oper, chętnie posługuje się „symfonią“ („Sinfonia domestica“, „Symfonia alpejska“), oczywiście nie cykliczną, lecz jednoczęściową, wprawdzie w zmodyfikowanej formie sonatowej, ale bądźcobądź o wiele bardziej muzycznej w swej architekturze, aniżeli poematy symfoniczne (zwłaszcza „Zaratustra“ i „Życie bohatera“). Nawet Debussy wrócił do formy sonaty, wydając sonatę wiolonczelową (1915), a więc utwór w formie, przeciw której wystąpił dawniej z wielkim tupetem („Revue blanche“) zarzucając jej zbyt wyrachowaną konstrukcyę, z przewidzianym już naprzód powrotem tematu lub tematów w tem a nie innem miejscu. Ten „neoromantyczny“ kierunek uznający tylko poemat symfoniczny (lub programową symfonię), dramat muzyczny i pieśń solową, po części też wielkie dzieła chóralne, za jedyne „na czasie“ rodzaje kompozycyi, wszystko inne zaś za formalistyczny tradycyonalizm, podsycany przez sztukę Brahmsa-antywagneryanina (według zdania Wagnera!) nie mógł już dalej rozwijać się, mimo że reprezentowały go dzieła wysokiej wartości (poematy symfoniczne Straussa, Skrjabina, Debussy‘ego „L‘après midi d‘un faun“, Sibeliusa, itd.). Uporczywe trwanie przy tejsamej manierze, ożywianej tylko szukaniem coraz nowszych efektów instrumentacyjnych, bardzo pożądanych jako środek, lecz nie jako cel, musiało u bystrzejszych wzbudzić lęk wobec nie dającej się uniknąć maniery. Nowych form jeszcze nie zdołano stworzyć, do których nie miano odwagi powrócić. Jedni poszli jednak dalej, rozbijając wszelkie zarysy konstrukcyjne; na ich czele stanął we Francyi Debussy, w Rosyi Skrjabin, w Niemczech Schönberg, w Anglii Cyryl Scott (obdarzony wielką zdolnością asymilacyi). Drudzy, nie mogąc stworzyć własnych lecz czysto muzycznych form, poszli śladem Wagnera, i ograniczyli się prawie wyłącznie do dramatu muzycznego lub też uznali tylko symfonie Brücknera za jedynie możliwy dla siebie punkt wyjścia — ze względu na jego nowożytny koloryt orkiestrowy (Mahler, Hausegger). Wybitni eklektycy wreszcie starali się pogodzić tradycye formy dawnej symfonii z nowymi elementami i radzili sobie jak mogli (d‘Indy, Sibelius, Rachmaninow et cons.), odrzucając nie bez korzyści dla siebie wszelką „pryncypialność“. Wszyscy jednak ani nie posunęli naprzód formy, ani też nie zmienili charakteru tematyki, zdradzając zawsze pokrewne rysy, mające swe źródło w sztuce Wagnera lub wogóle „neoromantyzmu“. Tego pokrewieństwa rysów nie zdołały zatrzeć ani egzotyczne melodye, ani odmienne, a niekiedy bystro wykalkulowane systemy harmoniczne.

Główne te ewolucye i rewolty, ataki i odwroty, odbywały i odbywają się na polu muzyki **instrumentalnej**. Jest nią obecna muzyka w pierwszym rzędzie. Pieśń solowa skłania się ku zupełnemu wyczerpaniu, mimo, że najwybitniejsi jej przestawiciele (Strauss, Mahler, Reger, Debussy, Ravel, Sibelius i t. d.) należą do współczesności; ale uderzającym nas faktem jest coraz bardziej zmniejszająca się ilość pieśni w ostatnich etapach ich twórczości. Wielkie kompozycye chóralne należą do wielkiej rzadkości, mimo, że nie brak wartościowych, a nawet imponujących (Strauss, Nicodé, Reger, Mahler, Schönberg, Bossi, Elgar, Bantock Granville). Często zdarza się, że środki wokalne bywają tylko uzupełnieniem środków, jakimi posługują się formy czysto symfoniczne (symfonie i sonety z „chórami“ i solowemi partyami pisane przez Mahlera, Nicodé‘go, Skrjabina, Debussy‘ego); są niekiedy traktowane jak instrument orkiestrowy i nawet nie mają dodanych tekstów (Debussy, Skrrjabin). Dramat muzyczny przeżywa niepewne sytuacye, którym nie zapobiegnie ani Strauss, ani Debussy i Dukas, nie mówiąc już o pasożytniczych egzystencyach jak Puccini, d‘Albert i t. p., lub o mniej-więcej utalentowanych eklektykach. Na dramaty muzyczne (i nie pieśni), lecz dzieła instrumentalne stanowią najwyższe wzniesienie się, największe natężenie twórczej energii Straussa i innych współczesnych przodowników muzycznych. C. d. n.

Adolf Chybiński.

KRAKÓW · 10 · PAŹDZIERNIKA · 1918 ZESZYT · 29

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA

Władysław Grabowski 19.X.1918



ST. WYSPIAŃSKI STUDYUM.

(Ze zbiorów Włodz. Żuławskiego.)



LEOPOLD STAFF.

POLSKO, NIE JESTEŚ TY JUŻ NIEWOLNICĄ!

Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!
Łańcuch twych kajdan stał się tym łańcuchem,
Na którym z lochu, co był twą stolicą
Lat sto, swym własnym dźwignęłaś się duchem.

Nie przyszły ciebie poprzeć karabiny,
Ni wiodły za cię bój komety w niebie,
Ni z jakubowej zstąpiły drabiny
W pomoc Anioły. Powstałaś przez siebie!

Dzisiaj wychodzisz po wieku z podziemia,
Z ludów jedyny ty lud czystych dłoni,
Co swych zaborców zdumieniem oniemia,
Że tem zwycięża jeno, że się broni.

Ducha wspomnieniem ich ci nie rozsierdzę,
Żyłaś miłością, nie zaś zemsty żołdem,
Choć serce twardsze masz, niż Flandrji twierdze,
Co ci przyznano nowym pruskim hołdem.

Ty, broniąc siebie wbrew wszelkiej nadziei,
Broniłaś jeno od czarnej rozpaczy
Wiary, że wolność, prawo, moc idei
Nie jest czczym wiatrem ust, ale że — znaczy!

Duchową bronią walczyłaś i zbroją,
O którą pękał każdy cios obuchem.
Więc dziś myśl każdą podłóż ziemią swoją
I każdą ziemi swej piędź nakryj duchem.

Żadne cię miana nad to nie zaszczycą,
Co być nie mogło przez wiek twą ozdobą!
Polsko, nie jesteś ty już niewolnicą!
Lecz czemś największem, czem być można: Sobą!



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

19)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

— Szalenie lubię tę muzykę — rzekła Donimuntówna, zanuciwszy parę taktów w rytm chłopskiej kapeli.

Lecz kapela owa urwała nagle; zapadła tem głębsza cisza.

— Patrzałam tak nieraz w ciemność parę miesięcy temu, w Łąkach... Boże! Jakże przeraził mnie stryj, odgadując ten okropny pojedynek... Któż mógł przeczuć, że gdyby nie on, nie bylibyśmy mieli pana w Łąkach...

Ta dziewczyna w swojej połyskującej od światła płynnego na nią z wnętrza pokoju błękitno-srebrzystej sukni z srebrnym dyademem konwalij na włosach, dekoltowana, ze wspaniałym młodym biustem, na pół w cieniu, pół w jasności, wyglądała istotnie teraz jak z łąk.

— Chwila, kiedy stryj pana przywiózł — mówiła — ta bladość straszna...

Jej wargi znów poruszyły się.

— Mój — dosłyszał Piotr.

Uchylił głowę, aby wyraz ten, ledwie drgający, jeszcze lepiej słyszeć.

Czegóż mógł chcieć więcej? Wszystkiemi ponętami nęcąca kobieta upajała się miłością dla niego, wołała go do siebie całym głosem młodego życia kobiecego — zniżył głowę, ich czoła prawie stykały się.

Nieokreślone uczucie ciepła i wylania ogarnęło Piotra.

Chciałby był mówić o wszystkiem, wyszeptać wszystko. Ten pewny, swój, własny człowiek... Objął w pół dziewczynę, ledwo dotykając.

„W taką noc letnią“ — przemknęło mu przez głowę. I krew zagotowała się w nim.

— Nino — szepnął — uciekajmy... Moja jedyna!...

Uśmiechnęła się rozmarzona.

— Dziki książe gruzyjski... Uciekniemy... Niedługo... sami... dwoje... Jutro przyjedzie pan do nas oświadczyć się o mnie...

Rumieniec z głębi żył oblał jej twarz w tej chwili prawie śliczną wyrazem.

— Stryj mnie kocha jak córkę, będę niezależną...

— To wszystko jedno — odrzekł Piotr —

przyjdę i zabiorę. Choćby w nocy konno, a nawet na jednym moim koniu. Nikt mi nie stanie na drodze.

— Kochasz mnie?

Oczy patrzące na Piotra przysłoniły się prawie zupełnie powiekami, usta rozchyliły się cokolwiek, pierś biała i bujna podniosła — — ze słowem „kocham“ Piotra usta spłynęły na usta Donimuntówny, włosy jej płowe owiły mu czoło, gorące ciepło jej ciała wnikło weń.

Jej ramiona, jakby bezwiednie, oplotły go — uczuł całą bezświadomość tego objęcia, opad na niego ramion spowodowany pochłaniającem wszystko uczuciem.

Mógł ją był porwać, unieść, przepaść z nią...

Pomimo woli rzucił oczyma w ogród pod balkonem.



VL. HOFMANN.

Jeden szalony skok... szalony skok...

W oczach strzeliły mu białe lodowce, ponsowe kwiaty i skrzące zielonością bijące gaje...

Instynkt jakiś jakgdyby przeszył go poprostu. — Uchodźmy ztąd — szepnął — uchodźmy.

Uchodźmy — powtórzył.

Niesłyszała go; tonęła całą istotą w objęciu.

Zkądś, z niezmiernej oddali, zawidniały mu oczy tygrysa przez gąszcz, owe oczy północnego tygrysa spotkanego niegdyś w pustyni, raczej widziadła, niż zwierza...

— Nino — szeptał — daleko ztąd, precz...

Prąd niepojęty unosił go, wypychał z tych miejsc...

Ale w odpowiedzi jej ramiona ogarnęły go mocniej.

— Sokole — usłyszał.

I uścisk niewysłowionej słodyczy skuł go silniej z piersią rozkochanej dziewczyny, która wszystkie dni i noce tęsknoty utopiła weń sercem, jakby skupione światło płonące wysyłając naraz.

— Zakułam cię w mój mały pierścionek, w obrączkę złotą — rzekła półgłosem — jesteś mój... ukochany nad życie...

Niewiedziała, co mówi — — śniła...

Nagle usłyszeli lekkie kroki po dywanie w pokoju obok; cofnęli się; we drzwiach ukazał się Ewaryst Donimunt.

Uśmiechnął się dyskretnie.

— Szukam cię —

Ale Donimuntówna żywo pochwyciła dłoń Piotra i czerwona od ponownie oblewającego ją rumieńca wysunęła się na pokój z progu balkonu, mówiąc wyraźnie:

— Mój narzeczony, stryju.

Starszy jegomość zaskoczony z nagła, wyciągnął rękę do Piotra.

— Jeżeli to tylko jest waszą obopólną wolą —

— A stryj, jak zawsze, chce, czego ja chcę. —

— Nawet, jak widzę, zgaduję i przeczuwam. Cieszę się panie Piotrze, jeżeli się kochacie. Ale wróćcie do ludzi. —

— Cóż wielkiego — odpowiedziała wesoło Donimuntówna. — Rozmawialiśmy o podróżach; niemogę sobie wyobrazić wysokości tych gór niebotycznych, które widział pan Węglin.

— Bagatela; pojedź do Berdyczowa i popatrz na wieżę farną, a potem stopięćdziesiąt razy wyżej, będziesz miała to samo, ale tymczasem wracajcie, bo ja was szukać poszedłem przedtem, nim inni zaczęli.

Czy to już ma być oficyalne? Mama twoja wie?

— Jutro pan Węglin przyjedzie do nas i oświadczy się mamie o mnie.

— I to ja tego wszystkiego narobiłem? U Pana Boga! Ktoby się był spodziewał? — zażartował stary Donimunt.

— Trochę, stryju, a resztę — — ja sama...

Szczęście i wstyd zamknęły jej usta. Lecz z niedalekiej już sali balowej dał się słyszeć dziwny zgiełk.

— Co to jest? — zastanowił się Donimunt. — Tam się coś stało. Czyżby znowu?

— Co takiego, stryju? Nie wiem nic.

— Niewiesz? Ot głupstwo —

Lecz z wielkiej sali balowej wpadło poprostu kilka pań widocznie zmieszanych mocno i zastraszonych.

— Nie wyobrażacie sobie państwo, co się tam dzieje! Nie do uwierzenia! Chłopi! — zawołała jedna z nich. — Cała banda!

Więcej osób cofających z sali zatarasowało drogę.

Piotr posunął się nieco naprzód i spojrzał na głowy stłoczonych osób.

Szczególny uderzył go widok.

Na środku sali stał stary hrabia, a naprzeciwko niego z krwawą rysą na twarzy podpity niemłody tęgi chłop w poszarpanej nieco odzieży z czapą wysoką w ręku, po za nim tłum chłopów i kobiet wiejskich odświętnie krasno ubranych i liczna wiejska muzyka, kilkadziesiąt ludzi. Widocznie dopiero co weszli. Goście balowi cofali się we drzwi i pod ściany.

Chłop na przodzie pokłonił się właśnie i ozwał się w swoim języku:

— No nic, jaśnie panie hrabio, pan Rzesiński z lokajami i fornalami nam zastąpił, puścić nas niechciał, potrącił mnie, no nic, pan Rzesiński nie taki stary i ja nie taki stary. Dziś dwudziestego czerwca, rocznica budowy cukrowni jaśnie pana hrabiego, no, rocznica, jak na naszym gruncie cukrownię jaśnie pana hrabiego pobudowano.

— Jakto na waszym?! — krzyknął któryś z mężczyzn z pośród gości.

— Tak na naszym, że gdzie rósł las, tam będzie rósł las — odpowiedział chłop kładąc czapę na głowę. — Panowieście nas płodozmianu uczyli. Nasiał tu naprzód Pan Bóg chłopów, potem nasiał panów. Ale nie o to rzecz! My też przyszli tę dwudziestego czerwca rocznicę obejść. Czyja cukrownia na czyim gruncie, słusznie, aby się obaj właściciele spólnie ucieszyli. Jaśnie państwo po swojemu, my chłopstwo po swojemu. To pół na pół, ino że gruntu nie ruszy! Hej, muzycy! — Dał znak. Poruszyli się podpici chłopi z kobietami.

Stary hrabia stał jak oniemiały. Chłop na froncie wyjął malinowego koloru chustę i obtarł czoło mówiąc:

— Niespodzianki niema. My tu pismo przed sobą posłali — —

— Kamień?! — krzyknęły głosy.

— Sama szmata by na pierwsze piętro i przez okno nie doleciała.

— Wójcie, Hrehory, czy wy szalejecie?! — ozwał się wreszcie stary hrabia.

Ale chłop już nie odpowiedział. Machnął chu-



RIGHINI PRZECHADZKA.

stą malinową ku muzykom, zabrzękło i zabrzmiało, chłopinę potrącili, rozstawili, potężyli zuchwale, pochwytały się pary, sam wójt objął tęgą kobietę bardzo ładną i młodą, stojącą z przodu, zakrzyknął, tupnął podkówkami, i puścił się w tan, w okrąg miejsce zagarniając, a inni za nim, kupą, par ze sześćdziesiąt, albo więcej.

Goście runęli w tył w kilkoro drzwi z sali balowej wiodące. U chłopów za pasami połyski-

wały noże, krótkie topory, pistolety, nawet długie rewolwery wojskowe i kolby browningów, a kilku miało strzelby, lub karabiny przez plecy.

Hrabia został otoczony.

Wysoki, siwy, stary człowiek stał osłupiały, jakby zamarły w sobie. Nagle |głośniej,, niż gwar i muzyka, wrzasnął: Co to jest?! Precz! Won! Za drzwi!

Krew zalewała mu lice, brwi jakby zjeżyły się, pięści ścisnął i podniósł — ale chłopi tańczyli kołem pokrzykując i pogwizdując.

Wielkie lustra odbijały tłok pstry i zamieszanie.

Piotr spostrzegł cofającą się w przeciwne drzwi panią Donimuntową z synem.

Niebyło się co namyślać. Chłopi byli mocno podnieceni; widać, że weszli tu przez gwałt, a przygotowani byli na wszystko.

Sala balowa opróżniła się z kobiet. Kilkudziesięciu mężczyzn zostało we drzwiach i pod ścianami. Stary hrabia niemógł wyjść z koła. Służba pokryła się gdzieś. Krąg koło osoby hrabiego od czasu do czasu zwężał się, tak, że prawie o niego zawadzano.

Piotr doznawał dojmująco przykrego wrażenia, patrząc na tego starego bogacza i na to koło hulające koło niego z prysiudami i podskokami. Nakoniec przez krąg przedarł się plenipotent Rzesiński z browningiem w ręku z kilku panami z towarzystwa; otoczyli oni i podparli hrabiego, a potem przeparli się z nim pośród tanecznikow i wywiedli go w boczne drzwi bezprzytomnego prawie ze wzburzenia.

Piotr obejrzał się. Rodzina Donimuntów stała razem pośród pozostałych osób, gdyż mnóstwo pierzchło w odleglejsze ubikacye.

— To coś strasznego, niesłychanego — mówiła pani Donimuntowa. — Napad! I co robić? Zostać i wyjść ztąd równie niebezpieczne. Bóg wie co spotkać może! Tu trzeba gdzieś szukać schronienia.

— Wszystko to niebędzie długo trwało, szanowna pani — ozwał się przesuwając się zmiędzy kawaler Bawrowicz — mam honor uspokoić, że zatelefonowano po huzarów. Za kwandrans będą.

— A więc trzeba się schronić przed jednymi i drugimi —

— Niech pani szanowna będzie spokojna, zrobi się porządek. I to przed samą kolacyą — mruknął do Węglina. — Oho! Muzycy przechodzą z sali balowej, słychać. Walą do sali jadalnej! Bądź zdrów! Co za zgiełk! — Zatknął uszy.

— Byle nie rzucili się do rabunku! — wykrzyknęła jakaś pani, zsuwając wieniec pereł z szyi za gorset. — Bez ceremonii! Przyszli na bal, tylko ich zaprosić zapomniano. O podobnem zuchwalstwie nikt wyobrażenia niemiał. Rozbój prosty!

— Cichną — ozwał się Ewaryst Donimunt nadsłuchując — poszli jeść i pić. Ryzykujmy. Zostać tu niemożna, ani nim przyjadą, huzary, ani kiedy przyjadą. Jedźmy!

— Niepodobieństwo — rzekła owa pani — ja byłam na dole. Cały dziedziniec jest zatłoczony przez chłopów. Póki wojsko nie przyjdzie, niepodobna wyjść. Oby z nich jedna noga żywa nie została! łotry zuchwałe!

Piotr widział w oczach Donimuntówny śmiałą determinacyę, poglądała tylko na niego z widoczną obawą.

— Cóż to będzie? — szepnęła pół głosem.

— Trzeba panie ztąd wyprowadzić, za wszelką cenę. Ja zobaczę.

— Trzeba — odezwał się Zbigniew Donimunt. — Chłopi zdaje się przyszli zrobić tylko manifestacyę, ale Bóg wie do czego może przyjść —

Piotr wydostał się na schody. Były one zapełnione bezradnem i przestraszonem towarzystwem balowem.

— Wielu z nas ma broń w płaszczach — mówił któryś z mężczyzn — chłopi nie zagarnęli garderób, jednak coby potem nastąpiło...

Piotr wybiegł z pod ogromnego zalanego światłem lamp sklepienia marmurowej sali wejściowej i wpadł na dziedziniec.

Roiło się tam od chłopów, którzy widocznie pociągnęli za bandą taneczników.

— Ale Hrehory sztukę pokazał! — mówił któryś. — Na bal się zaprosił! Dwudziestego czerwca pana hrabiego obchodzi!...

Stangreci przyjezdni stali niezaczepiani pozaprzegawszy, lub zaprzęgając konie. Kareta Donimuntów była gotowa. Piotr w przejeździe zauważył boczną bramę z parku. Kazał wyjechać wszelkim sposobem z dziedzińca i pod-

jechać pod nią. Przez boczne schody wyszedłszy z jedną z kuzynek hrabiego, która prosiła, aby ją z pałacu zabrano z sobą, Donimuntowie wsiedli do karety i odjechali. Donimuntówna mogła tylko jedno słowo szepnąć Piotrowi: zaklinam! nie wracaj pan tam!

Kareta zaprzężona czwórką potoczyła się z miejsca szybko. Kobiety były pod opieką dwóch ludzi służby i dwóch mężczyzn.

Piotr poczuł się wolny. W pierwszej chwili miał ochotę wrócić. Awantura ciekawiła go. Miał ochotę się w nią wmieszać. Nim nadjadą huzarzy, mogło się tam Bóg wie co stać. Pierwsze wrażenie obejmujące go z gwałtowną siłą było to poczucie swobody. Mógł się ważyć na wszystko — jego ręce i nogi były wolne, stalowe sprężyste muskuły należały tylko do niego. Niepokój o Donimuntównę nadbiegł dopiero drugi. Jednak towarzyszyć jej niemógł z braku miejsca. Jechać za nią także nie, gdyż nim by porozumiał się z Bawrowiczem i ruszył za jej karetą najętemi końmi, rasowa czwórka, gnana niewątpliwie w pośpiechu, oddali się na niedościgłą nawet dla dobrych koni odległość.

Nagle ujrzał w mroku grupę jeźdźców pędzącą galopem. Przebiegli mimo trzej oficerowie huzarów z dobytemi szablami; za nimi wysunęła się w mroku pierwsza czwórka huzarów z karabinkami w rękach.

Piotr wstrząsł się cały i zacisnął pięście. Przeczekał kawalerye i bez oglądania się na Bawrowicza ruszył piechotą na przełaj ku osadzie jak był, we fraku, z gołą głową, pozostawiając płaszcz i kapelusz w pałacu. Jakże cicho było wśród pól woniejących nadchodzącem latem, dojrzałą wiosną. W spokoju zupełnym okoliły go zboża wysokie, tu ówdzie zaciemniło się nad jego głową drzewo w polach rozsiadłe. Cóż zostawił za sobą, gwiazdami mając oświeconą drogę? Jakiś wir, mieszaninę, splot, stłok, zgiełk i niepokój, sprzeczne fale walące się jedna przeciw drugiej, kliny wbijające się jeden w drugiego, najsprzeczniejsze i zmierzwione. Oto szedł sam, w pustce — jak niegdyś... Tylko towarzyszyło mu serce kobiece, które przylgnęło do niego i zwarło się z nim tą małą złotą obrączką z ciemno zielonym kamieniem, którą miał przy sobie.

Co mogło w pałacu nastąpić, łatwo było przewidzieć. Chłopi albo się postawią i zostaną zdziesiątkowani z karabinów, albo się zlękną i zostaną zaaresztowani bezkrwawo. Ani jedno, ani drugie długo nie potrwa. Zostaną zajechani znienacka przez wyćwiczonego żołnierza.

Siadł na wzgórku i nadsłuchiwał. Jednak żaden pogłos niemącił ciszy.

Być może, że skończy się na niczem, ale nie skończy się na tem. Ci chłopi dziś ośmielili się przyjść na bal jako „współwłaściciele“, jak „las, który był“ — jutro przyjdą, aby „las był znowu“, przyjdą odebrać dawną własność, a przyjdą po swojemu...

Gorzej — oni przyjdą nietylko tu — nietylko do pałacu. —

Rozterka uczuć opanowała Piotra. Jeżeli robotnicy staną się współwłaścicielami fabryk, chłopi właścicielami tyla ziemi, ile jej sami uprawią, a uprawią ją całą sami: sposób kultury, która przyswoiła Piotra, dając mu zarobek, kobietę i nadzieję szczęścia, runie. Co nastąpi potem? Jakaś chęć obrony własnego ja, tego, co już zdobył, opanowała go. To było pewne, wiadome, realne. Etyka pojęciowa ma swoje sprawdziany i ziszczenia — marzył ją w górach Azyi... Wejść w myśl nie jest łatwo, kto nie jest istotnym, rzeczywistym, i n t e r e s o w a n y m c z ł o w i e k i e m m y ś l i — on był tylko jej wyznawcą, teoretykiem...

Ruszył powoli dalej. Szedł wolno krok za krokiem czując, jak przytłacza go ciężar. Gdyż trzeba było stanąć w szeregu i chwila niebyła daleką stanowczej rozgrywki, rozdzielenia się i uporządkowania. Dźwigał swoje towarzystwo Jędrzejowskiego i narzeczeństwo Donimuntówny. Szedł wolno z głową schyloną, nie widząc gwiazd, tylko gościniec, na który wstąpił.

C. d. n.

Z LIRYKI KOBIECEJ.

CHRISTINA G. ROSSETTI.)*

GDY UMRĘ...

Gdy umrę, mój najdroższy, nie śpiewaj nademną
Żadnych pieśni posępnych! Niech cyprys nie zaćmi
Czoła mego, pamiętaj, swą pochodnią ciemną,
Ni drzew niechcę, ni róże u mogiły sadź mi.

Niech trawa jeno będzie nademną zielona,
Od ros mokra i bujny, letni deszcz, na pola
Padający po cichu i świeży, jak ona.
Nie myśl o mnie gdy niechcesz, lub wspomnij...
Jak wola!

Za nic będzie mi wówczas deszcz i cień i trawa
I boleśnie dzwoniący słowik w kwietnej porze;
Śniąca w mroku, po którym żaden dzień nie
wstawa,
Przez sen może przypomnę — lub zapomnę...
Może....

ECHO.

Przyjdź, o przyjdź! Wśród ponocnej ciszy do mnie
przyjdź!
W tę wymowną milczeniem, wielką głuszę snów,
Lic mi swoich łagodny, miękki wdzięk dać śnić,
W ócz przeźroczu krynicznem szukać słońca znów!

W łzach wróć do mnie wspomnienie, nadziejo, o ty,
Miłowanie pomarłych, już skończonych dni,
O śnie słodki, za słodki, gorżko słodki śnie,
Co się ocknąć po tobie godziło aż tam,
Gdzie się cienie miłosne słaniają u bram,
Witające, stęsknone, zapatrzone w drzwi
Odmykane powoli dla wchodzących w raj,
W próg skrzydlaty, otwarty wszerz na strony dwie,
Głąb — zawartą na wieki dla niknących w niej...

Jednak przyjdź ty! Wróć do mnie jeszcze raz,
choć w snach —
Raz mi jeszcze, choć we śnie, życie przeżyć daj!
Niech przez grobu ciemnicę, śmierci chłód i strach,
Tętno bije z krwi tętnem, z tchem się splynie dech
Mów po cichu, jak wówczas, dawno... dawno...
Mów!
Z lat minionych, dalekich ozwij mi się ech —
I jak wtedy, najdroższy, nisko schyl się znów!

PAMIĘTAJ....

Pamiętaj o mnie, gdy w cichą krainę
Precz już odejdę, gdy niebędziesz mógł
Rąk mych zatrzymać u rozstajnych dróg,
Ni ja, odchodząc, wracać znów — aż minę...

Pamiętaj o mnie, gdy już dni za dniami
Gwarzyć nie będziem, jak bywało wprzód,
Gdyś mnie ze sobą w przyszłość razem wiódł
Dziś dość gdy serce znak pamięci da mi...

Zapóźno, zrozum, będzie wówczas pono,
By się już modlić, lub radzić... Straconą,
Choćbyś mnie nawet i zapomniał, ślę ci

Ostanie myśli ocalałej echa:
Wolę niepamięć twą, co się uśmiecha,
Niźli żałosny smutek twej pamięci!

SPOCZYNEK.

Ciężko leż jej na oczach, znużonych czuwaniem,
Ciężką pieczęć do ócz jej słodkich przyłóż, ziemio,
Niech w twem szczelnem objęciu bezpiecznie
zadrzemią,
Bacz, by miłość tu nie szła z śmiechem i wzdycha-
niem!

Ni zapyta, ni od niej odpowiedź dostaniem;
Błogosławiony, oto, brak ją dziś osłania:
Wszystkiego co jej przykrem było od zarania,
Życie przeszło i wszystko zostało poza niem.,.

W ciemności nad południe spoczywa jaśniejszej
Cisza głębsza, dźwięczniejsza niźli śpiew, ją
chłonie,
Nawet serce nie bije w uciszonem łonie...

Dłużyć jej się niebędzie czas, ni się umniejszy,
Do poranka wieczności noc jej będzie trwała
A zbudzona, niepozna jak długo drzemała...

NARODZINY.

Ptak śpiewający: serce mego łona,
Ptak, co w krzu mokrym gniazdo swe ukrywa,
Jabłoń me serce, krasą obciążona,
Koncha tęczowa, co po fali pływa!
Nad wszystko wszakże szczęśliwszem się stanie,
Bo wszystko do mnie moje miłowanie
Rozwieście opon jedwabne bisiory,
Puch miękki nieście, szkarłat i sobole,
Niech ócz tysiącem zalśni różnowzory
Piór pawich wachlarz, rozwiany w półkole...
Niech na cedrowym pował mych sosrębie
Snycerz granaty rzeźbi i gołębie,
Niech w kwiaty lilii zdobi ścian obicia,
W złociste grona, srebrzyste ziół liście
Dziś narodziny mojego życia,
Dziś miłowania mojego przyjście!

Przełożyła Maryla Wolska.

*) Siotra, młodo zmarła, angielskiego malarza i poety.



RYSUNEK A. BEARDSLEY'A.

RICARDA HUCH.

SONET.

Świadoma słów prastarych noc ciemna już nad-
chodzi,
zdejmując z rzeczy ciężki rynsztunek i obroże,
przemienia skróś postacie i szat pstrość wszyst-
ką godzi
w jednakiej szarej sukni stapiając je kolorze.

I oto gór skalistych jakby się w fal powodzi
ruszyło ku dolinom płynące cicho morze,
wypełzła ku swym brzegom otchłań i żądze
chłodzi
w gwiazd nachylonej ku niej, wspaniałej gwiazd
amforze.

Przytulam się do ciebie z twą ręką na ramieniu,
jesteśmy jak wędrowcy, co do dom przyszli
zdala;
i czuję się w mem ciele i w mojej krwi stru-
mieniu.

Tak mocno mnie twe ciało i życie twe okala.
A dusza, co z tęsknoty wypocząć siada długiej,
już osób nie odróżnia w nas jednej ode drugiej.

Przełożył Tadeusz Szantroch.

FIRLEJ-BIELAŃSKA.

*

Niech od troski zbieleje mi włos,
Cierpieć będę cicho i bez skarg,
Byle tylko, jak złocisty kłos,
Dziecku memu szczęście sypał Los...

O ten wieczny matek z Dolą targ!

*

Andersena starą bajkę znasz?
Śmierć czatuje w pustych dróg omroczy,
Czarne jamy patrzą w moją twarz;
Widzę uśmiech jej bezzębnych warg
I szept słyszę:
Dasz mi swoje oczy?



AUBREY BEARDSLEY. POWRÓT TANNHÄUSERA NA VENUSBERG.

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA.

LUNATYK.

Zowią mnie lunatykiem... księżycowa bladość
ma nademną przedziwną, tajemniczą władzę
i moc, której, posłuszny, czynić muszę zadość
i nic przeciw tej mocy nigdy nie poradzę.
Gdy na niebie się jasnem w cichą noc rozwełnia
białość lekkich obłoków, a wśród nich jak dyament
błyszczy, skrzy się tysiącem blasków srebrna pełnia
i jak lampa rozjaśnia milczącej firmament,
jakieś moce, ukryte w księżycowem złocie,
każą mnie, uśpionemu, powstać nagle z łoża....
kiedy innych śnią cicho nieruchome krocie,
mnie, bezwolnego, ciągną świetliste przestworza.
I idę... dążę... spieszę: złoty blask mnie woła!
Czemże wabi mnie jasna, księżycowa tarcza?
Czyż w niej spostrzegam czoło cichego anioła,
który, wabiąc mnie, dziwnym przymusem obarcza?

Bo wtedy się rozdwaja ma cała istota:
Jedna część jej śpi cicho i o niczem nie wie,
drugą rwie do księżyca niekojna tęsknota,
Iż bieży doń w ekstazie, gdyby w dźwięcznym śpiewie.
Nic mi Semiramidy ogrody pachnące
i drzewa rozśpiewane, złociste fontanny —
mnie ciągnie nieprzeparcie to miesięczne słońce,
ten blado rozzłocony, cichy kask Dyanny...
O, dojść tam kiedy w górę! O, przybyć do niego!
i całemu w srebrzystym zanurzyć się chłodzie!
Lecz zawsze nadaremnie myśli me doń biegą,
ku jego przesubtelnej, milczącej urodzie.
A gdy tak ma połowa rwie się w blask miesiąca,
druga jaźń ma śni w wielkiej, niezmąconej ciszy,
gdzie najlżejszy wiatr nawet kwiatu nie potrąca,
gdzie najcichszy szmer źródła w pobliżu nie dyszy...
Ale zawsze ktoś z blizkich, nielitosnych ludzi,
usłyszawszy me ciche, zdążające kroki,
ze snu się swego w trwodze zerwie i obudzi
i, budząc mnie z ekstazy, płoszy czar głęboki...
Ale może się kiedy, może wreszcie zdarzy,
że wyjdę gdzieś wysoko, cicho, bez przeszkody,
ciągniony mocą bladej księżycowej twarzy,
mocą drżącej srebrzyście, subtelnej urody.
A choć jeden ja wtedy z wyżyny upadnę,
choć ciało me o kamień ostry się roztrzaska,
drugiego mnie pochłonie wreszcie światło władne
i w raj swój mnie wprowadzi księżycowa łaska.
I będę już po wieczność miewał na usługi
me ukochane srebro, moją jasność chłodną,
księżycowych promieni migotliwe strugi:
koronę błysków cichą, lekką i łagodną...

ALINA BUTRYMOWICZÓWNA.

(Scherzo).

Wszystkie me myśli z samej duszy głębi
nad tobą skrzydeł wieńcem długim biją,
jak stado białych, pierzchliwych gołębi...
O, caro mio!...
I wszystkie młodej krwi mojej porywy
nad tobą splotem przebarwnym się wiją,
że mam nad sobą ich kobierzec żywy...
O, caro mio!...
Chcę cię opląłać ramion silnych rzutem,
twarzą pobladłą z wzruszeń, białą szyją,
spojrzeniem czarem miłości zatrutem...
O, caro mio!...
I poprzez dale, błękitne przestworza,
przez toń, gdzie ludzie, cicho marząc, żyją,
rzucam ci okrzyk silny jak szturm morza...
O, caro mio!...
Śmieję się do cię linią warg czerwonych
jak tajemniczą a czarowną czarą,
o brzegach dziwnym urokiem rzeźbionych...
O, mio caro!...
Mówię do ciebie jakąś dziwną mową,
jakąś splątaną z nitek złotych gwarą,
gdzie się jak brylant błyszczy każde słowo...
O, mio caro!...
Niechaj cię porwą te słowa! jak bogi
dawne w mirtowych niech wieńcach ożyją,
aby zaśpiewać, żeś drogi mi... drogi,
O, caro mio!...



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA.

GUSTAW MEYRINK.

SKOPOGLOBIN.

Motto: *Dulce et decorum est pro patria mori.* —

I.

Profesor Domicyan Dredrebaisel, sławny na cały świat baktryolog, uczynił naukowe odkrycie o iście zdumiewającej doniosłości — obiegała wieść z ust do ust, z gazety do gazety.

Przeistoczenie militaryzmu — i niewątpliwie można się nawet spodziewać zupełnego obalenia wszystkiego istniejącego w tej dziedzinie; — dlaczegożby inaczej minister wojny tak się spieszył z zawezwaniem do siebie sławnego uczonego? Hm? — mówiono ogólnie — Lecz gdy się okazało, że utworzyły się już na giełdzie tajne syndykaty celem wykorzystania tego odkrycia i użyczenia profesorowi Dredrebaiselowi większej kwoty dla umożliwienia mu nieodzownie potrzebnej wyprawy naukowej do Bornea, dziwowaniu się nie było końca.

„Proszę pana, co ma Borneo do czynienia z ministrem wojny“ mówił, gestykulując pan Galitzenstein, szanowany giełdziarz i krewny uczonego, gdy go interwiewowano pewnego dnia. — „Co ma do czynienia Borneo z ministrem wojny??! A gdzie leży wogóle Borneo?“

Słowo w słowo przyniosły nazajutrz gazety sympatyczne odezwanie się przewidującego finansisty i dodały jeszcze, że rzeczoznawca amerykańskiego rządu Mr. G. R. S. Slyfox M. D. i F. R. S. byli właśnie na audyencyi u profesora Dredrebaisel'a.

Naturalnie że ciekawość publiczności wzrosła gorączkowo.

Ciekawscy przekupywali pisarzy i ministerstwo wojny, by się czegoś dokładnego dowiedzieć o nowo zgłoszonych wynalazkach i wydobywali przez to często na jaw materyał, wystawiający ponownie świetne świadectwo niestrudzonemu dążeniu, by militaryzm coraz bardziej udoskonalić. Całkiem nowoczesnem wedle zdania fachowców byłoby np., proponowane sprytne urządzenie, dotyczące działania „trenu“ w czasie wojny i manewrów, umożliwiające wzrost procentu dodatnich wyników z zera do pięciokrotnej (!) potęgi. —

W całem tego słowa znaczeniu, hors concours, w tem się wszyscy zgadzali, jest genialnie obmyślany automat rady honorowej kapitana infanteryi Gustawa Bordinera, oficera sławnego daleko poza granicami kraju z powodu nadzwyczaj oryginalnego pojmowania słowa honoru. Proszę tylko pomyśleć: przyrząd zegarowy, którym już każdy porucznik bez żadnych instrukcyi i wiadomości przedwstępnych umie się obchodzić — aparat — maszynowy kodeks oficerski z opłukiwaniem wodnem, jednem dotknięciem mogący być skierowany na wszystkie strony, czyniący zbytecznem nudne i uciążliwe wyuczanie i nakazywanie pożądanego w każdym poszczególnym wypadku pojęcia o honorze a w to miejsce wprowadzający czyste maszynowe działanie.

Wiele, wiele tem podobnych rzeczy się rozgłosiło, ale o jakimś wynalazku lub odkryciu profesora Dredrebaisel'a było jakoś głucho.

Trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość, dać sprawom dojrzeć jak owocom polnym i wyczekiwać rezultatu ekspedycyi na Borneo.—

...Tak przeszły miesiące.

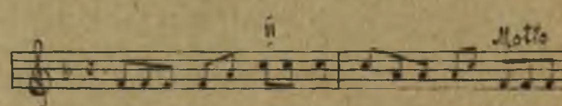
Wszystkie pogłoski o wielkim wynalazku dawno usnęły, robiąc miejsce nowym zagadnieniom, gdy w tem pewna europejska gazeta przyniosła wiadomość, że zginął okropną śmiercią profesor Dredrebaisel a z nim prawdopodobnie wszyscy jego towarzysze. Zwięzły telegram brzmiał:

13 maja. Silindong. Okręg Pakpak. Borneo. (Sprawozdanie kablowe naszego sprawozdawcy)

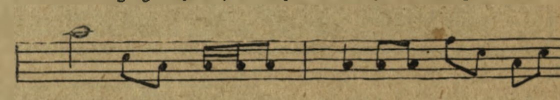
„Profesor Domicyan Dredrebaisel został wczoraj w swem mieszkaniu na kawałki rozszarpanym przez zgraję orangutanów. Wielu służących i dozorców doznało tego samego losu. Brak asystenta Dr. Slyfox'a. Biurko uczonego jest rozbite. Niezliczone podarte pisma i notatki badacza pokrywają podłogę.“

To była krótka mowa pogrzebowa, którą pochowano wspaniałą rzecz:

— — — — — — — — — —



Z ozdobionego guzikami pośladka bardzo jest dumnym Zwokel



A że nie potrzebuje myśleć, to czyni go jeszcze dumniejszym... —

List,
który trzy lata później pisał z Borneo
niejaki Dr. Ipse do swego przyjaciela.

Silindong, (Borneo) 1 kwietnia 1906.

Kochany stary przyjacielu!

Pamiętasz jeszcze, jakeśmy sobie przed dawnemi laty dali słowo w „boxie“ Maadere, iż się powiadomimy, gdy w naszej wędrówce życiowej natrafimy na zdarzenie odbiegające daleko od utartych ścieżek tłumu, mające w sobie coś nadzwyczajnego, tajemniczego, nie licujące, że tak powiem, z banalnym biegiem utartych wypadków.

Widzisz mój kochany, dziś właśnie miałem to szczęście, że mogę Ci coś podobnego do-

nieść, co Cię wypłoszy od Twoich alchemicznych szpargałów, albo od czegoś innego, co Twój umysł obecnie zaprząta.

Co Ty tam jednak będziesz odczuwał w Europie, gdy ktoś się ośmieli w dalekiem Borneo przyłożyć siekierę poznania do korzeni Twego bezgranicznego uwielbiania dla wszystkiego, co się zwie kastą wojowników?

Gdybym mógł Cię obserwować przez chwilę podczas czytania tego listu, czy też nie oddzieli się wnet w Twej duszy pojęcie dumy umundurowanej od pojęcia miłości ojczyzny w ten sposób, jak naprzykład odpada napis tragantowy z jeźdźca piernikowego, gdy długo nań deszcz pada.

Powiedz, nie zastanowiałeś się też nigdy nad tem, skąd to pochodzi że wykształceni ludzie tego samego stanu, ba nawet fryzyerzy, nazywają się „kolegami“ (po niemiecku znaczy to niby ludzie, którzy wspólnie coś czytali, studyowali), podczas gdy stan „zwoklów“ — pamiętasz jeszcze to wyśmienite, fonetycznie tak charakterystyczne przezwisko oficerów? — podczas gdy stan zwoklów przemawia do siebie per „kamrat“ (od camera komórka — spać we wspólnej komórce).

Zawsze mi w takim wypadku przychodzi na myśl udatny tytuł, jaki nadał pewnemu rozdziałowi średniowieczny uczony von Helmont „Jaka to głęboka myśl i jaka tajemnica tkwi w słowach i wyrażeniach“. Teraz jednak rzućmy się odważnie w wir zdarzeń. —

Zgadnij więc, kogom tu poznał?

Nikogo innego jak tylko Mr. G. R. S. Slyfox'a M. D. i F. R. S. byłego asystenta nieszczęśliwego prof. Domicyana Dredrebaisela — pomyśl tylko!

Tutaj w Silindong, w najgłębszych lasach dziewiczych Borne'a! Mr. Slyfox jest mianowicie jedynym żyjącym członkiem owej wyprawy. Zaraz po śmierci profesora D. D. — którego badaniami kierował sam i to od początku, gdyż po prawdzie był profesor D. D. tylko zawsze naprzód wysuwaną „słomianą“ osobą — opuścił Borneo i udał się do Europy, by przedstawić swe odkrycie albo raczej swój udoskonalony wynalazek kilku państwom, a przedewszystkiem temu, które zaraz z początku tak bardzo się nim interesowało i które my wszyscy tak nad wyraz poważamy i miłujemy.

Jaki był rezultat tego przedsięwzięcia, o tem potem — dość na tem, że obecnie przebywa Mr. Slyfox znowu w Silindongu, biedny jak mysz kościelna — i kontynuuje dalej swe studya.

Pewnie chciałbyś niecierpliwcze już wiedzieć, na czem właściwie polegał wynalazek profesora D. albo raczej Mr. Slyfox'a?

Nie prawdaż? Więc posłuchaj.

Dziesiątki lat zajmował się Mr. Slyfox statystyką szczepień i zrobił spostrzeżenie, że



RYSUNEK A. BEARDSLEY'A.

w krainach, w których szczepionkę ospy bierze się nie z ludzi, lecz z cieląt, wzrasta w zadziwiający sposób „popęd do obrony ojczyzny“ tam nawet, gdzie niema do tego najmniejszego powodu.

Od tego spostrzeżenia do jego późniejszych epokowych prób był w wynalaźczym mózgu Mr. Slyfox'a tylko jeden krok.

Z pewnością siebie Amerykanina, któremu nic nie jest świętem, zauważył, że istnieje ścisły związek między wyżej wspomnianym symptomem a upośledzonemi władzami umysłowemi cielęcia — i wywiązał się z tego cały łańcuch doświadczeń.

Już pierwsze próby z kilkoma wybranymi okazami męzkich, ale chirurgicznie udoskonalonych owiec, które my krotko nazywamy „skopami“, udały się znakomicie.

Gdy nadto uzyskana od takich skopów szczepionka — tak zwany skopoglobin simplex A — krążyła jeszcze przedtem we krwi jednego lub kilku leniwców, stawała się tak dalece skuteczną, że wstrzyknięta młodzieńczym, prostodusznym osobnikom, wywoływała u nich w najkrótszym czasie rodzaj pierwotnego patryotycznego szału.

U dziedzicznie obciążonych indywidyów wzmógł się ten stan w dwu wypadkach aż do tak zwanej progesywnej patriomanii.

Najlepszym dowodem, jakie głębokie zmiany odbywają się przy tem także i w artystycznem wewnętrznem życiu szczepionego, niech będzie, że taki szczepiony, jeden z naszych najbardziej cenionych, konnych poetów, rozpoczyna swój ostatni zbiór poezyi temi wierszami:

„Wy mieczu przy moim boku — ăh,
Co znaczy wasz wesoły blask — ăh“
i t. d. i t. d.

Ale o tem tylko mimochodem.

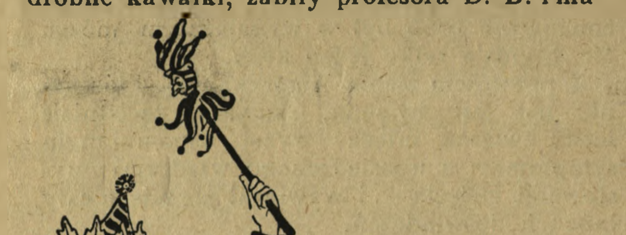
Początkowo, jak wiesz, rząd bardzo się zainteresował tym wynalazkiem, który miał wypłynąć pod flagą profesora Dredrebaisel'a, i nądto syndykat pewien pożyczył na koszta wyprawy.

W Silindongu, w najgęściejszych dziewiczych lasach Borneo, w ojczyźnie orangutanów, schwytano czemprędzej około 200 takich małp i zaszczepiono im bezzwłocznie skopoglobin simplex A.

Mr. Slyfox powiedział sobie mianowicie, że spotęgowany produkt limfy, który się daje uzyskać z leniwców, byłby za drogi dla masowego zapotrzebowania w wojsku, już też i z powodu wielkiej rzadkości tych zwierząt.

Tę nadwyżkę głupoty którą odznacza się leniwiec i która tak korzystnie wzmacnia siłę szczepionki, można zapewne, jak sądził uczony, skutecznie zastąpić przeważającą małpowatością orangutana. Niestety jednak nikt nie mógł przewidzieć, jakie fatalne następstwa pociągnie za sobą stłoczenie na małej przestrzeni tak wielu silnych zwierząt.

Ta okropna noc, w której małpy rozwaliły swoje klatki i wszystko na okół połamały na drobne kawałki, zabiły profesora D. D. i malajskich dozorców, przyprawiłaby o włos o utratę życia i Mr. Slyfoxa, który cudem tylko uszedł śmierci.



RYSUNEK A. BEARDSLEY'A

Po dokonanem dziele zniszczenia orangutany odbyły całodzienną naradę, której powód i cel były początkowo całkiem zagadkowe, później jednak rzuciła ona przenikliwe światło na działanie skopoglobinu i na wszystko, co z tem zostaje w łączności.

Z bezpiecznego schronienia mógł amerykanin obserwować, jak po nieskończonem kłapaniu wybrały ze swego grona dowódcę, mianowicie egzemplarz, który zadziwiał już podczas swej niewoli swoim zupełnym idyotyzmem — i przylepiły mu bezzwłocznie na pośladku złoty papier(!), znaleziony w jednej z rozbitych skrzyń.

To, co się później bezpośrednio odbywało, mogło również obudzić najwyższe zdumienie.

Orangutany zbiły się mianowicie w oddziały, wzięły na ramię gałęzie, rózgi, lub co który z nich mógł na prędce pochwycić, i pomaszerowały w zwartych szeregach, w stojącej postawie po ścieżkach odwiecznego lasu, a ich przywódca z poważną miną, kroczył parę kroków przed niemi.

Od czasu do czasu oblepiony złotem zaskrzeczał przeraźliwie:

Gwăăh — Gwegg — Gwăăh — Gwegg —

a wówczas wszyscy wpadali jakby w ponurą ekstazę.

Wyraz ich oblicza stawał się dziwnie bydlęcy, zwracali twarz nagłym obrotem na lewo i jak szaleńcy, chodząc stukali piętami o ziemię.

Musiał to być niezapomniany widok. „Chwilami, są to słowa Mr. Slyfoxa, miałem wrażenie, że nie znajduję się w dziewiczym lesie, tylko całkiem, całkiem gdzie indziej. W jakiejś europejskiej stolicy.

A gdy później byłem świadkiem, jak gromada małp przetrzymała opornego osobnika i na zdobytem pudełku od kapelusza tak długo przeraźliwe hałasy wykonywała, aż i ten oporny został ogarnięty „pierwotną patryotyczną ekstazą“ — wówczas pochłonęła mię formalnie fala nowych myśli.

Powiedziałem sobie, iż te małpy nie miały nigdy żadnego wzoru a przecież wpadły na pomysł ozdobienia pośladka w złoto celem obudzenia w ten sposób wrażeń wojowniczości, stworzenia urządzeń, które oglądane w świetle prawdziwego poznania, pochodzą bezsprzecznie od wpływu skopoglobinowatych materyi otaczających mózg jak gdyby mgłą, bez względu na to, czy zostały zaszczepione, czy też wskutek dziedzicznej głupoty rozwijały się korzystnie w ciele jako trucizny wrodzone....

Nie mam zamiaru roztaczać dalej przed

Tobą, mój stary, miły przyjacielu, toku myśli Mr. Slyvox'a. Już dla tego, aby Cię nie pozbawić wyrafinowanej rozkoszy przemyślenia samemu wszystkiego do końca.

Gdyby mi teraz zachciało się twierdzić, że zarozumiałość „zwokli“ nie ma nic wspólnego z prawdziwą miłością ojczyzny a w znacznej części wypływa z niejasnego życzenia, by na „usposobienie dziewek“ obu płci wywrzeć „wrażenie“, naśladować rodzaj komicznego tokowania głuszczów — powiedz czy nie przyznałbyś mi słuszności?

Czy byłoby to rzeczywiście możliwe, aby dwaj tak starzy przyjaciele, tak serdecznie ze sobą zmurszali, przez chwilę tylko mogli być odmiennego zdania — wobec tak fundamentalnej prawdy?

A w innym wypadku, czy nie wystarczyłoby uzmysłowić sobie stopień wykształcenia stanu „zwoklów“ — naturalnie, że mam jak zawsze, tak i teraz, specyalny kraj na myśli.

Ale precz z takiemi rozpamiętywaniami.

Chciałem Ci tylko jeszcze donieść, jak się zachowywały różne państwa, którym Dr. Slyfox ofiarował skopoglobin. — Jedno odmówiło wręcz i chciało naprzód obserwować, jak będzie skutkował w innym kraju. —

Drugie państwo wypowiedziało się w tym sensie — ma się rozumieć nieoficyalnie i przez pośrednika — że przeważająca część jego mieszkańców, dzięki wrodzonej miłości do swoich książąt i trwałemu, głębokiemu wrażeniu wcześnie na pamięć uczonych cytatów, patryotycznych pieśni, jakoteż dzięki sprytnie obmyślanym zabawkom dziecinnym, znajduje się tak czyowak na pożądanym poziomie umysłowym. Proponowane szczepienie, które nadto z powodu pożałowania godnego zgonu prof. Dredrebaisel'a, pozbawione jest gwarancyi, wydaje się zresztą przedwczesnem, pomijając okoliczności, że wedle zdania fachowców nie jest udowodnionem, czy skopoglobin tak jak i inne toksyny, nie utworzy po pewnym czasie we krwi tak zwanych materji ochronnych, przez co wręcz przeciwny skutek się osiągnie. — Zresztą śledzi się z wielkiem zainteresowaniem badania Mr. Slyfox'a teraz jak i dawniej — i zwrócimy się w razie i t. d. i t. d,

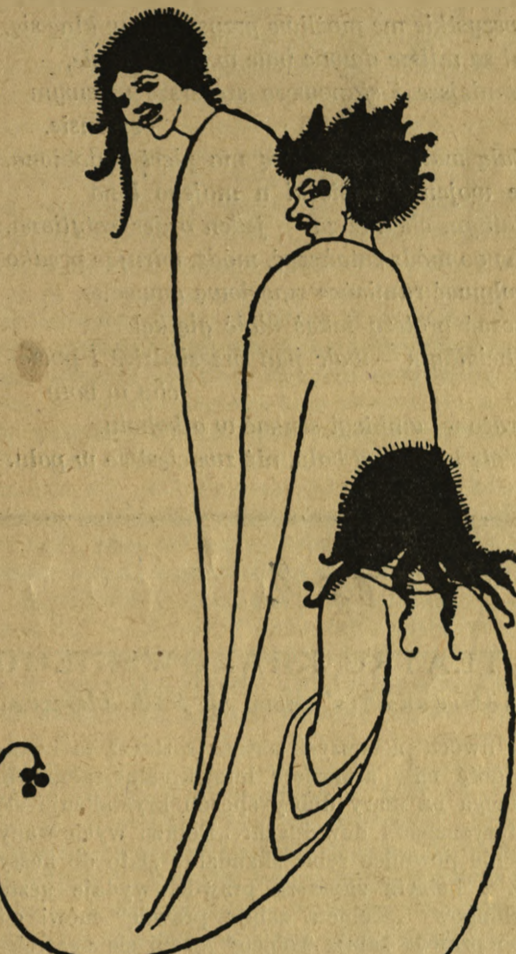
Tak więc Mr. Slyfox osiadł na mieliźnie ze swem przedsięwzięciem i musi chcąc nie chcąc kontynuować swe próby szczepienia na różnych zwierzętach.

Pomagam mu w tem.

Gdy oczekiwane wielkie, korzystne wyniki nie okażą się, jesteśmy zdecydowani pojmać jakiegoś nosorożca i szczepić go.

To już musiałoby chyba — jak zaręczał słowem Dr. Slyfox — przekonać każdego sceptyka.

Abyś Ty, jednak drogi przyjacielu, nie niepokoił się o moje życie, muszę Ci jeszcze powiedzieć, że nie grozi nam już żadne niebezpieczeństwo ze strony małp. Przyozdobiliśmy również nasz pośladek błyskotkami — a gdy tylko przy zbliżeniu się zwierząt przytłumiamy silnie każdy objaw inteligencyi, wówczas poczytywani jesteśmy za dygnitarzy, jesteśmy wielce szanowani i zupełnie bezpieczni. Powiesz może, że to dowodzi braku charakteru z mej strony? Ależ proszę Ciebie,



RYSUNEK A. BEARDSLEY'A.

czego się nie robi, jeżeli jest się zmuszonym żyć pomiędzy orangutami.

Teraz atoli muszę prędko kończyć, gdyż słyszę już blisko dziarskie

Gwääh — Gwegg — Gwääh — Gwegg

ojczystych małp.

W pośpiechu pozdrawia Cię zatem najserdeczniej Twój stary

Egon Ipse.

Przeł. B. Baumgartenowa.

SZAN. AUT.

Z KARTEK POCZTY POLOWEJ.

I.

Palba nam takt poddaje piekielnym łoskotem,
zaś atak z kontratakiem i pochód z odwrotem
wiążą się, jakby figur kadrylowych splotem.
Przymuszony to taniec zdziczałej gawiedzi,
toalety łachmanie, rozmów ton niedźwiedzi,
w próżni, zwanej bufetem, głód samiutko
siedzi.
Na wszystkie me możliwe przyszłe rany klnę się,
że mi są milsze dawne bale w pustomięsie,
skromniejsze i stanowczo szczersze w swym
bezsensie.
Całą waleczność, którą ma pierś ozdobiona,
te wojenne wisiorki u mojego łona
dałbym chętnie za — jeden order kotyliona.
Gdyby go módz zatańczyć, módz, wirując prędko
wywoływać rumieńce zmysłową gawędką
i otaczać protezą jakąś kibić giętką!
Chciałbym — walc pań przesiedzieć i pocie-
chy w bolu
urażonej ambicyi szukać w alkoholu.
Wolę klęskę na balu, niż zwycięstwo w polu.

II.

Dawne pełne fantazyi podjazdowe ciągi
być może, źródłem szczerych natchnień były ongi.
dzisiaj wiersze wojenne mam za dziwolągi.
Wszak już minęły czasy zawadyackich szarży,
ulan na swój spieszony los się gorżko skarży,
mydło z padliny końskiej przecież mu nie zarży.
Znikł romantyzm obozów, poezya biwaku.
bojąc się dział lub wrogich lotników ataku,
dziś się żołnierz ze świeczką dobrze kryje w krzaku,
Dziewczę, gdy kogo puści w niedziewicze łoże
nazajutrz brak pieniędzy odkrywa w komorze,
zaś wojak — do szpitala wędruje nieboże.
W tej formie przeżywają rycerze współcześni
sielankę kwater tyle opiewaną w pieśni,
lecz mnie się wawrzyn barda takich przeżyć nie
śni!
Wojny, co jest cuchnącej prozy synoninem,
brudnej „kurzem krwi bratniej i pożarów dy-
mem“,
takiej wojny nie myślę reklamować rymem.

Z G L Ą D

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO

„Niebieski lis“ kom. w 3 akt. *Herczega.*

W dwóch pierwszych aktach roztacza ta komedya dość miłą atmosferę intelektualno-salonową. Sytuacya na stary dobry sposób krystalizuje się w aforyzmach i dowcipach: „Dobrze wychowany trup nie powinien robić skandalu“ „Kto do uczty wraz z kobietą zaprasza prawdę, wydaje ucztę Nibelungów“ „Kobieta zabija prawdę“ mówi on „Albo prawda zabija kobietę“ broni się ona, sięgając o dwa metry głębiej. Ta sztuka bowiem już piła u źródła nietzscheańskiego tę prawdę, że prawda nie jest najwyższem dobrem, że nawet kłamstwo czasem bywa potrzebniejsze. — Ma się wrażenie takie, jak na „Koncercie“ Bahra: że ci ludzie inteligentni dadzą sobie rady z zawikłaniem, w które popadli. Ale w trzecim akcie profesor, który z początku zdawał się pod naiwnością profesorską ukrywać franta, potężnie głupieje, natomiast konflikt między zazdrosnym przyjacielem domu a Iloną urasta do rozmiarów ibsenowskich i pokazuje się, że autorowi bardzo na seryo chodziło o przeprowadzenie tezy, że mężczyzna zakochany, mający wentyl fizyczny w metresce, może kochać się platonicznie w damie z dobrego towarzystwa przez 6 lat, dręczyć ją i górować nad nią mocą swego zaspokojenia, ale nie bezkarnie, bo w końcu i ona znajdzie sobie wentyl w byle lotniku. To wszystko prawda, godne illustracyi scenicznej, ale w takim razie lepiej było napisać tę sztukę inaczej, nie retrospektywnie à la Ibsen, lecz w teraźniejszości, pokazać Tibosa raz w towarzystwie metreski, drugi raz u Ilony, i t. d.— niestety p. Herczeg nie może słyszeć moich mądrych uwag, dlatego urywam.

Tem bardziej że przecież Węgrzy są podobno na nas bardzo łaskawi, hr. Tisza traktuje nas nawet jakimś „subdualizmem“, na cóż więc drażnić panów Węgrów, i może przez to — broń Boże! — narażać przyszłość państwa polskiego! Wszak jedno z tutejszych przeostrożnych pism z tem uzasadnieniem skonfiskowało swemu współpracownikowi artykuł zwrócony przeciw hr. Tiszy. Więc sza!

Karol Irzykowski.

Z WSPÓŁCZESNEJ MUZYKI.

I. OGÓLNE KRYTERYA.

2)

Być może, iż przyczyna tego stanu rzeczy leży w małej a przynajmniej względnej trwałości muzyki scenicznej, która nawet (czy zwłaszcza) w dramacie muzycznym jest sztuką kompromisową. Dzieła niesceniczne bardzo wielu kompozytorów 18. w. okazały się trwalszemi niż ich opery, które były rzekomo ich głównemi dziełami. Z kilku tysięcy oper pisanych w każdym wieku od r. 1600 pozostało nie więcej jak 50. Dzieła instrumentalne dawniejsze święcą swój renesans, operom (i pieśniom) nie pomagają i monumentalne wydawnictwa. Wystąpienie Glucka w 18. w. na polu reformy operowej nie nazwie nikt zjawiskiem świetniejszem niż wydoskonalenie symfonii lub stworzenie kwartetu smyczkowego przez Haydna. Najwięksi twórcy albo wcale nie pisali oper (Bach, Chopin, Brahms, Bruckner, Grieg, Reger, Skrjabin, Sibelius), albo ograniczyli się do jednej (Beethoven, Mendelsohn, Schumann, H. Wolf, Mahler, Debussy), albo poprzestali na próbach bez znaczenia (Händel, Haydn, Schubert, Liszt, C. Franck). Nawet ci, którzy napisali szereg muzycznie wartościowych oper, są większymi twórcami jako instrumentaliści (Mozart, Berlioz, Czajkowski, Dworak, Rimsky-Korssakow i t. d.). A gdy dramaty muzyczne Wagnera będą należały kiedyś do objektów muzealnych (muzyka jest wogóle sztuką najmniej trwałą), to symfoniczne ich fragmenty jeszcze żyć będą — poza sceną. Jak dziś czasem słyszy się w sali koncertowej uwertury i arye już nie wystawianych oper, tak i w przyszłości brzmieć będą fragmenty dzieł Wagnera, nawet wokalne, ale uwolnione od balastu — słowa. Instrumentalizm dzieł Wagnera i wagneryanów jest zupełnie widoczny. Już dziś niektóre ustępy z czterech pierwszych oper Wagnera interesują tylko w dobrem wykonaniu, ale wyjątki symfoniczne posiadają jeszcze zupełnie świeży koloryt. — Być może, iż owocem uświadomienia sobie fermentu rozkładowego w współczesnej operze i dramacie muzycznym jest charakterystyczny zwrot ku poważnemu baletowi, jaki widzimy u kilku wybitnych muzyków francuskich i rosyjskich (Debussy, Ravel, Florent Schmitt, Strawiński et cons). Także Strauss zdradził już podobne myśli w swej „Józefowej legendzie". W wielu ustępach dramatów muzycznych Wagnera błogosławimy milczenie słowa; tam muzyka staje się wymowniejszą, pełną czaru i przekonywującej mocy — jest w zgodzie z tem, co dzieje się na scenie, głównie z punktu widzenia malarskiego. Ten illustracyjno-baletowy rys symfonicznych fragmentów wagnerowskich dał może podnietę do reformy baletu, jaką pragnął, lecz (w braku silniejszego twórczego talentu) nie zdołał przeprowadzić wielki wagnerowski dyrygent Feliks Mottl („Pan im Busch"). Wreszcie należy pogodzić się z myślą, że mimo reformy operowej Wagnera powstają opery pisane według dawnego szablonu; tylko środki ich są nowsze (Puccini, d'Albert, Wolf-Ferrari i t. d.) Opera jest tak bardzo podatnem polem dla kompromisu między kompozytorem a przeciętną publicznością, mieści w sobie tyle zasadzek, w które kompozytor z całą przyjemnością wpada, że zapewne w przyszłości nastąpi ponowna — reforma, zupełnie nie różniąca się od reform Glucka lub Wagnera. Historya opery jest historyą oddalenia się od każdorazowej jej reformy. Claude Debussy pragnął być w swym „Polleasie i Melisandze" innym niż Wagner. Wyeliminował motywy przewodnie. Bez Wagnera jednakże nie da się dramat Debussy'ego nawet pomyśleć. Miejsce p r z e w o d n i c h m o t y w ó w zajęły u niego p r z e w o d n i e h a r m o n i e i p r z e w o d n i a — i n s t r u m e n t a c y a, nawet rytmika. Że zaś frazy i motywy Debussy'ego są podobne do siebie, więc —... Muzycznie bogatszym okazał się Paul Dukas w „Ariane et Barbe-Bleu"; u niego nie brak motywów przewodnich. Technika wagnerowska panuje dotąd w Niemczech. „Salome" i „Elektra" Straussa są najdoskonalszymi typami powagnerowskiego dramatu muzycznego wogóle. — Zupełna negacya form ścisłych (fuga, rondo, waryacye i t. p.) jest jedną z charakterystycznych cech „neoromantyzmu". Nie przeczy tej zasadzie ani „Till Eulenspiegel" Straussa, będący rondem już bardzo rozluźnionem, ani jego „Don Quixote", nazwany waryacyami, lecz będący tylko parafrazowaną improwizacyą motywów zawartych w introdukcyi i „tematach", ani też fugi w „Zaratustrze" i „Symfonii domowej", użyte programowo i wypełnione głosami dodatkowymi tak, że w ich umyślnym chaosie („walka przeciw oficyalnej wiedzy" i... „piekło domowe") ginie to, co stanowi (istotę fugi i jej wdzięk w przejrzystem przeprowadzaniu tematów. Jestto zupełnie podobne zwalczanie akademizmu w drodze karykatury i doprowadzania „ad absurdum", jak w „Śpiewakach norymberskich" Wagnera. To wszystko jednak nie dowodzi jeszcze zbędności form ścisłych i wyższości form „wyzwolonych", swobodnych nie tyle może w swym ogólnym zarysie, ile w wewnętrznym charakterze, w budowie i wiązaniach motywów. Temat dłuższy, rozwinięty, jest u „neoromantyków" wielką rzadkością; jego miejsce zajmują krótkie, charakterystyczne motywy, nieraz tak bardzo krótkie, jakby stworzyła je obawa przed zbudowaną mniej lub więcej symetrycznie frazą, która mogłaby wydać się — akademicką. Ilekroć jednak dopisze czysta inwencya, wtedy — już nie ma obawy przed akademizmem. Widzimy to u Straussa nawet w słabszej co do inwencyi „symfonii alpejskiej"; ale Strauss chętnie wprowadza szerokie kantyleny, gdyż posiada istotnie inwencyę. Temat sam nie posiada większego znaczenia, a raczej zyskuje znaczenie tylko przez

to, że ulega później ewolucyom motywicznym, powstałym przez rozbicie tematu. Ta krótkooddechowość tematów i motywów ma swe źródło w trzech czynnikach. Jednym jest silnie eksponowane znaczenie kolorystyki instrumentalnej jako środka wyrazu. Drugiem źródłem krótkości tematów jest przeszczepiona z dramatu muzycznego do muzyki symfonicznej „nieskończona melodya". Trzeciem zaś źródłem jest drobiazgowe mustrowanie nieraz nawet najdrobniejszych szczegółów poetyckiego programu, co może najbardziej wymaga nowych charakterystycznych motywów o odrębnej rytmice, odrębnem zabarwieniu i odrębnych harmoniach.

Jeśli współczesna muzyka poczyniła wogóle fenomenalne zdobycze w zakresie środków, to w pierwszym rzędzie na polu instrumentacyi i harmonii. Nie stworzyła nowych organizacyi architektonicznych, ale pogłębiła wewnętrzną konstrukcyę. Od Berlioza snuje się to pasmo zdobyczy w zakresie kolorystyki orkiestrowej. Wagner jest drugim etapem, trzecim Strauss i Debussy, pośredniemi zaś ogniwami Liszt, Bruckner, Mahler, Rimsky-Korsakow, Skrjabin. Porównywanie barw orkiestry z barwami malarskiemi jest zupełnie bezprzedmiotowe. Która bowiem barwa instruentalna odpowiada niebieskiej, czarnej, czerwonej i t. d.? Takie porównywania są za włosy ciągnięte, są okłamywaniem się na punkcie urojonej sui generis „audition colorée". Malarstwo jako sztuka przestrzeni nie może posługiwać się środkami muzyki, jako sztuki czasu. Mówmy zatem o charakterze tonów pewnego instrumentu, o zbiorowym charakterze orkiestry, zmieniającym się w przebiegu akcyi utworu, lecz nie o jakimś stałym kolorycie, który może mieć tylko obraz illustrujący moment*). Nie starajmy się mówić o instrumentacyi powstającej przez mięszanie barw lub przez „kładzenie ich obok siebie", co ma przypominać malowanie barwami czystemi (nie mięszanemi), gdyż współbrzmienie instrumentów według zasad logiki instrumentacyjnej jest tylko — mięszaniem barw czyli charakterów instrumentów, które zależnie od akcyi (formy) utworu, w ostateczności od „programu", zmienia się dzięki nieskończonym możliwościom kombinowania barw. Nieskończoną ilość „stylów" w instrumentacyi dzisiejszej możnaby stwierdzić; ale w zasadzie istnieją tylko dwa dążenia: 1) powiększanie ilości gatunków instrumentów i wzmacnianie obsady orkiestry w drodze tzw. „orkiestrowej polifonii", polegającej na podziale każdej grupy instrumentów na liczne samodzielne głosy — jak to widzimy u Straussa, dążącego do wielkiej dźwiękowej objętości, wielkiego blasku jako jednolitego tonu, jednolitej symfonicznej patyny, w której jednak dość miejsca na czysto „kolorystyczne" efekty, 2) posługiwania się niewielką stosunkowo orkiestrą (celem większej przejrzystości brzmienia) lecz z zastosowaniem jak największej indywidualności „barw" instrumentalnych wśród częstego unikania silniejszych, aby nie powiedzieć jaskrawych instrumentów metalowych (puzony, trąbki) prócz „ciemniejszych w barwie" waltorni, celem uniknięcia czynników, któreby naruszyły jednolity, pastelowy ton całości — jak to widzimy u Debussy'ego. — Jeśli dawniejsza orkiestra służyła do większego uplastycznienia myśli wyrażonych za pomocą tematyki, a po części harmonii, to dzisiejsza wzięła na siebie większą część zadania, stała się wraz z harmoniką właściwym środkiem wyrazu. Stąd temat jest tylko przygotowawczym materyałem dla ważniejszego od niego przeprowadzenia motywicznego, a mówiąc w przenośni: dla dramatycznego przebiegu kompozycyi, w czem instrumentacyjna plastyka pierwsze zajmuje miejsce.

W miarę stopniowania dwóch najważniejszych środków harmonicznych, tj. chromatyki i enharmoniki zaczęła ukazywać się dążność do usuwania znaczenia dwugatunkowej tonalności: dur i moll. Nadmiar chromatyki używanej szczególnie w celach modulacyjnych sprawił, że poczucie tonacyi niknęło: był to objaw charakterystyczny, mający swe źródło w tem, że tonacye mollowe i durowe jako system już nie zadawalniały muzyka nowożytnego. Przywrócenie tonacyi kościelnych i zrównanie ich znaczenia z systemem dwugatunkowym mogło tylko chwilowo wzbogacić środki harmonijne; były to w gruncie rzeczy tylko środki akcessoryczne, stosowane jako szczegóły, nie jako system. W dalszej fazie ewolucyjnej pojawili się kompozytorowie, częściowo zarzucający wszelką tonalność (głównie Reger i Schönberg), poniekąd i Strauss, częściowo stwarzający własne systemy tonalne (Skrjabin i Debussy). Z tych otatnich zwłaszcza system całotonowy zdołał przeforsować Debussy *). System ten stosowany z uporczywą konsekwencyą (n. p. przez Cyryla Scotta) stworzyłby nie mniejszą duszność harmonijną, niż ta, jakiej doznawał muzyk współczesny w obrębie systemu moll-dur. Używany akcessorycznie (Strauss w „Salome", Reger w „Suicie romantycznej", d'Indy w symfonii B-dur, Ravel w „Rhaspodie espagnole" i t. d.) wydał bardzo pożądane rezultaty. Ostatnie dzieła Debussy'ego nie są już tak uporczywe w budowaniu melodyki i harmoniki wyłącznie na postępach całotonowych (por. jego 12 etuid z r. 1915 i szereg poprzednio wydanych „Préludes" w 2 tomach). Wobec ścisłego związku melodyki z harmoniką staje nam się obecnie jasnem, dlaczego budowa tematu w muzyce współczesnej jest zupełnie luźną w porównaniu z wieloma tematami Wagnera, a nawet

*) Por. utwór Debussy'ego „Jardin sous la plui" i „Ogród w deszczu" Moneta.

*) c, d, e, fis, ais, his-c.

Straussa. Ponadto użycie częste współbrzmień i prowadzenie głosów w sposób nie używany dawniej, a nawet wprost wykluczony jako „nieartystyczny“ lub „dyletancki“ i „błędny“, wzbogaciło harmoniczne środki wyrazu. Szereg kwint i kwart równoległych, szereg równoległych sekund, septym i non, a więc szereg równolegle prowadzonych konsonansów doskonałych i dyssonansów, oraz zwiększonych i zmniejszonych akordów, omijanie trójdźwięku normalnego (np. c-e-g i a-c'-e'), pojawiającego się rzadko, albo bez tercyi (jak u prymitywów harmonii w wiekach średnich), przyzywanie na pomoc i ćwierćtonów, rozróżnianych wyraźnie przez ludy egzotyczne, a z trudem przez ucho Europejczyka — to niemniej charakterystyczne dążenia współczesnej muzyki, tak bardzo zapobiegliwej w wzbogaceniu środków wyrazu, mających być na usługi treści — nie zawsze bezwzględnie oryginalnej, ale często bezwzględnie śmiałej. Często nie zdajemy sobie na razie sprawy, czy pewne oryginalne harmonie są oryginalnemi przez swą śmiałość czy śmiałemi przez swą oryginalność. Dążenie to jest obecnie tak szybkie, iż wrażliwość stępia się zbyt wcześnie; powstaje zaś refleksya jedna: jaką jest lub będzie trwałość systemu Debussy'ego (zresztą bardzo logicznego) w porównaniu z systemem dur-moll, który dopiero po 300 latach istnienia okazał się „nie wystarczającym“? Przytem bogactwo harmonicznych możliwości w obrębie „dur-moll“ jest nieskończone i dotąd nie wyczerpane — jak dowodzą dzieła Regera. Ma się wrażenie, iż żyjemy w epoce ustawicznego eksperymentowania, któremu zresztą nie można odmówić konieczności istnienia. Tworzy się — kompost dla nadchodzących gieniuszów. To eksperymentowanie może trwać jeszcze długi czas, którego analogią historyczną będzie wiek XVI.

O r g a n i c z n o ś ć b u d o w y, polegająca na sztuce rozwijania tematu celem osiągnięcia większego kompleksu myśli nie połączonych z sobą luźnie, jest dotąd ogólnie obowiązującą zasadą, wymagającą wielkiej dystynkcyi w technicznem opanowaniu materyału. Organiczna jest budowa nietylko w formach ścisłych, jakiemi są np. symfonie Brahmsa, ale i swobodnych, np. we wstępie do „Tristena i Isoldy“ Wagnera. Organicznie zbudowane jest każde dzieło Straussa i Regera, „Stanisław i Anna Oświecimowie“ Karłowicza i druga symfonia Szymanowskiego, druga symfonia d'Indy'ego, „L'apparenti sorcier“ Dukasa i t. d. Wielkie formy symfoniczne nie mogą być nieorganicznie zbudowane. Widzimy to nawet u Skrjabina i Schönberga. W małych formach, choćby przeniesionych na zespół symfoniczny jest widoczna zasada o wiele luźniejszej budowy, a najtypowszym przedstawicielem tego kierunku jest Debussy i Skrjabin. Spotykamy się z tym „impresyonizmem“, skłonnym do zacierania konturów melosu, w niektórych ustępach symfonii Berlioza i w kompozycyach Liszta, co również złożyć należy na karb programowości, jawnej lub zamaskowanej. Ten „amorfizm“ Debussy'ego jest jednak pozornym; kolejne bowiem następstwo motywów i sztuka ich wiązania odznaczają się mimo stale anormalnej budowy fraz wielką finezyą logiczną i przejrzystością architektoniczną, czego dowodem jest doprowadzona do mistrzowstwa sztuka utrzymania jednolitości nastroju. Jeśli w współczesnej muzyce w zakresie architektoniki jest coś niezmiernie interesującego i godnego wyczerpujących studyów, to właśnie psychologiczna strona związku przyczynowego między tymi pozornie luźnemi, a jednak kunsztownie powiązanymi motywami. Są to pnącze motywiczne, wobec których akademizm często staje bezradny. Nie mamy do czynienia z melodyami działającemi u akademików nieraz tylko retorycznie, ale z płynnym i mieniącym się wśród tysiącznych zmian rytmicznych i kolorystycznych melosem, przypominającym „nieskończoną melodyę“ Wagnera, ale bardziej mozaikowym, bardziej giętkim, bardziej „nerwowym“, bogatszym w odcienia jednego i tego samego nastroju. Jest nieraz tak trudnym do określenia, jak stan podświadomy.

Jednakże nie oznacza on wyparcia form ścisłych, o ile w nich mieści się pozytywna treść i indywidualny styl.

Kiedy już dość się napoetyzowano symfonicznie i kiedy zaczęto oglądać się za jakiemś wyjściem z błędnego koła „programowości“ próbując dyplomatycznie zbliżyć się z powrotem do symfonii cyklicznej, formy sonatowej i mniej „poetyczno-malarskiej“, a więcej muzycznej konstrukcyi, zaczęły ukazywać się pierwsze symptomy renesansu muzycznego. Renesansu — tj. tego prądu, który miał na celu pobudzenie do życia dzieł z epoki Bacha i z przed jego czasów, zapomnianych, lecz nie przestarzałych; zarzuconych z powodu zewnętrznych, lecz jeszcze nie przeżytych wewnętrznie. Dzieła Bacha, w szczególności orkiestrowe, organowe, kameralne i kantaty zaczęły stawać się coraz częstszymi gośćmi w salach koncertowych. Nie był to bynajmniej prąd wywołany przez koła naukowe, otaczające przeszłość kultem i opieką oficyalną, ale w każdym razie te sfery dopomogły w tej pracy. (między innymi Hugo Riemann, nauczyciel Regera). Jest ironią może twierdzić, że mogło to nastąpić wtedy, gdy stosunkowo bardzo polifoniczne dzieła Wagnera stały się własnością ogółu europejskiego. Sam Brahms nie byłby w stanie działać w tym kierunku podniecająco; bądź cobądź jego sztuka dotąd nie jest tak popularna jak sztuka Wagnera (— lecz nią będzie! —). Polifonia Wagnera utorowała drogę polifonii Bacha, jego poprzedników i współczesnych mu kontrapunkcistów. Ten renesansowy „kierunek“ zaczął oddziaływać na kompozycyę współczesną. Nie zdziwiło nikogo, gdy Strauss

napisał 20-głosowy motet. Ale bądź cobądź w tej formie, która w 16. i 17. w. osiągnęła swój szczyt, było dość miejsca na nieokreśloność formy, która nigdy ścisłą nie była. Także 8- i wielogłosowe dzieła chóralne niemieckich kompozytorów, jak Mahler i Hausegger, niekoniecznie musiały być wypływem studyów nad Bachem; owszem partycye Berlioza (zwłaszcza Berlioza!), w których koloryt wokalny jest równie zdumiewający jak i instrumentalny, mogły dać i dały rzeczywiście największą podnietę. Gdy jednak zaczęły ukazywać się olbrzymie, zdumiewające swą polifonią, organowe kompozycye Maxa Regera, przebogate treścią, pełne poezyi a jednak zupełnie muzyczne, nieprogramowe waryacye, sonaty, fugi, suity, passacaglia, wszczął się wir, o jakim może mieć pojęcie tylko ten, kto w latach 1904—10 przebywał w Niemczech. Wtedy jeszcze „neoromantyzm“ był silnym, jeszcze nie przezwyciężonym wewnętrznie. Posługiwanie się formami „staroświeckiemi“ nazwano reakcyą, ale radykalnie zwalczany Reger był widocznie gościem nie w porę, gdyż pomięszał cokolwiek szyki. Zrazu przypuszczano, że „prąd“ ten jest wywołany sztucznie, a więc z góry skazany na śmierć. Z drugiej strony jednak tyle nowych wartości przedstawiały dzieła Regera, że twórczość jego stała się „sfinksem“. W kilka lat później Reger „przełamał front“ programistów i „poetycznych symfonistów“, zaczęto rozumieć jego styl i jego tendencyę uwolnienia muzyki od niemuzycznych pierwiastków. Dziś przedstawia się jego sztuka jako objaw twórczej woli, która nigdy nie chciała być „sfinksem“. Reger udowodnił zresztą, że umie być i „programowym“ i niezwykle wyrafinowanym kolorystą orkiestrowym, ale utwory swe konstruuje według praw muzycznych, nie zaś malarskich i nie literackich. Tylko te fugi, do których nie miał przekonania i Weber i Wagner (muzycy dramatyczni)... Te fugi, które tak umiłowali przedstawiciele akademizmu muzycznego...

Niechętnie posługuję się porównaniami muzyki z jakąkolwiek sztuką, gdyż są one tylko figurami retorycznemi. Ale porównanie, jakiego tu użyję, posiada inne założenie. Chodzi o sprawdzenie, czy w poezyi i malarstwie istnieje możność czerpania podniet twórczych z epok minionych, bez utraty osobistej fizyognomii artystycznej. Przypominam sobie z wystawy sztuki szwajcarskiej w Monachium wnętrze malowane przez Ferdynanda Hodlera manierą prymitywów włosko-francuskich; czytamy obecnie „Opowieść rybałta“ Wacława Berenta, pisaną stylem może nie średniowiecza, ale w każdym razie wieku 16.; tkwią mi w pamięci poetyczne prozy Przybyszewskiego, których język bogaty każe wspominać hebrejskie psalmy i „Cantica canticerum“; Balzac, jeden z twórców dzisiejszego języka francuskiego, pisze swe „Contes drolatiques“ starofrancuskim językiem; na rzeźbach współczesnych wielkich mistrzów belgijskich widać wpływ antyku i gotyku. Dość, że przykładów podobnych możnaby wyliczyć niesłychaną mnogość, wszystkie zaś dowodzą, że wspomniani i inni prawdziwie wielcy artyści nic nie stracili ze swej artystycznej fizyognomii mimo, że poddali się „czarowi rzeczy dawnych“. Wolno zatem wysnuć podobne wnioski i o twórcach muzycznych, a mimowoli przypomni się „palestrinizm“ Bacha w jego wiekuistej mszy h-moll, „bachizm“ Beethovena w jego ostatnich dziełach, antyczne zabarwienie w niektórych wokalnych dziełach Brahmsa i Cezara Francka, rodzaj prymitywizmu średniowiecznego u Debussy'ego, bachizm Regera w całej prawie jego twórczości.

Że wreszcie można posiadać zdolność ujęcia w jednolity styl wszelkich zdobyczy wieków minionych i współczesności i rzucić nowe myśli w przyszłość, dowodzi nietylko twórczość Bacha — ale i Regera, zwycięzcy wszelkiej „pryncypialności“ i kabotyństwa.

Adolf Chybiński.



KRAKÓW · 20 · PAŹDZIERNIKA · 1918 ZESZYT · 30

MASKI

LITERATURA · SZTUKA I SATYRA



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA. (1861.



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA.

EDWARD LESZCZYŃSKI.

ROMANCA.

Utopili ją w fali —
u brzegu w noc miesięczną.
Wszyscy trzej ją kochali —
miłość była niewdzięczną.

Trzech paziów, trzy chłopięta
miała pani z kastelu
— żarem uczuć nie tknięta
wśród przyjaciół, sług wielu.

Utopili ją — fale
zwarły ciemne swe łono;
trzej młodzieńcy na skale
pieśń śpiewali szaloną.

Obcą jakąś potęgą
rozchylały się wargi,
brzmiącą wiły się wstęgą
słowa bólu i skargi.

A kiedy pieśń skończyli,
rzekł jeden: bracia drodzy!
jak nędzniśmy tej chwili,
jak nędzni i ubodzy!

choćby nam skarb zaklęty
czeluście skał otwarły,
czem perły i dyamenty,
gdy oczy jej umarły?!

Rzekł drugi, pełen skruchy:
— łzy na rzęsach mu zwisły —
Biada! biada! złe duchy
opętały nam zmysły.

Już knieją nie wyruszę
przy mej pani na łowy —
bóg będzie sądzić dusze,
kat będzie ścinać głowy.

A trzeci rzekł — bladziutką
twarz w błędny uśmiech strojąc:
tam fala ją cichutko
kołysze, pieśnią kojąc.

— Tak — wiem, że śni uśpiona
pod srebrnych wód okryciem;
nie mogła umrzeć — ona —
sam uśmiech jej był życiem.

— — Splątanych fal chór ciemny,
jak ludzkich spraw zawiłość,
jednoczył w rytm tajemny
i zbrodnię ich i miłość.

PIEŚŃ PRZESZŁOŚCI.

Była to pieśń, muzyka — dziw,
zawrotna gędźba — gdy sercem żyw
kochałem was —
i tę i ową
mieniąc królową
niebiańskich kras.

Z upojnych tchnień bajeczny las
stał mi żałosny, namiętny wraz
tęsknoty zew,
co lata młode
wiódł na przygodę
w kraj błędnych stref.

W rozkoszy rytm szumiała krew,
a niepojęty przypadku wiew
— skrzydlaty wróż —
leciał przedemną
drogą tajemną
od mórz do mórz.

Przeminął szał młodzieńczych burz;
przeszłością stał się, legendą już
ów złoty czas;
a błysk uroku
z losów wyroku
na zawsze zgasł.

CZARY.

O, pani snu, co ucieka,
niezgasłem pięknem urodna!
znowu mię wabisz z daleka
jak echa bogini zwodna.

Kryjesz się w mroku, wybłyskasz
z cudownych gąszczy znienacka,
śmiech srebrny w oczy mi ciskasz,
jak płochej igraszki cacka.

I tu i tam — kręgiem — wszędzie —
twoje mi grają zwierciadła;
istność twą w słodkim obłędzie
chwytam — już mam — już przepadła.

Na ustach czuję cię chciwych,
w krwi tętnie płoną twe żary,
w pierś chłonę wonność chwil żywych,
jak zapach z rozbitej czary.

W obłędnem wodzisz mię kole.
Jak blask, co w chmurze się łyska,
ciemną rozświecasz mi dolę —
daleka zawsze — i blizka.

ZDOBYWAĆ MUSISZ SAM...

Zdobywać musisz sam
swój własny świat w wszechbycie,
bo wszystko — sen i kłam
a prawdą ducha życie.

Ku własnym celom idź!
niezłomnej wiary siłą.
Twym prawem róść i żyć,
by mocą serce biło —

by duch potężniał czuciem
i w coraz wyższe kręgi
szedł twórczej myśli snuciem
po złoty wid potęgi.

W RYTM POŁUDNIOWEJ GODZINY.

Południe gra —
pieśń mych młodzieńczych dni —
złota pogoda śni
sen szczęścia nieskończony,
w tysiączne rozdrgany tony,
w ziół słodką spowity woń,
głęboki jak wód głębiny,
jak niebios błękitna toń —
sen południowej godziny.

Południe gra —
melodya młodzieńczych snów
bez końca, bez początku —
wszystko powraca znów
do pierwotnego wątku,
do tej pradawnej baśni,
z której się rodził świat
w oplotach jaśni
złotej
i szał młodzieńczych lat —
i pieśń tęsknoty.

Południe gra —
Pieśń krwi, pieśń żywa
kaskadą iskier spływa —
Faluje błękit i złoto —
w mgle oszołomień
grający płomień
pieszczotą
tchnień kołysany —
— odwieczny śpiew,
ku życiu zew
tęsknotą serc śpiewany.

O, śnić!
O, żyć!
zdrój szczęścia pić
z świetlanych źródeł słońca!
W pierś rozkosz brać!
zapomnieć!
trwać!
Przez ból, przez trud
w żywota cud
zogromnieć!
— w żywota cud bez końca.





VL. HOFMANN *DWUŚPIEW.*

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

20)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Piotr przybywszy do siebie zapalił lampę i rzucił się na łóżko. Pierwszą myślą, która nadleciała natychmiast, było to, że nie żyje życiem właściwem, że nie robi swego. Tam chłopi przyszli manifestować swą zachłanność na ziemię, do której posiadania sobie wyłącznie roszczą i przypisują prawo, stary hrabia stoi im przeciw, chłopy w huzarskich mundurach występują po stronie hrabiego, gdyż jako żołnierze podciągnięci są pod prawo konserwatywnego rządu i posłuchu, jego robotnicy nadsłuchują ruchów chłopskich, Przesiewicz także — każdy jest na swoim posterunku, działa — — on — — żeni się, czy ma się żenić. To jest główna treść jego życia.

Donimuntówna jest powabną zakochaną kobietą, a lat trzydzieści u mężczyzny upoważniają najzupełniej do prawa i chęci posiąścia żony i stworzenia rodziny, wszyscy tak robią, nawet ci, których myśl prowadzi o wiele ponad komin dachu domowego, jednak uczuł niesmak ostry i głęboki, warzyć się i gotować zaczynało na około i para jęła podźwigać pokrywę.

Zapalił papierosa w długiej wiśniowej cygarniczce.

Jakieś areny publiczne... jakieś sejmy, zgromadzenia... jakieś orszaki, pochody, gwardye. Jakieś głosy: Piotr Węglin mówi — — Piotr Węglin przewodzi...

Ogromny kłąb dymu wzbił się w powietrze. Piotr Węglin przewodzi...

Te białe śliczne ramiona... ten gors... te plecy... te biodra — — i ten głos, ten głos prześliczny... ten dźwięk rozkochanych ust, ta muzyka metalicznych oczu...

Co tam się dzieje? Huzarzy rozpędzą chłopów, być może padnie który, być może postrzelają i porąbią, poaresztują — cóż z tego? Fala się nie zatrzyma. Robotnik chce i będzie pracować w swojej fabryce, chłop chce i będzie zaorywać całą własną ziemię...

Piotr Węglin przewodzi...

Roześmiał się przypomniawszy sobie twarz pani Donimunt i manierę bycia wraz z profilem i sposobem trzymania głowy Zbigniewa Donimunta...

Najgenialniejszy rysunek „Simplicissimusa“: „Von meiner Stellung zur sozialen Frage ist nicht viel zu sagen“...

Ta linia, ten surdut, ten gest — — frazes klubów wszystkich Zbigniewów Donimuntów...

A ta dziewczyna jest tak powabna i kochająca — — gdyby tu była, teraz, obok... Bo cóż jest więcej między kobietą i mężczyzną? Albo kobieta półmężczyzna, albo kobieta miłości i rozkoszy, szczęścia... a raczej wielkiej przysłony oczu...



I. PINKAS *STUDYUM*

Wziął ze stołu utwór modnej powieściopisarki, otwarł bez myśli i czytać zaczął: „W pewnem miejscu zatrzymali się, on nabił haczyk wędki małą rybkę, która wdzięcznemi ruchami poczęła w wodzie wabić szczupaka“, gdy ktoś zapukał lekko i drzwi niezamknięte uchyliły się.

— Kto tam? — zapytał kładąc mimowoli dłoń na rewolwerze leżącym obok.

— My — odparł kobiecy głos i rozwódka Przesiewiczówna wraz z Marusią bez okryć wierzchnich w sukniach balowych stanęły przed nim.

— Wszelki duch! — zawołał Piotr. — Panie tu?!

— Tak, to my — odpowiedziała rozwódka. — Uciekłyśmy. Zgubiłyśmy w pałacu rodziców, ale mamy nadzieję, że potrafili wyjechać do domu. Sądny dzień, co się tam działo.

— Siadajcie panie, proszę.... Herbaty —

— Dobrze —

— Wpadli oficerowie — zaczęła Marusia, której twarz zbladła nieco z emocyi i była delikatniejsza, niż zwykle — trzej, naprzód. Odrazu płażować chcieli chłopów szablami — chłopi ich poturbowali i wyrzucili ze schodów. Nadjechali huzarzy —

— Powstało kotłowanie do nieopisania, chłopi widząc ze wszystkich drzwi wytknięte ku sobie karabiny dali się zaaresztować w sali balowej, ale na dziedzińcu powstała bitwa, strzelono nawet kilka razy. Podobno kilku ludzi ze służby w pałacu było w zmowie z chłopami. Każdy krył się, gdzie mógł, tylko kilkunastu czy więcej panów skupiło się koło hrabiego już z bronią hrabiowską. Myśmy uciekły i piechotą, bez okryć, do których się już dostać było niebezpiecznie, bojąc się iść drogą przybiegłyśmy polami najbliżej, do osady.

— I przyniosłyśmy to — rzekła Marusia stawiając na stole flaszkę szampana.

— I to — dodała rozwódka umieszczając obok drugą. — Ledwo dodźwigałam.

— A więc w tej chwili będzie herbata, woda zawre w moment, a tymczasem niech się panie napiją mego koniaku na zmęczenie — odparł Piotr bezmyślnie dobywając koniak z szafki.

Piły, przegryzając keksami.

— Coś niesłychanego — mówiła rozwódka dolewając koniak do herbaty sobie, Marusi i Piotrowi — wpaść hurmą do pałacu, z muzyką, podczas balu, który jest wiadomy na całą okolicę, w nocy — — ojciec od dawna się obawiał. — Ale co jeszcze bardziej niesłychanego, że my w nocy u pana — zaśmiała się Marusia rumieniąc się jak wiśnia.

Piotr po trzech kieliszkach koniaku i po wszystkiem, co zaszło w kilku godzinach uczuł się podniecony. Dolał koniaku do szklanek z herbatą, tak, że go było pół na pół. Przesie-

wiczówny piły dużemi haustami, słodząc mocno.

— Dobre — mówiła Marusia, świecąc białem ciałem biustu.

— Szczęście, że noc taka ciepła — dekoltowane pędziłyśmy poprostu, byle prędzej dopaść ludzkich mieszkań...

— Ohydne chłopstwo! — zawołała gwałtownie Marusia.

— Co do mnie, jestem więcej z nimi, niż przeciw nim — ozwała się rozwódka. — Ta arystokracya dumna, niedostępna, pogardliwa niech raz już zejdzie z pola!

— Zapominasz, że ojciec z hrabiego żyje —

— Ale już się dorobił —

Ostre żółtawe zęby błysły cynicznie w ustach starszej Przesiewiczówny.

— Pan tańczyłeś z Niną kadryla — myślałam, że go pan ze mną będzie tańczył —

— Wyglądałeś pan na balu, panie Piotrusiu jak bóstwo, jak posąg Tezeusza, czy niewiem tam już kogo, we fraku. Gdybyś pan był słyszał, co kobiety mówiły, tak, jak my —

— Chciałabym być pańską narzeczoną. Naprawdę, umarłabym ze szczęścia, gdyby o moim narzeczonym tak mówiono —

— No, cóż takiego? — zapytał Piotr.

— Zachwyty, same zachwyty... Mówiono, że pan jesteś tak pięknym mężczyzną, że — ale na to zamało piłam —

— A zatem! — zaśmiał się Piotr odkorkowując szampana. — Teraz gdy się panie rozgrzały koniakiem — ale że paniom się nieść chciało.

— Porwałyśmy z bufetu na drogę — ostatecznie i jako obronę. Zdrowie gospodarza —

— Zdrowie gości —

— Cudzym szampanem!

— Cóż za gatunek! — rzekła rozwódka. — Ojciec by mi dwadzieścia pięć rubli dał za flaszkę. Oto na co jest arystokracya — abyśmy się dowiadywali co smaczne.

— I oblizywali palce — dodała Marusia.

Piotra ogarnęła szczera wesołość. Ujął ręce obu sióstr i ucałował. Marusia podała mu drugą rękę szczebiocąc:

— I tę.

Rozwódka rozrzuciła jej włosy, opadły falą na ramiona, pachnące i połyskujące.

— Czy można zaśpiewać? — spytała Marusia. Bawmy się i nie pamiętajmy o niczem.

Zanuciła półgłosem francuzką kabaretową piosenkę, Piotr i rozwódka podkładali jej nizki akompaniament. Nagle przeszła na „Ninon“. „Ninon, Ninon, que fais — tu de la vie“ — rzecz, którą śpiewała w Łąkach podczas jego rekonwalescencyi. Ta śliczna pieśń podziała na Piotra. „Toi qui n‘as pas d‘amour“ — spadł jak organ głos Marusi.



VL. HOFMANN — ŚLEPIEC.

— Niech żyje pani cudny śpiew — wzniósł szklankę.

Nagle rozwódka powstała z krzesła, na którem siedziała, i Marusię siedzącą obok Piotra na sofce pchnęła ku niemu obu rękami. Śliczna dziewczyna padła mu na pierś. Jej pachnące włosy i pachnący szampanem oddech powiały na niego.

— Całuj pan — zgrzytnęła dziwnie rozwódka.

Śliczne foremne usta znajdowały się tuż koło twarzy Piotra; Marusia nie zawołała nawet ach! — wstyd ją jakby zesztywnił.

Wtem światło zgasło.

— Tak to było mojem marzeniem — mówiła

rozwódka. — Gdy byłam raz u naszej ciotki w Warszawie młodą dziewczynką, znalazłam w biurku ciotki talerz, antyk, gipsowy, przedstawiający nimfę i satyra, którzy schwytali nagą dziewczynę.

Piotra ogarnął szał — bezwład upojonej koniakiem i szampanem ślicznej od stóp do głów Marusi, bezczelna, bezwstydna perwersya rozwódki, Nina Donimuntówna, chłopi, huzarzy, hrabia, idee, zagadka jutra, wszystko to zmieszało mu się w mózgu w żarzącą masę.

Zapłonęło nowe światło.

Oczy jego i Marusi padły na pierścionek Donimuntówny położony pośród innych rzeczy na stole.

— Co to jest? — zawołała jakby trzeźwiejąc z bezprzytomnego niemal uniesienia Marusia. — To pierścionek Niny?! Ach! Jesteście zaręczeni?!

— A więc nie będziecie! — rozwódka wyciągnęła ku pierścionkowi dłoń, ale Piotr uprzedził ją.

— Oddasz pan! — zgrzytnęła znowu. — Będziesz nasz!

Chwyciła go palcami obu rąk za dłoń zawartą — nagle napadły go i ręce Marusi.

— Daj, lub cię udusimy — szeptała dysząc rozwódka — jesteś tylko nasz!

— Zabiłabym się! — szepnęła Marusia.

— Jesteście potworne — odpowiedział Piotr — dajcie pokój, nie otworzycie mi ręki. Pierścionek zwrócę.

— Zaręczyłeś się z nią?!

Piotr otrząsł się, wstał i umieścił pierścionek wysoko na śrubie przewodu elektrycznego pod sufitem. Dniało już. Przesiewiczówny poczęły się ubierać.

— Musimy już wyjść, ale wrócimy — odezwała się rozwódka.

— Dobrze. Odwiozę was. Weźcie moje płaszcze na siebie. Wiem, gdzie stoi wózek mego gospodarza. wyprowadzę mego konia, zaprzęgnę, mam klucz od stajni, i odwiozę was. Moja śliczna, cudna Marusiu, i ty, potworna szalenico...

— I nasz jesteś?! Na zawsze?

— Na zawsze nasz! Wspólny!

Piotr zszedł do stajni niemal chwiejąc się. Za nim wysunęły się po cichu Przesiewiczówny otulone w jego płaszcze. Stępo wyprowadził konia, poczem puścił go w kłus na gościńcu. Niemówili nic. Zabielał niedługo dwór Przesiewicza na Przesiewiczowskim folwarku. Siostry wysiadły i znikły mu z oczu.

Piotr zawrócił, a w oczy jego uderzył srebrzysty błękit świtu różowo olśniony promienną zorzą zaranną.

C. d. n.



RYSUNEK A. BEARDSLEY'A.

MAURICE MAGRE.

P A R Y Ż.

Słońce czoła budynków krwawem złotem plami
i kładzie cień zadumy w kobiece spojrzenia;
od starych Luwru ganków biegną ulicami
do wieżyc katedralnych wieczorowe tchnienia.

W zbłękitnionem powietrzu głosy żywych krzyczą,
piosnka żebracza cichnie, skarży się i gwarzy,
ulice zamierają, zda się, tajemniczo,
przechodzień w oddal patrzy z mostu! Paryż marzy.

Z pod arkad, przez bluszcz dziki oplątanych zdradnie,
wieje radość gorąca, lubieżna, spieniona.
W takiej chwili topielcy kędyś w mule na dnie
roztwierają jak krzyże rozpaczne ramiona.

Każda latarnia w mroku krwawe światło ciska
poprzez mglistych oparów widmowe zasłony
i podobne jest miasto do złego zjawiska,
które całun rozwija, cały krwią splamiony.

Oto rozkosz się lawą płomienistą toczy,
na zielonych stolikach drgają złota brzęki
i patrzą marzyciele zapadłemi oczy,
jak z kartą im się szczęście wymyka z pod ręki.

W tamburynów hałasie, w złotych iskrach wina
niosąca zapomnienie o twardej niedoli,
kędyś z placów podmiejskich, gdzie wieś się zaczyna,
leci nuta przedziwna ludowej swawoli.

Z otwartych drzwi pałaców dźwięk melodyi płynie,
żelaza jęk złowrogi gdzieś w mrokach rozbrzmiewa,
echo kroków kobiecych na chodniku ginie,
powietrze pełne głosów, wrzawy: Paryż śpiewa.

A potem sunie cisza wzdłuż ciemnych krużganków
i na ulic załomach dziwne znaki czyni:
usypia ród człowieczy, kołysze kochanków,
gasi oczy anielskie w witrażach świątyni.

Idą starzy żebracy patrząc w drogę mleczną
z wyglądem obłąkanych, wzrokiem apostołów,
śmierć ze swą tajemnicą wędruje przedwieczną,
litość kona u progu milczących kościołów.

Chory w gorączce widzi w szpitalnianej sali,
jak Chrystus idzie mrokiem przez szlaki tułacze,
gdzie poeta marzący o rodzinnej dali
umiera bez miłości, bez snu. Paryż płacze.

Przełożył Witold Mogilnicki.



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA

ARMAND SILVESTRE.

Oh les soleils couchants sur la Pologne morte!

Och! te zachody słońca nad Polską zabitą!
Och! te zorzy wieczornej ogniste kolumny!
I ten, pod aureolą słońca złotolitą
Opar krwi, który w dal gdzieś niesie wicher szumny.

Naród, który był niegdyś waleczny i dumny,
Dzisiaj — zezwłok męczeński — śpi pod grobu płytą,
A Historya, sąd czyniąc nad Rzeczpospolitą,
Zatrzasła — jak więzienne wrota — wieko trumny.

Żali był sprawiedliwym sąd dziejów? Ja nie wiem.
Ale w sercu mam tkliwość dla przegranej sprawy.
— Tam jest ojczyzna moja, gdzie za wolność giną —

Och! te zachody słońca płonące zarzewiem,
ponad krajem spętanym, nad gruzami sławy —
Och! te zachody krwawe nad polską równiną!

Przełożyła K. Firlej Bielańska.

Wiersz pisany przed wojną z okazyi podróży po Rosyi i Polsce.



RYSUNEK CYPRYANA NORWIDA

PAUL VERLAINE.

Gaspard Hauser chante:

Wielką drzymotą
Świat mi się ćmi,
Zaśnij ochoto,
Nadziejo, śpij!

Na oczach mgła,
Już nieznam treści
Dobra ni zła;
Smutna powieści!

Coś mnie kołysze,
Łupinę lichą,
Nad próżnią wiszę,
Cicho, o, cicho!

Przełożyła Maryla Wolska.

GUSTAW MEYRINK.

W TAKIM RAZIE — OCZYWIŚCIE...

Kochany przyjacielu Warndorferze!

Niestety nie zastałem Pana w domu i nigdzie indziej nie mogłem Go odszukać. Zmuszony więc jestem pisemnie zaprosić Pana wraz z Zavrelem i doktorem Rolofem do mnie, na dzisiejszy wieczór.

Pomyśl pan tylko: sławny filozof profesor Arjuna Zizerlweis ze Szwecyi rozprawiał ze mną wczoraj przeszło godzinę w stowarzyszeniu „Lotos“ o spirytystycznych zjawiskach — zaprosiłem go na dzisiaj — przyjdzie. Pragnie poznać panów i sądzę, gdy go weźmiemy należycie w krzyżowy ogień, możemy go pozyskać dla naszej sprawy i wyświadczyć przez to ludzkości bezcenną przysługę.

Nie prawdaż, że Pan na pewno się zjawi? (Doktor Rolof niech nie zapomni przynieść fotografij).

W pośpiechu Panu szczerze oddany

Gustaw.

— — — — — — — — — —

Pięciu panów udało się po wieczerzy do pokoju dla palących. Profesor Zizerlweis bawił się głową jeżówki, stojącej na stole i służącej za pudełko na zapałki.

„Wszystko co mi pan, panie doktorze Rolof, opowiada, brzmi wprawdzie bardzo oryginalnie i dla laików, zadziwiająco ale okoliczności, które pan przytacza, na dowód, że można rzekomo fotografować przyszłość, nie są bynajmniej zniewalające.

Przeciwnie, dopuszczają o wiele bliżej leżące wytłumaczenie. Streśćmy się: Pański przyjaciel, pan Zavrel podaje, że jest tak zwanem medyum — to znaczy, że już sama jego obecność wystarcza, by wywołać u pewnych osób zjawiska niezwykłe, dla oka wprawdzie niewidoczne, ale dające się utrwalić fotograficznie. Fotografowaliście panowie pewnego dnia rzekomo całkiem zdrowego człowieka a przy rozwijaniu płyty...“

„Tak, przy rozwijaniu płyty ukazały się na fotografowanej twarzy liczne blizny, które dopiero dwa miesiące później — powtarzam dwa miesiące, zjawiły się na skórze dotyczącej osoby, jako następstwo przebytej ospy“ — przerwał doktor Rolof.

„Dobrze, dobrze panie doktorze, proszę tylko pozwolić mi skończyć. — Przypuściwszy, że przypadek nie gra tu doprawdy żadnej roli — przepraszam panów, ja tylko sądzę, że — więc — nie przypadek, jak zdołasz pan na podstawie tych okoliczności dowieść, że fotografowało się tutaj — przyszłość?!

Twierdzę — (zresztą pański eksperyment nie jest wcale nowym), że optyczna linia rysowała tylko dokładniej, widziała tylko więcej niż ludzkie oko, widziała ospę w zarodku, tę samą ospę, która „wystąpiła“ dopiero miesiąc czy dwa później, stała się jawną.

— — — — — — — — — —

Tryumfująco spojrzał profesor Zizerlweis do koła, napawając się przez chwilę zdumieniem swych przeciwników, poczem zaczął pociągać gorliwie swe cygaro na wpół zgasłe, obserwując bacznie, czy nie zacznie tlić.

„Możliwie. — Ale jak pan wytłumaczysz następującą rzecz, panie profesorze?“ rzekł z kolei Zavrel.

„Razu jednego fotografujemy pewnego młodego człowieka — nie wiedzieliśmy o nim zresztą nic dokładnego, znaliśmy go tylko pobieżnie — znajomość kawiarniana — wcale by nam nie przyszło na myśl eksperymentować nim, gdyby nie Gustaw, który bez żadnego powodu wietrzył w tym wypadku coś nadzwyczajnego, naukową korzyść!

Robimy więc zdjęcie, „rozwijamy“ i na obrazie widać w środku czoła wyraźną, okrągłą,



I. PINKAS — PASKARZ.



RYSUNEK A. BEARDSLEY'A.

czarną plamę."

Krótka pauza — milczenie. —

„No — i?" spytał profesor.

„I? — czternaście dni później zabił się ów młody człowiek — strzałem w czoło. — Zobacz pan, tutaj dokładnie w tem miejscu — oto są obydwie fotografie — to trupa, a ta o czternaście dni wcześniejsza.

Proszę porównać !"

Kilka minut namyślał się doktór Zizerlweis głęboko a oczy jego stały się tak matowe jak błękitny papier z cukru.

„Teraz zadaliśmy mu bobu" szeptał Wärndorfer i zacierał ręce. — Nagle zbudził się profesor ze swej zadumy i spytał:

„Czy ów młody człowiek widział fotograficzne zdjęcie z plamą na czole? — Tak? — W takim razie rzecz przedstawia się całkiem jasno: ten człowiek zamierzał już wtedy popełnić samobójstwo. Pokazałeś mu pan obraz, a on wiedząc dobrze, że rozchodzi się tutaj o mediumistyczny eksperyment, został wskutek tego podświadomie zasugerowany.

Nie znaczy to wcale, że wskutek tego się zabił — nie; ale strzelił sobie w czoło, nie zdając sobie sprawy z tego, że pomysł do tego zrodził się w nim na widok obrazu.

Gdyby nie widział wówczas tej płyty, byłby może wybrał sobie całkiem inny rodzaj śmierci — byłby się utopił, powiesił, otruł lub coś podobnego."

— „A plama — skąd się wzięła plama na płycie, panie profesorze?"

— „Plama to był może cień, może pyłek na soczewce, przelatujący owad, — możliwie że jaki błąd na płycie lub coś innego grubo zmysłowego. — Krótko i węzłowato — z takimi dowodami nie powinien pan stawać przed ścisłym badaczem jakim jestem — te wypadki nie są przekonywające." —

Strapieni siedzieli przyjaciele i znosili bezradnie potok wymowy profesora Zizerlweisa, który upajał się formalnie swem zwycięstwem.

„Gdyby tak można odpowiedzieć temu człowiekowi na jego argumenty," — szepnął pan domu doktorowi Rolfowi „patrz, jaki jest wstrętny, gdy tak baje — czyż nie wygląda ze swoją krótką bródką i wąsami, jak gdyby miał czarną kłódkę pod nosem? wstrętna kreatura — może to nie Szwed. — Zizerlweis Profesor Arjuna Zizerlweis!" —

„Nie wpadaj w pasyę" uspokajał Rolof przyjaciela — podczas gdy Wärndorfer trudził się w pocie czoła, by zapoznać profesora z przyzwoitemi pojęciami o sztuce, skoro już nie chce wierzyć w spirytyzm — „nie irytuj się, może przecież — na Boga, czyśmy wszyscy oszaleli? — Nie wspomnieliśmy przecież o najważniejszej rzeczy! — Dzieci — o obrazie bez głowy!"

„Hura! obraz bez głowy!" zawołali wszyscy— „to był nasz pierwszy i najlepszy eksperyment — panie profesorze, posłuchaj no pan..."

„Dajcie mnie, mnie dajcie opowiadać!" zawołał Gustaw radośnie.

„Zna pan panie profesorze tu w mieście niejakiego Chicier'a? — Nie? — Mniejsza z tem. Teraz jest porucznikiem, wtedy był jeszcze subjektem w składzie cykoryi. — Jest temu może z szesnaście lat i właśnie rozpoczęliśmy nasze mediumistyczno-fotograficzne doświadczenia. —

Dyabeł wie, skąd wpadł nam ten subjekt, ten Chicier — ale krótko i węzłowato — wzięliśmy go na kieł i postanowili mimo oporu — był już wówczas arcytchórzem — fotografować go podczas spirytystycznego posiedzenia przy świetle magnezyi. —

Podczas posiedzenia nic dziwnego się nie zdarzyło, najmniejsze zjawisko się nie okazało — tem dziwniejszym był rezultat na płycie. — Wyszukam później ten obraz, byś pan się dokładnie przekonał. — Negatywny obraz ukazał się wkrótce w płynie wywo-

ływacza, ale — oniemieliśmy — brakowało głowy — ani z niej śladu — brakowało całkiem poprostu."

— „Prawdopodobnie" — przerwał profesor Zizerlweis...

„Posłuchaj no pan co teraz nastąpi; — radzimy tak i owak, a nie mogąc dojść do żadnego rezultatu, zawijamy starannie płytę i zanosimy ją nazajutrz do Fuchsa, zawodowego fotografa naprzeciw — ulica Owocowa.

Ten zastosowuje najsilniejsze chemiczne środki, aby z negatywnego obrazu jaknajwięcej „wydobyć."

I rzeczywiście, coraz wyraźniej okazało się w kole, tuż nad kołnierzem od koszuli na obrazie, tam, gdzie miała być głowa, trzynaście różnej wielkości świetlanych plam, zobacz pan, tak ułożonych: jedna—dwie, jedna—dwie, cztery, cztery i jedna; dokładnie typowe ugrupowanie ciał niebieskich w konstelacyi „wielkiego barana."

No, czy teraz pan profesor jest już przekonanym?

Tego symbolu nie można przecież nie zrozumieć!"

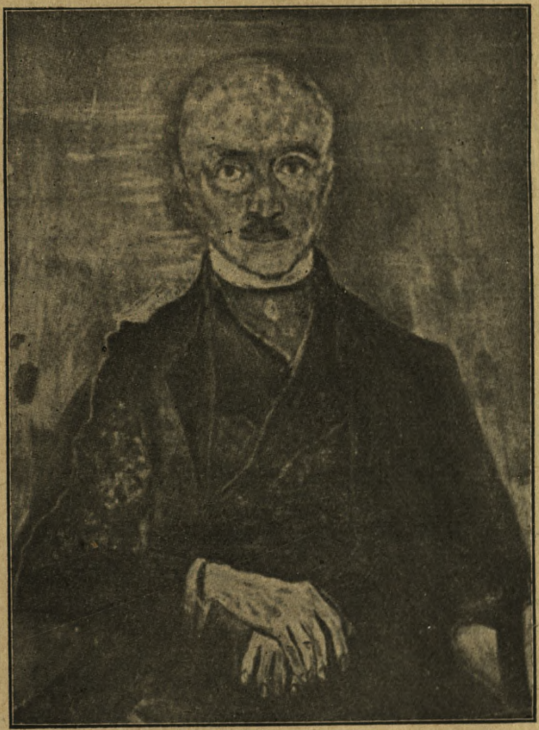
Profesor Zizerlweis był nieco zażenowany: „Dokładnie jednak nie pojmuję jeszcze, co to ma do czynienia z przyszłością, którą, jak panowie twierdzicie, możecie fotogr..."

„Ależ panie profesorze, czyś pan nie zrozumiał?" zawołali wszyscy równocześnie „ten człowiek poświęcił się przecież później wojskowej karyerze, wstąpił do piechoty, dał się „aktywować", jak się to mówi w Austryi" —

Uczony nad wyraz zdziwiony opuścił cygaro; z wielkiego zdumienia mógł ledwo wymówić te słowa:

„Hm, hm, — w takim razie — oczywiście —"

Przeł. B. Baumgartenowa.



OSKAR KOKOSCHKA — PORTRET G. MEYRINKA.

Z OŚLEJ ŁĄKI LITERACKIEJ.

Wycinanka ze „Zdroju".

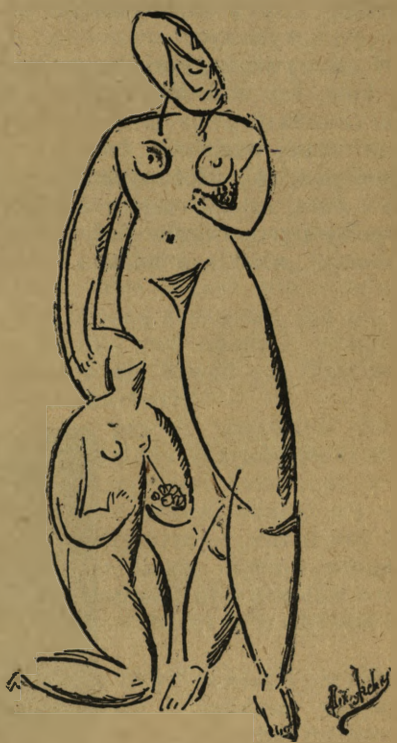
GUILLAUME APOLLINAIRE

R O T S O G E

Malarzowi Chagall.

Twarz twoja szkarłatna dwupłatowiec przemienialny
w hydroplan
Dom twój krągły kędy śledź pływa wędzony
Klucza mi potrza do powiek
Szczęście że widzieliśmy p. Panado
I uspokojeni jesteśmy z tej strony
Czegóż chcesz kochany M. D.
90 lub 324 człowiek w powietrzu cielę co poprzez brzuch
matki spogląda
Długo szukałem na drogach
Ócz tyle zawartych przy drogach
Wiatr płacze wierzbami
O — twórz — twórz — twórz — twórz
Spójrz spójrz nareszcie
Staruszek stopy swe myje w miednicy
Skok skażu Ach du lieber Jott
I płakać począłem pomny naszego dziecięctwa
A ty przedkładasz straszne fiolety
Mały ów obraz kędy wóz dzień mi przypomniał
Dzień z purpury utkany żółty niebieski zielony czerwony
W czas gdym polami chodził z zachwycającym kominkiem
która sukę trzymała na smyczy
Fujarkę miałem nie mieniałbym jej na francuskich marszałków
buławy
Odbiegło wszystko nie mam już piszczałki
Kominek zdala odemnie pali ruskie papierosy
Suka szczeka na lilje
I lampka nocna już zczezła
Na suknią padły okwiaty
Dwie złote obręcze tuż przy sandałach
W słońcu się rozogniły
A włosy twe jak rzuty
poprzez Europę są pełne migotów pstrych ogni.

Tłomaczył Adam Bederski.



RYSOWAŁ ARCHIPENKO.

PRZEGLĄD

POEZYA ULICY.

(Z powodu „Ulicy“ Stanisława Stwory, w Krakowie, nakładem F. Terakowskiego, skład główny w Księgarni Gebethnera i Ski, str. 65.)

Ulica, jako schronisko bezdomnych i wykolejonych, włóczęgów i żebraków, złodziei i gamratek, dzieci bez opieki i psów bezpańskich, miała od dawna swoich piewców w swych stałych i przygodnych mieszkańcach. Średniowieczne pieśni włóczęgów-wagantów zawierają niejednę pochwałę życia po za nawiasem społeczeństwa, życia, płynącego przeważnie w przydrożnym rowie, obijającego się o karczmy i więzienia, uchodzącego nieraz na — szubienicy. Jako próbka poglądu na świat, niech starczy kilka strof ze Spowiedzi Archipoety:

Człek mądry na skale buduje swe leże,
ja jestem jak strumień, bez spocznienia bieżę.

Ja jestem jak okręt, co nie ma sternika,
jak ptak, co bez celu powietrzem pomyka.

Żadne mię nie wstrzymają ni zamki ni kaźnie,
szukam sobie podobnych, z złymi się przyjaźnię.

Ciężka myśl mi obrzydła, znoszę tylko znoje,
które Wenus na członki nałożyła moje.

Brodzę sobie radośnie przez występku błoto,
a co się z duszą stanie, nie pytam się o to...

Mlekiem takich dum łacińskich karmił się Franciszek Villon, póki nie wyśpiewał po francusku swego „Wielkiego Testamentu“, od którego cytowania uwalnia mię mistrzowski przekład Boy'a, wydany w zeszłym roku.

Klasycy zanadto byli wykwintni, a romantycy zanadto górolotni, by puszczać się na poszukiwania złota poezyi po wielkomiejskich ściekach i śmietniskach. Znalazł je tam dopiero typowy włóczęga, Paweł Verlaine, a rozsławił Jan Richepin, wydając w r. 1876 *La chanson des gueux,* zbiór pieśni o włóczęgach, który mu w pierwszej chwili przyniósł miesiąc więzienia i pięćset franków kary, a po kilkunastu latach — fotel w Akademii francuskiej. „Muza moja — pisze w w przedmowie do drugiego wydania (przedruk można nabyć za 95 centimów w Moderne Bibliothèque Fayard'a) — to dzielna, tęga dziewka, która szepleni, a nawet, przyznaję to, wrzeszczy; dziewka z rozpuszczonemi włosami, trochę pijana, o jaskrawych barwach, rozmamana, brudząca swe podkasane spodnice i bose nogi w czarnym lepie błota przedmieść lub gorącem złocie gnojowisk wiejskich; dziewka, co często klnie, czasem zanosi się od czkawki, a zawsze się weseli, jak kobiecie z ludu przystało, zawsze się cieszy śpiewem, śmiechem, życiem, bez jakiejś ukrytej myśli o rozpuście, nie jak lubieżna lalka, która wystawia kawałeczek skóry, aby podnieść pożądliwość starca czy chłopaka do posyłek, lecz jak piękna i silna kreatura, która się nie wstydzi pokazać słońcu piersi wzdętych sokami i błogosławionego żywota, błyszczącego już dumą przyszłego macierzyństwa“.

Stosunek zaś swój do przedmiotu tak charakteryzuje: „Kocham swych bohaterów, swych biednych włóczęgów, godnych pożałowania pod każdym względem; bo nietylko ich ubranie, ale i ich sumienie jest w strzępach. Kocham ich nie dlatego, lecz dlatego, żem to zrozumiał, żem zatrzymał swe spojrzenia na ich nędzy, wetknął palce w ich blizny, otarł łzy z ich brudnych bród; żem jadł ich gorzki chleb, pił ich upojne wino; żem jeżeli nie uniewinnił, tom przynajmniej objaśnił sobie ich osobliwy sposób rozwiązywania problemu walki o byt, ich życie wykolejeńców poza ramami społeczeństwa, a także potrzebę zapomnienia, upojenia, wesela, tego zapomnienia o wszystkiem, tego upojenia przerażającego, tego wesela, które my znajdujemy ordynarnem, rozpustnem, ale które przecież jest weselem, piękną radością przy śmiechu rozkwitającym, oczach wilgotnych, sercu otwartem, radością młodą i ludzką, jak słońce jest zawsze słońcem, nawet na kałużach błota, nawet na bryłkach skrzepłej krwi“...

Te dwa przydługie zdania z przydługiej przedmowy niech służą za charakterystykę Richepinowskich pieśni włóczęgów. By zaznaczyć specyalne motywy ulicy paryskiej, wspominamy, że Richepin przedstawia np. kwieciarkę, która z za-

pachu pyłu czuje zbliżanie się wiosny, bo jej nie widzi, choć sprzedaje fiołki; opisuje, jak babka z dwojgiem wnucząt zachwalają ziele dla ptaków, zbierane gdzieś daleko za miastem; wykłada, co słyszy w melodyi katarynki; maluje cierpliwych wędkarzy nad brzegiem rzeki; opowiada, jak włóczęga szuka w lecie wypoczynku na kupach śmieci za miastem wśród zdechłych psów i kotów, wywodzi dzieje starego surduta, zwiastuje pierwszy mróz: Voici venir l'Hiver, tueur des pauvres gens... Oto nadchodzi zima, morderczyni biedaków. Jak twardy baron, poprzedzany przez pachołków, wysyła przed siebie wzdłuż ulic mróz z białemi palcami i przykre podmuchy. — Słychać zadyszany oddech chłopców, którzy biegną, przykładając wargi do rąk i uderzają silnie nogą suchą ziemię. Pies, nic nie wąchając, pędzi jak strzała... A tu panowie w sutych futrach, a tu panie ciepło ubrane używają przechadzki, podziwiają jak pięknie wygląda pierwszy mróz na szybach, na drzewach. Wrócą potem grzać się przy ciepłym kominku... Szczęśliwi ci, których oczekuje ciepły pokój, ale chłopak, co biegnie, ale stary pies-tułacz, ale żebracy, mali, zgraja biedaków...

Ten sam kontrast stanowi osnowę trzech sonetów: Śnieg jest śmieszny. — Śnieg jest smutny. — Śnieg jest piękny. Z ulicy przenosi się poeta do szynku i do więzienia. Przy szynkfasie przedstawia paryskiego ulicznika: J'ai dix ans. Quoi! ça vous épate? — Ben! c'est comm'ca, na! J'suis voyou, — et dans mon Paris j'carapate — comme un asticot dan un mou... Zbiór zamyka cykl utworów o innych gościach i mieszkańcach szynku i kawiarni, o cyganach literatach. — Przekład *La chanson des gueux* nastręcza ogromne trudności nietylko z powodu argotu, obficie stosowanego. Tem bardziej zasłużyłby się literaturze polskiej, ktoby go dokonał.

Zdawałoby się, że piąty stan, stan ludzi bez klasy i zajęcia, taki sam jest w Paryżu jak w Berlinie czy Wiedniu. Jakoż w pieśni, zwłaszcza własnej, przedstawia się podobnie. Wystarczy przejrzeć zbiór Hansa Ostwalda p. t.: *Lieder aus dem Rinnstein* (Berlin, Harmonie-verlag, 1903), by się przekonać, że marny żywot włóczęgów, ciągle przez strażników prawa obserwowany i prześladowany, odznacza się tą samą zawadyacką tężyzną, która widzi i uznaje niebezpieczeństwa, ale i tak z całą namiętnością trzyma się — włóczęgostwa. W tych pieśniach niemieckich czuć niechęć do wszelkiej słodkości i sentymentalności, czuć porywy krzepkiego zdrowia i siły, czuć przedewszystkiem ów wstręt do obroży, który tak dawno wyraziła bajka o psie łańcuchowym i wilku. Groźne, nawet niebezpieczne są te bestye samopas się włóczące, ale trudno im odmówić swoistego piękna.

Między zawodowych włóczęgów przyplątują się przygodni hospitanci w osobach — poetów i ci najwierniej potem tłumaczą duszę ulicy. Oto Binde'go „Śmierć wagabundy": Na co mam dalej łazić od jednej chałupy do drugiej, już mi obmierzło to życie! Na nogach zgniłe szmaty, w żołądku ani kęska, w kieszeni ani grosza i pusta flaszka z wódki. Gotów jestem skończyć! Ty ciało pełne otwartych wrzodów, chcę ci dać spoczynek, żegnaj wierna — wszo! Tu się położę i cicho przy drodze zdechnę, wtedy się skończy to życie: Du Leib voll offner Schwären, — ich will dir Ruh' gewähren, — adieu, du treue Laus! — Hier will ich mich hinstrecken, — und still am Weg verrecken, — dann ist dies Leben aus.

Życzenia i oburzenia dzisiejszego wagabundy wyraża Drescher w „Poprawiaczu świata": Przy ognisku w pustkowiu znalazło się czterech łazików. Znużeni i głodni patrzą przed siebie, płomienie giną w popiele. Zostawcie je, prawdziwe ciepło daje tylko flaszka wódki. Jeden, pociągnąwszy długi łyk, mówi: o, to tułactwo i żebractwo! Czyż niema dość łóżek i mięsa, abyśmy tu bez dachu mieli głodować? — Drugi klnie ponuro i chytrze: Nie zmienisz tego, nie przerobisz. Kto tu nic nie odziedziczy, nie zabiega zuchwale, musi zdechnąć pod płotem. — Trzeci się śmieje z głuchym krzykiem: Oszczędźcie biadań i narzekań. Lepiej będzie, przysięgam wam, gdy bogatych ubijemy...

Przepaście wielkiego miasta opiewa poeta dużej miary, Karol Henckell. Jego „Dirne" tchnie grzechem i grozą. W duszę wydziedziczonych umie się też wczuć Małgorzata Beutler. Jej „Kołysanka", śpiewana przez pijaczkę dziecięciu. które poi — wódką jest wprost przeraźliwa w swej ponurej prawdzie: Sauf, Karnickel! Det macht Spass. — Vata is een ollet Aaas. — Raus den Proppen! Lutsch man fest, — wat er in de Pulle lässt — sauf...

Zbiór Ostwalda przynosi utwory kilkunastu współczesnych poetów ulicy niemieckiej, a nadto wiersze anonimowe, spisane po szynkach i więzieniach z ust samych „bohaterów" ulicy. Wiązankę takich bezimiennych piosnek lwowskich wydano niedawno i u nas. Są to przeważnie parodye kupletów kabaretowych, pisane na cześć głośnych „bohaterów" noża i wytrycha. Niema w nich jednak nic poetycznego, nawet nic charakterystycznego. O ileż wierniej dziką żądzą swobod tchnie taka wilcza piosenka lwowska:

Czemu na Gródku ludek się zbiera?
Czemu na Gródku taki gwar?
Bo tam prowadzą dezertera
pośród bagnetów kilku par.

Na głowie ma żołnierskie czako
i do feldwelbla mówi: Kusz,
za Bettelzupkę ty biedako
dwanaście lat przy „dziadach" służ!

Ja służę tylko honorowi,
do garnizonu idę dziś,
a kiedy wyjdę, dymam znowu,
ty komiśniaka dalej gryź!

— Takie i tym podobne wspomnienia literackie mógł budzić w niejednym czytelniku widok czerwonej książeczki Stanisława Stwory, opatrzonej pod tytułem „Ulica“ obrazkiem wielkomiejskiej ćmy nocnej. Przejrzenie dwudziestu dwu utworów, składających się na ten cykl, pozwala stwierdzić przedewszystkiem niezależność od przytoczonej tradycyi literackiej, a dołączone w części drugiej „Liryki“ dają tło, na którem wyrosła jego poezya ulicy. Dusza jego wyrywa się w jesieni ku wsi, krainie lat dziecinnych i dziecinnego szczęścia: „O moje biedne, zapomniane drzewa, — świecie pamiątek i dziecięcych marzeń!... Słucham, czy szum wasz tu mię nie doleci — i nie przyniesie jakiej od was wieści. — U was tam... teraz pewnie słońce świeci — i każdy listek rozgłośnie szeleści — i cała wieś się we słońcu rozlewa, — o moje biedne zapomniane drzewa“. A może i tam na wsi, tak teraz głucho i ciemno i zimno? „O drzewa moje! jednaka nam dola. — I z was tam pewnie wiatr liście otrąca — i gna przez chłopskie łzą zasiane pola — i wam tam także brak, jak mnie tu, słońca“...

Poeta czuje się i jest na bruku miejskim — wykorzenionym, *déraciné*. Wie, że tam na wsi także nie rozkosze: „Zima idzie. W sąsieku ani garści żyta, — co woda nie zabrała, resztę deszcze ścięły. — Dolo ty! Pustka w chacie, głód za gardziel chwyta, — niema rady, ostatni cent podatki wzięły! — Dolo, dolo! chłop czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, a w chałupie śmierć z dziećmi została“... Ale i tak wolałby żyć wśród tej wiecznej biedy, z którą się już człowiek zrósł, bo miałby przynajmniej widok pól i łąk, lasów i sadów, widok czystego nieba i czystego słońca. A tu w mieście? Tak, i tu przychodzi wiosna. Ale jakże fałszywie i kłamliwie wygląda ta wiosna wielkomiejska (str 16): „Z kwiatem w ręce, tandetną elegancyą, z szykiem — lalek z za szyb konfekcyj damskich, w imitacyi — panama... z cuchnących izb wypełzła w świat z krzykiem — wiosna, chłonąca chciwie woń bzów i akacyi“. Przez chwilę zdaje mu się, że i między zatęchłe mury miejskie zabłąkała się księżniczka z bajki. Niestety na plantach rozpiera się tylko — kokota: „Krzykliwie radosna, — wystrojona w koronki i tiule — na kredę, — z pychą pawia po bruku paraduje... wiosna, — zwiędła przedwcześnie, własną okłamując biedę“. Drzewami brukowemi są — latarnie (str. 23): „W przyjaźni z nocą, chętnie do siebie przygarnia — brać pijaną, zbłąkaną w labiryncie mroku; — w dzień niepokaźna, ginie, schnie w ulicznym tłoku — strupieszały, gruźliczy kwiat miasta, latarnia“. Dopiero w nocy przemienia się na damę, wielce uprzejmą, pełną gracyi: „Ze sercem się odnosi do dziewcząt z zaułka, — które wyrzuca głodne szynk albo kawiarnia, — w wzgardzonej doli szczerze tkliwa przyjaciółka, — ona: kwiat na śmietnisku, uliczna latarnia“.

Wykolejeniec miejski, który straciwszy dzienny widok wolnych drzew, tak się potrafił zaprzyjaźnić z miejską latarnią, dlatego że ona opiekuje się i bohemią artystyczną, gdy nocą wraca z szynku, i z dziewczętami z zaułka, stał się — poetą z uczucia i zdolności wypowiedzenia się, ale nie zasmakował w życiu cygana literackiego, choć je prowadzi. Ta nocna kawiarnia (str. 14), bez której się już nie potrafił obejść, przedstawia mu się jako „bezduszna rozpustnica, słodkie obiecanki — dla zbłąkanej ćmy nocnej bez jutra i dachu, — gdzie zawsze spędzić można bez troski i strachu — noc do rana, w objęciach kupionej kochanki“. To też w jej zgiełku czuje się jego dusza jak „strącona w rynsztok“ i choć „zapomnień w ściekach szuka swej żebraczej doli“, to wstydzi się i boleje nad sobą. Nie chciałby sam uchodzić za „Kaffeehauspflanze“, skoro tak wyraża się o kawiarnianych gościach (str. 91): „Tu kreślą nowe drogi sztuce arcymistrze, — mielą, nicują myśli, te same co wczora: — zeschła i zwiędła w dymie kawiarniana flora“. Nawet komunikacya tramwajowa (str. 15), której używa, znajduje taką charakterystykę w ustach chłopczyka, uszczęśliwionego szybką jazdą: „Mamusiu... ten tramwaj, jak mój statek sunie papierowy, — gdy na wezbrane puszczę go fale rynsztoku“. Wobec tak wrogiego usposobienia dla miejskiej „cywilizacyi“, nie dziw, że obrzydzenie budzi w nim widok „eleganckiej“ promenady na linii A-B (str. 8), a ulica wielkomiejska (str. 7) przedstawia mu się, jak „kupcząca ciałem nierządnica, — pełna słodkich obietnic zbyt taniej rozkoszy“.

„Zdaje się, że tu życie ludzką krwią ocieka“, dodaje, wspomniawszy, że wielkomiejski przepych wyrasta na gruncie niedopłaconej pracy ploletaryusza. Pewnie, że i na wsi nie mniejsza nędza, ale tam przynajmniej tło marnego żywota piękniejsze, bardziej ludzkie. A tu, proletaryusz przychodzi na świat i wyrasta w zaułku, by skończyć — w więzieniu (str. 10): „Wypchnięty z frontu miasta tu znalazł przytułek — skażony grzechem, zgniły rozpustą i zbrodnią, — grożący ostrzem noża w dzień i w noc przechodniom, — odarty z tynku, brudny, niechlujny zaułek“... Kto wie, czy jeszcze nie bardziej beznadziejnie przedstawia się tylne podwórze wielkiego domu śródmieścia (str. 20): „Z ceglastych, brudnych murów, odrapanych z tynku, — zaklętych w czar tajemny, zdaje się, że patrzy — Nędza, kuma suteryn, i krwią skrzepłą znaczy — dzieje wydziedziczonych z świetności, z praw rynku... I zdaje się, że nic tu nikogo nie czeka — prócz śmierci,

która jedna stąd swe żniwo zbiera, — a przecież się w tych śmieciach, brudach poniewiera — wzgardzona dola, życie biednego — człowieka".

Do takiego — domu nie spieszno w sobotę (str. 18) robotnikowi fabrycznemu: „Rozpacz, jędza zrodzona z podłego wyzysku, — gna go, gdzie w wódkę krwawe przetapia miedziaki — w zapomnieniu, że w domu przy pustym półmisku — próżno czekają ojca zgłodniałe dzieciaki". Starsza córka „zwykle wychodzi na świat w podwieczerz, o zmroku, — spać się kładzie, gdy świtem szarzeje ulica"... „O biedna, woła do niej poeta (str. 11), gdy samotna błądzisz w nocnej głuszy, — niech ci się zwidzi Chrystus, idący z daleka, — On jeden, który w tobie uznał był — człowieka". Młodszy syn, to ulicznik (str. 17): „Niema domu, bo pocóż mu dom, gdy w objęcia garnie go ulica, — księżyc wątek rzuca jego snom — i przyjaźnią słońce go zaszczyca... I żyje sobie tak niefrasobliwie — obojętny, śpi w nadrzecznej łozie, — kontent, gdy słońce grzeje go pieściwie, — zimą najchętniej przesiaduje w kozie"... Ten ulicznik znowu wrócił na łono natury, choć miejskiej, wyrwał się z obroży i dla tego jest „kontent". Poecie takiego ukontentowania nie przyniesie nawet widok cudownych plant w mrozie (str. 25), bo pamięta, że „w suterynach, w piwnicznej norze, gdzieś pod ścianą — mróz się wcisnął pod łachman, ten sam mróz, co rano — w przecudowną baśń zimy zaklął — martwe planty".

Na tych plantach, w pustej budce z wody sodowej może sam poeta niejedną spędził noc, gdy podnajemca nie chciał dłużej czekać na dawno niepłacony czynsz. Oto jedno z takich przebudzeń się: „Świt się budzi, szarzeje wśród drzew — i liście w przedrannym drżą chłodzie — i znów wraca życie o chlebie i wodzie, — „ktoś" upadł i jęknął: psiakrew! — Świt się budzi, szarzeje wśród drzew — i słońce wschód krwawo swój znaczy, — o dolo ty, dolo, o losie żebraczy, — „ktoś" westchnął głęboko: psiakrew!" Trywialne przekleństwo nie jest tu pozą, ale naturalną reakcyą poety-cygana na podły los, co mu odebrał nawet dach nad głową i strącił między wydziedziczonych mieszkańców ulicy. Ale ten los otwarł mu też oczy na nędzę współbohaterów, podniebnych „Schlafkameradów", nauczył go z nimi czuć i współczuć. Nuta socyalna, w tych pieśniach pobrzmiewająca, to nie zastosowany program partyjny, ale głos bezpartyjnego, tylko ludzkiego serca. W tej bezpośredniości odczucia doli towarzyszów-wydziedziczonych, niemniej jak w szczerości odrazy wykolejonego wieśniaka do miasta leży osobiste zacięcie p. Stwory i główna wartość treściowa i ideowa jego „Ulicy". Forma jest gładka, szczęśliwie realistyczna, choć już bez tego zacięcia osobistego, co treść. Zaciężyło nad nią zamknięcie się w szkolnym kanonie lektury, który dostarczył autorowi wystarczających barw do retorycznych „Strof czasu", ale nie wystarczył na wyrażenie treści nowej, obcej szkole. W każdym razie „Ulica" wzbogaciła lirykę polską o nowy ton, nową barwę, a jej autor ma pełne prawo do tego, by go znano jako „poetę ulicy".

Tadeusz Sinko.

SIMMEL.

W Strassburgu zmarł w tych dniach niemiecki filozof, Jerzy Simmel, autor wielkich dzieł: „Filozofia pieniądza" (przełożoną częściowo na polskie przez Leona Belmonta) „Socyologia", o Goethem i Rembrandcie. Ten niezmiernie oryginalny myśliciel nie zbudował własnego systemu filozoficznego, gdyż wolał dawać sam proces myślenia, i wychodząc od najzwyklejszych zjawisk codziennych, nawierzchniowych, lubił odsłaniać, ile się w nich zawiera niespodziewanych splotów ideowych, i wzdłuż odsłoniętych przewodów posuwać się aż do najniebezpieczniejszych mateczników metafizyki. Znamiennym pod tym względem jest jego zbiór p. t. „Philosophische Kultur", gdzie snuje subtelne myśli na temat np. przygody, kokieteryi, mody, ucha od dzbana, ruin, Alp. Głębokie są zwłaszcza jego refleksye na temat przełomu we współczesnej kulturze. Ten przełom uważa on za tragiczny: z jednej strony środki życia pasożytnie przykrywają jego cele i same stają się celami, (np. pieniądz), z drugiej zaś objektywne twory kulturalne (wiedza, prawo, sztuka, religia, technika), które właściwie są projekcyą człowieka na płaszczyznę życia, emancypując się z pod jego władzy, stają się czemś samodzielnem, czemś co jest posłuszne tylko własnym normom rzeczowym a przez to nietylko zagrażają kulturze subjektywnej lecz same przybierają szalony rozpęd, któremu człowiek nadążyć nie może. W wydanem podczas wojny dziełku: „Wojna i duchowe rozstrzygnięcia" pokazuje Simmel w jaki sposób wojna jest jednym epizodem takiego przesilenia kulturalnego. Wojna przez pewien czas zakwestyonowała dorobki i środki naszej kultury, przeżyliśmy np. coś, co możnaby nazwać zemstą surowca. Tuż przed zgonem wydał dziełko „Konflikt nowoczesnej kultury", w którem rozważając naczelne idee kulturalne aż do najnowszych (uwzględnia nawet ekspresyonizm) stwierdza: w greckiej epoce klasycznej panowała idea bytu, w chrześciańskiem średniowieczu idea Boga, którą w renesansie zluzowała idea natury, potem przyszły idee jaźni, społeczeństwa, aż na rozstaju wieków 19. i 20. wytworzyła się idea życia, która pociąga za sobą niesłychane, bezwyjściowe konsekwencye, mianowicie lekceważenie objektywnych treści życia na rzecz życia jako procesu. Filozofem tej idei jest Bergson (którego zresztą

w tej broszurze Simmel imiennie nie wymienia). A więc np. tracą kredyt religie, ale w czci pozostaje i rośnie sama religia, słowo „wierzyć“ z „transitivum“ staje się „intransitivum“. Konflikt polega na tem, że życie pożera tu niejako wszystkie swoje treści, chciałoby się niejako objawić ponad niemi w nagiej bezpośredniości — co jest niemożliwem.

Simmel jest filozofem trudnym ale jasnym, bo rzetelnym. Trud zagłębiania się w jego pisma stoi w dobrym stosunku do zdobywanych plonów, czego o wielu filozofach powiedzeć nie można. Dla tych, co się go czytać nauczyli, styl jego ma swoisty wdzięk i piękno (np. jego oryginalne porównania, których nie czerpie z świata zewnętrznego, gdyż porównuje myśli z myślami, sytuacye z sytuacyami). Rytm jego myśli jest co prawda niezmiernie powolny, ponieważ w problemach wyszukuje nowe problemy, różniczkuje pojęcia, piętrzy trudności, stawia perspektywy bez wyjścia. Ale też dlatego dla wtajemniczonych książki jego są podróżami w fantastycznych krainach myśli, gdzie wszystko jest zagadkowe, tragiczne i niebezpieczne. Takiem jest np. dziełko „Główne problemy filozofii“ (w zbiorku Göschena, kosztowało przed wojną 52 ct.). Podziw ogarnia, w jaki sposób Simmel interpretuje tu filozofię Heraklita, Spinozy, Hegla i t. d., niejako gromadzi inwentarz wszystkich chwytów myśli filozoficznej, wszystkie — jak on się wyraża „krajobrazy ducha“ i jego „attitudy“ (postawy). To już coś wyższego nad kongenialność: ma się wrażenie, jakgdyby on sam mógł in nuce stworzyć jeszcze wiele tego rodzaju systemów filozoficznych gdyby chciał, gdyż każdego z tych filozofów ujmuje jeszcze głębiej, można powiedzieć: zdradziecko głębiej, niż on sam siebie. Tak na Simmlu samym objawia się odkryty przez niego konflikt kulturalny. Zamiast systemów daje samo życie filozoficzne, materyę myślenia, niewidzialną substancyę, która pod jego dłonią dźwięczy jak muzyckie narzędzie. Jest jednym z niewielu filozofów artystów, ale artyzm jego nie wypływa jak u Bergsona z powierzchownych przymiotów stylu lecz z treści. Mimo pozornej popularności jest Bergson filozofem o wiele ciemniejszym od Simmla, który uchodził za odstraszający typ maga-kabalisty.

Poniżej jako przykład kongenialnych analiz Simmla i jego sposobu pisania podajemy mały łatwiejszy wyjątek z jego dzieła p. t. „Schopenhauer i Nietzsche“. W IV. rozdziale, poświęconym pesymizmowi Schopenhauera, omawia Simmel, przyklaskując lub polemizując, pomysły jego o rozdziale cierpień i radości w życiu, i przechodzi do związanej z tem ściśle sprawy rozdziału winy i cierpienia, zwłaszcza zaś zastanawia go

problemat okrucieństwa.

„Stawiając tezę o metafizycznej identyczności dręczyciela z dręczonym, — stwierdza Simmel — Schopenhauer dotknął najgłębszego problematu z teoryi uczuć. W jego oczach wyrzuty sumienia są formą, w której dręczyciel czuje cierpienia ofiary i dlatego, jak mówi, wyraz twarzy bardzo złych ludzi jest zawsze wyrazem wewnętrznego cierpienia. Co prawda nie przemawia mi do przekonania psychologiczny wywód Schopenhauera o okrucieństwie, mianowicie, jakoby okrucieństwo rodziło się z nadmiernie silnej woli (mowa tu o woli w znaczeniu Schopenhauerowskim, a więc jako o pierwiastku fatalnym, który ten filozof widzi nietylko w człowieku lecz i w całym świecie. Przypisek referenta), która się chce pozbyć swoich własnych cierpień w ten sposób, że zadaje cierpienia innym. To groteskowe wyzyskanie walorów przysłowia „solamen miseris socios habere doloris“ wydaje mi się pomysłem sztucznym, przechodzącym w banalność. Sądzę natomiast, że owa identyczność okrutnika z ofiarą odgrywa rolę nie dopiero jako reakcya czynu, lecz już w czynie samym. Rozkosz z cierpienia drugich jest mianowicie zagadką, już przez to, że okrutnik sam musi czuć w jakiejś mierze i w jakiś sposób cierpienia, które zadaje, — inaczej nie wywoływałyby w nim wogóle żadnej reakcyi. Albowiem okrutnik widzi bezpośrednio nie cierpienia ofiary, lecz jej głosy i ruchy, z których jej wrażenia trzeba dopiero wywnioskować. W jakiż sposób jednak toby się stać mogło, gdyby z własnych możliwości wrażeniowych nie zalatywało tu coś, co nam interpretuje to wiecznie niedostrzegalne zajście, odbywające się w świadomości drugich? Tylko własne czucie, chociaż przeobrażone, może nam ze skrzywionego i krzyczącego automatu zrobić człowieka, czującego udrękę, którym dopiero rozkoszuje się dręczyciel.

Psychologii dotychczas nie udało się dokładnie opisać i zbadać, w jaki sposób człowiek ów swój jakoś odczuty ból, wywołany obrazem zewnętrznym, wkłada, wczuwa w ów obraz jako jego własność. Ale bez względu na wyjaśnienia psychologiczne, pozostałoby jeszcze pytanie, jaka podstawa metafizyczna umożliwia owe psychologiczne związki i wyjaśnienia, — podobnie jak opisy i prawa zjawisk chemicznych pozostawiają otwartem pytanie, jaką jest głębsza struktura materyi, na której tle owe zjawiska wogóle występują. Fakt, że wogóle można czuć uczucia drugiego, a więc czuć je koniecznie jako własne uczucia, — ten fakt bez względu na to, jak psychologia zanalizuje niejako jego technikę, tkwi w najgłębszej strukturze duszy i świata; i to widocznie uczuł jasno Schopenhauer, gdy głosił, że z okrucieństwem, tym największym rozłamem między jednostkami łączy się przecież ich identyczność w ostatniej instancyi świata. Tylko, że on tę identyczność uważał za sprawiedliwą i równoczesną pokutę za

ów rozłam, podczas gdy właściwie żyje ona już w samym akcie okrucieństwa, w jego zagadkowem stopieniu własnego czucia z cudzem.

A więc rozkosz z bolu drugiego człowieka, która na pozór najbezwzględniej ludzi sobie wzajemnie przeciwstawia, musi przecież znieść granice między „ja“ a „ty“, aby to przeciwstawieństwo wogóle osiągnąć. Jestto tem ważniejsze, że z rozkoszą z powodu bolu cudzego głęboko splata się rozkosz płynąca z bólu własnego. Także ten paradoks uczucia nie jest jeszcze dobrze zbadany psychologicznie. Możnaby powiedzieć, że rozkosz cierpienia budzi w nas biegunową rozpiętość możliwości uczuciowych i że stąd powstaje niesłychana ekspanzya jaźni, ponieważ żadna inna równoczesność uczuć nie wywołuje takich kontrastów. Jest rzeczą szczególną, do jak nieskromnej arogancyi uczuć kusi nas często cierpienie — zarówno urojone jak rzeczywiste; bo niewielu wprawdzie zdobędzie się na pewność: nikt nie zdziała tyle co ja! — ale wielu porwie się na to, by uwierzyć i powiedzieć: nikt nie wycierpi tyle co ja! To uczucie wzmożonej o samego siebie jaźni mogłoby nam posłużyć za most psychologiczny do rozkoszy okrucieństwa, do której pobudek (dotychczas mówiliśmy o jej treści i podwalinach tej treści) należy przedewszystkiem rozkoszowanie się ową potęgą, która drugiego człowieka czyni naszą własnością; bo własnością jest wszystko, na czem nasza wola może się objawić nie znajdując oporu, tu zaś to jej objawienie się jest psychologicznie tem skuteczniejsze, im bardziej dzieje się wbrew woli człowieka w ten sposób posiadanego. Dlatego rozkosz z okrucieństwa właściwą jest naturom, które spragnione są ekspanzyi swego „ja“, lecz nie mogą jej zaspokoić w sposób pozytywny siłą lub zasługą.

Rozszerzenie poczucia własnej jaźni byłoby tedy głębszym celem, któremu jako środek służyłoby okrucieństwo względem drugich i względem samego siebie. Faktycznie też rozkosz z własnego i cudzego cierpienia — której patologiczne, seksualnie ujednostronnione skrajności nazywamy sadyzmem i masochizmem — znajdujemy u wielu ludzi razem, chociaż w nieskończenie różnych mieszaninach. Zupełnie mylną wydaje mi się teorya, jakoby okrucieństwo względem siebie było zjawiskiem dopiero pochodnem, skierowaniem na wewnątrz, niejako zbłąkaniem się pierwotnego popędu do okrucieństwa przeciw innym ludziom, których np. nie można dosięgnąć z przyczyn prawnych i moralnych. Rzecz ma się raczej przeciwnie: lubowanie się we własnem cierpieniu istnieje już w niejasnej, potencyalnej formie, nim objawi się w okrucieństwie względem drugich. I obydwa te popędy przeplatają się jeszcze i tam, gdzie wysuwają odnogi w dziedzinę abstrakcyi: mianowicie w samem zjawisku pesymizmu. Wzniosłe radosne okrucieństwo tkwi w burzeniu uznanych wartości, w namiętności, z jaką pesymizm uświadamia sobie cierpienia zwykle nieuświadamiane lub nieuwzględniane, w ocenianiu naszej istoty tak, że nie zasługiwała na nic lepszego jak ten świat i to życie. Atoli ogólny pogląd pesymistyczny zespolony jest nietylko z objektywnem cierpieniem lecz także z pewnem lubowaniem się właśnie w tem cierpieniu. Upajanie się własnym bólem, lubieżne wgryzanie się we wszelki smutek, chętka, żeby się swemi nieszczęściami pysznić także przed samym sobą, — to wszystko objawia się w formach i na tle pesymistycznego poglądu na cały świat.

Rozkosz z własnego i cudzego cierpienia, działając razem, wytwarzają więc i tu jednolite zjawisko i znowu uzasadniają pytanie o tę metafizyczną jedność, w której głębiach ból mój jest solidarny z bólem twoim i która zdradza się w ponownem zrastaniu się tych obu zrazu dyametralnie rozłamanych bolów. Schopenhauerowska nauka o wiecznej sprawiedliwości przez identyczność dręczyciela z dręczonym ma trwałe znaczenie dzięki instynktowi dla tego p y t a n i a.

Atoli jako o d p o w i e d ź na problemat rozdziału nie wystarcza ta metafizyczna jedność, według której Schopenhauer każe nietylko dręczycielowi brać udział w bolach ofiary, lecz także — z paradoksalną lecz głęboką konsekwencyą — ofierze brać udział w winie dręczyciela. Nie idzie tu tylko o wyrównanie praktyczno-etycznych przesunięć między radością a cierpieniem, lecz o kwestyę, która atakuje ostatnie podwaliny pesymizmu: czy wartość życia — także wartość określona przez szczęście i ból — może wogóle zależeć od sumy tegoż szczęścia i bolu, od przeciętnego eudajmonistycznego losu ludzkiego. Tu się pokazuje dogmatyczna ograniczoność Schopenhauera“. (Dalej wywodzi Simmel, że optymizm np. socyalistyczny może się zupełnie nie smucić absolutną sumą bolu i radości na świecie, byleby ich rozdział między ludzi był sprawiedliwy).

Karol Irzykowski.

KRAKÓW · 1 · LISTOPADA · 1918 ZESZYT · 31

MASKI

LITERATURA · SZTUKA I SATYRA



ST. WYSPIAŃSKI. HENRYK POBOŻNY.

(Ze zbiorów Wł. Żuławskiego).

STEFAN GRABIŃSKI.

OPOWIEŚĆ O GRABARZU.

(Gawęda zaduszna).

Przez dwa lata z rzędu po tajemniczem zniknięciu Jana Tossatiego, grabarza przy głównym cmentarzu we Foscarze, uskarżali się mieszkańcy miasta, zwłaszcza osiadli w pobliżu miejsca wiecznego spoczynku, na ciągłe niepokojenie ludności przez duchy zmarłych. Podobno jednych dręczyły najrozmaitsze zmory we śnie i na jawie, drugim zastępowały drogę nocną porą jakieś widziadła, innym mąciły wieczorne godziny wałęsające się hałaśliwie po izbach fantomy. Nie pomagały msze odprawiane po domach ani egzorcyzmy przeprowadzone przez biskupa nad grobami. Owszem, niepokoje płynące zdaje się z cmentarza głównego przeniosły się jakby epidemicznie na inne i wkrótce całe miasto padło ofiarą kapryśnych nieboszczyków.

Dopiero przybycie uczonego archeologa i znawcy sztuk plastycznych, mistrza Wincentego z Pragi Gryfa i skuteczne rady, jakich udzielił stroskanym rajcom miejskim, położyły kres niebezpiecznym zjawiskom.

Mistrz zbadawszy dokładnie cmentarz główny, zwłaszcza jego pomniki i nagrobki, wydał niebawem książeczkę p. t. „Satanae opus turpissimum, seu coemeterii Foscarae, regiae urbis, profana violatio". Dziełko to, unikat w swoim rodzaju, wydrukowane w r. 1500, bez miejsca w języku łacińskim jeszcze średniowiecznym, należy dziś do białych kruków, zapomnianych pod stosem pyłów bibliotecznych.

Na podstawie sumiennego studyum, które Gryf przeprowadził nad mogiłami, doszedł uczony badacz do wniosku, że cmentarz główny we Foscarze uległ niebywałej w dziejach chrześcijaństwa profanacyi.

Twierdzenie Wincentego spotkało się w pierwszej chwili z gwałtowną opozycyą i niedowierzaniem, gdyż wywody mistrza opierały się na szczegółach zbyt subtelnych dla niewprawnego oka gminu. Lecz gdy wezwani na pomoc z miast sąsiednich artyści i rzeźbiarze osobiście stwierdzili trafność sądu, nie pozostało radzie miejskiej nic innego, jak przyjąć z wdzięcznością wyrok i zastosować się do zbawiennych wskazówek.

A opinia Gryfa była istotnie nader ciekawa i oryginalna. Albowiem dopatrywał się profanacyi właśnie w owych wspaniałych pomnikach, w owych stelach grobowych i szumnych napisach, z których słynął na kraj cały cmentarz foscaryjski. Przysłowiową stała się piękność tego ustronia zmarłych i każdy podróżnik, zwiedzający uroczą Toskanię, oglądnąć musiał choć raz jeden cmentarz we Foscarze.

A jednak wykazał mistrz Wincenty po sumiennem, przeszło całomiesięcznem badaniu, że poza zbożnym pozorem dostojnych dzieł sztuki kryje się z piekielnem iście mistrzowstwem zamaskowane świętokradztwo. Owe pomniki, kute w marmurze sarkofagi i grobowce rodzinne, były jednym, nieprzerwanym łańcuchem bluźnierstw i szatańskich pomysłów.

Z poza hieratycznej pozy nagrobnych aniołów wyglądał lubieżny gest demona, na ściętych boleścią ustach geniuszów żałoby igrał nieuchwytny uśmiech cynizmu, pochylone wichurą rozpaczy kształty cmentarnych niewiast drażniły przepychem ciała, rozwianą kaskadą włosów, obłudnym sromem obnażonych piersi. Kompozycye większe, powstałe z układu kilku figur, sprawiały wrażenie dwuznaczne, jakgdyby rzeźbiarz umyślnie wybrał tematy drażliwe, gdzie granica między wzniosłością bolu a bezwstydem niepewna jest i chwiejna.

Najmniej już jednak wątpliwości budziły napisy — owe słynne stanze foscaryjskie, których uroczystym spadkiem zachwycali się mistrze słów wiązanych. Wiersze te, czytane na wspak od dołu do góry, były haniebnem, jedynem w swoim cynizmie zaprzeczeniem tego, co głosiły w kierunku przeciwnym. Były to istne peany na cześć szatana i jego plugawych spraw, hymny bluźniercze przeciwko Bogu i dusz świętości. rozpustne piosenki o falernie i drożnej ladacznicy.

Takim w istocie swej miał być cmentarz. Cóż dziwnego, że umarli spoczywać na nim nie chcieli, że podnieśli złowrogi bunt, domagając się od żywych usunięcia świętokradczych pomników?

To też pod wpływem odkryć Gryfa postanowiono poddać cmentarz gruntownej przemianie. W przeciągu paru tygodni pogruchotano wszystkie podejrzane nagrobki, wykopano płyty, posągi a odruzgi wynieśli pachołkowie poza miasto. Na miejsce dawnych postawiły rodziny zamożniejsze posągi nowe, ubożsi zatknęli na grobach proste krzyże. W kaplicy cmentarnej odprawił proboszcz przez trzy noce egzekwie zakończone wielkiem nabożeństwem oczyszczalnem.

I oto po dokonaniu tych wszystkich czynności zmarli przestali nawiedzać miasto i cmentarz ukoił się, pogrążając w cichą zadumę lat dawnych.

Wtedy zaczęły wśród ludzi krążyć przeróżne powieści o minionem zdarzeniu i powoli kształtowała się legenda związana z dawnym grabarzem, Giovannim Tossatim, przezwanym nagle ni stąd ni zowąd Janem Hyeną.

Przyczyniła się do tego w znacznej mierze śmierć jednego z miejskich żałobników, zaszła wkrótce po rekonstrukcyi cmentarza. Człowiek ten poczynił przed zgonem ciekawe nader zeznania, które wyjaśniły nagłe zniknięcie Tos-



RYS. C. NORWIDA.

sati'ego, oszczędzając władzom trudu nadaremnych poszukiwań za rzekomo zbiegłym złoczyńcą.

Spowiedź ta podawana z ust do ust rozeszła się szeroko po okolicy i ubarwiona bujną fantazyą ludu weszła z czasem w krąg owych ponurych gawęd i opowieści, które znikąd rodem, obłędu dzieci, przędą czarne swe nici na kołowrotkach wieczorów zadusznych.

— — — — — — — — —

Giovanni Tossati pojawił się we Foscarze po raz pierwszy mniejwięcej przed laty dwudziestu. Ubrany nędznie, niemal w łachmanach, zrazu budził powszechne podejrzenie i gmina chciała go nawet z miasta wydalić. Niebawem jednak zdołał zaskarbić sobie względy mieszkańców i władz, którym przedstawił się jako zubożały kamieniarz i rzeźbiarz nagrobków. Poddany egzaminowi próbnemu wykazał świetne zdolności i rękę zaprawną w kunszcie. Nie tylko więc pozwolono mu pozostać w mieście, lecz ulegając dziwnie uporczywym prośbom artysty, mianowano go grabarzem przy cmentarzu głównym; odtąd miał stawiać nagrobki i grzebać zmarłych. Utrzymywał bowiem, że równoczesne spełnianie tych dwóch obowiązków stanowi dlań nierozerwalną całość, że oddawanie ostatniej posługi zmarłym wiąże się u niego najściślej ze sztuką stelograficzną i nie potrafiłby wystawić nieboszczykowi pomnika, nie pogrzebawszy go wprzód własnoręcznie. Dlatego też później, chociaż sława jego objęła szersze kręgi i znanym stał się i w miejscach odległych, ani razu nie przyjął korzystnych propozycyi, jakie mu czyniono ze wszystkich stron; uwieczniał pamięć zmarłych wyłącznie na swoim cmentarzu.

Z początku dziwactwo to dało niejednemu pochop do żartów i drwin, lecz z czasem przyzwyczajono się do rozmaitych kaprysów artysty-grabarza, bo dzieła, które wychodziły z pod jego dłuta, zyskały wkrótce ogólne uznanie nawet u pierwszorzędnych znawców. Skromny dotąd cmentarz stał się w przeciągu kilkunastu lat arcytworem sztuki sepulkralnej i dumą Foskary, której zazdrościły inne miasta.

Z obdartego lazzarona przedzierżgnął się Tossati w poważnego obywatela, cieszącego się powszechnym szacunkiem, człowieka majętnego, jednostkę wpływową i znaczną. Wreszcie wybrano go rajcą i przewodniczącym syndykatu miejskiego. Piastując tak wysokie urzędy, nie grzebał już osobiście, lecz wyręczał się całym zastępem pomocników-kopaczy, których wyszkolił w przedziwny iście sposób. Wogóle wprowadził Tossati w procederze chowania szereg oryginalnych ulepszeń, skracających pracę do połowy i przyśpieszających tempo czynności. Niemniej jednak wierny dawnej zasadzie, nie opuścił żadnego pogrzebu i czuwał we własnej osobie nad porządkiem jego części składowych. Gdy już ciało spuszczono w grób, wtedy sam zrzucał łopatą pierwszą grudź ziemi, resztę dzieła zostawiając służbie. W ten sposób funkcye grabarskie Tossatiego nabrały poniekąd charakteru symbolicznego, przeszedłszy zwolna w rodzaj idealnego wspomnienia. Lecz znak zewnętrzny pozostał i za żadną cenę nie byłby odstąpił od przyjętego zwyczaju.

Już to wogóle był Giovanni Tossati dziwacznym człowiekiem. Sam wygląd zewnętrzny zwracał uwagę przechodnia. Wysoki, barczysty, z szeroką ponurą twarzą wiecznie uśmiechał się zagadkowem skrzywieniem ust. Wzrok miał jakiś niepewny, pochyły; może spojrzenie mimowoli stosowało się do sposobu trzymania głowy zawsze pochylonej ku ziemi, którą zdawał się pilnie przepatrywać. Miejscy żartownisie

mawiali, że Tossati węszy trupy. Mimo sławy zdolnego rzeźbiarza właściwie grabarz nie był lubiany. Ludzie bali go się i ustępowano mu z drogi. Nawet utarł się przesąd, że spotkanie go o wczesnej godzinie dnia nie dobrze wróży.

To też gdy po dziesięcioletnim pobycie we Foscarze postanowił się ożenić, żadna z mieszczanek nie chciała oddać mu ręki. Nie skusił ich niezmierny dobrobyt Gioranniego, nie znęciły obietnice życia w dostatkach. Wkońcu poślubił ubogą wyrobnicę z sąsiedniej wsi, sierotę zdaną na łaskę i niełaskę losu. Lecz szczęścia w rodzinie nie zaznał. Po roku małżeństwa żona wydała mu na świat dwoje bliźniąt: jedno nieżywe, drugie dziwacznie ukształtowane w łonie matki. Potworek niepodobny do ludzkich dzieci umarł trzeciego dnia po porodzie. Zrozpaczona kobieta znikła nagle z domu i wszelkie poszukiwania zbiegłej spełzły na niczem.

Odtąd żył sam opodal cmentarza w swym białym, murowanym domu i ludzi widywał chyba na pogrzebach. Tylko nocami do późna świeciło się w oknach jego mieszkania i nieraz dochodziły stamtąd sąsiadów ochrypłe okrzyki pijanych ludzi. Tossati miewał niemal noc w noc jakichś gości; lecz nie byli nimi napewne mieszkańcy Foscary — nikt w mieście tem się przynajmniej nie chlubił.1 Zajeżdżały przed dom grabarza jakieś pojazdy, czasem sute kolasy — wysiadali jacyś obcy ludzie z stron nieznanych i wchodzili do wnętrza — to znów wtaczały się skrzypiąc przez bramę wjazdową ciężkie wozy zwykle puste, na które ładowano jakieś skrzynie, mocno obite paki, by wywieźć je precz, niewiadomo gdzie, przed brzaskiem rana.

Wszystkie te tajemnicze ruchy rzeźbiarza śledziło miasto tylko z daleka, nie śmiąc mieszać się do spraw człowieka dziwnego, który przejmował strachem i grozą.

Już wtedy osnuły grabarza i jego domostwo ponure legendy narastające z latami, gawędy cmentarne przepojone rozkładem zwłok i czadem zgnilizny.

Mówiono, że Jana nawiedzają umarli i wiodą z nim po nocach tajne rozmowy o rzeczach nie z tego świata. Dlatego nikt nie odważył się podkradać pod jasno oświetlone okna i przypatrywać gościom.

Tossati wiedział o krążących o nim powieściach i nie starał się im przeciwdziałać; owszem jakby usiłował oprząść się jeszcze gęstszą siecią tajemnic, by ukryć poza nią swoje ciemne życie.

Cała fortuna świętokradzcy wyrosła z cmentarnego podłoża, dom jego, mienie i życie nasiąkło z biegiem lat trupim zaduchem. I wszystko uchodziło bezkarnie. Póki chodził po ulicach Foscary, umarli zdawali się znosić cierpliwie wyrządzoną obelgę; jakgdyby demon zła tkwiący w tym człowieku utrzymywał na uwięzi świat cieniów, jakgdyby sataniczna wola grabarza pętała wszelki objaw buntu zbezczeszczonych nieboszczyków. Tossati wciąż chodził po świecie wysoki, nieco przygarbiony i wciąż śmiał się niewiadomo do kogo. Uśmiech ten w latach ostatnich jego ziemskiej wędrówki nie zeszedł mu z twarzy ani na chwilę i stał się nawet jakby łagodniejszy. Wogóle twarz Tossatiego w tym czasie sprawiała wrażenie mumii z zakrzepłym na wieki wyrazem: była to ciągle, niezmiennie uśmiechnięta twarz dobrodusznego



RYS. C. NORWIDA.

poczciwca: kamieniarz nosił od dwóch lat stale gipsową maskę. Materyał, z którego ją dał sporządzić, naśladował tak wybornie karnacyę ciała, maska przywierała tak szczelnie do twarzy, że jej nie zauważono: chodził pomiędzy ludźmi swobodnie, nie wzbudzając podejrzeń ni śmiechu. Dopiero przypadek odkrył jego lice prawdziwe z owej eoki, zajście dziwne, wyjątkowe, po którem nie miano go już więcej oglądać pośród żywych...

Stało się jesienią, w jeden z tych dni smutnych, deszczowych, gdy nabrzmiała wilgocią ziemia osnuwa się mglistą zadymką, spłakany dżdżem świat grąży w ponurą zadumę. Popołudniu, w najgorszą szarugę odbył się pogrzeb; pochowało miasto najbogatszego obywatela, powszechnie cenionego kupca i właściciela przędzalń jedwabiu. Olbrzymi orszak żałobny złożony z przedstawicieli pierwszych rodzin mieszczańskich, z wszystkich cechów i najświetniejszej młodzieży odprowadził zmarłego na cmentarz, gdzie spoczął w grobowcu rodzinnym.

Tossati był w dniu owym w świetnym humorze i ukradkiem zacierał z zadowoleniem ręce,

Zmarły był człowiekiem niezwykle zamożnym i złożono go do trumny w stroju nader kosztownym; przy zdejmowaniu zwłok z mar zauważył grabarz na palcu średnim i małym dwa brylantowe sygnety a na piersiach bezcenną spinkę z rubinu. Ponadto od dawna już nie grzebał ciała zachowanego w tak dobrym stanie, nadającego się tak doskonale do badań anatomicznych; stary profesor z Padwy, będzie z niego tym razem bardzo zadowolony. Podwójny łup zapowiadał się wcale pięknie; wymagał wprawdzie pracy ciężkiej i żmudnej, zwłaszcza że grobowiec zamykał się solidnie, lecz sprawa warta była trudu.

Przyszła mu nagle ochota zaglądnąć tego wieczora do gospody „Pod Hyeną“, austeryi niedaleko cmentarza, której był potajemnym założycielem. Dom ten wybudowany przed laty dzięki jego skrytym staraniom i funduszom ochrzcił tem dziwnem wezwaniem nieznajomy cieśla, przybyły na specyalne żądanie grabarza. Nazwę usprawiedliwiał fronton budynku z podobizną kamienną hyeny, prężącej swój centkowany grzbiet nad resztkami padliny. Wkrótce zagroda stała się punktem zbornym karawaniarzy i żałobników, którzy tutaj po każdym pogrzebie odprawiali stypę, przepijając świeży zarobek.



RYS. C. NORWIDA.

Giovanni z zasady nie pokazywał się w tej jaskini gry i nocnych hulatyk, chociaż lubiał tamtędy przechodzić nocną porą i przysłuchiwać się pijanej ochocie swoich ludzi.

Mimoto owego wieczora nie zdołał oprzeć się pokusie i postanowił incognito wmieszać się pomiędzy cmentarnych pachołków. Przebrał się tedy do niepoznania w bogaty strój szlachcica wyższego typu, wdział nieodstępną maskę, przyprawił brodę i nasunąwszy na głowę skrzydlaty rycerski kapelusz, wszedł do gospody wcześniej niż inni, by obserwować swobodnie pośmiertny bankiet swych „dzieci“.

Tego wieczora naschodziło się do oberży ludzi sporo najrozmaitszych stanów i zawodów — czas był słotny, nuda dławiła w domu, a i odpust, który przypadał nazajutrz, sprowadził mnóstwo gości z okolicy. Gospodarz zagrody, chytry, filuternie uśmiechnięty starowina biegał od stołu do stołu jak fryga, zwijał się, pochrząkiwał, dolewał wina, zachęcał do śpiewu. Gromada wędrownych cyganów, przykucnąwszy w kącie sali, przygrywała smętno-dzikie piosenki, wtórowały lirne dziady.

Koło ósmej wieczorem weszli karawaniarze i gospoda nabrała właściwego stylu.

Tossati nie brał udziału w rozmowie. Zasunięty w ciemny kąt izby, zasłonił twarz szerokiem skrzydłem kapelusza z obawy, by go nie poznano, i milczkiem spełniał tylko niezliczone kubki starego miodu: słuchał i obserwował.

Humory były nadzwyczajne, nastrój zwłaszcza po wejściu żałobników wyśmienity. Sypały się anegdoty, skrzyły dowcipy, pryskały rakiety żartów. Zwłaszcza Piotr Randone, szwajcar żałobny, wysoki, chudy jak laska drab prześcigał towarzyszy w kreśleniu obrazków jurnych, których treść czerpał z przeżyć własnych.

Koło północy gospoda zaczęła się opróżniać. Znużeni pijatyką goście wysuwali się pojedyńczo z odymionego domu i znikali w czerni nocy. Tossatti przebrawszy miarkę, zadrzemał. Ręka opadła leniwo na stół, ściągając z ociężałej głowy ochronny kapelusz. W jakiejś chwili obezwładnione napojem ciało ześliznęło się z ławy i spadło ciężko na podłogę. Grabarz nie przebudził się ; opilczy sen zmógł go zupełnie. Dobroduszna maska zaczepiwszy o nogę stołu, zesunęła się z twarzy i z cichym szelestem potoczyła pod krzesło. W zgiełku nie zwrócono zrazu na to uwagi i Giovanni spał smacznie pod ławą, nie zaczepiany przez nikogo. Lecz gdy po dwunastej austerya opustoszała i pozostało tylko czarne bractwo śmierci, leżący pod ławą gość w stroju dostojnym skupił na sobie ciekawe spojrzenia ostatnich biesiadników.

— A ten się dopiero ululał niecnota! Pił jak na stypie! Dalej z nim do światła!

— Zobaczymy, co to za gagatek!

— Jakiś bogaty kupiec lub rycerz — włóczęga w pogoni za przygodą. Nuże wydobyć go z pod ławy!

Parę skwapliwych ramion wyciągnęło się ku śpiącemu i położyło go na wznak na podłodze. Lecz ujrzawszy wyraźnie twarz spitego mężczyzny, wszyscy jednym rzutem cofnęli się. W oczach żałobników zaświtało przykre zdumienie. Bo oto korpus nieznajomego odziany w wytworne, miękkie szaty miał głowę trupa; pozapadane głęboko otchłanie oczodołów zionęły chłodem śmierci, skóra wyżółkła, pokurczona zlewała się barwą z wyskakującemi kośćmi policzków, czaszka bez włosów, bez uszu lśniła gładką gołoledzią piszczeli...

Głuchy pomruk przebiegł gromadę karawaniarzy. Sprawa zaniepokoiła ich. Pierwszy „zoryentował się“ Randone:

— Co to za głupi żart! Który z was wyciągnął nieboszczyka z nory na maskaradę? No, przyznać się, póki czas!

Zapadło milczenie. Patrzyli na siebie w osłupieniu, nie rozumiejąc, o co chodzi. Żaden nie poczuwał się do winy.

— Ha — podjął szwajcar — na razie mniejsza o to; rozprawimy się z żartownisiem później. Teraz brać go na bary, póki czas i prosto na cmentarz! Za dwie godziny dnieje — czasu mało; trzeba się spieszyć, nim zejdzie dzień. Jeśli miasto się dowie, zginęliśmy!

W milczeniu spełnili rozkaz. Sześciu karawaniarzy podniosło Tossatiego i włożywszy na ramiona, wypadło z nim przez drzwi oberży na drogę cmentarną. Szli szybko, rozglądając się z przestrachem, czy kto nie podgląda; nie zważali na błoto po ulewie obryzgujące im nogi po kolana, brnęli na przełaj gościńca po bajurach chlupoczących deszczówką. Pędził ich dziwny lęk i rozkaz niby przewodnika niby czyjś inny, niby jakaś konieczność wewnętrzna. Nie rozumowali nic; nie czuli dziwnej ciepłoty zwłok, nie spostrzegli, że ręce trupa jeszcze nie przegniły, nie zwrócili na chwilę uwagi na różnicę stanu głowy i reszty ciała. Byle naprzód, byle prędzej, byle raz z tem skończyć!

Zanurzyli się w chłodne aleje cmentarza; minęli główną, przeszli parę bocznych i skręcili w prawo pomiędzy świeże groby. Przy jakimś ukrytym wśród gąszczy jaśminu przystanęli i złożyli go z ramion na ziemię.

— Za łopaty — rozległ się cichy rozkaz Piotra Randone.

Żwawo chwycili za styliska i zaczęli wyrzucać mokre grudy.

Za kwadrans był już dół głęboki.

— Na spód z nim!! — odezwał się ponownie szwajcar. Tossati nie drgnął, nie poruszył się; spał jak zabity fatalnym, żelaznym snem.

Skwapliwe czarne ręce uniosły go trochę ponad ziemię i strąciły w jamę. Głuchy stęk upadającego ciała zlał się z uderzeniem motyk i łopat, zarzucających z powrotem grób. Ludzie pracowali z rzadką gorliwością, jak opętani na wyścigi. Za parę minut dół wyrównano do niepoznaki a świeżo naniesiona i ubita naprędce darń dokonała reszty.

Wtedy odetchnęli; otarli zbrukanemi rękoma perlisty pot z czoła i spojrzeli po sobie dziwnym, zagadkowym wzrokiem. Potem nic nie mówiąc, zabrali łopaty i spiesznie oddalili się ku wyjściu...

Była może druga nad ranem. Począł padać znów deszcz drobny, przesiany jakby przez przetak. Z cmentarnych brzóz spływały mokre różańce łez, ściekając cicho po ścieżkach. Wilgotne gałęzie krzewów gięły oślizgłe wiciny, rozchwiane smutno na wietrze płaczki-żałobnice. Szary blask przedświtu, przeprawszy ścianę drzew, przepatrywał zdziwiony smętną ustroń. Ptaki jakieś złe, oślepłe kirem nocy, załopotały złowieszczo pośród konarów i zaszyły się głębiej między liście. Mżył deszcz, szumiały drzewa, mętniał brzask...

Z bramy cmentarnej wysnuwał się ukradkiem długi czarny orszak karawaniarzy; chód ich ciężki, niepewny, głowy nizko opuszczone na piersi......

STANISŁAW WOMELA.

W NOC ZADUSZKOWĄ.

(Ze spuścizny literackiej znanego poety lwowskiego.)

(Cmentarz. Wieczór zaduszny już się skończył. Ludzi już niema. Tylko tu i ówdzie dogorywają lampki i świece na grobach. W powietrzu i z pomiędzy grobów zrywa się szmer, który wyraźnieje z każdą chwilą i pozwala w sobie odróżnić pojedyńcze głosy).

Duch dziewczyny. Jesteś? Jesteś?

Duch chłopca. Tu, tu jestem. Wypijam ostatek łoju roztopionego z mojej lampki. Boże! jakie to niedobre.

Duch dziewczyny. Mnie nikt nie zaświecił. Cieszę się, ciebie mam.

Duch chłopca. Chodź tu zaraz. Już skończyłem, mogę cię pocałować.

Duch dziewczyny. Idź, wpierw usta obetrzyj o żwir ścieżek naszego ogrodu. Czuć je łojem, ludźmi. Nie całuj mnie jeszcze, nie!

Duch kobiety. Głupie moje dzieci, głupie. Wydaje im się, że mnie kochają. Kłamią same przed sobą, nie wiedząc nawet, że kłamią. Na co mi tych liści i wieńców! Takie gorzkie te liście jak łzy które na mój grób wylały. Każda z nich przez ziemię grobu do ust mi przeciekła.

Duch zbrodniarza. A widzisz, widzisz!

Duch kobiety. Co widzę? Widzę, że sprawili tobie rozkosz zapomnienia. Twój grób ciemny, milczący, bezbarwny.

Duch zbrodniarza. Mnie oni zrozumieli i nie dali niczego na mój grób. Prawdą mnie nakarmili, tak samo jak ja ich za życia.

Duch kobiety. Och, gdyby dzieci moje umiały ginąć dobrowolnie! Gdyby pozabijały się wzajemnie w uściskach!

Duch zbrodniarza. Nie są piękne i nie uczynią tego. Póki się tam jest, nie zrozumie się tego.

(Różne mgliste postacie szepcą z sobą i mieszają się w tłumie widm. Dwaj samotnicy snują się, spleceni wzajemnie ramiony.).

Pierwszy samotny. Chodź tam na to wielkie pole, gdzie świeci księżyc.

Drugi samotny. A czy tam jest ten dół zawistnej miłości, w którym mamy utonąć razem, jako wrogowie?

Pierwszy samotny. Jest, jest. Księżyc świeci tak, jakgdybyśmy jeszcze żyli. A patrz! na środku pola wianek krzów cierniowych obsypanych bogato kwiatami.

Drugi samotny. A w nim dół zawistnej miłości, taki sam głęboki, jak tamten, który nam był wrotami poznania.

Pierwszy samotny. Razem w objęciach chodźmy tam. Tu zaczynają się domy. Szczęście im i nam to samo, choć im tu, nam tam.

(Odchodzą ku dołowi. Nad nim rozpoczyna się walka. Jeden drugiego usiłuje zepchnąć do dołu. Wpadają wreszcie obydwaj wpatrzeni w księżyc. — Na polu rojniej i rojniej; śmiech, uściski, walka w tłumie).

Duch dziewczyny. Całuj już, całuj!

Duch kobiety. Nie będą już płakać!

Inny duch. Giń, słodkie słowo!

Inny duch. Ostatnia chwila, jedyna, ukochana chwila!

Inny duch. Gaśnie światło uciekam!

Inny duch. Ostatnia chwila, jedyna, ukochana chwila!

Inny duch. Gaśnij światło, uciekam!

Dwaj samotni. Inaczej się kochamy, niż przed wspólną śmiercią prawdy.

Zmieszane głosy. Nienawiść, miłość, rozkosz, śmierć.

(Taniec i gwar coraz większy, coraz to bardziej zmącony, ogólny, aż w końcu przemienia się w wiatr, który szeleści zeschłymi badylami mogił).



JÓZEF MĄCZKA: POEZYE ŻOŁNIERSKIE.

Na dalekim Kaukazie, dokąd pociągnął „starym szlakiem" ojców, zmarł Józef Mączka, poeta-żołnierz. Witał już przedświt, pełnego świtu nie doczekał. Ojczyźnie oddał nie pół duszy ni pół serca, złożył jej z siebie całopalenie. Uczynił to bez wielkich słów, właściwych piszącym poezye na tyłach armii. Niema nic z retoryki bohaterstwa ni malowniczości oleodruków piosenka Mączki, sama jedna nagradzająca banalny patos i samochwalstwo rymowanych szarż jego rówieśników. Dlatego to pewnie los, zabijając go tam, gdzie legenda do skały przykuła Prometeusza, naznaczyć chciał widomie, że ta prosta dusza była jednak z pokolenia wykradaczy ognia, z tych, którzy ofiarowaniem siebie przynaglają jutro świata.

Weź serce moje — i złóż u stóp tronu
Twej dawnej chwały — niech paziem Ci będzie!
niechaj w rycerskim się prawi urzędzie,
niech bierze w siebie hart i siłę dzwonu,
co dawnej sławy Twej pamiętny godzin,
wyśpiewa przyszłej godzinę narodzin! —

O Polsko moja! Spraw cudów Twych mocą;
przez Twych objawień wizye pałające —
niechaj się piersi tak moje wyzłocą,
jako Cyboryum, klejnotami lśniące —
iżbym mógł godnie — wśród hymnów anielich —
stawić w niem święty Miłości Twej Kielich!!...

* * *

Niech za nami nikt nie woła!
Niech tam po nas nikt nie płacze!
Górą jasne niesiem czoła —
radość w piersiach nam kołacze,
duma ogniem lica płoni,
że idziemy — jako Oni!

Starym Ojców naszych szlakiem
przez krew idziem w jutra wschody,
z dawną pieśnią, dawnym znakiem,
na śmiertelne idziem gody,
by z krwi naszej życie wzięła
Ta — co jeszcze nie zginęła!

„TRZY MARYJE".

Alleluja! — rozgłośnie dzwon bije —
sen mi dziwny wydzwania w tej dobie...
w szarem polu trzy smętne Marye
przy żołnierza klęczące gdzieś grobie...

W szarem polu, przy żołnierza grobie,
trzy żałosne Marye dziś płaczą —
polską dolą złamane tułaczą,
matka — siostra i dziewczę w żałobie...

„Gdzieżeś Janku, gdzieżeś ukochany, —
żali słyszysz nas w mrocznej oddali?
Noc nad senne zachodzi kurhany —
któż nam kamień tęsknoty odwali?!"...

A wtem jasność je znagła uderzy,
snać nie z tego zjawiona im świata...
nad mogiłą poległych żołnierzy
złoty Anioł Wolności przelata!...

Idźcie — rzecze — do domów, weseli,
którzy martwych płaczecie tu kości...
Już z tych grobów Polska w cudnej bieli
zmartwychwstała do życia w wolności!!!

CZEMU MNIE WOŁASZ?

Czemu mnie wołasz jesieni,
czemu ty płaczesz nademną —
wichrami wzywasz w noc ciemną,
wezbranych szumem strumieni? —

Żali mam odejść daleko
strudzony, krwawy przechodzień,
że smutkiem witasz mnie codzień
i łzawą żegnasz powieką?!

Żalim jest owoc dojrzały
dla śmierci niesytych gumien,
że echem zawartych trumien
pieśni mi twoje zagrały?!

Żali na drogi połowie
na twardym żołnierskim szlaku,
w nieznanych mogił orszaku
miękkie mi ścielesz wezgłowie?!

I przeto płaczesz nademną
wezbranych szumem strumieni, —
przeto mnie wołasz jesieni,
wichrami wzywasz w noc ciemną!

ŚWIĘTO DUCHÓW.

Wspomnienia nocy wigilijnej 1915 roku

Duchów się wielka zwolała gromada
nad wieczernikiem onym: W świateł szumie
w skrzydeł i zbroic wielofarbnym tłumie
zda się — wraz z nami do stołów zasiada...

Dziś szwoleżera możesz za sąsiada
mieć — lub husarza w stalowym kostiumie —
tak ci się w szczęsnej coś marzy zadumie,
tak ci się serce ze szczęścia spowiada...

Zaś gdy się cisza nad stołem pokłoni,
i stoi wkoło dziwna — niepojęta —
tedy jest Duchów rozmowa zaczęta —
Duch-Sąsiad do cię wraz słowem zagada,
albo szklanicą w szklanicę zadzwoni —
a serce pojmie w lot i odpowiada!...

UŁAŃSKIE CZAKO.

Siostrom moim na pamiątkę
wspólnych dziecęcych rojeń.

Brzękająca szabelka i srebrne ostrogi,
koń ułański z rozwianą na wywiadach grzywą
śniły mi się w godzinę tęsknot niecierpliwą,
w czas dzieciństwa mojego szczęśliwy i błogi:

Wiodłem nocą powstańców przez śnieżne zamiecie
albo — z sercem bijącem i rozpłomienionem —
jechałem w świat szeroki pod Napoleonem
szukać sławy — i Polski dalekiej po świecie!

A gdy sen rozmarzone całował mi skronie,
(o naszych snów dziecięcych czarowna pieszczoto)
widziałem Polskę moją szczęśliwą i złotą,
i dziedziniec Wawelski i Króla w koronie!

Wyśniła mi się szabla i ułańskie czako —
i legiony zwycięskie pośród obcej niwy —
i wszystko co marzyłem przyjęło kształt żywy,
chociaż może nie zawsze — nie zawsze jednako...

Więc żyję dziś na jawie, jako żyłem we śnie —
gdzie każdy dzień jest słowem stającej się baśni
i już się dziś nie lękam, że sen się rozjaśni,
przyjdzie jawa — i usta wykrzywi boleśnie....

Tylko nie wiem... gdy głowę położę znużony
gdzieś wśród wrzawy wojennej — na krwawym zagonie,
czy ujrzę w mgłach przedsennych, — w słonecznej koronie
koniec bajki czarownej — w dziecinstwie wyśniony!..

W A M...

Ogień i krew — i łzy i ból —
zroszą zieloność Waszych pól...
Na grobach bujniej wzrosną kwiaty,
polne dzwoneczki i bławaty —
i siny bez...

Kości Wam w plone siejem pola,
iżby się żyzną stała rola,
którąście w pocie czół orali,
i zaoraną polewali
strumieniem łez!

Ogień i krew i łzy i ból
na gwiazdach zlicza Siwy Król —
aniołom złotem pisać każe,
iże już nic ich nie wymaże
z ludzkości ksiąg...

A jeśli spełnim liczby miarę,
tedy Król sny Wam ziści stare:
w radosnej świtów aureoli
ujrzycie Waszej kres niewoli
i koniec mąk!...

MATULI MOJEJ..

A kiedy przyjdzie zbożny czas,
że zmilkną już armaty —
może powrócim obaj wraz
do progów Twojej chaty...

Jako z rodzinnych ongiś niw
wracalim w czas spokojny,
powiadać dzieje kłośnych żniw,
gdy dzień się kończył znojny!

I radość z nami wejdzie w próg
i zmilknie łez niedola —
jeśli pozwoli dobry Bóg,
że wrócim razem z pola...

A kiedy przyjdzie zbożny czas,
że zmilkną już armaty —
może choć jeden wróci z nas
do progów Twojej chaty...

Nie przyjdzie — rzecze — brat ze żniw
całować Twoje dłonie...
powalił-ci go sen wśród niw —
na zżętym hen zagonie!...

W dalekiem polu brat śpi mój,
w skrwawionej legł koszuli...
i medalionik — i list Twój
do piersi zimnej tuli!...

Lecz kiedy przyjdzie zbożny czas,
że zcichną armat grzmoty —
a w dom nie wróci żaden z nas,
w dożynek dzień on złoty —

O Matko ucisz łzy i ból,
a pomyśl w onej chwili:
zapracowali się wśród pól,
toż słodko będą śnili!...

Bo skoro snem ich zmorzył trud —
na krwawej śpiącym grzędzie
Twojego serca jasny cud
przez wieki śnić się będzie!...

DO PAMIĘTNIKA CHORĄŻYNY W. G.

Kiedy powróci mój pan chorąży
z dalekiej wojny w domowe progi...
gdy na nos orli binokle włoży,
by wzrok w te karty utopić srogi,
może mijając tu rym po rymie
w końcu i moje napotka imię...

Przeczyta, wspomni — jakoweś mary...
niby dalekie armat odgłosy...
kapral... żołnierskie śpiewki... pogwary..:
wspomni... poduma... pogładzi włosy —

i — by łzę ukryć schyli się nizko,
dodając: „nie złe było chłopisko!“

A kapral wtedy w dalekim grobie
ręce na „baczność“ mając po sobie,
rzecze mogilnych tonem odmętów:
„Panie chorąży — bez komplementów“...

DZIEWCZYNO MOJA!

Dziewczyno moja — to dziś wiedz,
nie mają mocy twoje czary!
Nie będą lotów moich strzedz
wspomnień mary!

Pieszczą mnie armat gromkie słowa,
polowej trąbki głos...
Dziewczyno moja — bądź gotowa —
nieodgadniony jutra los!

Zawojowała ci mnie wojna,
że jestem ninie jej — nie Wasz...
Dziewczyno moja — bądź spokojna —
jać śmierci hardo spojrzę w twarz!

Lecz gdy mi przyjdzie w polu ledz
z rozdartą piersią pod sztandary...
dziewczyno moja — wtedy — wiedz —
wrócą się władne twoje czary —
u śmierci wrót — u życia miedz —
przylecą ku mnie wspomnień mary...
i sen się przyśni — sen nasz stary
u śmierci wrót — u życia miedz...

CIENIOM POLEGŁYCH

Czekałaś ty ich — o ziemio — w tęknocie
łąk nieobeszłych i lasów i wód,
że przyjdą w krwawej ran swoich spiekocie
spełnić ostatni — życiotwórczy cud!

Czekałaś ty ich przez wieki, o ziemio,
w ponurym smutku twych jezior i błot,
że krew swą młodą w twych kwiatach rozplemią
i orlich skrzydeł przypomną ci lot! —

Czekałaś długo... i byłaś spragniona
ich białych kości rzucanych na wał...
Iżeś jest słaba — i nieutwierdzona
ni gór zaporą, ni granitem skał! —

I położyli swe ciała na głębie
kresowych jezior — i legli jak głaz
stawiąc kamiennem męstwem zrąb na zrębie
fundament mocy ofiarnej — bez skaz!

I są, jak słupy graniczne z kamienia,
z bezcennych kruszców, wbijane do dna, —
na których przyszłe wieków pokolenia
stawią gród Mocy — przeciw wrotom Zła!

Zwłok ich nie płaczą kurhany, ni groby —
spokojnym blaskiem słoneczna toń lśni,
bowiem na szlaku ich niemasz żałoby,
jeno jest tryumf zmartwychwstałych dni!!!...

KRWAWY SPADEK.

A to jest krwawy spadek Wasz,
i krwią pisane ku Wam słowa:
Trzymajcie ziemi onej straż,
gdy przyjdzie zamieć piorunowa...
Nie dajcie szarpać ziemi łona,
gdy krwią dziś świeżą poświęcona!...

Zaś którzy wyszli z pośród Was
i krew oddali swą serdeczną,
niech będą wartą Wam słoneczną
po wszystek czas — po wszystek czas —
I niechaj granic polskiej ziemi
duchami strzegą płomiennemi!...

KIEDYŚ...

Kiedyś... po latach — gdy scichną te fale,
które nas w wirów porwały odmęty,
kiedy opadnie huragan krwi wzdęty
i łzy obeschną i zmilkną już żale —

ze czcią ujmiecie pogięte pałasze
i zawiesicie na ścianach wysoko;
i łzą serdeczną zabłyśnie wam oko,
gdy wam powiadać będą dzieje nasze...

I będzie pełen znów każdy zakątek
polskich relikwij i polskich pamiątek,
I znowu ogniem zapłoną wam lice
w te narodowe, żałosne rocznice —

i w niebo pieśni popłynie orędzie —
kiedyś — po latach — gdy nas tu nie będzie...!

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

20.

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Piotr powracał do siebie w niesłychanym rozstroju. Młot jakiś walił mu w głowie — zmieszanie współ szampan, koniak, białe ciało Marusi ,potworne suche chude ręce poddającej mu ją rozwódki. ta grupa niby antyczna, ta bezprzytomna niemal upojona napojami dziewczyna, te włosy opadłe w nieładzie, ten jęk — — i ten bezwstyd potem, spokój jakiś, zadowolenie grube i ordynarne... I ta uroda — — i ta ohyda — — i ta potworność, czy poczwarność. .

Zdał konia parobkowi bez słowa i poszedł na górę.

Wstręt go zdjął, razem wspomnienie wstrząsającego wszystkie fibry szału rozkoszy...

I — —

Niemógł, w dzieciństwie jakiemś nieśmiał myśleć imienia Donimuntówny, sam sobie to dzieciństwo narzucał, drwiąc z siebie, cóż?

Cóż więc się stało?

Cóż takiego?

Uderzył nogą w ziemię, aż szkło zadźwiękło na stole.

Nie zgarniał go, zostawiał umyślnie — flaszki, filiżanki, szklanki...

Przystawił krzesło i sięgnął ku pierścionkowi Donimuntówny. Dotknął go palcami, ale nie ujmował.

W tej chwili uchyliły się skrzypnąwszy drzwi i ukazał się Bawrowicz. Zmiędły kawaler, w szlafroku, opuchniętą miał nieco twarz z lewej strony.

— U kaduka, słyszę że pan już nie śpisz — niemogłem wytrzymać, muszę opowiedzieć, wyobraź pan sobie, przyjechałem bez pana, gdzieżeś się pan podział i jakeś się do domu dostał? po całej awanturze. Słyszę, słucham — no, wiesz pan, trzeba było drzwi zasłonić materacami — bonfortiuna! Czyś pan przyniósł, czy so?! Zebrało mię — — tylkom klucz z drzwi wyjął i nazad ze schodów — — i

hihihi!!

dostałem w pysk!

Piotr spojrzał z krzesła.

— Jak Boga kocham! Dostałem w pysk! Wszedłem cicho, alkierzyk był otwarty, podchodzę na palcach, a dziesięć rubli trzymałem w ręce — ledwom się odezwał

hihihi!

dostałem w pysk!

Panu jednemu mówię, ma się rozumieć, niemogłem wytrzymać

hihihi!

w moim wieku!

pod słowem, nie mów pan —

— Ania?

— Któżby! Kaduk zatracony!

— A jak ona powie?

— Upuściłem już te dziesięć rubi na podłogę — może nie powie —

— A to może nie powie.

— W moim wieku... Dalipan! Przygoda, co?

— Rzeczywiście.

— Ale czegóż pan u dyabła na krześle stoisz i czego pan po powale szukasz?

Piotr ujął pierścionek i zlazł z krzesła.

— Cóżeś pan tam robił?

— Zdawało mi się, że mi się śrubka przewodu obluzowała.

— Można usiąść? Pan odwoził?

Piotr popatrzał na Bawrowicza ciężkim wzrokiem.

— Nie pytam o nic. Dyskrecya znamię rycerskie. A co prawda, to prawda. Zakasowałeś pan. Frak panu leży — wszyscyśmy to uznali, że pan honor cukrowni przyniósł.

— Cóż chłopi? huzarzy?

— Głupstwo! Porwali się z motykami na słońce! Chamy! Hrabia ich czapką przykryje. Jeżeli już dziś niejest w drodze do generałgubernatora. Czy pan wiesz, co to jest taki hrabia? Po-ten-tat! Po-ten-tat, panie! To nie unser einer, a choćby pan Rzesiński, a choćby Ewaryst Donimunt, o którym wiem, że ma gruby kapitał. Żeby nam dał trzydzieści milionów rubli, toby nas jeszcze za drugie trzydzieści kupił! Zadarli głupio. Będzie kęsim!

Wysączył zimnej herbaty resztę do szklanki, wpakował cukier, dolał resztkę koniaku i zamącił w powietrzu.

Piotr miał go ochotę bez ceremonii wyrzucić za drzwi.

— Daruje pan — rzekł — idę na robotę, muszę się przebrać.

— Hihihi! Do kościółka! A tu — i podjął batystową chusteczkę Marusi z za nogi kanapy oraz brząknął paznogciem po flaszce z szampana.

Piotr wolał w tej chwili znów, że jest. Oddawał jednak przysługę — uwalniał od myśli.

— Puk, puk! w okieneczko,
Otwórz, otwórz panienieczko! czy jak tam —

— Przepraszam. Idę na robotę.

— Bez śniadania? Myślałem, że razem zjemy. Ta szelma! Wstyd mię trochę.

— Wielka rzecz — rzekł Piotr, otwierając Bawrowiczowi drzwi — kawalerski wypadek.

— Właśnie. Jak Boga kocham! Żebym ja jeszcze w pysk dostał... Tylko: cyt!

— Honorowo!

Piotr z pierścionkiem Donimuntówny w kieszeni od kamizelki dużemi krokami szedł na budowę, przygwizdując bez myśli.

Z budujących niebyło nikogo na rusztowaniu. Gromada ludzi obojej płci skupiła się w boku placu.

— Dzień dobry! — zawołał Piotr, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Ci i owi odpowiedzieli.

— Dlaczegóż państwo nie przy robocie? — zapytał Jędrzejowskiego, który stał przed gromadą, podchodząc.

— Pan architekt niewie co się wczoraj w pałacu stało? Przecież pan tam był.

— No więc co?

— Nikt niczego nie pewny. Chłopi swojego nie darują. Nietrza było huzarów sprowadzać.

— Cóż pan myśli, panie Jędrzejowski?

— Tu nastąpi ogólny ruch. A wtedy i my nie pozostaniemy z założonemi rękami.

— Chłopi mają swoje ideały, my swoje — rzekł jeden z murarzy — ale te ideały mają wspólny cel: podział większej własności. Chłopi mają większą siłę, dlatego my musimy baczyć na chłopów. Przy nich siła, przy nas intelligencya, nim się tu rozwinie przemysł na wielką skalę.

— Po co się chłopi wybrali co zamyślali, niewiem. Nie rozumiemy się dobrze, trudno się i zmówić. To już słyszałem, idąc na robotę od jednego furmana, że prędzej tu się zajarzy, nim kto myśli. Wobec tego zaś — ozwał się Bednarczyk.

— A cóż mówią w cukrowni? Jakże się tam patrzą? — zapytał Piotr.

— Jeszcze się niewie. Ale my wszyscy mamy jedno na myśli.

— Będziecie państwo pracowali?

Robotnicy spojrzeli po sobie.

— Jakiż cel byłby powstrzymania się? Nie zaszło jeszcze nic decydującego.

— Chłopi chcą mieć kościół, niech mają — rzekł Bednarczyk. — Przyjdzie dzień, że będą tego chcieli, czego my, towarzysze, chcemy.

— Czy się pan niemyli, towarzyszu? Wasze cele ostateczne są zasadniczo różne, tak jak polna praca od pracy fabrycznej.

— Prawda. Ale jest masa chłopstwa bezrolnego.

— Tymczasem niewidzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy pracować. Zobaczymy, co jutro przyniesie.

Piotrowi zależało na normalnem ułożeniu dnia. Miał przecie pojechać dziś do Łąk oświadczyć się o Donimuntównę.

Cóż pozostawało mu uczynić? Mała jej karteczka wsunięta mu w dłoń drukowała mu się wraźnemi literami w pamięci. Zaufała mu. Chciała go poprostu związać jako mężczyznę. Związać aż do czasu, kiedy się staną nawzajem swoimi. Postanowiła mu oddać wszystko, chciała, aby się wyrzekł cudzego dla niej. Postawiła rzecz jawnie, prosto i prawo. Jej oczy wykluczały kłamstwo. Zatem pozostawało jedno tylko: pierścionek zwrócić.

Dwie twarze, dwoje oczu, dwoje ust, dwie kobiety majaczyły w oczach Piotra. Przeklęta noc!!

Skłamać?

Gdy tamte dwie ochłoną, upamiętają się, będą drżały o reputacyę, zrozumieją, co zrobiły. Nie opętają go i nie oplączą, gdy niezechce. W danym razie starga wszystkie sieci, czy więzy. Ale gdyby zapadły się nawet w otchłań — skłamać wobec Donimuntówny niemożna.

Piotr zastanowił się.

Dlaczego niemożna?

W głębi jego jestestwa była zapora jakaś, która kładła veto. Nic nie mogło jej usunąć. Gdyby nawet nieszczęście wyniknąć miało.

Piotr niechciał tego nazwać uczciwością, niemógł miłością, nieumiał nazwać. Czuł w głębi swego jestestwa zakaz kłamstwa.

Czekała. Wiedział, że nie śpi już. Czeka od rana. Zapowiedziała już może matce i bratu. Spodziewa się go przed południem. Najętym, czy pożyczonym u znajomych w osadzie powozem, w angielskim surducie...

Było bardzo wcześnie. Piotr obejrzał robotę, zapowiedział swoją bytność wkrótce, poszedł do stajni, okulbaczył konia i jak stał, wsiadł na siodło. Niemógł wytrzymać.

Wyjechał wolno w pola, zjechał na łąki hrabiowskie, zsiadł i położył się na trawie, zarzuciwszy cugle za łokieć. Koń począł się paść. Godzina za godziną mijały. Słońce, ciepłe i złociste, wschodziło coraz wyżej, na niebo. Jedną żuł Piotr myśl: nie skłamać.

Chwytał go żal, serdeczny i wielki żal. Epizod z Marusią nie pozostawił żadnego śladu, oprócz odwagi wyrwania wszystkiego, co mógł spowodować. Myśl, że zwróci Donimuntównie jej mały złoty pierścionek, w który go chciała okuć dla siebie i w którym, mniema, że okuła go, poczęła go boleć, boleć coraz głębiej i mocniej.

Kochała go i przywiązała do siebie. Jedno bardzo mógł widzieć, drugie silnie i tkliwie, czuł to. Zdał sobie teraz sprawę: na próbie. A jednak niebyło innej drogi.

Chwilami usiłowało go ogarnać przejście do porządku dziennego, zanegowania, zlekceważenia wydarzenia nocy, ale napróżno.

To, co się wydarzyło, było prawie nieprawdopodobnem. Przeżył moment taki niesłychany, że sam weń ledwo wierzył. Niemniej przeżył go. Zmarszczył i ściągnął brwi. Sytuacya była trudna nad wyraz. Uwiódł bez intencyi osobistej, z winy siostry, ani z wolą, ani bez woli Marusi — czy złapano go?

Otóż nie. Ani Przesiewicz, ani Przesiewczowa schwytali go na gorącym uczynku. Było to, co było, co zaszło.

Godzina za godziną mijały, to jedno ochłaniało, przenikało, że winien był pierścionek zwrócić.

Lecz Przesiewiczówny widziały pierścionek. Nie rozpowiedzą — ale nie rozpowiedzą za cenę zabrania go sobie.

Przeklęta, podwójnie przeklęta noc!

Niebyło się co wahać. Siadł na konia ponownie i ruszył ku dworowi w Łąkach.

Jechał wolno, po co? Zapytać się, jak powróciły wczoraj, czy szczęśliwie? czy bez wypadku? Czy emocye wczorajsze nie zaszkodziły? Radby był konia cofać. Był przekonany, że zdruzgotało się coś nieocenionej wartości, coś, czego nigdy nie posiadał przedtem i co się nigdy ani nie odnowi, ani nieda się naprawić. Czy zdruzgotał własną ręką, jak wymyślny bohater romantyczny, czy choćby romansu? Nie, najprościej zdruzgotało mu się w rękach, jak druzgoce się poprostu mnóstwo spraw świata. Inaczej rzeczy poszły, znalazłszy pierwszą z brzegu okazyę, i to wszystko.

Podjechał pod zajazd i kazał się dowiedzieć, czy może zapytać o zdrowie po wczorajszych przejściach.

Poproszono go.

Nina Donimuntówna wyszła naprzeciwko niego blada i ze ściętemi ustami; przesłane zapytanie wskazało jej, że nie po nią przyjechał. Zrozumiał to i strój jego niepotrzebował niczego tłomaczyć. Zdumieni również spojrzeli na niego Donimuntostwo, widocznie przygotowani. On uczuł się dziwnie swobodnym. Przeprosił za toaletę, ale zjechał z roboty, wypadek nocy wczorajszej był wykraczający poza wszystko. Z uprzejmych odpowiedzi rodziny niemógł poznać ani czy byłby przyjęty, ani czy byłby nieprzyjęty, również w jaki sposób. Widocznie zrozumiano, że coś zaszło. Gdyby wiedziano! Skandal — wstrętne, nędzne, nikczemne słowo. Kimże był? Jeszcze niewiadomym bohaterem skandalu!Był tem swobodniejszy i tem naturalniejszy. Nie przeszkadzała mu kuzynka hrabiego, która pojechała z balu z Donimuntami, gdyż ta została już zaraz rano odwiezioną podług życzenia do najbliższej stacyi. Doradzał, aby odjechano z Łąk, na pewien czas, do Kijowa. Niemożna taić przed sobą, że mogą zajść niepokoje.

C. d. n.

CHARLES PÉGUY.

BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY POLEGLI.

Błogosławieni,
którzy polegli za ojczyznę ziemską,
wszakże, jeżeli w słusznej padli sprawie;
którzy polegli za swe cztery kąty,
którzy polegli śmiercią tak dostojną.

Błogosławieni,
którzy polegli czasu wielkich bitew,
padłszy pod słońcem w obliczności Boga.
na ostatecznym legli podwyższeniu
wpośród przepychu pogrzebnej wystawy

Błogosławieni,
którzy polegli za ojczyste grody,
będące ciałem ojczyzny niebieskiej;
którzy za własne polegli ogniska,
za ubożuchną część rodzinnych domów.

Błogosławieni,
którzy polegli, bowiem powrócili
w pierwotną glinę pramacierzy ziemi;
którzy polegli broniąc słusznej sprawy;
błogosławieni, jak pożęte zboże!

Z cyklu „Ewa“ przełożył
Józef Andrzej Teslar.



JULES LAFORGUE.

TWARZE ZMARŁYCH.

Porzućmy złudy marzeń, światła, co są cieniem
Rozumu, — dobrze znane, nikłe argumenta...
Wspomnijmy naszych zmarłych, jak serce pamięta;
Sam na sam, małą chwilkę, żyjmy z przeznaczeniem.

Pamiętasz, jakiem smutnem żegnał nas obliczem...
W kosmiczne sięgał głębie... miał przeżarte płuca...
Gdzież jest teraz? Co cieszy, a co go zasmuca?
Wiem... ciało leży w grobie, ale duch, czyż niczem?

Gdzie duch, którego zdawna znudził bóg wszelaki,
Ten duch, który nie pragnął odpoczynku w niebie.
Ale tęsknił i roił sny przyszłości ziemi...
Czyż z tej piersi wyleciał kędyś w JUTRA szlaki?
O patrząc na te kości warto spytać siebie,
Z czego się czaszka śmieje usty bezzębnemi...

Z „Sanglots de la terre“
przeł. Fr. Mirandola.



RYS. TAD WAŚKOWSKI.

FRANCISZEK MIRANDOLA.

WARUNEK ZWYCIĘSTWA*)

(Rozmowa umarłych.)

Der alte Fritz: Herein! A, to pan Don Juanie? Enchanté de vous voir! Doskonale żeś się pan zjawił. Właśnie suszę sobie głowę nad pewną sprawą... która podpada zresztą pod specyalność pańską...

Don Juan. Zaliż i w niebie nawet nie zaznajesz W. K. Mość spokoju?... Ja, próżnuję! Nie interesuję się niczem... korzystam z przywileju nieśmiertelnych...

Der alte Fritz. Gadasz Waszeć, byle gadać... To być nie może... Świat się przewraca do góry nogami!... Patrzę przez lunetę i wściekam się...

Don Juan. Stokroć lepiej grać na flecie. Zaszczyć mnie W. K. Mość jakimś utworem...

Der alte Fritz. Zawsześ Waszeć był wiercipięta i wartogłów. Słuchaj! Oni się tam biją jak wściekli, a pojęcia nie mają o wojnie! Snadź duch mój nie panuje już nad światem...

Don Juan. Trudno! Postęp! Mimo to jednak, pozwolę sobie zaoponować. Duch W. K. Mości nie przestał władać wśród byłych poddanych. Wsadziłeś im W. K. Mość do czaszki kasarnię i tkwi ona tam po dziś dzień. Powołując się na prawa pozaziemskiej równości, posunę się do twierdzenia, żeś W. K. Mość okulbaczył i sponiewierał ich ducha tak gruntownie...

Der alte Fritz. ...Właśnie, właśnie... o to idzie. Każdą siłę należy opanować, ująć w karby... Jestem z tego dumny. Co zaś dotyczy onego „sponiewierania", to jesteśmy chyba kolegami! Któż lepiej od Waszmości spostponował miłość? Kopnąłeś kobietę nogą. Ukazałeś światu iż pogarda wzmaga jeszcze i wyolbrzymia uczucie. Byłeś większym niż ja tyranem i cynikiem. Kocham cię za to! Nienawidziłem zawsze kobiety! Biografowie moi posądzają mnie nawet o sympatyę z Eulenburgiem... ale to blaga... blaga... Wracając do rzeczy... Kochany Don Juanie, poradź mi...

Don Juan. Ja... radzić? Czyż jest coś czemuby nie sprostała pięść żelazna W. K. Mości?

Der alte Fritz. Rzecz to wielka! Tego nie robi się pięścią. Idzie... o dzieci!

Don Juan. Ach... racya! Tego nie robi się pięścią...

Der alte Fritz. I dobrze żeś przybył, władasz bowiem właśnie tym...

Don Juan. Masz W. K. Mość słuszność!

Der alte Fritz: ...tym zakresem umiejętności, jesteś znawcą, posiadasz wielką zręczność i doświadczenie!

Don Juan: Ba!... Zważyć należy, że czasu minęło sporo... Nie wiem czy W. K. M. nie przeceniasz mych sił! Ileż tych dzieci potrzeba?

Der alte Fritz: Około trzynastu milionów!

Don Juan: Do stu dyabłów! Nie dam rady! A pocóż tyle?

Der alte Fritz: Te durnie, tam na dole marnują ogromne ilości materyału ludzkiego, ...zaś Ameryka...

Don Juan: Trudno. Epoka rządów demokracyi! Każde głupstwo robi się masowo, nie tak, jak za naszych czasów, prawda?

Der alte Fritz: Słuchajże. Przy tej ich dziecinnej strategii, nie jest wykluczone, że wojna potrwa lat pięćdziesiąt. Wszak cały świat nas nienawidzi...

Don Juan: Z wyjątkiem mnie i mojego kraju W. K. Mości!

Der alte Fritz: Bardzoś uprzejmy, ale co do twej ojczyzny, nie wiadomo, jak to długo potrwa. Wszakże już wyciągacie łapy po moje okręty...

Don Juan: Drobiazg. Zwyczajna zamiana za

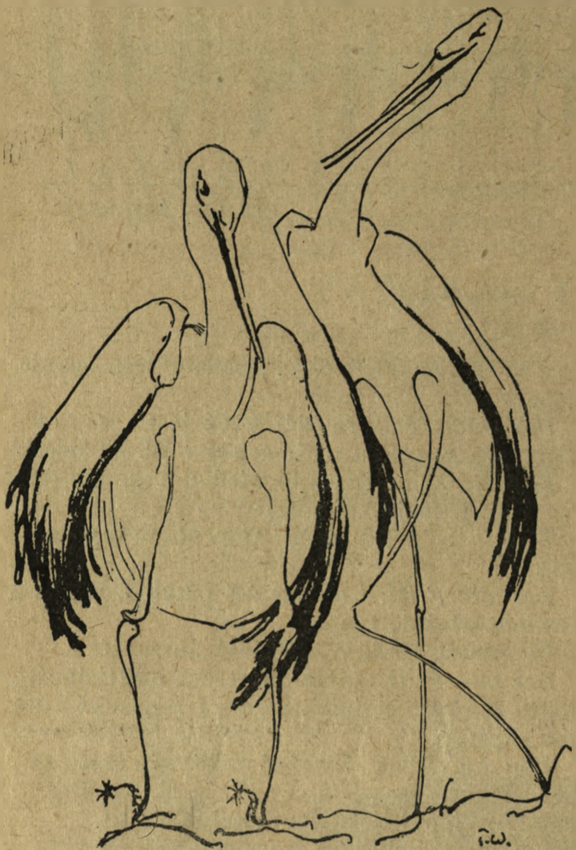
---

*) Ratunek, który autor obmyślił dla zbawienia mocarstw centralnych dwa miesiące temu ukazuje się z winy cenzury ze znacznem opóźnieniem. Stąd niektóre aluzye tej rozmowy mają już znaczenie retrospektywne.

nasze potopione statki... Kwestya ambicyi narodowej...

Der alte Fritz: Przypuśćmy, ale nie wiem, czemu Waszeć osobiście masz mnie kochać?

Don Juan: Zarówno W. K. Mość jak i ja okazaliśmy światu, że człowiek jestto zwyczajne bydlę, z którym można robić co się chce. Czyż inaczej możliwą byłaby ta wojna światowa? Zaprawdę, nie wiem co bardziej podziwiać, czy rozum człowieka XX. wieku, czy jego głupotę? Ten eksperyment, który my, każdy na swój sposób uczyniliśmy ongiś, powtórzono teraz w rozmiarach gigantycznych. Wydaje mi się, że i W. K. Mość i ja byliśmy skromnymi jeno uczonymi, badaczami, którzy w zaciszu swych pracowni czynią doświadczenia nad podłością ludzkiej natury. Owoc naszych badań, to ów orkan szaleństwa wiejący poprzez rozłogi kuli ziemskiej.


RYS. TAD. WAŚKOWSKI

Der alte Fritz: Masz pewnie racyę... ale nie lubię analizy. Kochasz mnie, to dobrze! Przeto poradź!

Don Juan: Proszę niech W. K. Mość określi mi ściśle samo zło.

Der alte Fritz: Poprostu: przyrost ludności odbywa się w tempie coraz to powolniejszym, zaś wojna domaga się, o ile mamy zwyciężyć, milionów rekruta co roku.

Don Juan: Hm... Czyż nie jestto przypadkiem jakaś intryga angielska?

Der alte Fritz: Być może... bardzo być może! Wiesz co Waszmość... to jest słuszna uwaga! Teraz przypominam sobie, że „Deutschland" za pierwszym powrotem swoim przywiozła samą jeno gumę... Masz racyę!... Oczywiście gumę tą przerobiono zaraz na obręcze automobilowe...

Don Juan: Czytałem, że obręcze te pono znikły w sposób niewyjaśniony dotąd...

Der alte Fritz: Mości Juanie... jesteś genialny! Jesteś jasnowidz!... Tak, zaiste... przepadły... Nie ulega kwestyi... to jest angielska intryga... Mości Juanie... to nie może pozostać bez nagrody... Czekaj...

Don Juan: Co chcesz czynić W. K. Mość?

Der alte Fritz: Telefonuję... telefonuję natychmiast... Należy ci się: „pour le mérite".

Don Juan: Wstrzymaj się W. K. Mość... nie chcę dostać nagrody lotnika za lotność umysłu...

Der alte Fritz: ...Dam ci tedy perukę z własnoręczną dedykacyą!

Don Juan: Dzięki! Przyda się... wyłysiałem, a tu straszne przeciągi...

Der alte Fritz: A teraz radź... radź kochany Juanie, wysil cały twój spryt!

Don Juan: Produkcya rekruta odbywa się obecnie w sposób przypominający wolny handel z czasów pokoju... Zachodzi ogromna dowolność, brak koordynacyi i wyzyskania sił. Marnuje się wielka ilość materyału surowego.

Der alte Fritz: Racya... i cóż?

Don Juan: Nie każda zdatna na matkę kobieta jest produkcyjną, a także mnóstwo pierwszorzędnych... ojców nie zostawia potomstwa!

Der alte Fritz: Otóż to!

Don Juan: Państwo zajęło środki żywności i środki niezbędnej potrzeby. Ludzie zostali zmuszeni do biernego posłuchu i... poddali się.

Der alte Fritz: Zupełnie jak krowy, konie, świnie etc. Wynika to z naszych eksperymentów, jak Waszeć mówiłeś...

Don Juan. Odjęto im jadło od ust, zdarto z grzbietów odzież, z nóg obuwie, światło z przed oczu zabrano, pozbawiono opału... a oni się poddali...

Der alte Fritz: Hołota... Cała ludzkość nie warta mojej peruki...

Don Juan: Skoro zgodzili się na tamte prywacye i zacieśnienie tak dotkliwe własnej woli, zniosą i resztę... Należy wydać rozporządzenie, mocą którego państwo zajmie na rzecz armii siłę męską i zdolność rozrodczą całej ludności oraz zorganizuje produkcyę, wedle najnowszych zasad antropotechniki, przy możliwie najoszczędniejszem wykorzystaniu surowca.

Der alte Fritz: Weź mój flet! Weź drogi Juanie! Jestto najdroższa rzecz jaką posiadam!

Pomysł genialny... pomysł niesłychany! Jest on doniośłejszy, jak zajęcie Paryża... Mianuję cię...

Don Juan. Za pozwoleniem... Nie przyjmuję nominacyi, ani fletu. Z jednem, ani z drugiem nie miałbym co począć...

Der alte Fritz: Tylko... czy oni to zniosą? Wszakże tak postępuje się z bydłem...

Don Juan: Więc nie ufasz swoim byłym poddanym? O, W. K. Mości ja zaręczam słowem za ich wierność... Wszakże to są Prusacy! Zaprawdę nie doceniasz W. K. Mość swego własnego dzieła! Wspomnij panie na nasz eksperyment życiowy.

Der alte Fritz: Przystąpmyż do szczegółów.

Don Juan: Przedewszystkiem nastąpi powołanie osobników w wieku rozpłodowym... Każda para uznana za „geeignet“ otrzyma swój „Nachweis-Bogen“ i swój numer.

Der alte Fritz: Zaczekaj! Taką rzecz musi uchwalić parlament. Czy znajdzie się większość?

Don Juan: Nie ulega wątpliwości! Wszakże uchwalano dotąd najdziksze rzeczy, najokropniejsze, przeciw całemu społeczeństwu skierowane ustawy, kredyty samobójcze, wywłaszczenie obywateli, słowem głupstwa i zbrodnie. Pomyśl tylko W. K. Mość... Przy dzisiejszej ordynacyi wyborczej i poparciu „partyi ojczystej“ wszystko możliwe. Ostatecznie można ustanowić order „pour les brutes“ i wydać dekret rozstrzeliwania „płodospędków“ i „darmożeńców“.

Der alte Fritz: Prawda... Zdaje się, że to pójdzie... Nabieram otuchy...

Don Juan: Po zakończonym „Musterunku“, skasernuje się całe społeczeństwo i podzieli na grupy: A) zdatnych do służby intenzywnej i B) zdatnych do służby zastępczej w określonej częstości. Pozatem założy się registraturę, zaprowadzi karty, t. zw. „Dienstleistungsnachweise“. zorganizuje kontrolę wyposażoną w aparaty optyczne dla śledzenia obowiązanych do służby... słowem postawi się rzecz na nogi.

Der alte Fritz: Wybornie... tylko... widzisz... i ja, chociaż nieboszczyk uległem t. zw. „duchowi czasu“. Otóż obawiam się biurokratyzmu, który wszystko zabagnia... Czy aby pójdzie to wszystko dość szybko?

Don Juan: Czas wojenny... możemy użyć środków niezwyczajnych. Wydamy stosowne rozporządzenie. Wiadomo, że lata służby liczy się na wojnie w dwójnasób. Nic tedy łatwiejszego jak powiedzieć: „Skraca się okres ciąży o połowę. Ma trwać odtąd cztery i pół miesiąca“. Jak W. K. Mość widzi, zyskujemy przeto 100 procent rekruta.

Der alte Fritz: Za pozwoleniem... coś mi przyszło na myśl. Zacny Don Juanie, zważ proszę jedno: W ciągu tych czterech lat wojny europejskiej stale powtarza się pewne zjawisko. Oto ile razy państwo położy na czemś rękę... rzecz owa nagle znika, jak kamfora. Bacz na me słowa. Wszystko ulatnia się, zboże, odzież, cukier, środki spożywcze ba... znikają nawet artykuły, co do których zachodzi dopiero możliwość zajęcia. Wydaje się, jakoby inicyatywa prywatna stawała do rozprawy ze zbiorową wolą ucieleśnioną w państwie. I na to niema rady. Zamykanie poszczególnych paskarzy nie odnosi skutku. Jawią się oni masowo we wszystkich sferach. W miejsce jednej głowy hydrze uciętej, odrastają tysiące. Mimo całego zaufania, jakie mam do spadkobierców mego ducha, mimo przekonania, że wszczepiony im *virus invisibile* żywie w ich duszach, nieśmiertelne, albowiem nieuchwytne... mimo wszystko... boję się!

Don Juan: Słuszna uwaga! Zachodzi rzeczywiście obawa magazynowania kobiet w ilościach znacznych, dla podaży w celach antypaństwowych, nieproduktywnych...

Der alte Fritz: Prawdę powiedziawszy to Waszeć sam za życia uprawiałeś z upodobaniem ten nieproduktywny sposób... Jesteś klasycznym przykładem „sztuki dla sztuki“...

Don Juan: No rzeczywiście... tak było dawniej... Ale dziś, wobec światowego kataklizmu...

Der alte Fritz: Zwyciężyłem, skoro nawróciłem nawet ciebie!

Don Juan: Nie trudno nawrócić nieboszczyka W. K. Mość! Zresztą stoję na stanowisku „życzliwej neutralności“, a przeto nie odmawiam rady... Ale wracajmy do rzeczy.

Der alte Fritz: Wracajmyż tedy... Jakiż jest więc najskuteczniejszy sposób na paskarstwo?

Don Juan: Przywrócić wolny handel... Innego nie widzę...

Der alte Fritz: Nie widzisz?... Ładna historya... To może cała rzecz na nic... choćby ten tam jakiś wojenny parlament nawet i uchwalił...

Don Juan Pomyślę... Hm... Nie, nie... Te kanalie, ludzie nadto gorliwie poszły w moje ślady... W. K. Mość... zdaje mi się, że wszystko na nic!

Der alte Fritz: Ależ ja potrzebuję dzieci... rozumiesz?

Don Juan: Bardzo mi przykro...

Der alte Fritz: Do kroćset tysięcy! To jest przecież warunek zwycięztwa! Rozumiesz Waszeć?

Don Juan: Niestety tak! ...A szkoda... straciłem ciepłą perukę!

PRZEGLĄD

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

„Wyzwolenie“ Wyspiańskiego.

Dyrektor teatru, który sam sztuk nie pisze, może czasem doborem repertuaru otworzyć perspektywy dramatyczne. „Wyzwolenie“ Wyspiańskiego — w 25 tą rocznicę teatru krakowskiego, mimowoli nasuwa takie właśnie okazyjne perspektywy, wybiegające poza intencye Wyspiańskiego. Bohaterem jest scena polska, na której każdy autor dramatyczny na swój sposób chciał dołożyć to cegiełkę, to ornament do przyszłego gmachu Polski. Bohaterem jest nie tylko dramat ale cała sztuka polska w stosunku do zagadnienia Polski, dziś niby to już rozwiązanego. I wogóle w „Wyzwoleniu“ rozgrywa się symbolicznie dramat stosunku sztuki do czynu. Sztuka jak zawsze, zwłaszcza polska, okazuje się chętną, pokorną pokutnicą, gotową brać na siebie najcięższe winy, spełniać katorżne posługi. Żeby tylko rzucić okiem na niektóre zakątki twórczości Żeromskiego, tam, gdzie piękno, zbytek i szczęście chylą pokornie głowę przed niedolą i krzywdą.

Skończyła się ta — zawsze fikcyjna — potrzeba abnegacyi. Polska zrobiła karyerę przeciętną, prozaiczną o jakiej mówi Konrad w drugim akcie, gdy wypiera się Polski nadzwyczajnej. Ale nie jest to ta karyera, o jakiej marzyli romantycy i nawet sam Wyspiański, ów pseudoantiromantyk, gdy spodziewał się, że z odemkniętego teatru wyleci na świat Konrad i zawoła: Więzy rwij! Tak się nie stało. Skończyły się i nie ziściły piękne sny umęczonego więźnia, robiącego gwoździem podkop pod mur. Przyszedł zwykły klucznik i otworzył mu drzwi. Śmiem twierdzić romantycznie, że przez to przepadły bezcenne wartości duchowe dla Polski. To był okup. Niestety reżyserowie tego świata nie znali się na teatralnych efektach historyi. Byli za małoduszni, aby zaaranżować wyzwolenie Polski według jej marzeń. Za to spotkała ich kara. I to nie kara, którą zsyła „deus ex machina“, lecz kara organiczna, bo ta małoduszność właśnie, ten brak poczucia dramatu stał się ich zgubą. Co prawda, oni sobie może ten dramat w inny sposób wyobrażali. Ale przyszedł „sentymentalny“ dramaturg z za oceanu, który zaaranżował zmierzch Nibelungów, i pokrzyżował im dramat według ich recepty. A mówię o dramatach, bo wszelka działalność ludzka, także polityczna ma w sobie pierwiastek teatralny (co bynajmniej nie znaczy: komedyancki, to jest obłudny, popisowy). I wszyscy europejscy politycy, i tzw. ludzie czynu, wogóle okazali się złymi dramaturgami: ludźmi z fantazyą ciasną brudną, lecz arogancką. Zdołali tylko zepsuć cały materyał, wytworzyć chaos. O, nietylko w Niemczech, ale wszędzie. Są to ci sami, którzy nieraz wtrącali się do poezyi, dyktowali jej różne przepisy grzecznego zachowania się, denuncyowali ją za różne rzekome grzechy. A cóż oni pokazali? Co oni robili przez tak długi czas? Czem się oni wylegitymują przed poezyą? Jaka była ich twórczość? Czyż nie zostali wszyscy jeden po drugim zdezawuowani w tej „commedia del arte“, którą była wojna?

Dziś p. Siedlecki w przedmowie do nowego wydania swego „Wyspiańskiego“ odważa się stwierdzić, że „romantyzm nie byłby nic umysłowości polskiej zaszkodził gdyby tętno romantyczne brali

w siebie ludzie szczerze praktyczni" i przytacza jako przykład Finów, lubujących się w poezyi swojej „Kalewali" a mimo to praktycznych. Tak to się mówi dziś, gdy się jest w bezpiecznym domu, ale próba na to nie przyszła. Tragedya polska została nie rozegrana lecz przerwana. W tej atmosferze, jaka panowała w Polsce przed wojną, takie powiedzenie było niebezpieczne. Proszę sobie tylko przypomnieć filipiki Brzozowskiego na „polskie Oberammagau" lub Nowaczyńskiego „Nowe Ateny" to zarystofanizowane i zlokalizowane „Wyzwolenie". Dziś Żeromski sam (ku wielkiemu zgorszeniu prof. Piniego) twierdzi, że nastał już czas wyemancypować polską poezyę z pod wpływów polityki. A chyba on jest tu kompetentnym. I tak stoi jego świadectwo przeciw Wyspiańskiemu: jeden nazywa poezyę tyranem, drugi tyranizowaną niewolnicą. Rozwód jest tu widocznie potrzebny — wyzwolenie dla obu stron. Jak się poezya polska zachowa wobec polskiej niespodzianki, jak podejmie dawną nić i czy ją podejmie, czy raczej nawiąże nową? Zobaczymy. Na razie zanosi się na coś jak w tej bajce o Biedzie, która z biedaka przeszła na bogatego. Bo gdy u nas dogasł aktywizm litracki, w Niemczech właśnie się zaczął. Będzie on z pewnością gruntowniejszym od polskiego. Nie potrzebujemy im odstępować swojej martyrologii, bo mają jeszcze swoją dawną w magazynie, a resztę sobie uzupełnią, albo pożyczą od Francuzów, tę z czasów po 1871. A będzie to dla nas specyalnie ciekawe widowisko — to ich literackie lizanie się z ran. Zresztą nietylko literackie.

Z przyczyn wymienionych w artykule o projekcie Akademii Literackiej nie pisuję o reżyseryi i aktorach. Dzięki temu wyjątkowe odstąpienie od tej reguły może mieć pewną wagę i wartość. Bez analizowania przyznam się, że byłem przedstawieniem „Wyzwolenia" zaskoczony: nie spodziewałem się tak silnego wrażenia. Nie lubię wprawdzie, gdy się powodzenie sztuki przypisuje steoretypowo reżyseryi i aktorom: w większości wypadków jest to nieprawdą. Ale w tym wypadku jeden i drugi czynnik ma do rozwiązania zadania tak niezwykłe. Prawie nasuwa się paradoks: że teatr krakowski lepiej pokonywa zadania niezwykłe, niż przeciętne. Ale tak jest wogóle ze sztuką polską, której brak „stanu średniego".

Gdy się gra głębi z przekonania, to ze sceny płynie fluidum, które się udziela widzowi. Ten charakter miało wystawienie „Wyzwolenia", nawet w scenach absolutnie niescenicznych. Co do p. Nowakowskiego, który grał Konrada, to można powiedzieć, że obok wrażenia, które wywierał, jako aktor zaznaczało się jeszcze — dyskretnie, lecz nie mniej silnie — to wrażenie, które wywierał, jako człowiek. Wziąć w swoją pierś taką rolę tytanową (tzn. jeszcze nie tytaniczną), zsolidaryzować się z nią radośnie bez reszty oporu — na to potrzebny jest więcej charakter ludzki, niż talent aktorski. Może nikt nie wyczyta w tem ujmy, lecz największą pochwałę, gdy powiem, że grał jak doskonały amator. Co prawda, w tem wrażeniu wielki udział ma to, że jest to aktor, który grał dotychczas role epizodyczne; działa więc także świeżością nowego „ja", w którem widz nie nauczył się jeszcze rozróżniać indywidualnych ruchów, spadków głosu itd. Specyalną niespodzianką był dla mnie akt z maskami, który dowiódł, że sam proces myślenia może być scenicznym. Warto zresztą wspomnieć, że monolog, wyparty ze sceny przez dramat naturalistyczny, teraz na nią powraca w dramacie ekspresyonistycznym. I powinien wrócić, bo ani aktor ani scena nie powinna pozbywać się tego szczególnego efektu, na pozór tak sprzecznego z istotą sceny. Ale i „istotę sceny" przesądzono, jak wiele innych istot. — Ale w walce z Geniuszem p. Nowakowski nie wystarczył. Zdaje mi się, że powinno się nie wejść na scenę, lecz wpaść, niby na ratunek, choć gest wpadnięcia jest gestem trudnym i choć się niesie pochodnię; zdaje mi się też, że mocne słowa niekoniecznie ma się wygłaszać mocnym głosem. — Zresztą w tej scenie pokazuje się zauważona trafnie przez p. Siedleckiego przewaga teatralności nad dramatycznością w sztukach Wyspiańskiego. Dlaczego Konrad ma zwyciężyć nad Geniuszem, niewiadomo; „prawo żywota" i widok zgnilizny w podziemiach nie wystarczą w sztuce allegorycznej a więc dyskusyjnej. Autor „Snu Cezary" byłby nazwał zachowanie się Konrada krzykliwą awanturą.

Przy lekturze „Wyzwolenia" wrażenie wzniosłości niemile mącą ustępy, które świadczą o megalomanii (można być wielkim a równocześnie megalomanem) a nawet kokieteryi. W przedstawieniu to się zaciera. Dominuje wrażenie eksperymentu teatralnego, którego fragmenty uzasadniają racyę szukania nowej drogi. Wyspiański nie był jej mistrzem, lecz natarczywym, despotycznym pionerem.

Karol Irzykowski.

„Dla szczęścia" Przybyszewskiego.

Powszechne jest zdanie, że jestto utwór świetnie zrobiony, ale ideowo dla nas już przebrzmiały. Mam pewne wątpliwości, czy tak jest i oto parę uwag na uzasadnienie.

Zarodkiem utworu, naokoło którego wszystko inne narastało, a zarazem jego całym blaskiem jest sytuacya końcowa, streszczająca się w tem, że Mlicki chociaż nurza się w życiu poza dobrem i złem, nie może wytrzymać tego, że przyniosą do niego zwłoki Heli: tak „przeznaczenie puka do drzwi". Patetyczność została tu wcielona w wydarzenie wcale nie naciągnięte (pomijam motywowanie przyniesienia zwłok mściwością Żdżarskiego). Scena jest zupełnie naturalna i zupełnie wymowna. Działa, bez względu na autorskie naświetlenie pobudki i cały splot wymowy poetyckiej, siłą faktu. Uduchowiona codzienność. Możnaby sądzić, że posiadłszy taką sytuacyę Przybyszewski, owa uosobiona bujność, żywiołowość i potęga biologiczna, i podobno mistrz techniki dramatycznej, zrobi coś, co będzie miało ową „ogromną obecność", o której gdzieś mówi Goethe, że, cokolwiekby powiedziano o kośćcu ideowym, na którym ciało tego utworu jest oparte, samo to ciało będzie pulchne, jędrne, tryskające życiem. Wiemy, że tak nie jest. Lecz przyjrzyjmy się nieco robocie. Przedewszystkiem robota pierwiastkowa, utajona, to jest dobór pomysłów drugorzędnych, które mają przylegać do głównego na jego większą chwałę. Otóż aby rozszerzyć i wzbogacić treść, autor szeroko zaprowadza owo dręczenie Mlickiego przeszłością Ali, rozniecaniem jego zazdrości retrospektywnej. Co to ma wspólnego z rewolucyą sumienia Mlickiego co do Heli? To wszystko jest wzięte z zupełnie innych źródeł i powstaje przez to utwór-potworek, w którym biją dwa serca. Czy wypływa to z nadmiaru zbytniej bujności autorskiej? Przeciwnie. Zdradza to brak gorącego przejęcia się główną ideą, brak namiętności dla głównej treści utworu. Autor sięga po motywy tu i tam na podstawie rutyny literackiej i zależności od wzorów. A więc w rezultacie: chłód u Przybyszewskiego? Tak jest, chłód i obojętność.

Drugą wadą utworu jest chudość, jałowość i monotonia zewnętrznej jego powłoki, to jest dyalogu, ruchu myśli. Autor obrał manierę dyalektyczną Strindberga wraz z takim rezonerem, który party własnym egoizmem wwierca się w skrytości duszy innych osób i wydobywa je na jaw. Ale owa „postępowość", na którą nastaje Żdżarski, nie żyje w dramacie, nie zuchwali się, nie czuje się jej blizkości i potęgi. Skutkiem tego owa końcowa sytuacya traci na znaczeniu, bo wrażliwość sumienia Mlickiego nie wyrasta z odmienego podłoża. Wszyscy już wiedzą o tem i czekają na to. Niema samorzutności zdarzenia psychicznego, nie jest ono czemś nowem i jedynem.

Granie takiego dramatu, w którym tajne tendencye utworu kłócą się z tem, co jest w nim uświadomione i uzewnętrznione, nastręcza różne trudności. Czy iść za cechami zewnętrznemi, czy za tajnemi możliwościami? Weźmy przykład. Znane jest miejsce (wytknął je jeden z recenzentów), w którem Zdżarski straszy Helę przywidzeniem nocnem. Aktorka robi w tem miejscu przerażenie, a recenzent śmiał się za to z autora. Ale rzecz można rozważyć inaczej. Hela może przejmować się nietyle majakami Żdżarskiego, co jakiemiś pokrewnemi przejściami własnemi, być więc nie przerażoną, lecz raczej zapadać w zadumanie i zaniepokojenie wskutek własnych wspomnień i bez strachu cicho prosić go, aby jej nie dręczył. Żdżarski, co prawda, wyszedłszy na tem jako mniej jasnowidzący, ale podświadoma tendencya utworu lepiej by się uwydatniła.

Ale czy niema w tem sprzeczności, że ktoś stara się drzeć na strzępy utwór a mimo to każe go grać z pietyzmem i wynalazczością. Nie zdaje mi się, żeby tak było. Poza publicznością, poza teatrem, aktorami i recenzentami są jeszcze polscy autorzy dramatyczni, szczególnie ci, którzy się dopiero rozwijają i jest jeszcze ciągłość rozwoju dramatu polskiego. Dla nich jest ważną rzeczą, żeby utwór wnoszący nowe elementy do dramatu polskiego, chociażby był chybiony, przedstawił się w najsilniejszem odtworzeniu wszystkich swoich zalet, czyli żeby cały akt artystyczny rozegrał się przed nimi w pełnej czystości.

Emil Gross.

KRAKÓW · 10 · LISTOPADA · 1918 ZESZYT · 32

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



VL. HOFMANN *JAN AUGUST KISIELEWSKI (1913).*

JAN AUGUST KISIELEWSKI.

NOWY CZŁOWIEK.

Jest to łabędzi śpiew niezapomnianego poety. Utwór powstał w ostatnich tygodniach tego męczeńskiego żywota. Niepodobna bez najżywszego wzruszenia czytać tych słów, w których „zamętowi popłochu“ rzuca życzliwe, a jakże pełne wstrętu pożegnanie ten poeta, którego twórczość była cała gotowaniem się, zapowiedzią i żądzą zapłodnienia. Cóż więc dziwnego, że odchodząc nie omieszkał jeszcze nazwać siebie Nowym Człowiekiem? Dziś, kiedy już wiemy, że wszystko, co w nim było nieokiełzanym pędem rozkwitu, wezbranem pragnieniem swobody, co brzmiało, jak krzyk pokolenia — zapadło się w pustkę milczenia i zatraty, — odżywa w nas to wspomnienie, niby osobisty czar naszej młodości, obietnicy skłamanej...

Chorą trwogę o pewność użycia dobytków zagłuszyć chcieli hukiem dział i rykiem bałwanów, pochłaniających zdruzgotane dynamitem pancerne okręty.

Zadyszany lęk rozdrażnionych kochanków upoić chcieli zbrodniczą ucztą powietrznych ogni, łodzi lecących wśród obłoków i pękających podmorskich samojazdów.

Świat oszalał trwogą i lękiem, rokoszem i zuchwalstwem.

Zabijali się w walce o drogę wolnego odwrotu. „Pozwól mi umknąć, lub zgiń!“ „Bijmy się przeciw sobie, bo strach bielmem oczy nam zalewa“, „Nie przerażaj mnie, pozwól mi ukryć się przed tobą! Ustąp, lub zabiję cię! Kto z nas obu szybciej drugiego zabije, ten będzie mógł zbiec! Ten pędzić będzie mógł daleko, aż tam, gdzie go niema samego! Może tam spokój?! Giń!“

Walka o ziemię? Bój o kobietę? Bitwa o władzę? Nie!

Oto wojna Lęku z Trwogą o prawo swobodnego gościńca dla Popłochu. Okręt tonie! Dom runął! Góra usuwa się! Kościół płonie! Step gore! Nawałnica zerwała zastaw! Piorun wyrzucił w powietrze szopę strzelniczych zapasów! Za mgnienie oka spotkają się parowozy! Bryła żelaza uderzy w twą ścianę! Ratuj się! Ratuj się!

Popłoch tłumów!

Świat ludzi oszalał...

* * *

Z popłochu narodów i ludów skoczył na brzeg gościńca ich życia — mąż młody i mocny.

Wśród goniącego mnóstwa zatrzymał się, stanął, oparł się stopami o ziemię, wygiął pierś w łuk, między dwu najbliższych wstawił dłonie ruchem pływaka, natężył ramiona, uderzył w ich barki, pchnął i — skoczył na brzeg gościńca popłochu życia.

Stał drżąc z natężenia.

Głowę, oczy i uszy jego ciągnął ku sobie szum bieżącej ludzkiej nawałnicy — jedna chwila — a wpadnie w tę ludzką rzekę — utonie... Oparł się.

Stoi.

Prostuje się, rośnie, wznosi się. Czoło w górze! Ucho swobodne i oko mocne!

Stoi. U jego stóp z łoskotem płynie łożyskiem gościńca życia spieniony tłum ludzi.

* * *

Uśmiechnął się życzliwie.

Ludzie! Szczęśliwej podróży!

Prychnął — rozśmiał się w głos i — odszedł.



TADEUSZ SZANTROCH.

HYMN DO GWIAZD.

Wam spowiedniczki wszystkich tęsknot świata,
w otchłaniach nocy zadumanym sennie
serce me niosę, którem ból pomiata,
i wam je zdaję, gwiazdy, w kornem lennie.

Oto strzaskane w bojach jest żywota,
gdzie miłość pada wnet w nierównej walce
z przemocą pychy, wiarołomstwa, złota,
gdzie zwyciężają nędzni i zuchwalce.

Wy je przyjmiecie w jasne swe przystanie,
jak okręt, który z mórz spienionych wraca,
aż się cichością waszą ciche stanie
i pojmie prawdę, że: ból to jest praca.

Wy! w których wzniosłym spisał alfabecie
Bóg prawd odwiecznych nieomylne znaki,
co w poematów tle śnią się poecie,
jak Odyssowi zwid jego Itaki.

Wy! których świetne, tak dumne imiona
tchną zabobonem tajemniczych mocy,
Plejady święte! dziwny znak Oriona!
Wielki Wóz! Waga! — sfinksy jasnych nocy.

Do was ze wszystkich krajów i stuleci
wybiegał zawsze duch tęskniących braci
i z onych nocy przedumanych leci
do dziś heroizm sławnych ich postaci.

Waszej porady na rozstajach szuka
wędrowiec błędny, serce miłujące;
jakże zaś prostą owa jest nauka,
co z nocy płynąc, wielbić każe słońce!

I ja me serce strzaskane poety
z naiwną dawnych astrologów wiarą
zdaję wam, gwiazdy, chociaż wiem niestety:
że Chrystus zbawił świat swoją ofiarą.



RYS. C. NORWIDA.

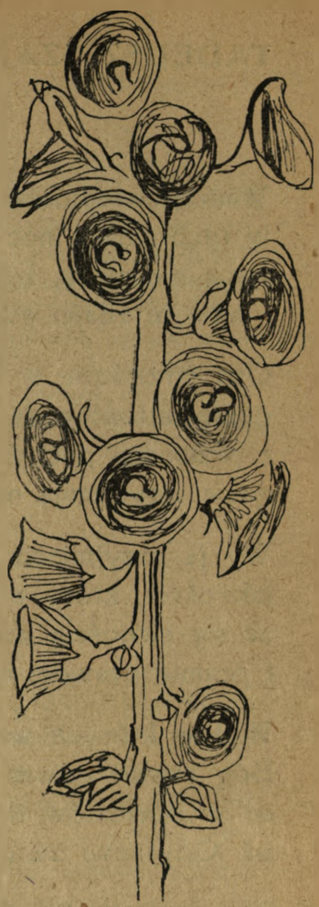
TĘSKNOTA.

Jest dziewicą... ma w herbie miecz dwusieczny, ostry,
jego w łasce nadaniem swych kochanków znaczy,
a odwieczna jak gwiazdy, jej bajeczne siostry,
tu na ziemi skrzyknęła huf z wszech dróg tułaczy.

Zatraceńczy to hufiec! wierny jej komendzie,
którą sprawia tajemna, snów mijając warty...
Kogo uśmiech jej uwiódł, ten do śmierci będzie
w ciągłej walce z anioły i z wszystkimi czarty.

Gdy zwycięstwem twe imię w służbie jej zasłynie
i po usta jej sięgniesz swym, jak sądzisz, losem,
ona w wielkim twym jeno rozkochana czynie,
w serce twoje miecz wepchnie nieomylnym ciosem.

Jest dziewicą... tym samym mieczem cię powali,
który dała ci w ręce... (miecz dwusieczny, ostry)
Zło i Dobro na jednej położyła szali...
Nie zniewoli jej człowiek... Gwiazdy to jej siostry.



O WIDMO TWOJE...



O widmo twoje... w każdej je sylwecie
kobiecej, która cię przypomnieć może,
ścigam w mgle ulic, pewny, że raz przecie
z twą drogą moje zejdzie się bezdroże.

Me serce wszędzie niespokojnie czeka
na twe radosne, nagłe skądś przybycie,
u drzwi zapartych może niedaleka
stoisz... otwieram... pustka ta... me życie.

O widmo twoje... codzień z szarym mrokiem,
gdy ból mój w taktach Bethovena stygnie
jak fala w morzu tonąca głębokiem,
przychodzi ono... białe w snów malignie,
słania się ku mnie miękim pieszczot gestem
i rani serce kłamiąc: oto jestem.

JAN AUGUST KISIELEWSKI.

KOMÈDYA MIŁOŚCI I CNOTY.

Jest-to akt pierwszy komedyi, która pozostała w stanie zarodkowym. Ekspozycya, którą ogłaszamy, po usunięciu drobnych sprzeczności, tłómaczy się jasno. Reszta (plan całości, fragmenty) ma zarysy bardzo nieokreślone. Brulion pochodzi z r. 1903.

AKT I.

Raut u Rożańskich.
Salon — fumoir.

Scena I.

Wacław, Pani Ewa Rożańska (jego matka), Franciszek (służący).

W a c ł a w (stoi przed lustrem. 25 letni student akademii górniczej w Leoben; ubrany jest w galowy strój tej szkoły. Zakłada monokl i zdejmuje. Do siebie:)
Nie można powiedzieć, że mi z monoklem jest źle!

R o ż a ń s k a (mogłaby mieć 36 lat, wspaniała toaleta rautowa. Wchodzi z listem w ręku.)

W a c ł a w (odwraca się szybko) Matuchna! Zatrzymaj się — stań!

R o ż a ń s k a. Cóż to znaczy?

W a c ł a w. Spojrzyj w prawo...

R o ż a ń s k a (staje, z głową podniesioną do góry i zwróconą, w trzech-czwartych.)

W a c ł a w (z uwielbieniem patrzy na nią.)
A teraz przejdź tam...

R o ż a ń s k a (podchodzi zwolna, spokojnie ku drzwiom po lewej.)

W a c ł a w ...a teraz chodź ku mnie...
(podchodzi ku matce, bierze jej rękę, prowadzi ku przodowi sceny, całuje obie jej dłonie.)

R o ż a ń s k a (równocześnie) Chciałeś zobaczyć suknię? Podoba się?

W a c ł a w. Ciebie chciałem zobaczyć, nim ludzie przyjdą, samą. Zanadto mi giniesz wśród ludzi — jestem o to zazdrosny! Ach, jakaś ty piękna!

R o ż a ń s k a. Na prawdę? Dobrze dzisiaj wyglądam?

W a c ł a w. Zawsze, jak zawsze! Jesteś tak wspaniała, taka stylowa w każdym geście, że ile razy cię nagle zobaczę, nie mogę oprzeć się zdumieniu: „To królewskie zjawisko, to przecież moja matka!“

R o ż a ń s k a (bierze jego głowę.) Och ty pieszczochu! (Całuje go w usta. Po chwili odsuwając się) Wacek, nie! Ty umiesz całować!

W a c ł a w. Prawda? Ale tylko twoje usta tak potrafię całować. Wiesz, to prawdziwe nieszczęście, że ty jesteś moją matką!

R o ż a ń s k a. Dla czego? (śmieje się)

W a c ł a w. Umrę w celibacie! Ja przez ciebie, nie mogę zakochać się w żadnej kobiecie!

R o ż a ń s k a. Więc — idź do klasztoru, młody człowieku!

W a c ł a w. Słowo ci daję, że nasze kobiety nie robią na mnie wrażenia.

R o ż a ń s k a. Widocznie nie umiesz do nich przemówić tak, aby się stały zajmujące!

W a c ł a w. Ach, może potrafiłbym, gdybym wiedział, że trud opłaci się. — Ach, gdyby ten nędznik twój mąż...

R o ż a ń s k a (ze śmiechem) Wacław!!

W a c ł a w ...nie był moim ojcem rodzonym, którego lubię passjami — zamordowałbym! (bierze ręce matki) A ciebie jedyna, cudowna, boska — uprowadziłbym daleko! (ze śmiechem) za lasy dziewicze, za oceany, za góry, na samotne wyspy...

R o ż a ń s k a. Nie zapominaj, że ja nie umiałabym żyć korzonkami.

W a c ł a w (seryo) Ze mną? Ty? Och, potrafiłabyś ze mną!

R o ż a ń s k a (dzwoni) Ufasz tak bardzo sobie, czy mnie?

Służący (wchodzi)

W a c ł a w. No — przedewszystkiem — sobie!

R o ż a ń s k a (śmieje się) Skromność jest twoją najmniejszą zaletą. (do służącego) Zapytaj się, czy panie już gotowe. Powiedz.. (do Wacława) Która godzina?

S ł u ż ą c y. 8-ma, proszę pani.

W a c ł a w. Już dziesięć po 8-ej.

R o ż a ń s k a. Powiedz paniom, że już po 8-ej.

S ł u ż ą c y. Panienka ubiera się, ale pani profesorowa jeszcze nie wróciła,

R o ż a ń s k a. Gdy wróci, poproś zaraz tutaj. Czy pan u siebie?

S ł u ż ą c y. Pan wyszedł w tej chwili, ale zaraz wróci, bo kazał czekać fryzyerowi.

R o ż a ń s k a. Niech tutaj Józia przyjdzie. I oddaj ten list posłańcowi. Zapłać mu, gdy przyniesie odpowiedź. (bierze list ze stoliczka, na którym leżał i daje służącemu.)

S ł u ż ą c y (odchodzi z listem.)

W a c ł a w. Do kogo, mateczko, ten list?

R o ż a ń s k a. A, jesteś niedyskretny mój drogi.

W a c ł a w (z uciechą) Rzeczywiście?

R o ż a ń s k a (śmieje się.) No, nie. Do Maccaroque'a.

W a c ł a w. Ach, temu trzeba zawsze przypominać zaproszenie! On ci się podoba?

R o ż a ń s k a (zamyślona) Co? Ach, on! Owszem — zanadto krzykliwy. To doskonały śpiewak.

W a c ł a w. Lecz wróćmy do naszej rozmowy. Czyż na prawdę sądzisz, że nie potrafiłabyś żyć, jak tylko w doskonałych warunkach? A ja myślę,

że ty umiałabyś żyć w nawet w ubóstwie i zawsze byłabyś sobą. Pamiętam te dwa lata, po katastrofie z domem Walewskich.

R o ż a ń s k a. Ach, nie przypominaj. To były straszne dwa lata!

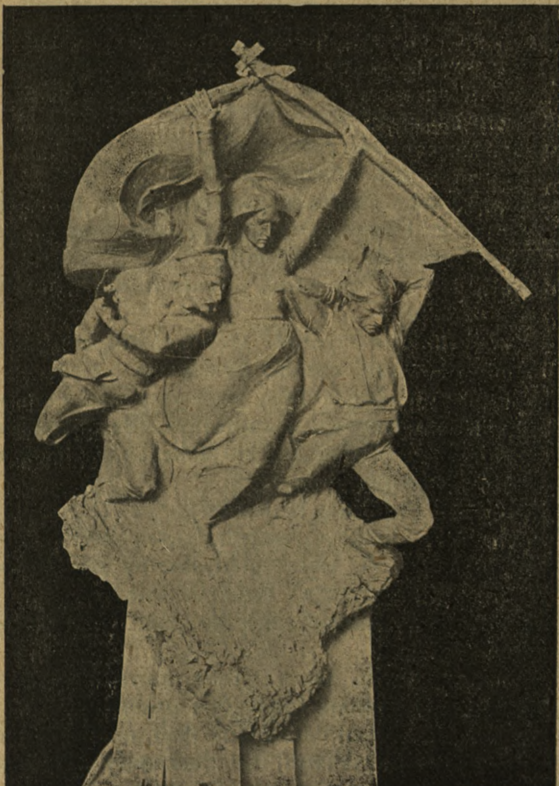
W a c ł a w. I wtedy Cię tak bardzo pokochałem! Tyle godności było w tobie, tyle dobroci dla ojca! Wszystkiego umiałaś sobie odmówić, a tak, że nie było znać braku. Prócz nas nikt nie wiedział, jak bardzo źle było z nami.

R o ż a ń s k a. No i nie dowie się nigdy!

W a c ł a w. A wiesz, kiedy zrozumiałem, czem ty jesteś dla nas, dla ojca? W wilię twoich imienin, gdy ojciec posłał mnie ze swoim zegarkiem, tym pamiątkowym, do biura zastawniczego, aby módz tobie kupić róż na imieniny!

R o ż a ń s k a. Mój Boże, jakież to było piękne! Pamiętam. Takie małe chwile łączą ludzi bardziej, niż przysięgi. To dawno, jak to już dawno było.

W a c ł a w. 10 lat. Miałem wtedy 15 lat. I nie zapomnę nigdy tej chwili, tego strasznego jęku ojca, gdy zachwiał się u telefonu, a potem oparł się o ciebie i powiedział: „Ewa, to straszna rzecz! Mój dom! 40 ludzi pod gruzami!“ Jak się to mogło stać, do dziś pojąć nie mogę! A potem te dwa lata męki — dwa lata procesu!



J. RASZKA FRAGMENT Z POMNIKA.

(Zbliża się do matki) A ty, pamiętasz tę noc, przed wydaniem wyroku... Ojciec zamknął się w swoim pokoju, dopiero o 2-giej w nocy zawołał Ciebie. Po chwili ty wpadłaś do mojego pokoju, kazałaś mi iść, tak jak jestem i tak razem z Marychną w koszulce poszliśmy do gabinetu ojca. Kazałaś nam klęknąć, wziąć go za kolana i prosić: „Papo, nie zostawiaj nas!“ Pamiętasz, matuchna?

R o ż a ń s k a. Pamiętam, synku.

W a c ł a w. Wtedy ojciec spojrzał na ciebie tak dziwnie surowo, posępnie, że ty cofnęłaś się, i spuściłaś oczy, jak winna. Potem pocałował nas w czoła i rzekł spokojnie: „Dobrze. Idźcie do siebie dzieci“. Tego wszystkiego, mamo, nie rozumiałem i — (całuje jej rękę jakby prosił) do dziś dnia nie rozumiem.

R o ż a ń s k a (milczy.)

W a c ł a w, Co ojciec chciał zrobić tej nocy?

R o ż a ń s k a. Chciał odebrać sobie życie.

W a c ł a w. Ach! — Dla czego? Wszak był niewinny?!

R o ż a ń s k a. Poczuwał się do winy, sądził iż przez swoją pomyłkę stał się powodem śmierci tych ludzi. A jak jest dumny, wiesz o tem. Nie chciał dożyć chwili, w którejby inni, obcy ludzie, osądzili, iż jest winnym.

W a c ł a w. Tak. Teraz rozumiem.

R o ż a ń s k a. A kiedy ogłoszono wyrok uniewinniający, ojciec powiedział zwrócony do sędziów: „Gdybym siedział wśród panów, ten wyrok nie byłby jednomyślny!“ Co za wspaniały gest! Prawda?

W a c ł a w. Tak. Żałuję, iż ojciec nie pozwolił mi być w czasie rozprawy. Choć ja do takiego gestu nie byłbym zdolny. (zakłada monokl) To było piękne, lecz bardzo niegrzeczne.

R o ż a ń s k a (śmieje się.) Pozujesz mój chłopcze.

W a c ł a w. Miny sędziów w obec takiego podziękowania musiały być zajmujące!

R o ż a ń s k a. Na pewno więcej, niż twoja w tej chwili.

W a c ł a w. Nie, rzeczywiście? Czyż ja już tak bardzo mało jestem zajmujący, matuchna, co?

R o ż a ń s k a. Kokiet jesteś.

W a c ł a w. To tylko dziedziczne. Podobam się ludziom i sądzę, że mi się to należy.

R o ż a ń s k a. Proszę!! I za cóż to, mój młody pawiu?

W a c ł a w. Ach, choćby za to, że im przypominam — ciebie...

R o ż a ń s k a (ze śmiechem.) Pochlebiasz sobie, czy mnie? Przypominasz mi ojca twojego, gdy się starał o mnie. Jesteś do niego więcej podobny. Ach, Boże. Tylko nie jesteś tak męski, jak on. Nie masz tego gestu.

W a c ł a w. Ach, przepraszam! Nie jestem dość męski? Czy dla tego, że nie krzyczę, nie jestem

brawurowy? Nie wybucham?! I mama mówi, że ja jestem do ojca podobny. Ojciec, to stara gwardya, ładna, ani słowa, ale to nie nasz gust. Ja jestem współczesny, moderne...

Rożańska (ironicznie.) Secessya, stylizacya, poza.

Wacław. I dlaczegożby nie? Ale przedewszystkiem — dyskrecya. Ruchy małe, pewne, stalowe.

Rożańska. Ty jesteś dyskretny?! Snob jesteś, paw! Wiecznie roztaczasz swój wachlarz.

Wacław. Aby za nim mówić i słuchać dyskretnie. Nie, nie, ojciec to nie mój rodzaj.

Rożańska. Nie życzyłabym ci, abyś miał w ojcu rywala. Zobaczyłbyś, co warta twoja „stalowa dyskrecya"!

Wacław. A widzę to ciągle. Ty mnie nie dla tego kochasz, że ja cię tak szalenie kocham, okrutna!, ani dla tego, że mnie nie kochać nie można, ani nawet dla tego, że jestem twym jedynym synem, lecz dlatego, że wmówiłaś sobie, iż jestem do ojca podobny. To straszne, to straszne! — Mateczka, powiedz, i wy się ciągle kochacie, tak... bardzo, 26 lat?!

Rożańska (po chwili, z miłością.) Ach ty dzieciaku!

Wacław. To przecież niemożliwe! Powiedz, moja najdroższa, ja bardzo proszę, powiedz, opowiedz mi... ty wiesz, iż nie jestem zazdrosny — człowiek współczesny nigdy nie bywa zazdronym, nieprawdaż?

Rożańska. Strasznie naiwny mój Wacuś!

Wacław. Ja chcę wiedzieć, to mnie passjonuje od dawna, ja chcę wiedzieć wszystko o tobie i od ciebie samej, opowiesz, co?

Rożańska. No dobrze, ale cóż ci mam opowiedzieć?

Wacław. To przecież niemożliwe, 26 lat! Ty taka czarująca, inteligentna, piękna, świetna, wytworna, wielbiona zawsze i ciągle, musiałaś przecież spotkać człowieka...

Rożańska. Spotkałam go. Jesteś jego synem.

Wacław. Nie, to takie banalnie legalne!

Rożańska (z wymówką.) Wacław, proszę!

Wacław. No przepraszam, no bardzo przepraszam. Ale ja bardzo poważnie, szczerze, gorąco proszę! Ja cię tak bardzo kocham i dla tego chcę znać to wszystko, co ty kochasz i kogo kochałaś... Rozumiesz, mateczko, ja cię uwielbiam, podziwiam i nie dość mi tego, co widzę i znam i wiem. Jest w tobie coś, co dla mnie pozostało do dziś dnie zagadką — nie zagadką, lecz tajemnicą. Skąd ten urok w tobie, ten czar niewypowiedziany, ta wieczna młodość, to życie zawsze promieniejące!! A potem, przecież to niemożliwe, no nieprawdaż, zawsze.. ten sam... co? Ta moja ciekawość, to także po tobie, wszak ty zajmujesz się wszystkiem, nic ci nie jest obcem, czyżbyś nigdy nie była ciekawą miłości, innej, nowej? Czegoś, co zakazane, czego nie wolno...

Rożańska. Robię zawsze to, co chcę. Ty wiesz.

Wacław. Wiem. Taki jest zwyczaj w naszej rodzinie. I dla tego, gdybyś ojca zdradziła, nie byłoby to zdradą, lecz...

Rożańska (poważnie.) Wacław jesteś niegrzeczny! Obrażasz ojca!

Wacław. Matuchna, pfe! Wiesz dobrze, że nie miałem tego zamiaru! Kocham ojca tak bardzo, jak ciebie.

Rożańska. Więc proszę nie pleść głupstw. Zdaje mi się, iż stalową jest tylko twoja naiwność. Chcesz znać moją tajemnicę? Jestem inna, niż te kobiety, które znasz, i pochlebiam sobie, trochę mędrsza, niż wasze erotyczne psychologie.

Wacław. Matuchna, nie gniewaj się, że to powiem: ty jesteś mądra i piękna i inna, niż wszystkie nasze kobiety, które znam, ale twój Wacuś, choćby dla tego, że jest twoim synem, nie zupełnie jest głupi, a z tego wszystkiego jeszcze nie wynika, aby psychologia erotyczna, która mnie bardzo zajmuje, była tak zupełnie obrana ze sensu. Nieprawda?

Rożańska. A to niespodziewane! Zajmujesz się psychologią erotyczną? To bardzo pięknie i dzisiaj rzadko spotykane... lecz zwróć się gdzieindziej, bo we mnie nie znajdziesz materyału do studyów.

Wacław (zmartwiony.) Gdy tak mówisz, żałuję, iż zacząłem tę rozmowę, bo widzę, iż posądzasz mnie o rzeczy nieładne, banalne i trywialne. Użyłem przypadkiem suchego słowa: zajmuję się psychologią erotyczną. Chciałem przez to powiedzieć: chcę poznać miłość, nie tylko ją czuć, ale i rozumieć, objąć całą, poznać, nauczyć się miłość kochać...

Rożańska (do siebie.) Kochać miłość! Ach, jaki on śliczny, ten dzieciak!

Wacław ...wszak to jest to najpiękniejsze, co mamy w życiu...

Rożańska (z uśmiechem lekko ironicznym.) O — tak wolno mówić tylko kobiecie, mój chłopcze!

Wacław. Wiem o tem. Mówię też w tej chwili jedynie o życiu osobistem, tem prywatnem. Nie zapominam, że poza miłością są całe światy, wiesz przecież, mateczko, że umiem żyć poza flirtem... nie prawda?

Rożańska. No mów dalej.

Wacław. Lecz miłość, której nieznam poza tobą, a ta, którą mi dajesz, jest taka strasznie zimna, dostojna...

Rożańska (parska śmiechem.)

Wacław ...otóż ta miłość, którą przeczuwam i której szukam, oczywiście nie we flirtach ani przelotnych zabawach, to wspaniała siła musi

być, to coś niezwykle pięknego, któż o niej może lepiej i piękniej powiedzieć od ciebie?

R o ż a ń s k a. Więc słuchaj, lecz bądź przygotowany na... (urywa, uśmiecha się) Moje miesiące miodowe trwały 7 lat.

W a c ł a w. Czyż możliwe!

R o ż a ń s k a. Byliśmy młodzi oboje i idealnie dobrani. Twój ojciec bardzo mało zajmował się psychologią erotyczną. Żyliśmy razem i wszystkiem wspólnie. Byliśmy kochankami i przyjaciółmi. Równocześnie ojciec bardzo dużo i z za-



VL. HOFMANN. JERZYK

miłowaniem pracował; w tych latach zbudował kościół Ducha św., bibliotekę, pałac Turskich, i kilka domów. Wiesz o tem. Równocześnie prowadziliśmy dom otwarty, tak jak dzisiaj; a to wymaga zajęcia się i pamiętania o wszystkiem. Potem przyszła katatastrofa domu Walewskich. Życie prowadziliśmy wystawne, niebyliśmy przygotowani na te dwa lata, a ojciec do chwili rozstrzygnięcia procesu nie przyjął żadnej budowy. Rozumiesz, iż w ciągu tych dwóch lat nie myślałam o flircie. A potem noc, ta noc przed wyrokiem! Tej nocy twój ojciec przestał mnie kochać. Pamiętam ten jego wzrok, jaki we mnie utkwił, gdy was przyprowadziłam do jego gabinetu! Wtedy po raz pierwszy stanęło coś między nami, czego ci nie umiem wytłomaczyć. Może on zrozumiał wówczas, iż należy żyć, że nie wolno dla dumy i przesadnej katońskiej prawości zapomnieć o dzieciach i żonie. Nie wiem, gdyż o tem nigdy z nim od tej nocy nie mówiłam. Myślę, iż i on dzisiaj już zapomniał to, co o mnie pomyślał w owej chwili. Po wyroku z podwójną energią rzucił się do pracy; budował domy dochodowe, a do konkursu o budowę teatru nawet nie stanął. W wilię inauguracyi wyjechał i przysłał telegram gratulacyjny Skibińskiemu.

W a c ł a w. Wiesz, matuchna, że papa to wielki człowiek. Rozumiem, dlaczego nie chciał teatru budować. To była ekspiacya. Jak go to musiało boleć, że nie on stawiał teatr! Ojciec to wielki człowiek?

R o ż a ń s k a. Tak, chłopcze, twój ojciec to piękny człowiek. Piękna dusza i wspaniały charakter.

W a c ł a w. Chociaż to znowu gest, którego należało sobie odmówić. Nie prawdaż? Skibiński zbudował gmach bogaty, kosztowny, a ciężki i bez smaku. A ojciec byłby zrobił kamienny poemat, co? Stary umie takie rzeczy, prawda?

R o ż a ń s k a. Poproś ojca, żeby ci pokazał plany Pałacu Sztuki.

W a c ł a w. Prosiłem; nie chce. Mówi, że nie mam o tem pojęcia. A mamie pokazał?

R o ż a ń s k a. Ojciec nie lubi pokazywać rzeczy nieskończonej. Ach, dziecko, gdybyś wiedział, jaka ja jestem teraz szczęśliwa, że on przyjął tę budowę! Drżałam ze strachu, że zrobi tak jak z teatrem.

W a c ł a w. No, Pałac Sztuki zaproponowali mu bez konkursu!

R o ż a ń s k a. I wówczas, mój drogi, nie chodziło mu o konkurs! Gdyby nawet nie było konkursu, i tak nie byłby budował.

W a c ł a w. Na szczęście, czas zabliźnił już ranę.

R o ż a ń s k a. Jest tak przejęty i zapalony do tej pracy, jak był raz tylko w życiu, wtedy, gdy stawiał pierwsze swoje dzieło: kościół Ducha św.

W a c ł a w. Wiesz, co w ojcu najwięcej mi imponuje? Ten jego zapał, ta młodość!

R o ż a ń s k a. Nie jest przecież stary!

W a c ł a w. No, 56 lat!

R o ż a ń s k a. Nie 56, lecz 55.

W a c ł a w. Przypuśćmy, że 56-y! Słowo honoru, mama się kocha w moim starym. Więc mówmy o miłości! Więc później, gdy papa był tak zajęty pracą, aby odrobić to, co stracił w ciągu owych dwóch lat, i gdy dla mamy był trochę... trochę inny... musiało to zrobić wrażenie, prawda?

R o ż a ń s k a. Tak, lecz to trwało nie długo. I oto zbliża się chwila, w której zaspokojoną zostanie twoja ciekawość.
Ojciec wyjechał za granicę i bawił cztery mie-

siące. Ty byłeś w Leoben a Marychna w Beaugency. Byłam sama. I wtedy to, w sam dzień powrotu ojca,

W a c ł a w. No.. no...

R o ż a ń s k a ...w dzień powrotu, bo przyjechał o dwa dni wcześniej, niż doniósł, zdradziłam go.

W a c ł a w ...!!...

R o ż a ń s k a. Zdradziłam go z moim mężem!

W a c ł a w. Bagatela! Zdradziłaś mojego ojca ze swoim mężem, który jest ojcem twojego syna! To straszne!

W a c ł a w i R o ż a ń s k a (śmieją się serdecznie.)

W a c ł a w. I.. i.. i cóż on na to?

R o ż a ń s k a. Kto?

W a c ł a w. Twój mąż?

R o ż a ń s k a. Przyjął to ze zrozumiałą w jego wieku rezygnacyą.

W a c ł a w. A mnie się zdaje, iż nie miał nic przeciw temu. Lecz i owszem. Wiesz, matuchna, że jeżeli to, co opowiedziałaś, jest wszystkiem, co miałaś do opowiedzenia, to cię uwielbiam; a jeżeli, prócz tego zachowałaś coś dla siebie, to zrobiłaś to tak bajecznie, że za tobą szaleję, Co wolisz?

R o ż a ń s k a (śmiejąco.) Wacław! Co za impertynencya!

S c e n a II.

Wacław, Rożański (jego ojciec), Marychna (córka pp. Rożańskich), Służący.

W a c ł a w. Idzie mój rywal.

R o ż a ń s k i (wchodzi.) Jesteś gotowa, to doskonale.

W a c ł a w. My (wskazuje matkę) jesteśmy zawsze gotowi. (zakłada monokl i staje wyzywająco.)

E w a R o ż a ń s k a. Ale ty jeszcze nie przebrałeś się. Ostatnia chwila.

R o ż a ń s k i (do syna) Czy do ciebie mówiłem? Angielska małpa.

W a c ł a w. Odpowiadam za nas oboje. Franciszek, czapkę moją i szpadę! A rywalom (głośno) biada!

E w a. Ostrzegam cię, iż ten młodzieniec w czasie twej nieobecności karygodne robił mi propozycye.

R o ż a ń s k i. Zbyt dobrze znam twój smak...

W a c ł a w (chrząka niedowierzająco.)

R o ż a ń s k i ...aby przypuszczać, iż podobać ci się może c o ś, co wprawdzie jeszcze nie ma wąsów, ale za to już jedno szklane oko. Ty ciągle jeszcze przypuszczasz, że kobietę można olśnić tem szkiełkiem?

W a c ł a w. Papa nie jest zdolny wznieść się do wyżyn dzisiejszej estetyki. Do monoklu trzeba się urodzić.

E w a. „Urodzić się?“ Może „być urodzonym“?!

R o ż a ń s k i. Rzeczywiście, nie jestem na poziomie twojego snobizmu. To naturalne: w pewnym wieku mózg tężeje i staje się niezdolnym do przyjęcia nowego objawienia.

W a c ł a w (całuje ojca w ramię.) Niech staruszek nie będzie tak nielitościwie ironiczny, i nie bierze sobie tego do serca (łaskawie) a za to niech weźmie do rozumu moje synowskie, prawdziwie życzliwe upomnienie (całuje w rękę.)

R o ż a ń s k i. Ruszaj precz, błaźnie. (śmieje się.)

W a c ł a w. Nie lubię starej daty i rubaszności. (monokl.)

R o ż a ń s k i. A ja nie lubię tego szkiełka! Czy ty ten monokl zdejmiesz!?



RYS. CYPR. NORWIDA.

W a c ł a w (krzyczy.) Nie zdejmiesz!! (staje za matką.)

R o ż a ń s k i. No ta ja ci — pozwalam. Noś.

W a c ł a w (do matki.) Tryumf przyszłości na przeszłością! (protekcyonalnie) Niech papa siada.

R o ż a ń s c y (śmieją się.)

R o ż a ń s k i (siada.)Dziękuję ci, mój synu.

W a c ł a w (do matki.) Kobieto, powiedz kto z nas dwóch piękniejszym i wybierz.

E w a. Mój młody paziu...

R o ż a ń s k i ...pawiu...

E w a ...zapominasz o swoich obowiązkach. Spóźnisz się!

W a c ł a w. Rozkazałaś, pani. (do ojca) Pa-ziu!

R o ż a ń s k i. Pa-wiu!

W a c ł a w ...ziu!

R o ż a ń s k i ..wiu!

W a c ł a w ..ziu! (tupie)

R o ż a ń s k i ..wiu!! (klaszcze w dłoń i szybko wstaje.)

W a c ł a w ..ziu!! (ucieka do przedpokoju; słychać jego rozmowę ze służącym i brzęk szpady.)

R o ż a ń s k i (do żony.) Wracam z posiedzenia komisyi artystycznej.

E w a. Czy już omawialiście projekt Pilawskiego?

R o ż a ń s k i. Tak. Odrzucony!

E w a. Nie możliwe! To jest arcydzieło!

R o ż a ń s k i. Dla tego odrzucony!

E w a. To ten biedny chłopiec zamartwi się. Jest taki drażliwy! Czy to nieodwołalnie!

R o ż a ń s k i. Owszem, zrobiłem wszystko, co tylko można było. Odrzuciliśmy trzy pozostałe —

E w a. Ach, jak to dobrze.

R o ż a ń s k i ...wtedy zaproponowałem, abyśmy odbyli jeszcze jedno posiedzenie nad projektem Pilawskiego. Zdołałem przekonać ich, że kompozycya jest wyjątkowa i że częściowe zmiany, które Pilawski musi wprowadzić, przekształcą projekt tak, że komisja go przyjmie. Chojnackiego wniosek otworzenia nowego konkursu, w obec mojego projektu upadł i jeżeli Pilawski zrobi te zmiany, które mu zaproponuję, to projekt będzie za tydzień przyjęty.

E w a. Jakiś ty dobry!

R o ż a ń s k i. Jeżeli ten waryat zgodzi się na taki kompromis! Znasz go. On sobie wyobraża, że pałac sztuki buduje się tylko jako ramy do jego sufitów!

E w a. Mój drogi, pozwolisz mi, abym ja z nim o tem pomówiła?

R o ż a ń s k i. Doskonale. Tobie nie będzie mógł powiedzieć, że jesteś akademikiem.

E w a. Ach, on wierzy w twój geniusz i wie, że cenisz jego talent. Tylko, że propozycya z twoich ust, ponieważ jesteś kierownikiem budowy i wiceprezesem komisyi, będzie miała charakter oficyalny, co może go zmrozić, zniechęcić ...jak myślisz?

R o ż a ń s k i. Moje dziecko, ty zawsze masz słuszność. Zaraz ci wytłomaczę, co trzeba zmienić. Jestem ci wdzięczny za to pośrednictwo, (z lekką ironią) także z osobistych względów...

E w a (czujnie.) No...?

R o ż a ń s k i (patrząc jej w oczy.) Bo... Pi... lawskie...go projekt, (naturalnie i z ożywieniem spokojnem) jest, zdaniem mojem, dziełem oryginalnem, podoba mi się bardzo i uważam zdanie jury, za objaw opozycyi dla opozycyi. Dla tego, że ja popieram projekt. Chcieli mi pokazać, że od nich też coś zależy. Poprostu, rozumiesz, uważam, że tu nie ma żadnej potrzeby zmiany, no i wobec Pilawskiego nieprzyjemnie mi jest występować w roli profesorskiej. Wiem, że jeżeli nie zgodzi się na zmiany, będzie miał słuszność! Ja tak samo zrobiłbym w podobnym wypadku.

E w a. A gdyby się uparł?

R o ż a ń s k i (woła.) Franciszek!!

S ł u ż ą c y (staje w progu.)

R o ż a ń s k i. Przynieś z mojego gabinetu rulon, który leży na otomanie.

S ł u ż ą c y (przechodzi przez pokój i wychodzi bocznem wejściem.)

R o ż a ń s k i. Jeżeli się uprze, to wszystko dyabli wzięli! Odrzucą po raz drugi, a wtedy już nieodwołalnie.

E w a. To nie może być... Musi zmienić. To dla takiego młodego człowieka jedyny moment wypłynięcia! Plafony w Pałacu Sztuki! Dla nieznanego jeszcze malarza! Od razu stanie się znanym! A oprócz tego, ten projekt, to śliczna rzecz! Ja się nie znam na tem...

R o ż a ń s k i. Nie flirtuj, Ewuchna! Wolałbym mieć ciebie w komisyi, niż tych wszystkich znawców.

E w a. Bo wiesz, że nie umiem ci się w niczem sprzeciwić. Otóż, nie jestem znawcą, ale mogę wyobrażać publiczność, tę powiedzmy, lepszą warstwę publiczności.

R o ż a ń s k i. Tę piękną publiczność która z trybuny rozdaje — zwycięzcom — szarfy.

E w a (wyciąga rączkę do pocałunku.) Bardzo rycerskie.

R o ż a ń s k i (lekko uderza w jej palce, jak się daje dzieciom klaps, i natychmiast dłoń podsuwa pod jej dłoń, odwraca ją i całuje.) Najwdzięczniejsze z przyzwyczajeń.

E w a (uśmiecha się.) Mimo wszystko, lubię cię. Umiesz być... sobą. —

W a c ł a w (staje w tej chwili w progu; czapka na głowie. Jedną ręką podtrzymuje szpadę pod pachę wzniesioną, w drugiej rękawiczka. Zakłada monokl; patrzy. Przy ostatnich słowach matki, uderza w ramę drzwi.)

E w a i R o ż a ń s k i (odwracają głowy.)

M a r y c h n a (staje w progu.) (C. d. n.)

ROMAN ZRĘBOWICZ.

RADY PRZYCHYLNE.

Powoli się przywyka do klęski bez złudzeń;
szepty nadziei szumią jak nocna fontanna,
przy której człek się krzepi,
by nie mieć przebudzeń,
kiedy wybije znowu godzina poranna
z tym niezmiennym kurantem, że mu będzie lepiej.

Tak to płynie spokojna, beznamiętna chwila:
raz oko biegnie tęsknie wierzchołkami drzew,
to znowu z umęczenia głowa się pochyla,
by przyjąć od spalonych traw całunek-wiew...

Miłość więdnie samotna na pustym wyrębie —
wysychają pożądań niegdyś rwące wody —
przeciągają bez wieści w dal dzikie gołębie —
plenią się najobficiej zatrute jagody.

Zamilkły wszystkie echa!

A kto szczęście snuł —
niechaj ten przykry nałóg gdzieś w drodze poniecha,
jak nudne książki dzieci wracające z szkół.
A jeśli zdoła umknąć od swych dawnych trwóg —
pozna, że niema błędnych, ani zdradnych dróg,
są jeno mgłą zasnute postojów przełęcze,
a na niebie po burzy siedmiobarwne tęcze.

Człek może sobie rosnąć w miesiące i lata
samotnie, choć przy drodze, jako dziki głóg — —
bez miłości, marzenia, szczęścia i bez świata.

WYSCHŁE, ODKRYTE DNO.

Bez przyjaciół i domu — bez pragnień i wieści—
Wiatr powiędłem listowiem zapomnień szeleści.

W dzień, co więdnie jak oset — w noc, co schodzi cicha —
widzę, jak rzeka dawnej miłości wysycha.
Jak gdzieś już z widnokręgu uciekają fale,
Ostatnie me marzenia, tęsknoty i żale.
Niewolnice przeznaczeń, urodzone nagle,
lecą do morza umrzeć moje stare żagle.

Dno rzeki już odkryte; brzeg dziki bez drzew,
a przy mnie mój przyjaciel nowy: zwiędły krzew.
Powstałem! brodzę raźno przez wyschłe łożysko,



T. NIESIOŁOWSKI ZUZANNA.

by ujrzeć toń mych marzeń głęboką dziś blisko:
widzę tam muszle cierpień i snów wodorosty —
świat niegdyś tajemniczy, dzisiaj jakże prosty.

Tak sobie depczę cicho żółte, grząskie piaski,
wolny od przeznaczenia, jego trwóg i łaski.

ADAM KADEN

STROFY DO SŁOŃCA.

Słońce, słońce,
Ty na niebie
Samo z siebie
Jaśniejące!

1.

Bądź pochwalone w trwodze oczu,
Olśnionych majestatem twym;
W rumieńcu zórz i dnia przeźroczu,
W zieleni łąk i kwieciu pstrym;
W kępie drzew owych na uboczu,
Skąd się wywija biały dym;
W tej wodzie, co błękitnie marzy
I w rysach ukochanej twarzy.

2.

Bądź pochwalone w kurów pianiu
I w gwarnej arfie pszczelich błoń;
W zapachu lip, traw pyłkowaniu
I smaku ogorzałych gron;
Bądź pochwalone w krwi wezbraniu
I nagłej żądzy krzepkich łon;
W wytrwałym kwiatów twych obrocie
I wędrownego ptactwa locie.

3.

Słońce codziennych prac i zbioru,
Kładzionych skib i żętych zbóż —
Słońce posuchy i pomoru,
Szalonych miast, piaszczystych głusz —
Słoneczko zacisznego dworu,
Rodzinnych moich słonko wzgórz:
Jakże od ciebieśmy zawiśli
Na każdem miejscu, w każdej myśli.

4.

W kim zagadają władne słowa
A pierś rozsadzić chcą mu sny,
Gdy w ręku proca dawidowa
Do czynu mu dzielnego drży —
Ale wątpliwość jeszcze chowa:
Jakto? i któż ten śmiały? ty?
Kiedy zabłysną twoje zorze,
Już więcej cofnąć się nie może.

5.

A jeśli przyszła taka chwila,
Że pierzchnął przed nim wrogów huf;
Że już mu miłość trud umila,
Gdy się do dzieła bierze znów;
Gdy bezustannie go zasila
Wtór wielkich serc i mądrych głów;
Gdy wszedł dla świata w twoje tory:
Ty pić mu słodycz dasz — pokory.

6.

Lecz gdy kto chwieje się strudzony
A żadna go nie wesprze dłoń;
Gdy kto upadnie zwyciężony,
Do chłodnej ziemi cisnąc skroń;
Kiedy umiera pohańbiony
I nikt się nie śmie zbliżyć doń:
Ty wejrzysz na twe dziecko w dole
I promień twój mu lśni na czole.

7.

A kto upadał i z kolei
Znów się podnosił; kto już syt
Zarówno troski jak nadziei,
Kto ma za sobą uczuć szczyt,
Komu powieka już się klei
A jarzmo życia ciąży zbyt:
Temu zwiastujesz ty z wieczora,
Że zasnąć w tobie już mu pora...

Słońce, słońce,
Ty na niebie
Samo z siebie
Jaśniejące...

STEFAN NOWIŃSKI.

HISTORYA O CZŁOWIEKU, KTÓRY NIE NAPISAŁ KOMEDYI.

Posądzony o autorstwo jednej z ostatnich nowości, wystawionych w teatrze krakowskim („Urwis“ B. Katerwy), przesyła nam p. sekretarz teatru miejskiego poniższe wyjaśnienie.

Napisałem, czy nie napisałem — oto jest pytanie. Powtarzam je za Hamletem, choć on podobno nie cierpiał dolegliwości autorskich. I ciągle jeszcze nie wiem, jak jest właściwie? może Wy mi to wyjaśnicie.

Zaczęło się, od tego, że ktoś napisał komedyę. Zdarza się, Boże drogi, w najporządniejszych rodzinach. Mam znajomego, który pisuje różne sztuki historyczne, kompromitujące bohaterów o ustalonej już chwale i legendzie, dodając im w dobroci serca, rysy tępoty mózgu i naiwności, spotykane w popularnych wydaniach Żywotów Świętych — a nikt mu tego za złe nie bierze, owszem wygrał nawet niedawno na loteryi.

Ten jednak autor komedyi zawinił istotnie! bo się nie przedstawił, kryjąc się przekornie za jakiś kabalistyczny pseudonim „Gafota“. Jest to stanowczo nonszalancya obrażająca publiczność, która idąc do teatru chce wiedzieć, z kim ma do czynienia: Czy autor jest młody i przystojny, czy też znany i już łysy, czy ma kamienicę i kamienie żółciowe, czy może tylko żonę, którą zdobył w pojedynku z prawdziwym hrabią, czy na sztukę jego można wziąć żonę i dzieci, czy też lepiej iść z samą boną i t. p. Najwięcej jednak zirytował krytyków, którym Shaw wieczny pomnik wystawił w „Pierwszej sztuce Fanny“; bo z takiem dominem nie wiadomo jak się zachować. A nuż to jest któryś z ojców naszej komedyi? wiadomo, że komedya nasza ma tylu ojców, ile razy któraś ze scen wywleka jakiś pieczołowicie zapomniany antyk literacki; albo może to znów jakaś „Firma“, którą bez posądzenia o ignorancyę nie wypada odkrywać na nowo, błogosławiąc na dalszą drogę. Dylemat. A nikt tak strasznie nie lubi zastanawiać się jak krytyk.

Postanowiono więc wybrnąć z tej zagadki sposobem indukcyjnym, t. j. wyłuskać z dzieła, jak się to pięknie mówi — psychiczny profil autora. Od czasu wynalezienia parasola i zapalniczki, nic podobnie genialnego nie powstało, ale tu właśnie zaczyna się moja t r a g e d y a.

Bo wyobraźcie sobie mozaikowy ten portret w sam raz przystawał do mnie. Dowiódł mi tego ze ścisłością Kanta jeden z recenzentów, gdyż zdradziły mnie pewne charakterystyczne zwroty jak: „Dzień dobry Panu“, „Dowidzenia Pani“, „Ładną mamy dzisiaj pogodę“, „Trudno jest żyć nieprzyzwyczajonemu“ i t. p. W akcie jednak oskarżenia, bo tak niestety wypadła recenzya, dowiódł mi jeszcze wielu innych rzeczy np. że tylko ja zdolny jestem do popełnienia podobnej bzdury, że treść „Erosa superarbitrowanego“, tak się bowiem zwie inkryminowany utwór, poczerpnąłem z życiorysu Kuby rozpruwacza, że akcya sztuki dowodzi niezbicie o znanem zboczeniu seksualnem nabytem w dzieciństwie, dyalogi zaś wykazują głębokie wklęśnięcia czaszki na potylicy, powstałe przez upadek na bruk ze znacznej wysokości.

I przekonał mnie.



ZB. PRONASZKO STEFCIO NOWIŃSKI.

Odrzuciwszy licencyę affectionis krytyka, poczułem się naprawdę autorem. Co zaś do wspomnianego przezeń zboczenia, upewniło mnie błogie uczucie, że zostałem rodzicem bez boleści porodowych. Ale byłem z siebie zadowolony jak Wilson, tembardziej, że większość krytyków na to samo się zgodziła.

Zrobili mnie odrazu sławnym. Ludzie pokazywali mnie sobie na ulicy palcami, znajomi ściskali mi dłoń z jakiemś rzewnem rozczuleniem, dawny kolega lekarz, którego nigdy me zdrowie nie interesowało, począł bywać niby przypadkowo, pytając troskliwie, jak się czuję; w banku, gdzie

starałem się o pożyczkę, dali mi bezzwrotną zapomogę, gospodarz, którego prosiłem o zwłokę w komornem, zgodził się niezwykle chętnie i słyszałem nawet, gdy mówił do żony: „Takiemu nie trzeba się sprzeciwiać...“ — Słowem byłem szczęśliwy jak człowiek, któremu nagle wszyscy wierzyciele wymarli na hiszpankę.

Lecz jakże nietrwałem jest szczęście ludzkie!

Znalazł się bowiem autor, autentyczny autor „Erosa“. Przyjechał nieproszony niewiadomo zkąd i wpadł do mnie odrazu z sekundandami. Po uprzejmem zagrożeniu mi policyą, sądem, kryminałem i zabójstwem nawymyślał mi od oszustów, podjadków i t. p. żądając natychmiastowej satysfakcyi. Starałem się go uspokoić, tłomacząc długo i szeroko, że jest w błędzie, że stanowczo tylko ja mogę być i jestem autorem — jak to niezbicie wykazał krytyk a potwierdził vox populi. Nie udało mi się jednak, nie dał się absolutnie przekonać, podtykając mi pod oczy rzekome dowody t. j. kilkadziesiąt brulionów „Erosa“, list narzeczonej, która zerwała z nim wskutek pewnych scen w sztuce, wziętych z ich narzeczeńskiego pożycia, dalej zeznania stróżki obsługującej go, która gotowała mu grog, pijany przezeń w czasie tworzenia etc. etc.

Rozumie się oparty na granicie argumentów recenzenta nie dałem się zbić z tropu, aż widząc jego upór, celem moralnego zmiażdżenia pokazałem mu recenzyę. Odrazu się uspokoił, czytał ją kilka razy, ocierając pot z czoła, twarz jego z uosobienia furyi, uduchowiła się w tragiczny portret Jana z Oleju, w czasie przygrzewania kotła, aż nagle z bałwaniastym uśmiechem rzucił mi się na szyję, ze słowy: „przepraszam, najusilniej przepraszam, pan już niech będzie naprawdę autorem „Erosa“! cofam wszystko, co powiedziałem“.

I uciekł. Scena ta zdawała mi się przykrem przebudzeniem ze słodkiego snu. Nie mogę już jednak śnić dalej, bo zostawione przez rzekomego autora dowody rzuciły mnie na pastwę wątpliwości.

I ciągle jeszcze stoję, jak Herkules na rozstajnych drogach (fotografię dla P. T. stałych Czytelników załączam powyżej), trapiąc się — napisałem — czy nie napisałem?...





KAZ. SICHULSKI. Przed pokojem brzeskim: „Dwa pokolenia“. *Po pokoju brzeskim: „Adieu, Fruziu!“*

MYCIELSKI I ŻYMIRSKI
czyli
ROZWÓJ IDEI HABSBURGSKO-POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

„Urwis“ farsa Bogdana Katerwy.

Mimowoli i niezasłużenie stał się „Urwis“ w Krakowie tematem debat literackich. Nie byłbym prawdziwym krytykiem, gdybym rzekomą błahością tematu dał się zniechęcić do wypowiedzenia uwag. Głupstwa byłyby w takim razie sacrosancta; ale i o głupstwie da się coś niegłupiego powiedzieć.

Wcale nie to jest ujemną stroną „Urwisa“, że przychodzą w nim pieski i kotki. Niechby były chociaż i lwy. W Niemczech podczas wojny zasłużone powodzenie miała farsa p. t. „Pchła w wieży pancernej“. Ani nie w tem rzecz, że niektóre „wice“ są niewybredne, gdyż one właśnie jako łobuzowskie odpowiadają typowi urwisa. Ale rzecz w tem, że autor jako dramaturg jest nie nowicyuszem, ale po prostu dzieckiem. Palnął sobie dwie krótkie odsłony à la Szekspir. Naruszył trzyaktowy szablon farsy. Ba, ale jeżeli się narusza szablon formy, to trzeba za to czemś zapłacić. Tymczasem treść sztuki, nawskróś szablonowa, nie uprawniała do takich licencyi, powinien ją był Katerwa zmieścić w 3 odsłonach. Ale on nie miał na tyle taktu, aby odczuć tę dysproporcyę; po prostu: nie wiedział.

Nawet w farsie obowiązuje: akcya i kontrakcya, Spiel und Gegenspiel. Kontrakcyą były tu: opór nieśmiałka wobec urwisa, obrona przeciw pokusie. Ale to jest właśnie zaniedbane, co powinnoby wabić talent dramaturga. Cała kontrakcya ukryta, połknięta. Ani śladu wynalazczości dramaturgicznej. Dramaturg lubi wikłać osoby w niespodziewane stosunki między sobą, wyzyskuje kombinacye zawarte w temacie. Tu tylko dyalogi; gra w trójkę prawie że się nie zbiera. Niema sceny między filozofem a klerykiem, niema ich rywalizacyi (choćby rutymentarnej), niema sceny, w którejby nieśmiałek nagle stawał się zuchwałym. Kontrast między urwisem a nieśmiałkiem wyczerpuje się tylko w prymitywnych dotykalnościach (znanych z „Żołnierza Królowej Madagaskaru“ Dobrzańskiego, „Renesansu“ Schönthana itd.). Naiwność autora pokazuje się w tem, że ku końcowi sztuki wydaje mu się, że już węzeł rozwiązał i może pożenić swoje parki, podczas gdy widz ma wrażenie, że się zaledwie coś zaczęło.

A jednak jest ta sztuka zjawiskiem oryginalnem dzięki właśnie owej zupełnej niefrasobliwości i naiwności autora. Puszcza się on na oślep na rzeczy, na któreby się żaden szanujący się autor nie puścił. Do tych swoich efektów potrzebuje jednak zawsze jakiegoś zewnętrznego instrumentu: kota, bilardu, drzewa, muru. Jest, że tak powiem: drastykiem Może w tym kierunku rozwinie się jego talencik. Tu ma wynalazczość. N. p. scena gdy urwis i filozof obracają się do siebie tyłem na ławie. Ale to wszystko się nie wiąże, nie stopniuje. Dramatycznie pozostaje epizodem. Jedynie główna scena pomyślana była w intencyi dramatycznie — farsowo. Elektryczna iskra farsowa miała mianowicie przebiedz wzdłuż takiego łańcucha przyczynowego: kot przywiązany do drzwi przez urwisa filozof boi się — naciska przez omyłkę guzik nie do służby, lecz do plebanii — w obawie, że to złodzieje, wpadają ludzie z plebanii, wśród nich nieśmiałek — i przy tej sposobności widzi pannę w negliżu. Ale ten ostatni moment musiał się rozegrać za kulisami, inne zaś były tak nieszczęśliwie przez autora zaaranżowane, że widz nie wiedział dobrze, o co chodzi.

Autor zresztą tylko jako dramaturg jest dzieckiem. Spekulacyą jego było: wiele głupoty z trochą pieprzu. Uległ przesądowi, że farsa m u s i być głupią. Ale głupota nie jest wcale zasadniczym warunkiem farsy; bywają farsy „z głupia frant“, a nieraz farsy i operetki wprowadzają pewne tematy do literatury po raz pierwszy. Dziwna by to była twórczość: czy się aby pisze dostateczne głupstwa...

Mimo wszystko publiczność bawiła się dobrze: śmiała się i z dowcipów, i z tego co się działo na scenie, i z autora i z siebie. A nie nudziła się, bo czekała, na co się autor jeszcze odważy.

Przedstawienie samo nie wykryło wcale nicości „Urwisa“ i sztuka miała może nawet trochę powodzenia. Ale niegodziwi recenzenci speszyli wszystko. A poszło im naprawdę tylko o koty. Nie lubię świętego oburzenia, nawet jeżeli jest uzasadnione.

Karol Irzykowski.

FANTASTYKA.

Z powodu książki Stefana Grabińskiego: „Na wzgórzu róż", nowele. Kraków, Czernecki 1918 r.

I.

W odczycie wygłoszonym niedawno w Krakowie o Meyrinku twierdził dr Emil Breiter, że już sama skłonność do fantastyki świadczy albo o jakiemś wewnętrznem załamaniu życiowem albo o niedoborach intellektu. Jestto postawienie sprawy zupełnie à la Brzozowski, który modernizując stary reakcyjny postulat „zdrowej literatury", rzucał podejrzenia na wszystkie niespołeczne kierunki literackie i doszukiwał się w nich koniecznie momentów rozkładu. Nasuwa się tu analogia z anatemą Wyspiańskiego rzuconą na poezyę romantyczną. I jak p. Siedlecki w swojej książce przytacza przeciw tej anatemie przykład Finów, którzy kult „Kalewali" doskonale łączą z praktycznością w życiu, tak w tym wypadku wszelkie doktrynerskie, a hamujące twórczość obawy odeprzeć można przykładem Anglików i Amerykanów, którzy będąc podobno najpraktyczniejszymi narodami na świecie wytworzyli mimo to najlepszą literaturę fantastyczną (dziwne przygody, utopijne wynalazki, okkultyzm itd.) Ze złamaniem życiowem ma to chyba niewiele wspólnego; zresztą podobno już samo oddawanie się sztuce wogóle, a więc i sztuce niefantastatycznej, ma źródło zwykle w jakimś kataklizmie życiowym twórców, i aż do syta znanem jest przecież porównanie twórczości artystycznej z perłą, która się rodzi w zranionej muszli.

Obserwacya charakterów poucza, że właśnie ludzie praktyczni, czynni, inżynierowie, kupcy, bankierzy, prywatnie oddają się zajęciom bardzo niepraktycznym: zatapiają się w matematykę kart lub szachów, bawią sią w stoliki wirujące, oddają się nawet mistycyzmowi (towianizmowi!) Można w tem oczywiście upatrywać tylko działanie prawa kontrastu, odpoczynku, i subjektywnie w większości wypadków ten motyw odgrywa niewątpliwie rolę, ale to nie wyczerpuje tej sprawy pod względem objektywnym. Fantastyka nowoczesna jest bowiem nie kontrastem, lecz idealnem przedłużeniem współczesnego życia praktycznego, i obejmuje w sobie już to antycypatywne wyczerpywanie jego możliwości rozwojowych (cudowne wynalazki), już też symboliczne pogłębianie zakresów tego życia (cudowne odkrycia geograficzne, paleontologiczne, biologiczne, metafizyczne).

Prof. Sinko w drukowanej w „Maskach" (nr. 7 i 8) rozprawie p. t. „Świat baśni" mówi: „Baśń jest dla nas jedynie ciekawym zabytkiem myślenia przedlogicznego". Odczuwam jako lukę w tej rozprawie, że autor najprzód nie uwzględnił badań szkoły freudystów nad baśnią, a dalej — i to nas tutaj głównie obchodzi — nie skorzystał z tego szczególnego światła, jakie na bajkę starodawną rzuca bajka nowoczesna: opowieść fantastyczna. Oczywiście, bajka w dawnej formie zaginęła bezpowrotnie; można robić próby galwanizowania jej, lecz będą to próby literackie, bez związku z potrzebami życia kulturalnego. Pokazuje się to n. p. na niesłusznie sławnej „Księdze dżungli" Kiplinga, która jest nieznośną maskaradą ludzi przebranych za zwierzęta; jeżeli się chce ją brać jako „psychologię zwierząt", to o ileż wyżej stoją rzeczy Dygasińskiego. Charakterystyczną likwidacyą bajki starej jest „tysiącdruga baśń Szeherezady" napisana przez Poëgo. Szeherezada opowiada mianowicie swemu władcy różne ziszczone już przez wynalazki nowoczesne cuda techniczne, i on, który dotychczas wierzył w jej wszystkie wymysły, teraz się wzdryga, zarzuca jej zbrodnicze kłamstwo i wydaje na stracenie.

Starodawna fantastyka opierała się na innym poglądzie na świat. Wszystkie elementy świata wydawały się wówczas gotowemi, niezmienną wydawała się ich ilość i jakość; między tymi elementami mogły zachodzić różne permutacye, ale w zasadzie świat wydawał się znanym nawskroś: „nic nowego pod słońcem". Istniała wprawdzie obok Parmenidesa filozofii niezmiennego bytu filozofia stawania się Heraklita: lecz nie odgrywała ona znaczniejszej roli w myśleniu ludzkiem, ponieważ heraklitowską dynamikę traktowano logicznie również jako statykę, tylko pewnego odrębnego rodzaju. Wyobraźnia ludzka przerzucała cud baśniowy w zamierzchłą przeszłość w czasy, mityczne lub wogóle obojętne, podczas gdy wyobraźnia nowoczesna przerzuca go w przyszłość jako naznaczone zadanie (porównać np. czapkę-niewidkę Zygfryda z „Człowiekiem niewidzialnym" Wellsa). Dlatego też świat starożytny i średniowiecze mogły być tak nawskroś religijnymi: miały ów czas wewnętrzny, aby się zwracać ku rzeczom nadziemskim, myśleć o Bogu i o śmierci, nie było potrzeby pośpiechu, nie było nerwowej ciekawości, świat przecież był dokonanym, i rozchodziło się tylko o jak najlepsze nastawienie go ku Bogu. Stąd niesłychana twórczość religijna owych czasów, nad której zanikiem teraz się niepotrzebnie ubolewa. Rok 1000, w którym wyglądano skończenia świata, może uchodzić za punkt szczytowy tego życia dusz. Wyłomu dokonała w niem dopiero wtargnięcie żywych potęg mitycznych na ziemię: odkrycie Ameryki, odkrycie Kopernika, a potem odkrycia i wynalazki fizykalne odwróciły wizyonerstwo człowieka w inną stronę. Przybliżyła się niesamowitość świata i sam cud nabrał innego charakteru. Wiara w rzeczy nadprzyrodzone nie zgasła, jak na to uskarżają się dewotki, lecz zmieniła kierunek i przedmiot. Wiara nowoczesnego człowieka streszcza się w tem: cudów nigdy nie było, ale cuda kiedyś będą; Boga nie było i nie ma, ale będzie; duchów nie było i niema, ale

kiedyś będą. W nieskończonem przedłużeniu czasu oczekiwane jest przebicie ściany ku światowi nadprzyrodzonemu, zaludnienie go, niesłychana ekspanzya człowieka. „Der Übermensch sei der Sinn der Erde".

Ta wiara tem się odznacza że jej nie potrzebują pilnować kapłani. Oczywiście jest ona tylko potencyalną, nieuświadomioną, lecz tak samo mało lub bardzo rzetelną jak wiara Rzymianina w rozmaite Apolliny i Afrodyty. Najcharakterystyczniejszym przykładem tej wiary wydaje mi się pomysł, który znalazłem w dziele „Ziemia i człowiek" zmarłego geografa Wacława Nałkowskiego. Ten „postępowiec" — kategorya dziś niemodna — wciąż polemizujący z różnymi reakcyonistami, rozważa raz możliwość końca świata w postaci powszechnej katastrofy kosmicznej, a więc nietylko ziemskiej, i przypuszcza, że zanim to jednak nastąpi, człowiek znajdzie sposoby wcielenia się w inne formy bytu. Wyznam, że ten pomysł tak mnie swego czasu olśnił, iż pod jego wpływem zrodził się cały powyższy tok myślowy.

II.

W Polsce poezya fantastyczna, w tem ściślejszem znaczeniu, o które tu idzie, powstać nie mogła, zapewne z powodu słabego rozwinięcia przemysłu, a więc niedorozwoju nauk technicznych, a przedewszystkiem z powodu braku morza. Prócz tego fantastyka wymaga widocznie pewnego stanu nasycenia kulturalnego, jest kwiatem zbytkownym, który kwitnąć może dopiero tam, gdzie już zaspokojono codzienne potrzeby. Sporadyczne przykłady fantastyki w literaturze polskiej przypisać należy wpływowi obcemu: jest to albo wprost naśladownictwo, albo też tworzenie dzięki rozkołysaniu wyobraźni przez intenzywność i wspaniałość technicznego życia narodów innych. Są to utwory właściwie duchem niepolskie, pozbawione tutaj podłoża, ale też i rezonansu. Nasi czytelnicy nie gustują w takich rzeczach, i pamiętam, jak pewna pani, wcale inteligentna, powiedziała o „Człowieku niewidzialnym" Wellsa, że to są — baje.

Z ostatnich utworów skromnej fantastyki polskiej wymienić trzeba Antoniego Langego „W czwartym wymiarze" jako rzecz zdeklarowanie fantastyczną. Ale analiza tego zbiorku, pełnego zresztą ciekawych pomysłów, wykazuje różne iście polskie niedociągnięcia do tej skali wymagań, jaką nam dają wzory fantastyki zagranicznej. Pomysły Langego wyglądają jakby się sam autor nimi nie przejmował, są sztuczne, a ich opracowanie oschłe. Uderzyło mnie np. że Lange, który jest wyznawcą Bergsona, a więc i jego teoryi o czasie, mógł napisać taką „Babunię" (babunia cofa się wiekiem i staje się panienką) a więc rzecz, w której czas jest właśnie traktowany jako kategorya odwracalna, kinematograficznie, jest raczej zamaskowaną przestrzenią, niż czasem. Stosunek autora do swoich pomysłów jest stosunkiem ciekawości wobec kuryozów, a gdzie się staje serdeczniejszym, podobny jest bardzo do bezwzględnej czołobitności przed cudem, nastrojony jest na nutę: „więcej jest cudów na niebie i ziemi, niżli się śniło filozofom waszym". Jestto pobożny idealizm, nie zuchwały, zaborczy fantastyzm, który idzie niejako od dołu ku górze, gdyż buduje swoje wieże Babel najprzód z brył życia konkretnego i dopiero później w chytrym punkcie je stajemnicza. Idealizm Langego jest nietylko pobożnym lecz, i pogodnym; ton bywa gawędziarskim, rzec można „swojskim" takim, jakim jest w drugim równocześnie wydanym zbiorku nowel Langego „Elfryda", gdzie już owa pogoda panuje niepodzielnie, jak w „Kłopotach starego komendanta".



RYS. A. BEARDSLEY'A

III.

Cud, który jest osią utworu fantastycznego, powinien być w jakiś sposób wewnętrznie uzasadniony. Nie znaczy to, żeby miał przestać być cudem, lub żeby go uprawdopodabniać, lecz muszą go łączyć głębsze relacye z naszem życiem

duchowem. Cud — nieprawdopodobne lub niezwykłe zdarzenie, niemożliwy wynalazek, nadnaturalna gra sił w przyrodzie bliższej lub kosmosie — jest właściwie hiperbolą naszych pragnień, wyobrażeń i obaw i tem się właśnie legitymuje. Wyjaśnię to na przykładach.

W noweli Wellsa „Tajemnica lorda Elveshama" czytamy o starcu, który zwabiwszy młodzieńca dał mu do picia tajemniczy napój i przez to zabrał mu jego ciało młodzieńcze, a oddał mu swoje ciało starcze. Napój tajemniczy — rekwizyt fantastyki, używany już tyle razy. Rzecz cała chybiłaby efektu, gdyby nie scena, w której przemieniony młodzieniec budzi się i powoli rozpoznaje się starcem. Ta scena, która już sama przez się, wzięta sensu proprio, wywiera niesamowite wrażenie, pogłębia się jeszcze przez nieświadome skojarzenie myśli, że w podobnem położeniu jest właściwie każdy człowiek stary z duszą młodą i że każdego mniej więcej ten sam los czeka, tylko że napój osiągnął tę tragiczną sytuacyę w krótkiej drodze. Przez taki zamach stanu na serce czytelnika autor uzasadnia ex post ów eliksir lepiej i suggestywniej, niżby to zdołał uczynić, próbując nam wyliczać jego chemiczne składniki.

W powieści Stephensona „Mr. Jekyll i mr. Hyde" odgrywa również rolę cudowny napój, dzięki któremu poczciwy i dobry mr. Jekyll dowoli zmienia się w złego nieokiełznanego mistra Hyde. A więc znany problemat sobowtóra, klasycznie opracowany już przez Poëgo w „Wiliamie Wilsonie". Lecz tu jest nowa jego waryanta. Mr. Jekyll, choć tak poczciwy, żywi jednak tajemny pociąg do swego kontrastu charakterowego i dobrowolnie zmienia się w owego Hyde, zrazu tylko złego, namiętnego i garbatego karła, aby w tej postaci folgować swoim małym słabostkom. Powoli jednak Hyde rośnie, staje się główną osobą, a jeżeli czasem, coraz rzadziej, zmienia się w Jekylla, to tylko dlatego, żeby w jego postaci ukryć się przed ścigającą go władzą. Daremnie walczy Jekyll, aby uratować swą lepszą naturę; może być sobą zaledwie parę godzin, parę minut, bo nawet bez wypicia napoju ciało jego samo automatycznym wstrząsem skurcza się we wstrętną postać mra Hyde, i długie spodnie Jekylla fałdują się wraz na krótkich nogach Hydego. Na pozór mamy tu więc do czynienia z egzemplifikacyą przysłowia: „principiis obsta, sero medicina paratur", co jako obserwacya stara i ogólnikowa samo przez się nie więziłoby wyobraźni — gdyby nie specyalne podkreślenie owego momentu psychologicznego, w którym dusza ulega na chwilę obezwładnieniu, pozwala sobie na nieszkodliwą, niby odpoczynkową ekstraturę: „ten jeszcze raz i potem już nigdy" i przez to się gubi. Unaocznienie tego momentu w metamorfozach obu sobowtorów staje się korzeniem, który wciąż odżywia wiarę czytelnika w cud, mieszczący się w napoju, to znaczy, utrzymuje go wciąż na wysokości jednej suggestyi.

Przypomnę zresztą powszechnie znaną historyę Chamissa (z waryantą Anderssena) o człowieku, który zgubił swój cień. Na dnie tej historyi spoczywa jako ostatnia instancya prawda o plagiacie. W bajkach zwierzęcych Ezopa tzw. morał służy jako środek, wzmacniający wiarę w istnienie zwierząt. I tak dalej.

W tych wszystkich wypadkach jednak nie należy tego związku między cudem a jego uzasadnieniem rozumieć tak, jakoby dany utwór był illustracyą pewnego spostrzeżenia czy morału, a więc środkiem do celu prawie dydaktycznego. Przeciwnie: dydaktyka jest tu właśnie środkiem estetycznym, albo raczej jednym z wielu środków. W innych bowiem utworach fantastycznych owych korzeni uzasadniających nie dałoby się tak łatwo odkryć i wykopać jak w powyższych. Przypomina mi się np. historya Wellsa o grubasie, który chciał stracić swój ciężar, i napiwszy się jakichś cudownych a wstrętnych leków podleciał pod sufit swego pokoju i snuł się pod nim, jak balonik dziecięcy na sznurku napełniony gazem, aż przyjaciel wpadł na pomysł obuć go w buty ołowiane. Tu dziwaczna lecz niesłychanie plastyczna sytuacya jest sama przez się tak przekonywującą, że dalsze „uzasadnienie" jest zbyteczne.

Jakiż jest więc cel tych utworów, skoro nie jest nim cel dydaktyczny? Na to możnaby odpowiedzieć z Freudem (powołując się na jego słynną rozprawę o dowcipie): celem jest absurd, chaos, nurzanie się w nonsensie. Aby módz bez skrupułu użyć tej słodkiej godziny nonsensu, człowiek wprzęga w jego służbę nawet sens, stawia go na straży. Omijając jednak terminologię freudowską, poprzestać można na tem, co było zawsze jasne: człowiek ma potrzebę odetchnąć czasem atmosferą cudowności. Tak się rzecz ma pod względem psychologicznym, czy estetycznym. A pod względem kulturalnym: człowiek czuje potrzebę antycypowania cudu, chociażby w surogacie literackim zanim sam cud ziści.

(Dok. nast.)

Karol Irzykowski.

Z NOWYCH KSIĄŻEK.

A. K. A., Fraszki, Kraków, b. r., nakładem Księgarni J. Czerneckiego, str. 158.

Przeczytawszy ładnie wydany tomik Fraszek A. K. A., miałoby się ochotę dowiedzieć, kto kryje się pod owymi inicjałami, by do nazwisk Lemańskiego i Boya-Żeleńskiego dołączyć w pamięci trzecie, reprezentujące pokrewny kierunek liryki — sowiżdżalskiej. Nie wynika z tego, jakoby autor Fraszek był naśladowcą tamtych. Korzysta on tylko z mody — obcinania ogonów, zaprowadzonej przez pewnego lisa (str. 25) i sądząc, że „zuchwalstwem pisać dzisiaj niezuchwałe rymy“, śpiewa „na sposób łobuza“ (str. 158), bo wie, że mu z tem — do twarzy. Choć jednak ogólne „nastawienie się“ i do świata i do własnego wnętrza jest u niego, jak u tamtych, uznanych już oficjalnie poetów, sowiżdżalskie, to sposób wyrażania się nie jest tak, jak tam, pierrotowsko-wykwintny i sztuczny, lecz aż zanadto—prosty. Wobec „surowego cenzora“ może się przytem powołać na przywilej, który za Katullem i Marcjalisem windykował sobie już czarnoleski fraszkopis. Może za wysokie wspomnienia? za dostojne koli- acje? Bynajmniej. Posłuchajmy!

Najpierw bajki. O puszczyku i słowiku, z których drugim wszyscy się zachwycają, pierwszego mianują kłamcą, choć smutne zdarzenia każdej nocy przyznają rację — puszczykowi. O kulawym, co uczył skoczka chodzić po linie, a do potłuczonego powiedział: „Inna rzecz uczyć, inna umieć, odparł krytyk“. O wietrze, co „wszystkich ważył letce, aż upadł do nóg kokietce“ — brzózce. O graczu, który od miejsca porzuconego przy grze, dowiaduje się, że po jego odejściu „miano na nie pasę — szła razy masę“. O zgorszonej suczce, co oburzała się na kruczka, a potem po kryjomu „wzięła na wybredny kiełek — po kolei ośm pchełek“. O spragnionym chłopcu, co chciał się napić wody najpierw w tęczowym wodospadzie, a nie dosięgnąwszy jej, zwrócił się do kałuży: „Przecież jest woda, — choć mętna i paskudna. — Nie mogę czystej, — tej się napiję, — choć mętna i brudna“. O starym orle, co chcąc wybrać miejsce na grób, wzniosł się jeszcze raz ponad obłoki: „I patrzcie! właśnie w chwili, — kiedy wam z oczu zginął, — on się już więcej nie sili, — już strefę ciążenia minął: — Pierś lekko, lekko oddycha, — a w piersi radość cicha. — Pojął, że umarł w tej chwili — i że go tchnienie niesie teraz Boże. — Lecz to tylko orłowi przydarzyć się może“. A taka bajka może się przydarzyć tylko prawdziwemu poecie. Zresztą i „Spragniony chłopiec“ i wiele innych bajek zaszczyt przynoszą i inwencyi i — filozofii autora, by już nie mówić o formie, zupełnie pokrywającej treść i wyrażającej ją bez reszty. Na przykład wystarczy „Dymek z papierosa“.

Dymek z papierosa, wierny i cichy
towarzysz zadumania,
co rytmiczne tocząc kręgi,
pomógł do napisania niejednej księgi,
próżen był pychy.
I kiedy snując swe błękitne wstęgi,
smutek złagodził,
to bez szemrania
wnet z oczu schodził
on, dymek lichy...

Prawdziwe „fraszki“, to anegdoty, jak o tej pani, co raz posłała po lekarza wspaniałą karetę, a drugi raz liche pudło i na jego przedstawienie odparła: „Wtedy do siebie, dziś go wzywam do



RYS. A. BEARDSLEY'A.

pastucha“; albo o tej księżniczce, co to cieszyła się wzięciem przy licytacji wdzięków... „Jej biografja tłumaczy — co to krew znaczy“...

Wojenne echa pobrzmiewają także we fraszkach byłego Piłsudczyka. „Rana“ zatrąca o tragiczność: „Nie tak bardzo cię bolę! — powiedziała rana — świeżo niemcowi zadana. — Nie patrz źrenicą na mnie taką wilczą, — bo nie będziesz

powodu miał wstydzić się blizny, — poniosłeś mię dla ojczyzny. — A nasze rany? Nasze rany — milczą". Przeżycie kwaterowe skryło się w bajkę o chlebie, co to „żarcikiem z każdym się podzielił, — choć pierwej było smutno, wszystkich rozweselił". Maroder błaga, by go wzięto na pełną już furę, a gdy na niej już siedzi, odtrąca nowego marodera, proszącego o miejsce. Na przytoczenie w całości zasługiwałaby też bajka o kuli, co to, „cała się sprawie ofiarująca — od lęku wolna i skazy, — czekała w lufie karabina, — aż wybije jej godzina, — godzina słońca, — czekała na rozkazy". I poleciała wreszcie. „Z takiem uniesieniem — kochanek miłej swojej nie otula — tęsknem ramieniem, — z jakiem leciała w owej chwili kula.... aż w czyjemś miękkiem utonęła sercu". „A teraz... teraz w drżącej dłoni leży — cała spłaszczona, krwawa rdza ją toczy — i sama w przeszłość już swoją nie wierzy — i nie śmie spojrzeć starej matce w oczy"... Tak nie jeden raz skra dowcipu rozżarza się w tych „Fraszkach" w płomyk prawdziwej poezyi.

Przeciwnie bywa w „Fraszkach miłosnych". Tu nieraz szczere uczucie, zamiast rozbłysnąć poezją, kurczy się w sowiżdżalski dowcip. Oczywiście nie zawsze. Bo poeta, który tworzy swe piosenki „oto tak — jako ptak — kiedy sobie g w i ż d ż e (nie śpiewa) w borze", czasem zapomina o dowcipkowaniu. Najlepsze są takie niedowcipne westchnienia np. „Oh! umieliśmy się kłócić — i stąd nieraz było smutnie. — Gdybyż dzisiaj mogły wrócić — te kłótnie"! „Lubię wsiąść na pociąg — tak, bez żadnej racyi — i przejechać się nim — bodaj kilka stacyj. — Pociąg już za miastem, — ja w oknie się kładę — i sam sobie kłamię, — że do ciebie jadę". „Chodzę po mieście — trzy dni już chodzę, — może pod koła — wpadnę nareszcie". Jest w tych fragmentach głębia i prostota poezyi ludowej. Drobna ich forma, szczupły zakres, ale na to słusznie mówi autor (str. 85): „Ktoś tam mówi o mych piosnek — małym diapazonie... Czyż to można o miłości — trąbić na puzonie". Gdy autor swój diapazon rozszerza, popada nieraz w konwencjonalność—albumową, jak w przeważnej liczbie wierszy Dodatku (od str. 119). To też pomijając je, zwracamy jeszcze tylko uwagę na piękną „powiastkę o zbóju i ufającem sercu" i na ironiczną „Balladę o szczerych kochankach".

Kilka umyślnych trywjalności, uprawnionych zresztą rodzajem literackim „Fraszek" i kilka białych luk, spowodowanych przez cenzurę, otoczyło te „Fraszki" rozgłosem niecenzuralności i spowodowało ich pokupność. Jeśliby łowcy „kawioru", połknąwszy swą porcję, mieli cierpliwość przeczytać cały zbiorek, znaleźliby w nim mimowolnie i to, czego nie szukali, poezję. Tak Saul, wyszedłszy szukać oślic ojca swego, znalazł koronę królewską. A miłośnik poezji, zaciekawiony osobą autora, zajrzawszy do Encyklopedji współczesnych literatów polskich S. Lama, znajdzie tam rozwiązanie inicjałów w A (dama) Ka (dena) i zapamięta sobie to nowe nazwisko.

T. S-o.



J. RASZKA — RADA REGENCYJNA.

KRAKÓW · 20 · LISTOPADA · 1918 ZESZYT · 33

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



VLASTIMIL HOFMANN GOPLANA.

MAURICE MAETERLINCK.

DZIEŃ SZTANDARU BELGIJSKIEGO.

20 grudnia 1915.

Trzeba, aby ten dzień, kiedy nasz sztandar ma płynąć, jako symbol miłości i wdzięczności we wszystkich rękach francuskich, był dniem nadziei i chwały dla całej Belgii.

Zapomnijmy na chwilę o naszej przerażającej nędzy, o naszych polach, najpiękniejszych, najżyźniejszych w Europie, spustoszonych tak do szczętu, że wszystko, cokolwiek o tem powiedziano, nie może dać pojęcia o tej ruinie, która wydaje się niepowetowaną. Zapomnijmy, jeśli to możliwe, o kobietach, dzieciach, starcach, o niewinnych i miłujących pokój, pomordowanych w tysiącach, których liczba przerazi świat, gdy pęknie kordon, za którym dokonuje się tyle tajemnych okrucieństw. Zapomnijmy o tych, którzy umierają w naszej ojczyźnie bez żniw i bez domostw, niszczonej, grabionej i wyssanej do ostatniej kropli życia. Zapomnijmy o tej reszcie naszego ludu, rozprószonej po drogach wygnania, żyjącej z miłosierdzia publicznego, które tak braterskie, tak litosne, jest przecież tak ciężkie dla rąk skróś pracowitych, które nie zaznały nigdy upokarzającego ciężaru jałmużny. Zapomnijmy wreszcie naszych ostatnich zagrożonych miast, najpiękniejszych i najbardziej drogich, tych, które tworzą samo oblicze ojczyzny i które cud chyba zdołał jeszcze uratować. Zapomnijmy słowem największą klęskę i najbardziej krzyczącą krzywdę, jaką zna historya, aby módz myśleć dziś jeno o oswobodzeniu, które się zbliża. Nie jest bynajmniej zawcześnie, aby je witać. Jest ono już przytomne we wszystkich oczach, które się do nas uśmiechają, we wszystkich głosach, które nas witają, we wszystkich rękach, które się do nas wyciągają, powiewając palmami, albowiem jest to zaprawdę podziw całego świata, który nas wyswobadzał...

Jutro powrócimy do naszych domowych ognisk. Nie będziemy płakali, choć je znajdziemy w ruinie. Odrodzą się piękniejsze z popiołów i zgliszczy. Posłyszymy o długich dniach bohaterskiej nędzy; ale już my dziś wiemy, że nędza nie zasmuca dusz, które otacza wielka miłość i które żywi myśl szlachetna. Powrócimy z głową wzniesioną, odrodzeni w odrodzonej Europie, odmłodzeni wyniosłem nieszczęściem, oczyszczeni zwycięstwem i wolni od małości, które zasłaniały nam cnoty, uśpione w nas samych i nieznane. Zastaniemy zniszczone te dobra, które podlegają zgubie, ale odradzają się równie łatwo, jak giną; natomiast wzięliśmy w posiadanie takie, które już nie umrą w naszych sercach. Nasze oczy bywały zawarte na wiele rzeczy; otwarły się dziś na widnokręgi wyolbrzymione. Nasze spojrzenia, bywało, nie śmiały porzucić swoich bogactw, swego biednego dobrobytu, swych małych nałogów; oderwały się dziś od ziemi i dosięgły szczytów, których dotąd nie widziały. Nie znaliśmy samych siebie, nie kochaliśmy się dosyć wzajemnie; i oto poznaliśmy się w przerażeniu chwały i pokochali w bolesnym zapale największej ofiary, jaką lud który kiedykolwiek spełnił. Blizcyśmy byli zapomnienia o cnotach heroicznych, o myślach bez więzów, o wiecznych ideach, które wiodą ludzkość. Nie tylko wiemy dzisiaj, że one trwają, aleśmy jeszcze światu całemu przynieśli nowinę, że one zawsze tryumfują, że nic nie jest stracone, byleby wiara się ostała, byle honor się ratował, byleby miłość wytrwała, byle dusza się nie cofła; i że najpotworniejsze mocarstwa nie wydołają nic przeciw siłom idealnym, które są szczęściem, chwałą i jedynym sensem ludzkiego życia.

Z *„Les debris de la guerre“*.

przeł. ts.

JULIAN TUWIM.

POEZYE.

NASZA MĄDROŚĆ.

Jakże ja Cię będę uczył tej mądrości?
Myśmy ludzie cisi, myśmy ludzie prości.

Myśmy ludzie prości, ludzie nieuczeni:
Słowem-ogniem wszczęci, słowem-ogniem chrzczeni.

Splotem słów chwytamy tajnię w śpiewnym rymie,
U nas kwiatu — słońce, słońcu — kwiat na imię.

Lecz w tej naszej mowie, w tym przedziwnym dziwie,
Świat się tak nazywa, jakim jest prawdziwie.

Bez ksiąg i bez nauk, lecz w zadumie niemej,
My jedyni jeszcze coś-niecoś tu wiemy:

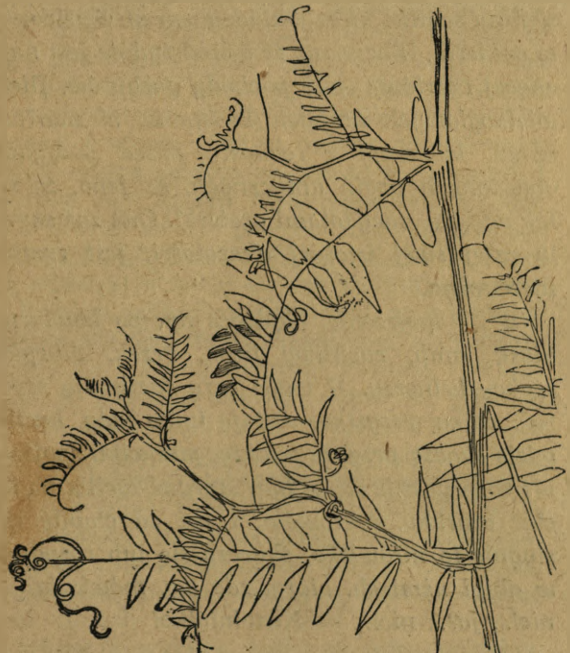
O tych chwilach nocnych, co w bezkresy biegą,
Gdy widzimy cienie niewiadomo czego.

Zawsześmy na ziemi jednakowo młodzi,
U nas po ogrodzie jasny Zwiastun chodzi.

I do samej śmierci oddajem w pokorze
Bogu, co cesarskie i Bogu, co boże.



RYS. C. NORWID



* * *

Krwi, snów, mknień, żądz,
Gór, chmur, drżeń, zórz,
Łez, chwil, róż, słońc,
Łkań, gwiazd, gróz, mórz — — !
O, życie moje!
O, życie moje!
Bierz, gub, trwoń, trać!
W lot, w śmiech, w gniew, w szal!
Żyć! śnić! drżeć! łkać!
Mknij, leć, pędź, wcwal!
O — życie moje!!
O — życie moje!!
Ból? Śmierć? Tak, tak!
Wiem, wiem: czar złud!
Nic, nic! Dzień — ptak!
W pęd! w lot! w wir! w cud!
O, życie, życie moje! —

POCHWALAM SPRAWĘ DWOJGA CIAŁ.

Z niewiadomego rozkazu nagle wyciągam ramię, by objąć świat:
I obejmuję Twą kibić — życiem uderza silnie w tętnicach krew!
Szybko oddycham z radości, cieszy mnie mocnych piersi dojrzały sad
I prężne, owocne biodra, pełne, krągłe, jak trzony wiosennych drzew.

Urodna, rodna, miłosna, wkwitniesz w oploty moje na żądny zew!
Przyjmiesz mnie w siebie z tryumfem, krwią zakotłuje w sercach gwałtowny szał.
W śródbiedrze, siejby spragnione, tryśnie wyczekiwany żywotny siew!
I mnie i Tobie pochwała! Pochwała sprawie dwojga tworzących ciał!

GROTESKA.

Królestwo współczesnego czarta, głupota, przed którą lęk chwyta, a często jawne szyderstwo i grymas, stężałe ad aeternam Diaboli memoriam w niezniszczalnego potworka.

Nasza tęsknota za groteską, nasz dreszcz, gdy ją czujemy, jest wyrafinowaną lubieżnością zepsutych, bezbożnych dusz europejskich. Mistyczny strach przed waryatem jest naturalny. Mistyczny strach przed idyotą (t. zn. człowiekiem głupim, jakimś panem mecenasem, doktorem, profesorem etc.) — czarci, groteskowy. Olbrzymie, fantastycznie powyginane konary drzew w strasznie ciche noce księżycowe, przejmują zgrozą. Lecz to zgroza zdrowa, żywa, przyrodzona. Natomiast dziełem czarta, czyli groteską, może być byle sprzęt lub figurka, stojąca od lat na biurku, może być cały szereg ludzi, zwierząt, nawet spojrzeń i ruchów. Znam w mieście ludzi-dyabłów. Nic nie mają wspólnego ze zwykłą postacią Kusego, lecz wiem, że to dyabły. Tak samo, jak poznaję psy, które są żydami.



RYS C. NORWID

Nie tak groteskowy jest Dorian Gray, dłubiący w nosie, jak ów utuczony, lśniący i modnie ubrany semita, którego widziałem w Warszawie w cukierni. (Zaznaczę, że wśród żydów jest najwięcej czartów). A te pochody garbusów, flirty wielkogłowych krępych kretynów, ci masturbanci, kwiczący z rozkoszy przed posągami obnażonych bogiń antycznych, są jeno, że się tak wyrażę, anegdotami groteski. Ona zaś sama, w całej swej istotnej okazałości, jest zwykle niepozorna.

Ot — spojrzenie, błądzące np. po kawiarni: blask lamp, ruchliwy tłum, brzęk, muzyka, szybcy kelnerzy... I nagle oczy zaczynają szperać: znika wszystko, zostają tylko kąty, kąciki, gdzie skaczą przykre punkty, punkciki, spojrzenie rozpryskuje się w tym szarym kąciku na tysiąc czartów, czarcików, i już za chwilę zastygnie to mrowisko, skurczy się lub rozpłynie w głupi uśmiech, który, zda się, mówi: ja? — nie!... ja?... nic!... — Niewiniątko!

HUGO HOFMANNSTHAL.

L I S T.

Ten jest list, który napisał Filip lord Chandos, młodszy syn earla of Bath do Franciszka Bacona, późniejszego lorda Verulam i wicehrabiego St. Albans, iżby się usprawiedliwić przed przyjacielem z całkowitego zarzucenia swej działalności literackiej.

Jestto uprzejmie z Waszej strony, wielce szanowny mój przyjacielu, iż nie uważając na dwuletnie moje milczenie, tak do mnie piszecie. Wszelako więcej, niźli uprzejmie jest to, iż trosce Waszej o mnie i zdumieniu z przyczyny duchowej mej drętwoty dajecie pozór niefrasobliwości i krotochwili, co się pokazać może jedynie po ludziach niepowszedniej miary, którzy nieprzezpiecznością wędrówki ziemskiej do głębi są przejęci, a przedsię ducha nie tracą.

Kończy Wasza Miłość sentencyą Hippokratesową: „Qui gravi morto correpti dolores non sentiunt, iis mens aegrotat“ i mniema, jako potrzebuję medykamentu nie przeto tylko, aby swą dolegliwość okiełzać, ale wielekroć bardziej, iżbym wyostrzył wzrok mój duchowy na stan własnego wnętrza. Pragnąłbym Miłości Waszej dać respons, godny Jej zasług około mej osoby, pragnąłbym otworzyć się Wam wszystek, a nie wiem, jakby się zabrać ku temu. Mamże pewność, czylim jeszcze ten sam, do którego adresowane jest szacowne Wasze pismo? czyliżem ten, teraz dwudziestosześcioletni, który w dziewiętnastu leciech napisał onego „Nowego Parysa“, on „Sen Dafny“, ono „Epithalamium“, one, przepychem Waszych słów oszołomione dramy pasterskie, które niebiańska królowa i kilku nazbyt pobłażliwych lordów dotąd raczyło zachować w pamięci? I czyliżem ten, któren w dwudziestym trzecim roku żywota swego, przechadzając się pod kamiennymi portykami wielkiego placu w Wenecyi, odnalazł w sobie ów tok łacińskiego okresu, którego zarys duchowy i budowa większym zdejmowały jego duszę zachwytem, niźli wynurzające się z morza budowle Palladia i Sansovina? A podobna znowuż, abym ja, jeśliżem jest ten sam, tak do cna utracił z niepojętego wnętrza mego wszystek ślad i wszelką bliznę po tym płodzie wytężonego napięcia myśli mojej, iżby tytuł niewielkiej dyssertacyi w liście Waszym, który tu mam przed sobą, spoglądał na mnie obco i zimno, iżbym, co większa, nie ujmował go naraz umysłem, jako zwyczajny obraz złożony ze słów, a jeno pojmował zwolna, wyraz po wyrazie, jakby te słowa łacińskie, w tym sposobie powiązane, oczy moje oglądały po raz pierwszy? A wszakoż ja to jestem sam, w kwestyach tych zasię mieszka retoryka, dobra dla białych głów, lubo dla Izby Gmin, którejto retoryki tyle przeceniana przez wiek nasz potęga nie zdoła wszelako dotrzeć do jądra rzeczy. Przeto muszę Miłości Waszej odsłonić tajnię mego wnętrza, osobliwość, czy narów, czyli — jak to nazwiecie — chorobę ducha, aby się Wam stało jasnem, iż taka sama, nieprzebyta otchłań dzieli mię od prac literackich, których jakoby w przyszłości mam dokonać, jak i od tego dorobku, który mam już za sobą, a który wzbraniam się mienić moją własnością, tak zgoła obcą mówi do mnie mową.

Nie wiem, co mi podziwiać więcej: wnikliwość życzliwości Waszej, czyli niewiarygodną iście bystrość Waszej pamięci, z jaką dobywacie z zapomnienia przeróżne drobne zamierzenia, ożywiające mię w pięknych dniach pospólnych uniesień. W rzeczy samej miałem zamiar przedstawienia pierwszych lat pełnego chwały panowania zmarłego naszego suwerena Henryka ósmego. Za podstawę ku temu służyć mi miały zapiski dziada mego, księcia Exeter, odnoszące się do negocyacyi jego z Francyą i Portugalią. Ze Sallustyusza zasię spływało we mnie w dniach onych szczęśliwych i pełnych życia, poznanie formy, owej formy głębokiej, prawdziwej, wewnętrznej, którą za opłotkami sztuczek retorycznych ledwo się przeczuwa, tej, o której nie można już powiedzieć, że w treść wprowadza jeno ład, bo ona ją przenika i podnosi, stwarzając razem prawdę i zmyślenie, obraz sił wieczystych, coś, co jest cudne, jak muzyka i algebra. Ten był najmilszy mój plan.

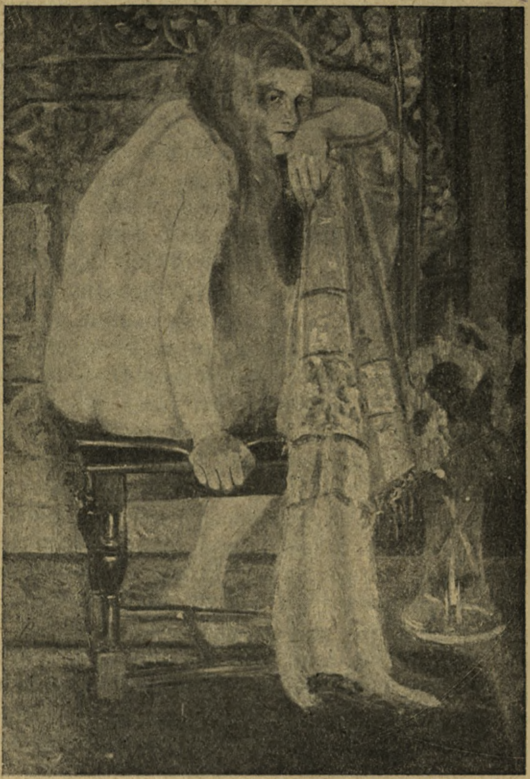
Lecz czemże jest człowiek, iżby mógł snuć plany!

Inne jeszcze zamiary pieściłem w mej duszy. Dobroć, bijąca z Waszego listu, wywiodła je na powierzchnię. Pląsają teraz przedemną, napojone kroplami mojej krwie serdecznej, niby smętne komąry ponad posępnym murem, na który nie pada już jasny blask słońca czasów szczęśliwych.

Układałem sobie, jako otworzę kiedyś przed oczyma świata one klechdy i myty, ostawione nam w spuściźnie przez starożytnych, tak zasię nieskończenie a bezmyślnie umiłowane przez malarzy i rzeźbiarzy — że je odemknę nito hieroglify tajemniczej, bezdennej mądrości, której powiew czułem niekiedy tchnący na mnie jakoby poprzez zasłonę.

Przywodzę sobie jasno na pamięć owo zamierzenie. Pochodziło ono z jakowejś — nie zdolen jestem nazwać jej — cielesnej i duchowej

skłonności: bowiem jako jeleń ścigany tęskni do wody, tak ja tęskniłem ku owym nagim, przepysznym ciałom, ku onym Syrenom i Dryadom, Narcyzom i Protejom, Perseuszom i Akteonom; w nich chciałem zaginąć i z ich wnętrza ich mówić językiem. Tego pragnąłem. Pragnąłem jeszcze wiele inszych rzeczy. Planowałem sobie zbiór „Fraszek“ („Apophthegmata“), podobny



J. PINKAS *MODELKA*

temu, jaki ułożył Juliusz Cezar — przypomina Sobie Wasza Miłość wzmiankę w jednym z listów Cycerona. Tu zamyślałem pomieścić zdania najbardziej godne pamięci, któreby mi się udało zebrać w obcowaniu już to z uczonymi mężami i dowcipnemi niewiastami naszego wieku, już to z celniejszymi ludźmi z gminu, już też z ukształconemi, znamienitemi personami, spotykanemi czasu podróży; zamierzałem tu włączyć piękne sentencye i uwagi, wyjęte z dzieł pisarzy starożytnych i włoskich — tudzież przykłady szczególnie udatnych festynów i widowisk teatralnych, dziwne przestępstwa i przypadki obłędu, opisanie największych i najosobliwszych dzieł architektury w Niderlandach, we Francyi i Włoszech. Całe zaś dzieło miało nosić tytuł: „Nosce te ipsum“.

Słowem — wonczas, w stanie ciągłego upojenia, zdawał mi się cały byt wielką jednią: świat ducha i ciała nie przeciwstawiał się sobie, podobnie, jak życie dworskie i zwierzęce, sztuka i niesztuka, samotność i towarzystwo. We wszystkiem wyczuwałem naturę — w obłędzie szału, jak i w największych subtelnościach hiszpańskiego ceremoniału; w głupowatych psotach parobków, niemniej, niż w najsłodszych allegoryach; a w całej naturze wyczuwałem własną istotę. Gdy w chacie myśliwskiej wypijałem ciepłe, pieniące się mleko, które kudłata dziewka doiła do skopca z wymion dorodnej krowy o łagodnem wejrzeniu, miało to dla mnie to samo znaczenie, jak gdybym siedząc na ławce, wmurowanej w niszę okienną mojego „studio“, wchłaniał w siebie z foliantu słodki i spieniony trunek ducha. Jedno było jak drugie — żadne nie ustępowało drugiemu, ani w swej istocie nieziemskiej, podobnej marzeniu, ani w mocy cielesnej — i tak coraz dalej, przez całą rozpiętość istnienia, w prawo i w lewo; a wszędzie sięgałem do jądra rzeczy, nie mając zgoła oka dla pozorów. Albo też miewałem przeczucie, iż wszystko tłómaczy się przez parabolę, wszelkie zasię stworzenie jest kluczem do drugiego — i czułem w sobie tę moc, by jedno po drugiem utrafiwszy w sedno, pootwierać niem tyle innych, ileby tylko można. Tem objaśnia się też tytuł, który zamierzałem nadać onej encyklopedyi.

Ten, do którego ma przystęp podobne mniemanie, uważałby to za mądrze ukartowany plan boskiej Opatrzności, że duch mój, z takich wyżyn nadętej zarozumiałości, osunął się w ten padół trwożliwości i bezsiły, trwały obecnie stan mojego wnętrza. Wszelako takie religijne pojęcia nie mają żadnej władzy nademną; są one jako sieci pajęcze, przez które myśli moje przemykają się nazewnątrz w próżnię, podczas, gdy tyle ich rówieśnic uwięźnie tam i osiąga spokój. U mnie zaś tajemnice wiary upoetyzowały się we wzniosłą allegoryę, która zawisła nad polem mego życia nito jaśniejąca tęcza w wieczystej dali, zawsze gotowa cofnąć się, gdyby mi wpadło na myśl biedz ku niej i owinąć się rąbkiem jej płaszcza.

Atoli, wielce szanowny przyjacielu, także i ziemskie pojęcia odsuwają się odemnie w równej mierze. Jakże mam się pokusić o wystawienie Waszej Miłości tych osobliwszych męczarni ducha, tego uskakiwania obciążonej owocem gałęzi powyż moich wyciągniętych dłoni, tego cofania się szemrzącej fali od spragnionych warg?

Słowem — zachodzi u mnie taki przypadek: zatraciłem ze szczętem zdolność myślenia, albo mówienia w związku o jakiejkolwiek rzeczy.

Zrazu stawało mi się stopniowo niemożliwem, przy omawianiu wyższej, albo ogólniejszej ma-

teryi, używanie takich słów, którymi przecież posługują się zazwyczaj wszyscy bez namysłu. Doświadczałem z niewiadomej przyczyny niemiłego uczucia przy samem wymawianiu wyrazów: „duch“, „dusza“, albo „ciało“. Wydało mi się rzeczą wewnętrznie niemożliwą zdobyć się na sąd o sprawach dworskich, o zdarzeniach w parlamencie, lub czemkolwiek innem. A to bynajmniej nie z jakichkolwiek względów, albowiem Wasza Miłość zna moją otwartość, graniczącą z lekkomyślnością: jeno dla tej wyłącznie przyczyny, że słowa oderwane, któremi się wszakże język musi posługiwać, końcem uzewnętrznienia jakiegokolwiek sądu, rozsypywały mi się w uściech, jak zbutwiałe grzyby. Zdarzyło się, że kiedy miałem skarcić czteroletnią moją córeczkę za dziecinne kłamstwo, którego się była dopuściła, i kiedy chciałem ją naprowadzić na nieodzowność mówienia zawsze prawdy — jęły się nagle pojęcia, napływające mi do ust, mienić różnemi barwy i tak się wzajemnie zalewać, iż z trudem, plącząc się, dokończyłem zdania, jakgdyby mi się uczyniło słabo i w istocie blady na obliczu i z okropnym uciskiem na czole, opuściłem dziecko, zatrzasnąłem za sobą drzwi i dopiero na koniu, rozpędziwszy się tęgim cwałem przez samotne pastwisko, przyszedłem nieco do siebie.

Wszelako zwolna szerzyła się ta pokusa nakształt rdzy, wyżerającej wszystko dokoła. Doszło do tego, że nawet w poufnych rozmowach w domowem kole, sądy, wydawane zazwyczaj z miejsca i z pewnością lunatyka, stały się dla mnie tak pełne wątpliwości, że musiałem poniechać uczestnictwa w onych dyskursach. Niewysłowiony gniew, z mozołem ledwo skrywany, ogarniał mię, ilekroć słyszałem takie powiedzenia: ta sprawa wzięła obrót dobry, albo zły dla tego lub owego; szeryf N. jest człowiekiem złym, kaznodzieja T. zasię dobrym; dzierżawca M. godzien jest pożałowania, bowiem synów ma marnotrawnych; inny znowuż godzien jest zazdrości, przeto, iż ma córki gospodarne; ta rodzina dźwiga się, owa upada. Wszystko to wydało mi się w najwyższym stopniu nie do dowiedzenia, kłamliwe i dziwaczne. Umysł mój zniewalał mię do oglądania wszystkiego, co było materyą podobnych rozmów, z nieprzyjemnej blizkości: tak, jak kawałek skóry mego małego palca, którą oglądałem raz przez szkło powiększające i która przypominała płaszczyznę, porytą bruzdami i jamami — tak przedstawiali mi się teraz ludzie i ich czynności. Nie byłem już zdolen ogarniać ich wzrokiem zwyczajnym, który upraszcza. Wszystko dzieliło mi się na części, te zaś części znowu na cząstki — i niczego już nie mogłem objąć pojęciem. Poszczególne wyrazy pływały wokół mnie; krzepły w kształt oczu, wytrzeszczonych na mnie, w które ja znowuż muszę się wpatrywać: są to wiry, w które poglądając, dostaję zawrotu głowy, wiry, kręcące się bez ustanku, przez które wstępuje się w próżnię.

Usiłowałem ratować się z onego stanu, chroniąc się w duchowy świat starożytności. Platona unikałem wszakże: zdejmowała mię groza przed niebezpiecznym lotem jego przenośni. Zamyślałem dzierżyć się nadewszystko Seneki i Cycerona. Żywiłem nadzieję, iż w tej harmonii pojęć ściśle określonych i uporządkowanych, ozdrowieję. Wszelako nie mogłem do nich dotrzeć. Te pojęcia rozumiałem dobrze: widziałem cudowną grę ich stosunku, jak wzbijała się przedemną, nito wspaniałe wodotryski, igrające złotemi piłkami. Mogłem krążyć dokoła nich i przyglądać się wzajemnym ich igraszkom — one jednak łączyły się jedynie pomiędzy sobą, zaś moje myślenie, w najgłębszej, osobistej swej istocie wykluczone było z tanecznych ich kręgów. Ogarnęło mię pośród nich uczucie straszliwej samotności; zdałem się so-



J. PINKAS PORTRET

bie jak człowiek, zamknięty w ogrodzie, wśród samych posągów bez oczu. I poraz wtóry uciekłem w pole.

Odtąd wiodę żywot, którego Wasza Miłość — obawiam się — nie pojmie, tak mi upływa bezdusznie i bezmyślnie; istnienie, nie różniące się zapewne w niczem od życia moich sąsiadów, krewnych i przeważnej części szlachty, właścicieli ziemskich tego królestwa — a nie pozbawione w zupełności momentów radosnych i ożywczych. Niełatwo mi wszakże przyjdzie wyłuszczyć Waszej Miłości, na czem polega łaskawość tych chwil — słowa opuszczają mię ponownie. Jestto bowiem coś nienazwanego i coś, na co trudno znaleść miano, a co zjawia się przedemną w takich chwilach, wypełniając jakieś zjawisko z codziennego mojego otoczenia, jakby naczynie, wzbierającą falą wyższego życia. Nie spodziewam się, byście mię zrozumieli bez przykładu, muszę Was wszakże prosić o pobłażanie dla moich przykładów — tyle są powszednie. Polewaczka, brona, porzucona na polu, pies, wylegujący się na słońcu, obożuchny cmentarz, kaleka, chatka wieśniacza — wszystko może być naczyniem mojego objawienia. Każdy z tych przedmiotów, oraz tysiąc im podobnych, po których oko ześlizguje się zazwyczaj ze zrozumiałą obojętnością, może znagła, w jakimś momencie, którego sprowadzenie zgoła nie leży w mojej mocy, otrzymać piętno wzruszającego dostojeństwa, na którego wyrażenie wszelkie słowo zda mi się zbyt ubogie. A nawet może się zdarzyć, że pewne określone przedstawienie nieobecnego przedmiotu bywa wybrane, iżby wypełniła je aż po brzegi owa nagle wstająca, a słodka fala boskiego uczucia. I tak przed niedawnym czasem dałem polecenie, by szczurom w piwnicach jednego z mych folwarków, obficie ponasypywać trucizny. Pod wieczór wyjechałem konno i — jak Wasza Miłość zgaduje — nie zaprzątałem się więcej tą sprawą. Wtem, gdy tak jadę stępa po wywróconych skibach głęboko rozoranej roli, a w pobliżu nic niema, jak tylko spłoszone pisklęta przepiórek, zaś w dali ponad sfałdowanem polem ogromne, zapadające słońce — znagła otwiera się we wnętrzu mem owa piwnica, pełna śmiertelnych zapasów onego narodu szczurów. Było we mnie wszystko: duszny chłód piwnicznego powietrza, nasyconego słodkawo-ostrym odorem trucizny i przeraźliwe wrzaski przedśmiertne, rozbijające się o spleśniałe mury i bezprzytomne skręty konwulsyi i bezładna bieganina rozpaczy i oszalałe szukanie wyjścia i zimna wściekłość we wzroku spotykających się u zatkanej szczeliny. Lecz na cóż kusić się o słowa, których się wyprzysiągłem! Przypominacie sobie, mój przyjacielu, z Liwiusza cudowny opis godzin, poprzedzających zburzenie Alba Longi? Jak to błąkają się po ulicach, których im więcej nie ujrzeć... jak się żegnają z każdym kamieniem swej ziemi. Powiadam Wam, przyjacielu, iż wszystko to nosiłem w sobie, a ponadto płonącą Karthago; a nawet było to więcej — bardziej bosko, bardziej zwierzęco; i była to rzeczywistość, najdoskonalsza i najwznioślejsza. Oto matka, około której wiły się w drgawkach młode, dogorywając, a ona nie patrzyła na konające, ni na niewzruszone mury kamienne, jeno słała wzrok w pusty przestwór, czy ponad przestwór — w nieskończoność, a spojrzeniu towarzyszyło zgrzytanie zębów! — Jeśli podle Nioby, zastygającej w głaz, stał niewolnik, pełen bezsilnej grozy, tak musiał cierpieć jak ja cierpiałem, gdy dusza tego zwierzęcia szczerzyła we mnie zęby przeciw potwornemu dopustowi losu.

Przebacz mi, Wasza Miłość, ten opis, ale nie sądź, że to, co mię napełniało, było litością. Tego nie wolno Wam myśleć, inaczej niezręczniebym wybrał ten przykład. Było to o wiele więcej, i o wiele mniej, niż litość: jakieś niezmierzone współczucie, jakieś przepłynięcie w one stworzenia, albo odczuwanie, że jakoweś fluidum żywota i śmierci, snu i jawy, spłynęło w nie na moment — skądże to? Cóż bowiem ma wspólnego z litością, co ze zrozumiałem,



ST. FISCHER PORTRET.

ludzkiem kojarzeniem myśli, jeśli któregoś wieczora znajdę pod drzewem orzechowem polewaczkę, zapomnianą przez ogrodniczka i gdy taż polewaczka i woda w niej, zmierzchła od cienia drzewa, i chrząszcz, płynący po zwierciedle tej wody od jednego ciemnego brzegu do drugiego — gdy na widok tego zespołu błahostek taki przejmuje mię dreszcz obecności nieskończonego, od korzeni włosów, aż do szpiku w piętach, że chciałbym wybuchnąć słowami, które gdybym znalazł, wiem, iż strąciłyby cherubinów, w których nie wierzą — i w milczeniu odwracam się od owego miejsca; a po tygodniach, spostrzegłszy owo drzewo orzechowe, przechodzę mimo, rzucając ukradkiem ukośne spojrzenie, ażeby nie spłoszyć ostatnich powiewów cudowności, osnuwających pień, by nie wyżenąć owych więcej, niż ziemskich dreszczów, trzepocących się dotąd w poblizkich krzewach. W takich to chwilach najlichsze stworzenie, pies, szczur, chrząszcz, pokręcona jabłoń, droga, wijąca się przez wzgórze, omszały kamień, jest mi czemś więcej, niźli mi kiedykolwiek była najpiękniejsza, najbardziej oddana kochanka w najszczęśliwszą noc. Te nieme, częstokroć nieżyjące stworzenia, dźwigają się ku mnie z tak nieprzebraną, tyle przytomną miłością, że uszczęśliwione me oczy nie mogą dostrzedz naokół nic martwego. Wszystko, co jeno żywie, wszystko, co mieszka w mej pamięci, wszystko, czego się ima najzawilsza moja myśl, zda mi się nie być bez znaczenia. A zgoła własna moja ociężałość, ona tępota, panująca w mym mózgu, ma dla mnie walor; czuję nieskończone wprost przeciwieństwo w sobie i wokół siebie, które wprawia mię w zachwyt — a pośród owych, ścierających się wzajem materyi niema ni jednej, w którą nie pragnąłbym się wcielić. Zda mi się wówczas, jakoby ciało moje złożone było z samych cyfr, otwierających mi wszystko. Lub też doznaję uczucia, jakbyśmy byli zdolni wejść w nowy, pełen przeczuć stosunek do całego bytu, zacząwszy myśleć sercem. Lecz, gdy osobliwszy on urok odpada odemnie, nic już nie umiem o tem rzec — ani zdołałbym naówczas w rozsądnych słowach wystawić, na czem zasadzała się owa, przenikająca wszechświat harmonia, ni, jakim sposobem doszedłem do jej poczucia; porówno, jakbym nie potrafił dokładniej wyeksplikować ruchów moich wnętrzności, czy tamowania się obiegu krwie.

Pominąwszy dziwne owe przypadki, które — nie wiem zresztą — duchowi-li, czy ciału mam przypisać, żywię życiem nie do wiary próżnem i czczem i z trudem jeno ukrywam drętwotę mego wnętrza wobec małżonki, przed domownikami zasię obojętność dla spraw mej posiadłości. A tylko staranne i surowe wychowanie, które zawdzięczam świętej pamięci ojcu memu i owo od najranniejszych lat przyzwyczajenie, by każdą godzinę dnia czemś wypełnić, dają życiu memu nazewnątrz przyzwoitą postawę i dozwalają zachować pozory, odpowiednie stanowi memu i osobie.

Przebudowuję teraz jedno skrzydło mego domu i dokazuję tego, że od czasu do czasu wdaję się z architektem w pogawędkę o postępach jego roboty; gospodaruję też w swoich dobrach — a dzierżawcy moi i oficyaliści znajdują mię może nieco małomownym, wszelako nieomniej uprzejmym, niż wpierw. Żaden z tych ludzi, stojących z czapką w ręku, gdy wieczorem mimo przejeżdżam, nie domyśla się zgoła, że wzrok mój, który on zwykł łowić z respektem, ślizga się z niemą tęsknością po zbutwiałych deskach, pod któremi on szuka zazwyczaj dżdżownic do łowienia ryb — zaś przez wązkie, okratowane okienko grąży się w duszną izbę, kędy w rogu stoi nizkie łoże, zasłane krasą płachtą, jakby zawsze czekało na kogoś, kto pragnie umrzeć, lub ma się narodzić; że oko moje długo zatrzymuje się na szpetnych szczeniętach, lub na kocie, czołgającym się zwinnie między doniczkami i że, pośród tych wszystkich ubożuchnych, niezdarnych akcesoryów chłopskiego bytowania, szuka tego czegoś, co, kształt mając niepozorny i niezauważone przez nikogo, może niemą istnością swą stać się źródłem onego niepojętego zachwytu bez słów i



J. PINKAS MEDUZA.

bez kresu. Albowiem owa błogość bez miana bije ku mnie raczej z pastuszego ogniska, płonącego w dali samotnej, niźli z widoku nieba, usianego gwiazdami — raczej z ćwierkania ostatniego świerszcza, blizkiego już zgonu, gdy wiatr jesienny pędzi zimowe chmury nad pustemi polami, niż z majestatycznego grzmotu organów. I niekiedy porównywam się w myśli z onym Krassusem retorem, o którym powiadają, iż obłaskawioną murenę, stęchłą, czerwonooką, niemą rybę ukochał ponad wszelką miarę, do tyla, że mówiło o tem całe miasto; a gdy razu pewnego Domicyusz, chcąc go podać za błazna, zarzucił mu w senacie, jakoby łzami oblał śmierć owej ryby, odparł mu Krassus: „Tedy ja uczyniłem z powodu śmierci mojej ryby to, czego ty nie uczyniłeś przy skonie pierwszej, ni drugiej małżonki“.

Nie zliczyłbym, jak często staje mi w pamięci ów Krassus ze swoją mureną, jako własne moje odbicie, rzucone ponad otchłań wieków. Lecz zgoła nie z powodu onego responsu, danego Domicyuszowi. Responsem tym przeciągnął na swoją stronę tych, którzy się śmiali — a tym sposobem rzecz całą obrócono w krotochwilę. Mnie wszakże niezmiernie blizko dotyczy ta sprawa, która pozostałaby niezmieniona nawet wówczas, gdyby Domicyusz, w niekłamanym bólu po stracie swoich żon, opłakał je krwawemi łzami. Jeszcze i w tym przypadku przeciwstawiałby mu się Krassus, płaczący po swojej murenie. I o tej to figurze, tyle śmiesznej i wzgardy godnej, ile że pośród światowładnego senatu, radzącego o najwznioślejszych rzeczach — o tej figurze zmusza mię do myślenia to coś nienazwane, do myślenia w sposobie, który wydaje mi się zgoła niedorzeczny z chwilą, gdy usiłuję wyrazić go w słowach.

Obraz tego Krassusa tkwi niekiedy nocą w moim mózgu, nito drzazga, wokół której wszystko jątrzy się, pulsuje i wre. Zda mi się wówczas, jakobym sam kipiał, wyrzucał bańki, burzył się i błyskał. Zaś wszystko to jest czemś w rodzaju gorączkowego myślenia, wszelako w substancyi bardziej bezpośredniej, płynnej i rozżarzonej, niż słowo. Są to niby wiry, lecz nie jak wiry mowy, wiodące w bezdeń, jeno we własną mą istotę i w najgłębsze łono pokoju.

Utrudziłem Was ponad przyzwoitą miarę, wielce szanowny przyjacielu, tem rozwlekłem opisaniem niewytłómaczonego stanu, który zazwyczaj zamykam w sobie.

Wasza Miłość raczyłeś wyrazić swe niezadowolenie z przyczyny, iż żadne dzieło mego pióra nie dochodzi Waszych rąk, „by Wam nagrodzić brak obcowania ze mną“. Tejże chwili uczułem z niezachwianą pewnością, nie pozbawioną bolu, że już ani w najbliższym, ani w następnym, ani w żadnym wogóle roku żywota mego nie napiszę żadnej książki, ni po angielsku, ni po łacinie: a to z tego osobliwego, mnie wielce przykrego powodu, którego włączenie — bez zaślepienia — na właściwe miejsce w świecie zjawisk duchowych i fizycznych, tak harmonijnie przed Wami się rozciągającym, pozostawiam nieskończonej Waszej wyższości duchowej: przeto mianowicie, iż mowa, w której daneby mi było może nietylko pisać, ale i myśleć, nie jest ani łacińską, ani angielską, ani włoską, ani hiszpańską, jeno taką, z której nie jest mi znajome ni jedno słowo, mowa, która mówią do mnie rzeczy nieme i w której kiedyś w grobie będę odpowiadał przed nieznanym sędzią.

Pragnąłbym, by mi było dano zawrzeć w ostatnich słowach tego, jak przeczuwam, ostatniego listu wszystką miłość i wdzięczność, wszystek niezmierzony podziw, jaki żywię w sercu dla największego dobroczyńcy mego ducha, dla najpierwszego Anglika tego stulecia i będę żywił w niem póty, aż konając, pęknie.

A. D. 1603, w dniu 22. sierpnia.

Fi. Chandos

Przeł. *Ida Wieniawska.*



RYS. A. BEARDSLEY'A.

GABRIELE D'ANNUNZIO.

Z CYKLU „MIASTA MILCZENIA".

RAWENNA.

Rawenno, Guidarello Guidarelli
Śpi, mając dłonie na głowni oparte
Wielkiego miecza. Twarz się jego bieli,
Usta ma Bólu stygmatem zawarte.

Śpi twój Obrońca na głazów pościeli,
Zbrojną ostatnią odprawiając wartę,
Aż Los odwróci kiedyś dziejów kartę
I zew Wiktoryi obudzi mścicieli.

Noc twej zadumy mocą jest brzmienna,
Błyskawic pełna, choć chmurna i senna,
Tragicznym szeptem gwarzą twoje sosny.

Krzepki i chłodny jest powiew twej wiosny.
A wieszczem tchnieniem, jak pył zboża płodny,
Drga w twem powietrzu Danta proch czcigodny.

BERGAMO.

I.

Bergamo, kiedym ujrzał cię przed laty
W cudny czas wiosny, w wielkanocną porę,
Zmierzch sypał popiół na różane kwiaty
Frontonu Santa Maria Maggiore.

W powietrzu zda się latał huf skrzydlaty
Tych Cherubinów sfruniętych z Trescore,
Których główeczki cudne różnowzore
Lorenzo Lotto wplatał w wieniec kraty.

U bram kościoła dwa lwiska łaskawe
Rzekłbyś, że z nudów skubią młodą trawę,
Co ruń swą kładzie tam gdzie kamień pęka.

Przez miasto Tassów słodka gędżba dzwoni,
Wnika w kaplicę, gdzie śpi Coloeni
I u stóp jego złożona panienka.

II.

Obudź się śpiąca dzieweczko Medeo,
Powstań z wezgłowia kutego w marmurze,
Niech usta Twoje szepną: Laus Deo!
Niech drobne ręce zaczną sypać róże.

Takim cud ujrzał... wzrok olśniony mrużę,
Nad moją głową sztandary się chwieją,
W złocistej zbroi w rycerskiej posturze,
Stanął przedemną wódz Bartolomeo.

Czy to w marzeniu było czy na jawie?
Wielki kondotier skinął mi łaskawie,
On, groźny wrogom, miłosierny swoim.



RAWENNA — GUIDARELLO GUIDARELLI
Accademia di Belle Arti.

O wiosno dziejów! twym czarem się poim,
Moc podziwiając, co pierś męzką pręży,
Pod złotą blachą pancernych pawęży.

III.

Cień osędziały mocarnego męża,
W Malpaga błądzi przez zamku krużganki,
Szyszak rycerski w kaptur mniszy zwęża,
Z mędrcami zbożne wiodąc pogadanki.

Lecz gdy grom wojny o kasztelu blanki
Z nienacka trąci, budząc szczęk oręża,
Wódz z pod brwi srogich wzrok swój w dal wytęża,
Znów hufce zbrojne gotów powieść w szranki.

Próżno Bergamo stawiasz mu grobowce:
Duch jego błądzi przez Lagun manowce,
Tam gdzie od Chioggi wicher słony jęczy.

A koń rycerski rwąc kopytem ziemię,
Czeka, rychło-li stal o stal zadźwięczy
I zbrojną nogę pan założy w strzemię.

FRA FILIPPO LIPPI.

Salome tańczy przed królem Herodem,
Wirując w blasków tęczowej roztoczy
W takt słodkiej pieśni. Cicho, za ogrodem
Krew ciepłą strugą z wielkiej rany broczy.

Bracie Filipie, przed twojemi oczy
Życie zawrotnym tańczy korowodem
A słodka żądza, co twe zmysły mroczy,
Serce rozkoszy napełnia ci głodem.

Ale w twarz Losu ty umiesz bez lęku
Spojrzeć, gdy trzeba, i cierpieć bez jęku
W hardym uśmiechu wargi bólem zwartej.

Widzę cię w puszczy skwarnej jak kajdany
Wleczesz — i potem jak rozkoszą piany
Spisz o pierś białą Lukrecyi oparty.

FILIPPINO LIPPI.

O Filippino Lippi, ileż razy
Gdy zachód złotem malował witraże,
Lśniły mym oczom twe święte obrazy,
Jako anielskich kwiatów wirydarze.

Kwiaty ścieliłeś pod stopy bez zmazy,
Zdobiąc w swem mieście Madonny ołtarze,
Splatałeś w wieniec mistycznej ekstazy
Róże i lilie i anielskie twarze.

Widziałeś tworząc drzwi swojej macierzy,
Gdzie klęcząc snuła służka niegdyś pańska
Za syna grzechu różaniec pacierzy.

Ale jak symbol chuci i zatraty
Z jej krzesła rzeźba śmieje się pogańska:
Dwurogi kozioł o głowie brodatej.

Z „Laudi del cielo, della terra, del mar e delle eroi"
przeł. K. Firlej Bielańska.



J. RASZKA — ROKITNA.

JAN AUGUST KISIELEWSKI.

KOMEDYA MIŁOŚCI I CNOTY.

2) AKT I. (Ciąg dalszy).

R o ż a ń s k i (wskazuje syna) Oto rycerz fin de siècle!

M a r y c h n a. (idzie w stronę brata, miarowo, wskazującymi palcami imitując maryonetki z nici) „Blaszany był, blaszany był, bo blaszany rycerz był!"

W a c ł a w (z brzękiem upuszcza szpadę, monokl spada z oka — wkładając drugą rękawiczkę, idzie ku Marychnie. Śpiewasz, mądry ptaszku, jak wieszczka lalek. (rozmawiają)

S ł u ż ą c y (wchodzi z rulonem, kładzie go na stole w głębi) Fryzyer czeka, proszę pana. Pyta się, czy może przyjść za pół godziny.

R o ż a ń s k i. Powiedz, niech zaczeka. W tej chwili już idę.

S ł u ż ą c y (odchodzi).

R o ż a ń s k i (do żony) A przytem, honoraryum 8.000! Nie wiem, czy mu wolno je lekceważyć.

E w a. Aa, wiesz dobrze, że on jest nagus, jak świętej pamięci Dyogenes.

M a r y c h n a. Mówi się: „goły, jak święty turecki".

W a c ł a w. Marychna! Ty jesteś: „Mademoiselle s'en-fiche!"

M a r y c h n a. Przyjmuję! Moi państwo — ogłaszam w tej chwili, przybrałam pasowania przez Blaszanego Rycerza, nom de guerre: Mademoiselle s'enfiche!

R o ż a ń s k i. Co znaczy po polsku: „panna bez listu przesyłkowego". Proszę cię (do żony) pokażę ci teraz projekt.

E w a i R o ż a ń s k i (idą w głąb — siedzą nad rozwiniętymi planami).

M a r y c h n a i W a c ł a w (u przodu sceny).

M a r y c h n a. Mój Wacuś — co to papa chciał powiedzieć przez to „panna bez listu przesyłkowego".

W a c ł a w. A „s'enfiche" — sans fiche. Jedno, że jesteś panną, która przesadza nie „w konwenansach", lecz przez konwenanse, co w tym wieku (— grozi) jest niebezpieczne.

M a r y c h n a. To wiem! Nudzisz! Jazda! Prędzej!

W a c ł a w. A drugie „sans" (wymawia „s") „fiche", to jest panna bez kartki z adresem, komu się ją przesyła.

M a r y c h n a. A! La fiche! Une fiche!

W a c ł a w. Czyli panna-kawaler!

M a r y c h n a. Albo zielone winogrono.

W a c ł a w. Z którego wycisnąć (obejmuje ją wpół i przyciska do łona) można mocno-kwaśne wino!

M a r y c h n a (odepchnęła go). Pociesz się Wacuś — ty nie będziesz pił wina z tej winnicy!

W a c ł a w. Pociesz się Marychna (idzie ku konsoli) będzie jeden znawca na świecie, który nic złego nie będzie mógł o niej powiedzieć. Twój brat.

M a r y c h n a (wyjęła bilet z kasetki). A, nie prawda! (gładzi go po twarzy.) Wacuś, ty się znasz na pannach? hm? Powiedz... ja... co... (okręciła się jak fryga) Ja wiem, jak na mnie patrzą! (okręciła się) Tylko schrupać. . hm?

W a c ł a w (odsuwał się, założył monokl, patrzy oceniając) Phi! W suche dni — wielki piątek — człowiek słabego charakteru, a zdrowych zębów...

M a r y c h n a (tupie) Impertynent!

W a c ł a w (w dalszym ciągu) ...impertynent...

M a r y c h n a (uderza go biletem w nos) Cyklopisko! Satyr!

W a c ł a w (w dalszym ciągu) ...satyr...

M a r y c h n a. Cymbał!

W a c ł a w. ...cymbał!

M a r y c h n a (rozżalona) Wacław!

W a c ł a w. A — ja nie! Dziękuję, ale nie!

M a r y c h n a. Mamo!!

R o ż a ń s k i (zwraca głowę) Wacław, nie dokuczaj Marychnie!

W a c ł a w. Kładzie palec w świecę, a potem krzyczy, że piecze. (do Marychny) Dobrze ci? Mademoiselle s'en fiche et sans fiche!

M a r y c h n a (podbiega do ojca) Papo ja chcę mieć „fiche".

E w a. Marychna, nie przeszkadzaj ojcu.

R o ż a ń s k i. Jak? Fiche? Co to znaczy?

M a r y c h n a (kładzie na stole bilet) O! Kartkę! (z przymileniem) Adres, do kogo mnie wysłać!

R o ż a ń s k i. A! Bon! (patrzy w plany.)

M a r y c h n a (uderza ręką w stół) Nie „bon" tylko napisać zaraz! Imię, nazwisko, dokładny adres i dopisać czerwonym atramentem: „bardzo pilne".

W a c ł a w. Trzy wykrzykniki, długi domyślnik, i mocno podkreślić!

M a r y c h n a. Tak.

R o ż a ń s k i (nie wstając obejmuje córkę) A zgodzisz się na to, co ja napiszę?...

M a r y c h n a (z przymileniem) Tak, papo.

W a c ł a w. Jej wszystko jedno, byle prędko!

R o ż a ń s k i (pisze na bilecie.)

M a r y c h n a (do Wacława) A tak. (do ojca) I wysłać... pociągiem błyskawicznym — expresem! Fu-fu-fu-fu-fu-fu! I już!

W a c ł a w. I spleepingiem!

M a r y c h n a. Tak, tak, tak! Jeszcze nie jechałam spleepingiem!

W a c ł a w. ...w wagonie pocztowym.

Marychna. Nie pocztowym — tylko sypialnym!

Rożański (podaje bilet żonie.)

Ewa (spojrzała — roześmiała się — oddaje synowi.) Wacław zajmij się tą przesyłką. I dopisz adres ojca.

Rożański. ...bardzo słusznie!

Ewa. ...na wypadek, gdyby adresat nie przyjął i odesłał z powrotem. (daje bilet)

Wacław (czyta). Jaśnie Wielmożny Gustaw Pilawski, w Warszawie, ul, Agrykola, l. 3.

Marychna. U-ee! Tak blisko!

Wacław. To papa robi p. Pilawskiemu aż takie nadzieje!

Marychna. A cóż to? Może nie ładny chłopiec?

Różański (do syna). Ot już wyskoczył pan Filip z konopi, (do żony.) No, nie prawda? Rzecz drobna — ostatecznie wcale nie zmienia całości kompozycyi. Powiedz mu, przypadkiem, z ciekawości zajęłaś się tym projektem i zrób te uwagi od siebie. Broń Boże, żeby nie widział w tem mojej ręki, (spojrzał na zegarek). Powinien tu już być?

Wacław. Kto? Pilawski?

Ewa. Zaprosiłeś go do loży? To doskonale.

Różański. Tak; tutaj... (dzwonek u drzwi) ...ktoś dzwoni...

Marychna (do Wacława.) Widzisz! Aha! Jest! Masz (kilka razy godzi w brata palcem, drażniąc go. Zakręciła się w kółko jak fryga i odjeżdża za te same drzwi, któremi weszła.) Fu, fu, fu, fu!! (powiewając biletem od ojca).

Wacław (za nią). Nic nie widzisz i nic nie masz! (chodzi) Ueee! W loży 5 osobistości rodzinnych — znowu będę stał cały wieczór!

Różański. Ale nie będziesz stał!

Wacław. Dziękuję wam! (z gestem rozpaczy.) No, gościowi nie każą stać, co? Już to będzie bezpieczniej, gdy sobie kupię fotel! U-eee, z tym Pilawskim! Gdyby mię papa był uprzedził — teraz pierwszy rząd już wzięty. — A wszystko zawdzięczam temu idyocie Pilawskiemu (przypadkowym ruchem wskazuje drzwi, w których właśnie stanął Pilawski.) A, mój drogi Guciu! Doskonale, że już jesteś. Jak się masz (podaje rękę i otacza go nią w pasie i tak prowadzi ku matce.)

Pilawski Gustaw. Jak się masz, Waciu? (skinienie głowy w stronę Ewy, potem Rożańskiego.)

Wacław (b. szybko.) Niecierpliwiliśmy się, nie byliśmy pewni, czy otrzymałeś bilet...

Ewa (przerywa.) Witam pana, (podaje rękę, którą on całuje). Nie odebraliśmy odpowiedzi...

Wacław. Odpowiedź i podziękowanie przywożę osobiście, (głęboki, pełen uszanowania ukłon w stronę Rożańskiego).

Rożański (podaje rękę.) Zanim skończycie powitania, tłomaczenia, przebaczenia i dziekowanie — ja przebiorę się. Przepraszam cię, mój drogi — za chwilę jestem na wasze usługi...

Pilawski. Proszę cię, drogi mistrzu.

Rożański (w drzwiach.) Jest dla ciebie doskonała nowina.

Wacław. I ja na chwilę wyjdę... przypuszczam, że są jeszcze bilety.

Rożański (odwraca się ostro). Wacław!

Wacław (spoważniał.) Słucham papy.

Rożański. Powiedziałem, (z akcentem) że nie ma potrzeby, abyś kupował fotel!! (znowu z uśmiechem.) Co za uparta sztuka! Ja was odwiozę do teatru i pojadę zaraz dalej na sesyę.

Ewa. A, mój Boże, nie będziesz z nami w teatrze! (do Pilawskiego.) Jednej chwili nie ma teraz wolnej dla siebie ani dla nas. (Do męża.) Ale wrócisz do teatru?

Rożański. Przyjadę przed 10-tą i wtedy (do Wacława) na ostatni akt poproszę cię o gościnność w twojej loży.

Wacław (z gestem w stronę matki — z lekkim patosem.) W naszej loży. Prosimy.

Rożański. Potem ty nas odwieziesz na kolacyę...

Wacław. Ach, naturalnie!

Rożański. Zamówisz, zaraz teraz, przez telefon cztery nakrycia...

Ewa. Dla czego nie pięć?

Rożański (do Wacława, ironicznie mrużąc oko jedno.) Ponieważ Wacław po przedstawieniu zazwyczaj...

Wacław (chce przerwać ojcu — rozpaczliwie:) Hm! hm!

Ewa i Pilawski (zamieniają spojrzenie i parskają śmiechem głośnym.)

Rożański ...zamyka się w swoim (z akcentem) „gabinecie“.

Gustaw. Hm!

Rożański. ...i pracuje nad swoją rozprawą.

Pilawski (udając zdziwienie). Tak? Pracujesz? Bój się Boga, tylko uważaj na siebie i nie przesadzaj w pilności. Jestem przeciwnikiem nocnej pracy.

Wacław (z puszcza wzrok przed spojrzeniem ojca.) Ja teraz... pauzuję.

Rożański (odchodząc, do Pilawskiego.) Jestem tego samego zdania, co ty, Guciu. To może (do Wacława) przyjedziesz choćby na deser... tak o $^{1}/_{2}$ 2. Odpoczniesz i — zapłacisz rachunek, co?

Wacław (oburzony.) Tak? Słyszeliście — ?! Taki ojciec może najcierpliwszego syna przywieść do rozpaczy! Ja dostaję teatr — a „on“ kolacyę, co? To znaczy mieć tupet?!

Ewa (ze śmiechem, strofuje) Wacław!

Rożański. Bałwan, Jezus, jaki bałwan! (odchodzi.)

ena III.

Poprzedni, bez Rożańskiego.

W a c ł a w (parska oburzeniem). Wyrodny — nie wiesz co mówisz, o ojcze przyrodny! (do Pilawskiego.) Patrz i płacz nademną, jakiego się ojca dochowałem! Ale ja go dzisiaj oduczę! Zobaczycie! Ja was wiozę do teatru, ja telefonuję po kolację, ja składam menu, ja dysponuję wina, ja was wiozę na kolacyę, ja cygara, ja koniak, ja likiery — pięć nakryć, — Rawskiego wezmę ze sobą.

E w a. Rawskiego? Doskonale! To ten wasz misogyn?

P i l a w s k i. Misogyn i beczka bez dna.

W a c ł a w (w passyi) ...sześć nakryć — kolacja z Rawskim, z truflami, johannisbergiem, chambertinem — z całą wdową na każdą osobę — z mokką, z Henri Clay'ami — a on rachunek — on rachunek — on rachunek!

P i l a w s k i. Twój zapał imponuje mi...

W a c ł a w. Co?! (monokl.)

P i l a w s k i. Sądzę jednak, że cię nazbyt ponosi. Mając takie plany — zapraszać Rawskiego... nie radzę.

E w a. Moi chłopcy! Rawski musi być! Raz przecie musicie mi go pokazać — tego strasznego mizogyna!

W a c ł a w. Życzenie Twoje, jest dla mnie najdroższym rozkazem, ty wiesz! (do Pilawskiego.) On — mnie — wobec kobiety... wobec kobiety... wobec niej... powiedział: „bałwan" i ja nie miałbym go skąpać w jego własnem „czerwonem"?! (do matki.) Żegnam! Kobieto — ujrzysz twego pazia — przy dziele! (do Pilawskiego.) Żegnam!

E w a. Po co? Dokąd?

W a c ł a w. Telefonuję! Dysponuję! Nie telefonuję — jadę do Rawskiego. Ubiorę go, nie dam mu zjeść kolacyi przed teatrem, nie dam mu w antraktach nic jeść — tylko 6 koniaków — przywiozę go, że będzie głodny jak boa, suchy, jak wióro — zobaczycie, zobaczycie! Żegnam, żegnam! (szybko odchodzi).

Scena IV.

Ewa i Pilawski.

E w a (uprzejmie). Dla czegóż to pan nie odpowiedział na zaproszenie?

P i l a w s k i (chodzi — wkoło salonu, tak aby módz spojrzeć za drzwi, mimo których przechodzi. Staje.) List odebrałem dopiero przed godziną, więc nie chcąc spóźnić się, przebrałem się szybko i przyjechałem, aby „państwu" (akcentuje to słowo...)

E w a (ironicznie uśmiechnęła się).

P i l a w s k i. ...podziękować za pamięć...

E w a (zmieszana.) List był wysłany o czwartej po południu.

P i l a w s k i (otwiera drzwi, wychyla się zamyka je.) Ta-ak? O czwartej? Nie o trzeciej?

E w a. Czy pan chce zawołać kogo? (wstaje i wyciąga rękę ku dzwonkowi elektrycznemu.) Zapewne Franciszka...

P i l a w s k i (podbiega, chwyta jej ręką.) Nie, nie! ...Ewa, ja oszaleję!

E w a (nie usuwając ręki, tuż przy dzwonku, z ironią, lecz nęcąco.) Bardzo proszę — czekam.

P i l a w s k i (pragnie ją objąć.) Dlaczego ty się tak znęcasz nademną?!

E w a (wymyka się z objęć — ze śmiechem.) Dobrze, dobrze!!

P i l a w s k i. Ewa! Ewa! (wyciąga ręce.)

E w a (cofa się.) A mówiłam już tyle razy: „nie wolno tykać ani dotykać"! Drogi, kochany panie Gustawie... (stuka palcem w czoło jakby mówiła: rozsądku!)

P i l a w s k i. Droga, najdroższa pani Ewo (stuka palcem w czoło).

E w a. To trudno, to przykro... Nie można!

P i l a w s k i. Ty... ty... nie chcesz?

E w a (grymas niechęci.) Prosiłam...

P i l a w s k i. Pani... nie chce...

E w a (gest wahania i niepewności) Hm... Czy pan rozumie? n i e w o l n o!

P i l a w s k i. Pani?! Wszystko pani wolno i robisz zawsze wszystko, co chcesz, gdy chcesz! Kto tak umie, jak pani, temu wszystko wolno!

E w a. A skąd to pan wie, że ja to „tak umiem"?

P i l a w s k i. Pani znowu ze mnie szydzi?! O, tak, tak, nie wiem, nie wiem, jak pani to umie, nie wiem, jak bardzo umiesz być piękną, jak bardzo możesz być wspaniałą, ty mistrzyni, ty moja uwielbiona! (wyciąga ręce przed siebie.) Modliłbym się do ciebie, jak do bóstwa piękności, otoczyłbym cię adoracyą nieustającą ani na chwilę...

E w a (z uśmiechem.) No, no, no! Bardzo ładnie umie pan obiecywać... dotrzymać nie byłoby tak łatwo...

P i l a w s k i. Wiem o tem. Starałbym się ze wszystkich sił! Oddałbym ci wszystko, co we mnie najlepszego, byłbym czuły, posłuszny, jak instrument... Ewa, weź go pod twoje palce różane, a zagrasz na nim poematy, pieśni — ty wirtuozko, ty mistrzyni... Wiem, że nie byłoby tak łatwo, zbyt młody jestem, lecz to przecie nie jest moją...

E w a (wtrąca) ...największą wadą...

P i l a w s k i. No dobrze, dobrze! Jestem młody i głupi — widzę teraz, choć dawniej inne miałem o sobie mniemanie, zanim panią poznałem. A teraz oddaję się pani, będę posłuszny, ty...

E w a (przerywa.) ...pani...

(C. d. n.)

STEFAN NOWIŃSKI.

Z WYPRACOWAŃ PIŚMIENNYCH NIEGRZECZNEGO STEFCIA.

O STRAŻY OBYWATELSKIEJ.

Wczoraj była w domu wielka heca, bo Tatusia wezwali do straży obywatelskiej. Mama dostała spazmów, że ci ludzie nie mają serca, zabierając ojca rodzinie, lecz Tatuś uparł się, że musi też bronić ojczyzny. Całą noc nie spaliśmy; bo Mamusia płakała, prosząc, aby się nie narażał, a jeżeli już koniecznie chce, to niech go zrobią oficerem, by mógł pełnić służbę w domu, toby się łóżko Tatusia przysunęło do okna, skąd wszystko widać, co się na ulicy dzieje.

Tatuś nie chciał się kłaść, by z okna — jak mówił — zapoznać się z terenem, a rano już koło piątej zaczął się przygotowywać do wymarszu.. Narzekał tylko, że w ciągu tej wojny nic w domu nie przygotowano na taki wypadek i że nie ma całkiem broni, ale temu się zaradziło.



Z. WIERCIAK STEFCIO.

Ponieważ deszcz padał, mamusia koniecznie dawała parasol, ale Tatuś chciał koniecznie iść z laską, ja poradziłem Tatusiowi, by na parasol założył moją siekierkę z ciupagi, to będzie bezpieczniej. Najwięcej kłopotu było z ubraniem, bo Tatuś chciał iść w tużurku i nic nie brać pod spód, ale dał się uprosić i Mamusia przyszyła mu do kamizelki na serce pokrywkę, by chroniła od kul, a w pasie jasiek przeciw hiszpance.

Kucharka Antoniowa po rękach Tatusia całowała, by coś wziął na obronę i dali do palta na wszelki wypadek tasak i toczek z moździerza. Tatuś klął, że się nie może ruszać, ale Mamusia płacząc ciągle, upominała, by pamiętał, że ma dzieci.

Myśmy nie poszli do szkoły, Mamusia kazała nam się modlić, by Tatuś wrócił a myśmy patrzyli oknem, jak się Tatuś będzie bić. Obiadu nie było, bo we wszystkich garnkach gotowano wodę, by ją wylać z okna na głowę wrogów, ale nie było ich wiele, tylko jakaś pani, co ją Mamusia oblała wołając: „że tu pod okna żony przyszła do niego“. Ta pani bardzo się gniewała, że jej pióra na kapeluszu zniszczono i groziła, że pójdzie do policyi, skarżyć na Mamusię, ale policya, to teraz Tatuś i Mamusia powiedziała, że takiej policyi nikt się nie boi.

W południe tośmy wszyscy wybiegli na ulicę, bo Tatusia długo nie widać było na ulicy, ale wrócił, bo wstąpił tylko na śniadanie w Rynku, gdzie chciał zbadać, czy co nie nadciąga.

Tatuś się strasznie złościł, że nasz sąsiad nie ma służby, tylko stoi w oknie i śmieje się z niego, on taki tchórz, niedawno uciekł z frontu w aeroplanie i ma tylko lewą rękę uciętą.

Antoniowa ciągle przybiegała do okna i pokazywała na Tatusia, że wygląda jak bohater, ale myśmy nie widzieli, bo Tatuś zasłonił sobie całą głowę parasolem.

Wieczorem, to Tatuś wrócił, ale taki był zmęczony, że ledwie się trzymał na nogach, nic nie chciał jeść, tylko posłał sobie po wodę sodową i proszki na głowę, ale Mamusia powiedziała, że pójdzie do p. Roji, i będzie Tatusia reklamować.

A szkoda! bośmy nie poszli do szkoły.

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

„Jeńcy" Lucyana Rydla.

Lucyan Rydel jest talentem ponad słuszną miarę przechwalonym, ale właśnie jego „Jeńcom" wyrządzono krzywdę, odsądzając ich od wszelkiej wartości. Ale „Jeńcy" mają bardzo silny i żywotny rdzeń: nienawiść. Wypowiada się ona w tym dramacie żywiołowo jak wybuch, a mimo to z kunsztem lapidarności, świadczącym o wielkiej poetyckiej wprawie. Nienawiść uchodzi co prawda za uczucie niemoralne, które do poezyi należeć nie powinno. Jest to jednak właśnie ogólnym symptomem ostatnich przesileń w literaturze, że przychodzą w niej do głosu sprawy i uczucia, dawniej przeoczane lub przemilczane, i tylko w tym sensie może być mowa o demokratyzacyi poezyi. Że aneksya tych nowych dziedzin nie obywa się bez walki, o tem świadczy np. obłudna kompania prasowa przeciw słynnej czy osławionej „Pieśni nienawiści przeciw Anglii" niemieckiego poety Lissauera. Jestto w moich oczach jeden z najpotężniejszych utworów jakie się narodziły podczas tej wojny, ale wolno to powiedzieć dopiero teraz, gdy Niemcy przegrali wojnę, gdy więc nie można być już posądzonym o niesienie im moralnej pomocy. Sto lat temu podobne pieśni pisał Kleist przeciw Francuzom i w „Hermannschlacht" udramatyzował wzór walki z nienawistnym wrogiem. Podczas wojny obecnej tym torem szło wielu poetów francuskich, i Verhaeren. *Nihil humanum a me alienum esse puto* — to jest dewiza ogólna poezyi.

Jedno trzeba zrobić zastrzeżenie: Nienawiść stała się podczas tej wojny uczuciem niejako oficyalnem, uprzywilejowanem, wypowiadanie jej należało do „dobrego tonu", nie kosztowało przezwyciężenia wewnętrznego ani wstydu. O tyle też traci wartość wiele poetyckich enuncyacyi nienawiści z ostatnich lat czterech. Pogardzając wybuchami nienawiści u wroga, solidaryzowano się z takimi samymi wybuchami u siebie, ale pod inną firmą: była to więc nie nienawiść, lecz szlachetne oburzenie, poczucie krzywdy, wołanie o sprawiedliwość, miłość ojczyzny, a więc uczucia „dodatnie", „zdrowe" i dozwolone. Taką manipulacyą psychologiczną można oczywiście każde nowe tajemnicze życie przemianować i zbanalizować. „Pieśń" Lissauera ma też wartość nie o tyle, o ile się podobała sferom dworskim, lecz o ile uczucie nienawiści występuje w niej nago i zuchwale.

Ale trzeba jeszcze mieć na oku głęboką duchową różnicę między nienawiścią narodową a szowinizmem. Szowinizm jest stanem bezmyślności, najtańszą pychą, która z wszelkiej różnicy czerpie mechanicznie tytuł do wyższości. Szowinistą może być np. pijak w stosunku do ludzi trzeźwych, gdy mówi: my pijacy!, blondyn w stosunku do brunetów, gdy pogardza nimi tylko dlatego, że są innymi. Szowinizm daje dziecinną sytość, nienawiść jest uczuciem bolesnem, niebezpiecznem, nawet upokarzającem, dąży do rychłej zmiany: nienawidzący chce zemsty, zniszczenia, choćby miał przytem sam siebie zniszczyć. Tylko ten wysoki stopień dynamizmu i cierpienia, zawarty w nienawiści, nadaje jej szczególną godność, a nie możliwość zredukowania jej do pobudek moralnych. Bywa w nienawiści coś, co wznosi się i krąży ponad nią samą, niby westchnienie, moment uświadomienia tragicznego, podobnie jak w miłości, — ten moment należy do poety.

Według tej miary należy oceniać „Jeńców" Rydla, a nie według jakichś śmiesznych wymagalników technicznych (brak akcyi itp.).

Jako sztuka są „Jeńcy" dramatem nieudałym. To stwierdzić nie trudno. Autorowi przyświecała myśl napisania sztuki klasycznej z bardzo prostym konfliktem, dyspozycyą przypominają też „Jeńcy" „Elektrę". Ale związek pragmatyczny wydarzeń jest uwypuklony dopiero na końcu i to słabo, Niemcy, jako czynniki kontrakcyi dramatycznej, nie działają prawie wcale i są równie skarykaturowani jak w „Krzyżakach" (chociaż właśnie ta niesprawiedliwość może ujść za ekspresyę nienawiści), a główni bohaterzy pozostają przy życiu, to znaczy, że ich nienawiść nie doszła do szczytów tragicznych. Ale nic nie przeszkadza temu, żeby całą sztukę uważać za ramy, na których tle wypowiada się nienawiść lirycznie. Powie kto: więc należało napisać odrazu poemat liryczny. Ale skądże płynie taki przymus, w jakiej biblii estetycznej jest to napisane, że aut... aut...?

Trzeba być liberalniejszym dla utworów mieszanych. Wszak może właśnie cała siła tego lirycznego wybuchu nienawiści może się pojawić dopiero w deklamacyi aktorskiej. Powie się: a więc jestto dramat książkowy. Ale i taki zarzut mi nie imponuje. Dramatu książkowego nie uważam wcale za taką contradictio in adiecto, za jaką go uważają niektórzy doktrynerzy estetyczni wbrew praktyce literatury. Słusznie mówi Hebbel, że każdy dramat wcześniej czy później staje się dramatem książkowym. — W krytyce literackiej ciasnota pojęć i złośliwość w rozumowaniu są dziś jeszcze równie wielkie jak w polityce.

Karol Irzykowski.

FANTASTYKA.

(Dokończenie.)

IV.

Znany czytelnikom „Masek“ Stefan Grabiński jest fantastykiem czystej krwi. Dotychczasowy jego dorobek artystyczny jest niewielki: tomik p. t. „Na wzgórzu róż“, obejmujący sześć nowel, i cztery nowele drukowane w „Maskach“. Ale rzadko zdarza się, żeby u nas w debiucie artystycznym zarysowała się odrazu indywidualność tak odrębna jak w rzeczach Grabińskiego. Trudno zrozumieć skąd się ona wzięła na naszym gruncie, ponieważ absolutnie nie można w rzeczach Grabińskiego odkryć żadnego powinowactwa z współczesną lub wczorajszą beletrystyką polską. Przychodzą na pamięć jedynie „Historye maniaków“ Romana Jaworskiego, które jednak nie treścią lecz



RYS. A. BEARDSLEY'A.

rozlewnym stylem lirycznym nie odskakują od współczesnej polskiej twórczości powieściowej, odznaczającej się właśnie hipertrofią i nieumiarkowaniem ornamentyki ubocznej. Grabiński posiada w sam raz tyle liryzmu, ile go potrzeba do wywoływania nastroju tajemnic i tem się n. p. odróżnia od nowel Langego, który jest naturą, że tak powiem, zbyt poczciwą żeby ludzi straszyć. Grabiński umie być wyrafinowanym, odmierzać tajemnicę w dawkach jak Ewers, osłaniać ją chmurą złowrogich przyrzeczeń, których zwykle dotrzymuje. Jego nowele mogłyby się śmiało pojawić w przekładzie za granicą, gdyż stoją na poziomie europejskim, i nie potrzebowałyby się sztucznie lansować jako specyalne emanacye duszy polskiej. Nie można wróżyć, jaką będzie dalsza ekspanzya talentu Grabińskiego. Polskie talenty artystyczne mają tę właściwość, że ich bujność i intenzywność jest wielka, ale gatunkowo są nieciekawe; zbyt często trzeba wzdychać: jeszcze raz, w nowej pięknej oprawie, — to samo! Dla Grabińskiego trzeba dopiero szukać rubryki, tak bardzo jest on w naszej literaturze jakościowo odmiennym, przypadkowym.

Jedną właściwość mają rzeczy Grabińskiego, która w szczególny sposób mimowoli podkreśla tę jego obcość i przez to właśnie czyni go nabytkiem swojskim. Aby tę właściwość oznaczyć trzeba się uciec do niedyskrecyi, może nawet do insynuacyi. Bohaterowie nowel Grabińskiego są może tak jak ich autor, samotnikami. Ich problematy rozgrywają się zdaleka od zdarzeń codziennych, nie są do niczego podobne. Wydaje się, jakgdyby świadomość tej utraty kontaktu z otoczeniem przepajała bohaterów Grabińskiego ponurą melancholią. Znamienną jest pod tym względem n. p. drukowana w naszem piśmie „Dziedzina“, mojem zdaniem najskrajniejszy i najszczerszy wyraz jego talentu. Poeta, który puszcza się w nieznany świat twórczości, zrywając wszystkie mosty, aż do samozatracenia, — oto mimowolny symbol duszy autora.

Główną zaletą poety-fantastyka musi być wynalazczość. Może mu nie dopisywać opracowanie, ale nowość głównego pomysłu jest warunkiem niezbędnym. (Pod tym względem n. p. zbiorek Langego pozostawia nieco do życzenia; dałoby się wskazać wzory „Babuni“, „Władcy czasu“, „Rebusa“.) Pomysły Grabińskiego są absolutnie nowe, niespodziane, przynajmniej ja nie znam nic pokrewnego w literaturze fantastycznej. Nawet wśród rzadkiego gatunku fantastyków. Grabiński reprezentuje niejako swój własny gatunek. Jego pomysły możnaby nazwać genialnym odgadywaniem albo pomnażaniem intencyi przyrody przez symboliczny mikrofon. Weźmy na przykład nowelę „Na wzgórzu róż“, gdzie wzmocniony węch ludzki wyczarowuje tajemnice przeszłości (liryczny

wdzięk kontrastów w tej noweli jest nieprześcignionym). Albo „xenomimię“ w nowelce „Willa nad morzem“: pomysł, który nawet nie zwróci uwagi laika, gdyż wydaje się zaczerpniętym z księgi osobliwości psychologicznych, a jednak jest tylko hipotezą, która może się ziścić raz na 10000 wypadków.

Chociaż każda nowelka Grabińskiego oparta jest na odrębnym pomyśle, udało mi się odkryć wspólny rys, który część ich wiąże w pewną całość cykliczną. Mianowicie: „Szary pokój“, „Na wzgórzu róż“, „Cień“, a poniekąd i „Szalona zagroda“, odznaczają się tem, że w każdej z nich w pewien szczególny sposób odsłania się straszna przeszłość i staje się niejako udziałem odkrywcy. Wspólnem mottem tych nowel byłoby: więcej śladów przeszłości jest na świecie niżby się zdawało. Po tej linii idąc możnaby skonstruować n. p. nowelę, w której woda morska dostając się przypadkiem do jakiejś skały, przez opłukiwanie jej wydobyłaby utrwaloną na niej jak na kliszy fotograficznej scenę z odległej przeszłości. A może cała przeszłość tkwi w jakiś sposób zanotowana w teraźniejszości i kiedyś będzie odczytana...

Dla krytyka szczególnym powabem będzie zawsze śledzić owe momenty, w których poeta „powtarza się“, to znaczy powraca do pewnych sytuacyi i problematów. Powracanie to nie jest bynajmniej objawem ujemnym, chyba przeciwnie. Świadczy ono o jakiejś ciągłości w życiu podziemnem artysty, niewiadomo jakiej. Nałogowo domyślają się krytycy w takich wypadkach jakiegoś związku z osobistem życiem autora i chwytają się każdej poszlaki, któraby takie podejrzenie potwierdzała. Ale to jest przecież niekonieczne. Jeżeli w dziełach artysty da się wykryć pewna choćby porwana linia, można ją przypisać nie wpływom zewnętrznym lecz własnemu, autonomicznemu życiu duchowemu, vulgo zwanemu nawet „życiem papierowem“. Takie przejścia wewnętrzne, rodzące się n. p. pod wpływem pewnych reminiscencyi książkowych, lub na mocy pewnych skojarzeń wyobraźni, są tak samo równouprawnione i mogą tak samo obfitować we wzloty, przepaście i kataklizmy jak tamte, które się rodzą wprost pod wpływem zdarzeń zewnętrznych: miłości, nieszczęścia, wojny, podróży i t. p. Z takich przejść właśnie zasila się n. p. poezya Staffa, który jest intelektualistą tak samo jak Grabiński. Lecz obfitość tego życia nie jest wcale monopolem intelektualistów. Owszem, jest ona jak się zdaje cechą wewnętrznego życia artysty wogóle. Utwory Beethovena nie dadzą się przecież wytłómaczyć bez reszty tem, że się nieszczęśliwie kochał i że był głuchym. Jego najgłębsze doznania rozgrywały się właśnie w warsztacie jego pracy, w świecie tonów, modulacyi i akordów. Beethoven mógł siedzieć zamknięty kilka lat w więzieniu i byłby był tak samo napisał swoje utwory jak je napisał. Partenogeneza w świecie sztuki jest o wiele częstszą niż się o tem śniło krytykom, którzy bezmyślnie powtarzają szablonowy zarzut o papierowych figurach, papierowych przeżyciach i t. d. Brak teoryi poznania w krytyce literackiej jest taki, że kto jej nie ma w instynkcie, uprawia jako krytyk poprostu demagogię pewnemi hasłami i jest ich pasożytem. Tę przestarzałość trzeba raz stwierdzić zwłaszcza dziś, w epoce ekspresyonizmu, kiedy wewnętrzne życie ducha podobno domaga się wyrazu na równi z światem zewnętrznym.

Uparcie zdaje się prześladować Grabińskiego pewien gatunek wizyi: dom na ustroniu, w którym stały się lub mają się stać dziwne rzeczy. Najefektowniej występuje ta wizya w „Dziedzinie“, gdzie ów dom staje się prawdziwym kotłem fantazyi. Zresztą rozwiązanie problematu „Dziedziny“ przypomina mi jeden z najpiękniejszych pomysłów Hebbla, którego Grabiński z pewnością nie znał. Hebbel notuje mianowicie w swoim pamiętniku sen, że podczas pewnego pogrzebu napadają nań złoczyńcy, którzy mówią: „Ten człowiek nas śni; gdy się zbudzi, przestaniemy istnieć, więc musimy go zabić, a wtedy będziemy kraść i mordować wiecznie!“ Nie trudno poznać, w którym momencie ten sen pokrywa się z pomysłem Grabińskiego o przejściu marzenia w rzeczywistość. Poeta podejmuje tu zresztą dawne zagadnienie romantyczne o bezpośredniem działaniu woli.

W każdej prawie nowelce Grabińskiego odgrywa rolę jakaś teorya, upozorowana racyonalistycznie, jako podstawa fantastycznych zajść. Wprowadza to w jego kompozycye pierwiastek niby naukowy, który nie jest estetycznie ujemny sam przez się, gdyż i taka teorya jest również tylko wykwitem fantazyi. Ale jest to fantazmat niejako w formie stężałej, pozbawionej już wirulencyi, a więc przybliża niebezpieczeństwo oschłości. Silny nerw liryczny zrównoważa u Grabińskiego to niebezpieczeństwo. Wytwarza się jednak jeszcze inne: n. p. opowiadanie „Po stycznej“, staje się w wykonaniu bliskiem komizmu. Pomysł jego jest doskonały: podobnie jak w „Szalonej zagrodzie“, chodzi tu o odwrócenie ku przyszłości tego samego procesu, który w „Cieniu“, „Na wzgórzu róż“, „Szarym pokoju“ skierowany był ku przeszłości; tam wykrywanie czynów popełnionych, tu dobrowolne, eksperymentalne ziszczenie czynów według pewnych tajemniczych wskazówek. Ale jakkolwiek sama teorya stycznej, wymyślona przez bohatera tej noweli, jest jak zwykle u Grabińskiego bardzo ciekawą i wyrafinowaną, jednak ziszczenie jej w czynie staje się szeregiem przypadków, dających w sumie komizm, brak tu bowiem tego wewnętrznego, drugiego uzasadnienia tej racyi, o której mówiłem w poprzednim fejle-

tonie. Dlatego też w tej nowelce odsłania się jakby mechanizm konstrukcyi Grabińskiego, mechanizm jego własny, ale mechanizm. Obfita pomysłowość kusi go w kierunku wyszukiwania kurjozów, ciekawostek, bez legitymacyi wewnętrznej. Niektóre opowiadania sprawiają też wrażenie, jakby w nich był podany sam temat, za szybko się rozwikłują, brak w nich napięcia dramatycznego, któreby n. p. także z innej strony parło ku zamierzonemu końcowi, na razie pozornie łagodząc sytuacyę. Brak ten daje się odczuć n. p. w „Szalonej Zagrodzie". Również na większą skalę zakrojony „Problemat Czelawy" nie zadowala. Poprzednio przytoczyłem już powieść Stephensona jako przykład doskonałego rozwiązania tematu sobowtórstwa. Tu oczywiście mamy do czynienia z nową warjantą tego tematu, lecz pogłębienie psychologiczne jest niedostateczne, kontrast moralny obu bohaterów nieprzekonywujący. Że autor dopuszcza jednolitość pamięci u obu Czelawów mimo różnicy w ich charakterach, to jest dowolność psychologiczna, na którą się trudno zgodzić. W rezultacie uniknął wprawdzie autor konwencyonalnego zakończenia historyi sobowtórów śmiercią obydwu, ale ten pomyślny koniec świadczy o niewyzyskaniu różnych możliwości konfliktu między obu Czelawami, — pomijając już to, że fizyologicznie nie zadowala, bo cóż będzie się działo z pozostałym Czelawą we śnie? Gdyby był autor znał powieść Stephensona, byłby albo temat odrzucił, albo byłby postarał się prześcignąć w czemś klasyczne ujęcie tej sprawy przez Stephensona. W każdym zaś razie byłby odczuł pewien nietakt psychologiczny w tem, że profesor Czelawa wyzyskuje wspólność mózgu z Czelawą, zbrodniarzem, w celach obserwacyi naukowej a potem zabija swój objekt eksperymentalny, w chwili gdy tenże staje mu się już niewygodny. Zachodzi przytem wątpliwość, czy pewne rzeczy można obserwować bezkarnie t. j. nie biorąc w nich udziału?



RYS. A. BEARDSLEY'A.

V.

Te refleksye prowadzą nas znowu do zasadniczej kwestyi względnego uprawnienia literatury fantastycznej i niesamowitej jako takiej. Otóż z pewnością ona sama „jako taka" jest czemś podobnem, jak n. p. literatura pornograficzna. Wywoływanie dreszczyków i gęsiej skórki jako cel sam w sobie, choćby było doprowadzone do mistrzostwa, prawdziwego poety nie zadowoli a w duszy czytelnika pozostawi niezapełnioną lukę. Lektura n. p. rzeczy Ewersa wywołuje takie właśnie niezadowolenie zbyt często. Ma się ostatecznie wrażenie nieuczciwej gry, na którą autor pozwala sobie wobec czytelnika. Głębokie trwałe wrażenie wywołuje autor jedynie tam, gdzie sam był przerażony i wstrząśnięty odsłaniającemi się tajemnicami świata. Ta energetyka bywa zawsze skuteczną: szczere wzruszenie autora przelewa się na czytelnika. Ale sprawa się komplikuje przez to, że owej szczerości nie można pojmować zbyt ciasno. Poeta jest człowiekiem, który stale utrzymuje w sobie pewne stany na wysokim stopniu napięcia, trenuje się w nich, pali wciąż pod kotłem. Nie czeka na „chwilę natchnienia", żyjąc zresztą jak zwykły człowiek, lecz poświęca się natchnieniu jak kapłan. Stąd płynie dążność do wyrafinowania, a z nią pojawia się szczerość nowego rodzaju. Mianowicie wyrafinowanym zdoła być tylko ten, kto naprawdę ma z czego być wyrafinowanym, kto posiada w sobie akumulowane i akumulujące się zapasy natchnienia szczerego, które naśladuje podobnie jak aktor potrafi wyciskać łzy u słuchaczów, grając na chłodno własną grę „obmyśloną" przed lustrem. Wszelka kultura jest pod pewnym względem takiem wyrafinowaniem, wyspecyalizowaniem, i ono stanowi jedno z jej niebezpieczeństw. Tu ma źródło zarówno potrzeba specyalnej literatury fantastycznej i niesamowitej jakoteż krystalizowanie się specyalnych talentów, które ją obsługują: Ewersa, Grabińskiego. Jestto osobny instrument w orkiestrze literatury, na którym mogą grać wirtuozi, ale który wyjawia swoje tajemnice dopiero, gdy zasiędzie doń kompozytor i przywróci mu jego głębszą racyę bytu, wspólną ostatecznie z innymi instrumentami.

Karol Irzykowski.

ROK · I · ZESZYT · 34 ·

MASKI



ST. WYSPIAŃSKI. KOSACCE.

KRAKOW · 1 GRUDNIA · 1918

KRAKÓW · 1 · GRUDNIA · 1918 ZESZYT · 34

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA

Wieszczej pamięci Stanisława Wyspiańskiego
w jedenastą rocznicę Jego zgonu.

[illegible]
18. XII. 1918



STANISŁAW WYSPIAŃSKI — RAPSOD.

STANISŁAW WYSPIANSKI.

ZYGMUNT AUGUST.

SZCZĄTKI NIEDRUKOWANEGO RĘKOPISU.

Końcowe sceny tragedyi: VII. (treny) na Wawelu, IX. i X. w Knyszynie, XI. i XII. w sali sejmowej w Lublinie.

SCENA VII.

AUGUSTUS

Gdzie się podziała?
Ani mi uwierzyć, że zmarła.
Myśl ku niej uporczywa wraca.
Pamięć się w niczem nie zatraca.
A burza nieszczęść, co ją zwiała.
co mi ją z rąk wydarła,
minęła w ostatecznym gromie,
gdy sam ostałem w domie.
Miłe jej klejnoty a szatki
przyozdobne kołstki a stroiki,
pereł przygłowne sznurki,
skarbu spominki, ostatki.
Jakby żywa stała ze mną,
wdzięczna postacią foremną.
Jeszcze głos jej w uszy dzwoni;
za nim ucho skwapnie goni.
Gdzieżeś ptaku, gdzie wyfrunął?
Calem przez cię w żalu runął.

AUGUSTUS

Wypatrzcież wy ją z oczu mych,
z tych łez, co za nią płaczą;
z żałości niezmożonych tych,
co w piersi się kołaczą.
Była, jakoby anioł ów
na włoskich malowidłach.
Na modłów swoich złotych skrzydłach
uleciał z ziemi w kraje snów,
w oliwne rajów boskich gaje
i szczęśliwości tam doznaje
za gorycz życia przebolałą.
Płaczemy, gdy jej już nie stało
a mało dla niej kto litości
miał dla jej krótkiej doczesności.
A nie wiem, czy tak się godziło
i sądzę, że nie godnie było.
Dziś cień jej radbym mieć przedemną.
Prośbą jej wzywam potajemną.
Już wierzę, głos mój wysłuchany
a owo w koło głuche ściany.
Nieprzebłagane drzwi podziemi
Sam jestem ze skargami memi.

AUGUSTUS

Mówiła: pojmij dla się żonę,
byś to królestwo twoje kiedy
nie odszedł precz osierocone,
grzechu przydając do biedy.
A mnie się serce prawie kraje,
gdy ona prawdy te wyznaje.
Bardzo jej listki wasze miłe,
jeno, że przyszły po niewczasie.
Urazy miała za niebyłe.
Zewłok kazała w Litwę wodzić,
by tam na wieczność odpoczęła,
gdzie się jej niegdy przyszło rodzić.
Tak sobie była umyśliła.
Więc ją powiezę w tej kolasie,
co dla niej czeladź sposobiła,
gdym chciał ją dawniej w całej krasie
wodzić po Litwie i Koronie.
To było teraz po jej zgonie.

AUGUSTUS

Siostry wy moje, miłe panny.
Dławi mię w gardle, usta wiąże
goryczy strumień nieustanny.
Kędy się zwrócę, kędy zajdę,
jak błędny chodzę, błędny krążę.
Już onej nigdzie nie odnajdę.
Potem ostatnie już żegnanie,
bowiem zaczęło się konanie.
A ja wierzyłem jeszcze, jeszcze...
Od łez wstrząsały ciałem dreszcze.
Myślę, że ocknie się, porusza;
a ona gaśnie, — gaśnie cicha.
Już zesztywniała, nie oddycha.
Tak z niej przedemną znikła dusza,
jakoby zemkła gdzieś w powietrze
wśród okrutnej nagłej cichości;
przeszła koło mnie, ponademnie
stąpaniem, co od wiewu letsze.
Naraz przeniknął mróz do kości.

Bom wyrozumiał sąd straszliwy,
jakom bez miary nieszczęśliwy,
bo jej już niema, niema, zmarła;
że usty rozchylonemi,
które była mówiąca rozwarła,
snać owo tchnienie ostateczne
ubiegło precz na życie wieczne.
I wraz wezwałem dworzan do się,
co w drugiej izbie czujem byli
i z tym dławiącym żalem w głosie
tak do nich rzekę owej chwili:
Próżno się cieszysz kto w tym świecie,
kryj twe radoście, twoje gody;
wnet żywe szczęście śmierć precz zmiecie,
jak oto kwiat ten ścięła młody.

CHORUS

Próżno się cieszysz kto w tym świecie,
kryj twe radoście, twoje gody;
wnet żywe szczęście śmierć precz zmiecie,
jak oto kwiat ten ścięła młody.

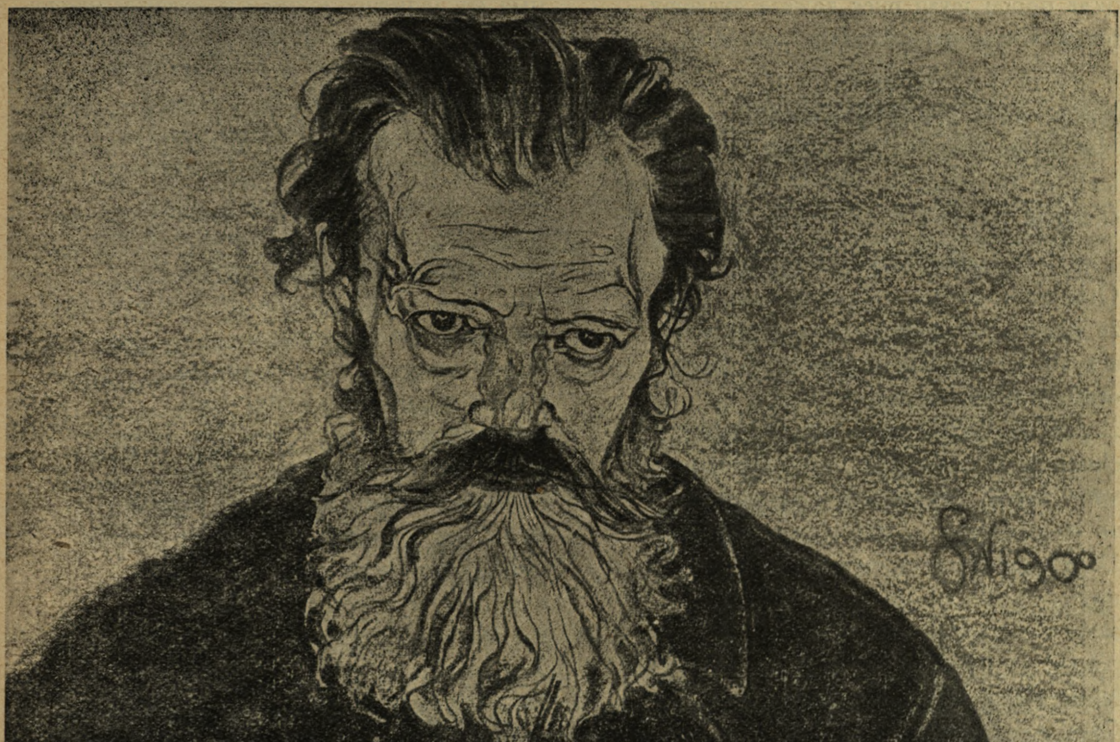
SCENA IX.

AUGUSTUS

Wszystko szczęście zwarte w trumnie,
szczęście ziemskiej mojej doli.
Teraz dźwigać się z padołów,
do nowych trudów mozołów.
z stygmatem klęski na czole,
w koronie cięższkiej ni ołów.
To nam smutniej, że bezdzietnie,
Trwoniliśmy czas w swywoli.
Dźwigać, dźwigać się rozumnie,
dźwigać się ciągiem powoli,
męzkiem sercem, siłą woli;
aże kiedyś w żniwo letnie
kłosy zbierać Bóg pozwoli.

CHORUS

Teraz wam się dźwigać w doli
w męztwie serca, siłą woli;
aże kiedyś w żniwo letnie
kłosy zbierać Bóg pozwoli.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI — PORTRET OJCA ARTYSTY.

AUGUSTUS

Ż e jes przerastać po nad swoich,
bo czyni się wokoło głusza,
w której się, jak ten ptak zamkniony
osamotniona zrywa dusza.

SCENA X.

AUGUSTUS

Radzi umyśleć też co statecznego
dla was, o waszem już postanowieniu,
niemoglim nijak trafnie w to ugodzić,
nieraz w niejednem przyszło nam przeszkodzić.
Na co większego może Bóg was chowa. —

ANNA

Chyba na większe bóle i gorycze.

AUGUSTUS

Ani obronię was, ani wam życzą,
Ponoś tu bez nich się obejść nie można
Byle uczciwa sława, zawsze zbożna.
Gdy po mym zgonie wielki wstanie zamęt,
może będziecie tu kiedy królowa?
Więc opatrzenie wam ostawujemy,
Was dobrej myśli mieć zawsze życzemy.
ten w wasze ręce składając testament.

ANNA

Niech waszą miłość Bóg najdłuży chowa,
Nie potom przyszła, by mówić o sobie;
lecz, że trosk ciężką mnogość w sercu macie,
chciałam was zwłaszcza widzieć, jako trwacie.

AUGUSTUS

Otóż mnie widzisz siostro zawsze miła,
że jeszcze we mnie krzepka dosyć siła,
acz już tak zwodne szczęście mi uciekło,
okrutne żalów ostawiając piekło;
że już nie zwabić mnie nowemi czary,
chadza koło mnie cień drogi Barbary, —
wnet ponoś przyjdą trąby wzywające
na wieczność,— szczęście nam obiecujące.
Do swego kresu człowiek dąży,
myśl swą dla świata mając dłużną,
sama o szczęściu pamięć ciąży,
patrzeć za szczęściem gdzie napróżno.
Nieszczęście łamie, boleść dźwiga.
Czas lekarz gorycze koi,
że już człowiek w takiej zbroi
z losem się przeciwnym ściga
i ubieży i ugoni tej pogoni
powinność spełniwszy swoję,
Jako ja dziś przed nią stoję,
I to będzie dzieło moje,
k' czemu teraz idę w boje.
O człowieku, idziesz w boje
o to jedno szczęście twoje
spokój duszy, —
Tuszy serce, wiara wierzy
żeś z rycerzy, żeś z żołnierzy
uzbrojony w bolów zbroje,
że potęga opór skruszy
na tę jedną chwałę swoję.
Jako ja dziś przed nią stoję.

SCENA XI.

AUGUSTUS

Co się dotycze tych wszystkich przeciwnych
przypadków niefortunnych przydarzonych,
któremi państwa nasze Bóg nawiedził,
dowód w nich widzim wyroków przedziwnych
karności Boskiej zawsze sprawiedliwej,
nam jako karę za winę znaczonych;
karę wam wszystkim, jak i mnie królowi,
bym się porówno z wami w troskach biedził
za niezliczone, za ogromne grzechy
wszech nas ku Panu a Stworzycielowi
cząwszy od głowy aż do ostatniego
człowieka w naszej Rzeczypospolitej.
Tak, że się iszczą słowa Dawidowe:
Wszyscyśmy z drogi prawej ustąpili,
wszedłszy na drogę nieprawej uciechy,
niepożyteczni się stali, niegodni.
Nie masz już, ktoby dobrze wśród nas czynił,
nie masz aże do jednego.
Każdy wystąpił i każdy zawin .
Jednak ufając miłosierdziu Jego,
niezmordowanej łasce wiecznie żywej,
tęśmy nadzieję niepłoną żywili,
że wczas zawiesi sądy Swe surowe,
że na nas wspomni pokarawszy zbrodni.
Gdyż kogo karze, tego też miłuje
a później dary nowemi daruje,
nie skąpiąc z ręki szczodrej a obfitej. —
Zaś uważamy, że to roztargnienie,
że to zwaśnienie wielkie dwu narodów
pomiędzy sobą, to, z wielu powadów,
między owemi przypadki najsroższy,—
więc dziś będziemy już wiedli do zgody
na wszem obydwa zwaśnione narody
by im ostawić zgodę, skarb najdroższy.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI *Z CYKLU „STRĄCONE ANIOŁY".*

To zaś inaczej sprawić się nie dało,
jak na tym wspólnym zjeździe, sejmie.
Ku temu więc ten zjazd, by tu się stało,
czego pragniemy zdawna i życzymy,
tusząc, że Bóg karzącą rękę wnet odejmie,
pojrzawszy, jako zbożną rzecz czynimy.
Od Tatar trwoga już ustała,
też z Moskiewskiego Carza.
Wczasami Pan Bóg nas obdarza,
za co niech będzie cześć i chwała.
Lecz temu bardziej sercem pilnem
łączyć się trzeba węzłem silnym.
Co dziś nie grozi, jutro za się
potkać nas może w błogim wczasie.
O tem trza wszystkiem mieć baczenie,
mądrą, potrzebną dawać radę,
w tem u mnie też wyrozumienie
znajdziecie, w tem w was ufność kładę. —
Gdyby się tedy też co statecznego,
na tym tu sejmie nie postanowiło
a stądby, czego chowaj Boże,
ku jakiej szkodzie abo upadowi
Rzeczy przyjść później musiało,
tedy świadczymy przed ludźmi i Bogiem,
jak sobie pragniem zbawienia dusznego,
że za występnym pozierając wrogiem,
nie z nas by trzeba szukać k'temu winy,
ani to z naszej wychodzi przyczyny.
Lecz jeżliżeby przez nas lub przez kogo
inego to się dziać m ało, —
karz Bóg takiego każdego, karz srogo
na tem i na onym świecie,
bośmy nigdy nie wiedli
ani wiedziemy kogo do niewoli,
ale do większej wolności, swobody,
spólnej braterskiej zgody i miłości
obojga państwa z całej siły woli,
którąśmy ze krwią po ojcach posiedli
którą żywą wżdy u mnie znajdziecie,
by słowo czynem się stawało.
Poszczęśliwienia wszech spraw naszych czekam,
wszakoż w Panu Bogu nadzieja,
że mnie pocieszy z trosk wedle przejrzenia
najświętszej Boskiej woli swojej;
a tak wam słowem królewskiem przyrzekam
pilnować tego tu mieczem a ręką,

czego widzimy wielką być potrzebą,
czego odwłoka byłaby nam męką,
to, co sądzimy być duszne zbawienie
dla nas i czego ze serca całego
każdemu życzyć jesteśmy powinni, —
to, — aby Unję dzisiaj uświęcono,
by Litwę ślubem powiązać z Koroną.

SCENA XII.

AUGUSTUS

Ja, com wszędy był w żałobie;
com żal pieścił, zwiędły w żalu;
czuję lica dziś w koralu
na te gody, na tej dobie.
Niechaj pamięć na tę chwilę
póki życia w nas ostanie;
a po naszym kiedy skonie
w potomności zmartwychwstanie.
Ichmościowie miłościwi
do przysięgi, do spólności.
Patrzą na was ojce żywi,
patrzą Święci z sfer jasności.
Przed Maryją, Matką Bożą,
przed Jezusem z Aniołami
tam pergamen ten położą
z obu królestw pieczęciami.
Przysiążemy na krzyż święty,
na Chrystusa Pańską mękę,
że podajem polskiej dłoni
zaślubioną Litwy rękę:
Na wieczyste wspólne znoje,
na wieczyste wspólne życie,
czyli w złym, czy dobrym bycie:
Boże przyjdź Królestwo Twoje.

CHORUS

Na wieczyste wspólne znoje,
na wieczyste wspólne życie,
czyli w złym, czy dobrym bycie:
Boże przyjdź Królestwo Twoje.

AUGUSTUS

Niegdy pierścionek dziewczęcia
małżeństwem ziemie dwie wiąże,
kiedy Litwy pan i książe
ślubne wymawiał zaklęcia.
Dziś waszą postawą i zbroją
dwa ludy przed sobą stoją.
(*zaciemnia się*)
Vexilla regis prodeunt inferni.
Przy znaku krzyża stoim wierni,
palcie gromnice. Niech Demony
rozgoni światła blask święcony.
(*Zapalają świece*).
Patrzcie. Niebiosa się chmurzą.
Pomroka zawisła burzą.
Czas byśmy zgadli, co wróżą
przyszłości skryte odmęty.
Oto za chmur tych całunem
pioruny płomienne biją.
Niechże nam będą przestrogą,
że się burze jawić mogą,
które czasy przyszłe kryją.
Tedy zbroją i orężem,
braterskiem związani kołem,
dostoicie burzom czołem,
znacząc się czynem-piorunem.
Tak nam pomóż Duchu Święty.
(*oddalony rum gromów*)
Niechże trąby a puzony
grają hymnus Ducha czczony.
Niechaj dźwięk ich uskrzydlony
leci w niebo wniebowzięty.
Niech z kościołów biją dzwony;
w jednym śpiewie żywo wstają.
Dusze święto wielkie mają,
święto Litwy i Korony.
(*błyskawice*)
Na wieczyste wspólne znoje,
na wieczyste wspólne życie,
(*piorun*)
czyli w złym, czy dobrym bycie:
Boże przyjdź Królestwo Twoje
(*odgłos trąb*)

CHORUS

Na wieczyste wspólne znoje,
(*błyskawice*)
na wieczyste wspólne życie,
(*gromy*)
czyli w złym czy dobrym bycie,
(*dzwony*)
Boże przyjdź Królestwo Twoje.
(*pioruny*).

(Rękopis w zbiorach Heleny z Wyspiańskich Chmurskiej)

LISTY PARYSKIE WYSPIAŃSKIEGO.

Korespondencya z Kazimierzostwem Stańkiewiczami.

Rękopisy ze zbioru Włodzimierza Żuławskiego.

Paris 6 Septembre 1893 rp.

Kochani Wujostwo!

Nie pisałem, bo czekałem aż się moje stosunki poprawią, a skoro się naprawiły, więc donoszę, że czuję się zupełnie dobrze, że jestem w trakcie roboty okna lwowskiego i że już mam ją obecnie prowadzić do końca.

Za jaki więc miesiąc część mojej pracy już do Lwowa pojedzie a niedługo i reszta. Jestem tylko niespokojny, aby obraz wypadł dobrze i podobał się, a to tak trudno taką rzecz wykonać mając tak szczupłe zasoby.

W końcu jednak mam dużo co mi potrzeba i nie mogę się wiele uskarżać, — zresztą sami niedługo zobaczycie. Tymczasem proszę o kupienie mi małego obrazka złoconego Matki Boskiej częstochowskiej (taki sam, jaki mi Ciocia niegdyś przywiozła z Częstochowy).

Zainstalowałem się tutaj w atelier mojem bardzo ładnie i urządziłem sobie pięknie, że mi się podoba; oczekuję tylko ukończenia okna lwowskiego, aby módz być swobodnym.

Już tak dawno nie miałem od Was wiadomości, ale nie uskarżam się, bo mi Ciocia zapowiedziała już raz, że nic więcej do mnie pisać nie będzie, jak tylko tyle, ile razy ja napiszę, a jednak tyle chciałbym wiedzieć. — Jakże żałuję nieraz, że tu nikogo z Was niema, aby mię widział w mojem atelier i mojem mieszkaniu,

Tylko obcy i sami obcy.

I co więcej, że ci „obcy“, dla mnie już nie są obcymi, że mi stali się bliscy. —

Czy to słusznie?

pytam się nieraz, czy nie lepiej i słuszniej byłoby być tam, koło Was, u siebie, nie wciąż między obcymi — i nie mogę na to pytanie znaleźć odpowiedzi, za którąbym poszedł.

Dawno już bardzo Karol *) nie pisał nic do mnie i prawie, że niewiem co się z nim dzieje. Jakże mi żal Karola, że tak się musi trwonić i nie może pracy dobrze rozpocząć, bo na rozpoczęcie na dobre potrzeba pieniędzy, inaczej nic w malarstwie zrobić nie można.

Nieraz to aż drżę, że na czas nie skończę mojego zamówienia, a tu trzeba studya robić do wszystkiego, szukać i wciąż szukać.

Dnie prześliczne — jesień — najwięcej zajęły mi czasu roboty pastelowe i nauczyłem się dużo w ten sposób. Stanisław Wyspiański.

8 Septembre 1893.

Właśnie odebrałem kartkę od Karola, gdzie po długiem milczeniu znów daje znak życia. Bardzo mi go żal, a doskonale tutaj pomiędzy nami mógłby się utrzymać, skoro Danzig, którego sobie Ciocia zapewne przypomina, utrzymuje się i wprawdzie z biedą, ale egzystuje. — Zresztą z każdym z nas jest to samo i nie może być inaczej.

Pokoik mój wygląda bardzo milutko — dwie białe zasłony przy drzwiach i koło łóżka — zasłony ubrane kwiatami, które mi Ciocia przysłała — pozawieszane fotografie Wujostwa, te, które miałem pod zegarem, wygląd zegar mój ma taki, jak na wsi u nas zegary (z różą) —

na jednej z półeczek fotografia Mamy oprawiona w czarne rameczki.

Donosił Karol, że Estreicher przyjedzie tutaj, w lutym, bardzo się więc cieszę... ale do lutego daleko i jakże się wiele musi zmienić do lutego. —

Pomyślcie tylko, że już po ten czas cała praca dla Lwowa ma być ukończona.

Jestem tak cały zajęty moją robotą, że nie wiem nieraz dokładnie, co się koło mnie dzieje — — —

bardzo proszę o wiadomości i nowiny. *Stanisław.*

15. Septembre 1893 rp.

Nareszcie dzisiaj już widzę, że niedługo okna mojego część górna będzie skończona i wyślę ją na ręce pana Stryjeńskiego —

ach jakże się obawiałem dotąd jak całość wypadnie — tak jak jest dzisiaj, mnie się podoba —

wybaczcie mi więc kochani Wujostwo, że niepisywałem, ale chciałem się wprzód uspokoić co do wyniku mojej roboty.

Obecnie mam już wszystkie studya gotowe; zajmuję się już tylko wykonaniem kartonów, które mam wysłać, ale co dzień pokazuje się brak czegoś nowego i codzień trzeba poprawiać, zmieniać.

Koledzy mię wcale nie zasypują listami — widać mi się wywdzięczają za moje milczenie, a jednak przecież pisałem do nich.

Oczekuję listu od Was Kochani Wujostwo.

Stanisław Wyspiański.

proszę pozdrowić wszelkich znajomych.

Paris, 21 Septembre 1893.

Kochani Wujostwo!

Cóż ja Wam napiszę — tak jestem zajęty moją kompozycyą, że niepodobna mi nawet się oderwać, bo gdziekolwiek idę, to ta myśl za mną idzie i spokoju mi nie daje a raczej swobody mi nie daje.

Bardzo dziękuję za trochę wiadomości, jakich mi Ciocia udzieliła — o Kaziu *) nie mam już innej sposobności dowiedzenia się czegokolwiek jak przez listy Cioci, on sam w „literaturę“ przestał się bawić.

Już mam pół okna w kolorach naturalnej wielkości; na przyszły tydzień zabieram się do wykończe-

*) Maszkowski.

*) Brudzewski, przyjaciel artysty.



nia i po dwu tygodniach wysyłam na ręce pana Stryjeńskiego. Jakież kolosalne trudności przy komponowaniu — nieprzewidziane — strasznie, strasznie trudno nadać całości wygląd oryginalny —

po skończeniu okna, które mi zajmie jeszcze długo (druga połowa, ta część, gdzie jest król i Lubomirski i ołtarz), — mam zamiar tutaj pozostać, w Paryżu, na zimę —

a jeśli będę mógł wyjechać z Paryża około marca lub kwietnia —

oczywiście w kierunku Rzymu —

ale to zależy od zamówienia jakiego znacznego lub jakiego stypendyum —

bo jak obecnie, to zapewne żadnego stypendyum nie mam —

a tu nie można tak okna biczem skończyć i wysłać.

23 Septembre.

Nareszcie już mój obraz zaczyna się formować wyraźnie i już widzę rzeczy, które zostaną przy wykonywaniu.

Jakże to przyjemnie widzieć z jakim trudem się doszło do tego lub owego szczegółu —

obecnie jestem zadowolony z tego co robię, ale jakże to trudno, jak strasznie trudno —

a jakże chętnie wziąłbym się do czego innego dla rozrywki, celem roztargnienia umysłu.

Cały czas myśleć o tem, jak tę lub ową część obrazu złożyć, jak ustawić, aby żądany efekt uzyskać — —

jest to bardzo męczące.

Zapytuje mię Ciocia czy „sam" mieszkam. Był czas jakiś Danzig, ale był tylko dwa tygodnie, potem wyjechał do Szwajcaryi na miesiąc, a obecnie powrócił i ma swoje atelier.

Jestem sam. —

Kazio dlaczego nie dopisał się chociaż krzyżykiem na liście.

Niecierpliwie czekam powrotu ze wsi pana Kazimierza Stryjeńskiego, aby mu pokazać moje roboty.

Mehoffer ma atelier w tem samem podwórzu, ale nie wiele z sobą rozmawiamy, bo mnie co innego zajmuje niż jego, więc nie możemy się rozumieć —

radbym, aby Karol przyjechał.

Pisał pan Szybalski Antoni i anonsuje mi swój przyjazd w bardzo krótkim czasie — chce mi co przywieźć, — jeśli mogę prosić o jaki „serdak", to proszę, ale jeśli nie macie pod ręką, to bardzo by mi się podobał całkiem biały z wyszywaniami, jakie sprzedają na targach we Lwowie — nie jest to sprawunek bardzo drogi, ale jeśli nie można, to się obejdę.

Stanisław Wyspiański.

Kochani Wujostwo!

Nadzwyczajnie dziękuję za przesyłkę pieniędzy i jestem oczarowany, że tak rychło nadeszła, ocze-

ST. WYSPIAŃSKI.
SZKIC DO WITRAŻU „ŚLUBY JANA KAZIMIERZA".

kiwałem bowiem na nią, aby módz dać do oprawy jeszcze niektóre obrazy i w ten sposób razem do Krakowa wysłać.

Zobaczycie co robię i czego się nauczyłem.

Każdą rzecz traktuję jako studyum i to maluję i przedstawiam, co mię „uderza“, co mię „pociąga“ lub co mi się „podoba“ —

nie będzię to łatwo zrozumieć —

bardzo często są to niedołężne próby, ale nigdy imitacye i to jest dostateczny powód, aby były wystawione.

Wszelkich imitacyi wyzbywam się i już się wielu wyzbyłem. —

Okno moje, którego szkic kolorowy naturalnej wielkości wisi u mnie w atelier — widziało już wiele osób, artystów i podobało im się bardzo, między innymi Pani Vallgroin, (ta sama co mój biust rzeźbić zaczęła) sprowadziła jakiegoś Francuza, który chce u mnie obstalować witraże, i pytała mi się, czy bym przyjął zamówienie — jestem więc bardzo zaciekawiony.

Był u mnie pan Kazimierz Stryjeński i jeszcze przyjdzie w tym lub na przyszły tydzień na początku), aby zobaczyć, co poślę do Krakowa, bo i jemu ta myśl wysłania bardzo się podoba. — Niektóre portraity wydostać jest mi bardzo trudno, pilnują ich bowiem właściciele, — wszystkie one były zrobione zadarmo i dla mojej nauki, w czasie kiedy nie miałem pieniędzy, ale to nie umniejsza ich wartości, bo ponieważ są podobne przedewszystkiem, więc wielu jest takich, co się o nie boją, nie rozumiejąc, co to jest wystawa.

Ale i tak z tem, co jest, będę mógł się pokazać i zobaczycie, że nic b a n a l n e g o w moich pracach niema.

Jakże mię pożera ta myśl, żeby były wystawione w Sukiennicach, ale nie wybierajcie sami ani przebierajcie, ale koniecznie niech będzie wystawione wszystko co poślę.

Wasze oczy nie są przyzwyczajone do wielu rzeczy, ale tylko dlatego znajdą niejedno dziwne, że nie są przyzwyczajone do patrzenia i obserwowania.

Podobno Karol wybiera się już naprawdę do Paryża tym razem, — niechże przyjedzie, będzie mu tu nawet bardzo wygodnie — i raz niech się odważy. Pan Szybalski opowiadał mi dużo o jego nauce języka francuskiego i stałym, najstalszym projekcie wyjazdu. —

Odkąd Pan Szybalski jest tutaj, więcej po mieście chodzę, co mi robi d y s t r a k c y ę i nieraz satysfakcyę. Jest mi tutaj zupełnie dobrze i tej zimy obiecuję sobie dużo studyów zrobić i obrazów, które mi się po głowie plączą i spokoju mi nie dadzą. —

Spokoju nie pragnę — owszem ten stan lubię, ale jestem tylko niecierpliwy, bo się doczekać nie mogę swobody, tj. dogodnych warunków — abym mógł swobodnie o malarstwie myśleć.

Nie rozpowiadajcie bardzo o moim projekcie wystawy, ale jak wyślę napiszcie mi jak się Wam podobało i co się komu niepodobało. Jestem ciekawy — no i nic dziwnego.

Pan Dejeon *) poczciwy jak zawsze zajmuje się (mną) o ile może i jest w stanie.

Obecny rok weselszy niż poprzedni, bo szukam towarzystw i nie jestem już tak odosobniony jak roku zeszłego i dawniej.

Atelier moje jest śliczne, śliczne, choć jeszcze pieca niema ustawionego i choć jeszcze niezapłacone za ten kwartał.

Między rysunkami znajdziecie także wnętrze mojego pokoju, mianowicie tę część, gdzie stoi łóżko po za zasłoną ubraną kwiatami z krakowskich kościołów.

Ochoty i siły jak zawsze, tak nie brak mi i teraz i będzie wszystko tak, jak ja chcę.

Stanisław Wyspiański.

Dodaję jeszcze jedno. — Wszyscy ci, co oglądali moje i Mehoffera witraże, zauważyli, że wielka między nimi jest różnica, tak pod względem pojęcia przedmiotu jak wykonania. Na tę zimę co nadchodzi bardzo się cieszę, bo sobie dużo obiecuję wykonać i trzymać się będę stale tej myśli, aby do Krakowa wysyłać.

Chcę, żeby widziano co robię i jak robię. Skoro przesyłka będzie zapakowana, napiszę list objaśniający, co jeszcze trzeba będzie zrobić i jak wystawić.

Niżej 50 złr. nie mam zamiaru nic sprzedawać.

Potrzebuję tych pieniędzy na wykonanie i skończenie okna lwowskiego (które chcę malować olejno i którego inaczej malować nie będę) i na rozpoczęcie obrazu, który mi spokoju nie daje od dłuższego czasu.

Stanisław Wyspiański.

26 Novembre 1893 rp. Paris.

Kochani Wujostwo!

Odebrałem wczoraj kartkę, sądzę, że do dziś dnia już malunki nadeszły i że wkrótce mi doniesiecie.

Jestem ciekaw, co Matejko powiedział — jakże pragnę, aby pastele były wystawione — już przygotowaną mam drugą wystawę i obrazy pokończone do dziś dnia, potrzeba mi tylko na ich oprawę, a już mógłbym wysłać — możebyście mi co nadesłali na tę oprawę, chodzi mi tylko o to, że im wcześniej wyślę tem lepiej, bo tem wcześniej do Krakowa paka zajedzie.

Skoro się więc tylko dowiecie, że nie odrzucili z wystawy, ale że przyjęli (notabene wszystkie). zaraz moglibyście mi przysłać jakie grosze na oprawienie dalszych, którebym w tej chwili wytransportował.

Do brata p. Stryjeńskiego chodzę często i rozma-

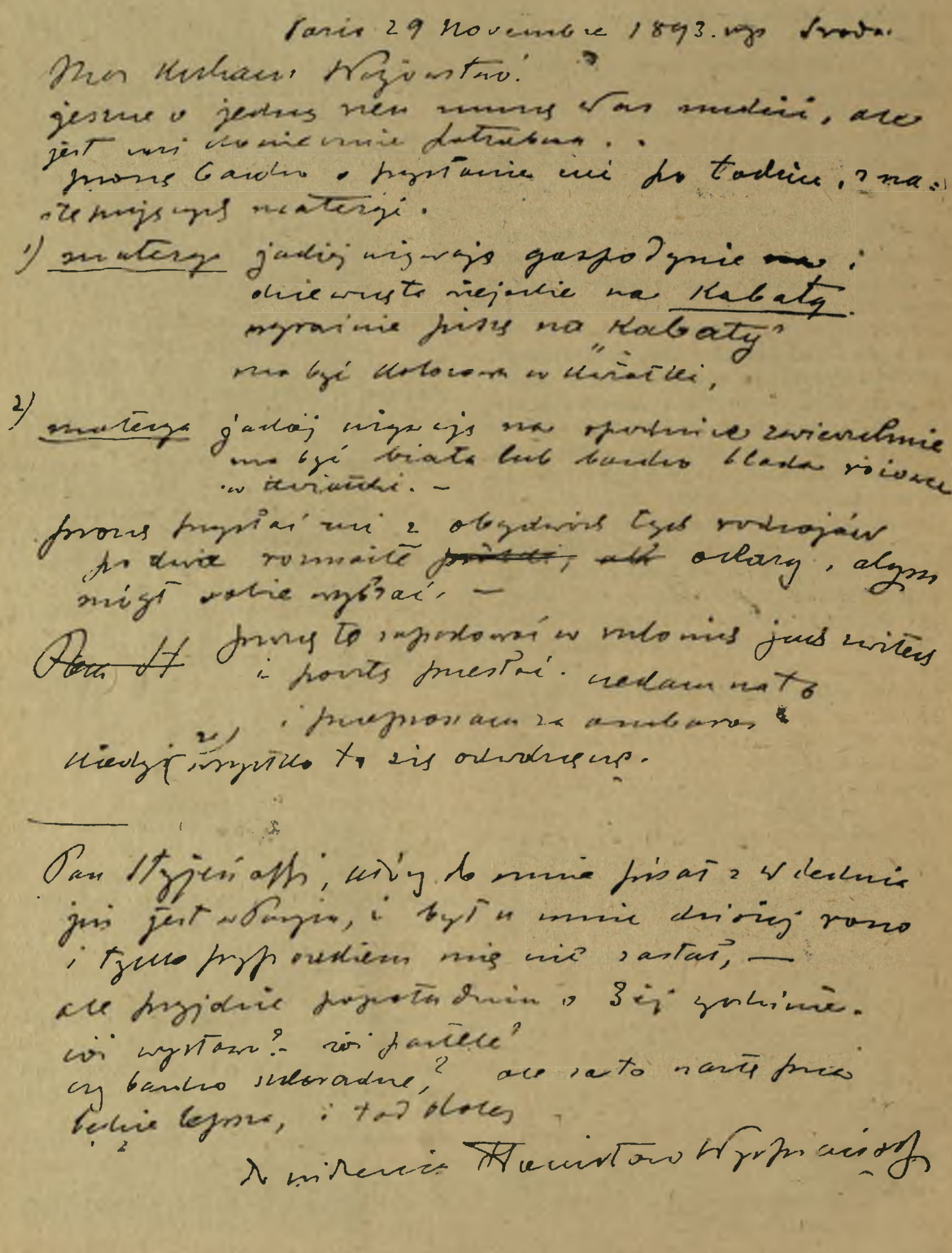
---

*) Polak, syn emigranta. Zaopiekował się Wyspiańskim serdecznie. Zmarł w r. 1900.

wiamy dużo, bo mówię znacznie lepiej po francusku tego roku niż przeszłego i czytam dużo.

Będę tego roku wystawiał obraz w salonie, tak mi doradza p. Stryjeński Kazimierz, utrzymując, że potrafię — ale proszę nie rozpowszechniać tego zamysłu.

Do widzenia. Stanisław Wyspiański.



14 Decembre 1893 rp. Paris.

Kochani Wujostwo! Dziękuję za nowiny i za starania, niedługo wyślę nową wystawę, skoro tylko nieco pieniędzy mi przyślecie.

Witraż postępuje.

Pan Dejeon człowiek mi nadzwyczaj życzliwy.

Przesyłajcie gazety ze wszystkiem, kupcie osobną gazetę i wyślijcie, jakby co było. Jak się teraz z kłopotów wywinę, to już się wywinę raz na zawsze.

Starajcie się o stypendyum, to im będę przysyłał na wystawę aże się dziwić będą.

Do widzenia Kochani Wujostwo.

Stanisław Wyspiański.

Jakże strasznie mi przykro, że Matejko nie będzie widział moich studyów. —

Dnia 28. kwietnia 1894 rp.

Kochani Wujostwo!

Witraż postępuje gwałtownie, idzie mi robota bardzo szybko, nawet nie myślałem o tem.

Wciąż już myślę jak czerwiec przyjdzie w mig i jak mi wypadnie znów pojechać. Myślę jeszcze raz listownie upewnić się, żeby mi miejsce zatrzymano na Wystawie *). Tymczasem ciekawość moja, co się stało z portraitami na Wystawie **) wcale zaspokojona dotąd nie jest. Już wielce dawno nie pisała Ciocia nic do mnie — jest to poprostu niegrzecznie. —

Rydla tu oczekuję, ale go nie widać a już przeszło 12 dni nie miałem od niego wiadomości.

Salony już są otwarte, obrazów pełno. W jednym ze Salonów jest mój biust wystawiony, nie pamiętam, czy Wam o tem wspominałem.

Pan Dejeon zaniepokoił się wiadomością o chorobie pana Jana Opieńskiego i prosił Wuja, aby mu donosił o stadyum choroby. Kredyta moje są w najlepszym rozwoju. Jestem wielce ciekaw, jak mi się poszczęści w Czerwcu i Lipcu, we Lwowie i Krakowie. Oczekujący wiadomości

Paris. Stanisław Wyspiański.

7. maja 1894 rp.

Kochani Wujostwo!

Bardzo to ważna rzecz, o której piszę. Czy Ciocia podała cenę wysyłając portraity do Warszawy i czy Ciocia podała mój adres. Proszę mi bardzo zaraz donieść, oczekuję bowiem niecierpliwie tej wiadomości.

— Witraż maluję.

Z wojska nie dostałem żadnego wezwania, a może ja nie potrzebuję przyjechać. Okropnie bym wolał nieprzyjechać. — Tam mnie nikt nie rozumie, nikt mnie na nic niepotrzebuje, a tutaj przynajmniej mi tego nikt nie powtarza. —

Wczoraj byłem z Panem Szybalskim w Versalu, gdzieśmy wśród tłumu ludzi spotkali Panią Adamową Potocką. Pierwszy raz widziałem wielkie fontanny versalskie bijące. Stanisław Wyspiański.

Paryż, dnia 9 maja 1894 rp.

Kochani Wujostwo!

Otrzymałem list wczoraj i za życzenia bardzo dziękuję, jak i za wiadomości. Obecnie, malując wciąż rozmyślam nad tem, jak począć dalej i co robić.

Przyjechawszy do wojska, chcę po odbytych dniach trzynastu pojechać do Zakopanego na parę tygodni, aby zrobiwszy tam studya pejzażów, wystawić je w Krakowie i Warszawie, poczem jaknajprędzej wracać do Paryża, aby mieć czas, swobodę i spokój do zrobienia obrazu do Salonu. Jak raz wystawię w Salonie moje malowanie, to może przecie chociaż czyje zaufanie pozyskam.

Czas narzekania i rozpaczania już u mnie minął, myślę się tylko bronić i stać przy swojem —

Wiem, że źle nie chcę, ani nie próżnuję, wiem, że mi jeszcze wiele kształcić się potrzeba.

Wszelkie inne względy, pomimo tysiącznych rad muszę usunąć na bok, bo w gruncie rzeczy nie są nic warte.

Jak widzicie, nie mam zamiaru się zmienić, bo bym we własnych oczach dużo stracił. Pan Szybalski jest mi bardzo życzliwy i z nim tylko jednym razem często czas spędzam, (byliśmy w Versalu razem, byliśmy w St. Denis, chodzimy po muzeach i zbiorach Paryża).

Tak więc możecie mię sobie wyobrazić samego. Często bywam u Pana Dejeona, obydwoje państwo Dejeonowie wyprawili mi imieniny, obiad ze szampanem.

Farby mi już szkodzić przestały, ale czuję potrzebę pobytu na wsi przez parę tygodni chociaż *).

Cieszy mię, że Pani Matejkowa ma się lepiej, że może wychodzić. Gdyby tak zdecydowała się pojechać do Zakopanego tego roku, bardzo bym się cieszył.

Rydel jest już w Wenecyi, będzie we Włoszech północnych i Florencyi, ale tylko przez półtora miesiąca, to jest bardzo za krótko.

Fotografii jeszcze nie mam z mego rysunku, — a każę także fotografować cały witraż, jak będzie zrobiony za dwa tygodnie.

Oczekując wiadomości pozdrawiam Was serdecznie Stanisław Wyspiański.

---

*) Wystawa Krajowa we Lwowie.

**) Wystawa w Sukiennicach.

*) W liście z 8. października 1891 donosi:

z farbami olejnemi w ciągłej jestem niezgodzie, zdaje się, że mi wogóle farby olejne szkodzą, — jeszcze jednak czas jakiś będę tę całą sprawę egzaminował, a jeśli to nie ustanie, będę musiał o zmianie pomyśleć. — Proszę jednak nie brać tego co piszę za rzecz ważną, bo może być, że się pokaże, że to tylko przywidzenie i uprzedzenie.

A wszelkich przywidzeń i uprzedzeń należy się pozbywać.

Paryż, dnia 24 maja 1894 rp.

Kochani Wujostwo!

Dzisiaj rano wyprawiłem do Lwowa na wystawę górną część witrażu, (dolna jeszcze nie zupełnie ukończona, więc została u mnie i na wystawie lwowskiej nie będzie). Jestem z wykonania zadowolony, szkoda tylko, że miałem za małe atelier, aby módz widzieć cały obraz.

Donoszę, że do wojska tego roku jechać nie potrzebuję. jak mi to powiedziano w ambasadzie, że już za parę dni będę miał w ręku papier uwalniający mię od służby (13 dni) na ten rok (1894). — Że wskutek tego nie przyjadę do Was, ale pozostanę w Paryżu. Wkrótce wyślę na wystawę krakowską parę obrazów i rysunków, tym razem kompozycyi. Już dzisiaj powoli zaczynam przysposabiać studya do „Salonu" paryskiego na rok przyszły, gdzie skoro raz będę miał obraz, już jestem mocny jak mur.

Stanisław Wyspiański.

6 czerwca 1894 rp. Paris.

Kochani Wujostwo!

Prócz górnej części witrażu wysłałem również na Wystawę lwowską wielki rysunek głównej postaci z tejże kompozycyi, rysunek przedstawiający Polskę. Tenże jest reprodukowany w katalogu, niecierpliwie oczekuję dalszych odbitek fotograficznych, aby Wam posłać i aby dać do „Światu"; wczoraj będąc zaproszonym do pana Dejeona, dopominałem się o odbitkę i za jakie 10 dni będę je już mieć; pod ten czas rysunek mój wyekspediowany za późno, a ładnie jest oprawiony, zajdzie (14-ego) do Lwowa, gdzie mam nadzieję, że go kto zakupi, ale nie chciałbym, aby pierwszy lepszy go zakupił; postawiłem cenę 1000 złr. i będę w tym celu pisał do ks. Skrochowskiego, i za otrzymane pieniądze mógłbym zrobić obrazy i studya, którebym tutaj wystawił w Salonie w Maju roku przyszłego i wtedy jużbym stał lepiej i pewniej.

Wielka szkoda, żem tego roku zapóźno przyjechał do Paryża i żem nic nie mógł wystawić, ale co się odwlecze to mi nie uciecze i niedługo będzie się odwłoką cieszyło.

Wczoraj dostałem wiadomości z Warszawy, że obrazy przyszły, że źle były opakowane, że we dwu szkła się potłukły, że przyjęto niewszystkie i właśnie portraitu Leszczyńskiej *) nieprzyjęto między innymi, — ale to nic nie szkodzi, przecież nie pierwszy lepszy kiep będzie mnie uczył jak mam malować.

Co zaś mię ucieszyło, to że donoszą mi z Warszawy, że zakupili dwa obrazy do rozlosowania, mianowicie portrait owej starej „kwiaciarki" i ową „damę w liliowej sukni", — obydwa za 60 rubli, ale



*) Honorata Leszczyńska, artystka dramatyczna.



sobie koszta transportu odtrącą za te obrazy, których nie przyjęli i za potłuczone szkła.

Dzisiaj zaraz napiszę do Warszawy, aby obrazy nieprzyjęte odesłali na inną wystawę w Warszawie, tak zwaną Wystawę Szkiców, gdzie wszystko przyjmują i gdzie sprzedać można.

Obecnie zajmuję się malowaniem studyów i obrazów, które mam zamiar wystawić tutaj w Paryżu za dwa tygodnie na jednej z małych bieżących wystaw, gdzie również mam nadzieję i szanse sprzedaży.

Jak widzicie, nie mówię o niczem tylko o handlu i wkrótce wyjdę na zupełnego commis na mojej własnej służbie, a możecie sobie imaginować, jaką pogardę mam ja nie handlarz dla siebie handlarza...

ale mniejsza o to. —

Powtarzam sobie pięć razy na kwadrans „wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły", i życzę wszystkim dobrego powodzenia i zapewniam, że nie czuję się zającem, ani pod względem długości uszów, ani pod względem szybkości w zmykaniu.

Postępy zrobiłem ogromne od owego czasu, kiedyście mnie mieli w Krakowie i gdybym tylko miał na wszystko, czego mi potrzeba do malowania a nie musiał się hamować co chwila, wnet bym wielu opanował. Ale ponieważ należę jeszcze do płynących, a nie do tych co przepłynęli, więc nie mogę wymagać, aby mi już dziś mówiono, że we mnie nigdy nie wątpiono.

Zresztą mniejsza o to.

Dziwi mię tylko, że Ciocia pisze mi w jednym z listów, że moich stosunków w Krakowie nie zna, bo mi się zdaje, że przeciwnie Ciocia je zna i o wszystkich wie, a nie miałem takich, z którymi bym się ukrywał tak dalece. —

Bardzo bym pragnął mieć katalog illustrowany Wystawy obrazów z wystawy powszech. krajowej we Lwowie, abym mógł wiedzieć, jakie obrazy są na Wystawie i jak wygląda reprodukcya mojego rysunku (z pewnością sprzedają w Krakowie te katalogi u Krzyżanowskiego, sądzę, że może jestem wart, aby mi Wujostwo zechcieli przysłać, również gdyby jaka w dziennikach była wzmianka o obrazach).

Obecnie maluję część dolną i jak skończę, wyślę na Wystawę do Krakowa, więc się nie trapcie, że na lwowskiej nie będzie, bo tu nie chodzi o zwiezienie zboża do stodoły jaknajszybsze, ale o co innego.

Pan Szybalski zawsze bardzo mi przyjazny, ale według mnie popsuł się, bo mię zanadto nudzi naukami o oszczędności (jakbym miał z czego oszczędzać) i ciągle mi tylko gada o pieniądzach — wiadomo, że to nie jest droga do mnie,

a szkoda, bo był bardzo miły, podejrzywam, że go Ciocia zepsuła listem, który Ciocia zechciała raz do niego napisać; od tego czasu czuje się obowiąza-

ST. WYSPIAŃSKI
ŚLUBY JANA KAZIMIERZA

nym do opieki i przyjaźni, podczas kiedy dawniej robił to samo z własnej a nieprzymuszonej woli, — bardzo żałuję.

Dziękuję niezmiernie za przysłanie portraiciku, nie był on tak bardzo bez wartości, jak to było napisane na tekturze zewnątrz, ale mniejsza z tem.

Oczekuję więc katalogu, jeśli prośba moja nie obarczyła Wujostwa, że ciągle o coś się naprzykrzam.

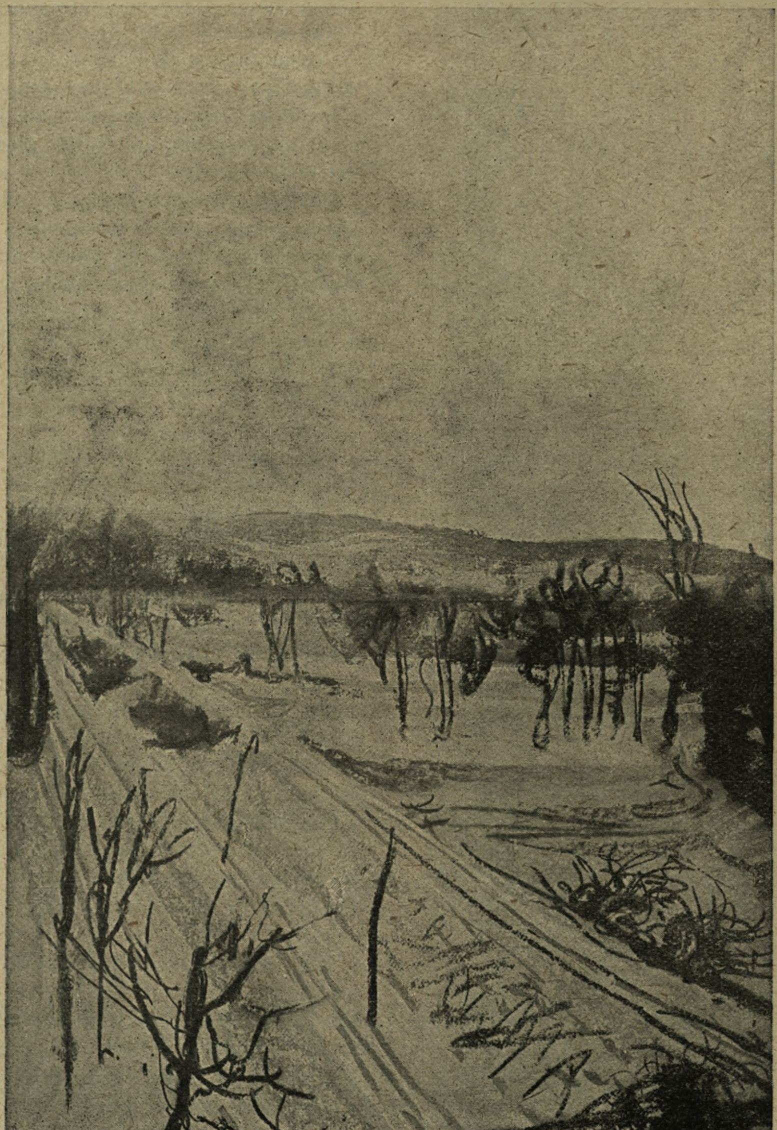
„Danzig", który zmienił nazwisko na „Hiram" ma w salonie portrait, nieźle, nawet bardzo dobrze namalowany. Ma się sam coraz lepiej i zarabia coraz więcej; widać, że Jehowa znów go łaskami otacza i że Jehowa ma krótką pamięć, bo ledwo pół roku temu Danzig chciał przyjąć katolicyzm, aby wyjść z biedy. Nie bywam u niego, bo nie cenię ludzi, co zmieniają nazwisko.

U państwa Janakowskich byłem i miałem u siebie w tydzień później pana Janakowskiego rewizytującego.

Poznałem u nich dra Gałęzowskiego.

Sprawiłem sobie cylinder i wyglądam raz „przyzwoicie", jak ocenił pan Szybalski.

Stanisław Wyspiański.



STANISŁAW WYSPIAŃSKI

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

FRAGMENTY.

* * *

. . . . . przychodzę
a po drodze
wstąpiłem do chat i wiosek
z pieśnią; każdy mię kłosek
zna i każda mogiła.
Matka chłopca wysyła
i z lirą dziada zaprasza.
Bo dziś ojczyzna nasza
w pieśni skrzydlatej spoczywa
a pieśń żywa
złożyła skrzydła i leży
w sercu dawnych rycerzy
i dziś śpiewaków za karę.
O miejcie wiarę
że to, co śpiewam tak było:
pod mogiłą
są ciała, — — —
lecz duchy mi żywe śpiewały:
duchy w duchu, świat cały
globowy mi śpiewał
przelewał
łzy moje w pieśń
a z łez czynił posągi,
Słuchajcie więc! — —
— — — — jak ongi
na ziemię przyszedłszy okwitą
złote mi żyto
było koroną, a maki
purpurą... Tak jak ptaki
śpiewałem jutrzence wesoło
a białe sioło
— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

...Noc co zatraca nas cmentarnie
nie sięże ku nim, ich nie zgarnie;
gdy wokół wszystko mrze ginące,
nad noc powstają panujące.

To znać nie ciała tam się palą,
ale to dusze ludzkie płoną,
więc się po nocy skrami trwalą,
bo nieśmiertelność w nich zogniono.

* * *

Wyuczono papugę wyrazów o sztuce,
przyznać trzeba, że łatwość miała w tej nauce;
więc gdy wyraz „secessya“ wymawiać pojęła,
witała twym wyrazem wszystkie nowe dzieła.
Więc styl mój krzeseł z lekarskiego domu
nazwała „secessyjny“ — płynnie i bez sromu.
Czekać trzeba cierpliwie, aż po pewnym czasie
nowy frazes papudze w pamięć wbić znów da się.
Jakkolwiek rzecz ta kształtu Sztuki nie odmieni
frazes jednak wystarczy, by MYŚL dyabli wzięni.

Dnia 2-go Marca 1905.

(Rękopis w zbiorze Tadeuszowej z Pareńskich Żeleńskiej)

TEATR WYSPIAŃSKIEGO PO DZIESIĘCIU LATACH.

).

Ze zjawiskami literackiemi ma się rzecz podobnie, jak ze zdarzeniami historycznemi: Znaczenie ich i doniosłość, prawdziwe przyczyny i skutki rozumieją dopiero potomni, uzbrojeni w tak zwaną perspektywę historyczną; współcześni stoją niby w ogromnym chórze, w którym przypadkowe głosy najbliżej stojących zagłuszają głosy dalsze i nie pozwalają objąć uchem całej melodyi. Jak istotne przyczyny i logiczny związek zdarzeń obecnej wojny światowej za ćwierć wieku będą lepiej znane każdemu uczniowi szkoły średniej, niż dziś, nie mówię już nam, czytelnikom oficyalnych sprawozdań sztabów i posiadaczom prywatnych informacyi, jak to tam właściwie było na tych frontach, ale samym kierownikom, wodzom i dyplomatom; tak dzisiejsze dzieci wojenne, kiedy za piętnaście lat przygotowywać się będą do jakiejś matury, lepiej będą wiedzieć, jakie były główne prądy czy kierunki w polskiej literaturze n. p. w r. 1915, niż my, pierwsi konsumenci tej literatury. Paradoksalne to na pozór zjawisko tem się tłumaczy, że artyści, jakkolwiek są dziećmi swego czasu, przejmują się przedewszystkiem tymi jego prądami, które na razie gdzieś drobnym dopiero sączą się ponikiem, a w bystre wyrosną rzeki dopiero po upływie szeregu lat; że rzucają posiew, z którego współcześni widzą co najwyżej zielony kiełek i liście, a potomni dopiero zobaczą kwiat i poczują jego woń. Tak było zawsze. Wystarczy przypomnieć, co warszawscy klasycyści mówili o początkowych dziełach Mickiewicza, zwłaszcza o jego sonetach; jak lekceważąco przyjmował utwory Słowackiego — nawet Mickiewicz; w jaką głuszę padały prozaiczne czy wierszowane poematy Krasińskiego, a z drugiej strony jak oni sami cenili czy Chodźkę, czy Garczyńskiego, lub jacy poeci byli za ich czasów znacznie popularniejsi od nich; wystarczy to przypomnieć, by zrozumieć, że poniekąd objektywna ocena artystów, ich kanonizacya bywa dopiero dziełem lat dziesiątek, dziełem nie samego czasu, ale pracy krytycznej i historyczno literackiej, która rzuca na nich należyte światło, ustawia widza pod odpowiednim kątem i pomaga mu widzieć to, co uważa za istotne.

Tych kilka uwag ogólnych przyda się może, by wytłumaczyć, dlaczego dziś, przeszło w dziesięć lat po śmierci Wyspiańskiego, możemy mu wyznaczyć odpowiedniejsze miejsce i stanowisko w naszej literaturze, niż n. p. w dwa lata po śmierci poety mógł to uczynić najlepszy ówczesny znawca jego utworów i psychiki: Adam Siedlecki. Ten osądził, że ze stanowiska logiki rozwojowej Wyspiański należy do wieku — XVII i jest ogniwem, łączącem nasz Renesans Kochanowskich i Szymonowiców z romantyzmem Mickiewicza i Słowackiego. Uwagi te pomogą nam też pojąć, dlaczego pierwsi widzowie „Wesela“ (16. marca 1901), „Wyzwolenia“ (1903), „Nocy listopadowej“ (1908) płakali nad tem, z czego poeta się śmiał, mieli ochotę śmiać się z tego, co jemu łzy wyciskało; dlaczego zamykali uszy na to, za co ich gromił, a wytężali wzrok ku temu, co było przypadkową dekoracyą.

Ogromna popularność Wyspiańskiego datowała się od „Wesela“; przy „Nocy listopadowej“ zaczęto ubolewać, że choroba odbiła się nieszczęśliwie na twórczości poety, a za majaki chorego mózgu uważano i „Achilleis“ i „Skałkę“ i „Powrót Odysa“. Dziś w całem dziele Wyspiańskiego widzimy zasadniczą cechę czy tendencyę przez współczesnych nie dojrzaną, a jest nią uwolnienie siebie i narodu od wpływu idei politycznych, głoszonych przez romantyzm, specyalnie przez Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, i zastąpienie ich ideą żywotności narodu, jako istoty biologicznej. Wykazaniu owej zasadniczej tendencyi teatralnej twórczości Wyspiańskiego poświęcone są niniejsze uwagi.

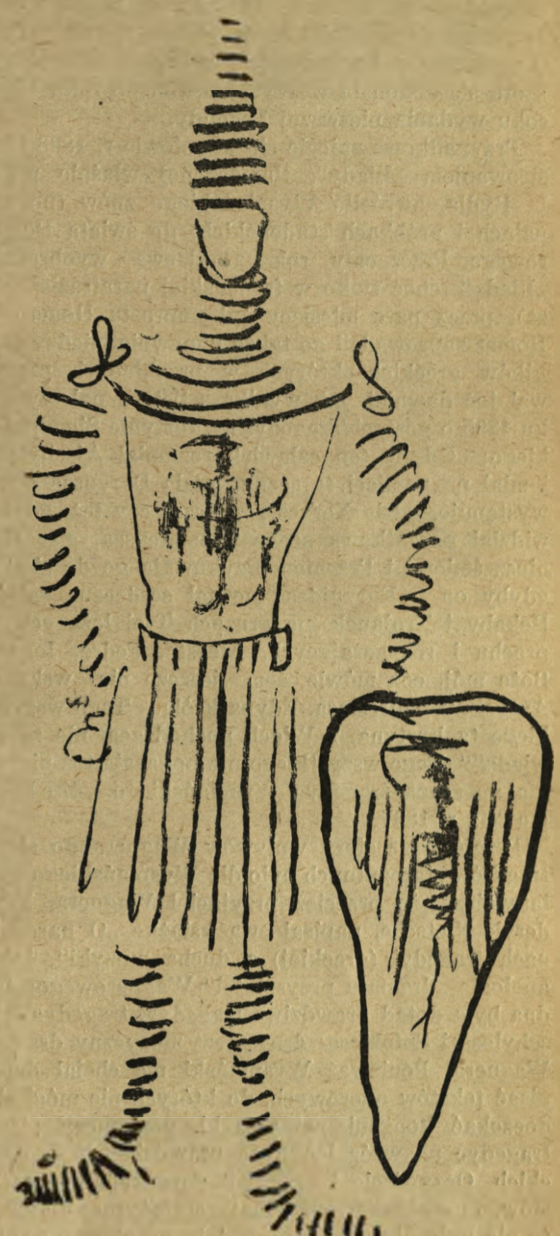
Wyspiański zaczął pisać z myślą o teatrze, na razie o operze, jako dwudziestoletni młodzieniec, bawiący na studyach malarskich w Paryżu. Zainteresowało go tam libretto do opery Berlioza „Trojanie“ i napisał dla przyjaciela, muzyka Opieńskiego, równie antyczny tekst, oparty na znanym z Ajschylosa micie o Danaidach. Libretto to jednak zaginęło. Zachowało się drugie na temat biblijny, napisane w tym samym czasie. To „D a n i e l“, ów biblijny prorok, który odczytał i wytłumaczył Baltazarowi wyrazy, pisane podczas bluźnierczej uczty na ścianie przez tajemniczą rękę, wyrazy: Mane, Tekel, Fares. Przeprowadzenie tego tematu nie pozostawia żadnej wątpliwości co do intencyi poety. Występuje on j a k o c h o r ą ż y s z t a n d a r u r o m a n t y k ó w, którzy sądzili, że mają rząd dusz narodu. Messyanistyczna parallela wybranego narodu żydowskiego w niewoli babilońskiej i wybranego narodu polskiego w trzech niewolach aż nadto jest widoczna. Baltazar i dwaj sąsiedni mocarze zapowiadają państwo, które będzie żyć tylko rozumem: „Ludu krocie... zapomną marzyć, zapomną śnić — fantazyi złudne obrazy“; będą pracować, „a nie ze łzami w oczach patrzeć na ojców grób“. Jednak rozkaz mocarzy: „Poezyo precz! —Wypędźcie poetów“ nie znajduje znajduje posłuchu u „synów podbitego kra-

ju", którzy w Danielu uznali swego proroka, swego króla Ducha i chcą czekać na zapowiedziane przez niego pokruszenie pęt. Daniela nie może dosięgnąć ręka tyranów, bo mówi o sobie: „Ja nie jestem, jak tylko fantazyą, — ja nie jestem, jak tylko poezyą... ale za mną przyjdzie moc — poczęta z moich słów, — moc, co pokruszy pęta, — co państwo wskrzesi znów".

Jeśli do stonowania „Daniela" wystarczyłaby muzyka starej szkoły, muzyka romantyczna, to paryskie libretto o „Wandzie" pisane już było pod muzykę Wagnerowską, jak wynika z przeróbki tego libretta, wydanej w r. 1897, jako „Legenda", mianowicie krakowska czy wawelska legenda o Krakusie i Wandzie. Trzeba ją nazywać „Legendą I." w przeciwstawieniu do redakcyi, wydanej w r. 1904: ta jest „Legendą II.". Wystarczy znać Wagnerów „Pierścień Nibelunga", by zauważyć, że drugi akt „Legendy", obraz sceniczny dna Wiślanego i fantastyczne postacie nurtów rzeki polskiej przypominają motywy „Złota Renu". Wyspiański dostrzegł pewnego podobieństwa między całem podaniem wawelskiem o Kraku, smoku i Wandzie, a germańską sagą o Wotanie i jego Walhalli, o Brunnhildzie i smoku, stróżu skarbów i dał Krakusowi pewne rysy Wotana, Wandzie pewne cechy Brunnhildzkie. Ale te i inne motywy literackie dostarczyły mu tylko materyału do zdobniejszego ubrania legendy wawelskiej; źródłem poezyi w „Legendzie" jest podwawelska Wisła, szepcząca przedziwnie o dalekich wiekach i głębokich tajemnicach; jest wiara w tajemniczą moc tradycyi narodowyh. Krak, spoczywający na dnie Wisły, jest stróżem zamku i grodu, opiekuńczym geniuszem miejsca (genius loci). Moc jego na razie niewidzialna. Ale gdy serce potomnych skarb pod tonią najdzie, gdy miłośnie pocznie pukać w piersi, gdy obejmie miłością kwiaty chwastów wawelskich i skały, gdy śpiewając zapłacze, to i łzy się wypłaczą, a czar zawładnie górą i ponad skałą zanuci pieśń żywą, pieśń zmartwychwstania króla zamku. Fale Wisły szepcą nie tylko o sławie założyciela zamku i jego córki, która poświęciła się dla jego ocalenia, ale i o mocy czaru, który może przeszłość znów powołać do życia.

Charakterystyczne to dla młodego Wyspiańskiego, że tradycyę historyczną łączy nie — z grobami zmarłych bohaterów, choć ich kopce tak się do tego nadawały, lecz z żywą przyrodą i w miłości do tej ojczystej przyrody, ojczystej ziemi widzi źródło zmartwychwstania „króla zamku", polskiej państwowości.

W „Legendzie II." (z r. 1904) właściwa akcya koncentruje się na Wandzie, która jest bohaterką zwykłej tragedyi fatalistycznej. Krak wziął ją był niegdyś wodnej sile, ją „wodnej dziewki dziecko" i przez to ściągnął klątwę i na nią tak, że musi zabić brata, zabójcę drugiego jej brata, w niej ukochanego, i na cały lud, dręczony gniewem wrogiej bogini. Aby tę klątwę zdjąć ciążącą, poświęca się Wanda bogini Żywi, dostaje od niej czarodziejski wianek mocy i śmierci, zwycięża najeźdźców, a



ST. WYSPIAŃSKI:
Z SYLWET HISTORYCZNYCH: BOLESŁAW WSTYDLIWY.

potem spełnia ofiarę. W lirycznym epilogu opowiada poeta, że woda wyrzuciła jej ciało, a lud uczcił je pogrzebem i mogiłą: „żeś z hańby była ocalona — i żeś zwycięska nad nim stała — wieczystą pamięć będziesz miała". Wisła „śpiewną śpiewkę śpiewa" dla niej, ale nie o niej. O Kraku milczy. Dlaczego? Bo Kraka zdegradował poeta ze

stanowiska strażnika tradycyi, a uczynił go zwykłym słomianym chochołem, który lud corocznie wywozi na „lajkoniku“ do wody, jako symbol zmarłej Zimy. To pozbawienie Kraka geniusza miejsca, to zamilczenie nadziei, związanych z czarem Wisły, to usunięcie poezyi Wisły, tak ważnej dla pierwszej Legendy, jest wyrazem przemiany, która się dokonała w Wyspiańskim po roku 1897, roku wydania pierwszej Legendy.

Przypadkowe zajęcie się w połowie r. 1896 ilustrowaniem „Iliady“, tłumaczonej właśnie przez L. Rydla, zwróciło Wyspiańskiego znów (po zapałach i próbkach studenckich) do świata Homerowego. Przez cały rok karmił swą wyobraźnię „Iliadą“ (choć tylko w francuskiej parafrazie prozą), przez parę miesięcy żył poprostu Homerem. Homer zaprowadził go także ponownie między tragików greckich, których w przekładach czytywał już dawniej, jak wynika z listu z połowy roku 1895 o postaci Tragedyi na kurtynie Siemiradzkiego: „Gdyby ten człowiek rozumiał Ajschylosa i miał na pamięci te sceny, gdzie Daryusza duch występuje, gdzie Xerxes rozpacza; czy też, gdyby widział początkową scenę Prometeusza, gdy Geniusz śmierci i Przemoc przykuwają go do skały; gdyby on u Eurypidesa poznał serdeczną żałość Hekaby i Trojanek, na gruzach Troi leżących w prochu i rozpaczających, Alcestę, Fedrę, Iona.. Boże mój, cóż mówię, żem jeszcze nie wskazał Antygony, Tejresiasa, Edypa króla.. Tego wszystkiego ta kurtyna, z Włoch pochodząca, nie zapowiada““. Tego wszystkiego nie pokazała też pierwsza antyczna tragedya Wyspiańskiego, „M e l e a g e r“ z r. 1897.

Przejście ze sfery wpływów Wagnera do sfery tragików starożytnych było dla Wyspiańskiego tem łatwiejsze, że przecież przyjaciel Wagnera, Fryderyk Nietsche, napisał swą książkę „O narodzinach tragedyi (greckiej) z ducha muzyki“, jako apologię „dramatu przyszłości“ Wagnerowego: Jedna była dotąd prawdziwa tragedya, tragedya Ajschylosa i Sofoklesa; drugą jest muzyczny dramat Wagnera. Ponieważ Wyspiański nie chciał dalej pisać tekstów operowych, do których nie mógł się doczekać kongenialnej muzyki, postanowił pisać tragedye na wzór jedynych prawdziwych — greckich. Oczywiście i przykład paryskich Parnassistów, opracowujących tematy starożytne, dlatego, że nie były aktualne i pozwalały na akcentowanie w nich jedynie momentów estetycznych, nie był bez wpływu na Wyspiańskiego. O napisaniu „Meleagra“ myślał już w Paryżu w r. 1894. Na wykonaniu tego programu zaważył także autor, który na pozór wydaje się antytezą starożytności, — Maeterlink. Powtarzamy: na pozór. Bo w rzeczywistości Maeterlink (Preface du Theatre I. 1903) zwraca uwagę na to, że wszystkie jego osoby wierzą „w ogromne potęgi niewidzialne i fatalne, których intencyi nikt nie zna, lecz które duch dramatu uważa za nieprzychylne, uważne na wszystkie nasze czynności, wrogie uśmiechom, życiu, pokojowi, szczęściu“. O tych potęgach mówią wszystkie osoby Maeterlinka aż za dużo, a ta ich gadatliwość o fatalności, tak nieklasyczna, odbiła się silnem echem na antycznej scenie Wyspiańskiego. Maeterlink (j. w.) podkreśla też zdumiewające powtarzania wyrazów i zdań, które osobom dają wygląd somnambulów nieco głuchych, ciągle wydzieranych z jakiegoś przykrego snu. Tu leży źródło specyalnego stylu Wyspiańskiego, w rytmie i rymach muzycznego, w powtarzaniu wyrazów, frazesów, zdań — Maeterlinkowskiego.

Pierwszy rzut na arenę antyczno-maeterlinkowską nie mógł się udać nie tylko z powodu niezharmonizowania elementów stylowych, ale też niezdecydowania co do pojmowania *Fatum*. Starożytne podanie, znane Wyspiańskiemu z Owidyusza i opracowań Swinburne‘a (Atalanta w Kalydonie) i Faleńskiego (Althea), mówiło o fatalnym związku między jakiemś polanem a życiem Meleagra: Jeśli polano spłonie, Meleager umrze. Więc matka Altea chowa je starannie w skrzyni, a wydobywa dopiero i rzuca w ogień, gdy syn, ujęty miłością do Atalanty, zabił jej dwóch braci. Dla mitycznej Greczynki bracia są ważniejsi, niż syn, mający przecież w sobie krew obcego człowieka; pomszczenie braci jest obowiązkiem siostry, choćby miało dotknąć własnych jej dzieci. Tego rodzaju konflikt jest dla dzisiejszego człowieka zupełnie obcy. Więc Wyspiański motywuje nienawiść matki zazdrością o wpływ narzeczonej, a wrzucenie polana do ognia uważa za chęć pozbycia się — przesądu. A i sam Meleager przypisuje gaśnięcie swego życia nie spaleniu się polana, lecz temu, że go śmierci przeznaczyła własna — matka. Z tym racyonalizmem osób dziwnie nie zgadzają się ostateczne słowa Altei: „zwidzenia prawdą są, przesądy prawdą“; i słowa Ojneusa: „przesądom, czarom nie dawałem wiary... dziś próżno, choćbym wierzył; za dawne winy dziś spadają kary“,

Takiej nauki nie może sobie dzisiejszy widz przyswoić z tragedyi, która też całym sposobem czucia i myślenia działających osób jest nam obca. Dyssonansom w treści odpowiada nieharmonijna forma. Chór przemawia prozą, pełną epickich epitetów i ozdób; osoby mówią czasem prozą, niby rytmiczną, często przechodzącą w wyraźne wiersze, czasem wierszami rymowanymi. Ta mieszanina stylów nie jest ani antyczna, ani klasyczna.

Bardziej harmonijnie wypadł drugi dramat antyczny „P r o t e s i l a s i L a o d a m i a“ (1899) dzięki temu, że akcya jego jest bardzo nikła: opuszczona żona przyzywa zapomocą czarów zmarłego męża. Mimo ścisłego wykonania rad guślarza, duch męża się nie zjawia. Wstrzymują go ustawiczne płacze i jęki żony. Więc Laodamia wzywa potę-

pienia na siebie, niejako ofiarowuje własne życie, byleby mąż jej się ukazał. Mara się zjawia, ale gdy ją żona chce objąć, — znika. Laodamia poznaje, że w błędne wstąpiła złudzeń koło i przebija się nożem. — Antyku tu dużo w słowach chóru, w opisach czarów, w pobocznych postaciach; niema go tylko w samej bohaterce, którą starożytni nazwaliby „bezwstydną“. Tak, jak Laodamia, mówią romantyczne Heroiny Owidyusza, które przeszły przez miłosną szkołę aleksandryjską, mówią „pasyonowane“ bohaterki Pierre'a Louys'a i innych aleksandrynistów paryskich. Może zresztą i przykład „Isoldy“ Wagnera rozwiązał język jej tęsknotom miłosnym, a potem żądzy śmierci. — Obcość problemów życia i motywów działania u osób obu tragedyi antycznych kazała Wyspiańskiemu spróbować, czyby z materyału dzisiejszego nie można było zbudować tragedyi fatalistycznej opartej na zasadniczych pojęciach wszelkiej tragiczności, pojęciach winy i kary. Próba się udała. „Klątwa“ z r. 1899 jest najbardziej harmonijnem i najsilniejszem dziełem Wyspiańskiego. Grać jej nie pozwoliła cenzura z powodu księżego kostyumu bohatera. (Przeniesienie akcyi do wieku np. XII. usunęłoby ten szkopuł). Ten kapłan, nie pomny na swe śluby, żyje z młodą gospodynią i ma z nią dzieci. Winę swą jednak uważa za sprawę czysto wewnętrzną i surowo występuje przeciw męskiej i żeńskiej służbie, postępującej za jego — przykładem. Dopiero gdy wieś nawiedziła straszna posucha, a lud uznał w niej karę Bożą za przewinienia kapłana; dopiero gdy wysłannik tego ludu, jakiś pustelnik, wyznający jeszcze „starą wiarę“ i trzymający się „starych praktyk“ wskazał mu, że posucha jest karą za jego winy, kapłan szuka ulgi w wyznaniu i odchodzi do kościoła błagać zmiłowania Bożego. Tymczasem lud czyni za radą pustelnika przygotowania do „czaru deszczowego“, rozpalenie ogromnego stosu na „polu księdzowem“ ma sprowadzić chmury i deszcz. Słyszy o tem Młoda, która dowiedziawszy się od sołtysa, że posucha jest wynikiem klątwy, żądającej ofiary; a od dzwonnika, że klątwę sprowadził grzech księdza i jej, przypuszcza, że to może nie o spalenie samego drzewa idzie, ale że — z niej trzeba ofiary. Odtąd akcya mogłaby się już staczać ku katastrofie. Ale poeta opóźnia ją, by i na Młodą i na kapłana ściągnąć nowe winy. Dopiero wskutek nowych nieporozumień, Młoda, wypędzona przez kapłana, decyduje się na ofiarę z siebie i dzieci i pożegnawszy się z domowstwem i życiem idzie na stos. Próżno kapłan próbuje ją ocalić. I znów w tej chwili mogłaby przyjść wiadomość o spełnieniu ofiary i pogrążyć go w rozpaczy. Tymczasem poeta każe jeszcze Młodej, po wrzuceniu dzieci na stos, przybiedz z żagwią na plebanię; każe zrozpaczonemu kapłanowi pędzić gdzieć na stos czy do wody, a Młodej ginąć u wrót plebanii pod kamieniami gromady. We wzmagającej się burzy i piorunach widzi lud groźbę nowej kary.

Gdyby nie przeładowanie akcyi w miejscach wskazanych, „Klątwa“ byłaby pod względem kompozycyi i tragiczności najdoskonalszym utworem Wyspiańskiego; ale i tak, jak jest, jest najudatniejszą próbą skonstruowania z dawnych wierzeń i praktyk ludu sieci przeznaczenia, gubiącego winnych, przeklętych, tak, jak w tragedyi greckiej. Nie poszczególne reminiscencye z Edypa króla i Antygony, ale całość poglądu na świat stanowią o jej greckości. — W tym rodzaju realistyczno-antycznym zaczął Wyspiański pisać w r. 1899 także tragedyę karczemną p. t. „Sędziowie“. Skończył ją i wydał dopiero w r. 1907. Ale ideowo i technicznie należy ona do epoki „Klątwy“. Jewdocha, zakochana zawsze w synu karczmarza, Natanie, z którego poduszczenia zabiła kiedyś wspólne ich dziecię, tem się różni od Młodej, że nie poczuwa się do żadnej winy i grzechu; czuje tylko, że jej źle na świecie, że pali ją wstyd, że jej nawet „ulga z kościoła“ nie pomoże i dlatego pragnie śmierci i to z rąk kochanka, który i tak sam już planował uprzątnięcie niewygodnej wspólniczki zbrodni. Nową tę zbrodnię zamierzał zwalić na dziada, który właśnie wrócił z więzienia i przyszedł do karczmy mścić się dawnych krzywd na karczmarzu Samuelu. Ale chytry plan Natana rozbija się o przypadkową interwencyę brata Jewdochy, Urlopnika. W bójce z nim Natan niby przez nieuwagę kieruje rewolwer napastnika ku Jewdosze i zabija ją. Krótkowidzący sędziowie gminni po formalistycznem przesłuchaniu oddają urlopnika żandarmom. Dalej widzi ukochany wnuk Samuela, mały Joas, cudowny skrzypek. On wskazuje na swego ojca, Natana, jako na zbrodniarza i ze wzruszenia umiera. To jest najsroższą karą dla Samuela. Dziad, ojciec Jewdochy, jest pomszczony.

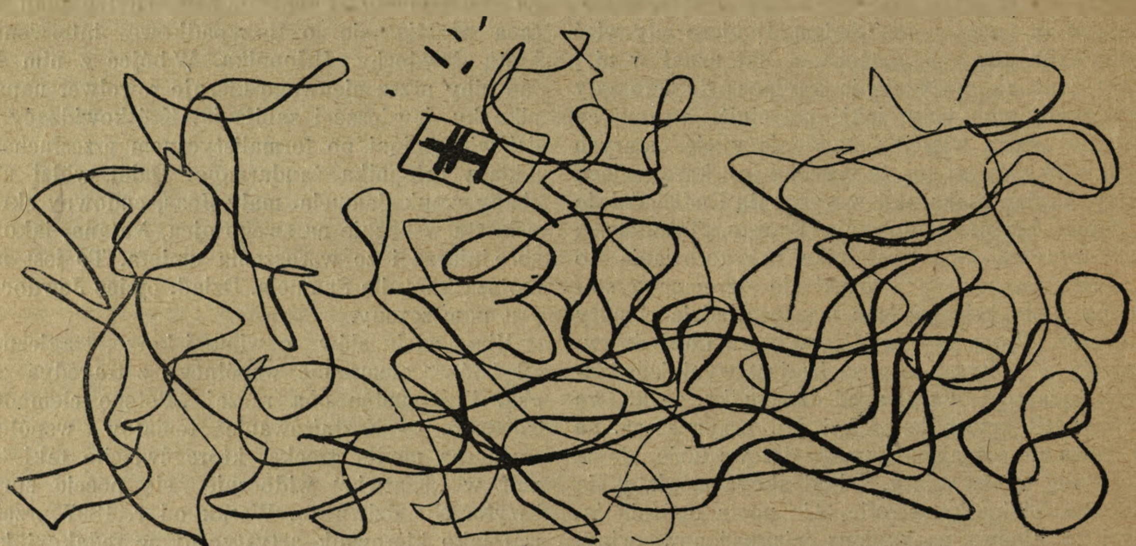
Mimo wielu słów o winie i karze, tragiczność „Sędziów“ niema nic wspólnego z tragedyą grecką. Przypomina ona raczej „Potęgę ciemnoty“ Tołstego. — Kształtowanie tematów współczesnych na modłę grecką, które święciło taki tryumf w „Klątwie“ widocznie się poecie sprzykszyło. Nic dziwnego. Wszak od r. 1897 przebywał jako kierownik artystyczny w redakcyi krakowskiego „Życia“, które szukało nowych dróg, nowych form, nowych wartości estetycznych. W redakcyi rozbrzmiewały Nietscheańskie hasła o nadczłowieku, o woli do potęgi, o filozofowaniu młotem, o konieczności wyzwolenia się z pętów historyzmu, o odwracaniu dawnych wartości. W „Życiu“ ukazała się w r. 1897 „Warszawianka“, pieśń z r. 1831, zaczęta jeszcze w Paryżu w r. 1897, a więc w epoce librett operowych, jak „Daniel“ i „Wanda“, ale zredagowana ostate-

cznie w Krakowie w r. 1897. Czy miała ona być romantyczną apoteozą powstańców, idących do boju z pieśnią: „Dziś twój tryumf albo zgon“?, z myślą o sławnym zgonie za ojczyznę. Tak ją rozumiała publiczność krakowska na przedstawieniu z 29. listopada 1898, ale inaczej pojmował ją poeta. Organem jego jest Chłopicki, który słuchając podczas bitwy pod Grochowem pieśni, śpiewanej przez panienki, nawiązuje do owego oczekiwania zgonu i sądzi, że w tej malowniczości, czy teatralności zgonu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu. Kiedy potrzeba, „żeby Mars w pełnej zbroi gnał przez pola“, oficerzy grają rycerzy romansowych, gotowych na śmierć dla zdobycia sławy. Takim jest Żymirski, dowódca dywizyi, broniącej Olszynki; takim narzeczony Maryi „heros śpiewów Homera“, nowy Achilles. Tacy potrafią tylko ginąć, jakby dla usprawiediwienia złowrogich przeczuć Maryi. Jej kassandryczne wizye wzruszają nawet Chłopickiego. Ta jego niespodziewana wrażliwość jest karą za winę. Ściągnął ją na siebie, poświęcając dywizyę Żymirskiego, a z nią i narzeczonego Maryi, by dogodzić własnej próżności, udowodnić niedołęstwo naczelnej komendy. Wiadomość, że narzeczony Maryi także poległ, wstrząsa sumieniem twardego wojownika. Teraz on już wrażliwy na muzykę Maryi, czuje, że jej „złe, straszne błędy“ garną się do niego, czuje, że stracił wiarę w zwycięstwo. To też gdy mu ofiarują naczelne dowództwo, wymawia się przeczuciami, brakiem wiary w powodzenie; a gdy je ostatecznie przyjął, odchodzi ze słowami: „Snać przeznaczeniem dzisiaj u wrót staję, — które są wrota śmierci“. Na scenie zostaje romantyczna Kassandra, wołająca orły do służby Sławy — przez śmierć...

Widzowie ulegają czarowi muzyki i pieśni, głoszącej zgon, sławny, bo za ojczyznę. Tylko poeta się nie wzrusza, bo on z Chłopickim smagał to rozczulanie się pięknem zgonu, szukał z nim Napoleońskiej poezyi czynu — póki Chłopicki nie zromantyczniał, zatruty przeczuciami i wróżbami Kassandry. I on idzie w bój bez wiary, jak Słowackiego Wenedzi, idzie przy dźwiękach harfy, której tamtym brakło. Ale ta harfa romantyczna umie wtórować tylko marszom — pogrzebowym.

(c. d. n.).

Tadeusz Sinko.



YSPIAŃSKI KARYKATURA OBRAZU „BITWA POD GRUNWALDEM“.

Malarskie dzieła Wyspiańskiego reprodukowane w tym numerze pochodzą ze zbiorów Włodzimierza Żuławskiego.

TREŚĆ ZESZYTU TRZYDZIESTEGO CZWARTEGO.

STANISŁAWOWI WYSPIAŃSKIEMU W JEDENASTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI.

Malarskie dzieła Wyspiańskiego reprodukowane w tym numerze pochodzą ze zbiorów Włodzimierza Żuławskiego.

„Maski" wychodzą 1., 10., 20. w miesiącu.

Warunki prenumeraty z przesyłką:

Kwartalnie . . . K 20·—

Półrocznie . . . „ 38·—

Rocznie : . . . „ 75·—

Cena zeszytu pojedynczego K 2·50. — Ogłoszenia wedle umowy.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW, UL. WOLSKA 19.

W bieżącym kwartale 1918 r. ogłoszą w „Maskach":

Poezye: *Bogusław Butrymowicz, Ludwik Éminowicz, Józef Jedlicz, Jan Kasprowicz, Iwar Leszczyński, Edward Ligocki, Tadeusz Nalepiński, Bronisława Ostrowska, Lucyan Rydel* (z pośm. rękop.), *Leopold Staff, Tadeusz Szantroch, Antoni Waśkowski, Maryla Wolska, Stanisław Wyrzykowski, Antoni Wysocki, Kazimiera Zawistowska* (z rękop. pośm.) *i inni.*

Prozę belletrystyczną: *Stefan Grabiński, Jan August Kisielewski* (z rękop. pośm.), *Franciszek Mirandola, Stefan Nowiński, Władysław Orkan, St. Wł. Reymont, Tadeusz Rittner, Kazimierz Tetmajer,* (*prócz dalszego ciągu powieści „Walka", nowy VIII. cykl „Na skalnem Podhalu"*), *Gabryela Zapolska, Stefan Żeromski i inni.*

Prozę teoretyczną i krytyczną: *Adolf Chybiński, Leon Chwistek, Tadeusz Dąbrowski, Karol Irzykowski, Feliks Jasieński, Władysław Kozicki, Tadeusz Sinko, Tadeusz Świątek i inni.*

Przekłady autorów ostatniej doby (*Brezina, Jammes, Karasek, Meyrink, Miłosz, Pascoli, Péguy, Rolland i i*).

W części ilustracyjnej: *J. Bukowski, L. Chwistek, L. Czechowski, E. Czerwenka, A. Dobrodzicki St. Filipkiewicz, St. Fischer, L. Gottlieb, Vl. Hofmann, J. Hrynkowski, J. Hulewicz, W. Jastrzębowski, Z. Lorec, Br. Małkowski, J. Mehoffer, T. Niesiołowski, C. Norwid* (szkice), *I. Pinkas A. Procajłowicz, A. Pronaszko, Z. Pronaszko, J. Raszka, St. Schwarz, W. Skoczylas, K. Sichulski, Z. Stryjeńska, W. Szymanowski, W. Weiss, St. Wyspiański, Witkowski, E. Zak i inni. — Obcy: Archipenko, Bourdelle, Cézanne, Delanney, Van Dongen, Gleize, Van Gogh, F. Hodler, Kandinsky, Marc, Matisse, Metzinger, Severini i inni.*

Redaktor:

TADEUSZ ŚWIĄTEK

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Dr. Bartłomiej Gofron.

Odbito w drukarni Narodowej w Krakowie.

KRAKÓW · 10 · GRUDNIA · 1918 ZESZYT · 35

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



CYPR. NORWID. POMPEI

TADEUSZ NALEPIŃSKI.

Zmarł w listopadzie b. r. w Szwajcaryi.

OSTATNIE WIERSZE.

Z LISTÓW DO * * *

Że przyjdziesz do mnie – skąd, jak, wszystko jedno —
wierzyłem, czułem przez długie miesiące.
Nie tak o świcie krwawe gwiazdy bledną,
i nie tak rosa perli się na łące,
jak oto nagle duszę moją biedną
rozróżowiło, rozperliło słońce,
kiedy stanęłaś — nieśmiała i cicha —
kwiat, zasłuchany w sen swego kielicha.

Przyszłaś Ty do mnie, półsenna, niepewna,
lecz z duszą ufną, że kwiata nie skoszę.
Jakaś nas fala porwała rozlewna
i na tajemne poniosła rozkosze —
i pędzi z nami, to huczna, to śpiewna,
pieści, przeraża, i bawi potroszę...
Jak dwa rozbitki trzymając się w pół,
nie wiemy nic, na wątłem pędząc czółnie...

Rzeki, jeziora, czy morza?... Któż zgadnie,
jaka nam podróż sądzona, dziewczyno?....
Nurt nasz spieniony, nie wiemy, co na dnie,
bo czarodziejską płyniemy doliną,
kędy się tęcza, jak most wpoprzek kładnie,
a fale, szemrząc ponoszą nas, płyną —
I nikt — i nic — nas dwoje... Tylko gwiazdy,
świadcząc, zazdroszczą nam szalonej jazdy.

Nikt — nic — nas dwoje. Wie to jeden Allach,
kędy lecimy, gdzie się nasz lot skończy?
Napróżno wzrokiem czytać wyrok w falach,
napróżno myślą prąd prześcigać rączy —
jeszcze daremniej, w przeczuciach i żalach
dusze spowijać, jak w czarnej opończy —
Dziewczyno!.. Tobie to mówię!... Bo w mojej
duszy wyczytasz, że się fal nie boi.

I jeśli trwożnie i smutnie odpycha
dłoń ma gałązki i wybrzeżne ciernie —
wiedz, że nad Twego czuwam snem kielicha,
bom to zaprzysiągł i dopełniam wiernie,
bo wiem, że lżej Ci pierś przez sen oddycha,
bo wiem, że jawa gniecie Cię bezmiernie,
ilekroć czółno w strumyk wpada wązki...
...Dlatego trwożnie odpycham gałązki...

Lecz jeśli dojrzę w potępionej chwili,
że duszy Twojej jawa nie przeraża,
że oczy mówią: „bodajśmy wrócili“ —
i kusić brzegiem pragną mnie, żeglarza —
o wiedz, nie jestem ptakiem, który kwili,



ST. WYSPIAŃSKI SZKIC DO WITRAŻU „NIOBIDAE“.
(Ze zbioru Prof. Jul. Nowaka).

ani mię gniazdo zaciszne rozmarza...
Jeden mi los — czy z Tobą w nurtach zginąć,
jeden mi los — wolnemu w bezkres płynąć!...

I to Ci mówię: choćbyś mię rzuciła,
gdy, zapatrzony w dal, u steru zasnę,
choćby Cię jaka miłosierna siła
przeniosła z fal w domostwo dawne, ciasne -
tęsknota za mną będzie się sączyła
we wszystko, co Ci dawniej było własne
i tylko Twoje!... Bo jedne nam szały
na jednej fali prawdę zwiastowały...

Ja to wiem, droga!... Żal mi duszę targa,
nie, że Cię stracić w każdej chwili mogę,
lecz, że Ty błota nie widzisz, co szarga
w powrotnej drodze — i patrzysz w tę stronę!...
Więc mi się z ust serdeczna zrywa skarga,
bo nadaremnie chcę zażegnać trwogę,
i patrzę w gwiazdy, niespokojny, blady,
łódź odpychając od brzegu — od zdrady.

Błogosławiłem raz Tobie — i Ciebie.
Błogosławiłem... och, i nie tak dawno!...
Wierzyłem wówczas, jak w słońce na niebie,
jak w gwiazdę swoją, przewodnią i sławną,
co się żeglarzom zbłąkanym w potrzebie
jawi, wspaniała, dumna, że jest jawną!...
Oto się chwiejesz... czyżbyś była mylną?...
Jeśli tak — zgaśnij! Ja chcę kochać silną.

Kocham, i kochać nigdy nie przestanę
te, co mię w mroku prowadzą, jak brata,
poprzez jeziora i morza nieznane,
za oceany, hen za krańce świata...
Kocham te śmiałe i niepokalane,
żadna mi dla nich zbyt zuchwała strata —
ani tęsknotę za niemi odegnam.
Hojnie je kocham i czczę. Inne żegnam.



ST. WYSPIAŃSKI Z „ZIELNIKA".

AMOR VINCENS.

...Nachyl swą głowę... Niech twój lok mnie muska
i dreszczem słodkim niech me piersi spręża...
Spojrz: drga me ciało... czyż nie trzymasz węża?
Dotknij... jak zimna srebrna moja łuska...

Nie mów, że kochasz... Cóż warte są słowa,
gdy mówią oczy?... Usta twe nieskromne
pragną zawiele... Dusza w mrok się chowa...
Żadnej pieszczoty twojej nie zapomnę...

Jeśliś całował kiedy inne ciało,
jak moje — białe, jak moje — nietknięte,
o nie mów tego!... Chcę, by mi zostało
wspomnienie czyste o tej chwili świętej...

O czekaj, stój!... Nie zbliżaj mi tej chwili,
gdy mrok od śmierci stokroć gorszy spłynie,
i biodra moje rozkoszą rozchyli,
i skarb najdroższy odbierze dziewczynie!...

O daj mi, daj nasycić się tęsknotą
oczekiwania na tę chwilę zdradną...
Ach, puść!... zaklinam... ja cię błagam o to!...
Szalony... puść!...
Napróżno... lecę na dno...

...I zdaje mi się, żeśmy dwa motyle...

...Patrz, ja nie ronię łez. Kocham szalenie
i dumna jestem, że za szczęścia chwilę
jawnogrzesznicę ściga potępienie.

Na niebo patrzę: jest, jak twoje oczy.
Patrzę na gwiazdy: czy widzisz tę moją?...
Pójdź!... najczarniejsze pióra niech roztoczy
N O C!...
Moje usta mroku się nie boją.

W L E S I E.

Dziewczyno moja, dziewczyno droga,
słowa i żale Twe próżne:
ktoś zakołatał, czeka u proga —
nie na jałmużnę...

Przez śniegi idąc, wichry i błoto,
przyniósł Ci wiosnę i lato;
więc mu się nie broń, nie przecz, bo oto
czekałaś na to...

Dusze się nasze odgadnąć chciały,
bo nic o sobie nie wiemy,
i w las wkroczyły, śniegami biały,
drzemiący, niemy.

Nie bój się lasu, dziewczyno trwożna,
bośmy w nim razem wyśnili
jedyne życie, jakiem żyć można:
życie motyli.

Otwórz szeroko jasne swe oczy
na dziwy leśne dokoła:
niebios nam żadna chmura nie mroczy —
więc bądź wesoła.

Przyszedł do Ciebie nie zbir, nie zbrodzień,
jeno poeta samotny;
a choć go wszyscy widują codzień,
choć zda się psotny —

czujesz, że w Bajce więc zgaśnie,
zaledwie wyjdziecie z lasu...
Bo tacy ludzie, i takie baśnie
boją się czasu.

Boją się ludnych, nudnych miraży,
zgiełku błazeńskiej pustyni —
kochają ciszę własnych ołtarzy,
co cuda czyni.

Kochają szczęście przesłonecznione
i prawdę oczu bezmierną —
dziewczyno, szczęście Tobie znaczone,
bądź że mu wierną!

Nie bój się lasu. Nie dręcz się codzień
tęsknotą chwil niepowrotnych.
„Wszystko jest chwilą" — mówi przechodzeń
z rodu samotnych.

Od słów wykrętnych serce umyka,
od kłamstw, co lęgną się w mowie.
Czy prawdę mówię?... Spytaj storczyka —
może odpowie...

K R E S.

Jakaś pieśń się dokoła mnie błąka,
szumi, gwiżdże, skowyczy, zawodzi...
Bezlitosne jej imię: „Rozłąka" —
głucha pustka rozpaczy ją rodzi...

Fale modre do stóp mych się garną
i opowieść mi szemrzą łagodnie,
jako toń opuściły gdzieś czarną,
jak im biegły dnie, noce, tygodnie...

W noc burzaną chmur grzmiały obręcze —
pierś im słodkie pieściły ulewy — —
potem słońce stroiło je w tęcze,
a na garbach zwisały im mewy...

Brylantami parskały dokoła —
w swych zapasach nie znały, co przestrach — —
grała pieśń w nich zwycięzka, wesoła,
trzepotała w rozkosznych orkiestrach!...

A gdy szły tak w sprężystym szeregu,
w tryumfalny swój śpiew zasłuchane,
rudy muł nagle żygnął od brzegu —
i na piaskach rozbiły się w pianę...

...Teraz wiemy już — (mówią mi fale,
rozczesując zbrukane grzebienie) —
żeśmy śniły swą moc zbyt zuchwale,
bo zwycięża nas Kres — Przeznaczenie.

Forte dei Marmi.



A. AUGUSTYNOWICZ — PASTWISKO.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

21)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Słuchano go mało przerywając. Co do niepokojów, które Piotr przewidywał, różne miano zdania. Pani Donimuntowa lękała się ich, natomiast Zbigniew Donimunt utrzymywał, że przykład jak szybko najście pałacu zostało poskromione przez wojsko, zrobi swoje. Ewaryst Donimunt ćmiąc krótką fajeczkę, przypuszczał, że na niczem się nie skończy, ale jeszcze nie zaraz.

Piotr czuł, że powinien był, skoro się już dowiedział o zdrowiu, wstać i pożegnać się. Czekała na to widocznie matka Niny Donimuntówny i jej brat. Wypadek jego nieoświadczenia się był przyjęty zupełnie spokojnie — ani cienia urazy, ani cienia zadowolenia, które sprawił im niezawodnie. Powinien był wstać, ukłonić się i wyjść — skończyło się. On jednak nie wstawał, gdyż ogarniał go ogromny żal, głęboka żałość.

Oczy Donimuntówny straciły tak blask, że zdały się zupełnie matowe. Niemożna w nich było wyczytać nic, nawet tego, że tym mrokiem pokrywa cierpienie. Ta cała rodzina powlokła się jakby mgłą, jak las, w którym niemożna rozróżnić rodzaju drzew. Wstał. Wtem wstała także Donimuntówna mówiąc: Niech pan zejdzie ze mną do ogrodu.

Ten głos spokojny, równie matowy w tej chwili, jak oczy, podziałał na wszystkich, jak czar. Pani Donimuntowa, a nawet Zbigniew Donimunt nie sprzeciwili się. W głosie tym była głęboko, w dnie tkwiąca taka moc bezwzględna i nieprzełamana.

Krok Donimuntówny był taki sam, jak jej głos. Spokojny i codzienny, a tak w tej chwili pewny i stanowczy, że nie mogło być nic, coby go wstrzymało.

Ale gdy szli we dwoje w ciemną aleję starych

drzew, lip, jaworów, dębów, grabów i akacyj, niegdyś kolejno sadzonych, Piotr uczuł, że ta dziewczyna słabnie i całą moc swoją zużywa aby sobą władać. On zaś doznawał dziwnego wrażenia. Pod słońcem, które przeświecało szerokoliściowe zielone gałęzie, zdawało mu się że go okala teraz jakby gaza z kryształu przejrzystego, ale tak silna, że sztyletem przebić



VL. HOFMANN ODYS

by jej niemożna. Czuł, że wszystko jest poza tą ścianą, nic w nią nie wnika.

Szli chwilę bez słowa. Aby mówić z nim wyszła z nim Donimuntówna do ogrodu. Musiał wzburzony wir słów wzdąć jej pierś i natężyć jej energię do tego stopnia, że wypchnął ją za nim z mieszkania. Ale te słowa może nieśmiały wydobyć się z piersi, czy niemogły...

Z parasolką żółtawą w ręku, w sukni szaroblękitnej pod szyję zapiętej z koronkowym brudnokremowym kołnierzykiem i z takiemiż koronkowemi brudnokremowemi mankietkami szła obok, stawiając jakby machinalnie płócienne śliczne szare z żółtemi skórzanemi obkładami o wązkim szpicu buciki jeden przed drugim. Jej gors spływał dobrze obciągnięty w sukni i podłożony nizkim gorscikiem, ramiona uwypukłały się, pełne biodra przykrągłe i piękne czyniły ruch najwyższej ponęty. Piotr odgadł ją i odsłonił.

— Te drzewa są smutne -- rzekł, aby się odezwać.

Spadło na niego w tej chwili, a prawdopodobnie i na Donimuntównę, zrozumienie kompletnej obojętności i obcości natury. Wycinali się tu oboje ze wszystkiego, jak wycięte z papieru przez dziecko kolorowe figury postawione na zagiętych podstawach na dywanie wśród mebli. Nic, żadnego współczucia, żadnego współżycia. Wspólne pierwiastki zaklęte w człowieku oddalały się na czas jego życia od prałona. Piotr doznał wrażenia jakby dusza Donimuntówny wyciągnęła do niego ręce.

— Te drzewa nie są smutne, jeżeli ludzie nie są pod niemi smutni — rzekła Donimuntówna.

Umilkli. Biała, świetlna, coraz wyraźniejsza, jakgdyby rzeczywiście uplastyczniająca się jej dusza, zdała się mieć ręce wyciągnięte ku niemu. Co miał uczynić? Idąc po jej lewej stronie trzymał w lewej dłoni jej mały pierścionek, który jak coś niezmiernie drobnego tkwił w niej.

Dlaczego jej to uczynił? Dlaczego nie uszanował jej małej karteczki? Dlaczego nie uszanował jej samej, jej panieństwa, jej dziewictwa i czystości? Niczego od niego nie żądała, tylko aby był czystym tak jak ona do dnia ślubu, aby się przez ten czas czystości udziewiczył tak, jak ona — — aby mogła czuć, że są podobni sobie i że się podobni sobie połączą. Dlaczego jej to uczynił? Czy niemógł panować nad sobą? Tak. Ale poszedł za popędem, któremu się wrota otwarły. Zdeptał ją całą i jej wiarę, jej prośbę, jej wolę i jej wzięte sobie zażądane i przyznane prawo. I cóż teraz?

— Ludzie nieraz muszą być smutni — odezwał się.

— Tak, jeżeli czują, że przechodzą mimo — półszepnęła tając wzruszenie.

Ułatwiała mu zwrot pierścionka. Wychodziła naprzeciw. Niech mówi, niech sama zbliży się, przyjdzie i wyciągnie po pierścionek rękę...

Oto ten moment, te godziny, kiedy musiał się liczyć ze wszystkiem, kiedy niemógł się do niej swobodnie odezwać... godziny choroby w Łąkach...

Uczyniła ręką ruch, jakby mimowolny ku niemu.

Gdyby wiedziała kto ją zdeptał — — jakiemi markami od gry w karty został przykryty ten dukat...

Zacisnął pierścionek w dłoni.

Jej głowa schyliła się jeszcze więcej. Nie kryła jak bardzo kochała. Ale kryła łzy, aby jego temi łzami nie oblać. Niepodobna było pierścionka oddać. Ścisnął zęby. Widział: oto tu było wszystko, co kobieta dać mu mogła. Przyszło do niego samo, zbliżyło się, wyszukało go i stało przy nim. Czuł to i wiedział. Przeklęta, trzykroć przeklęta noc!! Przeklęty, trzykroć przeklęty szał!!

Ten ruch ręki — — teraz jak pożar zajaskrawiło się za Piotrem co go od dzisiejszej nocy wiązało z domem Przesiewiczów...

Lecz oddać pierścionka niemógł. Jakaś dłoń żelazna ściskała mu palce w skurcz. Zdawało mu się, że skruszy pierścionek, a razem czuł niezmożoną jego trwałość. Nie oddał — Donimuntówna cofnęła dłoń i poszli dalej.

Niemówili słowa. Wielka obręcz tęczowa nad nimi pękała — ale wszystkie barwy świeciły jeszcze i pokrywały pęknięcie. Wysunęli się z cienistej przezłacanej słońcem pachnącej alei i weszli między ogromne trawiaste metalowozielone gazony po obu stronach ścieżki. Słońce lunęło na nich promieniami. Donimuntówna roztworzyła parasolkę, ocieniając wgłębioną w myśl i uczucie głowę. Rozbłysła była przed nimi przestrzeń. Pełnia niebios, nadmiar błękitu. Powietrze wydało się Piotrowi przedziwnie przejrzyste. Przywiodły mu się na pamięć półświadomie rozbrzeża halne gór olbrzymich, bijące niżej lodowców zielenią i jasnością w pogodne dni. Ostrożnie otwarł dłoń i w palcach niewidocznie wystawił mały złoty pierścionek ze szmaragdem na światło. Czuł się opromienionym, jak w glory. Czuł, serce bijące dla siebie — — o zbrodnia!

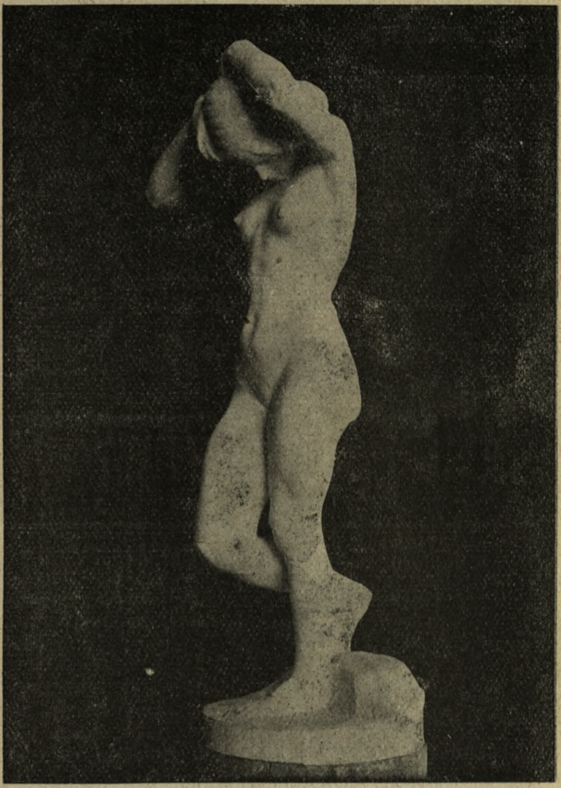
O zbrodnia, o pęta nocy!

— Zawróćmy — rzekł.

Zawrócili.

Lecz jasne i błękitne oczy Donimuntówny głęboko się weń wpatrzyły. Lękał się dnia...

Wstąpili w aleję, pod drzewa. Powinni byli iść pod rękę, promieniści, narzeczeni...



J. RASZKA RZEŹBA.

Postąpił szybciej. Miał chęć za rękę ją ująć i wybiec z tej alei z powrotem, między ludzi, choćby nawet między jej rodzinę. Dlaczego niemówiła słowa? Dlaczego nie pytała, nie zadawała pytań, nie zmuszała go do wyznania? Takiego głupstwa!! A jednak uwiódł pannę z domu i to uwiedzenie miał za sobą. Przeklęta, potrójnie przeklęta noc!!

(Dokończenie części I-ej nastąpi.)

GABRIELE D'ANNUNZIO.

Z CYKLU „MIASTA MILCZENIA".

PRATO.

O Prato! Prato! złoty śnie na jawie!
Młodości mojej zmarnowanej ranki!
Gdziem młodzieniaszek jął się kochać w Sławie
I cudnem licu Lippiego kochanki.

O, góry, lśniące jak wież złotych blanki,
Dziecinnym oczom niedosiężne prawie,
Gdzie pióro orle uronione w trawie
Zdało się darem ze skrzydeł niebianki.

Bisenzio, rzeko, co się srebrem mieni,
W którem szukałem błyszczących krzemieni,
A jak cień za mną szedł mentor ponury.

Ścieżki gdziem błądził z gorzkim buntem w duszy,
I rozmyślając, jak się jarzmo kruszy,
Twardłem sam w sobie, jak te groźne mury.

PISTOJA.

Uśmiech przedziwny, którym oczy pieszczę,
Drży, o Pistojo, w tobie jak brzask ranka,
Co śle grot złoty na szczyty gór wianka,
A w murach twoich przedświt budzi dreszcze.

Od Perugina śni ci się on jeszcze,
Do Leonarda, wszystkich Muz kochanka,
Z przechodzącego zdjął go ust kochanka
Lorenzo Credi w swem natchnieniu wieszczem.

Z płyty rzeźbionej, pod którą spoczywa
Twój Fortegnerri, ten czar się odzywa:
Uśmiech zadumy pełen i słodyczy.

Nadziei usta uśmiech ten słoneczni,
Który mistrz z Vinci w cudny łuk uwieczni,
Wpatrzony w bezdeń wielkiej Tajemnicy.

CERTONA.

Czasem, gdy ziemię orze chłop ubogi,
By siać w etruską starą glebę ziarno,
Lemiesze pługa na światło wygarną
Miecz zardzewiały, niegdyś strach na wrogi.

I znużon srodze spieki chłostą skwarną
Kmieć się zaduma, siadłszy wedle drogi,
Czyż go szał boju nie porwie na nogi,
By pójść w zapasy z swoją dolą czarną?



J. RASZKA.

Tak Mucyusz Sforza w Certońskej dąbrowie,
Pług ojca ongiś porzucił — i wolny
Pognał w świat konno — do sławy, do słońca.

Czemuż twa gleba rodzi dziś jałowiej,
Ojczyzno moja — i powstać nie zdolny
Z krzepkiej krwi chłopskiej rycerz i obrońca?

Z „Laudi del cielo, della terra, del mar e delle eroi"

Przeł. K. Firlej Bielańska.

JAN AUGUST KISIELEWSKI.

3) # KOMEDYA MIŁOŚCI I CNOTY. (Ciąg dalszy).

Pilawski. Ty, pani!! nauczysz mnie, jakim być należy...

Ewa (śmieje się.) Ho, ho! Mój młody panie, ubliżasz mi! Jeszcze nie jestem tak bardzo dojrzałą, aby podjąć się nauczania i wtajemniczania niedoświadczonego młodzieńca... (z dygiem ironicznym i kokieteryjnym) Jestem panu bardzo zobowiązana za tak daleko idące zaufanie.

Pilawski. Ah, nie, przepraszam..

Ewa (parska śmiechem) I to jeszcze... pan „przeprasza"... To już szczyt uprzejmości! (staje przed lustrem.)

Pilawski (staje za jej ramieniem i wskazuje lustro.) Niechaj pani spojrzy i podziwia! Wobec takiego zjawiska, człowiek najpewniejszy siebie traci równowagę,

Ewa. To niedobrze.

Pilawski ...panowanie nad sposobami wyrażenia tego co czuje...

Ewa. To niebezpiecznie!

Pilawski. ...tak, że to co powie, zrobi, jest niekształtnym, niezgrabnym cieniem jego myśli, jego intencyi.

Ewa (odwraca się.) Więc widzi pan, jak daleka droga od projektu do wykonania.

Pilawski. Tak, jeszcze raz: wiem o tem — wiem, że jeszcze ciągle nie wiem, jak bardzo byłabyś piękną z tym, któryby znalazł łaskę w tych oczach mądrych, jasnych, a takich płomiennych, gorących, roześmianych...

Ewa. Wszystko to tak jest w łaskawej jego wyobraźni. Nie radzę narazić się na rozczarowanie.

Pilawski (śmieje się.) Wolne żarty, ironiczna pani! Ja pragnę być skrzywdzonym, marzę o tym zawodzie!

Ewa (mierząc go.) Ja nigdy nie marzę o zawodach.

Pilawski. Na mnie nie zawiedzie się pani!

Ewa. Nie wiesz, młody człowieku, czego wymaganoby od pana.

Pilawski. Słucham, czekam, rozkazuj pani! Wierzę w siebie i jestem ciebie godzien!

Ewa. Nie wiem... do kogo wymierzona ta nowa impertynencja.

Pilawski. Ha, haha! Już nic nie mówię, o nic nie proszę: czekam i słucham. Jestem pokonany i z całem zaufaniem zdaję się na Jej łaskę.

Ewa. I na nie łaskę?...

Pilawski. Postaram się niezasłużyć na nią.

Ewa (z daleka wyciąga rękę do pocałunku.) Więc proszę...

Pilawski (całuje z pietyzmem.) Ewa, kocham cię!

Ewa (jakby nie słyszała, cofa rękę i kończy.) ...Proszę nie tykać... Radzę ten piękny, i godzien uznania zapał skierować w inne strony.

Pilawski. Ewa, kocham cię.

Ewa (z wahaniem i drżeniem.) Czy mam panu przypomnieć, ze względu na kogo nie wypada panu tutaj, w tym pokoju, tak do mnie mówić...?

Pilawski. Ewa, kocham cię!! kocham, kocham — rozumie pani! Wiem, ma pani słuszność — nie tutaj, nie w tym salonie, nie pragnę obrażać nikogo, tem mniej człowieka, którego bardzo szanuję, poważam...

Ewa (ironicznie.) Jak bardzo, ciągle daje pan dowody.

Pilawski proszę ze mnie nie szydzić. Krzywdzi mnie pani. Dla czego nie byłaś u mnie o trzeciej... Tam byłbym ci, u mnie, mówił jak bardzo...

Ewa (z błyskiem.) Jak bardzo pan poważa mojego męża...

Pilawski (cofnął się jak uderzony) Och, jakie to bezwzględne! Jak pani w tej chwili zmieniła się!

Ewa. Żałuję, iż mnie pan do tego zmusił. Prawda i rzeczywistość są zawsze bezwzględne. O tem nie wolno nigdy zapominać.

Pilawski. Wszak pani jego nie kocha..

Ewa. A gdyby...

Pilawski, ...ani on pani już chyba nie kocha...

Ewa. Czyż...? haha ha! To „już" powiodło się panu.

Pilawski. Pani była bezwzględną i ja nim będę. Tu idzie o moje szczęście, Ewa, o nasze szczęście — o piękno naszej miłości. Ja tego nie mogę pozwolić sobie zniszczyć, złożyć w ofierze komuś, kto jest moim mistrzem, dobrze, kogo szanuję, uwielbiam, dobrze, ale nie tak dalece, abym się zawahał w wyborze między tem uwielbieniem, a tem uwielbieniem (wskazuje Ewy postać). Ach, zresztą to już moja sprawa — mój stosunek do męża i wszelkie konflikty i winy biorę na moją odpowiedzialność — to rzecz moja...

Ewa. ...i jego...

Pilawski. Tak, moja i jego, ale nigdy — pani!

Ewa. Jest pan tego pewien?

Pilawski. Tak, tego jestem pewien Wiem, iż wobec świata jego męzki honor nie może ponieść szwanku i przysięgam pani...

Ewa. Przysięgam... no, no?

Pilawski. ...że jestem mężczyzną —

Ewa. Chętnie w to wierzę...

Pilawski. ...że szanuję te pojęcia i w innych je uszanować potrafię...

E w a. ...robiąc to, co pan pragnie zrobić? Czy tak?

P i l a w s k i. M i m o t o, co pragnę zrobić i co zrobię!

E w a (z uśmiechem) Haha, jest pan tego pewien?

P i l a w s k i (cofa się) Och, ta ironia, za którą kryje się tyle piękna, tyle serca, tyle namiętności, tyle królewskiej fantazyi.!

E w a (z błyskiem przyjaznym.) Cóż dalej...



J. RASZKA FRAGMENT Z POMNIKA.

P i l a w s k i. Otóż, przyś... przyrzekam pani... zaręczam słowem honoru, iż zaufania pani nie narażę nigdy, niczem i żadnym pozorem nie dam powodu, aby ten, który miał szczęście dać pani swoje nazwisko, miał do mnie najlżejszy choćby żal...

E w a. Pięknie... i gładko powiedziane — lecz zaręczam panu, trudniejsze w wykonaniu.

P i l a w s k i. Obraża mnie pani.

E w a. Bynajmniej. Zaręczyć może pan za siebie, chętnie w to wierzę... ale czy może pan zaręczyć... za mnie...

P i l a w s k i i E w a (równocześnie wybuchają śmiechem).

P i l a w s k i (po chwili.) Moją głowę, moje życie, mój honor — dam w zakład!

E w a (z uśmiechem i spojrzeniem.) To wiele, to bardzo wiele! Tak bardzo, iż niemal żałuję, że nie ...iż nie... nie wolno mi przyjąć takiego... hm... szczodrego zakładu.

P i l a w s k i. „Nie wolno“ — a więc chcesz, chciałabyś, Ewa... Cóż tedy skropuły...?

E w a. Nie wiem, co to są skrupuły.

P i l a w s k i. ...ach, usuń je... wszak niema rzeczy, której pani nie wolno, gdy chcesz...

E w a. Być może. Bo niema rzeczy, której chcę, gdy nie wolno.

P i l a w s k i. Tak, pani niezdolna jest zrobić coć, co wypada z taktu. Lecz byłoby snobizmem na który w pani miejsca niema, — dla taktu poświęcić — piękno.

E w a. Bez wątpienia; jestem pańskiego zdania. Przypuśćmy więc, że ta osoba, ta kobieta, o której mówimy, może zaręczyć za siebie, że nie wypadnie, jak to pan celnie zauważył... poza takt...

P i l a w s k i (bierze jej rękę, okrywa długim pocałunkiem pieszczotliwie.) Przypuśćmy, że ta kobieta i ten młody człowiek...

E w a (nie cofa ręki i mówi, jakby nie czuła pocałunków — z akcentem marzenia.) Lecz, czyż ten młody, bardzo młody, człowiek zaręczyć może za zbieg okoliczności, wypadków, przypadków —?

P i l a w s k i (nie zmienia pozy.) Ach, tak, absolutnie jestem, i ja także — jestem zdania pani. Nie może. Jeden z moich przyjaciół złamał nogę wstając z łóżka. Przyzwyczaił się do tygrysa leżącego przy łóżku. Pewnego dnia, raczej pewnej nocy, wstając z łóżka postawił nogę na chłodnym parkiecie, drgnął pod tem niespodziewanem dotknięciem...

E w a (przesuwa palce przez jego włosy.)

P i l a w s k i (drgnął — opiera policzek o jej kolano — opowiada sennie, jakby mówił coś innego) ...zawahał się, pośliznął, padł i złamał sobie nogę. Skóra lamparta...

E w a. ...tygrysa...

P i l a w s k i. ...skóra tygrysa leżała u stóp otomany, naprzeciw łóżka. Zapomniał, iż sam ją tam ułożył minionego wieczoru. Nauczony tym wypadkiem... postanowiłem nie opuszczać łóżka.

E w a (patrzy poważnie, w dal, jakby nie słuchała.)

P i l a w s k i. Już przyzwyczaiłem się, pracowałem w łóżku, leżąc odbierałem odwiedziny. Pewnego dnia usłyszałem stukot nad sufitem: w mieszkaniu mojego sąsiada z pierwszego piętra przesuwano szafę. Uczułem, iż może stać się wypadek — widziałem, iż sufit poczyna się chwiać, drgać, podskakiwać, wreszcie z karygodną lek-

komyślnością i nonszalancyą, bez względu na moją obecność, zaczyna tańczyć menueta...

E w a (przenosi dłonie na jego policzki i gładzi je.)

P i l a w s k i. Uczułem iż nie należy narażać się na przypadek i zbieg okoliczności pląsającego sufitu i mojego starego łóżka, więc z wrodzoną mi przytomnością umysłu wyskoczyłem z łóżka i złamałem sobie parę nóg, parę rąk i kilka innych części ciała... (w dalszym ciągu jakby jedno zdanie) Ewa, jakaś ty piękna...

E w a (pochyla się... całuje go.)

P a u z a.

E w a (wstaje.) Dosyć tych dzieciństw — dość! Panie Gustawie — (rozejrzała się w koło) panie Gustawie... jesteśmy szaleni...

P i l a w s k i (chce ująć jej rękę — ona ją cofa.) Na razie tylko — niedość ostrożni. Dlaczego nie przyszłaś o trzeciej..,

E w a (z uśmiechem.) Wszak pan nie spodziewał się — i nie czekał... Posłaniec nikogo nie zastał.

P i l a w s k i. Czekałem od trzeciej do czwartej.

E w a. Tylko... a!

P i l a w s k i. Przyrzekłaś... skinęłaś głową...

E w a. Nie, panie, nie „przyrzekłaś". A „skinęłaś" głową na pożegnanie i do widzenia.

P i l a w s k i. A teraz przyrzecze... pani przyrzecze... że przyjdzie jutro... o czwartej... i przyjdzie?

E w a. Gdy przyrzecze, przyjdzie.

P i l a w s k i. Pani jest kobietą, w tem jednem taką, jak wszystkie nasze kobiety, że proszona zawsze odpowie: nie?"

E w a. Nie. Myli się pan, drogi panie Gustawie. Jestem w tem, jak i we wszystkiem innem, taką jak wszystkie inne kobiety. Lecz mam tylko tę, może „pan" powie, wyjątkową właściwość, że mówię o tem co robię, a robię zawsze to co powiem.

P i l a w s k i. Ewa — więc?

E w a. Panie, Gustawie — umie pan słuchać...

P i l a w s k i. Tak i być posłusznym... tobie.

E w a. A więc — niech „pan" — wysłucha: „nigdy!"

P i l a w s k i. (z grymasem niechęci). Mm... dla czego pani ze mną tak igra!!!?

E w a. Nie, myli się... Gdyby to było możliwe, to... no... może nawet nie powiedziałabym: nie... Gustaw, słuchaj, ten jeden jedyny raz mówię ci po imieniu...

P i l a w s k i. (klęka ujmuje jej rękę.) Ewa, Ewa...

E w a (kładzie jedną rękę na jego głowę.) Słuchaj i pamiętaj: przed chwilą wziąłeś wszystko, co ja mam dla ciebie. Wiedz, iż chciałabym cię kochać...

P i l a w s k i. Kochaj mnie, Ewa.

E w a. Pamiętaj i — zapomnij. Rozumiemy się, panie Gustawie? (odsuwa się — z uśmiechem.) Teraz proszę wstać — nie jestem godną tej romansowej pozy.

P i l a w s k i (wstaje, odsuwa się. Milczenie. Po chwili cicho.) Jest ktoś, kogo pani kocha...

E w a (wybucha śmiechem.) Jakto „ktoś" — ? Jestem mężatką.

P i l a w s k i. Co?!! (twardo.)

E w a. Nic. (zimno.)

P i l a w s k i. Przepraszam —

E w a. Proszę, niech pan będzie swobodny.

P i l a w s k i. ...ależ to niepodobieństwo.



J. PINKAS *KWIATY.*

E w a (śmieje się.) Prawdopodobnie zauważył pan, iż mam dwoje dzieci (z akcentem) dorastających.

P i l a w s k i. To znowu ironia.

E w a. Przeciwnie — oczywista, bardzo miła prawda. Mogę pana zapewnić, iż Marychna i Wacław są mojemi rodzonemi dziećmi. Byłam przytem obecną.

P i l a w s k i. A to można stracić zmysły!

E w a. Och byłoby niepowetowaną klęską.

P i l a w s k i. Przecież — wieloletnie — przyzwyczajenie nie jest miłością.

E w a. Tak, lecz wieloletnia miłość staje się przyzwyczajeniem. I to bardzo cennem.

P i l a w s k i. Pani jest istotą chłodną... — A więc pani kocha swojego męża...

E w a. Pana to dziwi?

P i l a w s k i (z ironią.) Podziwiam.

E w a. Czy „żyłabym" z nim w tym samym domu, gdyby było inaczej...

P i l a w s k i. Razem mieszkać, nie znaczy „żyć?"

E w a. Ja też nie powiedziałam, że nie można mieszkać z człowiekiem, którego się nie szanuje

albo który nie kocha. To zdarza się, aż nazbyt często i nic w tem dziwnego ani nienaturalnego. Prawda?

Pilawski. Tak, tak. Bezwzględnie. Ale teraz już zupełnie nic nie rozumiem. Ale to: nic a nic!

Ewa. Czyżby pan był tak mało „lekko-myślnym"?

Pilawski. Zatem to znaczy, że on panią kocha, a pani go szanuje.

Ewa. Jak pan sobie życzy. Przypuszczam, iż on mnie kocha — jest bardzo pewne, że ja go szanuję.

Pilawski. No więc... no więc...

Ewa (żartuje.) No więc... no więc... no więc..,

Pilawski. Jest tak jak być powinno: On panią szanuje. a pani kocha kogo innego... prawda?

Ewa. Teraz pan znowu zbyt lekko myśli. Więc ja go szanuję, a on (dobitnie) kocha kogo innego...

Pilawski (nie zauważył tego akcentu) Przepraszam... przepraszam... tutaj jest pomyłka.

Ewa. Nie sądzę.

Pilawski. Jednem słowem jest, jak być powinno: on panią kocha, pani jego szanuje i kocha kogoś...

Ewa. Tak, szanuje i kocha... A w dwóch słowach, mówi się powszechnie: „jest żoną".

Pilawski. Nie pojmuję!

Ewa. Nie dziwię się panu. Podobno pan dotychczas ani razu nie był w takiej sytuacyi...

Pilawski. Słowa honoru na to nie daję.

Ewa (uśmiech.) ...więc pan nie pojmuje, co to znaczy być żoną.

Pilawski (rozpaczliwie.) Kocha pani swojego męża — czy pani nie kocha swojego męża?

Ewa (śmiejąc się serdecznie — po chwili poważnie.) Znacznie więcej, aniżeli tem słowem „kocham" można objąć: panie Gustawie, jestem jego żoną i bardzo to cenię.

Pilawski. Czyli jest pani banalną „uczciwą kobietą?"

Ewa. Chce mnie pan przerazić banalnością? Nie wiem, co to banalność, nie wiem, co to uczciwość — zapewnić pana mogę, iż do (sarkastycznie) nieuczciwości nie jestem zdolną.

(Dok. nast.)



CYPR. NORWID POMPEI.

LEON CHRZANOWSKI:

DOBROBYT.

1.

Spotkałem ciebie, gnuśny dobrobycie,
jak swą koślawą niosłeś postać spasłą,
kadłub twój chwiał się, niby żuk na życie,
a w oczach miałeś poczciwość przygasłą.
Jakże cię wielbią i młodzi i starzy,
jakże cię pieszczą:
zbrodnię złowieszczą
każdy podstępnie w planach swych tai
i każdy spełni, gdy się tylko zdarzy
sposobność taka,
co go na ławę nie odda hultai.

2.

Wciąż ci się wiodło dowoli, dosyta,
zbierałeś plony, gromadziłeś ziarna —
gęba, jak pęcherz nabrzmiała, opita,
złotem się stroi dłoń, zyskiem bezkarna.
Ołtarze wznoszą i starzy i młodzi;
tysiąc wziąć grotów
każdy jest gotów,
i cierpieć, w męce wić się boleśnie,
byle miał pewność, że do złotej łodzi
weźmiesz go z sobą.
O tym śni każdy na jawie i we śnie.

3.

Obleśna bestyo, u stóp twoich pada
wytworny dandy i cudny fraucymer,
wzniosłych się uczuć odbywa parada
i spowszedniałych podobłocznych chimer.
Obrzękłe tłuszczem kołyszesz ty uda,
rozdziawiasz paszczę,
a jęzor mlaszcze,
smakuje tłustość, smakiem się cieszy,
bo za twe dary najcudniejsza złuda
z obłoków padnie,
by zgnić bezsławnie wśród miękkich pieleszy.

4.

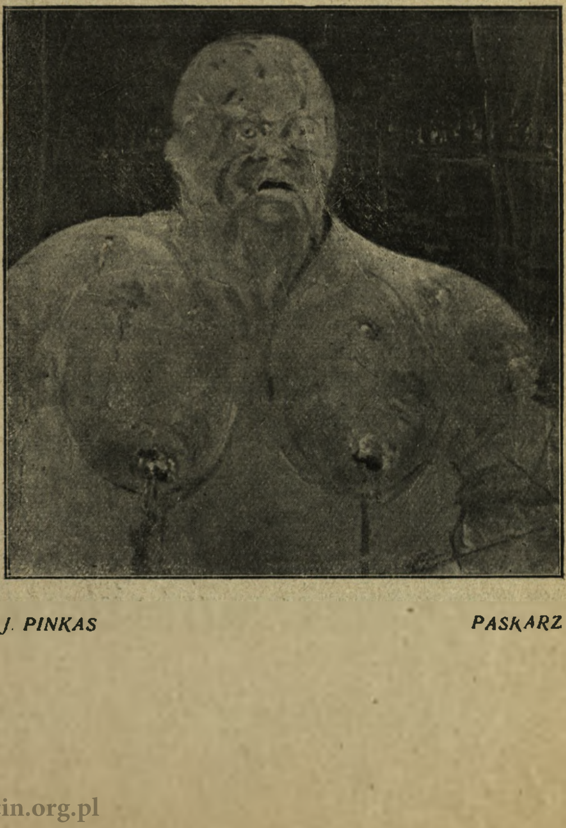
Dziewica ciało z tobą łączy w ślubie,
oszczep idei sprzeda ci nowator,
pokornym sługą przy twoim kadłubie
staje się każdy, kogo lęka zator
lub przeciw falom śmiałe popłynięcie.
Najwyższe hasło:
mieć gębę spasłą —
zaprzedać serca mrzonki i bóle,
żyć w spokojności i świętych czcić święcie
zawsze i wszędzie,
a dobrobytu bożka wielbić czule.

5.

Spotkałem bestyę o ciężkim kadłubie,
co tłuste połcie jak sakrament niosła;
mówiła ona: „Ja was przyhołubię
i orle skrzydła przemienię na wiosła,
co łódź powiozą wnet poprzez mokradła,
poprzez kanały,
w których skarlały
zdradzone wiary, strącone wzloty,
kędy wdeptana każda śmiałość padła,
każde zuchwalstwo,
gdzie w błocie legły koncerzy chroboty.

6.

Więc rzućmy żagiew, niechaj ognia strumień
spali potwora. W najwstrętniejsze bagno
ciśniem popioły. Niech nie kala sumień,
niech tych nie kusi, co się skusić pragną.
Poczwarny łeb ten raz utnijmy hydrze,
niech ginie zwierzę,
które w ofierze
wszystko zabiera, co jak w daninie
blaski nam życia z każdej piersi wydrze
i na nich tyje.
Rzucajmy żagiew — niechaj bestya ginie!



J. PINKAS — PASKARZ

STEFAN NOWIŃSKI: *Z wypracowań piśmiennych niegrzecznego Stefcia.*

O GABINECIE.

I ja też utworzyłem 'mój gabinet, a jakże! Tatuś wyczytał nam wczoraj z gazety, jak się to robi.

Ja będę premierem i ministrem wojny, bo mam nowy flower, co mi ciocia Andzia z Wiednia przywiozła, a tatuś ministrem skarbu; Mamusia też chciała czemś być, ale Tatuś powiedział, że kobieta może być najwyżej podsekretarzem stanu i Mamusia wybrała sobie sprawy zewnętrzne, bo ma nowy kapelusz. to nas będzie dobrze reprezentować.

Sprawy wewnętrzne daliśmy stróżowi Łopatce, on taki sprytny, że nawet łazienkę umie naprawić, a ministrem oświaty będzie pan korepetytor, bo on repetuje piątą klasę i jest bardzo mądry, że nigdy nie potrzebuje uczyć się lekcyi. Tekę rolnictwa dałem kucharce Franusiowej, ona się na tem zna, bo ma siostrę za gajowym, a komunikacyę dostał Ignaś, syn praczki, co był przy windzie w naszej kamienicy, zanim jej nie zepsuła ta paskarzowa, co koło nas mieszka. Ta zwoziła zapasy na zimę aż się urwała (winda nie paskarzowa) a teraz to wszystko chce znów sprzedawać n ie winda, ale paskarzowa)

Tatuś bardzo się cieszył z mego gabinetu i mówił, że on prawie taki sam jak jakiś lubelski, ale ja mam teraz wielki kłopot z zamachem stanu i partyą, która mi jest strasznie potrzebna. Tatuś nie chciał mi powiedzieć jak się to robi, podobno najpierw powinien być pochód z muzyką i program. Najgorzej z tym pochodem, bo program mam już od jednego pana, co założył teraz w Krakowie Republikę Politycznych Analfabetów. Tatuś mówił, że z tego programu można wziąć tylko punkt o składkach a lepiej przyjąć statut arcybractwa stróżów katolickich, bo 'jest mądrzejszy i jasno określa o co idzie.



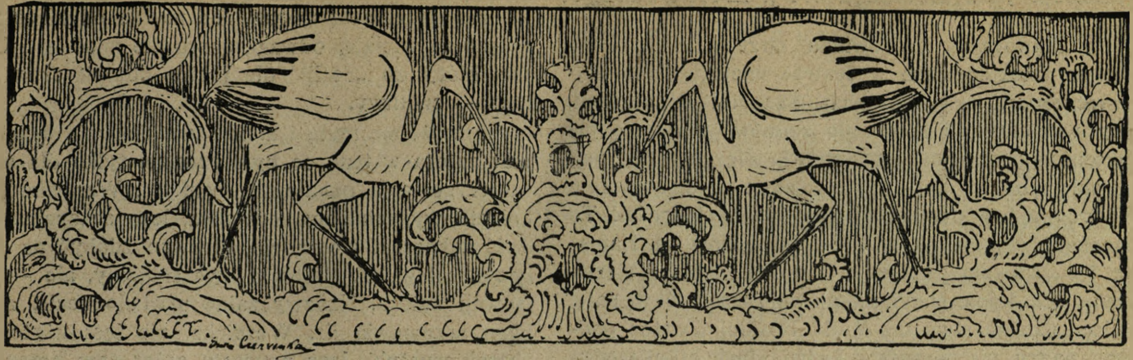
KAZ. SICHULSKI *DASZYŃSKI.*

O pochodzie mówiłem wczoraj z kolegami na wielkiej pauzie, aleśmy się jeszcze nie porozumieli, bo Icek Grünwald gwałtem chce być ministrem handlu, że on musi reprezentować w myśl tradycyi polskich mniejszość narodową i na handlu się zna najlepiej To się jeszcze ustali, byle pochód się udał i była muzyka.

Najbardziej się cieszę, że będę mógł wydawać własne pieniądze. Przygotowałem już sobie nawet kartki na banknoty i pocięliśmy z Ickiem całą moją Historyę i Arytmetykę, tak, że jak mnie profesor wywołał. to on mi swojej książki pożyczył za pół bułki z mego śniadania. To bardzo porządny kolega i może go wezmę do gabinetu.

Jak tylko będę miał partyę i obejmiemy władzę, to zaraz wypuszczę moje pieniądze i kupię sobie nowe książki, ale najwięcej ciastek i dużo prawdziwych naboi do floweru, abym mógł strzelać do „nieprzyjaciół politycznych“ t j. profesorów, plantowych, i t. d.

Byle się tylko ten pochód udał, bo to podobno najważniejsze w polityce... Finis-Amen.



P R Z E G L Ą D

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

„Obowiązek“, sztuka Lavedana.

Mamy pokój, ale nie mamy jeszcze pacyfizmu. To pokazuje się ztąd, że antypacyfistyczna sztuka Lavedana potrafi jeszcze tak silnie działać. Cieszymy się tylko z tego, że Niemcy zostali pobici i po cudzem zwycięstwie upajamy się wódką nienawiści wyrobu francuskiego, która już we Francyi swój skutek zrobiła. Rzekomo Niemcy byli owym Arymanem, który bronił „bellizmu“, Niemcy przegrały, — czy przeto i „bellizm“ przegrał? Kto w to uwierzy?

„Obowiązek“ nie jest zresztą sztuką dyskusyjną, lecz agitatorską. Rzecznik pacyfizmu, Piotr, broni go bardzo słabo i nawraca się zbyt rychło. Zresztą problemat pacyfizmu jest w „Obowiązku“ zacieśniony, Piotrowi można przyznać łagodzące i wyjątkowe okoliczności, które w nim budzą chęć wojny. Ma do pomszczenia brata i to czyni go „tamtym“. Ciekawy to jednak pacyfista, który wierzy ojcu odrazu, że brat został zamordowany z zasadzki oczywiście przez Niemców i nie odpowie ojcu następująco:

— Kochany ojcze! Bardzo ubolewam nad śmiercią brata. Pogardzam mordercami i chcę ich ukarać. Ale co mój brat miał do roboty w Marokku, na obcej ziemi? — To samo, co i Niemcy. Bronił interesów imperyalizmu, był jego pokornym sługą. Sługi zabijają się między sobą. Przy najbliższej sposobności zasadzkę my nastawimy. Przekleństwo i śmierć tym, którzy stwarzają takie podłe sytuacye, w których możliwe są tylko podłe czyny.

Zacieśnienie problematu pacyfistycznego w „Obowiązku“ jest umyślne. Kto chce wojny, mordu, t. zw. czynu, ten nie może działać na podstawie rozumowania skomplikowanego, lecz ucina je i wybiera sobie pobudkę jedną tzw. bezpośrednią i o ile możności ostatnią. Wpada w szał, to znaczy daje się jakiemuś uczuciu zaskoczyć, zgwałcić, roztacza nad sobą przymus moralny. Rzecznikiem tego kategorycznego imperatywu wojny jest pułkownik, ojciec Piotra. W jego gwałtownej, terorystycznej naturze skupia się największa forsa tej mocnej sztuki. Pokazuje ona, że „bellizm“ ma na swoje usługi argumenty i rezerwy jeszcze bynajmniej nie przezwyciężone, i że pacyfizm nie jest rzeczą, którąby się rozumiała tak sama przez się, jak wydaje się ludziom sentymentalnym. „Bellizm“ wprzęga w swoje usługi całą żywiołowość człowieka. I rzut oka na literaturę pacyfistyczną i bellistyczną, przekonałby, że podczas gdy pierwsza posługuje się argumentami płaczliwymi i słabymi, bellizm,choć popada w paradoksalność, wydaje się mądrzejszym i głębszym. Pacyfizm musi jeszcze wiele pracować i przeżyć, zanim przekona drugich i sam siebie.

Pod względem sytuacyi psychologicznej „Obowiązek“ należy do typu **sztuk nawrócenia** (klasycznym reprezentantem tego typu jest „Książę Homburg“ Kleista). W Niemczech grano niedawno z powodzeniem taką jednoaktówkę „Bitwa morska“ Goeringa. I tam jest bohaterem pacyfista, który jednak w bitwie odkłada pacyfizm na bok i spełnia swój obowiązek — z zapałem. My wszyscy gotowi jesteśmy w razie potrzeby spełnić to samo. Ale z tego jeszcze nic nie wynika. Obowiązek — jest pobudką martwą, surogatem ideału. Człowiek nie wytworzył sobie jeszcze ideału, za który by było warto umierać, ale lubi wogóle za coś umierać. I to jest na razie najlepsze.

„*Lancet*“, tragikomedya W. J. Zalewskiego.

Po „Zawodzie“, „Wyzwaniu“, trzecia z rzędu historya ginekologiczna w teatrze miejskim, ale najwsteczniejsza ze wszystkich. Skandal! W czasach, gdy wybieralność kobiet do sejmów staje się już faktem, autor polski zastanawia się jeszcze nad „problematem“, czy kobieta może być doktorem medycyny bez uszczerbku dla swej kobiecości! To zacofanie stoi na równi z biciem żydów na Hamana, i z „uchwałą“ kobiet w Bytomiu, żeby w pierwszy dzień konferencyi pokojowej urządzić w całej Polsce nabożeństwo do Matki Boskiej. Że też podczas pauzy nie powstała żadna słuchaczka medycyny lub lekarka w audytoryum i nie wygłosiła filipiki przeciw temu odwoływaniu się do ciemnoty tłumu!

Bałucki redivivus! Może 25 lat temu napisał Bałucki „Sprawę kobiet“. Jest tam taka scena: Panienka ze dworu przyszywa braciszkowi guzik do surduta. Opodal przekonywa jakiś staruszek emancypantkę o zdrożnościach emancypacyi, i na argument: co mają robić panny, które nie mogą pójść za mąż, czy i im nie wolno się uczyć? odpowiada staruszek, pokazując to przyszywanie guzika: „Co mają robić? Ot to!“

Tego guzika warte są argumenty „Lancetu“ p. Zalewskego.

Przybylski „owiany swojskością“ odżył w p. Katerwie, a Bałucki w p. Zalewskim.

Ale p. Zalewski nie wierzy w swoją rzecz tak mocno jak Bałucki. Podobnie jak Szukiewiczowi w „Zawodzie“, tak i jemu w trakcie zawikłań znudził się temat emancypacyi i spodobało mu się pokokietować z tematem bigamii. Na odmianę więc — postępowość. Czemużby nie! W praktyce przecież bigamja, acz nie sankcyonowana społecznie, jest zjawiskiem codziennem. Goethe swój dramat „Stella“ skończył stosunkiem bigamicznym, jako jedynem wyjątkowem rozwiązaniem danego konfliktu. Hebbel zastanawiając się nad „Stellą“ odrzucił bigamię w lapidarnym aforyzmie: „W stosunku z jedną tkwi prawdziwa nieskończoność, z dwoma — fałszywa, milion“. Współczesna nam znawczyni kwestyi seksualnej, Greta Meisel-Hess, która dopuszcza małżeństwa różnostopniowe (a więc oprócz małżeństwa np. prawny konkubinat, jak w dawnym Rzymie), mówi także o możliwości małżeństw różnoterminowych, czyli nie wyklucza bigamii, byle nie — równoczesnej, staje więc również na tem stanowisku, że podstawą każdego stosunku m i ł o s n e g o (nie seksualnego), jeżeli ma być etycznym, musi być wyłączność, choćby do czasu, co zresztą wynika z samej natury miłości, będącej także zaspokojeniem duchowem. To wszystko przytaczam, aby pokazać, że i problemat bigamii jest dosyć głębokim. Nasz autor jednak podrażnił się nim tylko trochę i uratował cnotę gangreną jednej z kandydatek, choć pozostawił drzwi do bigamii nieco otworem. To mu się zresztą chwali. Nie można od niego wymagać za wielkiej odwagi, skoro nie miał jej i Goethe, który do „Stelli“ dla teatru dorobił drugi koniec — cnotliwy.

Ale może się mylę i niesłusznie upatruję drugi temat autora w tem, co było rzucone tylko dla scharakteryzowania bohaterki? Pani Dr. Wernicka jako kobieta wykształcona, odważna, lecz seksualnie nie dość zaborcza, mogła się zapewne zdobyć na propozycyę bigamii. Byłby to rys subtelny, ale — mimowoli autora. Nadzwyczajne uświadomienie, z jakiem przemawia dr. Wernicka, nie jest użyte dla charakterystyki, lecz poprostu autor sam przez nią mówi, i wykłada właściwy morał sztuki. Oto jakie padają mądrości:

„Jestem kobietą ze wszystkiemi jej (sic!) wadami“. „Ona została jego kochanką, a ja tymczasem pisałam mądre rozprawy“, „Nauka — sława — ale to tylko do czasu, póki nie odezwie się w nas krzyk życia“, „To jest to, na co kobieta na świat przychodzi, bo przecież nie po to, aby być chirurgiem“, „A ja do dziś tego nie wiedziałam, ale gdyby mi kto zadał pytanie...“

Zdarza się, że w człowieku w chwili wewnętrznej katastrofy budzi się tzw. sumienie i wtedy to sumienie bluzga zwykle komunałami. Tę postać przybiera nawet często tragiczne załamanie się: najprzód odważny wzlot w nową dziedzinę, potem powrót do przeciętnej moralności społecznej. Ale nasz autor tak tego nie myślał. Albowiem także babka bohaterki tryska podobną mądrością życiową:

„Nie dla ciebie to było, dziecko, ta medycyna; powinnaś była pozostać tem, czem my wszystkie byłyśmy w rodzinie: kochającą żoną i dobrą matką“.

A więc „Lancet“ czyli „Zwycięstwo babuni“!

Są dwie metody: 1) Albo się postacie charakteryzuje, a wtedy pomysł, ideę, morał sztuki ukrywa się w niej tak, jak x w nierozwiązanem zrównaniu, już też rozdziela się człony tej idei między poszczególne osoby sposobem niejako akrostychowym lub orkiestralnym; 2) albo wypowiada się sens sztuki wprost, osoby charakteryzują się same własnemi słowami, i wogóle panuje w sztuce uświadomienie właściwe napięciu tragicznemu. Jedna i druga metoda jest uprawniona i uświęcona praktyką, ale gdy się używa tej drugiej, to musi się mówić rzeczy naprawdę mądre i piękne, a nie maksymy z pod ciemnej gwiazdy.

Aby uchylić nieporozumienie: Nie jest nawet wykluczonem, że babunia ma objektywnie słuszność, i że powołaniem kobiety nie jest medycyna. Ruch reakcyjny przeciw emancypacyi nie jest wcale monopolem kucharek i dewotek, najświetniejsze głowy biorą w nim udział. Ale grzech przeciw kobiecości trzeba uchwycić i przedstawić inaczej, a nie tak: pisałam rozprawy, więc nie miałam czasu dla męża itd. Czy autor nie wie, że bywają kobiety, tak za-

cietrzewione w gospodarstwie domowem, iż przez to również tracą serca swoich mężów? Polecam przeczytać wzięte z życia „Siostry Malinowskie“ Konara. Czy przeto powiemy, że gospodarstwo domowe nie należy do kobiet? A Dr. Wernicka mogła traktować swoje zajęcia lekarskie właśnie bardzo po gospodarsku, po kobiecemu, podobnie jak produkcya literacka niektórych autorek zupełnie przypomina kuchnię lub tualetę. Wyobraźmy sobie zresztą, że Wernicka jest np. śpiewaczką, wielką aktorką, — przy tych zajęciach mogła tak samo męża od siebie odstraszyć. Bo zawód swoją drogą, a stosunek erotyczny swoją. Konflikt erotyczny między Wernicką a jej mężem byłby się może rozegrał, czemkolwiekby ona była. Jej samej wolno zwalać winę swej klęski erotycznej na źle wybrany zawód, ale autor nie powinien był temu nadawać sankcyi uogólniającej (jak świadczy i tytuł sztuki).

Jest w „Lancecie“ wiele powierzchownej zręczności. Jeżeli się ma do powiedzenia same trywialności, jeżeli się figury rzeźbi łopatą, jeżeli nic nie jest podwójne, skomplikowane, sprzeczne, — to można budować sztuki gładko i łatwo byle się miało taką organizacyę duchową, która się potrafi do trywialności zapalać i brać je jeszcze raz na seryo. Bo nie ulega wątpliwości, że takie natury pisarskie nie są spekulantami, polującymi na efekt czy tantyemy, lecz mają sui generis natchnienie. P. Zalewski objawia nadto znaczny spryt kombinatorski. Oparcie stosunku erotycznego Wernickich na proporcyach weiningerowskiego M i W, doprowadzenie do sytuacyi, w której Wernicka operuje kochankę swego męża, i pod przymusem klinicznym usuwa jego płód (co jest znacznie ciekawsze i perspektywiczniejsze niż ten jedynie przez autora podkreślony moment, że Wernicka mogła zabić kochankę męża), przesunięcie sprawy pod znak bigamii, to są ślady, że autor mógłby sięgnąć po rzeczy nowe, nie cofając się przed ryzykami. Nie znając poprzedniej twórczości p. Zalewskiego, nie mogę ocenić, czy jest to utajony w autorze i pohamowany przedwcześnie pociąg ku sprawom zagadkowym, czy tylko sudermanizm, to znaczy przyswajanie sobie pewnych efektów, pewnych pozorów, które właściwie nie zgadzają się z tą stopą życia duchowego, na której żyje autor.

Jestto lekkomyślnym błędem przeciętnych recenzyi gazeciarskich, że przedstawiają jako wyższy stopień umiaru czy wyrobienia artystycznego, to, co jest właściwie dekadencyą i rezygnacyą na rzecz przeciętnych sukcesów teatralnych. W ten sposób nie wychowuje się nowego rozmachu sztuki dramatycznej. Co do mnie wolę sztuki poronione, poszarpane, monstrualne, niż pikantne przeciętności à la „Lancet“.

Karol Irzykowski.

TEATR WYSPIAŃSKIEGO PO DZIESIĘCIU LATACH.

2). (Ciąg dalszy).

Więc ona była winna klęskom z r. 1831? Wyspiański temu pytaniu by nie zaprzeczył. Jak romantyka polityczna szkodziła sprawie powstania listopadowego, pokazał znów w „Lelewelu“ (1899), dramatyzując spór między politykiem realnym, ks. Czartoryskim, a doktrynerem Lelewelem. Program polityczny Lelewela streszcza się w słowach: „Bądź pan, książę, księciem — dusz, rządź się umysłem wieszcza, wniebowzięciem; — a to jest polska myśl, myśl nie zwodnicza, — myśl o królestwie Ducha, boska, tajemnicza — rewolucyjność dążeń...“ Do tej polityki nawraca się już książę, gdy podburzeni dawniej przez Lelewela klubowcy, uniemożliwiają mu współdziałanie. „Przepadło, mój książę, — to moje winy dawne“, żałuje Lelewel, a książę dodaje: „Moje pychy, żądze“. Mimo chwilowego uznania swej winy, Lelewel daje się dalej „ponosić szałowi“, rewolucyonizuje lud i wojsko, spodziewając się, że rozpętane żywioły dadzą się użyć do obrony miasta. Teraz osiągnął w swojem przekonaniu to, o co Konrad prosił w „Improwizacyi“ Stwórcy: „Ja wiem wszystkie tajnie serc — ja wskróś dusze odgaduję, niemi władnę“; wierzy, że jego czyn, „najbardziej zaważy na wydarzeń szali“. Koniec jego przemówienia: „oto słowa..:“ zawiera zarazem ironiczną ocenę wartości jego polityki wobec katastroficznych słów przerażonego Dembińskiego: „Armaty Moskali“.

Huk tych armat, które wnet miały zdobyć stolicę, nie mógł publiczności nie przekonać, że poeta potępił romantyczną politykę Lelewela. Ale też Lelewela uważano za winowajcę, nie zważając na to, że demagog operuje hasłami Ody do młodości: „Rozumni szałem! — Z zamętu wyjdzie świat ducha“; nie pomnąc, że Lelewel zaraz na początku powołuje się wyraźnie na Mickiewicza. Nie jest on więc odtworzeniem historycznego dyktatora, ale wcieleniem „romantycznego szału“ w polityce, przykładem, jak ów szał działał w politykach r. 1831 i jak sprawę zgubił. W ten sposób „Lelewel“ jest dopełnieniem „Warszawianki“, która pokazała działanie szału romantycznego w wojownikach o wolność.

Komentarz do obu tragedyi z r. 1831 dał poeta w „Legionie“, który możemy nazwać studyum patologii szału romantycznego. Za przedstawiciela tego szału obrał teraz jego rzekomego twórcę, Mickiewicza, w chwili, gdy zabrał się do polityki praktycznej, gdy tworzył we Włoszech sławny Legion, i pokazał, że on potrafił wieść tylko na śmierć, choć tę śmierć pod wpływem mistycznym uważał za jedyny, prawdziwy czyn. Do uzmysłowienia tej wyprawy po śmierć posłużył się (sc. 12)

łodzią Charonową. Płynie ona w noc przez wielkie wody (Acheron), pełne potępieńców, żrejących się nawzajem, szarpiących, mordujących: To ofiary, poniesione przez uczniów Mickiewicza, którzy zaprzysiągłszy się sławie, stali się jego niewolnikami, przykutymi łańcuchami i kajdanami do wioseł i dylów łodzi Ta łódź, prowadzona przez Mickiewicza, dzierżącego u steru pochodnię, miała ich zawieść do Raju złotego, do jakiegoś Elysium, tymczasem zawiozła ich między larwy piekielne, na wody, grożące zatopieniem (na emigracyę).



J. RASZKA AUTOPORTRET (Rzeźba)

Więc wyrzucają przewodnikowi, że ich oszukał, a gdy on przypomina im przysięgę, złożoną na mękę i śmierć, oni odprzysięgają sumienia... Wtedy przewodnik przeklina ich, jako trwożliwe duchy, jako zaprzańce, niegodne życia i odsyła ich w otchłań, w noc zapomnienia. Równocześnie gasnącą pochodnią (swego przewodnictwa i posłannictwa) wznieca w łodzi czyn — ogień. U steru staje Śmierć, Thanatos, a choć Mickiewicz obiecuje im odrodzenie przez śmierć i zmartwychwstanie, to oni nie przyjmują tego nawet do wiadomości, bo czują grozę złamanej przysięgi noc zapomnienia. Czy na nią zasłużyli? Wszak przewodnikowi zgasła pochodnia na znak, że posłannictwo jego skończone. Resztą jest tylko — Śmierć.

Ale czemże przewodnik zawinił na utratę posłannictwa? Odpowiedź na to daje cały dramat. Oto już w Kolosseum (sc. 3) nie słuchał marzeń Krasińskiego o ofierze duchowej, ale zapragnął legionów bojowników Sławy. I stanęła przed nim ta Sława, jako odźwierna piekieł, żądna ofiar z ludzi, zabijających się na pobojowiskach. Uciekł Mickiewicz przed jej zjawiskiem, nie uciekł przed wezwaniem. Jako jej chorąży stanął przed papieżem na Kwirynale (sc. 6) i głosił walkę ludów. Gdy błagał Boga o jej przyspieszenie (sc. 7), nad nim, w kopule św. Piotra, zgromadziły się litewskie postacie jego ballad i Dziadów, by go ostrzedz przed niechybną zgubą. Naprożno! Mickiewicz stanął już w koronie tryumfatorów na Kapitolu i głosi wprawdzie, że królestwem jego świat ducha, ale że do tego królestwa powiedzie przez obalone trony. Lud go wzywa, by jako Wallenrod przez krew wiódł rzesze do wolności. Wtedy on mówi znowu niejasno o duchownym pochodzie ku szczytom, za co go lud głasza zdrajcą, łamie krzyże, depce sztandary i zostawia samego. Rozbitka pociesza drugi rozbitek, stary legionista napoleoński, który zawiedziony przez Cezara, dzwoni teraz swe żale i spodziewa się swojem dzwonieniem obudzić kiedyś rzesze...

Zdawałoby się, że katastrofa Mickiewicza już gotowa. Ponieważ nie widząc jasno celów i środków krucyaty, porywał lud dwuznacznemi hasłami i ponieważ porwał ten lud do walki orężnej, choć chciał niby walczyć tylko słowem, upadł. A gdyby był poszedł za wolą ludu? To byłby jego trybunem, byłby nowym Brutusem, zabijającym Cezara — Napoleona. Brutus oswobadza w sc. 10 Wolność, która natychmiast wypiera się łączności ze swym oswobodzicielem i występuje jako rozkiełznana Rewolucya, tratująca tłumy. Jako ofiarę jej „szalonego wozu" przynoszą młodzieńcy kobietę umarłą, w której Krasiński poznaje zwłoki — Polski i głosi jej wniebowstąpienie. Wiara ta udziela się i Mickiewiczowi: widzi on już ową zmarłą wstępującą w niebo. Polska przestała być ojczyzną ziemską, stała się tylko niebieską Jeruzalem. Do niej dążą pod przewodem Mickiewicza legioniści przez Via Appia, do niej płyną ową łodzią, którąśmy widzieli na początku.

Okrzyk ginących: „Przeklęty prorok! przeklęty!" jest wyrokiem nad bohaterem legionu, który z Mickiewiczem ma wprawdzie niejedną wspólność, ale pozatem reprezentuje całą naszą poezyę wieszczą, messyanistyczną. Przez potępienie tej poezyi łączy się „Legion" ideowo z Warszawianką i Lelewelem, technicznie i artystycznie jest ich przeciwieństwem nietylko przez rozbicie dramatu na luźne sceny, z których każda jest zamkniętą w sobie całością, ale też przez rozpętanie wszelkich węzłów wyobraźni. Postępowanie romantyków opierało się nie na logice i faktach, lecz na

urojeniach i przywidzeniach. Więc poeta dramatyzuje te przywidzenia, spełniając swój dawny postulat o dramacie, przedstawiającym „imaginacye“ osób działających, postulat, który widział urzeczywistnionym w „Hanneles Himmelfahrt“ Hauptmanna.

„Warszawiankę“, „Lelewela“ i „Legion“ możemy uważać za trylogię antyromantyczną i zapytać się: co też u Wyspiańskiego spowodowało od r. 1897 ten zwrot przeciw romantyzmowi w polityce? Sam wpływ antihistoryzmu Nietschego do jego objaśnienia nie wystarcza. Prof. Smolka poświadcza, że Wyspiański nosił się po powrocie z Paryża z myślą habilitowania się do historyi sztuki, zapisał się w tym celu na uniwersytet i prowadził studya nietylko estetyczne, ale i historyczne Te studya zapoznały go z pracami historyków tak zwanej szkoły krakowskiej czyli stańczykowskiej. Szkoła ta właśnie wykazywała brak trzeźwej polityki w powstaniu listopadowem, potępiała nierozważność czynu romantycznych Belwederczyków i t. d. Zamiast więc przypuszczać, że Wyspiański niezależnie od Stańczyków doszedł do tego samego poglądu na romantyzm w polityce, lepiej uznać, że koncepcyę swą zawdzięczał — Stańczykom.

Stańczycy zatrzymali z haseł romantycznych jedno, sformułowane przez Krasińskiego: „Z szlachtą polską polski lud“. Aby pokazać, jak się zapatruje na to hasło, wprowadzone w czyn przez żenienie się artystów szlacheckiego pochodzenia z chłopkami krakowskiemi, napisał Wyspiański w r. 1900 „W e s e l e“, pomyślane w pierwszej redakcyi, jako szopkowe czy kabaretowe przedstawienie rzeczywistego wesela w Bronowicach z rzeczywistemi nazwiskami jego uczestników. Opracował on był właśnie „Dziady“ Mickiewicza dla sceny krakowskiej i uległ ich wpływowi. Jak Mickiewicz świeże dzieje swej nieszczęśliwej miłości, a potem świeże prześladowanie studentów wileńskich, tak on wprowadził na scenę współczesne sobie zdarzenie rzeczywiste, które miało przygotować „cudów cud‘. Takiej przynajmniej tendencyi dopatrzył się w ślubach bronowickich, a to mu wystarczyło, by z wesela bronowickiego (odbywającego się intencyonalnie w noc listopadową) zrobić „szopę narodową“ w technice szopki krakowskiej. W takiej szopce prócz typów etnograficznych i społecznych (krakowiak i krakowianka, karczmarz) występują także typy historyczne (Pan Twardowski, Ułan i Saper napoleoński). Technikę szopkową połączył poeta z praktyką „Dziadów“, praktyką wywoływania duchów przez guślarza. Rolę guślarza, zaklinacza duchów powierzył Chochołowi, który zapowiada „na wesele gości wiele... Co się w duszy komu gra, — co kto w swoich widzi snach... na wesele przyjdzie w tan“. I przychodzą te „dramatis personae“, przychodzą jako wyraz czaru, opanowującego zwolna weselników. Charakterystyka tego czaru mieści się w opisie muzyki weselnej. Jest ona „cicha a skoczna, swoja a pociągająca serce i duszę, usypiająca, leniwa, w omdleniu, a jak źródło żywa, taktem w pulsach nierówna, krwawiąca jak rana świeża; melodyjny dźwięk z polskiej gleby, bólem i rozkoszą wykołysany“. Gra ją Chochół. Co on oznacza, wyjaśnił sam poeta, zastępując w drugiej Legendzie Kraka, strażnika historycznej przeszłości i siewcę przyszłości — wiązką słomy, pustej słomy, bo ziarna pogniły. Więc Chochół, to symbol tradycyi narodowej. Jego muzyka, muzyka przeszłości potrafi tylko zahypnotyzować i ubezwładnić. Pod jej czarem szlachcicowi ś n i s i ę, że posiada złoty róg Wernyhory, misyę historyczną; pod wpływem jej czaru z d a j e s i ę i chłopu, Jaśkowi, że mu szlachcic wręczył złoty róg. Na jawie, w rzeczywistości parobek myśli o czapce z pawiemi piórkami, jest pod względem narodowym tylko kostyumerem. Rogu nigdy nie miał, więc go i zgubić nie mógł; pozostały sznur (do powieszenia się) jest tylko echem stosunku do urojonej missyi, powierzonej mu przez szlachtę.

Bardziej gryzącej satyry politycznej na pewne współczesne idee polityczne nie widziała scena europejska od „Rycerzy“ i „Ptaków“ Arystofanesa. Szyderstwo było tem silniejsze, że rzucił je poeta z tej sceny, na której setki razy przedstawiano „Kościuszkę pod Racławicami“, jako appel do przyszłości; że rzucił je miastu, które starało się zawsze o to, by na obchodach narodowych obok kontusza szlacheckiego malowała się sukmana chłopska.

Wobec niezrozumienia intencyi „Wesela“, przedstawił Wyspiański jeszcze raz szlachtę i jej zapatrywania na swą misyę historyczną w „W y z w o l e n i u“ (1902). Rozmowy karmazyna z hołyszem nie pozostawiają już co do swego znaczenia żadnych wątpliwości. Ale „Wyzwolenie“ jest także komentarzem do trylogii antiromantycznej.

Tendencyę jej sformułował Wyspiański najwyraźniej w rapsodzie o „Kazimierzu Wielkim“ (1900): „Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił, — schodził we wszystkie grobowe piwnice, — z trupami się umarłych rówieśnił, — badał w ich twarzach skonu tajemnice, — że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił, — bruzdami czoło poorał i lice — i starzał, w coraz dalsze patrząc groby, — wzrok tężył w mroczne podziemia żałoby. — Rozpoznawałem, że kochał się w trumnach, — kołysząc w nich swą myśl, jakby w szalupach... jak na spuścizny cieszył się fortunach, — rozmiłowany w tych przegniłych trupach, — mniemając, że go to do życia wiodło, — że brał te trupie piszczele za godło“...

Za przedstawiciela tego „szału grobowego“ wybrał i tym razem Mickiewicza, przez tę prostą assocyacyę, że skoro on spoczął obok królów na Wa-

welu, to stał się niejako strażnikiem i kapłanem ich grobów. Apoteozę Mickiewicza na jego pogrzebie w r. 1890 przeżył sam poeta w 21. roku życia. Otóż tego Mickiewicza apoteozowanego, tego symbolicznego kapłana grobów, a n i e historycznego poetę, obrał za swego antagonistę, dał mu wygląd posągu z pomnika Rygiera (w pierwszym odlewie, który mu się właśnie bardzo podobał) i nazwę Geniusza, oczywiście tej poezyi grobowej, z którą historyczny Mickiewicz nie wiele miał wspólności. Raczej autorowi „Snu Cezary“ należała się ta rola. Walka autora (nowego Konrada) z owym Geniuszem rozgrywa się w katedrze wawelskiej (jako akt trzeci), gdzie naprzód powtarza się treść ostatnich dwóch scen „Legionu“: ślubowanie śmierci przez rozmaitych patryotów, obietnice Geniusza, że ich powiedzie do „szczytów ducha“, do grobu, gdzie najdą Polskę z ducha poczętą. Chór wzdraga się zrazu przed trumnami, próchnem, zgnilizną, przed śmiercią, ale pokrzepiony widokiem czary złotej i złotego rogu, już ma wstępować do grobu, gdy do katedry wpada Konrad z pochodnią w ręku, wytrąca Geniuszowi z ręki czarę poezyi i zatrzaskuje wejście do podziemia. Dokonawszy tego, wypowiada gwałtowną inwektywę przeciw Geniuszowi, jako reprezentantowi poezyi grobów, i przeciwstawia jej wolę do życia, do potęgi, do zwycięstwa; wyrzeka się ruin i gruzów, rozpamiętywa czar wiślany i kończy okrzykiem: „Poezyo precz! jesteś tyranem“! Tak samo Baltazar w „Danielu“ wołał wobec synów podbitego kraju: „Poezyo precz, wypędźcie poetów!“, wzywając do rozsądnej pracy w niewoli.

Teraz i chór odpędza od siebie Geniusza, Geniusz znika, a Konrad improwizuje, pędzi na rydwanie między gwiazdami, wreszcie spada do rzeczywistości i odprawia Muzę: „Od dziś moja poczyna się wola, — zdobyłem dzisiaj władzę ponad twoją władzą“. (dok. nast.).

Tadeusz Sinko.



ST. WYSPIAŃSKI (Ze zb. Wł. Żuławskiego). STUDYUM.

Odbito w drukarni Narodowej w Krakowie.

KRAKÓW · 20 · GRUDNIA · 1918 ZESZYT · 36

MASKI

LITERATURA · SZTUKA · I · SATYRA



VL. HOFMANN „JASEŁKA“

JIRI KARASEK ZE LVOVIC.

FRANCISZEK Z DZIECIĄTKIEM JEZUS.

(Legenda hiszpańska)

Franciszek urodził się w Villpalaz, jako syn ubogich rodziców. Pośród ich dwunastu dziatek był cieleśnie najsłabszym i najbrzydszym. Do niczego się nie nadawał, wszędzie przeszkadzał tylko. Rodzicom wydawał się także i duchowo nierozwiniętym. Zaznał wiele złych słów i razów od rodzeństwa, łajała go macocha, bił go i ojciec. Przykrości te znosił cierpliwie, zacinając z bólu zęby, nigdy się nie bronił, nigdy nie sprzeciwiał. I ani nie zapłakał. Patrzał stale odrętwiałym wzrokiem przed siebie, jakby żył w innym świecie. Żył naprawdę, jakby gdzieś indziej, choć żył cieleśnie na tym grzesznym świecie. Świat ten pojmował inaczej, niż reszta ludzi. Wszyscy naprzykład widzieli świecące słońce i cieszyli się, że pod jego promieniami dojrzeją winne grona i płody drzew owocowych. — Franciszek zaś kochał słońce dla niego samego, jako potężną, pierwszorzędną gwiazdę, buchającą żarem. Przypatrywał się potokom błyszczącego złota, rozdrabniającego się po trawach, kwiatach i zbożu i uśmiechał się ze szczęścia, że słońce odbija się w rzece, jak w złotem zwierciadle. Ach, jak potężny jest Bóg, że zdołał rozniecić takie światło, myślał — a jak są bezsilni ludzie, że umieją zapalić tylko nieznaczne ogniki na swych kominkach... Słońce, słońce... te słowa wymawiał zamiast modlitwy i czuł słodki zawrót, jakby się upajał słowem Bożem... Słońce było dla niego samem życiem, bez niegoż wszystko jest martwe. Czuł jak jego promienie przenikają jego ciało i powtarzał radośnie;

— Bóg... Bóg... mnie całuje...

— Co mówisz? pytał go ojciec szorstko. Kto cię całuje?

— Bóg... Bóg... mnie całuje, ojcze...

— Zaiste bredzisz... jesteś do niczego... ani kosza z jarzynami nie potrafisz donieść na targ, by ich nie rozsypać... upadasz pod najmniejszem brzemieniem... co począć z tobą, objadasz tylko niepotrzebnie rodziców...

I uradzili z macochą oddać go obcemu człowiekowi, który go zawiódł do Alcali, i porzucił wśród ulic, nieznanych Franciszkowi.

Franciszek błądził od domu do domu, nie wiedząc co czynić. Nadchodził zmierzch. Franciszek wczołgał się na jakieś podwórze, gdzie skurczył się pod wozem. Słońce, jego przyjaciel, gasło. Franciszek czuł się opuszczonym. Noc zapadała. Franciszek patrzał na gwiazdy, jak się zapalają, wyglądały, jak świece na ołtarzu. Ale nie, nie, to nie świece, to otwory niebios za nimi błyszczy światło niebieskie i przebija swymi promieniami firmament w tych małych otworach... I patrzy na księżyc, jak sączy się jego płynne i migotliwe srebro z niebios, jak drży w niebieskawej atmosferze nocy, — ach, to nie księżyc, to jest Najśw. Panna Marya, dobrotliwa, łagodna, uśmiecha się do niego, gdyż wie, że jest opuszczony i umyślnie wyszukała go tu, pod wozem, pod dyszlem i kołami, by osrebrzyć go swym uśmiechem, jak i jego twarz...

— Panna Marya... Panna Marya... mnie całuje...

Poczuł uderzenie batem na swem ciele. Woźnica wrócił do swego wozu. Myślał, że pod nim jest ukryty złodziej i zbił Franciszka tak, że ten o mało nie zginął. Wreszcie spostrzegł omyłkę, a że był zresztą dobrym człowiekiem, wziął Franciszka do siebie, aby ten posługiwał jego żonie. Lecz Franciszek niczego nie umiał, i kiedy myjąc naczynia rozbił talerz, żona woźnicy wygnała znów Franciszka na ulicę.

Franciszek błąkał się po mieście. W końcu przyszedł przed wielki ogród. Potężne drzewa prężyły swe konary, jakby długie ręce, podawały je sobie wzajemnie, zrastały się i spływały. Nie były to drzewa, byli to żołnierze. Otaczali wielki budynek, pełen małych okien i strzegli go. A jednak... były to drzewa. Wietrzyk rozszeleścił teraz ich listki. Franciszek nadsłuchuje. Liście mówią, drzewa mówią... Powiadają Franciszkowi:

— Lubimy cię... lubimy cię, żeś taki opuszczony...

Franciszek patrzy się na drzewa. Znów nie są to drzewa, są to czarne olbrzymy. Mają głowy, olbrzymie ramiona, wyciągają konary, jakby olbrzymie pałki. Będą Franciszka pilnować... odda się im w opiekę... Upadnie pod nie na kolana, jak widział upadający lud u stóp Krzyża w kościele Villpalaz... i będzie się do nich modlił:

— Święte drzewa... Bóg was stworzył jako swoje wojsko... odnalazłem was, chrońcie mnie! Spoczywam w waszych objęciach i dusza moja spływa ze mnie, jak sok z pni waszych... nie boję się ludzi, nie boję się nikogo, jestem silny z wami...

Znów razy przerwały jego dziwną modlitwę do drzew, do niebieskiego wojska. Stróż sadu przypuszczając, że Franciszek przyszedł kraść owoce, zbił go. Lecz zdziwiony następnie, że Franciszek nie płacze, nie broni się, patrzy tylko zdrętwiały w twarz jego, zdjęty litością

wziął chłopca do tego wielkiego gmachu, który okazał się szpitalem, aby usługiwać chorym.

Ale i tu Franciszek długo nie pozostał. Pomieszał wszystkie lekarstwa, rozsypał proszki, porozbijał flaszki. Lekarz, który go tylko przyjął za wstawieniem się stróża, wygnał go teraz gniewnie za wyrządzoną szkodę.

Franciszek zabłądził do niedalekiego kościoła. Były tam figury ze złotemi koronami na głowach i mówiły:

— Patrzcie, opętany Franciszek nas odwiedził... czego on też chce od nas?...

Było tam pełno drogich kamieni, złota i srebra na ołtarzach i Franciszek myślał o słońcu, gwiazdach i księżycu, czy to wszystko złoto i srebro nie jest pochwytane z sieci ich promieni, z migocących iskier ich światła. Tak, tak, to są uśmiechy słońca, — — i wszystkie te topazy, opale, białe szafiry, które spływały po płaszczu poświęconej statuy są uśmiechami księżyca, uśmiechami przyjaciółki Franciszka, Panny Niebieskiej. I Franciszek wyciąga do nich ramiona... Nagle czuje, że go trzyma silna ręka, czuje razy na plecach, to zakrystyan myśląc, że Franciszek chce zagrabić poświęcone klejnoty, bije go. Franciszek nie broni się. Zakrystyan widzi wkońcu, że przez pomyłkę bije dziecko, zamiast złodzieja. Lituje się nad nim i zabiera do zakrystyi. Zajmuje się nim, uczy go ministrować, służyć do mszy. Franciszek uczy się dziwnych obcych słów, których nie rozumie. Wreszcie pewnego dnia odziany w rudą komżę służy księdzu przy św. Mszy. Dobrze odpowiada przy *Confiteor*, ale po *Credo* popada w półsen. Jest tak blizko Boga, jak nigdy jeszcze nie był. W sanktuaryum ukryta jest monstrancya, a w niej Bóg... A Bóg jest tak mały, że zmieści się w złotem kółeczku, oprawionem w dyamenty, — — a jednak... nie... nie.,, Bóg jest tylko pozornie mały... Monstrancya jest tylko pozornie tak niepokaźna. W rzeczywistości jest to ogromny, złoty gmach, tak, tak. Franciszek widzi, jak rosną ściany tego gmachu; jak się ożywia tajemnicze jego wnętrze, aniołowie zstępują po schodach i niezliczone ich zastępy wychodzą znów i znów ze sali... ach, jak są piękni, wszyscy, jakby przezroczyści, mają cienkie palce, dłonie białe, jak kwiaty...

Franciszek nie odpowiadał księdzu. Zapomniał odpowiedzi, a kiedy nalewał wino z am-



VL. HOFMANNN.

pułki do kielicha wylał księdzu rudawy płyn na białą koronkę rękawa.

Wygnano go. Lecz teraz czuł się naprawdę nieszczęśliwym. Nie umiał służyć ludziom, lecz także nie umiał służyć Bogu. I zapłakał nad swem opuszczeniem:

— Wznoszę ręce ku Tobie, Boże, kocham Cię zarówno, jak czuję odrazę ku sobie samemu. Jestem plewą, ani plewą nie jestem, jestem niczem i mniej niż niczem, nie jestem ani Twą śliną... Jaskółka jest czemś więcej, wylatuje z gniazda i krąży w powietrzu, — ja nie mam gniazda, czołgam się w prochu i jestem mniejszy od robaka, gdyż ten gryzie, a ja i do tego nie jestem zdolny. Franciszek stoi nad śmietniskiem. Między cuchnącymi odpadkami i łachmanami, wśród śmieci i popiołu uśmiecha się doń Dzieciątko Jezus. Prawdziwe, z drzewa wyrzeźbione Dzieciątko Jezus; ktoś wyrzucił je na śmietnik, jako rzecz niepotrzebną z jakiejś szopki, może dzieci, którym znudziła się wigilijna zabawka.

I Franciszek podnosi Dzieciątko Jezus, odczyszcza je, i nagle Dzieciątko mówi do niego. Biedny trzęsący się chłopiec trzyma je w ręku, jakby część Boskiego serca i czuje upojenie, w którem zatraca pamięć o swych cierpieniach. Tak, tak, Tobą, Dzieciątko Jezus, zdobędę świat, przez Ciebie stanę się potrzebnym światu. Gdzie teraz dłoń, któraby mnie zatrzymała? Gdzie brama, któraby mnie wstrzymała! Gdzie mur, któregobym nie przeszedł? Ogień, któregobym się uląkł? Woda, którejbym nie przepłynął? Podnoszę wzrok, nie boję się niczego, jestem silny Tobą, Dzieciątko Jezus, jestem silny, jak łódź podczas burzy przez swój silny ster... mój Boki sterze, prowadź mnie, prowadź...

Franciszek idzie w ulice, niosąc Dzieciątko Jezus i żebrze. Ludzie się śmieją. Franciszek jest bowiem tak dziwaczny i Jezusek z drzewa, niezręcznie wyrzeźbiony, tak ubogi, prostotą swego twórcy. Lecz wygląd Franciszka i ubóstwo Dzieciątka zwyciężają twardą powłokę serc i Franciszek dostaje jałmużnę, o którą nie prosi ustami, lecz oczyma. Rok cały błąka się po świecie i żebrze. Lecz pieniędzy nie traci, chowa je starannie. Znosi poniżenie i razy, lecz czuje się szczęśliwym, jeśli w końcu przecie otrzyma jałmużnę. Ulicznicy naśmiewają się z niego i wołają:

— Franciszku, czy chcesz jałmużny dla swego Jezuska? Pierwej jednak naplujemy ci w twarz.

— Plujcie, — lecz obdarzcie Dzieciątko!

Ze śmiechem plują mu ulicznicy w twarz, — Franciszek nie ściera ślin, lecz szczęśliwy zbiera miedziaki dla Jezuska.

Zbliża się wieczór wigilijny. Franciszek liczy pieniądze, które przez rok uzbierał, i idzie do gospody, gdzie ofiaruje je właścicielowi wzamian za wigilijną ucztę dla tych, których Franciszek sprowadzi. Następnie idzie przez miasto i w imieniu Wzniosłego Pana, który wszystko zapłaci, zaprasza najbiedniejszych i najwięcej poniżonych bliźnich, wygłodniałych i obdartych, opuszczonych starców i staruszki, kaleki i nędzarzy, na wieczerzę do tej gospody. I czuje się szczęśliwym widząc, jak jedzą i piją, usługuje im, sam niczego nie tknąwszy. Pozbywa się w jednej chwili swej niezgrabności, każdemu służy i tego wieczoru jest piękny. Oczy jego są, jak dwa kryształowe źródła, wargi się rozchylają, jak rozpękły owoc granatu. Nie jest to już zapopielone, brudne prosiątko, jakie się błąkało przez cały rok za jałmużną. Teraz wygląda, jak niebieski królewicz, obchodzi gości, zachęca, przymila się, robi ich pogodnymi i rozradowanymi.

Lecz gdy się najedli i napili, pytają naraz Franciszka, skąd ma tyle pieniędzy.

— Wzniosły Pan dał mi je dla was.

— A czy dałeś je wszystkie gospodarzowi, nic dla siebie nie zatrzymując?

Franciszek milczy, nie pojmując ich pytania.

— Pytamy się, czyś nie zatrzymał części pieniędzy dla siebie z tych, które nam darował ów Wzniosły Pan? Franciszek jest znów ubogi, brudny, odrażający nędzarz, biedacy nacierają na niego, chcą jeszcze pieniędzy, które im Franciszek zatrzymuje. Lecz Franciszek nic już nie ma, wszystko dał gospodarzowi za wigilijną ucztę. Żebracy są rozdrażnieni, zaczynają Franciszka łajać, przeglądają jego kieszenie a gdy niczego nie znaleźli, krzyczą:

— Powiedz, gdzie ukryłeś darowane pieniądze?

Franciszek milczy. Razy spadają na jego głowę, kark, plecy. Traci przytomność. I budzi się jeszcze podczas świętej nocy, ale już sam i zdaje mu się, że widzi na ogromnym niebieskim firmamencie świecącą gwiazdę, która błyszczała wtedy, kiedy narodził się Chrystus Pan.

I myśli o tej nocy, kiedy Chrystus pozostał na krzyżu po odejściu tłumów — kiedy na niebie nie świeciły gwiazdy, kiedy niebo było tak martwe, jak sam Zbawiciel. Gwiazdy, gwiazdy, widziałyście miłość i zawiść, miłosierdzie i zbrodnie, świeciłyście, jakby spojrzenia radosne, i tonęłyście w smutku, jak oczy we łzach. Wszystko jedno czy otrzymamy za miłość niewdzięczność a za miłosierdzie razy, wszystko jedno, czy może za życie, które darowaliśmy, przyjmiemy śmierć. Franciszek myśli o Dzieciątku Jezus, całuje je, patrzy w jego drewniane oczy i zdaje mu się, że w nich ukryte są gwiazdy... gwiazdy niebiańskiej miłości. I podnosi się,

głodny, zbiedzony, wyczerpany i rano zaczyna znów swą pielgrzymkę po świecie, żebrze... na przyszłą wigilijną ucztę, dla swych niewdzięcznych biedaków.

Dwadzieścia siedm uczt wydał jeszcze Franciszek od pierwszej wigilijnej. Lecz w tym czasie zestarzał się i choroby osłabiły jego członki. Ale nie skarżył się tułając się po świecie, z tyloma swemi dolegliwościami. Kochał swój nędzny żywot, tak, jak kochał swych niewdzięcznych żebraków, dla których przez cały rok zbierał pieniądze. Rzeczywistość była dla niego jakimś niejasnym poszumem, którego sobie nie uświadamiał, w którym błąkał się tylko, myśląc o jednem: O miłości do biednych i o jałmużnie, za którąby mógł zgotować im biesiadę w dzień, w którym narodził się Chrystus Pan.

I mijały tak dni, mijały lata, słońce wschodziło i zachodziło, umierali biedacy Franciszka i nowi się rodzili, drzewa na jesień żółkły i listki winorośli rudziały, i znów pola złociły się w słońcu, znów zieleniły się drzewa w zimie czarne, i woda, w zimie zamarzła jak kawał kryształu, przewalała swe masy w lecie...

Franciszek na śmierć strudzony padł przed kratą klasztorną, chwytając się jej prętów, zżartych rdzą. Karmelici ponurzy i milczący, lecz gościnni i czuli, zaopiekowali się nim. Po raz pierwszy zaznał Franciszek cudzej miłości, lecz nie czuł się szczęśliwym. Albowiem zbliżał się wieczór wigilijny, a nie miał pieniędzy dla swych biedaków.

Długo leżał chory, za dnia wzrok jego błądził ku oknu, za którem widział kawał gzymsu i iglice wieży i zdawało mu się, że od miasta słyszy głosy wyrzutu swych opuszczonych biedaków... Ach, gdyby mógł otworzyć owe ciężkie drzwi, obite bronzowymi gwoździami — gdyby znów mógł wyjść między ludzi i ze swym Jezuskiem prosić o jałmużnę!

A na ziemi unosił się zmrok wigilijnego wieczoru, na wysokościach poczęły migotać pierwsze gwiazdy i Franciszek do nich przemawiał:

— Boję się was, o gwiazdy, boję się was niebieskie twory, biedny jestem biedotą najgorszą, biedny jestem przez niemożność zostania dzisiaj czemś dla swych bliźnich, ja, który jestem marny i nieużyteczny przez cały swój żywot!

Lecz gwiazdy uśmiechały się do Franciszka. Były one teraz całkiem blizko przy nim, zdawało się, iż są zawieszone nad samem jego łożem. I patrzały w jego wzrok tak łagodnie i po ludzku, jakby były oddawna towarzyszami Franciszka.

Franciszek jednak mówił dalej:

— Nie uspakajajcie mnie, o niebieskie przyjaciółki, nie gódźcie mnie z mą bezsilnością: wyciągam ręce, lecz są próżne i moi ubodzy przyjaciele cierpią dziś głód. A przecież tęskniłem, aby nakarmić ich przynajmniej raz na rok... Ach, gwiazdy, nie wołajcie mnie do życia, nie wracajcie mnie samemu sobie... brzydzę się sobą...

Kto jednak teraz przemówił z głębi świętej nocy? Franciszek usłyszał swe imię z ciemności... słyszał kroki Kogoś, słyszał nadchodzącego Kogoś, nie wiedział kogo, braciszka, czy Boga, lecz Niewidzialny zbliżał się i naraz znalazł się przy nim i patrzał na Franciszka a Franciszek ucichł i nie wyrzekł już ani słowa. I Przybyły odezwał się do Franciszka:

— Dzieliłeś się pieniądzmi z ubogimi, lecz trzeba Franciszku dać jeszcze więcej; potrzeba rozdzielić serce swe, dać ubogim jeszcze ciało swe, napoić ich swą boleścią i dać im pić z naczynia pełnego krwi swej. Niema dzisiaj przy tobie twych niewdzięcznych biedaków, których karmiłeś a którzy cię bili, patrz, przychodzą ci, którzy cierpią w ukryciu, ci, których poniżono, a którzy milczą, którzy byli pohańbieni a nie bronili się — i którzy siedzą dziś samotni w domu, w ponurych kątach, dokąd nie przenika ani migotliwy promień gwiazdy i którzy nie mają wigilijnego wieczoru. Ach! spoglądają z rozpaczą ku drzwiom, a nikt nie przychodzi! Cierpią męki pragnienia, — i nikt nie zwilży ich warg! Nie ujrzysz w ogrodach tak smutnych róż, jakiemi zakwitają dzisiaj ich blade lica! Za nich tryskają dzisiaj me łzy, za nich boli mię serce, im, o Franciszku, przygotuj dzisiaj swe wigilijne gody!

Franciszek czuje, jak Chrystus Pan zdejmuje ciężar z jego członków. Siła przepływa przez jego żyły, jak potężny prąd ożywczy cudownej wody. I widzi salę jadalną pełną poniżonych tego świata a Chrystus Pan chodzi wśród nich i Franciszek idzie za nim rozdając dary. Powietrze jest tu przeczyste i pełne zaparcia się i miłości.

Nagły prąd wiatru napełnia izbę. Okno się otwarło i Franciszek przebudza się. Karmelici klęczą koło jego łoża i modlą się. Płomienie gromnic płoną u jego głowy, a kiedy wiatr ich dosięgnie, stają się niebieskimi i chwieją się, jakby miały gasnąć. I mnisi modlą się za duszę Franciszka, za duszę umierającego, który przyciska do piersi drewnianego Jezuska i jak wybrany święty stąpa do niebios. I kiedy przygasają świece ziemskie, Franciszek widzi rozjaśniającą się złotą zasłonę niebios, wieczne iskry gwiaździste i stąpa do Serca Niebios do samego tronu Pana Jezusa, który go przyjmuje do swej chwały i ze wstrętnego żebraka ziemskiego przemienia w najpiękniejszego cherubina swego tronu. —

Przeł. F. K.

ANTONI WAŚKOWSKI.

ZAWISZA CZARNY.

Czarny jak północ, jak wicher szalony
ciskam się konno przez pnie i wyboje
leśnych paryji — śmierć niosę w pogony!
uradowane dzisiaj serce moje
z całych sił Polsce uderza we dzwony
niby młot ciężki o kowaną zbroję,
surm co mocarzy rwie na bój zawzięty,
a wtór onemu grzmią końskie tętenty.

Dęby, jak tęsknot czarowne widziadła,
szumią i chyną łby ku mojej skronie,
zaś mgła, co była do snu się układła,
w te razy dźwiga cielisko i dłonie
i lic dostaje... hej! upiorne stadła
duszy a serca sięgają w przegonie
i po niechwiejach czuwające wiszą
i świszczą za mną: Zawiszo! Zawiszo!

Złote wędzidło od końskiego pyska
śmiga piorunem po czarnym obłoku
i oto oczom przeraźliwie łyska —
a miecz a bodziec a kajdan u troku
pobrzękiem płoszą upiorne zjawiska,
żebym nie ostał się w onym uroku
zwidzeń... więc konia ostrogami bodę
i gnam, przemijam zwodniczą urodę.

Bóg-li czy piekło uwodzi daremnie
i siła pokus śle na duszę moją
i stokroć groźniej niż wróg godzi we mnie?
że miecz mi zawżdy jedyną ostoją,
tedy tnę przełaj mgłę, pustkę i ciemnie,
kędy się dziwa nieustanne stroją,
gdy nagle piorun przed oczy mi łysnął,
aż koń na zadzie siadł i w bok się cisnął.

Pojrzę, a kędy łyskawiczna krycha
zgasła, wid powstał o królewskiej twarzy
i pojrzeniami ze siodła mnie spycha...
chwila to snać się osobliwa darzy,
bo dusza we mnie jako anioł cicha
uklękła: zaiste przybył ktoś z mocarzy,
którzy przez wieki nieśli ludom sławę
i własne imię jak miecz własny — krwawe!

Stanął podobny opróchniałej trumnie,
w oczach noc niesie, zasie kość czołową
sparła korona i goreje dumnie
jako u świętych mglawy blask nad głową;
widun wyciągnął miecz ognisty ku mnie
i trzykroć w zbroję uderzył stalową —
chciałem się jego jąć, ale widziadło
zbrzydło, zczerniało, zgasło i przepadło.

Mówią — niekiedy w przedbitewne noce,
król-duch naznacza wybranych rycerzy...
o sławo! rumak podkowami grzmoce
i z onym wichrem przegonnym się mierzy,
co hajno w boru dębami łomoce
czemraz mocarniej i huczniej i szerzej,
a duch mój dumi się i ogniem gorze
i sam się widzi strojny w krew i zorze.

i gna i wichry po drogach roztrąca
i łomie dęby, oszalałe dziwa...
nad bojowiskiem wzeszła twarz miesiąca,
tajemnych losów wróżka przeraźliwa
w rozdartej chmurze pali się gorąca
i krwią i złotem stopniałem opływa
i patrzy: oto tam zgłodniałe psiska
rozwłóczą wraże kości z bojowiska;

tam wicher duje surmy zwyciężonym,
co śmieli ręce wyciągać po cudze, —
a księżyc duchom przywodzi czerwonym...
ten nieszczęśliwy wróż na złej usłudze
przystanął chwilę nad boiskiem onym
i własne lica ujrzał w krwawej strudze
i tak przeraził się wróżbą ponurą,
że naraz pobladł i zakrył się chmurą.

Nie wiem, czy śmierć już czy zwycięstwo znaczy
widzenie, które widzę poniewoli?
ani się we mnie hardy duch onaczy,
ani mnie litość na śmierć wrażą boli,
jeno żem w sercu czysty a prostaczy
i zawżdy boskiej poddaję się woli
i w sprawiedliwość wielkich sądów wierze,
krzyż jąłem znaczyć i mówić pacierze.

Rumaka spiąłem, aż przysiadł na zadzie
i przedsię runął niby grom bez łysku —
widzenia nikły w leniwym zapadzie
po krańcach nieba, a na ugorzysku
ujrzałem, że się mgła zaranna kładzie.
Dnieje!... więc konia nie ściągam już w pysku,
jedno gorączką wojny cały gorzę
i jak archanioł gnam na sądy boże.

Kiedym się stroił tak na woje skory
i duszą do cna byłem podan w Boga,
bór mi lubośnie zaszumiał we wtory,
bo prawie była wypadła mi droga
skroś nieprzebyte ostępy a bory —
u kopyt końskich szuści mi płoga
dębowych liści i trzaskają susze,
a leśń żywiczna słodko poji duszę.

Czemraz czarowniej w obłąkanym lesie
i czemraz bogów słowiańskich muzyka
rozkołysana wierchami się niesie
jakasi święta, królewska i dzika...
koń już podemną unużony gnie się,
łeb ciężko zwiesił, parska i utyka,
że to ziem wokół i grząską i śliską
zjęło korzeni kręte wężowisko.

Tedy tnę mieczem niesforne roślęże,
co mi rumaka ułapia za nogi
i drogę czynię, a wzrok mocen tężę,
bo hań od boru orszak dębów mnogi
i podle kopyt pozwijane węże
ruszyły za mną: — wiekuiste bogi
w oczy mi smutną poglądają twarzą
i nieśmiertelność z padołem swym ważą.

Oto-żem zbłądził w gontynie a chramie
ojcowych guseł! — mrok duszę mi ściele
i modlitewny szloch zwycięstwu kłamie!
Tam kędyś strasznie trzaskają piszczele
świętych konarów, tam wiara się łamie,
tam... tam z kurhanów powstają mściciele
i w ten raz ogniem tchnęły w serce moje
i wszystkie za mną biorą się na woje.

Na sąd!! — tam zbrodnia jęła krzyż za godło
i bluźni, jako że dusza jej czysta —
zaiste, wzdrygam się przed sławą podłą
i choćby tarcz mnie ślepiła ognista
a znamię krzyża ku litości wiodło,
runę jak piorun i przez mękę Chrysta,
co się na piersiach zakonnych migota,
dosięgnę mieczem grzesznego żywota!

Bóg sam bo woła sąd nad swym zakonem
i sługi wierne śle, więc sława ze mną!
a dzieło światu nie wyda się płonem
ani-że krwawa udręka daremną —
szczęśliwe wróżby gwarzą już pod skłonem,
borów i przyszłość wyśpiewują ciemną
i utwierdzają, iże niedaleka
pomsta dla onych, a mnie sława czeka.

Tak dumający wyjechałem z puszcze
na wielką niechwiej, grzązła i mokradła —
pozamną jeszcze śpiewają te kuszcze
i w oczach palą się straszne widziadła
krwi i pożogi... woda z bojor pluszcze
pod kopytami, zasie błotne stadła
wrzeszczą, a pośród karcze i wykroty
choćkiedy w blasku śmignie jeleń złoty.

Świtanie bliskie i bój niedaleki,
wyroki boskie, gniew — idąca burza!
skroś pożarnicy i zardzałej spieki
nieba, nad garbem zczerniałego wzgórza
chmur posiniałe zdarły się powieki
i słońce wzeszło: płomienista róża
na turkusowem wykwita jeziorze,
i ziem pojęła ramiony i gorze!

Widzę żurawi klucz srebrny a długi
w nieb oceanie — szczęśliwie prowadzi!
przemijam tedy błotniste kaługi,
a snać mi będą tam niemało radzi,
bo rży mój czarny i potrząsa cugi
i skory przebój oparzelisk sadzi
i chrapy wzdyma i łba już nie wiesi,
jedno śmierć węszy niedaleko gdziesi...

O sławo! sławo!... tam stoją obrońce,
tam-to kopije, sulice, mieczyska,
tam król na wzgórzu goreje jak słońce
albo archanioł w dzień sądu — i łyska
mieczem: przyjmuje i śle wokół gońce,
a rumak pod nim do lotu się ciska
i rży, więc wszystkie surmy mu zagrały,
aż ziem oddała i strop jęknął cały.

Tam Witołd goni i jako zwierz dziki
litewskich borów, gdy go wróg osaczy,
rzuca się śmiały i sprawuje szyki
i przedsię pole łyskawicą znaczy,
zdaleka tęgo stroją się muzyki
rogów i rżenia ogierów a klaczy —
zaś mnie się widzi osobliwej chwili,
że Bóg z błękitu serca sercom chyli.

W piersiach mi huczą niby setne gromy
i wicher wzdyma je czemraz to szerzej,
że zamknąć radbym wszechświata ogromy
w sercu!... pojrzałem prawie po rubierzy,
gdy huf jakowyś uniósł się ruchomy
i słońc tysiące w tysiącach puklerzy
odbił, a w mieczach łyskawic tysiące,
aże zaśmiało się serce bijące

we mnie; poznałem! tam po nieba krańce
Zakon się zbiera i krzyżami łyska
i w ślepiach pali skrwawione kagańce — —
naraz (a byłem już niemało zbliska),
kędy doliny zlot, konni posłańce
niosą królowi dla urągowiska
miecze — król przyjął ten podar i waży,
a łzy mu jeno spłynęły po twarzy.

Więc się porwałem niby kruk do stadła
śród zaoranych pól — czarny i chyży...
lecę a niosę w sobie coś z widziadła
śmierci! sąd oto przemocy się bliży,
iże zagony już zadość posiadła
i ostrokoły uczyniła z krzyży,
a szaniec zbrodni — z Chrystusowej wiary!
krwi pragnę! sądu, wyroku i kary!!

Przybiegłem — słońce zakryło się chmurą
i świat pociemniał i nastała chwila
milczenia... myślę, że śmierć tak ponuro
patrzy i młodym sercom się przymila
i wabi k'sobie duszę poniektórą
i rada chodzi śród narodu tyla,
bo ino słyszę w tej oćmie i ciszy
rżenia i stępy i brzęki berdyszy.

Więc już!... o chwilo w sobie osobliwa!!
wrzawą się dziką odezwały rogi
i Litwa pierwsza do boju się zrywa
z pieśnią na uściech, jakby to nie zmogi
krwawe z rycerstwem, a lipcowe żniwa
albo sianokos nadniemnej rozłogi,
albo i wyrąb puszcz — bo Litwin skory
na bój wybiera się zbrojny w topory.

Więc one srebrne kosy miast sulice
tak mu się palą nad włochatą głową,
jak nad słomianą klecią półksiężyce — —
już im się lica stroją koralowo
w jagody, słońcem łysnęły źrenice!
już Zakon ruszył... a przed burzą ową
kopije długie w tęgim chwycie prawic
zieją jak tysiąc złowrogich łyskawic

w serce Litwina, a zasię nad niemi
wicher się taki wzdął, jakby tam prawie
szatany między spizami białemi
wodziły drużby i bitewnej wrzawie
rade, rząd grzesznych dusz miały na ziemi...
więc krzykłem w pogoń: leć Litwo ku sławie
i w Gedyminów imię a Mendogów
broń praw ojcowych i mścij krzywdę bogów!

Jak stadło sępów z tatrzańskich krzesanic,
z wierchów na śmigłe kozice a skopy
w królestwie onych wolnem i bez granic:
tak Niemce spadły na litewskie chłopy,
jeno nie żądne już nijakich branic,
ale przez trupy i krwawe potopy
sięgnąć korony! — Ziemia dudni w łonie,
gdy podkowani rąbią jeich konie...

Zwarli się! Tedy krzyk piersi tysiąca
o niebo bije niby grom po gromie,
a ona ława zbrój stalowych prąca
depce żywota i miażdży i łomie
sztandary liche i chłopstwo roztrąca
i gonil! — nagle w zamętu ogromie
sam król, jak zwiastun pośród bojowiska,
nowe chorągwie w pierś Zakonu ciska.

A Witold pojrzał — krwią naszły mu oczy
wielkie i wicher buchnął ogniem z lica,
a jako niedźwiedź od skalnych roztoczy
gdy mu we ślepia poziera martwica
i świeża rana jagodami soczy
i skry posiewa zjeżona turzyca:
tak on się rzucił w śmierć, że raz w raz ino
z zamętu widać łyskawicę siną

jego oręża — tnie błyskiem przestworze
i spada w zwartych cielsk wezbrane kłęby —
on wie, że burza gdzieś w litewskim borze
piorunem ścina oszalałe dęby
i z wierchów dumnych ściele se podłoże,
więc niby wicher prze skroś one zręby
ludzkich ciał — wieczna niezłomna potęga
mieczyskiem Boga na niebiesiech sięga!!

U czarnych kuszczy, na podcieniu borów
czekam z rycerstwem, choć wrzawa mnie dzika
rwie do śmiertelnych a radosnych sporów;
bo mi najmilszą jest zawżdy muzyka
pękanych zbroic i ciężkich toporów,
jęków i kutych kajdan niewolnika,
i krwi, co bije w tętnicach ze stali
i serca, które w dzwon obuchem wali.

Więc duch rozpiera młode piersi moje
jako nad bitwą grzmiąca zawierucha
wzdyma zwycięskich sztandarów rozwoje —
prawie ku bitwie ślę swojego ducha
i radbym rychło wstąpić w każdą zbroje
i każde serce, co zawiścią bucha,
gryśćbym nauczył i grześć kości wraże,
choć wiem, że kiedyś wstaną te cmentarze...

że lat tysiące socha nie zaorze
tych kości, które dziś płoną ogniami,
że co rok będą powracały zorze
krwią przeraźliwe i straszne widmami
piekieł — i będą szły wyroki boże
i gniew i pomsta nad potępieńcami
i taka ciężka klątwa pokolenia
i taka zawiść każdego sumienia,

i taka rozpacz i taki wstręt krzyży,
co shartowały się w krwawej pożodze:
że naród więcej ducha nie poniży
przed nimi — jeno że będzie we trwodze
słuchał czy bliski już dźwięk mej pajiży
i zali koń mój po gwieździstej drodze
tętni i wichrom ciska chmury—grzywy
i zali wracam ja — śmierć — sprawiedliwy...

Tak dumający pojrzałem na słońce
i króla — oto on ze swoich wyży
corychło ku mnie pchnął skrzydlate gońce —
pojąłem wodza myśl i jako myśl chyży
skinąłem mieczem aż po świata końce
i przódzi nim się nieszczęście przybliży,
runąłem ławą rycerzy w zamęty,
a miasto surmy, śpiew nas krzepił święty!

Jak zawierucha skry z popiołu nieci
i utajony żar z pogorzeliska
niesie na strzechy przyokolnych kleci
i płomieniami nade wsią się ciska
i niebo z ziemią kojarzy w zamieci
dymu i czemraz to szersze koliska
pojmuje chciwie w czerwone ramiona,
niesparta, groźna i niezwyciężona:

tak bitwa, która już była nacichła
w sobie i trupów uścieliła stosy,
wzmogła się zasie gwałtowna i rychła
i z wrogiem w równe podała nas losy —
chłopstwo nadziewa łby wraże na strychła,
unosi ponad i rzuca w niebiosy,
żeby snać same od bożego tronu
dojrzały sądny dzień swego Zakonu!

Tedy wróg nowe śle ku nam zastępy
na śmierć — spadają jak wicher ze zboczy,
niby na ścierwo wygłodniałe sępy —
jedno nim który pojrzy w moje oczy
i łyśnie mieczem, jęk zdławi go tępy
i śmierć go z siodła zwali i zamroczy,
jakby tam przecie w mej prawicy była
nie ludzka, ale archanielska siła!

A koń mój czarny jak bestya skrzydlata
oślep się nosi przez trupie rozłogi
i każdej duszy, co z bojska odlata,
czteroma srebrnych podków znaczy drogi,
żeby trafiła w zamęcie wszechświata
na sąd! — dokoła cielsk rzezanych stogi
urosły w takie góry a paryje,
że złote słońce za niemi się kryje

i nie chce patrzeć, wzdryga się i chyla
i lica w chusty chmur skłębionych skrywa,
że to je razi krwi i śmierci tyla —
wżdy ino przedsię prę jak przeraźliwa
burza, jak ona śmierć, co się przymila
młodym a znaczy pól ohydne żniwa
i czemraz serca wykowane w stali
tardze we zbroi i pod nogi wali.

Oto jak posąg pośród korowodu
chmur i łyskawic uniosłem swe lico,
gdy młody rycerz najechał mnie z przodu
i już mi serca dosięgał sulicą —
poznałem godło! on rycerz Zachodu
oblicza swego nie chroni przyłbicą,
jedno ze źrenic ciska wyrok krwawy
i kłam, że zginąć mi dla jgo sławy.

Radością we mnie zaśmiało się serce,
co tchu dopadłem i skory mieczyskiem
potrzykroć z krzyża ugodziłem zdzierce
i łeb potrzykroć posięgłem koliskiem,
aż runął — sława jego w poniewierce
u mnie, koń zasie biały wstrząsnął pyskiem,
prychnął i zląkł się śmiertelnej puścizny
i wieść o panu zaniósł do ojczyzny!

Nic nie ostoi się ani zatrzyma
ciężaru miecza mojego, gdy spada
i przełaj piersi tnie, choćby olbrzyma —
choćkiedy zeprze się wokół gromada,
choćgdzie kto łyśnie strasznemi oczyma
i zgaśnie jako twarz miesiąca blada
w noc zawichrzoną i chmurną i ciemną, —
a jeno krwawa ziem grząźnie podemną...

co krok nachodzę pękniętą zbroicę,
zewłok jakowyś, zaś kości gruchocą,
gdy komu ześlę grom a łyskawicę!
nieśmiertelnością zowię się i mocą,
bo nieśmiertelność i moce zachwycę
imieniem swoim — tedy dniem i nocą
wichry lat tysiąc będą śpiewać o mnie
i nieprzytomnych budzić w noc — przytomnie!

Jest we mnie wielkich praojców potęga,
tedy-że pójdę w pokolenia moje
i żywą stanie się umarłych księga —
królewskich grobów rozpękną podwoje,
a kość spróchniała i chłopska siermięga
zawdy ostoi za ten miecz i zbroję
do cna skąpaną śród posoczej krasy,
bo będę pośród żyw po wszystkie czasy.

Więc skoro kiedy w nocnej zawierusze
odwieczne dęby oszaleją w borze,
słyszcie — tam szumią moje pióropusze
i tabun koni rzuconych w przestworze
poniesie ku wam bohaterów dusze
tak purpurowe, jak zaranne zorze!
i naród wyjrzy i spyta sam siebie
skąd się ta zorza zjawiła na niebie

w oślepłą północ?... a krwawa ulewa,
którą zdarzyły ojców ofiarnice,
tak wam okropnie na wichrze zaśpiewa
i tak przerazi zapatrzone lice
i tak ku sobie porwie i rozgniewa,
że się w te razy uniosą prawice
wszystkie w tę jedną wyciągnięte strone,
złowrogie, straszne i zaczerwienione!

I zasie sądu dzień nastanie wtóry
i jęk konania wszędy słychać będzie —
tam mnie ujrzycie śród rozdartej chmury
przywołanego na kata i sędzie!
tam przed narodem, mocen i ponury,
jak patron krwawe niosący orędzie
zaszumię wichrem i rozgorzę lico
i drogę wskażę miecza łyskawicą!

I mnogo razy wrócą sądy krwawe
i mnogo razy wrócę ja — syn wojny,
goniący ino wiekopomną sławę
i wołający: krwi! i we krew strojny
i ciskający ognistą kurzawę
spod kopyt końskich, śmiercią wokół hojny,
a sam tak czarny jak chmura burzliwa,
co o zachodzie krąg słoneczny skrywa.

Zaprawdę — duch mój przejdzie zawieruchą
Polskę od grodów do chłopskich poddaszy
i opowieści swe wyśpiewa głucho
i wielkość wznieci a małość przestraszy
szczękiem onego mieczyska i juchą,
co niby płomię buchnie z wrażych czaszy...
zaprawdę — serce na sercach im złożę
jak żar węgielny a jutrzaną zorzę. —

Gdy taką przyszłość przeczuwałem prawie
i zagrobowe widziałem już drogi,
krzyż gorejący naszedł mnie na jawie —
rumak mój zwalił się na przednie nogi
i pyskiem zarył we krwawej kurzawie,
a ja, żem obcy wżdy wszelakiej trwogi
i w miecz swój wierze — ja syn bojowiska,
pojrzałem dumnie w samą twarz zjawiska.

Był to Zakonu mistrz — koń mu się dębi
i ponad głową rzuca mi księżyce
podków... on ściągnął brwi i wzrok jastrzębi
w źrenice moje wbił i wzniósł prawice
i już tnie przełaj! a z puklerza głębi
słońce upiorne okazuje lice
i tak się mieni krwią, ogniem i złotem,
jakby zejść miało za mistrza żywotem.

Przeciąłem słońce w puklerzu na dwoje,
że do cna wstydem spłonęło gasnące
i zatoczyło się pod nogi moje —
w ten raz sypnęły nowych słońc tysiące
z pod mieczysk. ..aże ubodłem zbroice,
sam krzyż! i piersi te wściekłością tchnące
zajękły jękiem pękniętego dzwonu
i legła w czarną noc — gwiazda Zakonu!

Jeśli za krzyżem tym kryła się zbrodnia
i serce czarnym przepełnione jadem
do ust narodu chyliło się codnia,
jeśli ta dusza o obliczu bladem
goreje ogniem jak smolna pochodnia
i schodzi w piekło pod łyskawic gradem,
jeśli jej każdy grzech kamieniem cięży
i pali żądłem ścigających węży;

jeśli tam kędyś na odmętach duszy
zawisł ból wielki i ciemność bez końca,
a noc jej srebrna gwiazdami nie prószy
dróg, które wiodą do życia i słońca,...
jeśli ją ino ten wicher wieruszy,
że niby czarna gwiazda spadająca
leci w otchłanie i głuche bezedna
wiecznie jęcząca, wiecznie sama jedna;

jeśli szatański śmiech jej towarzyszy
dla wiecznej hańby i urągowiska,
jeśli nie zazna nigdy w sobie ciszy,
jeśli w udrękach zwija się i ciska,
jeśli przekleństwo ponad sobą słyszy
w ostrym poświście mojego mieczyska,
jeśli przekleństwo to zawsze i wszędzie
gwiazdy pokoleń jej nachodzić będzie;

jeśli przez wieki sława moich czynów
ma iść i śpiewać moim pokoleniom
i w synach wiernych — wiernych pozna synów,
jeśli wydarte snom i mrocznym cieniom
serca gołębie ze łzy i bursztynów
uczyni gniewnym podobne płomieniom,
a mojej winie odpust ziścić może,
żem w krzyż ugodził — to ozwij się Boże!

W te razy huknął grom pod nieboskłonem
i jęły łyskać ogniste różańce
w sinym ołowiu chmur — szalony onem
zwycięstwem sięgam aż po świata krańce,
jak czarna burza gorejąca łonem
i ciskająca śmiertelne łyskańce...
idę! — a wraża przedemną gromada
jak dęby w boru, porażona pada.

Taki-że wiazę się mocen a władу,
jakoby dusze poległych rycerzy
stąpiły we mnie — czart, co szukał zwady
setnych zastępów, dziś ze mną się mierzy!
z nieba ognistych cherubów gromady
sprzęgły się węzłem mocarnych rycerzy
i lecą ku mnie złote śród łyskawic,
iże w prawicy czuję tysiąc prawic,

a w sercu siłę tych przekleństw tysiąca,
którymi Bóg sam otwiera otchłanie
piekieł i dusze potępione strąca
na wieczną rozpacz i wieczne konanie!
Więc idę — burza w sobie szalejąca,
i wiem, że póki ducha w piersiach stanie,
wszelakiej sile czartowskiej wydole
i spełnie wielki sąd a bożą wolę!

Więc idę — sława, huczny grom po gromie,
a śmierć jak wierna druchna ze mną kroczy
i wokrąg ino poziera łakomie
i czyje wzrokiem swoim najdzie oczy,
ten zanim wzniesie miecz — z jękiem się łomie
i srebrną zbroje w szkarłatnej posoczy
własnego serca opławia i kąpie,
takich bo wrogom klejnotów nie skąpie!

Więc idę — wicher przez leśne wykroty,
a wokół źrenic konających mnogo
porzuca ku mnie ogień krwawo-złoty...
Nagle ptak-sztandar ustrojon pożogą
łyskawic, runął w ziem i srebrne loty
zwinął! zawrzało tryumfem i twogą
i z piersi naszych krzyk po niebie całem
oddał wściekłością, rozpaczą i szałem!!

Jam nie uwierzył w jego śmierć — on ino
do ziem się podał i na pióropusze
skrzydeł, co wżdy się do słońca rozwiną,
zabiera zległych bohaterów dusze,
żeby za oćmą ołowianą-siną,
tam we wieczystych mgłach i zawierusze
stawić je Bogu, na wagach rozpiętych,
jako krwi polskiej patronów i świętych.

Idę ku onym, a zbroje i tarcze
pod mieczem moim w śmiertelnym podzwonie
zagrały... oto łby wraże i barcze
olbrzymów chyną się ku ziem w pokłonie
i nóg sięgają mi jak zwiłe karcze
wyciętych borów... hej! w łakome dłonie
chwyciłem drzewce, a ptak srebrno-pióry
do razu skrzydły uderzył o chmury.

I miecz mój krwią się zapalił i gore
jak u wrót raju on miecz archanioła,
kiedy złe moce na zło wszelkie skore
strącał i gwiazdy im gasił u czoła...
z taką pochodnią jam wszedł na zaporę
trupów i pojrzał w boisko dokoła,
ja — czarny posąg an umarłych górze,
życie a sławę: nieśmiertelność wróżę!

*Zwycięstwo!!... czemraz cichnie wokół wrzawa
i słońce gaśnie w sinym chmur ołowiu
zlękłe wyrokiem niezłomnego prawa —
sam sobie widzę się jak na odnowiu
życia... choć płonę niby rana krwawa,
a już mnie litość jęła w tem pustkowiu,
kędy nic — jeno trupów obcowanie
i wichry dują i słychać konanie.*

*I pomyślałem w głębi swego ducha,
jak tam być musi onym synom zbrodni,
gdy ich tej chwili Bóg na sądzie słucha —
zali jest każdy podobny pochodni
smolnej i ogniem przeraźliwie bucha,
zali stanęli jako ci wyrodni
przed ojcem swoim i zakryli twarzy,
kędy się skrucha, wstyd a duma waży...*

*Zali z nich każdy jest tak czarny może
jak żużel słońca po skończeniu świata
i zamknął w sobie wszystkie klątwy boże,...
zali z nich każdy jak chmura skrzydlata
w nieogarnięte rzucony przestworze
leci i nie wie sam kędy odlata,
ino że droga znaczy się daleka
i krom sumienia nic więcej nie czeka...*

*I pomyślałem w głębi ducha swego,
jako tam musi być białym aniołom,
co wymodlili się krwią ode złego —
zali już gwiezdnym podane przyczołom,
skrzydeł dostały i lecą i strzegą
puścizny swojej, podobnej kościołom...
zali śmigają w północ — łyskawice,
i piekłu boże ukazują lice...*

*Zali ciężeni swych ojców przewiną
zawiśli kędyś w ciemnościach bez końca
i drżą i wiecznie za wichrem się chyną
i wiecznie pragną i tęsknią do słońca
i wypłakują serce za godziną,
kiedy Bóg ześle archanioła-gońca
i winowatych zbawi korowoje...
więc ciężki smutek naszedł myśli moje.*

*Zasumowałem się w sobie do izna
i tak podany byłem w przyszłość cały
i tak mi małą zdała się puścizna
ojców i takie we mnie skargi łkały
i tak mnie truła złych przeczuć trucizna
i tak mi serce padało w kawały,
żem ślepy patrzył, jak niemało zbliska
król-duch w rycerstwie zjeżdża bojowiska...*

*Tedy mu składam ślub na mękę Chrysta,
że duch mój w zbroję zakowany czarną
kiedyś odkwitnie jak róża ognista
i niebo łuną rozpali pożarną,
kędy niebieskich krain wiekuista
brama — tam moje cheruby się zgarną,
zaszumią wichrem, zlecą wielką rzeszą
i żywe słońca z grobowców wykrzeszą!...*

*A wieki będą niosły wieści krwawe
o mnie, że oto rychły gnam, syn wojny!
że ja — śmierć — darzę i życie i sławę
i pośród jawię się jak zwiastun strojny
we krew i duchów płomienną kurzawę,
błogosławieństwem miecza swego hojny,
zaprzysiężony swym wiernym na wieki,
niezłomny w sile, bliski — choć daleki.*



ST. GAŁEK GIEWONT-ZAKOPANE.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

2)

W A L K A.

POWIEŚĆ.

Nic — ani słowa... Czuł, jak w tej dziewczynie zamiera wszystko, kamienieje, zeskala się. Zrozumiał teraz dobrze znaczenie słowa: zmartwić kogo. Donimuntówna w oczach jego zmartwiała. Jej oczy nie pytały już wcale: Dlaczego uczyniłeś mnie półtrupem? Patrzyły przed siebie nieruchome, odczuwał to, jakąś straszną barwą powleczone, odczuwał, bowiem ocean tych pod osłoną rzęs i z boku widzieć niemógł. To wszystko mówiło: tylem cię kochała!...

Porwać ją i uwieźć — — uwolnić ją i siebie.

Uwiedzenie Marusi, zbezczczeszcznie wiary Donimuntówny, weszło między nich, jak widły rozpalone...

— Pani wyjedzie do Kijowa, trzeba, koniecznie — zaczął. — Chłopi są rozagitowani i rozzuchwaleni. Ja proszę, aby pani wyjechała.

Oczy Donimuntówny skierowały się na niego zdziwione.

Jemu zaś przesunęła się myśl zbrodnicza: dom Przesiewiczów może paść ofiarą ruchu chłopskiego.

Wymowa oczu Donimuntówny była jasna: chcesz być moim przyjacielem?...

I dwie łzy duże zaszkliły się w kątach ócz dziewczyny.

Zacisnął dłonie jedna w drugą. Rozpacz go ogarniała. A zarazem czuł się obcy prawie w istocie swej i daleki wszystkiemu. Wędrowiec, któremu podano kubek wody — dziękuje, ale widzi przed sobą horyzonty...

Cóż czytał na jej wargach: „Skończyło się“? „O Boże!“? „Dlaczego się nie spełnia“?

Nic podobnego: milczenie bez wyrazu.

Wychylili się z alei. Rodzina Donimuntów żegnała go chłodno. W przybladłych, podobnych do bratanicy źrenicach Ewarysta Donimunta, w spojrzeiu jego na bratanicę smutnem · pet

nem tajonego współczucia, domyślał się wypowiedzenia: czegoś ty chciał i com odgadł...

Jej zimna dłoń chciała pierścionek odebrać — — wlał w swój delikatny uścisk wszystko najlepsze i siadłszy na konia odjechał z przeświadczeniem: na zawsze.

Nie ogarniał go ból, tylko przejął go niesłychany, ściskający smutek. Przeczytał swoje „Jak sen" — raz w życiu, tak krótko, tak bez satysfakcyi osobistego uniesienia się, oczarowanio do utraty zmysłów, przepadnięcia choć na chwilę w pięknie onieprzytomniającem. Przeczytał zaledwie blade odbicie kart swojego „jak sen", a jednak więcej go już czytać nie będzie. Tyle mu tylko z tej cudownej księgi życia zostało przeznaczone...

Koń puszczony wolno szedł, dokąd chciał. Zboczył gdzieś z głównej drogi na boczną i kroczył stępa. Piotr wjechał w jakąś wieś i jechał między dwa rzędy kurnych jeszcze chałup. Upał był i poczuł pragnienie, a zarazem koń zdaje się nie został napojony w Łąkach i sięgnął nozdrzami ku nieczystemu strumieniowi wiejskiemu, przez który przekraczał, a z którego Piotr pić mu wzbronił. Zatrzymał się przed karczmą i zwierzywszy konia Żydowi przy korytku u studni, wszedł wewnątrz i kazał sobie dać mleka.

Nieopodal siedziało kilkunastu chłopów w bronzowych, przewiązanych w pasie sukmanach i wysokich czapach na głowie. Mało zwrócili na niego uwagi. Podpici byli mocno i rozgorączkowani.

— Od dziś za pięć dni, w nocy ze świętej Akiłyny na świętego Jołysseja, chłopi, Topielec kazał gotowym być. W czterech rogach powiatu naraz. Wasyl Kucyk idzie na Białą Wieś, a my na pałac. Sam powiedzie gromadę. Pałac spalimy, dobro weźmiemy.

— Ty, Iwan, po pijanemu tak gadasz — zamamrotał jakiś bardziej pijany sąsiad śpiącym głosem — gdzie ty byś śmiał? Hrabia pan — onby ciebie pantoflem przykrył — —

— Gdzie jaby śmiał, ty durny Mytrofan?! W sam łeb! Siekierą! Ty znasz, co ja cieśla.

— U niego lokaje są, strzelców mnogo.

— No nas więcej. Gromada idzie.

— W nocy świętej Akiłyny?

— A gdzie Topielec?

— Tuj tuj tu miał przyjść. Musi być gdzieś zatrzymał się. Na dziś nakazał listem do wójta. On kulawy, wolno idzie, może woli iść, jak jechać. O! żeby nie ta noga! A taki i z tą nogą nikt go na dwadzieścia mil wkoło nie przewróci. Sami panowie Puchanowscy nic przeciw niemu nie stoją.

— No, na nich jaby nie chciał iść ani w pięciu — —

— Gromada idzie. Jak piórka fyrkną.

— A co jemu w nogę stało się, Topielcowi?

— Dawniej kulawy niebył. Ja go widział na oczy, on furman z Łąk od Donimuntów.

— Ty go widział, Zacharyasz?

— No jakże, na jarmarku. Jan go nazywali w Łąkach. Toż dwie mile ztąd.

Piotra móz przeszył. On furman napastnik na Donimuntównę nie utonął i on był owym Topielcem.

Chłopi nie zwracali na Piotra uwagi. Nie zwracali już widocznie na nikogo.

Gdyby jednak zjawił się tu ów olbrzym kulawy, a poznał go, kości całych, a może i życia by nie wyniósł z karczmy. Chwycił jakąś gazetę zasmarowaną i zatłuszczuną na stole, widać przez jakiegoś podróżnego pozóstawióną, i zasłonił się. Ani zostać, ani wyjść — obawiał się równie doczekać się w karczmie, jak spotkać na podwórzu olbrzyma. Gazeta odwrócona była stroną anonsów: wzrok Piotra zatrzymał się i zdumiał.

W wielkim otoku czarnej linii drukowej zobaczył głowę rzeczywiście bajecznej urody w cylindrze amazonki. Anons brzmiał „Czarodziejka. Atlasu świata najznakomitszą konnojeźdczyni ze swemi czterema końmi". Anons zapowiadał przedstawienie jakiegoś cyrku w Kijowie.

Piotr zdumiony cały pięknością fotografii wstał jednak z za stołu. Niepokój przejmować go począł zbyt silny, wolał zaryzykować. Wyszedł cicho a szybko z izby synkownianej i zapłaciwszy wstąpił do ciemnej stajni, gdzie stał koń gotowy do drogi. Wsiadł od razu i schyliwszy się, wyjechał z dźwierzy stajennych.

Olbrzymi chłop, podpierając się kosturem wkraczał na podwórze.

Piotr ściągnął cugle i uderzył konia napiętkami. Koń porwał się z miejsca i rzucił mimo

olbrzyma skokiem w galop. Równocześnie przemknęła Piotrowi chęć rozbić chłopu głowę gałką ołowianą oplecioną w rzemień od rajtpajczu. Wypadł z bramy i obejrzał się. Olbrzym stał obrócony za nim, widocznie zdziwiony tym gwałtownym wyjazdem. Nie wydało się Piotrowi, aby go poznał. Przytrzymał konia w kłus i ruszył ku najbliższej drodze do osady.

W progu domu nieledwie spotkał go Bawrowicz z zafrasowaną miną.

— No i rozgadała — zaczął z punktu. — Jestem skompromitowany. Przecież niemogę dla takiego wydarzenia z domu przestać wychodzić. Poradź mi pan, co mam zrobić.

Piotr roześmiał się. Zmiędły kawaler istotnie był zalterowany.

— Czybyś się pan nie ożenił? — rzekł.

— W imię ojca! Z kim? Z tym garkotłukiem?! Żartuje pan? Ale jest tu murarz, czeka na pana w sieni.

Piotr odchylił drzwi. Mało mu znany murarz wstał ze schodów, na których siedział, i ozwał się lekko podejmując z głowy czapkę z daszkiem: Jest do pana budowniczego interes na budowie.

— Zaraz idę —odparł Piotr. — Co do budowy?

— Nie. Są ważne rzeczy.

Koniec części pierwszej.



ST GAŁEK STARY KOŚCIÓŁ W ZAKOPANEM.

JAN PIETRZYCKI.

KARTKI Z DROGI.

I.
FRAGMENT Z LISTU.

...Jeszcze wczoraj Neapol w błękitnem przestworzu
Amfiladą ścian białych odbijał się w morzu.
Schodził wieczór — (o ciche wy, złote wieczory!)
Grały dzwonów harmonją nadbrzeżne klasztory
I w olbrzymiej zatoce, w szafirów powodzi
Sennie snuły się żagli półcienie i łodzi...

Ze Sorrento do ciebie list piszę dziś — — Gońca
Niechaj skrzydła przybierze i niesie ci słońca
Te przeźrocze pomienie, co tutaj błękitną
Są pociechy dla ludzi... Przed oknem mem kwitną
Róże krwawe, ze złotej kielichów zieleni
Wychylając krew kwiatów... Jak w słońcu się mieni
Cały ogród! Jak z morza łagodnym powiewem
Każdem drzewem się słońce raduje i krzewem,
To po murze tka cudów desenie misterne,
Lub gorącym topazem maluje cysternę,
Rozdzwonioną po białym, rzeźbionym marmurze
A słuchają jej wokół i drzewa i róże —
I ta moja tęsknota, co w błękit i ciszę
Zatopiona — ten oto do ciebie list pisze...

II.
FONTANNY RZYMU.

Szumią rzymskie fontanny nocą księżycową...
Jakieś srebrne, kojące przelewa się słowo
Pośród ulic, błękitem spowitych i placów,
Gdzie śpią świątyń zwaliska i próchna pałaców,
Strojne w bluszczu akanty i lauru korony...
Obudziły się w studniach leniwe trytony
I na muszlach swych grają odwieczną piosenkę.
Groźny Neptun uderzył trójzębem i rękę
Nad wodami wyciągnął — a oto z głębiny
Cudne żółwie pełzają, zaś stare delfiny
Patrzą dziwów oczyma, jak z szumem im spada
Na ramiona błękitnych brylantów kaskada,
Jak przez kratę kamienną, na cuda zachłanny,
Trwożny satyr spogląda do wnętrza fontanny...

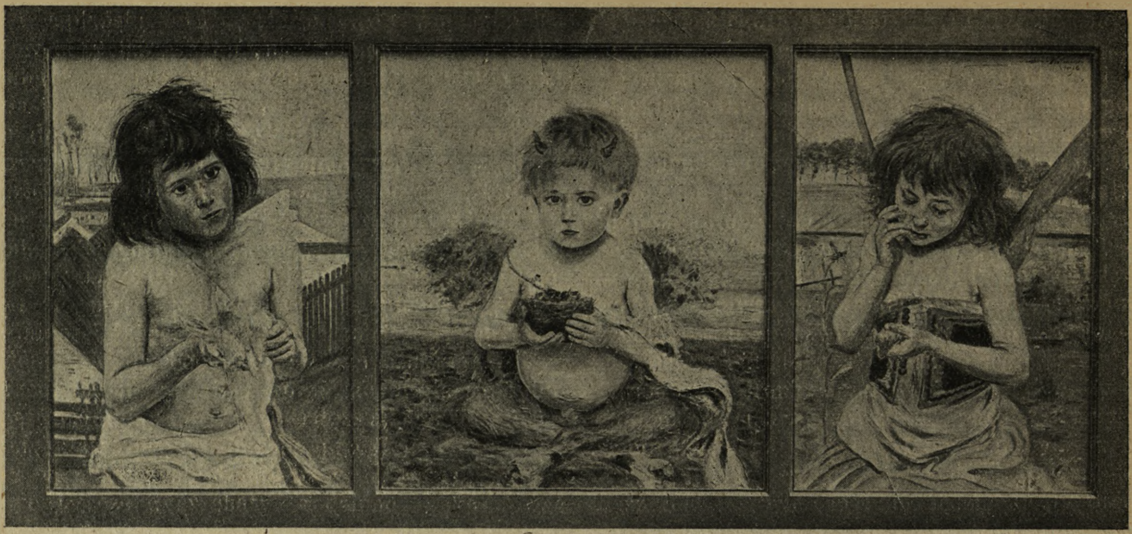
III.
W STAREJ PIZIE, NAD ARNEM.
(Przed freskiem Lorenzettiego.)

W starej Pizie, nad Arnem, cmentarnych ścian głazy
Lorenzetti w naiwne ustroił obrazy,
Ukazując pobożnym pozgonne koleje:
Co się w piekle znajduje — co w niebie się dzieje...
Grzesznych cierpień otchłani dał bramę z płomienia
„Kto tu stąpił śmiertelny, niech pyta sumienia
„O los własny... niech w jarzmie wyroku uklęka,
„Bo każąca moc jedno tu włada i męka!
A nad sforą piekielną w przeźroczy niebieskiej
Słowa kornej modlitwy wplótł malarz we freski,
Rozsiewając po jasnym obłoków lazurze
Białe skrzydła aniołów, kolibry i róże...
Stare słońce pogląda oczyma złotemi
Z białej wieży, co krzywa się chyli ku ziemi,
Na ten cmentarz zapadły, na ściany te dziwne
I owego człowieka obrazy naiwne,
Co śnił w cichym przybytku, gdzie zmarłych się grzebie,
Kolorową legendę o piekle i niebie.

IV.
WENECYA.
(Ślub Doży.)

Tobie, morze, przysięgam na wodne głębiny,
Że przenigdy nie zaznam miłości dziewczyny —
Ani ciało jej giętkie w ramiona me padnie,
Bom pokochał twą piękność, co leży gdzieś na dnie
Wód zielonych, w słoneczne się strojąc rumieńce
A piękniejsza nad wszystkie piękności dziewczęce.
Przeto ślubów dozgonnych czerwone korale,

W złoty pierścień zakute, porzucam na fale,
By świadczyły, jak oto w serdecznym uporze
Za małżonkę pojąłem — zielone to morze...



VL. HOFMANN — TRYPTYK.

JAN AUGUST KISIELEWSKI.

4) KOMEDYA MIŁOŚCI I CNOTY. (Dokończenie).

AKT I.

P i l a w s k i. Nic pani nie rozumiem?

E w a (łagodnie). I pocóż panu tego, panie Gustawie?

P i l a w s k i Ja chcę, ja muszę wiedzieć, gdzie tkwi przyczyna tego uporu... Głowę tracę...

E w a. To źle. Nie należy głowy tracić. To mało estetyczne, nie mieć na czem oprzeć kapelusza. A co do uporu, to nie wiem, kto z nas zasłużył na ten epitet.

P i l a w s k i. Ja także nie wiem. A kto lepiej zasłuży, to się okaże!

E w a. O, to jest groźne! (serdecznie śmieje się.)

P i l a w s k i. Pani gra teraz bardzo nierozsądnie.

E w a. Proszę?! Jestem więc upartą i nierozsądną.

P i l a w s k i. Tak. Niszczy pani piękno, dla wygody.

E w a. Lubię wygodę i uwielbiam piękno.

P i l a w s k i (jak dzieciak.) A... a... gdy pani dalej będzie udawała sfinksa... to ja się na panią pogniewam.

E w a. A pan nie lubi sfinksa?

P i l a w s k i (j. w.) Tak, tak, nienawidzę, pogardzam. To dla mnie za wysokie! Nie mam ochoty przefilozofować życia.

E w a. Bardzo roztropnie. Ale jeżeli pan pogardza, dla tego, że za „wysoko“ — chociaż to mnie dziwi, że to pan właśnie — tak mówi — to może lepiej przestać...

P i l a w s k i. Nie mam zamiaru przestać.

E w a ... nienawidzić, być cierpliwszym, podróść jeszcze trochę i zajrzeć w oczy temu, co udaje sfinksa.

P i l a w s k i. Wyznaję otwarcie, że cierpliwość nie jest moją największą zaletą.

E w a. Szkoda.

P i l a w s k i. A mnie się wydaje, że szkoda czego innego.

E w a (ironicznie.) Pan sądzi.

P i l a w s k i. Pani jest istotą chłodną...

E w a. Pochlebia mi pan...

P i l a w s k i. Bez serca...

E w a. Ach!

P i l a w s k i. Złośliwą...

E w a. Tak.

P i l a w s k i ...wyrafinowaną kokietką. .

E w a. Czyż?

P i l a w s k i. Nie kocham pani. Jest mi pani absolutnie obojętną

E w a. A widzi pan.

P i l a w s k i (po chwili namysłu.) W tem wszystkiem są jakieś inne powody. Może na prawdę poważne

E w a. Są, i nie mniej poważne, jak te, których pan poznać (ironicznie) jeszcze nie umie.

P i l a w s k i. Nie pragnę być dojrzalszym, niż jestem.

E w a (z westchnieniem.) A jednak... ja tego może pragnęłabym. Ach, nie! Niechaj pan zawsze pozostanie tak młodym!

P i l a w s k i. Ewa! Pani mi jest bardzo, bardzo przychylną.

E w a Nie przeczę. I więcej jeszcze: jestem prawdziwie panu życzliwą przyjaciółką.

P i l a w s k i. I dla tego całą siłę swej woli zwraca pani przeciw mnie?

E w a. Myli się pan. Moja przyjaźń dla pana, jest tym powodem, który ukrywa się za tamtymi.

P i l a w s k i (zdumionny.) Z przyjaźni dla mnie nie chce pani zostać moją...

E w a (podniosła głowę — spojrzała dziwnie.)

P i l a w s k i. ...abym ja został jej ko... (ze drżeniem) pani przyjacielem!!

E w a (ciepło.) Tak, panie Gustawie.

P i l a w s k i (rozejrzał się w koło, jakby zwracał się do nieobecnych.) Absolutnie, tu ktoś z nas dwojga ma zdecydowanego bzika!

E w a. Jestem pańskiego zdania.

P i l a w s k i. Przepraszam, przepraszam.

E w a. Nie czuję się dotkniętą.

P i l a w s k i (spojrzał bacznie, wybucha wesołym swobodnym, głośnym śmiechem.) Jak panią szanuję, nie wiem, czy panią więcej kocham, czy więcej podziwiam.

E w a. (Śmiejąc się jeszcze, kładzie mu palce na wargach.) Ssst! dość!

P i l a w s k i. Pragnę panią malować. Błagam niech pani nie odmawia!

E w a (waha się.)

P i l a w s k i. Nikt w Polsce nie potrafi pani tak namalować jak ja.

E w a. Jestem przekonana. Nikt w Polsce nie zna mnie tak, jak pan.

P i l a w s k i (do siebie, sceptycznie i wesoło.) Aha (do Ewy.) A we Francyi tylko jeden hiszpan de La Gandera. A przysięgam, że portret pani będzie piękniejszy, niż kobiety Gandary. On maluje fenomenalnie, ale maluje lalki w koronkach. Zgaszę Ganderę!

E w a. To zamiar, który przynosi zaszczyt panu i Ganderze, a mnie oślepia...

P i l a w s k i. Wolne żarty!

E w a. ...przygniata ogromem zaszczytów...

P i l a w s k i. To nie będzie ciężkie ...bardzo lekkie... nuansowane... z finezjami... wszystko... detale koronkowo... a zarazem klasycznie. Współcześnie klasycznie: moderne classique.

E w a. Nie mam o tem swojego sądu.

P i l a w s k i. Aha! Kiedy? Od jutra? Rano?

E w a. Nie wiem, czy mi mąż pozwoli...

P i l a w s k i (urażony.) Przecie pani jest wyrafinowanie złośliwa! Dla czego pani pragnie mnie upokorzyć?! Zgodzi się, zgodzi! Jeżeli pani zechce, jeżeli pani raczy pozwolić...

E w a. No, jeżeli pan tego tak pewien...

P i l a w s k i. Jutro zjeżdżam tu ze sztalugami, pudłami, pędzlami, farbami, płótnami... wprowadzam się do pani.. Na werandzie.

E w a. U nas chce mnie pan malować?

P i l a w s k i. Czyżby więc... Nie śmiałem prosić do pracowni...

E w a. Nie obawiam się pańskiej pracowni i mam nadzieję, że pozwoli mi ją pan polubić...

P i l a w s k i. Pani wie, jak gorąco tego pragnę.

E w a. Dobrze. Od jutra. Mężowi niech pan nic nie mówi. Chcę, aby miał niespodziankę.

P i l a w s k i. Tylko, że tego nie będzie można ukryć, iż pani do portretu pozowała. Ale, gdy panna Marychna i Wacław zostaną wtajemniczeni, to uchyli możność podejrzenia...

E w a. Jednakowoż ciągle pan ma sumienie mocno zaatakowane. Mój mąż nie podejrzywa mnie nigdy, o nic. Jest mnie pewien tak, jak ja jego. Marychna i Wacław mogą wiedzieć. Jeżeli ich pan zaprosi, będą obecni w czasie posiedzeń. Postanowiono. Jutro o trzeciej, dobrze?

P i l a w s k i. Czy dobrze? Od jak dawna czekam na to słowo? Czego ja nie mogłem dokazać dokona moja paleta.

E w a. Czuje się pan skrzywdzonym?

P i l a w s k i. Nad miarę skrzywdzonym, nad zasługę wynagrodzonym. Czy mogę prosić o jedno... jako malarz...

E w a. Słucham. Chcę być wzorową modelką.

P i l a w s k i. A więc... pierwsze posiedzenie, bez świadków.

E w a (patrzy spokojnie, bez drgnienia.)

P i l a w s k i. Niechaj nic nie rozprasza mi pierwszego spojrzenia... O jutrzejszym .seansie nikt nie będzie wiedział?

E w a (spokojnie.) Dobrze. Wszystko tak będzie, jak rozkaże... młody mistrz.

P i l a w s k i (klęka na jedno kolano, całuję jej ręce.) Z twych ust padło po raz pierwszy to słowo. Będę nim za twoją przyczyną (całując, wstaje).

E w a (wzruszona.) Niechaj tak będzie. (Wyjmuje z wazonu ponsowe róże i w milczeniu, zatyka do jego butonierki.)

P i l a w s k i (dotyka ustami róży.)

E w a (tonem swobodnym, innym.) Mam dla pana ważną wiadomość, o konkursie.

P i l a w s k i. Czy rozstrzygnięty?

E w a. Jeszcze nie. Było dopiero pierwsze posiedzenie.

P i l a w s k i. Radcowie radzą.

E w a. Mąż wziął pańskie plany do siebie; są tutaj (wskazuje je.)

P i l a w s k i. Tak?

E w a (spojrzała na zegarek.) A ja popełniłam niedyskrecję i rozwinęłam je.

P i l a w s k i. Jakiż pani sąd?

E w a. Och, sąd. Do tego brak mi kompetencyi.

P i l a w s k i. Tak, tak. Jakież jest to niekompetentne zdanie pani?

E w a. Że to jest wielkie i piękne dzieło.

P i l a w s k i. Czy tak? Prawdziwie?

E w a. Nie znam się na tem. Mówię o mojem wrażeniu. (zegarek) ...Mąż spaźnia się..., chciałabym z panem podzielić się mojemi wrażeniami — ale już nie w tej chwili... w antraktach dzisiaj wieczór, lub... przepraszam, zostawię pana samego... albo przyślę tu panu Marychnę, muszę isć ubrać się... albo (szybko ści-

ska jego rękę, odchodzi i mówi od drzwi, z akcentem zalotnym) albo... jutro... u pana... (znika.)

P i l a w s k i (głęboki ukłon*).

S c e n a IV.

P i l a w s k i (sam). S ł u ż ą c y, potem M a r y c h n a, w końcu E w a, W a c ł a w i R ó ż a ń s k i.

P i l a w s k i (do siebie.) Czy można wiedzieć, czego ta kobieta chce? (staje w pozycyi — robi gesty, jakby parował i zadawał pchnięcia floretem — urywa.) ...I odchodząc rzuciła ponsową różę! A więc zmiana broni, spotkanie wtóre i ostatnie — jeszcze miłości nie stało się zadość! (idzie ku planom — staje przy stole.)

S ł u ż ą c y (staje ceremonialnie we drzwiach.) Przesyłka do jaśnie pana! (otwiera drzwi — uśmiecha się i cofa zamykając za sobą.)

P i l a w s k i. Do mnie?

M a r y c h n a (w tej chwili wjeżdża, w sortie de bal, w kapuzie na głowie.) Fu, fu, fu, fu, fu!! (staje przed Gustawem, z łapkami na plecach U boku kapuzy na zielonej wstążce list.)

P i l a w s k i. Ach, jaka piękna! Dobry wieczór pani (wyciąga rękę.)

M a r y c h n a (milcząc, potrząsa główką i listem).

P i l a w s k i (cofa rękę.) Pani nie raczy podać mi rączki...?

M a r y c h n a (jak wyżej, zbliża się do niego, tak iż buzią niemal dotyka jego wąsów.)

P i l a w s k i. Ach, to bilet do mnie?! (bierze i czyta.) Moim oczom nie wierzę!? Ta cudowna przesyłka do mnie?!

M a r y c h n a. Orient-expres, Sud-express, Nord-express! Spleeping - car, packwagon, voiture de bagages. Pan Pilawski — tutaj?

P i l a w s k i. Obecny i nieprzytomny.

M a r y c h n a. Jazda! Prędko! Już! Przyjmuje czy nie przyjmuje?!

P i l a w s k i (bierze obie jej ręce.) Przyjmuje, ododbiera, zabiera, i dalej, razem, automobil, ekspressy, spleepingi.

M a r y c h n a. Packwagony! Bagaże!

P i l a w s k i. ...orient, nord, sud, jazda, już! (porywa ją na ręcę i unosi w górę.)

M a r y c h n a (parska srebrzystym śmiechem, potem gwizda, zaskakuje, okręca się w koło.)

P i l a w s k i (chwyta ją w pas.) Marychna, cudna, rozkoszna, zachwycająca, kocham panią, nie puszczę, nie oddam! (róża wypada mu z butoniarki.)

M a r y c h n a (wymyka się.) Czy też pan dobrodziej lubi świeże figi?

P i l a w s k i. Passjami! (wyciąga ręce, by chwycić jej dłonie.) A pani, panno Marychno?

M a r y c h n a (szybko przytyka do jego ust jedną piąstkę, potem drugą,) Pachną?

*) Przydługą tę scenę między Ewą Różańską a Pilawskim oraz dalszy rozwój wypadków wyjaśnia poniekąd późniejszy tytuł komedyi: *„Mistrzyni czyli miłość ubogiego młodzieńca“* (Przyp. Red.)

P i l a w s k i. Jak kwiaty drzewa wiadomości dobrego! Jak ogrody z tysięcznej drugiej nocy!! Panno Marychno — pojedziemy tam, gdzie rosną gaje figowe?

M a r y c h n a (pokazuje figi palcami.) Aha! tam gdzie kwaśna cytryna dojrzewa!

P i l a w s k i. Porwę panią, uwiozę!!

M a r y c h n a. Błyskawicznym expressem?

P i l a w s k i. Najszybszym z parowozów! Do Tunisu, Kaira!

M a r y c h n a. Wierzchem na wielbłądzie?

P i l a w s k i. Na dromaderze, białym jak śnieg!

M a r y c h n a (z minką poważną.) Pan mnie kocha?

P i l a w s k i. Ubóstwiam.

M a r y c h n a. To nie pojedziemy ekspressem na dromaderze białym jak śnieg.

P i l a w s k i. Dla czego?

M a r y c h n a. Chce się pan ze mną zaręczyć, zaraz teraz, dzisiaj?

P i l a w s k i (spoważniał.) To jest szczęście, które mnie olśniewa jak błyskawica!

M a r y c h n a. Dam ja panu błyskawicę! Chce pan — tak, czy nie?

P i l a w s k i. Tak. (do siebie) Ktoś z nas dwoje ma bzika!

M a r y c h n a. I ożenić się ze mną?

P i l a w s k i. I ożenić się z panią.

M a r y c h n a. Zaraz, dzisiaj, teraz.

P i l a w s k i. To trudniejsze.

M a r y c h n a (tupie.) Chce pan? Tak, albo nie!

P i l a w s k i. Tak.

M a r y c h n a. Teraz pan dostanie grzmot za błyskawicę! Gwiżdżę na małżeństwo! (gwiżdże) kpię sobie z zaręczonej miłości (duży palec u noska, gra), wyznaję wolną miłość, nieuznaję miłości powolnej! Smaczna świeża figa?

P i l a w s k i. Rozkoszna! Zgoda! Nic nie mam przeciw wolnej miłości! I owszem!

M a r y c h n a. A co pan ma za wolną miłością?

P i l a w s k i. Jeżeli mam panią, mam wszystko, panno Marychno!

M a r y c h n a. Pan namyślił się dobrze?

P i l a w s k i. Szaleństwa robię zwykle bez namysłu.

M a r y c h n a. To moje zdanie. Ma pan słuszność. I to (z przekąsem) „szaleństwo“ „także“, — zaraz, dzisiaj, teraz, przed przedstawieniem? Nikt nie będzie wiedział? Naturalnie oprócz mojej przyjaciółki i mamy...

P i l a w s k i. I oprócz papy.

M a r y c h n a. Naturalnie, i oprócz papy. Ale dopiero z drogi, telegramem.

P i l a w s k i. Absolutnie.

M a r y c h n a. Czy pan to mówi poważnie!?

P i l a w s k i. Równie jak pani. Dzisiaj, wyjątkowo. Zwykle drwię z powagi.

(E w a staje w drzwiach, uśmiechnięta słucha.)

M a r y c h n a. To tak jak ja! Va pour l'amour libre?

Pilawski. Va banque!
Marychna. Wychodzimy?
Pilawski. Idziemy.
Marychna. Jedziemy?
Pilawski. Jedziemy.
Marychna. Do pana?
Pilawski. Do mnie.
Marychna. A potem w świat?!
Pilawski. W miłosną podróż naokoło świata.
Marychna (zobaczyła matkę.) Mama! (podbiega do matki) Mateczko, żegnaj!
Ewa (podchodzi, sortie de bal.) Ale nie przed kolacyą. Poznasz pana Rawskiego, który nienawidzi kobiet, a potem — (do Pilawskiego) pojedziecie, moje dzieci.
Marychna. Będzie pan Rawski? Misogyn? Na kolacyi po teatrze?
Pilawski. Wacław pojechał zaprosić go.
Marychna. Panie Gustawie — a więc po kolacyi. A teraz na znak mojej zgody, dostanie pan tuberozę do fraka (zrywa z doniczki kwiat tuberozy.)
Pilawski (dotyka ręką klapy fraka — podnosi ją do oczu — zmieszany.)
Ewa. Moja róża? leży na dywanie (schyla się.)
Pilawski. Wypadła (schyla się).
Ewa (szybciej, niż Gustaw, podnosi różę.) Zapomniałam przyszpilić.
Marychna (wyciągnęła rękę z tuberozą — cofa ją.) Mateczko, to on zgubił tę piękną różę, którą ty mu dałaś?
Ewa. Nie wiem, jak to było.
Marychna (nadąsana.) Widzę, iż pan kwiatów nie godzien.
Ewa. Teraz nie będzie u fraka ani róży ani tuberozy.
Marychna. A ja po kolacyi odjadę, ale z panem Rawskim.
Pilawski. A ja pewnie jeszcze przed kolacyą przekonam, że jesteście równie dobre, jak piękne (wyciąga równocześnie ramiona, jedną rękę ku córce, drugą ku matce) i dostanę tuberozę i różę.
Marychna. Obie do fraka?
Ewa. Jakżesz to będzie? W tej samej butonierce?
Pilawski (z determinacya) U tego samego fraka, w tej samej butonierce!! (wyciąga ręce.)
Marychna. Matuchna, dać?
Ewa. Marychna, dać?
Ewa i Marychna (równocześnie wyciągają ręce z kwiatem, równocześnie cofają się.)
Pilawski (pochyla się ku jednej, potem ku drugiej.)
Ewa i Marychna (wybuchają śmiechem i równocześnie nagle kwiat zatykają sobie za gorsy.)
Pilawski (stoi z rozłożonymi prosząco ramionami — uśmiechnięty.)

Kurtyna!



JERZY KARSZNIEWICZ — ZGLISZCZA.

P R Z E G L Ą D

Z TEATRU KRAKOWSKIEGO

„*Gorąca krew*", komedya M. Fijałkowskiego

Ma się z początku wrażenie, że jestto „Poskromienie złośnicy" podane w stylu salonowym. Autor, którego talent wystarczył na komedyjkę w guście Przybylskiego, ma ambicyę prowadzenia dyalogu dowcipnie, błyskotliwie, rozsypywania trafnych bons mots. Wybrał sobie temat bardzo prosty — być może rozmyślnie, żeby właśnie na nim okazać swój talent konwersacyjny. Z początku udaje mu się nawet wywołać u słuchacza złudę, że znajduje się w atmosferze inteligentnej i że będzie się dobrze bawił. Trochę dziwnem się wprawdzie wydaje, że amant-nieśmiałek wbrew swej rzekomo nieśmiałej naturze umie językiem nietylko trzy zliczyć, ale nawet trzydzieści, odzywa się o swej nieśmiałości i swej niedoli miłosnej jak wytrawny causeur światowy. Ale toby uszło: jest właśnie rzeczą poety czynić wymownem nawet milczenie, a Szekspir wkładał swoim postaciom w usta zdobne metaforami tyrady w sytuacyach, w których nowoczesny autor realistyczny zadowoliłby się jednem westchnieniem lub okrzykiem.

Ale w środku sztuki słuchacz miarkuje, że akcya wcale się naprzód nie posuwa, i że zawarte w temacie obietnice jakoś za leniwo w życie wchodzą. Wikłaniom dyalogu nie towarzyszy wikłanie się akcyi i wydobywanie przez to nowych sytuacyi psychicznych, któreby na odwrót dawały sposobność do nowych powikłań dyalogu. Intryga zadzierzgnięta przez Irenę (zbuntowanie Modesta) jest wątła, nieporozumienia i pomyłki między Stefanem a Ireną nie zahaczają o tamtą drugą akcyę, a pan Michał, chociaż bohater sztuki, bo on zapewne jest „gorącą krwią" — właściwie jest ciągle taki sam i robi ciągle to samo, gdyż dopiero przy końcu 2-go aktu i w trakcie 3-go doznaje pewnych zmian pod wpływem intryg między innemi grupami.

Jakkolwiek w tego rodzaju lekkich sztukach dowcipna i wielozwrotna a k c y a jest obowiązkiem autora, możnaby mu jej brak wybaczyć, gdyby s t a n y, a więc to co jest w sztuce elementem bardziej stałym, epicznym, były interesujące. Tak jest np. w pozbawionych akcyi „Mieszczanach" Gorkiego, gdzie jest odmalowane milieu, w „Wachlarzu lady Windermere", gdzie wątła akcya rozgrywa się na tle subtelnej atmosfery salonowej, która jest przez Wilde'a nie sfotografowana ze wzorów, lecz stworzona, wystylizowana. Na taką sztukę à la Wilde (lub może wzorem był jaki autor francuski) zakrawała „Gorąca krew" w pierwszych aktach, właśnie wskutek przewagi dyalogu nad akcyą. Osoby grały z sobą niby lawn tennis słowami, grały nietęgo ale zadawały szyku. Ale w 3. akcie, gdzie siłą rzeczy wszystko się rozplątuje i bilansuje, odsłania się także właściwa jakość konwersacyi, prowadzonych w „Gorącej krwi": jestto nieokiełznana gadatliwość, posługująca się nawet trywialnościami, byle się kręcił kołowrotek dyaloga. Przypomniał mi się p. Solnicki, najnieznośniejszy aktor operetki lwowskiej, który nigdy nie mógł zejść ze sceny, bo wciąż jeszcze miał coś do gadania.

Żadna doktryna nie jest dla naszych aktorów tak szkodliwą jak doktryna o lekkości francuskiej. Zna się i naśladuje tylko powierzchnię tego zjawiska, a imituje się ją w sposób bardzo... niebezpieczny: autor wprawia się w stan graniczący o miedzę z głupotą. Zarówno „Gorąca krew" jak „Urwis", po czżści i „Lancet" dowodzą szczególnego zredukowania czy wypaczenia ambicyi twórczej u dramaturgów polskich. To zjawisko występuje zresztą i na innych polach literatury, i mojem zdaniem nie ma związku z wojną lecz pochodzi z innych przyczyn, o których się teraz rozpisywać nie będę.

Pozostaje jednak jeszcze do stwierdzenia i zanalizowania inny fenomen: niewątpliwe powodzenie tych sztuk. Zbyt pochopnie tłómaczy się je tem, że publiczność rzekomo jest nowa. „Gorąca krew" mogła być grana i w r. 1912 i byłaby miała taki sam sukces. Zasadza się on na tem, że publiczność z dawien dawna była wychowywana w pewnego określonego rodzaju tematach,

napięciach i rozmiarach literackich. Wytworzyły się pewne konwencye nieumówione lecz stałe między sceną a publicznością. Magda Szafrańcówna z „Gorącej krwi“ to owa harda, zuchowata panna z tych naszych swojskich powieści i komedyi; kochany „kozaczek“, urwis, trzpiot... występuje już w „Ślubach panieńskich“. Nieśmiałek-Modest wiedzie ród od Albina i Dolskiego. Publiczność widząc takie „typy“ nie potrzebuje się wysilać nad ich zrozumieniem. Czeka tylko z tęsknotą do tej chwili, kiedy nieśmiałek stanie się śmiałym i zacznie gasić rozwydrzonego „kozaczka“. P. Fijałkowski spełnił obietnicę lepiej, niż Katerwa w „Urwisie“, ale wybuch Modesta był sztuczny, bo wogóle ludzie z „Gorącej krwi“ mówią albo sztucznie albo trywialnie. Mimo to publiczność podchwyciła ów wybuch śmiałości jak wyzwolenie, i oklaskami nagrodziła nie p. Nowakowskiego, który grał tę rolę, lecz wprost owego nagle dzielnego ciamajdę Modesta. A gdy w 3. akcie Modest wyznaje Magdzie miłość, Magda ulega, a p. Michał określa sytuacyę krótko: „ruszyło ją!“ to i to drastyczne słowo wywołuje ze strony publiczności huczne objawy zadowolenia. Oczekiwano go! Nareszcie padło! Dobrze jej tak! I p. Fijałkowski może być zadowolonym. Co mu tam jakaś krytyka, kiedy on może się powołać na te huczne oklaski i na 25 przedstawień w Warszawie!

Konwencya między autorami a publicznością, wzajemna gra obietnic i dotrzymań, jest w każdej sztuce podwaliną wrażeń artystycznych. Nie ulega też wątpliwości, że publiczność, oklaskująca „Gorącą krew“, miała szczere wrażenie artystyczne. Ale miewała je także publiczność teatru greckiego, chociaż na tle innych konwencyi: wszak pewne tematy z mitologii dramaturgowie wciąż opracowywali i publiczności się to nie znudziło. Kultura nowoczesna jest zbyt obfita, żeby tkwiące w niej konwencye dały się dokładnie wyłuszczyć i zestawić, jakolwiek byłoby to właściwem zadaniem historyków literatury, gdyby się poczuwali do obowiązku szukania nowych pól obserwacyi. Pojemność i pojętność duchowa polskiej publiczności przedstawia szczególne kontrasty: podoba się jej Wyspiański ale podobają się jej i epigoni Bałuckiego i Przybylskiego. To jest faktem, którego nie da się usunąć uwagą, że publiczność tu i tam jest inna. Te związki tkwią głębiej.

Posiadamy ministerstwo sztuki, którego zadaniem będzie chyba zastanawiać się nad artystyczną duszą społeczeństwa i prowadzić jakąś politykę w sztuce. Polityka ta była dotychczas zawsze, ale rozpryśnięta i nieuświadomiona. Uświadomiwszy się i rozwinąwszy, zdoła ona może kiedyś oddziałać na polityki w innych dziedzinach, gdzie również panowała dotychczas zbyt „naturalna“ gospodarka.

Karol Irzykowski.

TEATR WYSPIAŃSKIEGO PO DZIESIĘCIU LATACH.

3). (Dokończenie)

Czem i jak tę władzę zdobył, pokazał w rozmowie z maskami, z których każda przedstawia nowy etap w pochodzie jego myśli ku — wyzwoleniu się od wpływu poezyi romantycznej, polityki romantycznej, myślenia romantycznego. Te maski oblazły go, jak karakony obłażą miednicę z piwem, ale na zaklęcie szczezły, zostawiając mu jedyny, uratowany przed niemi skarb, szczęście rodzinne. Personifikuje je poeta w postaci bogini ogniska domowego Hestyi, która odejmuje Konradowi naprzód pamięć przebytych mąk, uwalnia go od potwornych myśli i znaczy drogę posłanniczą: ‚Strzedz ognia domowego, wziąć topór oburącz, siąść stróżem u proga i nie zwolić ni piędzi ziemi!“ Rzesze, pouczone o tem przez Konrada, wstaną na krwawą rzeź. Na znak tego posłannictwa daje mu Hestya płonącą pochodnię, z zagrożeniem, że „kto straci żarów świętą siłę (choćby w ofierze dla narodu), tego dosięgną mściwe Erynie“. Konrad użył swej pochodni jako zatyczki rygla przy grobach królewskich, pochodnia zgasła, jakby na znak, że kto wypędził poezyę z narodu, ten jej się pozbył i osobiście, a **nie mając poezyi, niema organu swego posłannictwa.** Dlatego Konrad, jako zabójca Geniusza, zabójca poezyi romantycznej, swej macierzy, podpada Eryniom. Klątwę zdejmie z niego dopiero Apollo-Chrystus z Akropolis.

Pięć utworów poświęcił Wyspiański zwalczaniu szału romantycznego, który uważał za czynnik rozkładu i bezwładu narodowego. Bismark nazwał wprawdzie Polaków poetami w polityce, ale czy poezya romantyczna wywierała taki wpływ na nasze powstania i na dzisiejsze postępowanie, jak to przedstawia Wyspiański? Tego pytania nikt z nas nie potwierdzi. A w takim razie przeciwnicy sceniczni Wyspiańskiego nie byli ludźmi, branymi z rzeczywistości, lecz konstrukcyami historyczno-literackiemi i walka z nimi była tylko walką z własnemi urojeniami, prowadzoną pod hasłem: „Precz z poezyą romantyczną, precz z wszelką romantyką“.Jeśli jednak ta polemika Wyspiańskiego nie była aktualną, to skądże tak silny resonans? Otóż stąd, że Wyspiański, pokazując publiczności trujące owoce rozmaitych szałów romantycznych, wyposażał je w tyle barw i zapachów, że publiczność, na równi z ich scenicznemi ofiarami, uległa ich czarowi i wzruszała się tem, czem w myśl poety powinna była tylko się obruszać. Wyspiański — według formuły S. Brzozowskiego — wypędza z cmentarzysk do życia, ale głos jego nową staje się pokusą, ściągającą na owe cmentarzyska, gdzie jakieś nowe rodzi się wyzwolenie. Chce spędzić żywych z mogił, chce, by się myśl

ich rodziła, jak na słonecznej niwie, a budzi umarłych i żywych tłumy do starych kaplic ściąga.

Te skutki nie były oczywiście zamierzone przez poetę. Musiał je przyjmować, jako nieodzowne następstwa błędnego tłumaczenia jego symbolów. Mimo to symbolizmu się nie wyrzekł. Przeciwnie, pierwszy jego dramat pozytywny, „A k r o p o l i s" (1904) jest ultra-symboliczny. „Akropolis" jest w koncepcyi dopełnieniem „Wyzwolenia". Konrad bowiem zapowiedział, że poczucie winy po zamordowaniu matki, poezyi romantycznej, usunie z jego sumienia Bóg, Apollo-Chrystus, i Erynie przejdą mimo. Wtedy dopiero będzie naprawdę wyzwolony i on i naród, wtedy się spełni jego posłannictwo. Ale przecież rzeczywistość przeczyła temu, jakoby Konrad wywiódł naród z grobu niewoli, więc pomysł poety nie miał substratu realnego. Trzeba było przedstawić owo wyzwolenie symbolicznie, jako w y z w o l e n i e w i l l u z y i a r t y s t y c z n e j. Bo zdaniem Konrada tylko sztuka i jej dzieła są wieczne, nieśmiertelne; wszystko inne żyje, umiera i znów się odradza, czysto biologicznie. Ale jakiegoż użyć symbolu, by przedstawić zmartwychwstanie choćby w illuzyi? Wyspiański brał nieraz udział w nabożeństwie resurrekcyjnem na Wawelu, nabożeństwie, uświetnionem dzwonieniem w Zygmunta, który od wielkiego czwartku milczał, a teraz rzucał fale dźwięków w wiosenne powietrze, jąkby budził po zimie naturę do nowego życia. To zmartwychwstanie Chrystusa, połączone ze zmartwychwstaniem natury, wydało się Wyspiańskiemu dostatecznym symbolem zmartwychwstania Polski. Ale skoro się miało odbyć tylko w illuzyi artystycznej, Konrad nie mógł w niem brać udziału, jako osoba żywa, tylko znów jako symbol. W procesyi resurekcyjnej niosą figurkę zmartwychwstałego Chrystusa, niby tego, który właśnie wyszedł z grobu. Czyby i Konrada nie dało się zastąpić podobną figurką? Ale jaką? Szczyt organów katedralnych zdobi posąg psalmisty Pańskiego, Dawida, który według apokryfu, jako delegat „Ojców świętych w otchłaniach", wyprosił ostatecznie przyjście na świat Odkupiciela. Otóż posąg tego Dawida postawił poeta na miejscu Konrada i kazał mu tak żarliwie prosić o przybycie Salwatora, aż cud się ziścił.

Dawid powtarza przykazanie, dane przez Hestyę Konradowi, jako przykazanie Boga. „W koronie przed mym ludem stój, — jak mój zbrojony wój, — przez struny dźwięcz pobrzękiem zbrój — jak sęp szponami rwij. — Czuwaj, a czuj, a graj. — Oraczu patrz, by lemiesz czyj — w skraj ziemi się nie worał, — Bogu się ciesz, w narodzie żyj, — żywota rzeźki chorał. — Przy harfie stój, za śpiewem śpiesz, — Bogu się ciesz, a graj". Oto program nowej poezyi życia, oto posłannictwo Konrada. Z chwilą, kiedy je wykonywa, Erynie stają się Eumenidami. Widzimy je w orszaku ustępującej Nocy, widzimy, jak się interesują człowiekiem, co klęczy i w harfę dzwoni, ale nie mają już nad nim mocy; przed świtem zapadają się w ziemię. A pieśń Dawida-Korada spełnia swe zadanie. Już słychać tentent rumaków Boga-Słońca, już mury Wawelu pękają, już trumna św. Stanisława się rozpada, a nad nią wjeżdża na ruiny katedry Apollo. Uświetnił on swym przybyciem zmartwychwstanie Salwatora, który wśród gromowego rozhuku woła ze szczytu wielkiego ołtarza: „Jam jest siła, — moc". Apollo budzi do życia całą naturę, a resurekcyjne dźwięki Zygmunta lecą „nad Polską ziemią krwawą, — nad Akropolis, kędy drzemią — królowie i ich prawo".

Więc Polska nie zmartwychwstała? Jeszcze nie. Ale Bóg, który sam wstał z grobu; który corocznie po zimie budzi na nowo naturę do nowego życia, mocen jest i naród wskrzesić. Wśród jakich warunków? Na to odpowiadają symbole poprzedzających aktów. Wśród obudzonych w noc wielką do życia grobowych posągów katedralnych znajduje się także Klio z monumentu Sołtyka i ta głosi odradzanie się dusz, palingenezę i wieczny powrót wszechrzeczy. Pierwsze wierzenie zawdzięczał Wyspiański Słowackiemu („Król Duch"), drugie, starożytne, zdaje się Nietzschemu, który „Die ewige Wiederkehr" uważał za najgłębsze swe odkrycie. Palingeneza nie jednaka jest u wszystkich dusz: Jedne bowiem ciągle wracają w nowe żywoty, mnożą ród, doskonalą się i wiodą naprzód ród człowieczy; drugie, doskonalsze, nie potrzebują się już wcielać, świecą na gwiazdach i wracają dopiero wtedy, gdy z rozbicia światów powstaje na nowo dawne skupienie, w którem oni żyli. By te dwie kategorye dusz dać nam poznać, użył Wyspiański — ożywienia gobelinów katedralnych. Najsławniejsze z nich przedstawiają, jak wiadomo, historyę biblijnego Jakóba, owego patryarchy, któremu Bóg obiecał rozmnożenie potomstwa i inne błogosławieństwa doczesne. Wyspiański dramatyzuje tę historyę, przedstawiając, jak się Jakób w swym żywocie ziemskim doskonali, jak do coraz wyższych dochodzi poznań. — Przykład na duszę heroiczną znalazł Wyspiański w obrońcy Troi, Hektorze. Ale jak go wprowadzić na Wawel? Bardzo po prostu. Wystarczy domyślić się że renesansowy gobelin, przedstawiający jakiś pojedynek rycerzy, odnosi się do walki Hektora z Ajasem. Nazwawszy ten gobelin trojańskim, ożywił go Wyspiański i udramatyzował na podstawie Homera. Bohaterowi, ginącemu za ojczyznę, by po wiekach wrócić jako jej przewodnik, jako Bóg, przeciwstawił Parysa, ducha używającego rozkoszy ziemskich i służącego utrzymaniu rodu ludzkiego.

Współczesnym wydawał się „Akropolis" seryą przypadkowych wizyi, bez żadnego związku; dziś ten związek widzimy, dostrzegamy wysiłek poety w celu zakrycia symbolami tak dziwnej nauki:

Naród zmartwychwstanie, jak zmartwychwstaje natura na wiosnę. Zmartwychwstanie jest prawem natury. Idzie tylko o to, by utrzymać swój byt biologiczny i swą ziemię. Na straży tego utrzymania ma stać nowa poezya.

Jeśli zmartwychwstanie przychodzi samo, to jakże zapatrywać się należy na próby przyspieszenia go zapomocą zbrojnych powstań? — Powstańcy są bohaterami, jak Hektor. Ich dusze wrócą kiedyś, jako przewodniczki wolnego narodu. Więc śmierć tych bohaterów, to posiew nowego życia. Taką jest idea „Nocy listopadowej“ (1904), usymbolizowana w pożegnaniu Demetry i Kory. Skąd te postacie greckie między powstańcami polskimi? Wyspiański przygotował w r. 1903 zbiorowe wydanie swych rysunków do Illiady z tekstem greckim i przekładem Słowackiego. Przy tej sposobności zanurzył się znów w świecie bogów i bohaterów Homera, by z niego już aż do śmierci nie wychodzić. Uderzył go wiersz z początku Iliady, o tem, jak to gniew Achillesa wiele szlachetnych dusz bohaterów do Hadesa wyprawił ,,i Zeusa spełniała się wola“. Więc cała wojna trojańska była tylko spełnieniem się woli Zeusa, czy Losu? Więc jej uczestnicy byli tylko igraszką w rękach bogów? Nie inaczej. Więc Wyspiański i nad uczestnikami powstania listopadowego umieszcza Homerowy Olimp i czyni ludzi igraszką spraw i sprawek Boskich. Jako drobny symbol bezsilności ludzi wobec wyższych potęg możnaby to znieść; ale usamodzielnienie akcyi bogów obok akcyi ludzkich, zupełnie na sposób Homerowy, jest dla dzisiejszego widza dość obce i prawie niezrozumiałe. Wobec listopadowego igrzyska bogów Homerowych na daleki plan schodzą te postacie, które głoszą pozytywną myśl poety, że zbrojne powstania tylko winą krwi obciążają uczestników, a nie przyspieszają dnia wolności. Tę myśl głosi zmarły ojciec Lelewela, a z żywych generał Krasiński. Symbolem jej jest polski Prometeusz, Łukasiński.

Co tak w ,,Nocy listopadowej“ tylko mimochodem jest zaznaczone, to już rok przed nią szerzej rozprowadził Wyspiański w ,,Achillidzie“ (1903), Iliadzie udramatyzowanej z tą tendencyą, by wykazać, że dłuższa bezczynność Homerowego Achillesa była wynikiem nie jego obrazy i gniewu, lecz przekonania, „że mordowani przez niego — niewinni i że w tych czynach szlachetni — bezczynni“. Aby zrozumieć, jak Achilles doszedł do tego poznania i jak jego nowe usposobienie oddziaływało na innych bohaterów, z wyjątkiem Odyssa, trzeba mieć dobrze w pamięci i Iliadę i Wojnę trojańską Diktysa i nawet Troilusa i Kressydę Szekspira. Ich to materyał rozbił Wyspiański na szereg luźnych scen, które nie tworzą żadnego jednolitego dzieła sztuki. W kalejdoskopie zdarzeń ginie prawie tendencya, która oprócz nakazu bezczynności w wojnie, obejmuje także jej przesłankę, palingenezę: „Żywot twój nie na jednym zakończy się bycie, — będziesz się błąkał duchem na gwiazd zawierusze — aż trud podejmiesz nowy, nowe zaczniesz życie“.

Ta koncepcya wchodzi także w równoczesne „Wyzwolenie“. Improwizujący Konrad pędzi na rydwanie między gwiazdami, mając za woźnicę Automedona, jak Achilles. Oznacza to, że Konrad jest takim samym duchem przewodnim, bohaterskim, jak Achilles; a zarazem pozwala się domyślać, że i Achillesowi użyczył poeta dużo nie tylko ze swoich myśli, ale i ze swojej duszy.

Na ten sam rok (1903), co „Achilleis“ przypada „Bolesław Śmiały“, dramat na pozór najbardziej objektywny, historyczny, w rzeczywistości nie mniej symboliczny. Bujny i krewki Piastowicz staje się ofiarą tej samej trumny, która w „Akropolis“ musi się w proch rozsypać, by zmartwychwstanie objęło katedrę. A może moc, w niej spoczywająca, także zmartwychwstaje? Takby się zdawało, tak uczy dramat o patronie poety, św. Stanisławie, „Skałka“ (1906). Bo ten święty, to nie reprezentant hierarchii kościelnej, to kapłan, który głosi, że Bóg jego, to Bóg słoneczny, to Bóg panteistyczny, skoro „ogień i woda wiatr i łan — twoje jedyne miano“. Wie o tem Krasawica, która mówi do niego: „boś ty jest z naszych świętych“: „bo ty odradzasz światła w noc — i skrywasz skry w popiele“. Taki kapłan Boga życia ma tę moc, „by śmierci pojrzał w twarz“. Śmierć wyszła z podziemia w chwili, gdy biskup zniszczył na Skałce ostatni symbol pogaństwa, Korowaj. Ale nie to jego winą. Zawinił przez to, „że wstrzymał Bożej ręki sąd (nad królem), — i sam wypełnił czyn i słowo potępienia“. Tę winę musi teraz spłacić krwią. Uwolniony duch jego, duch bohaterski, będzie „palił znicz... nad przyszłe pokolenia“: Pokoleniom tym przewodniczyć będą Piastowie których postacie wznoszą się na świetlanym kręgu i zapadają... bez udziału ludzi. Wieczny obrót. wieczny powrót i pokoleń i ludzi, to tajemnica Pandory. Nie przyspieszy go człowiek czynem, tylko sobie zaszkodzi, jak sobie szkodził wydawaniem sądu o bliźnich Sąd należy do Boga!

Jakże więc? Wyspiański prowadził przez szereg lat zaciętą walkę z poezyą romantyczną za to, że ta w grobie widziała kolebkę zmartwychwstania, w śmierci bramę do życia, a sam głosi życiodajną moc śmierci? Jest pewna różnica między poglądem romantycznym a jego: Romantycy głosili zmartwychwstanie na podstawie — historyozofii; on na podstawie — biologii: „Lep gliniany — wolą Słowa — człowiek kłos na roli wstał; — orna rola łan wychowa, — jakie ziarno w glebę siał“, to zastosowanie tej nauki biologicznej do narodu, sformułowane przez Konrada (Wyzw. II. maska 19).

Wyspiański uważał się od „Wyzwolenia“ za piewcę życia. Ale głównie zajmował go problem śmierci. Pogodzeniem tych dwóch tendencyi jest właśnie nauka o palingenezie. Pocieszała go ona co do przyszłych losów narodu, ale czasami napawała przerażeniem, gdy pomyślał, że w takim razie i on będzie musiał podjąć „po raz wtóry — ten trud, co go zabijał“. Z takiego przerażenia narodziła się myśl o tragedyi o Odysseuszu, tym bohaterze, który w „Achilleidzie“ sam jeden zdobył się na obciążenie swego sumienia odpowiedzialnością za czyn. Jak taki bohater czynu przemienia się na bohatera bezczynności, miało być przedmiotem trylogii, z kórej zachowała się tylko część ostatnia„P o w r ó t O d y s a“ (1907). Obciążony klątwą czynu, ścigany przez bogów, przybywa on na ojczystą Itakę, by w niepoznaniu zobaczyć jeszcze dym chaty rodzinnej, skosztować strawy domowej, ocalić przed klątwą syna, a potem przepaść. Niestety, wypadki pchają mu do ręki fatalny łuk Apollina, każą mu jeszcze raz spełnić krwawy czyn, zemstę, i stawiają mu przed oczyma ojca, którego przeznaczeniem było paść z ręki syna. Ale Odysseusz zmógł przeznaczenie, uciekł przed niem; nie mógł tylko uciec przed odpowiedzialnością za czyn. Próżno szukał śmierci, którąby mu otworzyła wrota do prawdziwej, niebieskiej ojczyzny; niepogrzebany topielec będzie się i po śmierci błąkał po morzu, nie mogąc spełnić nawet tego, co mu śpiewały Syreny:: „Nowe rozpoczniesz życie, nowa czeka-ć praca, życie nowe, wznawiane życie wielokrotnie“. Dlaczego Odysseusz nie może wrócić więcej w życie? Bo według wierzeń greckich tylko ten, czyje zwłoki zostały pogrzebane, dostaje się na — tamtą stronę, pije z źródła zapomnienia i może obierać w podziemiu nowy żywot Ale cóż nas obchodzą wierzenia greckie? Wyspiański tak się w nie wżył, że całą tragedyę zbudował na greckich wierzeniach i greckiej, Homerowej etyce, dziś nan. zupełnie obcej. To też i „Powrót Odysa“, jako rzecz zupełnie obca, dziś nas nie wzrusza, wzruszyć nie może. Podziwiamy go, jak jaki archaiczny posąg grecki, ale zapalić się do niego nie potrafimy. A szkoda, bo artystycznie to najdoskonalszy utwór Wyspiańskiego.

Obcość świata Homerycznego sprawia, że w słowach Odysseusza nie słyszymy osobistej nuty Wyspiańskiego: Wszak-ci ten tułacz, płynący całe życie do ukochanej ojczyzny, ten żebrak, co jej tu na świecie nie znajduje, a do idealnej, niebieskiej Itaki dostać się nie może, to sam poeta. Że ta analogia nie jest naciągana, świadczy wiersz Wyspiańskiego z r. 1905, zaczynający się od słów: „Pociecho moja, ty, książeczko“. Jest to najważniejsza autobiografia poety. Ostatecznie doczekał się poeta tej łodzi śmierci i nowego życia. Odszedł w zaświaty, przeżywszy tu lat tylko 38, ale odszedł, spełniwszy swe zadanie: Poezyę grobów na scenie obalił, poezyę życia ze sceny wyśpiewał, powiedział narodowi, co myśli o jego przyszłości: trwać, żyć, bronić domowego proga i ojczystego zagonu, a zmartwychwstanie państwa przyjdzie samo, jak sama przychodzi po zimie wiosna.

Gdy dziś śpiewamy: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród“ i „twierdzą nam będzie każdy próg“ i „będziemy bronić ducha aż się rozpadnie w proch i w pył — krzyżacka zawierucha“, to powtarzamy hasła, dane Konradowi przez Hestyę, Dawidowi przez Boga, a nam przez Wyspiańskiego. Dla zaznaczenia pochodzenia tych haseł, poetka wspomniała i o złotym rogu: „wtedy nam zabrzmi złoty róg“. Kiedy? Kiedy przyjdzie zmartwychwstanie, na wiosnę narodu.

Zwrot od romantyzmu politycznego do „polityki“ wytrwania, zwrot który w większości narodu dokonał się dopiero podczas obecnej wojny światowej, wywalczył sobie Wyspiański przed piętnastu laty. Wtedy go nie rozumiano. Dziś się nie pamięta, że on jest poetą „polityki“ czekania i trwania.

Ale nie zawartość polityczna rozstrzyga o wartości dzieł, tylko ich zawartość estetyczna. Pod tym względem Wyspiańskiego musimy uważać za wykonawcę tego, o czem marzył Mickiewicz w „Dziadów“ części III., o co się kusił Słowacki w „Kordyanie“, a w projekcyi w dal w „Lilli Wenedzie“; on dopiero stworzył dramat który na scenie skoncentrował całe życie narodu, dramat aktualnie, nie tylko historycznie narodowy. A że ową treść narodową ubrał w szaty nie tylko muzykalnego słowa, ale i rzeźby i malarstwa, on jeden, jakby dramatyczny Wagner, sprawił, że polski „dramat przyszłości“ stał się teraźniejszym i — wiecznym.

Tadeusz Sinko.

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.